



DWOR  
SKRZYDEŁ  
I ZGUBY

SARAH J. MAAS



Sarah J. Maas

# DWÓR SKRZYDEŁ I ZGUBY

Przełożył Jakub Radzimiński



Tytuł oryginału: *A Court of Wings and Ruin*

Copyright © Sarah J. Maas 2017

This translation of *A Court of Wings and Ruin* is published by Grupa Wydawnicza Foksal by arrangement with Bloomsbury Publishing Plc.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Jakub Radzimiński, MMXVII

Wydanie I

Warszawa MMXVII

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Mapa](#)

[Rhysand. Dwa lata przed powstaniem muru](#)

[Część pierwsza. Księżniczka rozkładu](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Część druga. Wyzwolicielka](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

### [Część trzecia. Księżna](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Rozdział 73](#)

[Rozdział 74](#)

[Rozdział 75](#)

[Rozdział 76](#)

[Rozdział 77](#)

[Rozdział 78](#)

[Rozdział 79](#)

[Rozdział 80](#)

[Rozdział 81](#)

[Rozdział 82](#)

[Podziękowania](#)

*Dla Josha i Annie –  
Dar. Wszystko.*





# Rhysand

## Dwa lata przed powstaniem muru

**B**rzęczenie much i krzyki ocalałych już dawno ucichły. Zastąpiło je dudnienie bębnow.

Pole bitwy zasłane było skłębionymi trupami ludzi i fae. Tu i ówdzie leżał martwy koń lub połamane skrzydła sterczały ku szaremu niebu.

Z powodu upału – pomimo gęstej pokrywy chmur – smród wkrótce miał stać się nie do zniesienia. Muchy już łaziły po oczach spoglądających nieruchomo w górę. Nie czyniło im różnicy, czy żywią się śmiertelnym, czy nieśmiertelnym mięsem.

Przedzierałem się przez niegdyś porośniętą trawą pole, co pewien czas mijając sztandary na wpół pogrzebane w błocie i wnętrznościach. Musiałem wyteńczyć wszystkie resztki sił, aby nie ciągnąć skrzydeł za sobą po zwłokach i pancerzach. Swoją moc wyczerpałem na długo przed końcem rzezi.

Przez ostatnie godziny bitwy walczyłem tak samo jak stojący u mego boku śmiertelnicy: mieczem i pięścią, w okrutnym i bezlitosnym skupieniu. Nie daliśmy legionom Ravenii przełamać naszych szyków. Dawaliśmy im odpór godzina po godzinie – tak jak rozkazał nam mój ojciec; tak jak wiedziałem, że muszę zrobić. Przegrana tutaj dobiłaby nasz i tak już kruszejący ruch oporu.

Twierdza górująca za moimi plecami była zbyt cenna, by mogła wpaść w ręce lojalistów. Nie tylko z racji swojego położenia w samym sercu kontynentu, ale z uwagi na zasoby, których strzegła: z powodu kuźni, które dzień i noc dymiły pod jej zachodnimi murami, mozolnie zaopatrując nasze siły.

Dym z kominów zlewał się z kłębami unoszącymi się ze stosów już podpalanych wokół mnie. Szedłem wciąż przed siebie, omiatając wzrokiem twarze poległych. Zapisałem sobie w pamięci, by później wysłać żołnierzy o wystarczająco wytrzymałych żołądkach, by

zebrali broń żołnierzy obu armii. Za bardzo jej potrzebowaliśmy, by zawracać sobie głowę honorem. Zwłaszcza że druga strona zupełnie się nim nie przejmowała.

Tak spokojne... pole bitwy było teraz tak spokojne w porównaniu z rzezią i chaosem, które ustały parę godzin temu. Armia lojalistów wolała odwrót od kapitulacji i pozostawiła swoich poległych krukom.

Okrążyłem cielsko powalonego gniadego wałacha. Oczy tej pięknej bestii wciąż były rozszerzone z przerażenia; muchy całkiem obsiadły zakrwawiony bok. Jeździec leżał poskręcany pod swym wierzchowcem z połowicznie odrąbaną głową. To nie był cios mieczem. Nie – te przeraźliwe rany zostały uczynione pazurami.

Nie sprzedawali tanio swojej skóry. Królestwa i władztwa pragnące odzyskać swoich ludzkich niewolników uznają swoją porażkę dopiero, gdy nie będą miały już żadnego innego wyjścia. A nawet wtedy... Przekonaliśmy się boleśnie już na samym początku wojny, że nie zamierzali przestrzegać pradawnych zasad i rytuałów wojennych. A fae, którzy walczyli ramię w ramię ze śmiertelnikami... Rozdeptywali nas, jakbyśmy byli robactwem.

Odpędziłem muchę bzyzącą mi przy uchu dłonią unurzaną we krwi zarówno mojej, jak i cudzej.

Zawsze sądziłem, że śmierć polega na jakimś spokojnym powrocie na łono przodków – jest słodką, choć smutną kołysanką, która poniesie mnie do tego, co nas czeka potem.

Pancernym butem złamałem drzewce sztandaru lojalistów. Czerwone błoto chlapnęło na dzika o pokaźnych kłach wyszytego na szmaragdowym tle.

Czy to nie brzęczenie much, a nie cudowna pieśń, było prawdziwą kołysanką śmierci? Czy owady i robaki nie były służkami kostuchy?

Pole bitwy ciągnęło się we wszystkie strony aż po horyzont – wyjąwszy twierdzę za moimi plecami.

Trzy dni dawaliśmy im odpór. Trzy dni walczyliśmy tu i tu umieraliśmy.

Ale utrzymaliśmy nasze pozycje. Raz po raz zwoływałem ludzi i fae, odpierałem kolejne ataki wroga, nawet gdy drugiego dnia

rzucili świeże siły na naszą osłabioną prawą flankę.

Czerpałem ze swojej mocy, aż stała się już tylko dymem w moich żyłach. Potem zdałem się na moje ilyryjskie wyszkolenie. Cały mój świat skurczył się do tarczy i miecza. Tylko to mi pozostało przeciwko nacierającym hordom.

Porwane ilyryjskie skrzydło wystawało spomiędzy splątanych ciał fae, tak jakby trzeba było ich sześciu, by powalić tego jednego wojownika. Tak jakby zabrał ich wszystkich ze sobą na drugą stronę.

Odwaląłem sztywniejące ciała przy akompaniamencie serca łomoczącego w posiniaczonej piersi.

O świcie trzeciego i ostatniego dnia bitwy przybyły posiłki wysłane przez mojego ojca w odpowiedzi na moje błaganie o pomoc. Byłem zbyt pochłonięty szalem bitewnym, by zauważyć, że nie przybył zwykły oddział Ilyrów; że tak wielu miało syfony.

Minęły już godziny, odkąd ocalili nasze tyłki i odwrócili losy bitwy, a ja wciąż nie dostrzegłem wśród żywych żadnego z moich braci. Nawet nie wiedziałem, czy Kasjan lub Azriel w ogóle brali udział w tej odsieczy.

Pieśniarza cieni raczej tu nie było, gdyż mój ojciec trzymał go zawsze przy swoim boku, by mógł dla niego szpiegować, ale Kasjan... jego mógł tu przysłać. Nie zdziwiłbym się, gdyby mój ojciec przeniósł Kasjana do jednostki, co do której się spodziewał, że zostanie wycięta do nogi. Zresztą prawie tak się stało – ci, którzy przeżyli, ostatkiem sił opuszczali pole bitwy.

Zakrwawionymi i obolałymi palcami sięgnąłem głębiej między pogięte pancerze i śliskie, sztywne ciała. Po chwili odrzuciłem ostatniego fae leżącego na poległym Ilyrze.

Ciemne włosy, opalona na złocisty brąz skóra... Takie same jak Kasjana.

Ale to nie jego poszarzała od śmierci twarz wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w niebo.

Odetchnąłem głośno. Płuca wciąż mnie bolały od ciągłego ryku. Usta miałem wyschnięte i spękane.

Potrzebowałem się napić – i to bardzo. Ale w pobliżu dostrzegłem

kolejną parę ilyryjskich skrzydeł wystających spomiędzy stosu trupów.

Potykając się i zataczając, ruszyłem w ich stronę. Pozwoliłem swoim myślom odpłynąć w ciemne i ciche miejsce, gdy odkręcałem skrecony kark, by spojrzeć na twarz otoczoną prostym hełmem.

Nie on.

Przedarłem się przez trupy do kolejnego Ilyra.

I następnego. I jeszcze jednego.

Niektórych znałem. Innych nie. A zasłane ciałami pole ciągnęło się w dal i w dal pod ołowianym niebem.

Mila za milą. Królestwo gnijących trupów.

A ja wciąż szukałem.

**Część pierwsza**  
**Księżniczka rozkładu**

# Rozdział 1

## Feyra

**O**braz był fałszywy.

Był radosnym i ślicznym kłamstwem przepelnionym bladonoróżowym kwieciem i silnymi promieniami słońca.

Zaczęło się wczoraj od biernego obserwowania ogrodu różanego czającego się za otwartymi oknami pracowni. Przez gęstwinę cierni i atlasowych liści prześwitywała soczystsza zieleń majających w oddali pagórków.

Nieustająca wieczna wiosna.

Gdybym namalowała ten obraz tak, jak go czułam w trzewiach, byłyby to szarpiące ciało kolce, kwiaty odbierające światło słońca niższym roślinom i pagórki poplamione czerwienią.

Ale każdy ruch pędzla na szerokim płótnie był wykalkulowany. Każde muśnięcie, każda smuga zlewających się barw miała ukazać nie tylko idylliczną wiosnę, ale też radosny nastrój. Nie nazbyt radosny, ale przepelniony ulgą z powodu wyzwolenia się od okropieństw, o których skrupulatnie wszystkim opowiedziałam.

W minionych tygodniach chyba udało mi się ukształtować swoje zachowanie równie pieczołowicie co jeden z tych obrazów. Gdybym miała się ukazać taką, jaką naprawdę pragnęłam, miałabym zapewne ostre niczym brzytwy szpony, a moje dłonie wyciskałyby życie z gardeł tych, którzy mnie teraz otaczali. Splamiłabym te złocone korytarze krwią.

Ale jeszcze nie teraz.

Jeszcze nie czas, powtarzałam sobie przy każdym ruchu pędzla, na każdym kroku każdego dnia od przybycia tutaj. Szybka zemsta tylko zaspokoiłaby gotującą się wewnątrz mnie wściekłość, ale nikomu by nie pomogła.

Chociaż przy każdej rozmowie z nimi słyszałam łkanie Elainy

wrzucanej siłą do Kotła. Chociaż każde spojrzenie na nich ukazywało mi Nestę wskazującą króla Hyberrii palcem i obiecującą mu śmierć. Chociaż ich zapach wypełniał mi nozdrza kwaśną wonią krwi Kasjana tworzącej kałużę na ciemnym kamieniu kościanego zamku.

Pędzel pękł między moimi palcami.

Bezpowrotnie złamałam jasny trzonek na dwoje.

Zakłęłam pod nosem i zerknęłam ku oknom, potem na drzwi. Zbyt wiele czujnych oczu mnie tu śledziło, by zaryzykować wyrzucenie narzędzia do kosza.

Zarzuciłam swoje myśli wokół niczym sieć w poszukiwaniu kogokolwiek znajdującego się na tyle blisko, by móc mnie szpiegować. Nie znalazłam nikogo.

Wyciągnęłam rozprostowane dłonie przed sobą, z połówką pędzla na każdej z nich.

Przez chwilę pozwoliłam sobie przebić wzrokiem czar skrywający tatuaż na mojej prawej dłoni i przedramieniu. Rysunek mojego prawdziwego serca. Mojego prawdziwego tytułu.

Księżnej Dworu Nocy.

Wystarczyło mgnienie myśli i złamany pędzel spłonął.

Ogień pożerający drewno, włosie i farbę nie sparzył mnie.

Gdy pozostały już tylko dym i popiół, zaprosiłam wiatr, by zmiótł je z moich dłoni i poniósł przez otwarte okna.

Dla pewności przyzwałam jeszcze powiew z ogrodu i nakazałam mu wić się po pracowni, by rozwiać ostatnie smużki dymu i wypełnić pomieszczenie stęchlą duszącą wonią róż.

Może gdy wykonam tu już swoje zadanie, spalę też całą rezydencję? Zacznę od tych róż.

Z tyłu głowy poczułam stukanie dwóch zbliżających się obecności. Porwałam szybko kolejny pędzel, umoczyłam go w pierwszej lepszej plamie farby i opuściłam niewidzialne mroczne sidła postawione wokół pracowni, które miały mnie ostrzec o wszelkich gościach.

Pracowałam nad uchwyceniem promienia słońca rozświetlającego delikatne żyłki w płątku różanego kwiatu, usiłując nie myśleć o tym, jak bardzo przypominało to grę światła na ilyryjskich skrzydłach,



gdy drzwi stanęły otworem.

Naprawdę dobrze udawałam pochłoniętą bez reszty pracą, z lekko przygarbionymi ramionami i przechyloną na bok głową. Bardzo powoli obejrzałam się przez ramię, tak jakby oderwanie wzroku od obrazu wymagało ode mnie ogromnego wysiłku woli.

Najtrudniejsze było jednak przywołanie uśmiechu na usta. I do oczu – ostatecznego dowodu prawdziwości grymasu. Bardzo długo ćwiczyłam to przed lustrem.

Moje oczy zalśniły odbiciem nieśmiałego, ale radosnego uśmiechu posłanego Tamlinowi.

I Lucienowi.

– Wybacz, że przeszkadzamy – przeprosił Tamlin.

Zlustrował moją twarz w poszukiwaniu najmniejszych oznak cieni, którym co pewien czas z rozmysłem się poddawałam, które wykorzystywałam, by utrzymać go z dala od siebie, gdy słońce kryło się za pagórkami.

– Pomyślałem jednak, że chciałybyś się przygotować do spotkania.

Zmusiłam się do przełknięcia śliny. Opuściłam pędzel. Ot, nerwowa, niepewna siebie dziewczyna, którą od dawna już nie byłam.

– Czy... omówiłeś to z Ianthą? Naprawdę przybędzie?

Jeszcze jej nie widziałam. Jeszcze się nie spotkałam z wysoką kapłanką, która wydała moje siostry królowi Hybernii, która wydała mu *nas*.

I chociaż niejasne, śpieszne wiadomości przesyłane przez Rhysanda przez naszą więź godową złagodziły nieco moje przerażenie... to ona za to odpowiadała. Za to, co miało miejsce parę tygodni temu.

Lucien przyglądał się mojemu obrazowi, tak jakby tkwił w nim dowód, którego wiem, że szukał. W końcu odpowiedział:

– Tak. Ona... miała swoje powody. Jest skłonna ci je wytłumaczyć.

Może zechce też wyłożyć powody, które ją pchały do obłapiania każdego mężczyzny, którego tylko sobie upatrzyła, niezależnie od

tego, co on o tym myślał. Tak jak w przypadku Rhysa... i Luciena.

Zachodziłam w głowę, co Lucien tak naprawdę z tego rozumiał. W tym z tego, że zastaw jej przymierza z Hybarnią okazał się przeznaczoną mu towarzyszką życia. Elaina. Rozmawialiśmy o niej tylko raz, dzień po moim powrocie.

„Mimo tego, co Jurian sugerował w kwestii traktowania moich sióstr przez Rhysanda – powiedziałam mu wtedy. Mimo tego, jak wygląda Dwór Nocy, nie skrzywdzą w ten sposób Elainy ani Nesty... przynajmniej na razie. Rhysand ma w zanadru dużo bardziej pomysłowe sposoby ich dręczenia”.

Jednak Lucien wciąż zdawał się mieć wątpliwości.

Z drugiej strony sugerowałam też – moimi „lukami” w pamięci – że może ja nie zostałam potraktowana z taką samą pomysłowością czy kurtuazją.

Że też z taką łatwością uwierzyli, że też podejrzewali Rhysanda o zdolność zmuszenia kogokolwiek do... Dodałam tę potwarz do długiej, naprawdę długiej listy rzeczy, za które zamierzałam im odpłacić.

Odłożyłam pędzel, zdjęłam upstrzony farbą fartuch i odłożyłam go starannie na stół, na którym tkwiłam już dwie godziny.

– Pójdę się przebrać – wymamrotałam i odrzuciłam luźno spleciony warkocz przez ramię.

Tamlin skinął głową. Śledził każdy mój ruch, gdy się do nich zbliżałam.

– Obraz jest przepiękny.

– Bardzo daleko mu do ukończenia – stwierdziłam, przywołując tę dziewczynę, która odrzucała pochwały i komplementy, która chciała pozostawać niezauważona. – Jest wciąż rozbabrany.

Szczerze mówiąc, był jednym z moich najlepszych dzieł, nawet jeśli jego bezpłciowość dostrzegałam tylko ja.

– To się chyba tyczy nas wszystkich – powiedział Tamlin z niepewnym uśmiechem.

Powstrzymałam ochotę przewrócenia oczami i odwzajemniłam uśmiech. Gdy go mijałam, musnęłam dłonią jego ramię.

Kiedy dziesięć minut później opuszczałam moją nową sypialnię,

przed drzwiami czekał na mnie Lucien.

Dwa dni zajęło, zanim przestałam odruchowo kierować się do starej – skręcać w prawo na szczycie schodów zamiast w lewo. Ale w tamtym pomieszczeniu niczego już nie było.

Zajrzałam tam raz w dniu naszego powrotu.

Strzaskane meble; podarta pościel; ubrania rozrzucone, jakby szukał mnie gorączkowo w szafie. Najwyraźniej nikomu nie pozwolił posprzątać.

Ale to pnącza – ciernie – sprawiały, że komnata nie nadawała się do użytku. Moja stara sypialnia cała była nimi zarośnięta. Pięły się i wiły po ścianach, oplatały resztki mebli. Tak jakby spełzły z krat pod moimi oknami; tak jakby minęło sto lat, a nie kilka miesięcy.

Ta sypialnia była teraz grobowcem.

Zebrałam w dłoń miękkie różowe fałdy spódnicy mojej zwiewnej sukni i zamknęłam za sobą drzwi. Lucien tkwił po drugiej stronie korytarza oparty o drzwi.

Prowadzące do jego komnaty.

Nie wątpiłam, że to on dopilnował, by przydzielono mi sypialnię blisko niego. Nie wątpiłam, że jego metalowe oko zawsze było zwrócone ku mojej komnacie, nawet kiedy spał.

– Dziwię się twemu spokojowi, zważywszy na obietnice, które złożyłaś w Hybernii – rzucił Lucien w ramach powitania.

Miał na myśli obietnice zabicia ludzkich królowych, króla Hybernii, Juriana i Ianthy za to, co wyrządzili moim siostrą. Moim przyjaciółkom.

– Sam powiedziałaś, że Iantha miała swoje powody. Może i jestem na nią wściekła, ale mogę jej przynajmniej wysłuchać.

Nie zdradziłam Lucienowi tego, czego się o niej dowiedziałam – prawdy o jej charakterze. Musiałabym w tym celu wyjaśnić, że Rhys wyrzucił ją ze swojego domu i że zrobił to, by ochronić siebie i swoich dworzaków. To by zrodziło zbyt wiele pytań, podkopało zbyt wiele misternie budowanych kłamstw, które zapewniały bezpieczeństwo jemu i jego dworowi – *mojemu* dworowi.

Chociaż zastanawiałam się, czy po Velaris to było w ogóle konieczne. Nasi wrogowie wiedzieli o mieście; wiedzieli, że jest

miejszem dobra i pokoju. I próbowali je zniszczyć przy pierwszej okazji.

Poczucie winy za ten atak, który nastąpił po ukazaniu go królowym, będzie prześladowało mojego towarzysza do końca naszych nieśmiertelnych żyć.

– Opowie ci zgrabną historyjkę, którą będziesz chciała usłyszeć – ostrzegł mnie Lucien.

Wzruszyłam ramionami i zaczęłam iść pustym korytarzem.

– Sama potrafię to ocenić. Chociaż odnoszę wrażenie, że ty już zdecydowałaś się jej nie uwierzyć.

Zrównał się ze mną krokiem.

– Wciągnęła w to dwie niewinne kobiety.

– Chciała się upewnić, że sojusz z Hybernią będzie silny.

Lucien chwycił mnie za łokieć i gwałtownie zatrzymał.

Pozwoliłam mu, ponieważ alternatywa – wymknięcie się przeskokiem, tak jak to zrobiłam w lesie miesiące temu, albo wykorzystanie ilyryjskiego chwytu, by posłać go na podłogę – równałaby się zrzuconiu maski.

– Jesteś zbyt mądra, by w to uwierzyć.

Przyjrzałam się trzymającej mnie szerokiej opalonej dłoni, a następnie uniosłam wzrok i spojrzałam mu w oczy – jedno rdzawobrunatne i jedno złote.

– Gdzie on ją trzyma? – zapytał szeptem.

Wiedziałam, o co mu chodziło.

Pokręciłam głową.

– Nie wiem. Rhysand może teraz być w stu różnych miejscach, ale wątpię, czy w którymkolwiek z nich ukrył Elaine świadom, że o nich wiem.

– Powiedz mi i tak. Powiedz mi o nich wszystkich.

– Zginiesz w chwili, w której postawisz nogę na jego ziemiach.

– Udało mi się jakoś przeżyć, kiedy cię znalazłem.

– Nie potrafiłeś dostrzec, że ciążył na mnie jego urok. Pozwoliłeś mu mnie zabrać.

Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo.

Ale ból i poczucie winy, których się spodziewałam, nie nadeszły.

Lucien powoli rozluźnił chwyt.

– Muszę ją znaleźć.

– Nawet jej nie znasz. Więc godowa jest tylko fizyczną reakcją przyćmiewającą twój rozsądek.

– Czy to właśnie zrobiła tobie i Rhysowi?

Ciche, niebezpieczne pytanie. Lecz zmusiłam się do okazania strachu – przywołałam wspomnienie Tkaczki, Rzeźbiącego w Kościach, czerwia middengardzkiego, tak aby to dawne przerażenie nasyciło mój zapach.

– Nie chcę o tym mówić – wykrztusiłam drżącym głosem.

Na parterze zegar wybił godzinę. Zmówiłam w myślach modlitwę dziękczynną do Matki i ruszyłam szybko w stronę schodów.

– Spóźnimy się.

Lucien tylko kiwnął głową. Mimo to czułam jego wzrok wwiercający się w moje plecy, gdy schodziliśmy na dół.

Musiałam zobaczyć się z Ianthą.

I w końcu ustalić, w jaki sposób rozedrę ją na strzępy.

\*\*\*

Wysoka kapłanka wyglądała tak, jak ją zapamiętałam – zarówno ze wspomnień Rhysa, jak i moich snów na jawie, w których szponami drzemiącymi pod paznokciami wydrapywałam jej oczy, potem wyrzywałam język, a na koniec rozdzierałam gardło.

Wściekłość przerodziła się w samodzielną istotę dyszącą w mojej piersi, dudniącej echem bicia serca, które koło mnie do snu i wybudzało rankiem. Uciszyłam ją, wpatrując się w Ianthę siedzącą na drugim końcu stołu jadalnianego. Tamlin i Lucien siedzieli po bokach.

Miała na głowie ten sam jasny kaptur i srebrny diadem z błękitnym kryształem.

Kamień przypominał syfony, które nosili Azriel i Kasjan. Zastanawiałam się, czy – jak to miało miejsce w przypadku ilyryjskich wojowników – klejnot w jakiś sposób pomagał jej ukształtować kłopotliwy magiczny dar w coś bardziej subtelnego i śmiercionośnego. Nigdy nie zdejmowała go z głowy, ale też nigdy

nie widziałam, żeby zrobiła coś bardziej spektakularnego od zapalenia kuli czarodziejskiego światła.

Kapłanka spuściła spojrzenie turkusowych oczu na ciemny blat stołu. Kaptur rzucał cienie na jej doskonałą twarz.

– Na początek pragnę powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro. Działalam powodowana pragnieniem... dania wam tego, czego w moim przekonaniu mogliście pożądać, ale do czego się nie przyznawaliście, a jednocześnie upewnienia się, że nasi hybrydanci sojusznicy nie zwątpią w naszą wierność.

Śliczne jadowite kłamstwa. Ale odkrycie jej prawdziwych motywów... przez wszystkie te tygodnie czekałam na to spotkanie. Przez cały ten czas symulowałam powolny powrót do zdrowia, mozolne leczenie ran po tym, co miałam wycierpieć ze strony Rhysanda.

– Dlaczego miałabym kiedykolwiek pragnąć, by moje siostry spotkało coś takiego? – zapytałam drżącym chłodnym głosem.

Iantha uniosła głowę i przyjrzała się mojej twarzy, na którą przywołałam wyraz niepewności, może nawet lekkiej wyniosłości.

– Żebyś mogła spędzić z nimi wieczność. A gdyby Lucien wcześniej odkrył, że Elaina jest mu przeznaczona, to... świadomość, że pozostało im zaledwie kilkadziesiąt lat, zniszczyłaby go.

Dźwięk imienia Elainy na jej ustach wzbudził w moim gardle niski warkot, ale powstrzymałam go i założyłam maskę zbolalego spokoju – najnowszą broń w moim arsenale.

– Jeśli oczekujesz naszej wdzięczności, Iantho – odparł Lucien – to trochę poczekasz.

Tamlin rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. Najwyraźniej nie spodobały mu się ani jego ton, ani dobór słów. Może Lucien zabije Ianthę, zanim ja będę miała szansę to zrobić. Za samą udrękę, którą zgotowała tamtego dnia jego towarzysze życia.

– Nie – wyszeptała Iantha z rozszerzonymi oczami, przybierając doskonałą maskę żalu i poczucia winy. – Nie, w najmniejszym stopniu nie oczekuję wdzięczności. Ani wybaczenia. Ale zrozumienia... To jest też mój dom. – Uniosła smukłą dłoń udekorowaną srebrnymi pierścieniami i bransoletami, po czym

zatonęła nią krąg, wskazując całe pomieszczenie, cały dom. – Wszyscy musieliśmy zawiązać sojusze, o które nigdy byśmy się nie podejrzewali... może odstręczające, owszem, ale... potęga Hybernii jest zbyt wielka, by ją powstrzymać. Teraz można ją tylko przeczekać, jak każdą inną burzę. – Strzeliła wzrokiem w stronę Tamlina. – Tak ciężko pracowaliśmy, by się przygotować na nieuniknione nadejście Hybernii... przez te wszystkie miesiące. Popęłiłam bardzo poważny błąd i zawsze będę żałować tego całego bólu, który spowodowałam, ale kontynuujmy wspólnie te dążenia ku lepszemu. Znajdźmy sposób na przetrwanie naszych ziem i naszego ludu.

– Kosztem ilu innych? – zapytał Lucien.

Kolejne ostrzegawcze spojrzenie Tamlina zostało zignorowane.

– To, co widziałem w Hybernii... – zaczął Lucien, ściskając podłokietniki swojego krzesła tak mocno, że rzeźbione drewno zajęczało w proteście. – Wszelkie jego obietnice pokoju i nietykalności...

Urwał, jak gdyby przypomniał sobie, że Iantha może równie dobrze powtórzyć każde jego słowo królowi. Puścił oparcia, rozprostował smukłe palce i ponownie wsparł się o krzesło.

– Musimy postępować ostrożnie.

– Tak zrobimy – obiecał Tamlin. – Ale już przystaliśmy na pewne warunki. Pewne wyrzeczenia. Jeśli teraz się wycofamy... Nawet w sojuszu z Hybernią musimy prezentować spójny front. Wszyscy razem.

Wciąż jej ufał. Wciąż sądził, że „Iantha zwyczajnie pomyliła się w osądzie”. Nie miał pojęcia o tym, co czało się pod jej pięknem, pod ubraniami, pod pobożnymi zaśpiewami.

Z drugiej strony ta sama ślepotą nie pozwalała mu dostrzec tego, co krążyło pod jego skórą.

Iantha ponownie skłoniła głowę.

– Dołożę starań, by okazać się godną mych przyjaciół.

Lucien zdawał się bardzo, ale to bardzo starać nie przewrócić oczami.

– Wszyscy się postaramy – rzucił Tamlin.



Moje nowe ulubione sformułowanie: „postaramy się”.

Przełknęłam tylko ślinę – na tyle głośno, aby na pewno to usłyszał – i skinęłam powoli głową, nie odrywając wzroku od Ianthy.

– Nigdy więcej nie rób czegoś takiego.

Życzenie głupca – którego się po mnie spodziewała, wnosząc po szybkości, z jaką pokiwała głową. Lucien odchylił się na krzesło, zachowując swoje myśli dla siebie.

– Ale Lucien ma rację – wykrztusiłam z maską troski na twarzy. – Co będzie z mieszkańcami tego dworu w czasie tego konfliktu? – Spojrzałam na Tamlina ze zmarszczonymi brwiami. – Cierpieli męki z rąk Amaranthy. Nie wiem, jak zniosą życie u boku Hybernii. Dość już przeszli.

Mina Tamlina stężała.

– Hybernia przyrzekła pozostawić nasz lud w spokoju.

Nasz lud. Niemal się na te słowa skrzywiłam, lecz zdołałam ponownie skinąć głową ze zrozumieniem.

– To była część naszego... układu – dodał.

Kiedy sprzedał cały Prythian, wyprzedał wszystko, co było w nim pocziwego i dobrego, aby odzyskać mnie.

– Gdy przybędą wojska Hybernii, nasz lud będzie bezpieczny. Chociaż powiadomiłem wszystkie rodziny, że powinny... przenieść się we wschodnią część naszych ziem. Tymczasowo.

Dobrze. Przynajmniej pomyślał o potencjalnych ofiarach; przynajmniej dbał o swój lud na tyle, żeby wziąć pod uwagę nikczemności, w jakich lubowali się Hybernijczycy, oraz to, że potrafili przysiąc jedno, lecz mieć na myśli zgoła co innego. Jeśli już przemieszczał tych najbardziej narażonych na krzywdę podczas działań wojennych... tylko ułatwiał mi moje zadanie. Wschód... zapamiętałam ten szczegół. Skoro uważał wschód za bezpieczny, zatem zachód... Wojska Hybernii istotnie nadejdą z tego kierunku. Przybędą tutaj.

Tamlin westchnął ciężko.

– To prowadzi do drugiej przyczyny tego spotkania.

Przygotowałam się na wysłuchanie dalszej przemowy,



przywołując na twarz maskę mdłej ciekawości.

– Jutro przybywają pierwsi Hybernijczycy.

Złocista twarz Luciena pobladła.

– Do południa zjawi się tu Jurian – dodał Tamlin.

## Rozdział 2

**W** ostatnich tygodniach słyszałam ledwie parę szeptów na temat Juriana. Nie widziałam wskrzeszonego ludzkiego wodza od tamtej nocy na Hybernii.

Jurian zrodził się na nowo dzięki mocy Kotła z odrażających szczątków, które Amarantha trzymała jako trofea przez pięć setek lat; w których uwięziła jego duszę, by był świadom wszystkiego wokół, by oglądał świat magicznie zakonserwowanym okiem. Był szalony – postradał zmysły na długo, zanim król Hybernii przywołał go na powrót z martwych, by powiódł ludzkie królowe drogą mimowolnej uległości.

Tamlin i Lucien musieli to wiedzieć. Musieli dostrzec ten błysk w jego oczach.

Ale... zdawali się nie mieć nic przeciwko temu, by król Hybernii pozostał w posiadaniu Kotła... i że za jego pomocą może roztrzaskać cały świat. Począwszy od muru. Jedynej przeszkody stojącej między gromadzącymi się potężnymi armiami fae a bezbronnymi ziemiami ludzi. Nie, to zagrożenie zdecydowanie nie spędzało Lucienowi i Tamlinowi snu z powiek. Ani nie powstrzymało ich przed zaproszeniem tych potworów do swego domu.

Tamlin przyrzekł po moim powrocie, że zostanę włączona w planowanie, że będę uczestniczyła w każdym spotkaniu. I dotrzymał słowa, gdy klarował, że Jurian przybędzie z dwójką innych hybernijskich dowódców i że będę obecna podczas ich powitania. Chcieli zbadać mur i wybrać najlepsze miejsce do rozdarcia zasłony, gdy tylko Kocioł odzyska pełnię mocy.

Przeobrażenie moich sióstr w fae najwyraźniej ją wyczerpało.

Moja radość z tego faktu nie trwała długo.

Pierwszym zadaniem było dowiedzieć się, gdzie zamierzali uderzyć i jak długo jeszcze Kocioł będzie regenerował siły. Potem zaś muszę przekazać te informacje Rhysandowi i pozostałym.

Następnego dnia dobrałam strój ze szczególną starannością. Po kolacji w towarzystwie nękanej pocuciem winy Ianthy, która z ogromną gorliwością podlizywała się mnie i Lucienowi, spałam wyjątkowo dobrze. Kapłanka najwyraźniej wolała się pokazać hybernijskim dowódcom dopiero, gdy ci się rozgoszczą. Cały czas paplała słodko, jak to by chciała dopilnować, by zdołali nas poznać, zanim nam przeszkodzi. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na Luciena, by przekonać się, że chociaż raz oboje się w czymś zgadzamy: musiała planować coś szczególnego, czym chciała zrobić wielkie wrażenie na przybyłych.

Dla mnie – dla moich planów – było to bez różnicy.

Następnego ranka przekazałam przez więź godową swoje zamiary – słowa i obrazy potoczyły się wypełnionym nocą korytarzem.

Nie ważyłam się używać tego sposobu zbyt często. Od mojego przybycia skontaktowałam się z Rhysandem tylko raz – gdy zajrzałam do swojej starej sypialni i znalazłam ją zarośniętą ciernistymi pnączami.

Przypominało to krzyczenie na wielką odległość, mówienie pod wodą. „Jestem cała i zdrowa – posłałam wzdłuż więzi. – Wkrótce przekażę ci, co już wiem”. Odczekałam chwilę, pozwalając słowom oddalić się w mrok, po czym zapytałam: „Żyją? Są ranni?”.

Nie przypominałam sobie, żeby tak trudno było cokolwiek dosłyszeć przez łączącą nas więź – nawet wtedy, gdy mieszkałam tu, a on wykorzystywał ją, by się przekonać, czy wciąż oddycham; by się upewnić, że nie poddałam się już całkowicie rozpacz.

Po chwili jednak nadeszła odpowiedź Rhysanda: „Kocham cię. Żyją. Zdrowieją”.

Tylko tyle. Tak jakby nie zdołał przekazać więcej.

Wróciłam nieśpiesznie do swoich nowych komnat, zamknęłam drzwi na klucz i otoczyłam pomieszczenia murem zastygłego powietrza, by na zewnątrz nie wydostała się najlżejsza nawet woń mych cichych łez, które roniłam zwinięta w kącie komnaty łaziennej.

Już kiedyś tkwiłam tu w podobnej pozycji i obserwowałam gwiazdy w długie bezsenne godziny. Teraz wpatrywałam się

w bezchmurne błękitne niebo za otwartym oknem, wsłuchiwałam w szczebiot rozmawiających ze sobą ptaków i miałam ochotę ryknąć.

Nie śmiałam prosić o więcej informacji o Kasjanie, Azrielu... czy moich siostrach. Ogarniał mnie lęk na wspomnienie tego, jak źle to wyglądało – i tego, co bym zrobiła, gdyby ich rekonwalescencja nie zakończyła się pomyślnie. Tego, co bym sprowadziła na wszystkich tutaj.

Zdrowieją. Żyją i zdrowieją. Przypominałam sobie o tym każdego dnia.

Chociaż nadal słyszałam ich krzyki, czułam zapach ich krwi.

Ale nie prosiłam o więcej. Po tym jednym razie nie ryzykowałam już dotykania więzi.

Nie wiedziałam, czy ktoś mógłby monitorować taką komunikację – podsłuchiwać ciche wiadomości przesyłane między dwójką związanych przeznaczeniem istot. Nie chciałam ryzykować w sytuacji, gdyby okazało się, że więź godową można wyczuć, a ja prowadziłam tak niebezpieczną grę.

Wszyscy tu byli przekonani, że została przecięta; że snujący się za mną zapach Rhysa wynikał z tego, że mnie przymusił, że przemocą umieścił we mnie swoją woń.

Wierzyli, że z czasem, daleko od księcia Dworu Nocy, jego zapach zaniknie. Po tygodniach, zapewne miesiącach.

A gdy tak się nie stanie, gdy będzie wciąż obecny... Wtedy będę musiała uderzyć. Niezależnie od tego, czy zdołam do tego czasu zdobyć wszystkie potrzebne informacje.

Ale skoro istniało ryzyko, że komunikowanie się przez naszą więź wzmacniało jego zapach... musiałam je ograniczyć do minimum. Nawet jeśli brak rozmów z Rhysem, niemożność usłyszenia tego rozbawienia, tej przebiegłości w jego głosie... Kiedyś ponownie to wszystko usłyszę. Tak sobie co rusz przyrzekałam. Kiedyś znowu zobaczę ten kpiący uśmiezek.

Następnego dnia, gdy Jurian i dwójka hybernijskich dowódców pojawili się na żwirze podjazdu przed rezydencją Tamlina, znowu przyłapałam się na rozmyślanie o bólu, który malował się na jego

twarży, gdy go widziałam po raz ostatni; o Rhysie w ubraniu poplamionym krwią Azriela i Kasjana.

Jurian miał na sobie tę samą lekką skórnię. Targane porywistym wiosennym wiatrem kasztanowe włosy smagały mu twarz. Zlustrował nas stojących na schodach z białego marmuru i wykrzywił usta w ironicznym pyszałkowatym uśmiechu.

Schłodziłam krew w swoich żyłach zimnem pochodzącym z dworu, w którym jeszcze nigdy nie stanęła moja noga. Niemniej jednak zdołałam posłużyć się darem jego władcy i przekształcić płomienną wściekłość w lodowaty spokój. Jurian ruszył zawadiackim krokiem w naszą stronę z dłonią opartą na rękojeści miecza.

Ale to z powodu dwójki dowódców w serce wbiła mi się drzazga strachu.

Oboje wyglądali na fae wysokiego rodu. Ich skóra miała ten sam rumiany odcień, a włosy atramentową czernią dorównywały czuprynie ich króla. Wzrok najbardziej przyciągały jednak ich pozbawione wyrazu i wyprane z wszelkich emocji twarze. Obojętność doskonała przez tysiąclecia okrucieństw.

Tamlin i Lucien zeszywnieli, gdy Jurian zatrzymał się u stóp szerokich frontowych schodów. Ludzki wojownik uśmiechnął się zdawkowo.

– Wyglądasz lepiej, niż kiedy widziałem cię po raz ostatni.

Przeniosłam spojrzenie na jego twarz. I zachowałam milczenie.

Jurian parsknął i skinął na pozostałą dwójkę przybyszów, by podeszli bliżej.

– Pragnę przedstawić ich wysokości księcia Dagdana i księżniczkę Brannagh, siostrzeńca i siostrzenicę króla Hybernii.

Bliźnięta – może nawet dzielące tę samą moc i umysłową więź.

Tamlin przypomniał sobie, że byli to teraz jego sprzymierzeńcy, i ruszył w dół schodów. Lucien podążył za nim.

On nas sprzedał. Sprzedał cały Prythian – za mnie. Żeby mnie odzyskać.

W moich ustach zaczął się kłębić dym. Ponownie musiałam sięgnąć po drzemiący we mnie mróz.

Książę Dworu Wiosny skinął głową książętom.

– Witajcie w moim domu. Przygotowaliśmy dla was wszystkich pokoje.

– Razem z bratem zajmiemy jedną komnatę – oznajmiła księżniczka.

Głos miała zwodniczo delikatny, niemal dziewczęcy. Głęboko kontrastował z całkowitym brakiem wrażliwości i surową władczością.

Mogłam niemal wyczuć kąśliwą ripostę kipiącą w głowie Luciena. Ubiegłam ją i dołączyłam do nich u stóp schodów, płynnie wchodząc w rolę pani domu, czego wszyscy – z Tamlinem na czele – niegdyś się po mnie spodziewali.

– Nie będzie to żadnym kłopotem.

Metalowe oko Luciena obróciło się ze zgrzytem w moją stronę i mechaniczna źrenica zwęziła się badawczo, ale ja zachowałam kamienną twarz i dygnęłam. Skłoniłam się wrogowi. Które z mych przyjaciół stawi im czoła na polu bitwy?

Czy Kasjan i Azriel zdążyli się wyleczyć na tyle, by móc walczyć? By choć udźwignąć miecz? Nie pozwoliłam sobie dręczyć się tymi rozmyślaniami, wspomnieniami krzyków Kasjana, gdy jego skrzydła były rozrywane na strzępy.

Księżniczka Brannagh przyjrzała się mi: omiotła wzrokiem różową suknię, włosy zaplecione w warkocz i zwinięte na czubku głowy przez Alis, przytrzymujący je diadem, blad różowe perły zdobiące uszy.

Niegroźna maskotka w ślicznym opakowaniu, której jej książę mógł dosiadać, gdy tylko go naszła ochota.

Brannagh wykrzywiła usta w kpiącym uśmiešku i zerknęła na brata. Wnosząc po jego lustrzanym grymasie, książę podzielał osąd siostry.

Tamlin zawarczał cicho, ostrzegawczo.

– Jeśli skończyliście się już na nią gapić, może moglibyśmy przejść do naszych spraw.

Jurian zachichotał pod nosem i ruszył w górę schodów, nie czekając na zaproszenie.

– Są ciekawi – rzucił lekko Jurian, a Lucien aż zeszywniał na beczelność jego zachowania i słów. – Nie w każdym wieku spór o kobietę daje początek wojnie. Zwłaszcza gdy chodzi o kobietę obdarzoną takimi... talentami.

Obróciłam się tylko na pięcie i ruszyłam po schodach jego śladem.

– Może gdybyś ruszył na wojnę o Miriam, nie zostawiłaby cię dla księcia Drakona – odparowałam.

Jurian zadrżał. Tamlin i Lucien zeszywnieli za moimi plecami, rozdarci między przysłuchiwaniem się naszej wymianie zdań a prowadzeniem hybrydycznych księży do środka. Wyjaśniłam, że Azriel i jego szpiedzy są doskonale wyszkoleni, wyczyściliśmy więc dom z wszelkich zbędnych służących, lękając się zbyt wścibskich uszu i oczu. Pozostali tylko ci najbardziej zaufani.

Oczywiście zapomniałam wspomnieć, że Azriel odwołał swoich agentów wiele tygodni temu, o czym doskonale wiedziałam. Informacje, które mogli wykraść, nie były warte ich żyć. Nie zająknęłam się też ani słowem, że mniejsza liczba osób wokół mnie sprzyjała moim zamiarom.

Jurian zatrzymał się na szczycie schodów i wykrzywił twarz w okrutnym grymasie, czekając, aż się z nim zrównam.

– Zważaj na swoje słowa, dziewczę.

Uśmiechnęłam się i minęłam go, nie zwalniając kroku.

– Albo co? Wrzucisz mnie do Kotła?

Weszłam do pałacu, okrążyłam stół stojący na środku holu, z wysokimi kwiatami w wazonie pnącymi się na spotkanie kryształowego kandelabru.

Wiele miesięcy temu właśnie tu – ledwie kilka stóp w bok – zwinęłam się w kulę przerażenia i rozpacz. Właśnie tu, z samego środka holu, Mor zabrała mnie i poniosła z tego domu, ku wolności.

– Oto pierwsza zasada – rzuciłam Jurianowi przez ramię, wchodząc do jadalni, gdzie czekał już zastawiony stół. – Nie groź mi w moim własnym domu.

Już po chwili zorientowałam się, że moje małe przedstawienie odniosło zamierzony skutek.

Nie względem Juriana, który aż kipiał z wściekłości, zajmując

swoje miejsce przy stole. Względem Tamlina, który musnął palcem mój policzek, gdy mnie mijał, nieświadomy tego, jak uważnie dobierałam słowa, jak sprowokowałam Juriana do sprezentowania mi tej okazji.

To był mój pierwszy krok: sprawić, by Tamlin uwierzył, naprawdę uwierzył, że kocham jego, ten dwór i wszystkich jego mieszkańców.

Żeby niczego nie podejrzewał, kiedy będę ich obracać jedno przeciw drugiemu.

\*\*\*

Książę Dagdan spełniał każde życzenie i wykonywał każde polecenie swojej bliźniaczki. Tak jakby był mieczem, którym ona wycinała sobie drogę przez świat.

Nalewał jej napoje do kieliszka, każdy najpierw uważnie wachając. Wybierał z półmisek najlepsze plastry mięsa i układał starannie na talerzu. Zawsze pozwalał jej odpowiadać na pytania i ani razu nie spojrzał na nią z powątpiewaniem.

Jedna dusza w dwóch ciałach. Gdy kolejny raz dostrzegłam, jak na siebie zerkają, jak porozumiewają się bezgłośnie, zastanowiłam się, czy nie byli może... jak ja. Daemati.

Od przybycia tu chroniałam swoje myśli grubą ścianą czarnego adamantu. Jednak gdy się posilaliśmy, a chwile ciszy trwały dłużej niż urywki rozmów, co chwilę próbowałam ich wybadać.

– Jutro ruszymy zobaczyć mur – mówiła Brannagh do Tamlina tonem przypominającym raczej rozkaz niż prośbę. – Jurian będzie nam towarzyszył. Potrzebujemy też strażników znających położenie dziur pozwalających przejść do krain śmiertelników.

Sama myśl o tej trójce będącej tak blisko ludzkich ziem... Ale moich sióstr już tam nie było. Nie, były gdzieś na rozległych połaciach mojego dworu, chronione przez mych przyjaciół. Już za miesiąc, dwa mój ojciec miał zakończyć swoje sprawy na kontynencie i wrócić do domu, a ja wciąż nie miałam pojęcia, jak mu przekazać prawdę.

– Mogę wam towarzyszyć z Lucieniem – zaproponowałam.

Tamlin obrócił gwałtownie głowę w moją stronę. Czekałam na



jego sprzeciw, na zamknięcie mnie w rezydencji.

Ale wyglądało na to, że książę istotnie wyciągnął wnioski ze swojej lekcji, że naprawdę zamierzał się *postarać*, ponieważ tylko skinął na Luciena.

– Mój poseł zna mur równie dobrze co każdy ze strażników.

„Pozwalasz im to zrobić. W pełni świadomie pozwolisz im zniszczyć mur i dręczyć mieszkających po drugiej stronie ludzi”. Słowa wiły się i syczały w moich zamkniętych ustach.

Zmusiłam się, by skinąć Tamlinowi powoli, może z lekką dezaprobatą. Wiedział, że zawsze będzie mi to przeszkadzało – dziewczyna, która wedle jego przekonania wróciła do niego, zawsze starałaby się chronić swoją śmiertelną ojczyznę. Lecz mimo to sądził, że przełknę to dla niego, dla nas. Że Hybernia nie zacznie żerować na ludziach, gdy tylko mur zniknie. Że jedynie przyłączylibyśmy tamte ziemie do swoich.

– Wyruszymy po śniadaniu – oznajmiłam księżniczce, po czym zwróciłam się do Tamlina: – Weźmiemy ze sobą też kilku strażników.

Rozluźnił się, gdy to usłyszał. Byłam ciekawa, czy doszły go opowieści o tym, jak broniłam Velaris. Że ochroniłam Tęczę przed zniszczeniem przez zastępy bestii pokroju Attora. Że zaszlachtowałam jego samego – brutalnie i okrutnie – za to, co uczynił mnie i temu, co uważałam za swoje.

Jurian spojrział na Luciena z bezpośredniością wojownika.

– Zawsze się zastanawiałem, kto zrobił ci to oko, gdy ona wyszarpnęła to prawdziwe.

Nie mówiliśmy tu o Amarancie. Nigdy nie przywoływaliśmy jej osoby w tych murach. I to mnie dusiło przez te wszystkie miesiące mieszkania tu po wydarzeniach pod Górą. Ukrywanie tych lęków i tego bólu gdzieś głęboko w środku zabijało mnie dzień po dniu.

Przez chwilę między dwoma uderzeniami serca porównywałam osobę, którą byłam, z tą, którą miałam być. Powoli dochodząc do siebie – stającą się znów tą dziewczyną, którą Tamlin wziął pod swój dach, którą nakarmił i którą pokochał, zanim Amarantha skreśliła mi kark po trzech miesiącach męczarni.

Poruszyłam się niespokojnie na krześle. Spojrzałam na stół.

Lucien posłał Jurianowi jedynie harde spojrzenie. Dwójka Hybernijczyków przyglądała się temu z obojętnością.

– Mam starą znajomą na Dworze Świtu. Doskonale radzi sobie z majsterkowaniem, łączeniem magii z maszynami. Tamlin poprosił ją o wykonanie go dla mnie. Wiele ryzykowała.

Jurian uśmiechnął się podle.

– Czyżby twoja mała towarzyszka miała rywalkę?

– Moja towarzyszka nie powinna cię obchodzić.

Jurian wzruszył ramionami.

– Ciebie również nie powinna obchodzić, biorąc pod uwagę, że prawdopodobnie jest teraz posuwana przez połowę ilyryjskiej armii.

Byłam praktycznie pewna, że jedynie stulecia treningu powstrzymały w tej chwili Luciena od przeskoczenia przez stół i rozszarpania Jurianowi gardła.

Ale to od gardłowego warkotu Tamlina zadźwięczały kieliszki na blacie.

– Będziesz się zachowywał, jak na gościa przystało, Jurianie, albo będziesz spać w stajni tak jak reszta zwierząt.

Winowajca jedynie upił mały łyk wina.

– Czemu miałbym być karany za stwierdzenie prawdy? Żadne z was nie brało udziału w wojnie, w której moje siły walczyły sprzymierzone z tymi ilyryjskimi prostakami. – Urwał na chwilę i spojrzał z ukosa na hybernijskich książąt. – Zakładam, że wasza dwójka miała tę przyjemność i walczyła przeciwko nim.

– Zachowaliśmy skrzydła ich generałów i wodzów jako trofea – powiedział Dagdan z lekkim uśmiechem.

Musiałam wyteńczyć całą siłę woli, by nie spojrzeć na Tamlina. Żeby nie zapytać, gdzie znajdują się dwie pary skrzydeł, które jego ojciec zachował po zamordowaniu matki i siostry Rhysanda.

Według słów Rhysa wisały przyszpilone do ściany gabinetu.

Kiedy jednak zaraz po powrocie tu próbowałam je odnaleźć – udając w deszczowy dzień, że zwiedzam rezydencję z czystego znudzenia – nie było po nich śladu. W piwnicach również niczego nie znalazłam. Żadnych kufków, skrzyń czy zamkniętych

pomieszczeń, w których by się znajdowały.

Dwa kęsy pieczonej jagnięciny, które w siebie wmusiłam, teraz zaczynały podchodzić mi do gardła. Ale przynajmniej grymas odrazy był adekwatną reakcją na słowa hybrynijskiego księcia.

Jurian uśmiechnął się do mnie, krojąc mięso na swoim talerzu na małe kawałki.

– Wiesz, że walczyliśmy razem, prawda? Ja i twój książę. Stawialiśmy czoła lojalistom, walczyliśmy ramię w ramię, aż staliśmy we wnętrznościach wrogów aż po kostki.

– On nie jest jej księciem – wtrącił Tamlin z wyprowadzającą z równowagi słodyczą.

– Musiał ci powiedzieć, gdzie ukrył Miriam i Drakona – wymruczał do mnie Jurian, całkowicie go ignorując.

– Nie żyją – odparłam bezbarwnym głosem.

– Kocioł twierdzi co innego.

Strach zmroził mnie na wskroś. Już tego próbował – wskrzesić Miriam dla siebie. I odkrył, że nie ma jej wśród umarłych.

– Powiedziano mi, że nie żyją – powtórzyłam, starając się, by mój głos brzmiał na znużony i zniecierpliwiony.

Włożyłam do ust kolejny kęs jagnięciny – tak mdłej w porównaniu z bogactwem przypraw dodawanych do potraw w Velaris.

– Wydawało mi się, Jurianie, że będziesz miał lepsze rzeczy do roboty niż zadrećcać się kochanką, która cię porzuciła dla innego.

Oczy mu zalśniły pięcioma wiekami szaleństwa. Nadział na widelec kolejny kawałek mięsa.

– Mówią, że pieprzyłaś się z Rhysandem, jeszcze zanim zdecydowałaś się porzucić swojego umiłowanego.

– *Dość!* – warknął Tamlin.

Wtedy to poczułam. Stuknięcie o ściany mego umysłu. Przejrzałam ich plan – genialny w swej prostocie: rozeźlić nas, odwrócić naszą uwagę, podczas gdy dwójka milczących książąt wślizgiwała się do naszych umysłów.

Mój był chroniony. Ale Luciena... Tamlina...

Sięgnęłam moją mocą pobłogosławioną przez noc i zarzuciłam ją

niczym sieć. Oto tam były – dwie oślizgłe macki sięgające myśli Luciena i Tamlina niczym dwa oszczepy rzucone w poprzek stołu.

Uderzyłam. Dagdan i Brannagh aż podskoczyli na swoich krzesłach, tak jakbym uderzyła ich naprawdę; ich ataki rozbiły się o ścianę czarnego adamantu otaczającą umysły księcia Dworu Wiosny i jego przyjaciela.

Błyskawicznie zwrócili na mnie spojrzenia swoich ciemnych oczu. Nie odwróciłam wzroku.

– Co się stało? – zapytał Tamlin.

Dopiero teraz dotarło do mnie, jaka zapadła cisza.

Odegrałam wielkie zdziwienie i zmarszczyłam brwi w konsternacji.

– Nic.

Uśmiechnęłam się słodko do Hybernijczyków.

– Ich wysokości muszą być zmęczeni po tak długiej podróży.

Dla lepszego efektu skoczyłam w stronę ich umysłów. Trafiłam na bliźniacze ściany z białej kości i przeciągnęłam po nich czarnymi szponami, pozostawiając głębokie rysy. Oboje zadrżeli.

Ten ostrzegawczy cios przypłaciłam tępym pulsującym bólem głowy stopniowo obejmującym moje skronie. Nie straciłam jednak rezonu, zignorowałam mrugnięcie Juriana i bez słowa wróciłam do jedzenia.

Przez resztę posiłku nikt już się nie odezwał.

## Rozdział 3

Jechaliśmy między puszczejącymi pąki drzewami. W wiosennym lesie panowała cisza; ptaki i małe zwierzęta pierzchały przed nami na boki w poszukiwaniu schronienia.

A w zasadzie nie tyle przede mną, przed Lucieniem czy przed trzema strażnikami zachowującymi pełen szacunku dystans za naszymi plecami, ile przed Jurianem i dwójką hybrydowych dowódców, która jechała w środku naszej grupki. Tak jakby byli równie odrażający jak bogge lub nagi.

Dotarliśmy do muru bez żadnych przygód ani też prób odwrócenia naszej uwagi ze strony Juriana. Większość nocy nie spałam, wędrując świadomością po całym domu, wypatrując jakiegokolwiek znaku, że Dagdan i Brannagh próbują użyć swoich mocy daemati na kimkolwiek innym. Szczęśliwie zdolność niweczenia klątw odziedziczona od Heliona Czaroniszcza, księcia Dworu Dnia, nie wykryła żadnych splotów czy czarów poza zaklęciami ochronnymi otaczającymi rezydencję i uniemożliwiający przeskoczenie do lub z budynku.

Przy śniadaniu Tamlin był bardzo spięty, ale nie próbował mnie odwieść od wyruszenia na tę wyprawę. Posunęłam się nawet do wybadania go poprzez pytanie, co się stało. Odparł jedynie, że boli go głowa. Lucien tylko poklepał go po ramieniu i obiecał na mnie uważać. Niemal się zaśmiałam na te słowa.

Ale teraz, gdy ciężka, odrażająca obecność muru spowodowała pulsujący ból głowy na dobre pół mili od granicy, zdecydowanie nie było mi do śmiechu. A gdy podjechaliśmy jeszcze bliżej... Nawet nasze konie zaczęły się płoszyć, rzucać głowami i tłuc poroślą mchem ziemię kopytami, gdy przywiązywaliśmy je do zwisających nisko gałęzi kwitnącego dereni.

– Szczelina w murze jest już niedaleko – powiedział Lucien głosem zdradzającym, że nasze obecne towarzystwo odpowiadało mu

w takim samym stopniu jak mnie.

Depcząc opadłe płatki różowych kwiatów, Dagdan i Brannagh zrównali się z nim krokiem. Jurian oddalił się, by zbadać okolicę, a strażnicy pozostali pilnować koni.

Ruszyłam w ślad za Lucienem i książętami, nie zbliżając się jednak do nich zanadto. Dobrze wiedziałam, że Hybernijczycy zdawali sobie sprawę z tego, że pod kosztownym eleganckim ubiorem kryje się daemati. I że ta daemati właśnie idzie za ich plecami. Mimo to przed wyruszeniem pieczołowicie dobrałam wyszywaną szafirową kurtkę i brązowe spodnie, do których wzięłam tylko pas z wysadzonym klejnotami nożem, który dostałam od Luciena. W innym życiu.

– Kto zrobił tę wyrwę? – zapytała Brannagh.

Przyglądała się otworowi, którego nie mogliśmy zobaczyć – wszak mur był całkowicie niewidzialny – lecz który mogliśmy wyczuć; tak jakby powietrze zostało odessane z miejsca, w którym stał.

– Nie wiemy – odparł Lucien.

Skrzyżował ramiona i przebijające się przez gałęzie promienie słońca zalśniły na złotej nici zdobiącej jego popielatą kurtkę.

– Niektóre szczeliny zwyczajnie pojawiły się z biegiem lat. Przez tę z ledwością może się przecisnąć jedna osoba.

Bliźnięta wymieniły spojrzenia. Stałam za nimi i przyjrzałam się miejscu, gdzie była wyrwa. Mur wokół niej sprawiał, że wszystkie instynkty kazały się cofnąć z uwagi na jego... niewłaściwość.

– Tędy przeszłam... – odezwałam się. – Za pierwszym razem.

Lucien skinął głową, a pozostała dwójka uniosła pytająco brwi. Przysunęłam się o krok do Luciena, niemal ocierając się ręką o jego ramię, by odgrodził mnie od nich. Przy dzisiejszym śniadaniu już ostrożniej badali barierę chroniącą mój umysł. Ale teraz, gdy pozwoliłam im uwierzyć, że w sferze fizycznej obawiam się ich... Brannagh zauważyła, jak blisko Luciena stanęłam; jak on sam się minimalnie przesunął, żeby mnie przed nimi zasłonić.

Wykrzywiła usta w lekkim, lodowatym uśmiechu.

– Ile jest takich otworów w murze?

– Na całej naszej granicy naliczyliśmy trzy – odparł Lucien ze ściśniętym gardłem.

– Kolejny jest na morzu, około mili od brzegu.

Nie pozwoliłam opaść masce spokoju, gdy podawał im te informacje.

Brannagh pokręciła głową. Jej ciemne włosy pożerały blask słońca.

– Przejścia na morzu są bezużyteczne. Musimy się przebić na lądzie.

– Na kontynencie też z pewnością są takie miejsca.

– Królowe mają jeszcze mniejszą władzę nad swoim ludem niż wy nad swoim – rzucił Dagdan.

Pochwyciłam tę cenną informację i zastanowiłam się nad nią.

– Zatem proszę bardzo, zbadajcie to tutaj – powiedziałam i machnęłam ręką w stronę wyrwy w murze. – Kiedy skończycie, pojedziemy do następnego.

– To dwa dni drogi stąd – zaproponował Lucien.

– Zatem wybierzemy się tam następnym razem – odparłam i zapytałam, zanim Lucien zdołał ponownie zaprotestować: – A trzecia dziura?

Lucien postukał stopą o porośłą mchem ziemię.

– Kolejne dwa dni drogi.

Obróciłam się do Hybernijczyków i uniosłam pytająco brew.

– Czy potraficie przeskakiwać?

Brannagh splonęła rumieńcem i wyprostowała się. Ale to Dagdan mi odpowiedział:

– Ja potrafię.

To on musiał przenieść Brannagh i Juriana do rezydencji Tamlina.

– Ale tylko o kilka mil, jeśli przynoszę ze sobą innych – dodał.

Skinęłam tylko głową i ruszyłam ku płataninie chylących się do ziemi dereni. Lucien szedł tuż za mną. Kiedy otaczały nas już tylko falujące na lekkim wietrze różowe kwiaty i promienie słońca sączące się przez splątane gałęzie, kiedy hybernijscy książęta byli całkowicie zajęci murem poza zasięgiem wzroku i słuchu, przysiadłam na gładkim nagim kamieniu.

Lucien usiadł na ziemi, opierając plecy o pień drzewa, i skrzyżował nogi w kostkach.

– Cokolwiek planujesz, wpakujesz nas po kolana w gówno.

– Niczego nie planuję.

Podniosłam opadły różowy kwiat i zakręciłam nim między kciukiem a palcem wskazującym.

Żrenica złotego oka zwięzła się z cichym szcęknięciem.

– Co ty w ogóle widzisz tym czymś? – zapytałam.

Nie odpowiedział.

Rzuciłam kwiat na miękki mech między nami.

– Nie ufasz mi? Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy?

Zmarszczył brwi, spojrzał na leżący między nami kwiat, ale nie odezwał się ani słowem.

Zajęłam się przetrząsaniem zawartości plecaka, aż znalazłam manierkę z wodą.

– Gdybyś żył w czasie wojny – podjęłam, upiwszy łyk – walczyłybyś po ich stronie? Czy też stanąłbyś po stronie ludzi?

– Dołączyłbym do przymierza ludzi z fae.

– Nawet gdyby twój ojciec walczył po drugiej stronie?

– Zwłaszcza wtedy.

Ale Beron, jeśli dobrze zapamiętałam to, co mi mówił Rhys te miesiące temu, stanął po stronie ludzi.

– A jednak jesteś tutaj, gotów ruszyć ramię w ramię z armią Hybernii.

– Też zrobiłem to dla ciebie, wiesz? – powiedział chłodnym, twardym głosem. – Poszedłem z nim, żeby cię odzyskać.

– Nie miałam pojęcia, jak silną motywację może dać poczucie winy.

– Tamtego dnia, kiedy... zniknęłaś – dodał, bardzo usilnie unikając tego drugiego słowa: „odeszłaś” – przybyłem do rezydencji przed Tamlinem. Wiadomość do nas dotarła, kiedy patrolowaliśmy granicę i pędziliśmy na wyścigi z powrotem. Ale po tobie został tylko pierścień, bryłka stopionego metalu między kamieniami posadzki w salonie. Pozbyłem się go na chwilę, zanim Tam dojechał.

Sondujące, ostrożne stwierdzenie. Faktów, które nie sugerowały



porwania.

– Stopili go, by zniknął z mojego palca – skłamałam.

Grdyka mu zatańczyła, ale tylko pokręcił głową. Promienie słońca przenikające przez gęstwinę gałęzi nad naszymi głowami zaskrzyły na jego ognistych włosach.

Siedzieliśmy w ciszy przez kilka minut. Jeśli wnosić po szelestach i mamrotaniu, hybериjskie bliźnięta właśnie kończyły rekonesans. Zebrałam się w sobie i uważnie dobrałam słowa, żeby nie zabrzmiały podejrzenie.

– Dziękuję – powiedziałam cicho. – Że ruszyłeś po mnie do Hybериi.

Skubnął rosnący obok mech i zacisnął mocno zęby.

– To była pułapka. To, co sądziłem, że mamy tam zrobić... wszystko potoczyło się inaczej.

Trudno było mi powstrzymać się od wyszczerzenia zębów. Ale podniosłam się, podeszłam do niego i usiadłam obok, również opierając plecy o szeroki pień.

– Ta cała sytuacja jest koszmarna – powiedziałam, nie odbiegając od prawdy.

Parsknął cicho.

Trąciłam kolanem jego nogę.

– Nie pozwól Jurianowi się podpuścić. On to wszystko robi, żeby nas ze sobą skłócić.

– Wiem.

Spojrzałam na niego i oparłam kolano o jego nogę w niemym żądaniu.

– Dlaczego? – zapytałam. – *Dlaczego* Hybериia chce to zrobić? Co nim powoduje, poza jakimś chorym pragnieniem podbojów? Co powoduje jego poddanymi? Nienawiść? Buta?

Lucien w końcu na mnie spojrzał. Z bliska filigranowe elementy i zdobienia metalowego oka były jeszcze bardziej oszałamiające.

– Czy ty...

Brannagh i Dagdan przedarli się przez krzaki i zmarszczyli czoła, gdy dostrzegli nas siedzących pod drzewem.

Ale to Jurian – depczący im po piętach, jakby właśnie zdawał im

sprawę ze swojej wyprawy – uśmiechnął się na nasz widok, siedzących noga przy nodze i niemal nos w nos.

– Uważaj, Lucienie – zadrwił. – Widziałeś, co się dzieje z tymi, którzy ważą się tknąć własność twojego pana.

Lucien warknął, ale posłałam mu ostrzegawcze spojrzenie.

„O tym właśnie mówiłam” – przekazałam mu bezgłośnie.

Pomimo bezczelności Juriana, pomimo kpiących uśmiezków książąt – kącik ust Luciena drgnął ku górze.

\*\*\*

Gdy wróciliśmy, w stajniach czekała na nas Iantha.

Swoje wielkie wejście miała kilka godzin temu przy śniadaniu: wparowała do jadalni, gdy słońce posyłało przez okna snopy czystego złota.

Nie miałam wątpliwości, że dobrze zaplanowała sobie zarówno porę przybycia, jak i każdy krok i gest: zatrzymanie się w samym środku jednej z jaśniejących plam światła, lekkie przechylenie głowy, aby jej włosy zalśniły w słońcu, a klejnot zdobiący głowę zapłonął błękitnym ogniem. Taki obraz zatytułowałabym *Modelowa pobożność*.

Po krótkiej prezentacji przez Tamlina głównie przymilała się do Juriana, który jedynie krzywił się na nią jak na natrętnego owada bzyczącego koło ucha.

Dagdan i Brannagh przysłuchiwali się jej nadszkakiwaniu z takim znudzeniem, że poczęłam się zastanawiać, czy ta dwójka przypadkiem nie ceniła wyłącznie własnego towarzystwa. W każdym plugawym znaczeniu. Nie zdradzili nawet cienia zainteresowania pięknnością, za którą co rusz oglądali się zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Może wszelki fizyczny pociąg został z nich już dawno odessany – razem z duszami.

Tak więc hybarnijscy książęta i Jurian tolerowali Ianthę przez około minutę, po czym uznali, że dużo ciekawsze od niej są potrawy na ich talerzach. To bez wątpienia ten afront sprawił, że zdecydowała się czekać na nasze przybycie właśnie tu.

Jechałam konno po raz pierwszy od wielu miesięcy i byłam tak

obolała, że podczas gdy pozostała czwórka zsiadała z koni, ja ledwo mogłam się poruszyć. Posłałam Lucienowi ukradkowe błagalne spojrzenie. Ledwo zdołał ukryć grymas rozbawienia i podszedł do mnie nieśpiesznym krokiem.

Rozchodzące się już powoli do swoich spraw towarzystwo przyglądało się – z czego Iantha z największą uwagą – jak chwycił mnie szerokimi dłońmi w pasie i z łatwością podniósł z siodła.

Gdy stanęłam już na ziemi, w ramach podziękowania jedynie poklepałam Luciena po ramieniu. Jak zawsze szarmancki ukłonił się głęboko.

Czasem zapominałam, że mam go nienawidzić. Pamiętać o rozgrywce, którą już prowadziłam.

– Podróż była, mam nadzieję, owocna? – zaszcebiotała Iantha.

Wskazałam brodą Hybernijczyków.

– Sprawiali wrażenie zadowolonych.

Istotnie: czegokolwiek szukali, musiało spełnić ich oczekiwania. Nie odważyłam się zadawać zbyt wielu wścibskich pytań. Jeszcze nie.

Iantha skłoniła głowę.

– Dzięki za to Kotłowi.

– Czego chcesz? – zapytał nieco zbyt obcesowo Lucien.

Zmarszczyła brwi, ale uniosła brodę i splotła palce na podołku.

– Zamierzamy wydać przyjęcie na cześć naszych gości – wyjaśniła. – Odbędzie się w trakcie obchodów przesilenia letniego za kilka dni. Pragnę omówić to z Feyrą. – Posłała mu fałszywy uśmiech. – Chyba że masz coś przeciwko.

– Nie ma niczego przeciwko – odpowiedziałam za Luciena, zanim ten zdołał powiedzieć coś, czego potem by żałował. – Daj mi godzinę na posilenie się i przebranie. Spotkamy się w pałacowym gabinecie.

Może powiedziałam to o szczyptę bardziej asertywnie, niż powiedziałabym dawniej, ale przytaknęła bez mrugnięcia okiem. Wsunęłam dłoń pod ramię Luciena i poprowadziłam go delikatnie w bok.

– Do zobaczenia wkrótce – rzuciłam jeszcze kapłance, czując na sobie odprowadzające nas spojrzenie.

Opuściliśmy skąpane w półmroku stajnie i wyszliśmy na oślepiające, jasne światło dnia. Lucien był cały sztywny, niemal się trząsał.

– Co zaszło między wami? – wysyczałam pytanie, gdy zniknęliśmy wśród żywopłotów i zwirowych ścieżek ogrodu.

– Nie warto powtarzać.

– Kiedy... zostałam porwana – ciągnęłam, niemal z rozpędu mówiąc: „odeszłam” – czy ona i Tamlin...

Nie musiałam nawet udawać uczucia odrazy skręcającego mi trzewia.

– Nie – odparł chrapliwie. – Nie. Kiedy nastąpił Calanmai, odmówił. Po prostu odmówił udziału. Zastąpiłem go w rytuale, ale...

Zapomniałam. Zupełnie zapomniałam o Calanmai i rytuale. Policzyłam w myślach dni.

Nic dziwnego, że mi to wyleciało z głowy. Byłam wtedy w chatce w górach. Z Rhysem głęboko we mnie. Może tamtej nocy daliśmy początek naszej własnej magii.

Ale Lucien...

– Zabrałeś Ianthę do tamtej jaskini w Calanmai?

Unikał mojego wzroku.

– Nalegała. Tamlin był... Sprawy wyglądały źle, Feyro. Zastąpiłem go i zrobiłem to, co byłem winien dworowi. Z własnej nieprzymuszonej woli. I dopełniliśmy rytuału.

Nic dziwnego, że dała mu spokój. Dostała to, czego chciała.

– Proszę, nie mów Elainie – poprosił, po czym szybko dodał: – Kiedy... kiedy znajdziemy ją ponownie.

Może i dopełnił wielkiego rytuału z Ianthą z własnej nieprzymuszonej woli, ale zdecydowanie nie sprawiło mu to przyjemności. Pewna granica została rozmyta... i to bardzo.

– Nie powiem nikomu, chyba że na twoje życzenie – powiedziałam bez cienia podstępności i poczułam lekkie ukłucie w sercu.

Pas ze zdobionym klejnotami nożem jakby bardziej mi zaciążył.

– Żałuję, że nie było mnie tam, aby temu przeszkodzić. Powinnam była tam być i to zrobić.

Każde słowo było prawdziwe.

Lucien na chwilę przycisnął moją dłoń ramieniem do swojego boku. Minęliśmy kolejny żywopłot i przed nami wyrosły ściany domu.

– Jesteś dla mnie lepszą przyjaciółką, Feyro – powiedział cicho – niż ja kiedykolwiek byłem dla ciebie przyjacielem.

\*\*\*

Alis ze zmarszczonym czołem przyjrzała się dwóm sukniom wiszącym na drzwiach szafy i wygładziła długimi brązowymi palcami zmarszczki na szyfonie i jedwabiu.

– Nie wiem, czy zdołamy coś zrobić z talią – rzuciła, nie oglądając się na mnie. – Tak bardzo je zwięzaliśmy, że nie zostało zbyt wiele materiału... Chyba powinnaś zamówić nowe.

Po tych słowach obróciła się do mnie i przyjrzała się mi uważnie.

Wiedziałam, co dostrzegła. Czego kłamstwa i jadowite uśmiechy nie mogły ukryć: gdy mieszkałam tu w okresie tuż po zabiciu Amaranthy, schudłam tak bardzo, że zostały ze mnie tylko skóra i kości. Ale w czasie pobytu u Rhysa odzyskałam stracone kilogramy, nabrałam mięśni, a skóra z chorobliwie bladej stała się zdrowo rumiana.

Wyglądałam zaskakująco dobrze jak na kobietę, która całymi miesiącami była torturowana i dręczona.

Nasze spojrzenia się spotkały. Ciszę zakłócały tylko stłumione głosy pozostałych kilku służących krzątających się w korytarzu, zajętych przygotowaniami do jutrzejszego święta przesilenia.

Przez ostatnie dwa dni udawałam śliczną maskotkę. Dopuszczali mnie do spotkań z hybernijskimi książątkami tylko dlatego, że siedziałam cały czas cicho. Byli cały czas niezmiennie ostrożni. Wypytywali Tamlina i Luciena o ruchy wojsk, sojuszników w Prythianie i poza nim. Wszystkie te spotkania nie prowadziły donikąd. Byli zainteresowani tylko naszymi siłami.

I Dworem Nocy.

Przekazywałam Dagdanowi i Brannagh informacje zarówno prawdziwe, jak i fałszywe, sprawnie je ze sobą mieszając. Opisywałam wojska Ilyrów wśród górskich szczytów i na

równinach, ale najsilniejszy klan przedstawiłam jako najsłabszy. Wspomniałam o skuteczności tych niebieskich kamieni z Hybernii przeciwko mocy Kasjana i Azriela, ale pominęłam łatwość, z jaką sobie z nimi poradzili. W przypadku wszystkich pytań, na które nie mogłam odpowiedzieć półprawdą, zasłaniałam się utratą pamięci lub traumą zbyt silną, by móc sobie przypomnieć jakieś wydarzenie. Ale pomimo wszystkich moich kłamstw i lawirowania Hybernijczycy byli zbyt ostrożni, by zdradzić coś ważnego na swój temat. I chociaż nieustannie się pilnowałam, Alis zdała się dostrzec rzeczy, nad którymi nie zdołałam zapanować. Na szczęście chyba tylko ona.

– Sądzisz, że są jakiegokolwiek suknie, które mogłabym włożyć na święto przesilenia? – zapytałam od niechcienia, by przerwać milczenie. – Różowe i zielone pasują, ale miałam je na sobie już trzykrotnie.

– Nigdy nie zważałaś na takie sprawy – zauważyła Alis kwaśno.

– Nie wolno mi zmienić zdania?

Jej ciemne oczy zmrużyły się nieco. Ale po chwili otworzyła drzwi szafy na oścież, niemal zrzucając wiszące na nich suknie, i przetrząsnęła ciemne wnętrze mebla.

– Mogłabyś włożyć to.

Pokazała mi strój zdjęty z drążka.

Z jej cienkich i długich palców zwisały turkusowe szaty z Dworu Nocy skrojone podobnie do ulubionego fasonu Amreny. Serce zabiło mi mocniej w piersi.

– To... dlaczego... – nie mogłam z siebie wykrztusić nic składnego. Szarpnęłam swoją wewnętrzną smycz i nakazałam sobie milczenie. Wyprostowałam się. – Nigdy nie podejrzewałam, że potrafisz być taka okrutna, Alis.

Parsknęła, po czym schowała ubranie z powrotem do szafy.

– Tamlin porwał pozostałe dwa. To ocalało, bo leżało w innej szufladzie.

Zapuściłam nić swojego umysłu na korytarz, aby się upewnić, że nikt nie podsłuchuje.

– Był rozgniewany. Szkoda, że tego też nie zniszczył.

– Byłam tam tamtego dnia, wiesz? – powiedziała Alis, krzyżując

chude ramiona na piersi. – Widziałam przybycie Morrigan. Widziałam, jak sięga do tego kokonu magii i wyciąga cię z niego niczym małe dziecko. Błagałam ją, by cię zabrała.

Nie musiałam udawać głośnego przełknięcia śliny z zaskoczenia.

– Nigdy mu o tym nie powiedziałam. Nikomu nie powiedziałam. Pozwoliłam im myśleć, że cię porwano. Ale ty do niej przylgnęłaś, a ona była gotowa nas wszystkich wyrznąć za to, co się stało.

– Nie wiem, czemu coś takiego zakładasz.

Owinęłam się ciaśniej jedwabnym szlafrokiem.

– Służący plotkują. A pod Górą nigdy nie słyszałam ani nie widziałam, żeby Rhysand podniósł rękę na kogoś ze służby. Na strażników, na zbirów Amaranthy, na fae, których kazała mu zabić – owszem. Ale nigdy na słabych. Nigdy na bezbronnych.

– Nie jest potworem.

– Mówią, że wróciłaś inna. Że coś jest z tobą nie tak. – Zaśmiała się chrapliwie. – Nigdy im nie powiedziałam, że moim zdaniem wróciłaś naprawiona. W końcu taka, jaka powinnaś być.

Przede mną ziała otwarta przepaść. Granice... były tu wytyczone granice, a moje przetrwanie i los całego Prythianu polegały na sprawnym poruszaniu się między nimi. Uniosłam się z łóżka. Dłonie drżały mi lekko.

– Moja kuzynka pracuje w pałacu w Adriacie – dodała nagle Alis.

Dwór Lata. Alis pochodziła właśnie stamtąd. Uciekła z dwoma siostrzeńcami, kiedy służusy Amaranthy zamordowały jej siostrę.

– Służba w tamtym pałacu ma być niewidoczna i niesłyszalna, ale właśnie dlatego sama widzi i słyszy bardzo wiele.

Była moją przyjaciółką. Pomogła mi pod Górą, wiele ryzykując. Wspomagała mnie przez wszystkie miesiące potem. Ale jeśli stanowiła zagrożenie dla całego planu...

– Powiedziała mi, że u nich byłaś. Zdrowa, roześmiana, szczęśliwa.

– To było oszustwo. Kazał mi się tak zachowywać.

Nie było mi trudno sprawić, by mój głos lekko zadrżał.

Posłała mi porozumiewawczy krzywy uśmiech.

– Skoro tak mówisz.

– Tak właśnie mówię.

Alis wyciągnęła z szafy kremową suknię.

– Nigdy jej nie włożyłaś. Zamówiłam ją na dzień po twoim ślubie.

Nie przypominała sukni panny młodej, ale była czysta. Nieskazitelna. Z rodzaju tych, którymi gardziłam, kiedy wróciłam spod Góry, rozpaczliwie unikając wszelkich porównań do mej stłamszonej duszy. Ale teraz... Wytrzymałam spojrzenie Alis i zachodziłam w głowę, który z moich planów rozszyfrowała.

– Powiem to tylko raz – wyszeptała. – Cokolwiek zamierzasz zrobić, proszę, nie mieszaj do tego moich chłopców. Weź taki odwet, jakiego tylko pragniesz, ale błagam, ich oszczędź.

Niemal zaczęłam mówić, że nigdy bym tego nie zrobiła, ale tylko pokręciłam głową i zmarszczyłam brwi w bezgranicznym zmieszaniu i zakłopotaniu.

– Chcę tylko ułożyć sobie na powrót tutaj życie. Uzdrowić się.

Uzdrowić te ziemie z zepsucia i mroku, które je spowijały.

Alis zdawała się to też rozumieć. Powiesiła suknię na drzwiach szafy i roztrzepała luźną lśniąca spódnicę.

– Włóż tę na święto – powiedziała cicho.

Tak też zrobiłam.



## Rozdział 4

Święto letniego przesilenia było dokładnie takie, jakim je zapamiętałam: wszędzie wstążki, girlandy i kwiaty, dzbany piwa i wina targane na łagodne pagórki okalające posiadłość, fae wysokiego i niskiego rodzaju śpieszące na ceremonię.

Ale było coś, czego nie było rok wcześniej. A raczej ktoś. Iantha.

Orzekła, że świętowanie byłoby świętokradztwem, jeśli najpierw nie złożą się podziękowań.

Wszyscy więc wstaliśmy dwie godziny przed świtem, rozespani, niezbyt chętni do uczestniczenia w jej ceremonii. Gdy słońce zaczynało ozłacać horyzont, zwiastując początek najdłuższego dnia w roku, zastanawiałam się, czy Tarquin musiał znosić takie żmudne rytuały w swoim lśniącym nadmorskim pałacu. Jak będzie wyglądało dziś świętowanie w Adriacie? Z księciem Dworu Lata, który nieomal został bliskim przyjacielem...

Z tego, co wiedziałam, pomimo szeptów wśród służby Tarquin nadal nie powiadomił Tamlina o wizycie Rhysa, Amreny i mojej. Co myślał o mojej obecnej sytuacji? Nie wątpiłam, że wieści go doszły. Modliłam się w duchu, by się do tego nie mieszał, dopóki nie zrobię tu tego, co zrobić muszę.

Alis znalazła dla mnie przepiękną pelerynę z białego aksamitu, która miała uchronić mnie przed chłodem w ten rzeński poranek na czas jazdy na miejsce. Tamlin uniósł mnie i posadził na księżycowo bladej kłacz z polnymi kwiatami wplecionymi w srebrzystą grzywę. Gdybym chciała namalować obraz przedstawiający najczystsza niewinność, uwieczniłabym siebie tego ranka, z włosami zaplecionymi w warkocz i zwiniętymi na głowie, w koronie z białego kwiecia głogu. Policzki i usta pokryłam cienką warstewką różu, by przydać sobie nieco koloru. Niczym pierwszy rumieniec wiosny na zimowym krajobrazie.

Gdy nasza procesja dotarła na wyznaczone wzgórze, na którego

szczytce zebrały się już setki widzów, wszystkie oczy zwróciły się na mnie. Ale ja spoglądałam prosto przed siebie, gdzie Iantha stała przy prostym kamiennym ołtarzu udekorowanym kwiatami oraz pierwszymi owocami i plonami lata. Tym razem nie miała na głowie kaptura; srebrny diadem spoczywał bezpośrednio na jej złocistych włosach.

Uśmiechnęłam się do niej, a moja klacz zatrzymała się posłusznie przy północnym łuku półkola utworzonego przez tłum wokół szczytu wzgórza i ołtarza Ianthy. Zastanawiałam się, czy kapłanka zdoła dostrzec wilka szczerzącego zęby pod tą maską.

Tamlin pomógł mi zsiąść z konia. Szare światło przedświt uzałśniło na złotych niciach wplecionych w materiał jego zielonego kaftana. Zmusiłam się, by spojrzeć mu w oczy, gdy stawał mnie na miękkiej trawie, świadoma wszystkich spoczywających na nas spojrzeń.

Wspomnienie zalśniło w jego oczach; spuścił wzrok na moje usta.

Rok temu, w ten dzień pocałował mnie. Rok temu tańczyłam wśród zebranych wokół fae, beztroska i radosna po raz pierwszy w swoim życiu. Wtedy byłam przekonana, że nigdy nie doświadczyłam większego szczęścia i nigdy nie doświadczę.

Posłałam mu skromny, nieśmiały uśmiech i ujęłam go pod zaoferowane mi ramię. Wspólnie ruszyliśmy po trawie ku kamiennemu ołtarzowi Ianthy. Hybarnijscy książęta, Jurian i Lucien szli za nami.

Zastanawiałam się, czy Tamlin też wspominał ten dzień sprzed tych wszystkich miesięcy, kiedy miałam na sobie inną białą suknię, kiedy wokół również leżały rozrzucone kwiaty. Kiedy przeznaczony mi przez los towarzysz uratował mnie tuż po tym, jak postanowiłam nie godzić się na ślub, bo gdzieś bardzo głęboko w duszy wiedziałam, że byłoby to niewłaściwe.

Byłam wówczas przekonana, że na to nie zasługuję; nie chciałam obciążać Tamlina na wieczność kimś równie zepsutym jak ja wtedy. A Rhys... Rhys pozwoliłby mi poślubić go w przekonaniu, że jestem szczęśliwa, pragnąc mojego szczęścia nawet kosztem siebie samego. Ale w chwili, gdy tylko powiedziałam: nie... Uratował mnie. Pomógł

mi uratować samą siebie.

Spojrzałam na Tamlina z ukosa.

Przyglądał się mojej dłoni spoczywającej na jego ramieniu. Patrzył na palec, na którym niegdyś nosiłam pierścień od niego.

Jak to rozumiał? Gdzie jego zdaniem był ten pierścień, skoro Lucien ukrył dowody? Przez chwilę między kolejnymi uderzeniami serca zrobiło mi się go żal.

Bo nie tylko Lucien go okłamał, ale również Alis. Ile innych osób dostrzegало prawdziwe źródło mego cierpienia? I próbowało *jego* przed tym uchronić?

Kto jeszcze widział moje cierpienie i nie zrobił nic, by pomóc *mnie*?

Przystanęliśmy przed ołtarzem. Iantha pozdrowiła nas poważnym majestatycznym skinieniem głowy.

Hybernijscy książęta przestąpili nerwowo z nogi na nogę, nie próbując nawet ukryć zniecierpliwienia. Wczorajszego dnia podczas obiadu Brannagh niemal otwarcie narzekąła na przesilenie. Mówiła, że w Hyberni nie podejmowali się tak odpychającymi rzeczami i po prostu przystępowali do hulanki. Na swój sposób sugerowała, że wkrótce my również tak będziemy postępowali.

Zignorowałam ich, a Iantha uniosła dłonie i zawołała do zebranego za naszymi plecami tłumu.

– Niech błogosławieństwo przesilenia spłynie na nas wszystkich!

Po tym nastąpiły niekończące się modlitwy i rytuały. Jej najładniejsze młode akolityki pomagały przy nalewaniu wina obrzędowego, błogosławieniu plonów złożonych na ołtarzu i zaklinaniu słońca, by wzeszło.

Urocze, wielokrotnie ćwiczone przedstawienie. Stojący za mną Lucien niemal przysypiał.

Lecz ja dopełniałam ceremonii wspólnie z Ianthą i dobrze wiedziałam, co się stanie, kiedy wzniosła puchar wypełniony winem.

– Jako że dziś światło jest najsilniejsze – zaintonowała – niech przepędzi niechcianą ciemność. Niech zmyje czarne znamię zła.

Szpila za szpilą wymierzona w mojego towarzysza, w mój dom.

Ale kiwnęłam głową razem z nią.

– Czy księżniczka Brannagh i ksiązę Dagdan uczynią nam ten zaszczyt i napiją się tego błogosławionego wina?

Tłum zafalował. Hybernijczycy zamrugali i wymienili spojrzenia, marszcząc brwi.

Odsunęłam się na bok, posłałam im śliczny uśmiech i wskazałam ołtarz.

Już otwierali usta, bez wątpienia po to, by zaprotestować, ale Iantha nie zwykła przyjmować odmowy.

– Napijcie się i niech nasi nowi sprzymierzeńcy staną się nowymi przyjaciółmi – oznajmiła. – Napijcie się i zmyjcie nieskończoną noc roku.

Dwójka daemati zapewne właśnie używała swojej magii, by sprawdzić puchar w poszukiwaniu trucizny. Bezbarwny uśmiech nie opuszczał mojej twarzy, a oni w końcu podeszli do ołtarza i Brannagh przyjęła srebrny puchar podawany przez kapłankę.

Oboje upili maleńkie łyki i już poczęli się cofać, ale Iantha uśmiechnęła się do nich promiennie i nalegała, by zostali z drugiej strony ołtarza, by stać przy niej podczas ceremonii.

Dopilnowałam zawczasu, żeby dowiedziała się, jak bardzo jej rytuały wydawały im się odrażające. Że gdy tylko przybędą, dołożą wszelkich starań, by zniszczyć jej status przywódczyni ludu. Teraz wydawała się próbować ich nawrócić.

Po kolejnych modlitwach i rytuałach wezwała Tamlina, by przeszedł na drugą stronę ołtarza i zapalił świecę za dusze tych, którzy odeszli w minionym roku, aby sprowadzić ich na powrót w objęcia światła, gdy wszędzie słońce.

Na chmurach za ich plecami zaczęły pojawiać się różowe plamy.

Również Jurian został wezwany. Miał odmówić ostatnią modlitwę, o której uwzględnienie prosiłam Ianthę, ku pamięci wojowników, którzy każdego dnia walczyli o nasze bezpieczeństwo.

I oto stałam sama z Lucieniem na kręgu trawy – ołtarz i wschodni horyzont przed nami, zebrany tłum za nami i po naszych bokach.

Po sztywności jego postawy, po nerwowych spojrzeniach wszędzie wokół wiedziałam, że rozważa słowa wszystkich modlitw

i fakt, że pracowałam nad ceremonią razem z Ianthą. Że zostaliśmy teraz we dwójkę po tej stronie ołtarza na chwilę przed tym, jak słońce miało wstać i zalać świat swoim światłem. Że wszyscy inni stali po drugiej stronie kamienia.

Iantha postąpiła krok w stronę skraju wzgórza. Złociste włosy spłynęły luźno na jej plecy, gdy wzniosła ręce ku niebu. Nieprzypadkowo wybrała to właśnie miejsce i uczyniła ten właśnie gest.

To samo zrobiła podczas przesilenia zimowego: stała tak, by wstające słońce pojawiło się między jej ramionami i oblało ją swym blaskiem. Jej akolitki dyskretnie oznaczyły zawczasu właściwe miejsce na trawie odpowiednim kamieniem.

Powoli złoty dysk słońca wyłonił się zza zamglonych zieleni i błękitów horyzontu.

Światło – jasne i silne – wypełniło świat i pomknęło wprost ku nam.

Iantha wygięła plecy, jej ciało jawiło się jako naczynie, które miało wypełnić blask przesilenia. Z tego, co udało mi się dostrzec, na jej twarzy już malował się wyraz nabożnego uniesienia.

Słońce wstało, a po krainie potoczyła się złota nuta.

Tłum zaczął szemrać.

A potem wykrzyknął.

Ale nie imię Ianthy.

Lecz moje.

Wszystkie spojrzenia spoczywały na mnie, olśniewającej i nieskalanej w bieli, lśniącej blaskiem dnia, podczas gdy słońce wyłaniało się nad moją głową.

Nikt nie sprawdził ani nie zauważył, że kamień Ianthy został przesunięty pięć stóp w prawo. Wszyscy byli zbyt zajęci moim przybyciem, aby dostrzec widmowy wiatr popychający znacznik po trawie.

Iantha zauważyła, co się stało, jako ostatnia.

Obróciła się i spostrzegła, że moc słońca nie wypełniała jej, nie błogosławiła jej.

Rozkiełznałam moc, którą uwolniłam w Hybernii, i moje ciało

zapłonęło przenikającym przezeń światłem. Czysta jak dzień, czysta jak blask gwiazd.

– Wyzwolicielka – ktoś wymamrotał.

– Błogosławiona – wyszeptał kto inny.

Z zimną krwią udałam zdumienie, a chwilę potem okazałam aprobatę dla wyboru Kotła. Twarz Tamlina stężała w szoku, hybernijscy książęta stali co najmniej skonsternowani.

Ale ja zwróciłam się do Luciena, promieniejąc światłem tak jasnym, że lśniło w jego metalowym oku. Przyjaciółka prosząca przyjaciela o pomoc. Wyciągnęłam ku niemu dłoń.

Czułam, jak za moimi plecami Iantha usiłuje odzyskać kontrolę nad wydarzeniami, znaleźć jakiś sposób na obrócenie tego na swoją korzyść.

Może Lucien dostrzegł to samo, bo ujął moją dłoń, przyklęknął na jedno kolano w trawie i przycisnął czoło do moich palców.

Niczym kłosa pszenicy na wietrze wszyscy wokół również opadli na kolana.

Bo we wszystkich swoich wypieszczonych ceremoniach i rytuałach Iantha nawet przez chwilę nie wykazała najmniejszego śladu mocy czy błogosławieństwa. Ale Feyra Wyzwolicielka, która uratowała Prythian od tyranii i mroku...

Błogosławiona. Święta. Nieślabnąca w obliczu zła.

Pozwoliłam swojemu blaskowi przybierać na sile, aż objął też kłaniającego mi się Luciena.

Rycerz przed swoją królową.

Gdy spojrzałam na Ianthę i ponownie się uśmiechnęłam, pozwoliłam jej przez chwilę dostrzec wilka.

\*\*\*

Przynajmniej późniejsze świętowanie miało swój zwykły przebieg.

Gdy gwar i okrzyki uwielbienia przycichły, gdy słońce wzniosło się nad moją głowę i bijący ode mnie blask przygasł, ruszyliśmy na pobliskie pagórki i pola, gdzie czekali ci, którzy nie brali udziału w ceremonii, ale zdążyli już usłyszeć o moim małym cudzie.

Trzymałam się blisko Luciena, który chętnie dotrzymywał mi

towarzystwa, podczas gdy wszyscy wokół zdawali się rozdarci między radością i uwielbieniem a wątpliwościami i obawami.

Iantha poświęciła następnych sześć godzin na próby wyjaśnienia, co się stało. Kocioł pobłogosławił jej wybraną przyjaciółkę – mówiła każdemu, kto chciał słuchać. Słońce zmieniło swoją drogę na niebie, by pokazać, jak bardzo się cieszy z mojego powrotu.

Lecz tylko jej akolitki wysłuchiwały jej słów, z czego połowa wyglądała na średnio zainteresowaną.

Jednak największą podejrzliwość przejawiał Tamlin: jakby błogosławieństwo coś ze mną zrobiło, tak jakby pamiętał to samo światło z Hybernii i nie mógł ustalić, z jakiego powodu tak mu to przeszkadza.

Ale musiał wypełnić swoje obowiązki i odbierać podziękowania i życzenia pomyślności od swoich poddanych, wojowników i pomniejszej szlachty, dzięki czemu mogłam swobodnie przemierzać wzgórza. Co jakiś czas zatrzymywali mnie rozradowani i przepelnieni uwielbieniem fae, którzy chcieli dotknąć mojej dłoni lub nade mną zapłakać.

Kiedyś krzywiłabym się i wzdrygała. Teraz z błogością przyjmowałam ich podziękowania i modlitwy, dziękując im i obdarzając uśmiechami.

Niektóre były nieudawane. Nie chowałam żadnej urazy wobec ludu zamieszkującego te ziemie, który cierpiał tak samo jak wszyscy inni. Ani trochę. Ale dworzanie i strażnicy, którzy do mnie podchodzili... Przed nimi starałam się lepiej wypaść. „Pobłogosławiona przez Kocioł” – nazywali mnie. Odpowiadałam krótko: „To zaszczyt”.

Powtarzałam te słowa w koło i w koło, podczas śniadania i lunchu, aż powróciłam do domu, by się odświeżyć i zaznać chwili spokoju.

W prywatności swojej komnaty odłożyłam kwiecistą koronę na stół i uśmiechnęłam się lekko do oka wytatuowanego na mojej prawej dłoni.

„Najdłuższy dzień roku – powiedziała wzdłuż więzi, wysyłając ze słowami urywki tego, co się wydarzyło na szczycie wzgórza. –

Żałuję, że nie mogę go spędzić z tobą”.

Spodobałoby mu się moje przedstawienie – śmiały się aż do ochrypnięcia na widok miny Ianthy.

Skończyłam się odświeżać i już miałam wrócić na wzgórze, gdy moje myśli wypełnił głos Rhysanda.

„To byłby dla mnie zaszczyt – powiedział, każde słowo wypełniając śmiechem – spędzić choć chwilę w towarzystwie Feyry Błogosławionej”.

Zachichotałam. Słowa były odległe, pełne napięcia. Śpieszył się – ja też musiałam się śpieszyć. Inaczej ryzykowaliśmy wykrycie. A bardziej niż wszystkiego innego pragnęłam zapytać, dowiedzieć się...

„Czy z wszystkimi wszystko w porządku?”.

Czekałam, odliczając minuty.

„Tak. Tak bardzo, jak to możliwe. Kiedy wrócisz do domu, do mnie?”.

Każde kolejne słowo było cichsze.

„Wkrótce – obiecałam. – Hybernijczycy tu są. Wkrótce ze wszystkim skończę”.

Na te słowa już nie odpowiedział. Odczekałam jeszcze kilka minut, zanim ponownie założyłam koronę i zeszłam po schodach.

Gdy jednak wyszłam do udekorowanego ogrodu, głos Rhysanda ponownie wypełnił moje myśli: „Ja też żałuję, że nie mogę spędzić tego dnia z tobą”.

Jego słowa zacisnęły się na moim sercu niczym pięść. Wyrzuciłam je z głowy i wróciłam do świętujących na pagórkach. Każdy krok sprawiał mi większą trudność, niż kiedy szłam do rezydencji.

Było już po lunchu i zaczęły się tańce.

Dostrzegłam go, jak czeka na skraju jednego z kręgów, obserwując każdy mój ruch.

Idąc w jego stronę, strzelałam spojrzeniem to na trawę, to na tłum fae, to na grupkę muzyków wydobywających tak żywą muzykę z bębnow, skrzypek i piszczałek. Nieśmiała, niepewna łania.

Kiedyś te same dźwięki otrzeźwiły mnie i sprawiły, że tańczyłam i tańczyłam aż do utraty tchu. Teraz były jedynie kolejnym orężem



w moim arsenale. Stałam przed Tamlinem, spuściłam wzrok i zapytałam łagodnie:

– Zatańczysz ze mną?

Ulga, szczęście, nikły cień troski.

– Tak – odparł szeptem. – Tak, oczywiście.

Pozwoliłam mu poprowadzić się do żywego tańca, kręcić mną i wywijać. Inni zbierali się wokół, by zachęcać nas okrzykami i oklaskami. Tańczyliśmy, tańczyliśmy i tańczyliśmy, aż pot spływał strużką po moich plecach. Starłam się nadażyć, utrzymać uśmiech na twarzy, pamiętać o śmianiu się na głos, podczas gdy moje dłonie znajdowały się tuż przy jego gardle.

Po jakimś czasie muzyka spowolniła i Tamlin dostosował do niej rytm naszego tańca. Obserwujący nas fae odzyskali zainteresowanie swoimi partnerkami.

– Dzisiaj rano... – wymruczał. – Czy wszystko w porządku?

Poderwałam głowę.

– Tak. Ja nie... Nie wiem, co się stało, ale tak. Czy Iantha... ma mi za złe?

– Nie wiem. Nie spodziewała się tego... Nie sądzę, żeby potrafiła sobie dobrze radzić z niespodziankami.

– Powinnam ją przeprosić.

Oczy mu błysnęły.

– Za co? Może to było błogosławieństwo. Magia wciąż zaskakuje nawet mnie. Jeśli jest z tego powodu zła, to jej problem.

Udałam chwilę zastanowienia nad jego słowami, po czym skinęłam głową. Przyciągnął mnie do siebie. Jego dotyk napawał mnie odrazą. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób Rhys to znosił – w jaki sposób znosił Amaranthę. Przez pięćdziesiąt lat.

– Wyglądasz dziś pięknie – zauważył Tamlin.

– Dziękuję. – Zmusiłam się do spojrzenia mu w twarz. – Lucien... Lucien powiedział mi, że nie dopełniłeś rytuału w noc Calanmai. Że odmówiłeś.

„I że pozwoliłeś Iancie zabrać go do tej jaskini w twoje miejsce”.

Grdyka zatańczyła na jego szyi.

– Nie mogłem się na to zdobyć.

„Ale mogłeś się zdobyć na wejście w układ z Hybarnią, tak jakbym była wykradzonym przedmiotem, który należy odzyskać”.

– Może tego ranka nie tylko ja zostałam pobłogosławiona.

W odpowiedzi tylko przesunął dłonią wzdłuż moich pleców.

Nic więcej nie powiedział przez trzy następne tańce, aż głód nakazał mi udać się do stołów, na których właśnie stawiano obiad. Pozwoliłam mu nałożyć mi jedzenie na talerz i potem karmić mnie, gdy znaleźliśmy sobie miejsce pod poskręcanym starym dębem, przyglądaliśmy się tańcom i przysłuchiwaliśmy muzyce.

Niemal zapytałam, czy to było tego warte. Czy wyrzeknięcie się takiego spokoju było warte odzyskania mnie. Bo Hybarnia przybędzie tu i wykorzysta te ziemie. I nie będzie już śpiewów i tańców. Nie, kiedy oni nadejdą.

Ale nie odzywałam się, aż słońce zaszło i ostatecznie zapadła noc.

Gwiazdy zamigotały, blade i nikłe nad płonącymi ogniskami.

Długie godziny przyglądałam się świętującym i przysięgłabym, że dotrzymywali mi towarzystwa – moi milczący i niezłomni przyjaciele.

## Rozdział 5

Słaniając się na nogach, udałam się z powrotem do pałacu dwie godziny po północy, zbyt wyczerpana, by dotrzeć do świtu.

Zwłaszcza że spostrzegłam, w jaki sposób patrzy na mnie Tamlin, i przypomniałam sobie ten świt rok temu, kiedy mnie odwiódł od ognisk i pocałował przy wschodzącym słońcu.

Poprosiłam Luciena, by mnie odprowadził. Zrobił to bardzo chętnie, ponieważ odkąd los wybrał mu już towarzyszkę, przestał wykazywać jakiegokolwiek zainteresowanie towarzystwem płci przeciwnej. Do tego Iantha cały dzień usiłowała go przydybać i wypytać o to, co się zdarzyło podczas ceremonii.

Przebrałam się w koszulę nocną – cienkie wdzianko z mnóstwem koronek, które kiedyś założyłam dla przyjemności Tamlina, a teraz wybrałam z powodu pokrywającego całą moją skórę potu – po czym opadłam na łóżko.

Przez blisko pół godziny miotalam się w pościeli.

Attor. Tkaczka. Moje siostry wrzucane do Kotła. Wszyscy oni wirowali i falowali wokół mnie. Pozwoliłam im.

Większość fae wciąż świętowała, gdy wydałam z siebie krótki ostry krzyk, od którego zerwałam się na równe nogi.

Serce łomotało mi w piersi, kości drżały od jego dudnienia. Otworzyłam drzwi, spocona i półprzytomna, i przeszłam na drugą stronę korytarza.

Lucien otworzył po drugim pukaniu.

– Słyszałem... Co się stało?

Przyjrzał się mi. Źrenica zdrowego oka rozszerzyła się, gdy dostrzegł moje potargane włosy, przepoconą koszulę.

Przełknęłam ślinę i spojrzałam na niego z niemym pytaniem wypisanym na twarzy. Kiwnął głową i cofnął się, aby wpuścić mnie do środka. Był nagi od pasa w górę. Zanim otworzył drzwi, zdążył szybko naciągnąć spodnie na nogi i teraz zapinał je w pośpiechu,

gdy go mijałam.

Jego komnata była pełna barw Dworu Jesieni – jedyny hołd względem jego domu, na jaki kiedykolwiek się otwarcie zdobył. Rozejrzałam się po skąpanym w mroku pomieszczeniu, spojrzałam na zmiętą pościel. Przysiadł na wygiętym podłokietniku dużego fotela stojącego przed wygasłym paleniskiem i przyglądał mi się, stojącej na środku szkarłatnego dywanu, wyłamującej sobie palce u dłoni.

– Śnię o tym – wychrypiałam. – O tym, co było pod Górą. A potem się budzę i nie pamiętam, gdzie jestem. – Uniosłam w jego stronę pozbawione znamienia lewe ramię. – Nie wiem już, *kiedy* jestem.

Prawda – ale nie do końca. Wciąż śniłam o tych strasznych dniach, ale te koszmary nie pochłaniały mnie. Już nie musiałam biegać do ustępu w środku nocy i nie wymiotowałam do utraty tchu.

– O czym śniłaś tej nocy? – zapytał cicho.

Uniosłam wzrok na niego, przybierając udęczony wyraz twarzy.

– Kazała mnie przybić do ściany. Tak jak Klarę Beddor. A attor...

Zadrzałam i przeciągnęłam dłońmi po twarzy.

Lucien wstał i podszedł do mnie. Sugestia lęku i bólu wywołana tymi słowami wystarczająco zamaskowała mój zapach, moją moc, gdy mroczne sidła, które zastawiłam w domu, wychwyciły nieznaczące drżenie.

Lucien zatrzymał się tuż przede mną. W żaden sposób nie zaoponował, gdy zarzuciłam mu ramiona na szyję i wtuliłam twarz w ciepły nagi tors. Woda morską z daru Tarquina popłynęła mi z oczu po policzkach i na jego złocistą skórę.

Lucien westchnął ciężko, objął mnie jedną ręką w talii, a drugą wsunął we włosy, by pogłodzić mnie po głowie.

– Przepraszam – powiedział. – Przepraszam.

Obejmował mnie, głaszcząc kojąco po plecach, a ja uspokoiłam nieco szlochaniem i sprawiłam, by łyż z wody morskiej wyschły niczym wilgotny piasek na słońcu.

W końcu oderwałam policzek od jego muskularnego torsu, wbiłam palce w twarde mięśnie ramion i spojrzałam na zatroskaną twarz.

Oddychałam ciężko, głęboko, ze zmarszczony czołem, rozchyłonymi ustami i...

– Co tu się dzieje?

Lucien obrócił gwałtownie głowę w stronę drzwi.

Stał w nich Tamlin z maską chłodnego spokoju na twarzy. Na kostkach dłoni lśniły czubki pazurów.

Odsunęliśmy się od siebie – zbyt gwałtownie, by wyglądało to naturalnie.

– Miałam koszmar – wyjaśniłam, wygładzając koszulę nocną. – Nie... nie chciałam budzić całego domu.

Tamlin nie odrywał wzroku od Luciena, który zacisnął mocno wargi, gdy dojrzał częściowo wysunięte pazury.

– Miałam koszmar – powtórzyłam nieco ostrzej, chwytając Tamlina za ramię i wyprowadzając go z komnaty, zanim Lucien zdążył otworzyć usta.

Zamknęłam drzwi, ale mimo to wyczuwałam, że cała uwaga Tamlina wciąż jest skupiona na mężczyźnie po ich drugiej stronie. Nie schował pazurów. Ale też ich bardziej nie wysunął.

Przeszłam kilka kroków ku swojej komnacie, przyglądając się Tamlinowi, który rozejrzał się po korytarzu. Oceniał odległość między sypialnią moją a Luciena.

– Dobranoc – rzuciłam i zamknęłam drzwi tuż przed jego nosem.

Czekałam pięć minut, aż Tamlin zdecyduje się jednak nie zabijać Luciena, po czym uśmiechnęłam się.

Byłam ciekawa, czy Lucien połączył wszystkie wskazówki ze sobą. Że wiedziałam, że po tym, jak obdarzyłam dziś Tamlina tyloma nieśmiałymi dotykami i spłoszonymi spojrzeniami, ten przyjdzie dziś do mojej komnaty. Że przebrałam się w swoją najbardziej wyzywającą nocną koszulę nie z powodu gorąca, ale żebym wyglądała odpowiednio, kiedy moje niewidzialne sidła rozstawione po domu powiadomią mnie, że Tamlin w końcu zebrał się na odwagę, by mnie odwiedzić.

Udawany koszmar, uprawdopodobniony rozmyślnie zmiętą pościelą. Zostawiłam drzwi Luciena niedomknięte, a on sam był zbyt skołowany i nieświadomy prawdziwego powodu mojej wizyty, by

pomyśleć o ich zamknięciu. Nie zauważył też ściany nieprzeniknionego powietrza, którą otoczyłam jego komnatę, by nie mógł usłyszeć kroków nadchodzącego Tamlina ani wyczuć jego zapachu.

Aż Tamlin zobaczył nas splecionych w uścisku, zsunięte ramię mojej koszuli, intensywność wzajemnych spojrzeń; scenę tak pełną emocji, jakbyśmy właśnie zaczynali lub właśnie kończyli. Jakbyśmy byli tak bardzo zajęci sobą, że nie zauważyliśmy jego nadejścia, dopóki nie stanął w drzwiach; niewidzialna ściana zniknęła chwilę wcześniej, żeby nie mógł jej wyczuć.

Koszmar, powiedziałam Tamlinowi.

*To ja* byłam koszmarem.

Żerowałam na lękach Tamlina, których był pełen od dnia mojego przybycia

Nie zapomniałam tej jego dawnej kłótni z Lucienem. Jak go ostrzegał, żeby ze mną nie flirtował. Żeby trzymał się ode mnie z dala. Lęk, że wolałabym rudowłosego księcia od niego; że mogłabym zniweczyć wszystkie jego plany. „Odpuść sobie” – powiedział wtedy Lucienowi.

Nie wątpiłam, że teraz Tamlin odtwarza w głowie każde spojrzenie, każdą rozmowę od tamtego dnia. Każdy przypadek, kiedy Lucien stawał po mojej stronie – zarówno pod Górą, jak i później. Byłam pewna, że księżę Dworu Wiosny zachodzi teraz w głowę, na ile nowo powstała więź godowa z Elainą wpływa na jego przyjaciela.

Że przypomina sobie, jak dzisiejszego ranka Lucien przykleknął przede mną i przyrzekł posłuszeństwo nowo narodzonej bogini, tak jakby Kocioł pobłogosławił nas oboje.

Pozwoliłam uśmiechowi zostać na moich ustach jeszcze przez chwilę, po czym się ubrałam.

Miałam jeszcze wiele do zrobienia.

## Rozdział 6

Zaginał pęk kluczy do bram posiadłości.

Ale po wydarzeniach ostatniej nocy Tamlin zdawał się na to nie zważać.

Śniadanie minęło w ciszy. Hybarnijscy książęta siedzieli w ponurym milczeniu, nie mogąc znieść przedłużającego się oczekiwania na wyprawę do drugiej szczeliny w murze, a Jurian choć ten jeden raz był zbyt zmęczony, by zająć się czymkolwiek poza pakowaniem mięsa i jaj do swojej nienawistnej gęby.

Wyglądało na to, że Tamlin rozmawiał z Lucieniem przed posiłkiem, bo ten cały czas trzymał się ode mnie na dystans. Nie patrzył na mnie ani się do mnie nie odzywał, tak jakby wciąż musiał przekonywać Tamlina, że do niczego między nami nie doszło.

Rozważałam zapytanie Juriana wprost, czy to on wykradł klucze jednemu ze strażników, ale panująca cisza była miłą odmianą.

Przynajmniej do czasu, gdy wparowała Iantha, starannie unikając spojrzenia w moją stronę, tak jakbym była oślepiającym słońcem, które jej wykradłam.

– Wybacz, książę, że przerywam ci posiłek, ale jest pewna sprawa, którą muszę z tobą omówić – oznajmiła.

Białe szaty zawirowały wokół jej stóp, gdy zatrzymała się gwałtownie w pół drogi do stołu.

Wszyscy obecni unieśli głowy.

– O co chodzi? – ponuro warknął Tamlin.

Ostentacyjnie udała, że dopiero teraz dostrzegła obecność hybarnijskich książąt. Z trudem powstrzymałam się od parsknięcia na przesadnie nerwowe spojrzenie, które im posłała, zanim zwróciła wzrok ponownie na Tamlina. Jej kolejne słowa chyba nikogo nie zaskoczyły.

– Może powinniśmy z tym zaczekać do zakończenia posiłku. Kiedy będziesz sam.

Bez wątpienia to było obliczone na przypomnienie im, że miała tu – u Tamlina – posłuch. Że Hyberronii też powinno zależeć na utrzymaniu z nią dobrych kontaktów, zważywszy na to, co wiedziała. Byłam jednak dość okrutna, by rzucić słodko:

– Jeśli ufamy naszym hyberronijskim sprzymierzeńcom na tyle, że idziemy z nimi na wojnę, możemy im też zaufać, że dochowają tajemnic. Mów, Iantho.

Nawet nie spojrzała w moją stronę. Ale Tamlin był teraz uwięziony między bezpośrednią obrazą a uprzejmością... analizował sytuację przy stole, postawę Ianthy.

– Mów – powiedział w końcu.

Jej biała szyja zadrgała.

– Jest... Moje akolitki odkryły, że ziemie wokół mojej świątyni... obumierają.

Jurian przewrócił oczami i wrócił do pałaszowania boczku.

– Zatem powiedz o tym ogrodnikom – powiedziała Brannagh i również wróciła do jedzenia.

Dagdan parsknął prosto w filiżankę herbaty.

– To nie jest kwestia ogrodnictwa – odparła Iantha, prostując się.

– Plaga spadła na te ziemie. Trawa, korzenie, pąki... wszystko usycha i marnieje. Śmierdzi nagami.

Musiałam wyteńczyć całą siłę woli, by nie zerknąć na Luciena; by się przekonać, czy on też zauważył aż nazbyt gorliwy błysk w jej oku. Nawet Tamlin westchnął, tak jakby i on ją przejrzał: pragnącą odzyskać część swojej dawnej pozycji. Może sama zatrula ziemię, by ją teraz w cudowny sposób uleczyć.

– Są też inne miejsca w lesie, gdzie rośliny obumarły i nie odrastają – ciągnęła wywód Iantha, przyciskając do piersi udekorowaną srebrem dłoń. – Obawiam się, że jest to ostrzeżenie przed gromadzącymi się nagami. Z pewnością planują atak.

Och, zdecydowanie zalażłam jej za skórę. Zastanawiałam się, co zrobi po wczorajszym święcie, skoro okradłam ją z jej chwili triumfu, jej wpływów. Ale to... sprytne.

Ukryłam cisnący się na usta kpiący uśmieszek.

– Iantho, może to istotnie jest sprawa dla ogrodników –



powiedziałam łagodnie.

Zesztywniała i w końcu zwróciła się w moją stronę. „Wydaje ci się, że jesteś taka mądra – pragnęłam jej powiedzieć. – Nie masz pojęcia, że każdy wybór, którego dokonałaś wczoraj i dzisiejszego ranka, był ledwie krokiem na ścieżce, na którą to ja cię popchnęłam”.

Wskazałam brodą Hybernijczyków, potem Luciena.

– Dzisiejszego popołudnia ruszamy zbadać mur. Jeśli jednak problem nie zniknie do czasu, gdy za parę dni wrócimy, pomogę ci ustalić przyczynę.

Opuszczone wzdłuż boków upstrzone srebrnymi pierścieniami palce zacisnęły się lekko.

– Czy dołączysz do nich, książę? – zapytała Tamlina jak prawdziwy wąż, którym była.

Spojrzała na mnie i Luciena – na każdym z nas zatrzymała wzrok zbyt długo, by uznać to za przelotne spojrzenie.

W mojej głowie narastał już tępy ból, a każde słowo opuszczające jej usta tylko go pogarszało. Zbyt długo działałam w nocy, byłam zbyt niewyspana – a potrzebowałam sił na nadchodzące dni.

– Nie dołączy – odpowiedziałam za Tamlina, zanim zdążył się odezwać.

Odłożył sztućce.

– Sądzę, że jednak dołączę.

– Nie potrzebuję eskorty.

Niech obiera to stwierdzenie z kolejnych warstw rezerwy i nieufności.

Jurian parsknął.

– Zaczynasz wątpić w nasze dobre zamiary, książę?

Tamlin warknął na niego.

– Uważaj.

Położyłam dłoń płasko na stole.

– Wystarczy mi towarzystwo Luciena i strażników.

Lucien sprawiał wrażenie, jakby chciał się zapaść w swoje krzesło i zniknąć na wieki.

Omiotłam wzrokiem Dagdana i Brannagh, po czym uśmiechnęłam

się lekko.

– Potrafię się obronić, gdyby zaszła taka potrzeba – zwróciłam się do Tamlina.

Daemati uśmiechnęli się do mnie. Nie poczułam żadnego dotknięcia ani na barierach w swojej głowie, ani na tych, które starałam się utrzymać wokół umysłów obecnych. Nieustanne korzystanie z mojej mocy męczyło mnie, ale... możliwość znalezienia się daleko od tego miejsca na cztery do pięciu dni jawiła się jako pożądana ulga.

Zwłaszcza gdy Iantha wymruczała w stronę Tamlina:

– Może *powinieneś* jechać, przyjacielu.

Czekałam. Czekałam na bzdury, które niechybnie miały się posypać z tych wydętych ust...

– Nigdy nie wiesz, kiedy Dwór Nocy może spróbować ją porwać.

Musiałam zamrużyć, by zyskać czas na wybranie najlepszej reakcji. Zdecydowałam się odchylić na oparcie krzesła, pochylić ramiona do przodu i przywołać obrazy Klary, Rhysa ze skrzydłami przeszytymi jesionowymi strzałami – cokolwiek, by zabarwić mój zapach silnym strachem.

– Masz jakieś wieści? – zapytałam szeptem.

Brannagh i Dagdan wyglądali na *bardzo* zainteresowanych.

Kapłanka już otwierała usta, ale nagle wciął się Jurian:

– Nie ma żadnych wieści – powiedział lekceważąco. – Ich granice są bezpieczne. Rhysand byłby głupcem, gdyby zaryzykował przybycie tutaj.

Wpatrywałam się w talerz; obraz zaleknionej ofiary.

– Jest głupcem, owszem – odparowała Iantha. – Ale żadnym zemsty.

Zwróciła się twarzą do Tamlina. Promienie porannego słońca załśniły na klejnotach zdobiących jej głowę.

– Może gdybyś zwrócił mu skrzydła jego rodziny, mógłby... się tym zadowolić.

Przez chwilę falowała we mnie cisza.

Po niej nadeszła rycząca fala, która zatopiła niemal wszystkie myśli, każdy strzępek instynktu samozachowawczego. Ledwie

słyszałam słowa ponad wycie w mojej krwi, moich kościach.

Ale te słowa, ta propozycja... Mierna próba usidlenia mnie. Czekałam niecierpliwie na odpowiedź Tamlina, udałam, że nie usłyszałam pytania lub że ta kwestia w ogóle mnie nie obchodzi.

W końcu odezwał się cichym głosem:

– Spaliłem je już dawno temu.

Mogłabym przysiąc, że w jego słowach pobrzmiewał żal. Żal i wstyd.

Iantha tylko się zachnęła.

– Niedobrze. Na pewno wiele by za nie zapłacił.

Mięśnie mnie bolały od wysiłku, jaki musiałam włożyć, by nie przeskoczyć stołu i nie rozbić jej głowy o marmur posadzki.

– Nic mi się nie stanie – zwróciłam się do Tamlina kojącym i łagodnym głosem.

Sięgnęłam ku niemu i przesunęłam kciukiem po wierzchu jego dłoni. Wytrzymałam jego spojrzenie.

– Nie idźmy ponownie tą drogą.

Gdy cofnęłam rękę, Tamlin przyspilił Luciena spojrzeniem wyzbytym już zupełnie wcześniejszego poczucia winy. Pazury wysunęły się spod skóry i wbiły w porysowane oparcie krzesła.

– Uważaj na siebie.

Nikt z nas nawet nie udawał, że nie widział w tym groźby.

\*\*\*

Konno droga zajęłaby dwa dni, ale dzięki okresowemu przeskakiwaniu dotarliśmy tam w zaledwie jedną dobę. Udawało nam się za każdym razem pokonać kilka mil, ale Dagdan był wolniejszy, niż sądziłam, musząc przenosić swoją siostrę i Juriana.

Nie winiłam go za to. Każde z nas zabierało kogoś ze sobą i wysiłek z tym związany był niebagatelny. Lucien i ja przeskakiwaliśmy razem ze strażnikami, synami pomniejszych szlachciców, wyszkolonymi w uprzejmości i czujności. Z tego powodu poza namiotami nie mogliśmy wziąć zbyt wielu bagaży.

Gdy dotarliśmy do wyłomu w murze, zapadała już noc.

Zabranie ze sobą nawet tej niewielkiej ilości rzeczy wyczerpało

nas podczas przeskakowania. Poleciałam strażnikom rozbić dla nas namioty – zawsze byłam gotowa dać się obsługiwać. Kolację spożyliśmy przy niewielkim ognisku w niemal całkowitej ciszy. Żadne z nas się nie odzywało – z wyjątkiem Juriana, który bez końca wypytywał strażników o ich wyszkolenie. Bliźnięta przełknęły parę kęsów wydobytych z sakw kanapek – przyglądając się im spod zmarszczonych brwi, jakby między kromkami chleba znajdowały się robaki, nie mięso – po czym udały się do swojego namiotu. Wkrótce potem Jurian ruszył w las ze stwierdzeniem, że przed snem potrzebuje się przejść.

Gdy ogień zaczął przygasać, wczłogałam się do płóciennego namiotu. Miejsca w nim było ledwie tyle, byśmy z Lucieniem mogli spać ramię w ramię.

Wkrótce potem blask dogasającego ogniska rozświetlił jego rudą czuprynę, gdy przeciskał się do środka. Zaklął.

– Może powinienem spać na zewnątrz.

Przewróciłam oczami.

– Proszę cię.

Rzucił mi podejrzliwe, taksujące spojrzenie, po czym przyklęknął i zzuł buty.

– Wiesz, że Tamlin potrafi być... wrażliwy na tym punkcie.

– Potrafi też działać mi na nerwy – odwarknęłam i wsunęłam się pod koce. – Jeśli będziesz mu ustępować przy każdym przejawie paranoi i zaborczości, będzie tylko gorzej.

Lucien rozpiął kurtę, ale nie zdjął reszty ubrania, i położył się na swoim miejscu.

– Moim zdaniem jest gorzej, bo wy nie... Znaczy, nie doszło... prawda?

Zesztywniałam i naciągnęłam koc bardziej na siebie.

– Nie. Nie chcę być dotykana w ten sposób... Przynajmniej przez pewien czas.

Zapadło ciężkie milczenie podszyte smutkiem. Byłam zła na siebie, że musiałam tak skłamać. Czułam się brudna.

– Przepraszam – powiedział.

Zastanawiałam się, za co jeszcze przeproszał. Obróciłam się

twarzą do niego w ciemności namiotu.

– Czy nie ma jakiegoś sposobu na wycofanie się z tego przymierza z Hybernią? – Moje słowa były ledwie głośniejsze od mamrotania dogasających węgla na zewnątrz. – Wróciłam, jestem bezpieczna. Moglibyśmy znaleźć jakieś wyjście...

– Nie. Król zbyt sprytnie, zbyt jednoznacznie sformułował warunki swojego targu z Tamlinem. Magia ich związała i magia go porazi, jeśli nie pozwoli Hybernijczykom wkroczyć na te ziemie.

– W jaki sposób? Zabije go?

Westchnięcie Luciena poruszyło moje włosy.

– Odbierze mu jego moc, może nawet zabije. W magii najważniejsza jest równowaga. To dlatego nie mógł nic poradzić na twoją umowę z Rhysandem. Każdy, kto spróbuje naruszyć taką więź, musi się liczyć z konsekwencjami. Gdyby cię tu zatrzymał, magia łącząca cię z Rhysem mogłaby odebrać *jego* życie jako zapłatę w miejsce twojego. Albo życie kogoś innego bliskiego jego sercu. To stara magia... stara i dziwna. To dlatego unikamy takich przyrzeczeń, jeśli to tylko możliwe: nawet mędrcy Dworu Dnia nie wiedzą, jak to działa. Wierz mi, pytałem.

– Z mojego powodu... zapytałeś ich z mojego powodu.

– Tak. Udałem się do nich zeszłej zimy, by zapytać o jakiś sposób zerwania twojej umowy z Rhysem.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Bo nie... nie chcieliśmy ci dawać złudnej nadziei. Nie chcieliśmy też, by Rhysand zwęszył, co robimy. Na wypadek gdyby znalazł jakiś sposób na przeszkodzenie nam. Na powstrzymanie nas.

– I wtedy Iantha popchnęła Tamlina w stronę Hybernii.

– Miotał się. Uczni z Dworu Dnia pracowali zbyt wolno. Błagałem go o jeszcze trochę czasu, ale ciebie nie było już całe miesiące. Chciał działać, nie czekać... pomimo twojego listu. *Z powodu* twojego listu. W końcu powiedziałem mu, żeby posłuchał Ianthy. Po... po tamtym dniu w lesie.

Przewróciłam się na plecy i wbiłam wzrok w pochyłą ścianę namiotu.

– Było bardzo źle? – zapytałam cicho.

– Widziałaś swoją komnatę. Zniszczył ją, gabinet, swoją sypialnię. Nawet... zabił strażników, którzy stali na straży. Najpierw wydobył z nich wszystkie najdrobniejsze informacje. A potem stracił ich na oczach całej służby.

Jego słowa zmroziły mi krew.

– Nie powstrzymałeś go.

– Próbowałem. Błagałem, by okazał im litość. Nie posłuchał mnie. Nie mógł mnie posłuchać.

– Strażnicy też nie próbowali go powstrzymać?

– Nie odważyli się. Feyro, on jest księciem tego dworu. Jest zupełnie innego pochodzenia.

Zadałam sobie pytanie, czy powiedziałby to samo, gdyby wiedział, czym jestem.

– Staliśmy pod ścianą i nie mieliśmy innego wyjścia. Żadnego. Mogliśmy albo ruszyć na wojnę przeciwko Dworowi Nocy i Hybernii naraz, albo sprzymierzyć się z królem, pozwolić mu spróbować nieco namieszać, a potem wykorzystać ten sojusz do własnych celów.

– Co masz na myśli? – zapytałam szeptem.

Ale Lucien zorientował się, co właśnie powiedział, i zaczął lawirować.

– Mamy wrogów na wszystkich dworach. Dzięki przymierzu z Hybarnią dwa razy się zastanowią, zanim nas zaatakują.

Łgarz. Wyszkolony sprytny łgarz.

Westchnęłam ciężko i sennie.

– Nawet jeśli to są teraz nasi sprzymierzeńcy – wymruczałam – i tak ich nienawidzę.

Parsknął.

– Ja też.

\*\*\*

– Pobudka.

Do namiotu wpadło oślepiające światło słońca. Zasyczałam z bólu.

Lucien zawarczał, siadając na swoim pośłaniu.

– Wynoś się – wycedził w stronę Juriana, który obrzucił nas spojrzeniem, uśmiechnął się krzywo i odszedł.

Gdzieś w środku nocy przetoczyłam się na stronę Luciena, chociaż nie tyle z powodu jakichś konkretnych knowań, ile w związku z istotną potrzebą – ogrzania się. Jednak nie wątpiłam, że Jurian zapamięta sobie nasz widok i po powrocie nie omieszka rzucić tej informacji Tamlinowi w twarz: spaliśmy w jednym namiocie i rano wyglądało na to, że było nam bardzo przytulnie.

Obmyłam się w strumieniu. Mięśnie zeszywniały mi po nocy przespanej na ziemi, pomimo rozłożonych koców.

Kiedy skończyłam, Brannagh zmierzała w stronę potoku. Mijając mnie, posłała mi zimny, kpiący uśmiech.

– Też bym wybrała syna Berona.

Spojrzałam na nią spod zmarszczonych brwi.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się szerzej.

– Mężczyźni z Dworu Jesieni mają ogień we krwi. I równie ogniście się pieprzą.

– Zakładam, że mówisz z własnego doświadczenia?

Zachichotała.

– Jak myślisz, dlaczego tak świetnie się bawiłam podczas wojny?

Nawet nie próbowałam ukryć odrazy.

Gdy godzinę później szliśmy w stronę wyłomu w murze, Lucien dostrzegł, jak się wzdrygam na jej słowa rozbrzmiewające w mojej głowie po raz dziesiąty.

– Co się stało? – zapytał.

Pokręciłam głową, starając się nie wyobrazić sobie Elainy traktowanej tym... ogniem.

– Nic – odparłam.

Idący przed nami Jurian zaklął głośno.

Przyśpieszyliśmy oboje kroku, a gdy po chwili usłyszeliśmy jęk dobywanego z pochwy miecza, ruszyliśmy biegiem. Liście i gałęzie chłostały mnie, aż w końcu dotarliśmy do muru, tej niewidzialnej okropnej bariery buczącej i pulsującej w mojej głowie.

A tam, po drugiej stronie szczeliny, stało troje przypatrujących się nam Dzieci Błogosławionych.

## Rozdział 7

**B**rannagh i Dagdan wyglądali, jakby właśnie znaleźli czekające na nich drugie śniadanie.

Jurian stał z wyciągniętym mieczem. Dwie młode kobiety i towarzyszący im młodzieniec wodzili szeroko otwartymi oczami między nim a Hybernijczykami. W końcu ich spojrzenia padły na nas i gdy spostrzegli okrutne piękno Luciena, jeszcze bardziej wybałuszyli oczy.

Cała trójka opadła na kolana.

– Panowie i panie – przemówili pełnymi uwielbienia głosami.

Srebrna biżuteria na nich lśniła w promieniach słońca przeciskających się między liśćmi.

– Odnaleźliście nas w naszej podróży.

Książęta uśmiechali się tak szeroko, że widać było całe komplety zbyt białych zębów.

Jurian za to zdawał się rozdarty.

– Co tu robicie? – zapytał w końcu ostro.

Ciemnowłosa dziewczyna stojąca bliżej nas była śliczna: jej złocista skóra oblała się rumieńcem, gdy uniosła głowę.

– Przybywamy, by zamieszkać na nieśmiertelnych ziemiach. Przybywamy jako danina.

Jurian spojrzał lodowato na Luciena.

– Czy to prawda?

Lucien zgromił go wzrokiem.

– Nie przyjmujemy daniny z ludzkich ziem. A na pewno nie w postaci dzieci.

Dzieci... ta trójka wyglądała na ledwie kilka lat młodszą ode mnie.

– Może przejdźcie na naszą stronę – powiedziała słodko Brannagh – to się... zabawimy.

Przyglądała się łakomie brązowowłosemu młodzieńcowi i drugiej



dziewczynie o rudawych włosach i twarzy o ostrych, acz ciekawych rysach.

Po sposobie, w jaki Dagdan pożerał wzrokiem piękność stojącą bliżej nas, wiedziałam, że już dokonał wyboru.

Wyszłam przed Hybernijczyków i zwróciłam się do trójki śmiertelników:

– Wynoście się. Wracajcie do swoich wiosek, do swych rodzin. Jeśli przekroczycie ten mur, zginiecie.

Wzdrygnęli się i powstali z twarzami zastygłymi w maskach strachu – i podziwu.

– Przybywamy, by żyć w pokoju.

– Tu go nie znajdziecie. Tu na wasz gatunek czeka tylko śmierć.

Przesunęli spojrzenia na nieśmiertelnych za moimi plecami. Ciemnowłosa dziewczyna oblała się rumieńcem pod spojrzeniem Dagdana; dostrzegała tylko piękno fae wysokiego rodu, nie widziała drapieżnika.

Zatem uderzyłam.

Mur był skrzeczącym strasznym imadłem miażdżącym moją magię, ściskającym mi skronie.

Ale zdołałam przebić się przez szczelinę i wtargnąć do ich umysłów.

Zbyt mocno. Młodzieniec wzdrygnął się nieco.

Taki miękki... bezbronny. Ich umysły poddały się niczym masło topniejące na języku.

Przyglądałam się fragmentom ich żyć przypominającym odłamki stłuczonego lustra odbijające światło we wszystkie strony: ciemnowłosa dziewczyna była bogata, wykształcona i harda – pragnęła uciec przed zaaranżowanym małżeństwem i uważała Prythian za lepsze wyjście. Rudowłosa nie znała niczego poza biedą i ojcowskimi pięściami, którymi okładał ją coraz mocniej, odkąd zatłukł jej matkę na śmierć. Młodzieniec sprzedawał się na ulicach niewielkiej miejscowości, aż któregoś dnia podeszły do niego Dzieci i zaproponowały coś lepszego.

Działałam szybko. Starannie.

Skończyłam, nim minęły trzy uderzenia serca, nim Brannagh

zdążyła nabrać powietrza.

– Tu nie ma śmierci – powiedziała. – Tylko przyjemność, jeśli tylko zechcecie.

„A nawet jeśli nie zechcą” – korciło mnie, by dodać.

Ale cała trójka zamrugła i wzdrygnęła się.

Widzieli nas teraz takimi, jacy byliśmy: morderczych, bezlitosnych. Dostrzegli prawdę skrytą za snutymi opowieściami.

– Może... chyba... popełniliśmy błąd – powiedział młodzieniec, cofając się o krok.

– A może to było przeznaczenie – podpowiedziała Brannagh z jadowitym uśmiechem.

Śmiertelnicy cofali się krok za krokiem. Wciąż przewijały im się przed oczyma duszy opowieści, które zasiałam im w głowach – że ich skrzywdzimy i zabijemy, że postąpiliśmy tak z wszystkimi ich przyjaciółmi, że ich wykorzystamy i porzucimy na pastwę losu. Pokazałam im nagi, bogge'a, czerwia middengardzkiego. Pokazałam im Klarę i złotowłosą królową nabitą na latarnię. Otrzymane ode mnie wspomnienia stały się opowieściami, które dotąd ignorowali – ale które teraz, gdy stanęliśmy przed nimi, w pełni zrozumieli.

– Chodźcie tu – rozkazał Dagdan.

Jego słowa podziałały na ich strach jak oliwa dolana do ognia. Cała trójka obróciła się na pięcie i rzuciła się pędem w las. Ciężkie jasne szaty powiewały za nimi.

Brannagh naprężyła się, tak jakby chciała rzucić się przez mur w pogoń za nimi, ale chwyciłam ją za ramię.

– Jeśli za nimi ruszysz – wysyczałam – będziesz miała ze mną do czynienia.

Aby podkreślić moje słowa, przeciągnęłam szponami swoich myśli po tarczy chroniącej jej umysł.

Księżniczka warknęła na mnie.

Ale śmiertelnicy już zniknęli nam z oczu.

Modliłam się w duchu, by posłuchali też drugiego rozkazu, który wplotłam w ich myśli: zorganizować łódź, zgromadzić jak najwięcej swoich przyjaciół i umknąć na kontynent.

Mieli wrócić dopiero po zakończeniu wojny i przekonać jak

najwięcej ludzi, by uchodzili czym prędzej, zanim będzie za późno.

Hybernijczycy zawarczeli z niezadowoleniem, ale puściłam to mimo uszu i oparłam się plecami o drzewo. Nie ufałam im, że pozostaną po tej stronie granicy.

Książęta podjęli wędrówkę wzdłuż muru.

Chwilę później poczułam obok siebie męską obecność.

Wiedziałam, że to nie Lucien, ale powstrzymałam wzdrygnięcie.

Jurian wpatrywał się w miejsce, gdzie jeszcze niedawno stali ludzie.

– Dziękuję – wychrypiał.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparłam.

Doskonale wiedziałam, że Lucien bacznie nas obserwuje z cienia pobliskiego dębu.

Jurian uśmiechnął się znacząco półgębkiem i poczłapał w ślad za Dagdanem.

\*\*\*

Chodzili w kółko cały dzień.

Cokolwiek badali, czegokolwiek szukali, nie wyjaśnili nam tego.

Po porannej konfrontacji doskonale wiedziałam, że naciskanie nic nie da. Zużyłam już cały przydział tolerancji na ten dzień.

Spędziliśmy więc kolejną noc w lesie. I tak oto siedziałam na ziemi, naprzeciw Juriana zajmującego miejsce po drugiej stronie ogniska. Bliźnięta wpełzły już do swojego namiotu, a strażnicy stanęli na czatach. Lucien poszedł nad strumień, by przynieść więcej wody, a ja przyglądałam się płomieniom tańczącym na szczapach; czułam jego echo w swoim ciele.

Przebiecie się mocą przez mur przyplącałam ciężkimi zawrotami głowy i całodziennym tępym bólem. Nie miałam wątpliwości, że zasnę błyskawicznie, gdy tylko zamknę oczy, ale ogień był zbyt ciepły, a wiosenna noc była zbyt chłodna, bym z własnej nieprzymuszonej woli przebyła ciemność między ogniskiem a namiotem.

– Co się dzieje z tymi, którzy jednak przechodzą przez mur? – zapytał Jurian.

Blask ogniska malował migoczącą ulgę na surowych płaszczyznach jego twarzy.

Wbiłam piętę w ziemię.

– Nie wiem. Nigdy nie wrócili. Ale za rządów Amaranthy różne stwory przemierzały te lasy, więc... Nie sądzę, żeby to się kończyło dobrze. Nigdy nie spotkałam się z choćby jedną wzmianką, żeby jakiś człowiek przebywał na którymkolwiek z dworów.

– Pięćset lat temu zostaliby wychłostani za takie dyrdymały – rzucił Jurian. – Przez tysiąclecia byliśmy ich niewolnikami, robotnikami i dziwkami. Mężczyźni i kobiety walczyli i umierali, by nigdy nie musieć im ponownie służyć. A oto przychodzą, w tych przebraniach, nieświadomi niebezpieczeństwa, historii.

– Uważaj, bo przestaniesz być odbierany jako wierna maskotka Hybernii.

Odpowiedział mi niski, okropny śmiech.

– Za to mnie masz, prawda? Za jego psa.

– Jaki jest więc twój cel?

– Mam niedokończone porachunki.

– Miriam nie żyje.

W jego oczach ponownie zatańczyło szaleństwo, zastępując rzadką przytomność spojrzenia.

– Wszystko, co zrobiłem w trakcie wojny, było dla Miriam, dla nas. Dla naszego ludu, by przetrwał i pewnego dnia mógł być wolny. A ona porzuciła mnie dla tego pięknisia, gdy tylko postawiłem moich ludzi wyżej od niej.

– Z tego, co słyszałam, porzuciła cię, bo tak się skupiłeś na wyciąganiu informacji z Clythii, że zapomniałeś, o co toczy się walka.

– Miriam sama powiedziała, żebym pieprzył się z Clythią dla informacji. Zachęcała mnie, żebym uwiódł ją i pozostał jej kochankiem, dopóki nie zdradzi wszystkich planów Hybernii i lojalistów. Nie miała nic przeciwko. Nic a nic.

– Więc wszystko to jest tylko po to, by odzyskać Miriam?

Rozprostował swoje długie nogi i skrzyżował je w kostkach.

– Żeby wywabić ją z jej przytulnego gniazdka, w którym się

zaszyła z tym skrzydlatym kutasem, i sprawić, żeby tego pożałowała.

– Dostajesz drugą szansę, drugie życie, i temu właśnie chcesz je poświęcić? Zemście?

Jurian uśmiechnął się leniwie.

– Czy nie to właśnie robisz ty?

Wielomiesięczne lekcje z Rhysem sprawiły, że zmarszczyłam brwi, udając niezrozumienie.

– Chciałabym pewnego dnia zemścić się na Rhysie.

– Wszyscy tak mówią, kiedy udają, że jest sadystycznym mordercą. Zapominasz, że znałem go w czasie wojny. Zapominasz, że zaryzykował życie całego legionu swoich żołnierzy, by uratować Miriam z twierdzy naszych wrogów. W ten właśnie sposób wpadł w ręce Amaranthy, wiesz? Rhys wiedział, że to pułapka. Na księcia Drakona. Zatem złamał rozkazy i pomaszerował całym wojskiem, by wydostać Miriam. Dla przyjaciółki, dla *mojej* kochanki – i dla tego drania Drakona. Rhys poświęcił wszystkich swoich żołnierzy. Wszyscy zostali schwytani i byli później torturowani. A mimo to każdy będzie utrzymywał, że Rhysand to bezduszny okrutnik. Mężczyzna, którego ja znałem, był najlepszy z nich wszystkich. Lepszy od tego kutasa księcia. Tego się nie zatracą, nieważne, ile minęło stuleci, a Rhys był zbyt sprytny, żeby jego obecną czarną reputację uznać za cokolwiek innego niż rozmyślnie i wyrachowane działanie. A oto jesteś ty – jego towarzyszka, złączona z nim nicią losu. Najpotężniejszy książę Prythianu, całego świata traci przeznaczoną sobie istotę, ale nie przybywa po nią, nawet kiedy jest bezbronna w lesie.

Jurian zachichotał.

– Może tak jest dlatego, że Rhysand tak naprawdę nigdy cię nie stracił. Może raczej rzucił ciebie na nas.

Nigdy dotąd nie słyszałam tej historii, ale tak bardzo pasowała do mojego towarzysza losu, że ogień, który dzieliliśmy, załśnił w moich oczach.

– Musisz bardzo lubić brzmienie swojego głosu – skwitowałam.

– Hybernijczycy zabiją was wszystkich.

\*\*\*

Jurian się nie mylił.

Lucien obudził mnie następnego ranka, zakrywając usta dłonią, z ostrzegawczym błyskiem w zdrowym oku. Chwilę później poczułam to: metaliczną woń krwi.

Wciągnęliśmy ubrania i buty, a ja szybko przeliczyłam broń, którą udało nam się upchnąć w namiocie. Ja miałam trzy sztylety. Lucien miał dwa, a do tego elegancki krótki miecz. Lepsze to niż nic, ale wciąż niewiele.

Rzucone mi spojrzenie wystarczyło, bym zrozumiała plan: zachowywać się, jak gdyby nigdy nic, dopóki nie ocenimy całej sytuacji.

Przeleciało mi przez głowę, że to może pierwszy raz, kiedy współpracujemy. Na łowach zawsze działałam sama, a pod Górą dbaliśmy o siebie nawzajem, ale nigdy nie działaliśmy ramie w ramie. Wspólnie.

Lucien wysunął się z namiotu, rozluźniony, ale gotowy w każdej chwili przyjąć postawę obronną. Został wyszkolony, jak mi kiedyś powiedział, na Dworze Jesieni i na tutejszym. Podobnie jak Rhys zwykle wolał toczyć potyczki słowne, ale widziałam go z Tamlinem na placu, kiedy ćwiczili. Umiał się posługiwać bronią. Umiał zabijać, gdy zaszła taka potrzeba.

Przepchnęłam się obok niego i chłonełam szczegóły otoczenia, tak jak wygłodniały człowiek pochłania jedzenie na ucztę.

Las wyglądał tak samo. Jurian przykucnął przy ognisku i z zastygłą w ponurym grymasie twarzą rozgrzebywał węgle, by wzniecić na powrót ogień. Ale strażnicy... byli całkiem bladzi. Lucien ruszył w ich stronę. Podążyłam za ich wzrokiem ku drzewom za Jurianem.

Ani śladu książąt.

Krew...

Metaliczna woń, tak. Ale zmieszana z ziemią, szpikiem i... zgnilizną.

Śmiertelnością.

Puściłam się pędem w stronę drzew i gęstych zarośli.

– Spóźniłaś się – odezwał się wciąż grzebiący w żarze Jurian, gdy go mijałam. – Skończyli jakieś dwie godziny temu.

Lucien biegł tuż za mną. Przedarłam się przez ciernie, okupując to ranami na dłoniach.

Hybernijczycy nawet nie próbowali posprzątać po sobie.

Po tym, co zostało z trzech ciał, po poszarpanych jasnych szatach przypominających popiół rozsypany na niewielkiej polanie, zgadywałam, że Dagdan i Brannagh wytlumili krzyki swoich ofiar jakąś strefą ciszy.

Lucien zaklął.

– Musieli przejść w nocy przez mur. Dogonić ich.

Pomimo kilku godzin straty do ludzi Hybernijczycy byli fae – szybcy, nieśmiertelni. Trójka Dzieci Błogosławionych na pewno zmęczyła się już ciągłym biegiem, zapewne rozbili obóz.

Krew zasychała na trawie i pniach pobliskich drzew.

Tortury w hybernijskim wydaniu nie grzeszyły szczególnym polotem: Klara, złota królowa, ta trójka... Podobne okaleczenie i męki.

Zdjęłam pelerynę i przykryłam nią delikatnie największe szczątki, jakie znalazłam: tors młodzieńca, poszarpany i odsączony z krwi.

Jego twarz wciąż była wykrzywiona grymasem bólu.

Płomienie zatańczyły na czubkach moich palców, błagając mnie o spalenie ich, o zapewnienie im choćby takiego pochówku. Ale...

– Sądysz, że zrobili to dla przyjemności czy żeby dać nam coś do zrozumienia?

Lucien przykrył swoją peleryną resztki dwóch młodych kobiet. Jego twarz przybrała tak poważny wyraz, jakiego jeszcze u niego nie widziałam.

– Sądzę, że nie przywykli, by odmawiano im czegokolwiek. Rzekłbym, że to było odreagowanie frustracji przez potężne nieśmiertelne istoty.

Zamknęłam oczy i spróbowałam opanować wzbierające nudności.

– To nie twoja wina – dodał. – Może i zabili ich na ziemiach śmiertelnych, ale przynieśli ich tutaj. Żeby pokazać swoją moc, swoją władzę.

Miał rację. Dzieci Błogosławionych zginęłyby niezależnie od mojej interwencji.

– Boją się – mruknęłam pod nosem. – I przepelnia ich duma. – Dźgnęłam butem przesiąkniętą krwią trawę. – Pochowamy ich?

Lucien zastanowił się.

– To im pokaże, że jesteśmy gotowi po nich sprzątać.

Rozejrzałam się ponownie po polanie. Rozważyłam argumenty za i przeciw.

– Dajmy im więc co innego do zrozumienia.



## Rozdział 8

Tamlin dreptał w kółko przed paleniskiem w swoim gabinecie. Każdy kolejny zwrot był ostry niczym krawędź noża.

– To nasi sprzymierzeńcy – warknął na mnie, na Luciena.

Oboje siedzieliśmy w fotelach stojących po obu stronach kominka.

– To potwory – zaoponowałam. – Zaszlachtowali trójkę niewinnych ludzi.

– A ty powinnaś była pozostawić to mnie do załatwienia. – Tamlin westchnął chrapliwie. – Nie powinniście byli mścić się jak małe dzieci. – Rzucił wściekłe spojrzenie na Luciena. – Spodziewałem się po tobie więcej.

– Ale po mnie nie? – zapytałam cicho.

Zielone oczy Tamlina przypominały zamarznięty jaspis.

– Dla ciebie śmierć tych ludzi to osobista sprawa. *Dla niego* nie.

– Takie właśnie myślenie – wypaliłam, zaciskając dłonie mocno na oparciach fotela – doprowadziło do tego, że jedynym sposobem na rozwiązanie konfliktu między naszymi ludami było postawienie rozdzielającego nas muru. To dlatego fae patrzą obojętnie na takie zbrodnie.

Wiedziałam, że stojący przed drzwiami strażnicy mnie słyszeli. Że słyszeli mnie wszyscy przechodzący korytarzem.

– Strata każdego życia po którejkolwiek ze stron to osobista sprawa. A może dla ciebie liczy się tylko życie fae wysokiego rodu?

Tamlin zatrzymał się gwałtownie.

– Wynoś się – warknął na Luciena. – Później się z tobą policzę.

– Nie zwracaj się do niego w ten sposób – wysyczałam, zrywając się na równe nogi.

– Wasz mały popis zagroził całemu sojuszowi...

– I dobrze. Jeśli o mnie chodzi, mogą spłonąć! – krzyknęłam.

Lucien się wzdrygnął.

– Wysłałaś za nimi bogge'a! – ryknął Tamlin.

Nawet nie mrugnęłam. Odkaszlnięcie z drugiej strony drzwi – stłumiony okrzyk zaskoczenia – upewniło mnie, że strażnicy istotnie słyszeli naszą wymianę zdań.

– Zameczyli tych ludzi – dodałam głośno, aby wartownicy usłyszeli też dalszą część rozmowy. – Torturowali ich. Uznałam, że bogge jest jedną z niewielu istot, które mogłyby odpłacić im pięknym za nadobne.

Lucien wyśledził stwora, po czym ostrożnie, całymi godzinami zwabialiśmy go z powrotem do obozu, gdzie Dagdan i Brannagh chełpili się swoim mordem. Zdołali uciec, ale – sądząc po odgłosach – po solidnej dawce krzyku i walki. Twarze mieli całkowicie blade jeszcze przez długie godziny później. Każde spojrzenie, które nam posyłał, wręcz ociekało nienawiścią.

Lucien odchrząknął. Wstał.

– Tam... ci ludzie to były ledwie dzieci. Feyra nakazała księżętom ich zaniechać. Zignorowali ją. Jeśli pozwolimy Hybernijczykom nami pomiatać, możemy stracić więcej niż tylko ten sojusz. Bogge przypomniał im też, że nie jesteśmy bezbroni.

Tamlin nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Wynoś. Się – wycedził do Luciena.

Powiedział to tak gwałtownie, że żadne z nas nie zaprotestowało. Lucien wyszedł i zamknął za sobą podwójne drzwi. Posłałam swoją moc na korytarz i wyczułam go siedzącego u stóp schodów. Nasłuchiwał. Tak samo jak szóstka stojących przed drzwiami strażników.

– Nie zwracaj się do mnie w ten sposób – powiedziałam do Tamlina i sztywno wyprostowałam plecy. – Obiecałeś mi, że nie będziesz się tak zachowywał.

– Nie masz pojęcia, czym ryzykujemy...

– Nie mów do mnie w ten sposób. Nie po tym, co przeszłam, próbując tu wrócić, do ciebie. Do naszego *ludu*. Sądzisz, że ktokolwiek tu cieszy się na współpracę z Hybernią? Myślisz, że nie widzę tego w ich twarzach? Pytania, czy jestem warta tej ujmy na honorze?

Ponownie zaczął ciężko dyszeć. Dobrze, chciałam go wyprowadzić

z równowagi. Bardzo dobrze.

– Zaprzedałeś nas, żeby mnie odzyskać – dodałam niskim zimnym tonem. – Sprzedałeś Hybernii, tak jak dziewczka sprzedaje się na ulicy. Wybacz, jeśli staram się odzyskać choć część tego, co straciliśmy.

Uwolnił pazury, a z gardła wydobył złowrogi warkot.

– Wytropili i zaszlachtowali tych ludzi dla zabawy – ciągnęłam. – Może ty jesteś skłonny paść na kolana przed Hybernijczykami, ale ja tego nigdy nie zrobię.

Wybuchnął.

Niektóre meble poszły w drzazgi, innymi cisnął na drugą stronę pomieszczenia; szyby w oknach popękały i ustąpiły z trzaskiem.

Tym razem nie otoczyłam się barierą ochronną.

Stolik roboczy uderzył mnie z impetem i poleciałam razem z nim prosto w regał z książkami. Ciało i kości zaprotestowały i zapłonęły bólem we wszystkich miejscach, w których zetknęły się z twardym drewnem.

Opadłam ciężko na kolana, a Tamlin doskoczył do mnie w okamgnieniu z roztrzęzionymi rękami...

Drzwi stanęły otworem.

– Coś ty zrobił? – zapytał szeptem Lucien.

Twarz Tamlina była obrazem rozpacz. Przyjaciel odepchnął go na bok. Tamlin *pozwolił*, by Lucien odepchnął go na bok i pomógł mi wstać.

Coś mokrego i ciepłego spłynęło moim policzkiem – krew, wnosząc po zapachu.

– Chodź, doprowadzimy cię do porządku – powiedział Lucien.

Otoczył mnie ramieniem i wyprowadził z gabinetu. Ledwo go słyszałam przez dzwonienie w uszach. Cały świat lekko wirował.

Dwóch strażników – Bron i Hart, dwóch ulubionych szlachetnie urodzonych żołnierzy Tamlina – przyglądało nam się z wybałuszonymi oczami, co rusz zerkając to na zniszczone wnętrze pomieszczenia, to na moją twarz.

Nie bez powodu. Gdy Lucien przeprowadził mnie koło lustra w złożonej ramie wiszącego na ścianie korytarza, przyjrzałam się

temu, co tak ich przeraziło. Spojrzenie miałam szkliste, twarz całkiem bladą poza rozcięciem tuż poniżej kości policzkowej, długim może na dwa cale, z którego sączyła się krew.

Szyję i dłonie miałam pokryte licznymi drobnymi zadrapaniami. Zmusiłam oczyszczającą uzdrawiającą moc – podarowaną mi przez księcia Dworu Świtu – by nie odszukiwała ich. By ich nie leczyła.

– Feyro. – Zza naszych pleców dobiegł szept Tamlina.

Zatrzymałam się, świadoma każdej obserwującej mnie pary oczu.

– Nic mi nie jest – wyszeptałam. – Przepraszam. – Otarłam krew spływającą policzkiem. – Nic mi nie jest – powtórzyłam.

Nikt, nawet Tamlin, nie wyglądał na przekonanego.

A gdybym mogła namalować tę chwilę, obraz zatytułowałabym *Portret sideł i przynęty*.

\*\*\*

Rhysand przesłał naszą więzią wiadomość w chwili, gdy tylko zanurzyłam się w gorącej wodzie wypełniającej wannę.

„Jesteś cała?”

Pytanie było nikłe, nasza więź – cichsza i bardziej napięta niż jeszcze parę dni temu.

„Obolała, ale cała. Nic, z czym bym sobie nie poradziła”. Choć wciąż nosiłam odniesione rany. A ich gojenie nie przyśpieszało. Może byłam zbyt dobra w trzymaniu tych uzdrawiających mocy na wodzy.

Długo kazał mi czekać na odpowiedź. Ale kiedy nadeszła, wszystkie słowa pojawiły się naraz, tak jakby chciał upchnąć je wszystkie w jednej chwili, zanim utnie je dzieląca nas odległość.

„Za dobrze cię znam, by ci mówić, byś na siebie uważała, lub by cię namawiać do powrotu do domu. Ale chcę, byś wróciła. Wkrótce. I chcę jego śmierci za to, że podniósł na ciebie rękę”.

Pomimo dzielącej nas odległości jego wściekłość przesączyła się wzduż więzi.

Odpowiedziałam kojącym suchym tonem: „W zasadzie nie podniósł na mnie ręki, to jego magia mnie skrzywdziła”.

Woda w wannie zdążyła wystygnać do czasu nadejścia jego

kolejnych słów: „Cieszę się, że potrafisz na to patrzeć z przymrużeniem oka. Ja nie potrafię”.

Wysłałam mu obraz mnie pokazującej mu język.

Gdy przyszła jego odpowiedź, służąca przyniosła już moje ubrania.

Podobnie jak moja wiadomość przekaz nie zawierał słów, jedynie obraz. Podobnie jak w mojej wiadomości Rhysand miał wytknięty język.

Ale robił nim coś zgoła innego.

\*\*\*

Następnego dnia ostentacyjnie udałam się na przejażdżkę. Upewniłam się, że Bron i Hart będą akurat trzymali wartę, i poprosiłam ich o towarzyszenie mi.

Nie mówili wiele, ale czułam na sobie ich taksujące spojrzenia za każdym razem, gdy krzywiłam się z bólu na nierównych drózkach przecinających wiosenny las. Czułam ich wzrok badający szramę na mojej twarzy i sińce wyglądające spod ubrań, z powodu których co pewien czas cicho syczałam. Ku memu zaskoczeniu wciąż nie wszystko się zagoiło –uznałam, że działało to na moją korzyść.

Wczorajszego dnia przy kolacji Tamlin błagał mnie o wybaczenie – a ja mu je dałam. Ale Lucien przez cały wieczór nie odezwał się do niego ani słowem.

Jurian i hybernijscy książęta narzekali na opóźnienia, kiedy cichym głosem wyznałam, że z powodu licznych stłuczeń nie mogę im towarzyszyć w kolejnej wyprawie do muru. Tamlin nie miał czelności, by zasugerować, by jechali beze mnie; nie odważył się odebrać mi tej powinności. Powstrzymywały go przed tym fioletowe ślady na mojej skórze przypominające o tym, że gdybym była tylko człowiekiem, mogłabym już nie żyć.

A Dagdan i Brannagh, po spotkaniu z niewidzialnymi koszmarami bogge’a nasłanego na nich przeze mnie i Luciena, wycofali się. Na razie. Cały czas utrzymywałam tarcze wokół swoich myśli i umysłów pozostałych. Związany z tym wysiłek okupiłam nieustannym bólem głowy sprawiającym, że każdy inny czar zdawał się mizerny i słaby.

Chwila wytchnienia na granicy nie zdała się na wiele – sprawa się wręcz pogorszyła po tym, jak musiałam precyzyjnie się swoją mocą przez szczelinę w murze.

Zaprosiłam Ianthę do rezydencji, dyskretnie prosząc ją o pokrzepiające towarzystwo. Przybyła z pełną świadomością zajść w gabinecie Tamlina – niby nieumyślnie zdradziła, że Tamlin wszystko jej wyznał i błagał o rozgrzeszenie wobec Matki, Kotła i kogo tam jeszcze. Tego wieczora trajkotałam jej o własnym przebaczeniu i demonstracyjnie skorzystałam z jej dobrej rady – powiedziałam dworzanom i innym biesiadnikom zasiadającym przy naszym stole, jakie mieliśmy szczęście, że Tamlin *wspólnie* z Ianthą strzegą naszych ziem.

Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jakim sposobem żadne z nich nie przejrzało mojej gry.

Dlaczego postrzegali moje słowa jako dziwny zbieg okoliczności, a nie wyzwanie. Groźbę.

Ostatni kuksaniec.

Zwłaszcza gdy tuż po północy na tereny pałacowe wdarło się siedem nag.

Unieszkodliwiono je, zanim zdołały dotrzeć do rezydencji – atak został powstrzymany dzięki wizji zesłanej przez sam Kocioł samej Iancie.

Tumult i wrzaski obudziły wszystkich domowników. Pozostałam w swojej sypialni. Pod moimi oknami i przed drzwiami stali strażnicy. Tamlin – ciężko dyszący i cały we krwi – osobiście przyszedł powiadomić mnie, że rezydencja jest już na powrót bezpieczna. Że przy nagach znaleziono klucze do bramy, a strażnik, który je zgubił, poniesie konsekwencje zaraz rano.

Dziwaczny wypadek, ostateczny pokaz siły ze strony plemienia, które nie odeszło spokojnie po upadku Amaranthy.

Wszystkich nas od dalszych krzywd ocaliła Iantha.

O poranku zebraliśmy się przed koszarami. Lucien stał z bladą, ściągniętą twarzą, z fioletowymi sińcami pod oczami o nieobecnym spojrzeniu. Wybudzony w nocy nie wrócił już do swojej komnaty.

Obok mnie stali Jurian i hybernijscy ksiąężta, milczący i ponurzy.

Tamlin chodził w tę i we w tę przed strażnikiem rozciągniętym między dwoma słupami.

– Miałeś zadanie strzec tego pałacu i jego mieszkańców.

Rozebrany do pasa mężczyzna drżał na całym ciele.

– Nie tylko znalaziono cię śpiącego przy bramie, ale to *twoje* klucze zaginęły. – warknął Tamlin. – Zaprzeczysz?

– Ja... ja nigdy nie zasypiam. Nigdy dotąd mi się to nie zdarzyło. Musiałem się tylko zdrzemnąć na minutę czy dwie – wyjąkał zapytany i poruszył ramionami do wtóru jęku krępujących go lin.

– Naraziłeś na szwank życie wszystkich mieszkańców tej posiadłości.

A to nie mogło pozostać bez kary. Nie z hybrynijskimi książętami wypatrującymi tylko jakiegokolwiek oznaki słabości.

Tamlin wyciągnął rękę. Bron podszedł do niego z kamienną twarzą i podał mu bat.

Wszyscy strażnicy, jego najbardziej zaufani wojownicy, poruszyli się niespokojnie. Niektórzy spoglądali wprost wyzywająco na Tamlina, inni starali się nie patrzeć na to, co miało się za chwilę wydarzyć.

Chwyciłam Luciena za dłoń. Nie zrobiłam tego wyłącznie na pokaz.

Iantha postąpiła krok naprzód z ramionami skrzyżowanymi na brzuchu.

– Dwadzieścia batów. I jeszcze jeden na wybaczenie Kotła.

Strażnicy posłali jej nienawistne spojrzenia.

Tamlin rozwinął bat na ziemi.

Wtedy zaczęłam działać. Wślizgnęłam się do umysłu strażnika i wyzwoliłam wspomnienie, które wcześniej owinęłam ciasno w jego głowie – uwolniłam też jego język.

– To ona – wydyszał, wskazując brodą Ianthę. – To ona zabrała klucze.

Tamlin zamrugał, a wszyscy zebrani spojrzeli na kapłankę.

Na jej twarzy nie zadrgał nawet jeden mięsień. Stała niewzruszona wobec tego oskarżenia – wobec prawdy ciśniętej jej w twarz.

Byłam ciekawa, co zrobi, by zniwelować mój pokaz siły w dzień przesilenia. Śledziłam jej poczynania cały tamten dzień i całą noc. Kilka chwil po moim oddaleniu się do swojej komnaty udała się do koszar i wykorzystywała jakiś strzęp mocy, by uśpić strażnika i wykraść mu klucze. Następnie rozsiała ostrzeżenia o nadchodzącym ataku nag... uprzednio wręczyszy stworom klucze do bramy.

Tak aby mogła wzniecić wczorajszej nocy alarm. Tak aby to *ona* mogła nas ocalić przed prawdziwym zagrożeniem.

To byłby nawet sprytny pomysł – gdyby tylko nie wpisywał się doskonale w moje plany.

– Czemuż miałabym zabierać jego klucze? – odparła niewzruszona Iantha. – Ostrzegłam wszystkich przed atakiem.

– Byłaś w koszarach... Widziałem cię tamtej nocy – nie ustępował strażnik, po czym spojrzał błagalnie na Tamlina.

To nie lęk przed bólem nim powodował – skonstatowałam. Nie, baty byłyby zasłużone i zniósłby je z podniesioną głową. Bał się utraty honoru.

– Sądziłam, Tamlinie, że twoi strażnicy mają dość godności, by nie łągać, próbując się uchronić przed bólem – powiedziała Iantha z twarzą równie spokojną co zawsze.

Tamlin, trzeba mu to oddać, długo przyglądał się swojemu żołnierzowi. Postąpiłam naprzód.

– Wysłucham, co ma do powiedzenia.

Niektórzy ze strażników odetchnęli z ulgą. Inni spojrzeli na mnie ze współczuciem i uwielbieniem.

Iantha uniosła brodę.

– Z całym szacunkiem, moja pani, ale to nie ty wydajesz tu sąd.

I proszę. Próba zbitcia mnie z pantałyku.

Zignorowałam ją całkowicie, bo doskonale wiedziałam, że wyprowadzi ją to z równowagi.

– Wysłucham twojej wersji wydarzeń – zwróciłam się do strażnika.

Nie odrywałam od niego wzroku i liczyłam oddechy, modląc się w duchu, by Iantha połknęła przynętę...

– Jesteś gotowa postawić słowo strażnika ponad słowo wysokiej



kapłanki?

Moja odraza wobec jej słów nie była całkowicie udawana – chociaż ukrycie kpiącego uśmiešku wymagało pewnego wysiłku. Zebrani żołnierze poruszyli się niespokojnie na tę obrazę, na ton jej głosu. Nawet jeśli nie do końca wierzyli swojemu towarzyszowi broni, po tych jej słowach zrozumieli, że to ona jest winna. Przeniosłam wzrok na Tamlina i ujrzałam błysk w jego oku. Błysk zrozumienia.

Iantha zbyt zapalczywie protestowała.

Och, doskonale wiedział, że Iantha zapewne zaplanowała ten atak, by odzyskać choć odrobinę wpływów – jako ta, która ocaliła życie tylu osób.

Twarz księcia wykrzywiła się z dezaprobatą.

Każdemu z nich dałam linę. Teraz nastąpiła chyba chwila, by się przekonać, czy się na niej powieszą.

Pozwoliłam sobie zrobić jeszcze jeden krok do przodu i wyciągnęłam ręce ku Tamlinowi, otwartymi dłońmi do góry.

– Może to był błąd. Nie rań go batem, nie odbieraj honoru, nie wysłuchawszy go uprzednio.

Oczy Tamlina ledwo zauważalnie złagodniały. Milczał; rozważał.

Ale wtedy usłyszałam zza pleców parsknięcie Brannagh.

– Żałosne – mruknęła tak, że wszyscy ją usłyszeli.

Słaby. Bezradny. Bezbronny. Widziałam te słowa przemykające przez twarz Tamlina, jakby wybiegały z jego myśli i zatrzaśkiwały za sobą drzwi.

Nie było innej interpretacji – nie dla niego.

Iantha patrzyła na mnie, stojącą przed zebraniem tłumem. Oceniała wpływy, które – jak właśnie demonstrowałam – mogłam jej odebrać. Gdyby przyznała się do winy... Straciłaby wszystko, co jeszcze jej pozostało.

Tamlin już otwierał usta, ale Iantha była szybsza.

– Są prawa, których trzeba przestrzegać – zwróciła się do mnie tak protekcyjnym tonem, że miałam ochotę rozorać jej twarz paznokciami. – Tradycje. Zdradził nasze zaufanie, przez jego niefrasobliwość doszło do rozlewu krwi. Teraz chce zrzucić winę za

swoje działania na wysoką kapłankę. To nie może pozostać bez kary. – Skinęła głową Tamlinowi. – Dwadzieścia jeden batów, książę.

Wodziłam wzrokiem między nimi dwojgiem. W ustach mi zaschło.

– Proszę cię. Po prostu go wysłuchaj.

Strażnik rozpięty między słupami patrzył na mnie z taką nadzieją i wdzięcznością.

W tej... w tej sytuacji moja zemsta zdawała się czymś lepkiem, obcym i mdlącym. Ból by minął, ale plama na honorze... Mój również by ucierpiał.

Tamlin długo wpatrywał się we mnie, potem w Ianthę. Na koniec spojrzał na uśmiechających się szyderczo Hybernijczyków... Na Juriana stojącego ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i nieodgadnionym wyrazem twarzy.

I tak jak miałam nadzieję, potrzeba kontroli, siły przeważała u księcia Dworu Wiosny.

Iantha była zbyt ważnym sprzymierzeńcem, by ryzykować jej wyizolowanie. Słowo pośledniego strażnika... nie, nie miało takiej wagi jak jej słowo.

Tamlin obrócił się twarzą do przywiązanego do słupów.

– Daj mu drewno – rozkazał cicho Bronowi.

Ten zawahał się przez krótką chwilę między dwoma uderzeniami serca – tak jakby poraził go szok wywołany książęcym poleceniem. Tak jak poraził wszystkich strażników. Stał po stronie Ianthy – postawił ją wyżej od nich. Jego wiernych żołnierzy.

Tych, którzy raz za razem przekraczali mur w kolejnych próbach przełamania kłatwy. Którzy robili to chętnie, którzy chętnie *umierali*, zabijani w wilczej postaci – dla niego. Wilk, którego ja zabiłam, Andras... On również poszedł chętnie. Tamlin wysłał ich wszystkich i nie wszyscy powrócili. Poszli z własnej woli, a on... tak im dziękował. Oto jest wdzięczność. Oto jego zaufanie.

Ale Bron wykonał polecenie i wsunął kawałek drewna między zęby dygoczącego towarzysza broni.

Wnosząc po ledwie skrywanej odrazie malującej się na twarzach strażników, przynajmniej oni byli świadomi tego, co właśnie zaszło

– albo co oni uważali, że zaszło: wysoka kapłanka zaaranżowała ten atak, żeby ukazać siebie jako zbawczynię – kosztem reputacji jednego z nich. Nie mieli pojęcia, nie podejrzewali nawet, że to ja sprowokowałam ją do tego, popychałam i popychałam, aby wydobyć na wierzch jej prawdziwy charakter. By ukazać, jak mało dla niej znaczyli ci, którzy nie mieli żadnego tytułu.

Jak Tamlin wypełniał każde jej polecenie – bez pytania, bez sprzeciwu.

Nie musiałam bardzo udawać, gdy uniosłam dłoń do szyi i cofnęłam się o krok, potem kolejny, aż poczułam na plecach ciepło Luciena i oparłam się o niego całym ciężarem.

Zebrani strażnicy spoglądali na Ianthę, na Hybernijczyków. Tamlin zawsze był jednym z nich. Zawsze walczył o nich.

Aż do teraz. Aż do przymierza z Hybernią. Dopóki nie postawił tych obcych potworów wyżej od nich. Dopóki nie postawił knującej wysokiej kapłanki wyżej od nich.

Tamlin przyglądał nam się bacznie, spoglądał na dłoń Luciena spoczywającą uspokajająco na moim ramieniu, jednocześnie unosząc bat.

Potężne trzaśnięcie rozległo się echem w koszarach, w całej posiadłości.

Przeniknęło do najgłębszych fundamentów tego dworu.

## Rozdział 9

Iantha na tym nie skończyła.

Wiedziałam to, szykowałam się na to. Nie wróciła do swojej świątyni oddalonej o kilka mil od księżęcej rezydencji.

Pozostała tutaj, korzystając z okazji, by wślizgnąć się bliżej Tamlina. Była przekonana, że zyskała przyczółek, że wymierzona przez nią sprawiedliwość i wybatożenie strażnika były jedynie ostatnim policzkiem wymierzonym obserwującym zajście żołnierzom.

A gdy skazaniec zawisł bezwładnie na krępujących go linach, kiedy jego towarzysze broni podeszli do niego, by go delikatnie odwiązać, Iantha jedynie zaprosiła Hybernijczyków i Tamlina do pałacu na posiłek. Ja jednak pozostałam w koszarach i nosiłam misy wypełnione wodą zmieszaną z krwią, podczas gdy uzdrowicielka opatrywała w milczeniu rany majającego z bólu strażnika.

Kilka godzin później Bron i Hart osobiście odprowadzili mnie do rezydencji. Podziękowałam im obu, wymieniając ich imiona. Przeprosiłam, że nie zdołałam temu zapobiec – knowaniom Ianthy i niesprawiedliwej karze wymierzonej ich przyjacielowi. Każde moje słowo było szczere; trzask bata wciąż dźwięczał mi w uszach.

Wtedy oni wypowiedzieli słowa, na które czekałam. Oni również przeprosili, że nie zdołali temu wszystkiemu zapobiec.

Nie tylko dzisiaj. Sińce już bladły – w końcu. Mieli na myśli też inne wydarzenia.

Gdybym ich poprosiła, oddaliby mi swoje noże i pozwolili rozplatać gardła.

Następnego wieczoru śpieszyłam do swojej komnaty, by przebrać się na wieczerzę, kiedy Iantha wykonała kolejny ruch.

Rano miała wraz z nami udać się do muru.

Nie tylko ona – Tamlin też.

Jeśli mamy wszyscy stanowić jednolity front – oświadczyła

w trakcie posiłku – chciała sama zobaczyć barierę oddzielającą nasz świat od krain śmiertelników.

Hybernijczycy przyjęli to z obojętnością. Ale Jurian mrugnął do mnie, tak jakby chciał dać znać, że on również dostrzega jej intencje.

Tej nocy spakowałam swoje rzeczy.

Alis przyszła tuż przed porą snu z trzecim plecakiem w dłoniach.

– Ponieważ wyprawa będzie dłuższa, przyniosłam prowiant.

Nawet z Tamlinem dołączającym do nas było nas zbyt wiele, byśmy mogli wszyscy przeskoczyć bezpośrednio do celu.

Mieliśmy zatem zrobić to co poprzednio – pokonywać drogę etapami. Kilka mil naraz.

Alis postawiła plecak obok mojego, po czym wzięła szczotkę z toaletki i wskazała, bym usiadła na wyściełanym taborecie przed lustrem.

Zrobiłam, o co prosiła. Przez kilka minut szczotkowała mi włosy w milczeniu.

– Kiedy wyruszysz jutro – powiedziała – ja również stąd odejdę.

Odszukałam w lustrze jej oczy.

– Moi siostrzeńcy spakowali swoje rzeczy, kuce są wyszykowane, zabiorą nas co najmniej do ziem Dworu Lata. Zbyt długo już nie widziałam domu – dodała, a oczy jej zalśniły na te słowa.

– Znam to uczucie – powiedziałam krótko.

– Życzę ci dobrze, pani – oznajmiła Alis, po czym odłożyła szczotkę i zajęła się zaplataniem mi warkocza. – Przez resztę twoich dni, jakkolwiek długie będą, życzę ci dobrze.

Pozwoliłam jej dokończyć warkocz, po czym obróciłam się na taborecie i ścisnęłam jej chude palce.

– Nigdy nie zdradzaj Tarquinowi, że mnie dobrze znasz.

Uniosła brwi w zdziwieniu.

– Przeznaczono mi krwawy rubin – wyjaśniłam.

Nawet jej przypominająca korę skóra zdawała się blednąć. Zrozumiała doskonale: Dwór Lata postrzegał mnie jako śmiertelnego wroga. Tylko śmierć była wystarczającą zapłatą za moje zbrodnie.

Alis uścisnęła moją dłoń.

– Krwawy rubin czy nie, zawsze będziesz miała na Dworze Lata jedną przyjaciółkę.

Ścisnęło mnie w gardle.

– A ty zawsze będziesz miała przyjaciółkę na moim dworze – przyrzekłam jej.

Wiedziała, który dwór mam na myśli. I nie wyglądała na przełęczoną.

\*\*\*

Strażnicy uciekali spojrzeniami od Tamlina; nawet się do niego nie odzywali poza absolutną koniecznością. Towarzyszyć nam mieli Bron, Hart i trójka innych. Widzieli mnie, kiedy przed świtem zawitałam do koszar, by dowiedzieć się o stan ich towarzysza – dobrze wiedziałam, że nikt z pozostałych tego nie zrobił.

Przeskakiwanie sprawiało wrażenie brnięcia przez gęste błoto. Po prawdzie moje moce bardziej mi ciążyły, niż pomagały. Do południa dorobiłam się pulsującego bólu w skroniach i ostatni odcinek podróży przebyłam z zawrotami głowy i dezorientacją wywołaną kolejnymi przeskokami.

Dotarliśmy na miejsce i rozbiliśmy obóz w niemal całkowitej ciszy. Nieśmiało zapytałam, czy mogłabym dzielić namiot z Ianthą zamiast z Tamlinem; starałam się sprawiać wrażenie, że chcę zasypać przepaść, która pojawiła się między nami z powodu chłosty. Ale robiłam to bardziej w celu odwrócenia jej uwagi od Luciena niż utrzymania księcia z dala ode mnie. Kolacja została ugotowana i zjedzona, rozesłano posłania, Tamlin rozkazał Bronowi i Hartowi wziąć pierwszą wartę.

Leżenie obok Ianthy i niepoderżnięcie jej gardła było próbą cierpliwości i panowania nad sobą.

Ale za każdym razem, gdy ukryty pod poduszką nóż zdawał się szeptać jej imię, przypominałam sobie moich przyjaciół. Rodzinę, która wciąż żyła – i leczyła rany na północy.

W ciemności powtarzałam bezgłośnie raz po raz ich imiona.

Rhysand. Mor. Kasjan. Amrena. Azriel. Elaina. Nesta.

Myślałam o tym, jakich ich ostatni raz widziałam, tak

pokrwawionych i cierpiących. Wspominałam wrzask Kasjana, gdy jego skrzydła były rozdierane w strzępy; groźbę Azriela rzuconą królowi, gdy ten ruszył w stronę Mor. Nestę opierającą się zawzięcie przed wrzuceniem do Kotła.

Moim celem było coś więcej niż tylko zemsta. Moja sprawa przerastała osobisty odwet.

Wzeszło słońce; mimo wszystko obudziłam się z dłonią zaciśniętą na rękojeści noża. Wyciągnęłam go spod poduszki, usiadłam i spojrzałam na śpiącą kapłankę.

Smukła szyja zdawała się lśnić w promieniach porannego słońca przeciskających się między połami zasłaniającymi wejście do namiotu.

Zważyłam w dłoni broń.

Miałam wątpliwości, czy przyszłam na ten świat z umiejętnością przebaczenia. Nie potrafiłam puścić w niepamięć krzywd wyrządzonych tym, których kochałam. O te wyrządzone mnie nie dbałam – a na pewno dużo mniej.

Ale gdzieś w głębi mojej duszy tkwił mocny stalowy słup, nieugięty i niewzruszony. Nie potrafiłam znieść myśli o puszczeniu im płazem tego, co uczynili.

Iantha otworzyła oczy – turkus tak czysty jak kamienie na leżącym obok diademie. Spojrzała na nóż w mojej dłoni. Potem na moją twarz.

– Nie można być zbyt ostrożnym, kiedy dzieli się obóz z wrogiem – powiedziałam.

Przysięgłabym, że w jej oczach ujrzałam błysk czegoś przypominającego lęk.

– Hybernia nie jest naszym wrogiem – powiedziała, z lekkim trudem łapiąc oddech.

Gdy opuszczała namiot, bladość jej twarzy powiedziała mi, że posłany w odpowiedzi uśmiech osiągnął zamierzony cel.

\*\*\*

Lucien i Tamlin pokazali bliźniętom szczelinę w murze.

Podobnie jak w przypadku dwóch pozostałych całymi godzinami

badali ją i okolicę.

Tym razem trzymałam się blisko nich, obserwowałam. Dziś moją obecność odbierali względnie neutralnie, może jako pewną niedogodność. Owszem, rozgrywaliśmy nasze gierki, przekonali się, że gdy zechcę, potrafię ukąsić, ale tolerowaliśmy się nawzajem.

– Tutaj – mruknęła Brannagh do Dagdana, wskazując brodą niewidzialną barierę.

Jedyną oznaką jej istnienia była różnica w drzewach: po naszej stronie były żywe i obsypane soczyście zielonym wiosennym listowiem. Liście po drugiej stronie były ciemne i szerokie, zwijające się nieco od gorąca – pełnia lata.

– Pierwsza była lepsza – zaoponował Dagdan.

Usiadłam na niewielkim głazie i przystąpiłam do obierania jabłka kozikiem.

– I bliżej zachodniego wybrzeża – dodał.

– Ta jest bliżej kontynentu... cieśniny.

Wbiłam ostrze noża głęboko w owoc i wykroiłam kawałek białego mięszu.

– Owszem, ale mielibyśmy lepszy dostęp do zapasów księcia Dworu Wiosny.

Który to właśnie przemierzał las z Jurianem, polując na jedzenie bardziej sycące od kanapek w naszych plecakach. Iantha udała się nad pobliski strumyk, by się pomodlić. Gdzie zaś byli Lucien czy strażnicy, nie miałam pojęcia.

Dobrze. Łatwiej będzie mi zrobić to, co planowałam. Włożyłam odkrojony kawałek jabłka do ust.

– Moim zdaniem powinniśmy wykorzystać tę – powiedziałam, przeżuwając owoc.

Obrócili się w moją stronę. Brannagh uśmiechała się drwiąco, a Dagdan uniósł wysoko brwi.

– A co ty o tym wiesz? – zapytała księżniczka.

Wzruszyłam ramionami i odkroiłam kolejny kęs jabłka.

– Rozmawiacie głośniej, niż się wam wydaje.

Wymienili oskarżycielskie spojrzenia. Dumni, zarozumiali, okrutni. Miałam dwa tygodnie, by ich ocenić.



– Jeśli nie chcecie ryzykować, że pozostałe dwory zgromadzą swoje siły i przetną wam drogę, zanim przepłyniecie cieśninę, wybrałabym tę.

Brannagh przewróciła oczami.

– Ale co ja tam wiem, prawda? – ciągnęłam pozornie znudzonym głosem. – Wy przez pięćset lat nie wyściubialiście nosa poza maleńką wyspę. To oczywiste, że wiecie o Prythianie i przemieszczaniu wojsk więcej ode mnie.

– Tu nie chodzi o wojska – wysyczała Brannagh. – Zatem mam nadzieję, że będziesz grzecznie milczała, dopóki nie znajdziemy dla ciebie zajęcia.

Parsknęłam.

– Chcesz powiedzieć, że w tych całych podchodach wcale nie chodziło o znalezienie miejsca na przebicie się przez mur i wykorzystanie Kotła, by *jednocześnie* przenieść tu wasze główne siły?

Zaśmiała się i odrzuciła ciemną zasłonę swoich włosów na plecy.

– Kocioł nie służy do przenoszenia żołactwa. Jego przeznaczeniem jest kształtowanie światów na nowo. Zniszczenie tego odrażającego muru i odzyskanie należnego nam miejsca.

Skrzyżowałam nogi.

– Można by pomyśleć, że dysponując dziesięcioma tysiącami żołnierzy, nie trzeba wykorzystywać magicznych przedmiotów do odwalania brudnej roboty.

– Dziewczyno, nasza armia jest dziesięciokrotnie silniejsza – zaszydziła Brannagh. – A nawet dwudziestokrotnie, jeśli doliczyć wojska naszych sprzymierzeńców z Vallahanu, Montesere’u i Rasku.

Dwieście tysięcy. Matko, miej nas w swej opiece.

– Zdecydowanie nie próżnowaliście przez te wszystkie lata. – Przyjrzałam im się całkowicie niewzruszona. – Czemu nie zaatakowaliście, kiedy Amarantha kontrolowała wyspę?

– Król nie miał wtedy jeszcze Kotła mimo długich lat poszukiwań. Amarantha była eksperymentem. Sposobem sprawdzenia, jak można złamać tutejszych mieszkańców. A także doskonałą motywacją dla naszych sprzymierzeńców z kontynentu, by do nas dołączyli. Żeby

nie podzielić losu Prythianu.

Dokończyłam jedzenie jabłka i cisnęłam ogryzek między drzewa. Odprowadzili go wzrokiem jak dwa ogary śledzące lot bażanta.

– A więc wszyscy zbiorą się tutaj? Mam ugościć tak liczne wojska?

– Nasze siły zajmą się Prythianem, a dopiero potem dołączą do pozostałych. Nasi dowódcy już teraz czynią stosowne przygotowania.

– Musicie obawiać się porażki, skoro sięgacie po Kocioł, by pomógł wam wygrać.

– Kocioł sam w sobie jest zwycięstwem. Oczyszczy cały ten świat.

Uniosłam lekceważąco brwi.

– I potrzebujecie tego właśnie miejsca, by skorzystać z jego magii?

– To właśnie miejsce – wtrącił się Dagdan, kładąc dłoń na rękojeści miecza – istnieje, ponieważ ktoś lub coś o potężnej mocy przeszło przez mur. Kocioł zbada, jak to się stało, i wzmocni efekt, aż cała bariera zniknie. To złożony proces, wymagający ostrożności. Nie sądzę, by twój śmiertelny umysł zdołał go pojąć.

– Zapewne masz rację. Chociaż ten śmiertelny umysł zdołał rozwiązać zagadkę Amaranthy... i zniszczyć ją.

Brannagh odwróciła się twarzą w stronę muru.

– Jak myślisz, dlaczego król Hybernii pozwolił jej żyć tak długo na tych ziemiach? Zawsze lepiej, by ktoś inny wykonał za ciebie brudną robotę.

\*\*\*

Miałam to, czego mi było trzeba.

Tamlin i Jurian jeszcze nie wrócili z polowania, książęta byli zajęci, a strażników odesłałam, by przynieśli więcej wody, udając, że wciąż czuję niektóre sińce i potrzebuję przygotować na nie maść.

Wyglądali na wściekłych. Nie na mnie – na tego, który mnie tak posiniaczył. Który postawił Ianthę wyżej od nich – a Hybnię wyżej od honoru i swojego ludu.

Zabrałam ze sobą trzy plecaki, ale potrzebowałam tylko jednego. Tego, do którego pieczołowicie przepakowałam zapasy przyniesione przez Alis, teraz leżącego obok wszystkiego, co przygotowałam

z myślą o wymknięciu się i opuszczeniu tych ziem. Tego, który zabierałam ze sobą na każdą wyprawę na oględziny muru – na wszelki wypadek. A teraz...

Znałam liczebność, znałam cel, znałam konkretne miejsce, a także nazwy ich sprzymierzeńców z kontynentu.

Ale co najważniejsze: miałam fae, którzy stracili wiarę w swoją wysoką kapłankę. Miałam strażników, którzy zaczęli się buntować przeciwko swemu księciu. I w rezultacie tego wszystkiego miałam hybernihskich książąt wątpiących w siłę swoich sojuszników z Dworu Wiosny. Którego upadek właśnie zapoczątkowałam. Nie wskutek ataku z zewnątrz, ale w rezultacie wewnętrznych animozji.

I musiałam zniknąć, zanim wszystko zacznie się walić. Zanim ostatni element mojego planu wskoczy na swoje miejsce.

Wrócą do rezydencji już bez mnie. A żeby utrzymać iluzję siły, Tamlin i Iantha skłamią na ten temat – nie zdradzą, dokąd się udałam.

I może po dniu albo dwóch jeden ze strażników się wygada. Przekaze słowa podstępu, który pieczołowicie utkałam w jego umyśle, podobnie jak wcześniejsze sidła.

Że uciekałam w obawie o swoje życie – po tym jak siostrzeniec i siostrzenica króla Hybernii prawie mnie zabili. W myślach strażnika ukryłam obrazy mojego okaleczonego ciała noszącego ślady zgodne z tym, co Dagdan i Brannagh zdążyli wszystkim pokazać. Opiszę wszystko ze wszystkimi szczegółami – jak pomógł mi uciec, zanim było za późno. Jak musiałam umykać, gdy Tamlin i Iantha nie ujęli się za mną w obawie o narażenie na szwank swojego sojuszu z Hybernią.

A gdy już to wszystko opowie, nie mogąc dłużej trzymać tego w tajemnicy, widząc, że Tamlin ukrywa prawdę do spółki z Ianthą, tak samo jak wcześniej stanął po jej stronie w sprawie chłosty niewinnego żołnierza...

Gdy opiszę, co Hybernihczycy uczynili mnie, ich Wyzwolicielce, dopiero co pobłogosławionej przez Kocioł, zanim zdołałam uciec, by ocalić życie...

Wtedy przymierze rozsypie się w proch. Bo po tym nie znajdzie

się żaden strażnik ani mieszkaniec dworu, który by stanął po stronie Tamlina czy Ianthy. Nie po tym, co zrobili *mnie*.

Szybkimi krokami dopadłam namiotu i wślizgnęłam się do środka, by zabrać plecak. Nasłuchiwałam, wstrzymując oddech; rozglądałam się po obozie, po lesie.

Po kilku kolejnych sekundach miałam w ręku pas z nożami, który Tamlin zostawił w swoim namiocie. Rano wyjaśniał, że przeszkadzał mu w sprawnym posługiwaniu się łukiem.

Zarzuciłam pas na siebie; był ciężki. Ilyryjskie noże bojowe.

Dom. Wracałam do *domu*.

Nie oglądając się na obóz, ruszyłam na północ przez las. Jeśli będę przeskakiwała bez przerw na odpoczynek, w godzinę dotrę do wzgórz i wkrótce potem zniknę w jednej z jaskiń.

Pokonałam około stu jardów pod osłoną drzew, zanim stanęłam jak wryta.

Pierwszego usłyszałam Luciena.

– Zostaw mnie.

Odpowiedział mu stłumiony kobiecy śmiech.

Na jego dźwięk całą mnie zmroziło. Już go wcześniej słyszałam – we wspomnieniu Rhysanda.

Ruszaj dalej. Byli zajęci czym innym, jakkolwiek byłoby to odrażające.

Nie zatrzymuj się, nie zatrzymuj się, nie zatrzymuj.

– Sądziłam, że odszukasz mnie po rytuale – zamruczała Iantha.

Nie mogli być ode mnie dalej niż jakieś trzydzieści stóp. Wystarczająco daleko, żeby mnie nie usłyszeli, jeśli tylko będę cicho.

– Rytuał był moim obowiązkiem – odwarknął Lucien. – Wierz mi, tamta noc nie miała nic wspólnego z pożądaniem.

– Doskonale się razem bawiliśmy.

– Teraz jestem związany więzią godową.

Każda sekunda zwłoki była kolejnym uderzeniem dzwonu bijącego na mój pogrzeb. Przygotowałam dwór na upadek. Już dawno przestałam mieć jakiegokolwiek wyrzuty sumienia czy wątpliwości w związku z moim planem. Zwłaszcza skoro Alis była już bezpieczna daleko stąd.

A mimo to... mimo to...

– Przy Feyrze nie masz takich oporów.

Groźba spowita jedwabiem.

– Mylisz się.

– Czyżby? – Trzaskały gałązki, szeleściły liście, tak jakby krążyła wokół niego. – Przy niej nie możesz utrzymać rąk przy sobie.

Zbyt dobrze odegrałam swoją rolę, zbyt mocno rozpałam w niej zazdrość każdą sytuacją, kiedy udawało mi się skłonić Luciena, by dotykał mnie na jej oczach, na oczach Tamlina.

– Nie dotykaj mnie – warknął.

Ruszyłam biegiem.

Zamaskowałam odgłos moich kroków i cicho niczym pantera podeszłam na skraj niewielkiej polany, na której stali.

Lucien opierał się plecami o pień drzewa; bliźniacze obręcze z niebieskiego kamienia krępowały mu dłonie w przegubach.

Widziałam je już wcześniej. Na Rhysie, żeby zniwelować jego moc. Kamień wydobyty ze zgniłej ziemi Hybernii, zdolny tłumić magię. A w tym przypadku... utrzymać Luciena unieruchomionego przy drzewie, podczas gdy Iantha przyglądała się mu, tak jak wąż przygląda się zdobyczy.

Przesunęła dłoń po jego szerokim torsie, po brzuchu.

Gdy wyszłam spomiędzy drzew, Lucien strzelił wzrokiem w moją stronę. Strach i upokorzenie zabarwiły jego złotą skórę na czerwono.

– Dość tego – powiedziałam.

Iantha odwróciła ku mnie głowę. Jej uśmiech był tak niewinny, tak kokieterijny. Ale widziałam, jak odnotowuje plecak, Tamlinowy pas z nożami. A potem je ignoruje.

– Byliśmy właśnie w środku zabawy. Prawda, Lucienie?

Nie odpowiedział.

Na widok oków, którymi jakimś sposobem zdołała go skępować, na widok jej dłoni wciąż spoczywającej na jego brzuchu...

– Wrócimy do obozu, kiedy skończymy – rzuciła i odwróciła się z powrotem do niego.

Przesunęła rękę niżej – nie dla swojej przyjemności, ale by mi pokazać, że *może*...

Uderzyłam.

Nie nożami, nie magią, lecz umysłem.

Rozdarłam barierę, którą utrzymywałam wokół niej, by hybrydyczne bliźnięta nie mogły przejąć władania nad jej myślami, i wtargnęłam do jej świadomości.

Zdarcie pięknej maski, by odkryć pod nią rozkładającą się twarz. To właśnie przypominało wnikięcie do jej ślicznej główki, by odkryć w niej te wszystkie odrażające myśli. Cały korowód mężczyzn, na których wpływała swoją władzą, lub których zwyczajnie zmuszała do zalegnięcia z nią, których przekonywała o swoim prawie do nich. Nie dałam się wciągnąć tym wspomnieniom i wzięłam się w garść.

– Zabieraj od niego swoje łapy.

Posłuchała.

– Uwolnij go.

Lucien pobladł, gdy Iantha posłusznie wykonała moje polecenie z dziwnie nieobecnym wyrazem twarzy. Okowy z niebieskiego kamienia upadły głucho na mech.

Koszula Luciena była w nieładzie, górny guzik spodni już rozpięty.

Ryk wypełniający moje myśli był tak głośny, że ledwo słyszałam swój głos, gdy rozkazałam:

– Podnieś ten kamień.

Lucien nie odrywał pleców od drzewa. Przyglądał się w milczeniu, jak Iantha schyla się i podnosi szary chropowaty kamień wielkości jabłka.

– Połóż swoją prawą dłoń na tamtym głazie.

Posłuchała mnie, chociaż jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

Jej umysł miotał się i usiłował się wyrwać niczym ryba na haczyku wędkarza. Wbiłam szpony swoich myśli głębiej, aż jakiś jej wewnętrzny głos zaczął wrzeszczeć.

– Uderzaj kamieniem w rękę jak najmocniej, aż każę ci przestać.

Rękę, którą położyła na nim i na tyłu innych.

Iantha uniosła kamień. Pierwszemu uderzeniu towarzyszył głuchy stłumiony stuk.

Przy drugim coś trzasnęło.

Przy trzecim pociekła krew.

Unosiła i opuszczała ramię, drżąc z bólu na całym ciele.

– Nigdy już nikogo nie dotkniesz wbrew jego woli – powiedziałam głośno i wyraźnie. – Nigdy już nie będziesz sobie wmawiać, że naprawdę pragną twoich zalotów. Że bawią się z tobą. Nigdy nie zaznasz dotyku mężczyzny, jeśli on nie wykona pierwszego kroku, jeśli pragnienie nie będzie obecne po *obu* stronach.

Łup. Trzask.

– Nie będziesz pamiętała tego, co się tu wydarzyło. Pozostałym powiesz, że upadłaś.

Palec serdeczny wykrzywił się pod nienaturalnym kątem.

– Możesz udać się do uzdrowicielki, by nastawiła kości. Ale nie wolno jej usunąć blizn. Za każdym razem, gdy spojrzysz na swoją dłoń, przypomnisz sobie, że dotykanie innych wbrew ich woli ma swoje konsekwencje. A jeśli kiedykolwiek zrobisz to ponownie, wszystko, co jest tobą, przestanie istnieć. Każdego dnia będziesz żyć z tą świadomością, nie wiedząc, skąd pochodzi. Ze strachem, że coś cię goni, że coś na ciebie poluje i tylko czeka na chwilę, kiedy nie będziesz się pilnowała.

Bezgłośnie łzy bólu spłynęły po jej twarzy.

– Możesz przestać.

Zakrwawiony kamień opadł na trawę. Jej dłoń była już tylko kupą strzaskanych kości zawiniętą w porwaną skórę.

– Będziesz tu klęczała, aż ktoś cię znajdzie.

Iantha opadła na kolana. Krew ze zmiażdżonej dłoni plamiła blade szaty.

– Dziś rano rozważałam poderżnięcie ci gardła. Zastanawiałam się nad tym przez całą noc, gdy spałaś obok mnie. Myślałam o tym każdego dnia, odkąd się dowiedziałam, że wydałaś moje siostry Hybernijczykom.

Uśmiechnęłam się lekko.

– Ale sądzę, że to jest lepsza kara. I mam nadzieję, że będziesz żyła jeszcze bardzo długo, Iantho. I nigdy nie zaznasz chwili spokoju.

Wpatrywałam się w nią jeszcze przez chwilę, kończąc gobelin

słów i nakazów utkany w jej myślach, po czym obróciłam się do Luciena.

Zdażył już zapiąć spodnie i doprowadzić koszulę do porządku.

Przesunął szeroko rozwarte oczy z niej na mnie, po czym spojrzał na zakrwawiony kamień.

– Słowo, którego szukasz, Lucienie – odezwał się zza moich pleców zwodniczo łagodny kobiecy głos – brzmi „daemati”.

Oboje odwróciliśmy się gwałtownie twarzami do Brannagh i Dagdana, którzy właśnie wchodzili na polanę, uśmiechając się drapieżnie.



## Rozdział 10

**B**rannagh przeczesła palcami złociste włosy Ianthy i cmoknęła z dezaprobatą na widok krwawego ochłapu, który kapłanka przyciskała do podołka.

– Wybierasz się gdzieś, Feyro?

Odrzuciłam maskę.

– Muszę odwiedzić parę miejsc – odparłam, obserwując, jak z pozorną nonszalancją starają się mnie okrążyć.

– Cóż mogłoby być ważniejszego od wspomnienia nas? Wszak przyrzekłaś pomoc naszemu królowi.

Grali na zwłokę... chcieli mnie zatrzymać, dopóki Tamlin nie wróci z Jurianem z polowania.

Lucien odepchnął się od drzewa, ale nie stanął u mego boku. Cień udręki przemknął mu przez twarz, gdy w końcu odnotował wykradzony pas z nożami i wypakowany plecak.

– Niczego wam nie jestem winna – odparowałam w stronę Brannagh. Dagdan powoli zniknął mi z pola widzenia. – Jestem wolna i mogę udać się tam, dokąd zechcę, i zrobić to wtedy, kiedy zechcę.

– Czyżby? – zapytała w udawanym zamyśleniu Brannagh, przesuwając dłoń w stronę miecza zwisającego przy jej boku.

Obróciłam się nieco, żeby cały czas widzieć Dagdana.

– Tak staranne knowania przez te wszystkie tygodnie, tak umiejętne manewrowanie. Zdawałaś się nie martwić tym, że my robiliśmy to samo.

Nie zamierzali pozwolić Lucienowi opuścić tej polany żywym. A przynajmniej nie z pamięcią tej rozmowy.

Wydawało się, że zrozumiał to w tej samej chwili co ja. Dostrzegł, że nie zdradzaliby tego, gdyby nie mieli pewności, że ujdzie im to na sucho.

– Bierzcie sobie Dwór Wiosny – powiedziałam szczerze. – Upadnie

tak czy owak.

Lucien warknął. Zignorowałam go.

– Och, zamierzamy tak zrobić – powiedziała Brannagh, wysuwając powoli z ciemnej pochwy swój miecz. – Ale pozostaje kwestia ciebie.

Dobrym dwóm ilyryjskich noży.

– Nie zastanawiały cię te bóle głowy? Jak niektóre umysłowe więzi sprawiały wrażenie zamglonych?

Ostatnio korzystanie z moich mocy tak szybko mnie męczyło, z każdym dniem słabłam...

Dagdan parsknął.

– Daję jej jakieś dziesięć minut, zanim poczuje wpływ jabłka.

Brannagh zachichotała i trąciła czubkiem buta okowy z niebieskiego kamienia.

– Na początek daliśmy kapłance proszek. Skruszoną zgubę fae, zmieloną tak drobno, że nie mogłaś go dostrzec czy wyczuć w swoim jedzeniu. Dozowała go po trochu, ostrożnie, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Nie za wiele, by nie odebrać ci wszystkich mocy naraz.

Poczułam wzbierający niepokój.

– Jesteśmy daemati od tysiąca lat, dziewczyno – szydził Dagdan. – Ale nie musieliśmy się nawet na chwilę zapuszczać do jej umysłu, bo zrobiła dokładnie to, co chcieliśmy. Ale ty... cóż za podziwu godne starania, próbować osłonić ich wszystkich przed nami.

Dagdan sięgnął umysłem do Luciena, wystrzeliwując w jego stronę ciemną strzałę. Ochroniłam go tarczą. Chwilę później moją głowę, moje ciało przeszył ból, który poczułam aż w szpiku kości...

– Jakie jabłko? – wycodziłam.

– To, które spałaszowałaś przed godziną – odparła Brannagh. – Wyhodowane w osobistym sadzie króla, starannie podlewane wodą z rozpuszczoną w niej zgubą fae. Dość, by pozbawić cię wszystkich mocy na kilka dni, bez potrzeby stosowania oków. A ty sądziłaś, że nikt nie zauważył twoich przygotowań do zniknięcia. – Ponownie mlasnęła z niesmakiem. – Nasz wuj byłby wielce niezadowolony, gdybyśmy do tego dopuścili.

Miałam coraz mniej czasu. Mogłam przeskoczyć, ale to by

oznaczało porzucenie Luciena na ich pastwę, jeśli on nie zdołałby skoczyć za mną ze zgubą fae krążącą w jego ciele po posiłku spożytym w obozie...

Porzucić go. Powinnam i *mogłam* to zrobić.

Ale skazać go na los może straszniejszy od śmierci...

Jego zdrowe oko zalśniło.

– Ruszaj.

Podjęłam decyzję.

Rozpłynęłam się w noc, dym i cień.

Nawet tysiąc lat nie wystarczy, by Dagdan był na to wystarczająco przygotowany. Przeskoczyłam tuż przed niego i uderzyłam.

Przecięłam jego kurtę, lecz nie dość głęboko, by zabić. Gdy stal utkwiała między warstwami skóry, obrócił się wprawnie i zmusił do odsłonięcia prawego boku lub wypuszczenia rękojeści noża.

Ponownie przeskoczyłam. Tym razem Dagdan skoczył ze mną.

Nie walczyłam z hybernijskimi sługusami nieświadomymi moich możliwości. Nie walczyłam z attorem i jego pobratymcami na ulicach Velaris. Dagdan był księciem Hybernii – dowódcą.

I tak też walczył.

Przeskok. Cios. Przeskok. Cios.

Byliśmy czarnym wirem stali i cienia miotającym się po polanie. Wykorzystywałam wszystko, czego się nauczyłam przez miesiące ciężkiego treningu z Kasjanem, by utrzymać się na nogach.

Półświadomie zarejestrowałam wybałuszone oczy Luciena, nawet Brannagh wyglądała na zaskoczoną moją sprawnością.

Ale ciosy Dagdana nie były mocne – nie, były celne i szybkie, ale nie angażował pełni swoich sił.

Grał na zwłokę. Chciał mnie zmęczyć, aż moje ciało w pełni strawi zatrute jabłko, a zawarta w nim trucizna uczyni mnie niemal śmiertelną.

Zatem ugodziłam w jego najczulszy punkt.

Brannagh wrzasnęła, gdy uderzyła ją ściana płomieni.

Na mgnienie oka Dagdan stracił koncentrację. Jego ryk, gdy cięłam go głęboko w brzuch, spłoszył wszystkie ptaki z koron drzew.

– Ty podła dziwko – wykrztusił.

Uskoczył przed kolejnym ciosem. Płomienie zniknęły, ukazując klęczącą Brannagh. Zbyt późno otoczyła się barierą ochronną – spodziewała się, że uderzę siłą umysłu.

Drżała na całym ciele, z trudem łapiąc oddech z bólu. Owionął nas smród zwęglonej skóry – spalonej na jej prawym ramieniu, na żebrach, na udzie.

Dagdan ponownie rzucił się na mnie, a ja uniosłam oba noże, by zablokować jego cios.

Tym razem już się nie powstrzymywał.

Poczułam siłę uderzenia każdym calem mięśni.

Zarejestrowałam też wzbierającą, duszącą ciszę. Czułam ją już wcześniej – tamtego dnia w Hybernii.

Brannagh zerwała się na równe nogi z głośnym krzykiem.

Ale Lucien już przy niej był.

Skupiona całkowicie na mnie, na odebraniu mi piękna, którego ja ją pozbawiłam swoimi płomieniami, księżniczka nie dostrzegła jego przeskoku, dopóki nie było już za późno.

Dopóki na ostrzu miecza Luciena nie załśniły promienie słońca sączące się między gałęziami drzew. Chwilę potem stal uderzyła w ciało i kość.

Cała polana zadrżała, tak jakby w chwili, w której głowa Brannagh uderzyła głucho o ziemię, została zerwana jakaś nić łącząca bliźnięta.

Dagdan zawył i rzucił się na Luciena, przeskakując dzielące ich piętnaście stóp.

Zaatakowany ledwie zdołał wyrwać klingę z szyi Brannagh, kiedy Hybernijczyk był już przed nim z mieczem mknącym na spotkanie jego gardła.

Lucien miał za mało czasu, by zrobić cokolwiek więcej niż zatoczyć się do tyłu od śmiertelnie niebezpiecznego ciosu.

Ja miałam dość czasu, by ten cios powstrzymać.

Zbiłam klingę Dagdana jednym nożem. Królewski siostrzeniec otworzył szeroko oczy, gdy przeskoczyłam między nich i wbiłam drugie ostrze prosto w jego oczodół.

Głęboko, aż po rękajeść.

Stal przecięła miękką tkankę, zazgrzytała o kość – buchnęła krew. Gdy wyszarpnęłam nóż, Dagdan wciąż stał z ustami rozwartymi z zaskoczenia.

Pozwoliłam mu upaść na siostrę. Głuchy odgłos ciała uderzającego o ciało był jedynym, jaki rozległ się na polanie.

Spojrzałam na Ianthę. Moja moc wzbierała, w trzewiach wzbierał przeraźliwy ból. Wydałam ostatnie polecenie, zastępując wcześniejsze.

– Powiesz, że to ja zabiłam ich oboje. W samoobronie. Po tym, jak mnie niemal skatowali, czemu ty i Tamlin tylko się przyglądaliście. Nawet kiedy będą cię torturować, będziesz powtarzała, że po pozbawieniu ich życia uciekłam, by uchronić ten dwór przed ich grozą.

Jedyną odpowiedzią było nieprzytomne spojrzenie pustych oczu.

– Feyro – wychrypiał Lucien.

Nie odpowiedziałam. Wytarłam jedynie noże z krwi o plecy Dagdana i podniosłam upuszczony podczas walki plecak.

– Wracasz. Na Dwór Nocy.

Zarzuciłam pasek na ramię i w końcu spojrzałam na niego.

– Tak.

Śniada twarz pobladła. Spojrzał jednak na Ianthę, na martwych książąt.

– Idę z tobą.

– Nie – odparłam krótko i ruszyłam w stronę drzew.

Poczułam skurcz głęboko w brzuchu. Musiałam uciec – wykorzystać resztki mocy, by przeskoczyć na wzgórze.

– Nie poradzisz sobie bez magii.

Zazgrzytałam zębami, gdy przeszył mnie ostry ból, po czym zebrałam siły, by wykonać przeskok. Lucien chwycił mnie za ramię i osadził w miejscu.

– Idę z tobą – powtórzył. Umazana krwią twarz była równie jaskrawa co jego włosy. – Odzyskać moją towarzyszkę.

Nie było czasu na kłótnię. Na prawdę, deliberowanie i odpowiedzi, które tak rozpaczliwie pragnął poznać.

Tamlin i pozostali musieli usłyszeć krzyki.

– Żebym tego potem nie żałowała.

\*\*\*

Gdy godzinę później dotarliśmy do podnóża wzgórz, usta miałam pełne krwi.

Dyszałam ciężko, głowa mi pękała, a wnętrzności skręcały się z bólu.

Lucien był w niewiele lepszym stanie – jego przeskokki były równie niepewne co moje. Gdy zatrzymaliśmy się na zielonej trawie, padł na ziemię z dłońmi zaciśniętymi na kolanach.

– Nie ma... jej – wydyszał, z trudem łapiąc oddech. – Mojej magii... ani iskry. Musieli nas dzisiaj wszystkich zatruć.

A mnie uraczyli zatrutym jabłkiem, żebym nie mogła niczego zrobić.

Moja moc odpływała ode mnie jak cofająca się fala. Ale nie po to, by po chwili znów uderzyć w brzeg. Cofała się dalej i dalej w morze nicości.

Spojrzałam na słońce unoszące się już tylko o dłoń nad horyzontem. Cienie między wzgórzami były już długie i postrzępione. Zebrałam się w sobie i przeanalizowałam wszystko, czego się dowiedziałam przez te tygodnie.

Postąpiłam na północ chwiejnym krokiem. Lucien chwycił mnie za ramię.

– Chcesz skorzystać z wrót?

Przeniosłam na niego spojrzenie obolałych oczu.

– Tak.

Jaskinie – wrota, jak je nazywali – pod wzgórzami prowadziły do innych zakątków Prythianu. Z jednych skorzystałam, by dostać się bezpośrednio pod Górę. Teraz zamierzałam skorzystać z innych, by wrócić do domu. Albo tak blisko niego, jak tylko zdołam. Nie istniały żadne wrota prowadzące na Dwór Nocy – ani tu, ani gdziekolwiek indziej.

A nie miałam zamiaru ryzykować życia mych przyjaciół i sprowadzać ich tu, by mnie zabrali ze sobą. Poza tym więź między

Rhysem a mną... była już ledwie wyczuwalna.

Zalewało mnie odrętwienie. Musiałam się stąd wydostać. Teraz.

– Przejście do Dworu Jesieni jest tam.

Ostrzeżenie i wyrzut.

– Nie mogę się udać do Dworu Lata. Zabiją mnie, zanim zdołam cokolwiek powiedzieć.

Cisza. Puścił mnie. Przełknęłam z trudem ślinę, walcząc z bólem wyschniętego na wiór gardła.

– Jedyne inne wrota prowadzą pod Górę. Zapieczętowaliśmy wszystkie pozostałe przejścia. Jeśli tam pójdziemy, możemy wpaść w pułapkę... lub zawrócić.

– Zatem na Dwór Jesieni. A stamtąd...

Urwałam, zanim dokończyłam. „Do domu”. Ale Lucien i tak odgadł, co chciałam powiedzieć. I chyba wtedy to zrozumiał – że właśnie tym był dla mnie Dwór Nocy. Domem.

Niemal widziałam to słowo odbijające się w jego zdrowym oku, gdy pokręcił głową.

„Później”.

Skinęłam głową bez słowa. Tak – później wszystko sobie wyjaśnimy.

– Dwór Jesieni będzie równie niebezpieczny co Dwór Lata – ostrzegł.

– Potrzebuję tylko jakiejś kryjówki. Muszę gdzieś przycupnąć, aż... aż będziemy mogli na nowo przeskakiwać.

W moich uszach rozległo się ciche bzyczenie i dzwonienie. I poczułam, jak moja magia całkowicie gaśnie.

– Znam pewne miejsce – powiedział Lucien i ruszył w stronę jaskini prowadzącej do jego domu.

Na ziemi rodziny, która go zdradziła w równym stopniu, jak ten dwór zdradził mnie.

Pośpieszyliśmy przez wzgórze, chyżo i cicho niczym cienie.

Jaskinia kryjąca przejście do Dworu Jesieni była niestrzeżona. Lucien obejrzał się na mnie przez ramię, tak jakby chciał zapytać, czy to również ja zadbałam o nieobecność strażników, którzy zawsze tu stali.

Ponownie skinęłam głową. Wślizgnęłam się do ich umysłów, zanim wyruszyliśmy, i dopilnowałam, by wrota czekały otwarte. Kasjan nauczył mnie, by zawsze mieć alternatywną drogę ucieczki. Zawsze.

Lucien przystanął przed wirującym mrokiem wejścia do jaskini. Ciemność przypominała węża szykującego się do pożarcia nas obojga. Mięsień zadrgał mu na szczęcie.

– Zostań, jeśli chcesz – powiedziałam. – Co się stało, to się nie odstanie.

Bo Hybernia nadchodziła – już tu była. Myślałam nad tym od tygodni: czy lepiej było przejąć Dwór Wiosny dla siebie, czy też pozwolić mu wpaść w ręce wroga?

W każdym wypadku nie mógł pozostać neutralny – jako bariera oddzielająca nasze siły na północy od ludzi na południu. Łatwo byłoby wezwać Rhysa i Kasjana, tego drugiego z legionem Ilyrów, by zająć te tereny w chwili ich największej słabości wywołanej moimi knowaniami.

Zależnie od tego, ile sił odzyskał Kasjan – czy wciąż leczył rany.

Ale kiedy byśmy trzymali jedno terytorium – z pięcioma innymi dworami między nami – Dwór Wiosny mógłby zyskać sympatię pozostałych, którzy mogliby przyłączyć się do Hybernii przeciwko nam, poczytując nasz podbój na południu za dowód naszych złych zamiarów. Z drugiej strony, jeśli Wiosna wpadnie w ręce Hybernii... moglibyśmy przekonać pozostałe dwory, by się do nas przyłączyły. Żebyśmy wszyscy uderzyli z północy połączonymi siłami i związali Hybernijczyków walką.

– Miałaś rację – powiedział w końcu Lucien. – Tamta dziewczyna, którą znałem, istotnie umarła pod Górą.

Nie byłam pewna, czy miało to zabrzmieć jak obelga. Tak czy owak pokiwałam głową.

– Przynajmniej zgadzamy się co do tego.

Weszłam w oczekujące nas zimno i ciemność.

Lucien zrównał się ze mną i wspólnie przeszliśmy przez łuk wyrzeźbiony w chropowatym kamieniu. Z zdobytą bronią pozostawiliśmy za sobą ciepło i zielenie wiecznej wiosny.



Z oddali dobiegł nas – tak cichy, że mogłam to sobie równie dobrze tylko wyobrazić – ryk bestii.

# **Część druga**

## **Wyzwolicielka**

## Rozdział 11

**N**ajpierw uderzyło mnie zimno.

Ostre, przesywające, podszyte zapachem mułu i zgnilizny.

W półmroku świat po drugiej stronie wąskiego wejścia do jaskini jawił się jako płótno utkane z czerwonych, złotych, brązowych i zielonych nici. Potężne stare drzewa, porośnięta mchem ziemia usiana rzucającymi długie cienie kamieniami i głazami.

Wyszliśmy z jaskini z obnażoną bronią, starając się oddychać jak najciszej.

Ale wejścia do królestwa Berona nie strzegli żadni strażnicy – a przynajmniej żadnych nie mogliśmy wypatrzeć ani wywęszyć.

Pozbawiona magii byłam ponownie ślepa; nie mogłam zarzucić sieci świadomości między pradawne drzewa, by wyczuć w okolicy jakikolwiek ślad umysłów fae.

Całkowicie bezradna. Taka byłam wcześniej. Jak zdołałam przetrwać tak długo bez moich mocy... nie chciałam nawet o tym myśleć.

Stąpaliśmy lekko niczym koty po mchu, kamieniu i gałęziach. Nasze oddechy zamieniały się w parę zaraz po opuszczeniu ust.

Parliśmy naprzód, cały czas na północ. Rhys powinien się już zorientować, że nasza więź zgasła – zapewne próbował odgadnąć, czy to należało do mojego planu. Zapewne rozważał, czy warto było zaryzykować ujawnienie naszych knowań, żeby mnie znaleźć.

Ale do tego czasu... aż zdoła mnie usłyszeć, znaleźć... musiałam iść naprzód.

Pozwoliłam więc Lucienowi prowadzić, żałując, że nie mogę przekształcić oczu, by przeniknąć coraz głębszy mrok lasu. Ale moja magia wciąż była zablokowana. Podpora, na której przywykłam nadmiernie polegać.

Przemierzaliśmy las w powietrzu coraz chłodniejszym z każdym znikającym snopem słonecznego światła.

Nie zamieniliśmy ani słowa od wejścia do jaskini między dworami. Po napiętych mięśniach ramion, zaciśniętej szczęce i sztywnym kroku Luciena widziałam, że jedynie potrzeba utrzymania naszej obecności tu w tajemnicy powstrzymuje go przed zadaniem mi wszystkich kłębiących się w nim pytań.

Noc już zapadła, choć księżyc jeszcze nie wzeszedł, kiedy wprowadził mnie do innej jaskini.

Wzdrygnęłam się przed wejściem.

– Nie prowadzi w żadne nowe miejsce – wyjaśnił głosem suchym i lodowatym jak otaczające nas powietrze. – Na końcu zakręca. Możemy się w niej ukryć.

Tak czy owak pozwoliłam mu wejść pierwszemu.

Każdy mój ruch był jakby spowolniony i odzywał się bólem w kończynach. Zdołałam jednak wejść za nim do jaskini i skrócić za załom, który wskazał.

Zachręściło krzesiwo i moim oczom ukazało się prowizoryczne obozowisko.

Świeca, którą zapalił Lucien, stała na naturalnym występie skalnym. Obok niej na ziemi znajdowały się trzy posłania i stare koce pokryte liśćmi i pajęczynami. W zagłębieniu pośrodku komory ktoś urządził palenisko. Sklepienie bezpośrednio nad nim było poczerńiałe.

Nikogo tu nie było od miesiący. Lat.

– Nocowałem tu podczas wypraw łowieckich. Zanim... odszedłem.

Przyglądał się zakurzonej oprawnej w skórę księdze leżącej na skalnej półce obok świecy. Po chwili odłożył ją z głuchym stukiem.

– Zostaniemy tu tylko na noc. Rano znajdziemy coś do jedzenia.

Podniosłam najbliższe posłanie i strzepnęłam kilka razy. Gdy chmura liści i kurzu rozproszyła się, położyłam koc na ziemi.

– Naprawdę to zaplanowałam – odezwał się po dłuższej chwili milczenia.

Siedziałam na posłaniu i przetrząsałam zawartość plecaka. Wyciągnęłam cieplejsze ubranie, jedzenie i zapasy przygotowane przez Alis.

– Tak.

– Tylko tyle masz do powiedzenia?

Powąchałam jedzenie, zastanawiając się, czy było zatrute zgubą fae. Ten sproszkowany kamień mógł być we wszystkim.

– Zjedzenie tego byłoby zbyt ryzykowne – stwierdziłam, unikając odpowiedzi na jego pytanie.

Lucien nie miał zamiaru się poddawać.

– Wiedziałem. Wiedziałem, że kłamiesz, odkąd tylko użyłaś tego światła w Hybernii. Moja przyjaciółka na Dworze Świtu ma taką samą moc... jej światło wygląda identycznie. I nie robi tego, co zmyśliłaś wtedy na oczekaniu.

Zsunęłam plecak z pośłania.

– Czemu zatem mu tego nie powiedziałaś? Zachowywałeś się jak jego wierny pies pod każdym innym względem.

W jego oczach pojawił się błysk. Tak jakby przebywanie na własnej ziemi wydobyło drzemiący w nim stopiony metal na powierzchnię, nawet mimo trucizny tłumiącej jego moc.

– Dobrze jest przynajmniej patrzeć na ciebie bez maski.

Istotnie pozwoliłam mu zobaczyć się taką, jaką byłam – nie zmieniałam kształtu swojej twarzy, by ukryć chłód jej wyrazu.

Lucien parsknął.

– Nie powiedziałem mu z dwóch powodów. To byłoby jak kopanie leżącego. Nie mogłem odbierać mu tej nadziei.

Przewróciłam oczami.

– A po drugie – warknął – wiedziałem, że jeśli mam rację i ujawnię twoją szaradę, znajdziesz sposób dopilnowania, żebym już nigdy jej nie zobaczył.

Wbiłam paznokcie w dłonie aż do bólu, ale nie ruszyłam się z pośłania i jedynie obnażyłam zęby.

– I dlatego ty właśnie tu jesteś – odparowałam. – Nie dlatego, że tak należy, a on zawsze postępował niewłaściwie, ale tylko po to, żebyś w końcu dostał to, co *twoim* zdaniem ci się należy.

– Ona jest moją *towarzyszką*, a teraz znajduje się w rękach wroga...

– Od początku nie ukrywałam, że Elaina jest cała, zdrowa i otoczona opieką.

– A ja miałem ci tak po prostu uwierzyć.

– Tak – syknęłam. – Tak właśnie. Ponieważ jeśli bym choć przez chwilę podejrzewała, że moim siostróm grozi niebezpieczeństwo, żaden książę ani żaden król nie powstrzymałby mnie przed ratowaniem ich.

W odpowiedzi pokręcił jedynie głową. Blask świecy zatańczył mu na włosach.

– Masz czelność kwestionować moje szczerze intencje wobec Elainy, a jakie ty miałaś zamiary względem mnie? Chciałaś mnie ocalić, gdy będziesz miała zniszczenie, kierowana prawdziwą przyjaźnią czy wyłącznie z obawy, jak moja śmierć mogłaby na nią wpłynąć?

Nie odpowiedziałam.

– Hmm? Jakie miałaś zamiary względem mnie, zanim Iantha wszystko zmieniła?

Pociągnęłam za luźną nitkę wystającą z posłania.

– Nic by ci się nie stało – odparłam krótko.

– A co byś zrobiła z Tamlinem? Chciałaś go wypatroszyć przed odejściem, ale zwyczajnie nie było po temu stosownej okazji?

Nitka wyszła całkowicie z materiału.

– Rozwazałam to.

– Ale?

– Ale uznałam, że pozostawienie go, by się przyglądał, jak jego dwór wali się dokoła niego, będzie lepszą karą. Zdecydowanie bardziej długotrwałą niż łatwa śmierć. – Zrzuciłam Tamlinowy pas z nożami na nierówne podłoże. – Jesteś jego posłem. Z pewnością masz świadomość, że podejrzenie mu gardła, jakkolwiek by było kuszące, nie przysporzyłoby nam wielu sprzymierzeńców w tej wojnie.

Nie. Dałoby tylko Hybernii zbyt wiele możliwości osłabienia naszej pozycji.

Skrzyżował ramiona. Okopywał się na zacieklą i długą kłótnię.

– Jestem zmęczona – powiedziałam, zanim zdążył wyprowadzić pierwszy atak. – A nasze głosy niosą się echem. Przegadamy to wszystko, kiedy nie będzie to groziło nam schwytaniem i skróceniem

o głowę.

Jego spojrzenie wręcz paliło.

Jednak zignorowałam je i położyłam się na pościeli. Materiał cuchnął kurzem i zgnilizną. Naciągnęłam na siebie pelerynę, ale nie zamknęłam oczu.

Nie ważyłam się zasnąć – w każdej chwili mógł zmienić zdanie. Ale już od samego położenia się, nieruszania, niemyślenia... część napięcia ze mnie opadła.

Lucien zdmuchnął świecę i słuchałam, jak kładzie się na swoim pościeli.

– Jeśli mój ojciec się dowie, że posiadasz jego moc, wyśledzi cię i złapie – powiedział w zimny mrok. – I zabije za to, że nauczyłaś się nią władać.

– Będzie musiał się ustawić w kolejce.

\*\*\*

Gdy szare światło przedświtów zaplamiło ściany jaskini, znużenie ciążyło mi na wszystkich zmysłach niczym koc.

Przez większość nocy dygotałam z zimna, wzdrygałam się na każdy szmer i dźwięk dobiegający z lasu i bacznie nasłuchiwałam każdego ruchu Luciena na swoim pościeli.

Gdy usiadł, poznałam po podkrążonych oczach, że on również nie spał, może zastanawiając się, czy nie mam zamiaru się wymknąć. Albo czy jego rodzina nas nie znajdzie. Albo moja.

Zmierzyliśmy się nawzajem wzrokiem.

– Co teraz? – zapytał ochryple, pocierając twarz szeroką dłonią.

Rhys się nie zjawił. Nie usłyszałam też nawet nikłego szeptu przez naszą więź. Poszukałam śladu swojej magii, ale powitały mnie jedynie popioły.

– Ruszamy na północ – odparłam. – Aż zguba fae opuści nasze ciała i będziemy mogli przeskakiwać.

Albo aż zdołam się skontaktować z Rhysem i resztą.

– Na północ stąd znajduje się pałac mojego ojca. Będziemy musieli skrócić na wschód albo zachód, żeby go ominąć.

– Nie. Jeśli pójdziemy na wschód, za bardzo zbliżymy się do

granic Dworu Lata. A nie chcę tracić czasu przez zapuszczanie się za daleko na zachód. Idziemy prosto na północ.

– Strażnicy mojego ojca z łatwością nas wypatrzą.

– Zatem będziemy musieli pozostać niewidoczni – skwitowałam, wstając.

Wyrzuciłam z plecaka resztki zatrutego jedzenia. Niech padlinożercy się nim posilą.

\*\*\*

Maszerowanie przez lasy Dworu Jesieni przypominało wędrówkę w szkatułce z biżuterią.

Pomimo wszystkich osób, które nas najpewniej szukały, ciężko było nie patrzeć z zachwytem na otaczające nas z każdej strony żywe kolory.

Późnym rankiem, gdy szadź stopniała w ciepłych promieniach słońca, naszym oczom ukazały się zdatne do jedzenia owoce lasu. Przy każdym kroku burczało mi w brzuchu, a rude włosy Luciena lśniły niczym liście nad naszymi głowami, gdy rozglądał się wokół w poszukiwaniu czegokolwiek, czym moglibyśmy napełnić żołądki.

Jego lasy, wedle krwi i prawa. Był synem tego lasu, a w nim... wyglądał, jakby z niego został zrodzony. Dla niego. Nawet z tym złotym okiem.

Ostatecznie Lucien zatrzymał się przy szmaragdowym potoku meandrującym wydrążonym w granitowej skale żlebem, w którym wedle jego słów niegdyś roilo się od pstrągów.

Zajęłam się przygotowywaniem prowizorycznej wędki, podczas gdy on zsuł buty, podwinął nogawki do kolan, wszedł do wody i złapał rybę gołymi rękami. Kilka kosmyków związanych z tyłu głowy włosów opadło mu na twarz, gdy kilkakrotnie gwałtownie się schylił. Po chwili wyrzucił drugiego pstrąga na piaszczysty brzeg potoku, na którym właśnie starałam się znaleźć coś, co by mogło zastąpić żyłkę.

Nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem, aż ryby przestały się rzucać. Ich łuski lśniły wszystkimi kolorami jaśniejącymi nad naszymi głowami.



Lucien podniósł zdobycz za ogony z taką wprawą, jakby robił to już tysiące razy. Prawdopodobnie tak właśnie było, w tym tutaj strumieniu.

– Oczyszczę je, a ty rozpal ogień – rzucił.

W świetle dnia blask płomieni nie zostanie zauważony. Ale dym... niepotrzebne ryzyko.

Pracowaliśmy i jedliśmy w ciszy zakłócanej jedynie trzaskiem ognia.

\*\*\*

Szliśmy na północ przez pięć dni, ledwie zamieniając dwa słowa.

Siedziba Berona była tak wielka, że trzy dni zajęło nam przemierzenie jej z jednego krańca na drugi. Lucien poprowadził mnie obrzeżem, zamierając na każdy odgłos czy szelest.

Poinformował mnie – w kilku krótkich rozmowach, których odbycie zaryzykowaliśmy lub też które w ogóle chciało nam się przeprowadzić – że Leśny Dom jest bardzo rozległy. Powstał wokół drzew i skał, a także wewnątrz nich – jedynie najwyższe kondygnacje były widoczne nad ziemią. Pod nią znajdowało się jeszcze kilka pięter. Sposób powstawania wpłynął na rozmiary pałacu. Przejście z jednego końca domu na drugi potrafiło zająć pół przedpołudnia. Sam pałac otaczało kilka kręgów strażników: na drzewach, na ziemi, na omszałych dachach i na kamieniach samego budynku.

Żaden wróg nie zdołałby podejść do domu Berona niepostrzeżenie. Nikt też nie opuszczał go bez jego pozwolenia.

Gdy Lucien rozluźnił ramiona, zrozumiałam, że minęliśmy znane mu trasy patroli i wartowni.

Ledwie trzymałam się na nogach.

Praktycznie nie spałam, pozwalając sobie na drzemkę tylko wtedy, gdy oddech Luciena wpadał w inny, głębszy rytm. Wiedziałam, że nie zdołam długo iść dalej w ten sposób, ale bez możliwości otoczenia się ochronną barierą, wycucia zagrożenia...

Zastanawiałam się, czy Rhys mnie szuka. Czy zauważył tę ciszę.

Powinnam była wysłać wiadomość. Dać mu znać, że ruszam, i jak

mnie może znaleźć.

Zguba fae – to dlatego nasza więź sprawiała wrażenie tak nadwątlonej.

Może powinnam była po prostu zabić Ianthę.

Ale co się stało, to się nie odstanie.

Przecierałam piekące oczy na krótkim postoju pod wypatrzoną jabłonią obsypaną dorodnymi soczystymi owocami.

Wypełniłam nimi torbę po brzegi. Dwa ogryzki leżały już na trawie obok mnie. Słodka woń rozkładu usypiała równie mocno co bzyczenie pszczół pożywiających się na spadach. Trzecie jabłko leżało już gotowe do jedzenia na moich wyprostowanych nogach.

Po tym, co zrobili mi hybernijscy książęta, powinnam przysiąc nigdy więcej nie dotknąć żadnego jabłka, ale głód zawsze osłabiał moją wolę.

Siedzący kilka stóp dalej Lucien rzucił w krzaki czwarty już ogryzek. Zatopiłam zęby w mięszu.

– Jesteśmy już blisko pól uprawnych – powiedział. – Nie możemy się nikomu pokazywać na oczy. Mój ojciec nie płaci rolnikom zbyt dobrze, więc chętnie skorzystają z każdej sposobności dodatkowego zarobku.

– Nawet jeśli będzie to wymagało wydania jednego z książęcych synów?

– *Zwłaszcza wtedy.*

– Nie lubią cię?

Zacisnął zęby.

– Jako najmłodszy z siedmiu synów nie byłem tutaj szczególnie potrzebny ani pożądanym. Może wyszło mi to na dobre. Mogłem uczyć się z ksiąg o wiele dłużej, niż ojciec pozwalał moim braciom, zanim wysłał ich, by władali jakąś częścią naszych ziem. Mogłem również ćwiczyć tak długo, jak tylko zechciałem, ponieważ nikt nie wierzył, że byłbym na tyle głupi, by przy tak długiej liście następców tronu wyciąć sobie do niego drogę mieczem. A kiedy już znudziły mi się te wszystkie księgi i wojaczka... Uczyłem się od ludu tego, co mógł mi przekazać na temat ziemi. A także na temat jego samego.

Dźwignął się z jękiem na nogi. Jego rozpuszczone włosy lśniły

w południowym słońcu, które rozpalało odcienie krwi i wina wokół nas.

– Rzekłabym, że to bardziej przypomina życie przykładowego księcia niż krnąbrnego i niechcianego syna.

Posłał mi długie, twarde spojrzenie.

– Sądziłaś, że moi bracia dokładali wszelkich starań, by mnie złamać i zabić, z samej tylko nienawiści?

Wbrew sobie wzdrygnęłam się cała. Dokończyłam jabłko, wstałam i zerwałam kolejne ze zwisającej nisko gałęzi.

– Chciałbyś jej? Ojcowskiej korony?

– Nikt nigdy mnie o to nie zapytał – odparł Lucien.

Ruszyliśmy dalej, lawirując między gnijącymi spadami. Powietrze przepęniała lepka, słodka woń.

– Rozlew krwi, którego wymagałoby sięgnięcie po tę koronę, nie byłby tego wart. Do tego ten przegniły dwór. Zdobyłbym koronę tylko po to, by rządzić przebiegłymi dwulicowymi manipulatorami.

– Władca lisów – skwitowałam i parsknęłam, gdy wspomniałam maskę, którą kiedyś nosił. – Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego tutejsi mieszkańcy sprzedaliby cię?

Powietrze robiło się coraz duszniejsze. Naszym oczom ukazało się falujące pole złocistego jęczmienia ciągnące się aż po odległą linię drzew.

– Z powodu tego, co się stało z Jesmindą.

Jesmina. Nigdy wcześniej nie wypowiedział jej imienia.

Lucien wszedł między rozchwiane łodygi.

– Pochodziła stąd. – Jego słowa były ledwie słyszalne ponad szeptem zboża. – A kiedy nie zdołałem jej ochronić... Zdradziłem też ich zaufanie. Gdy uciekałem przed swoimi braćmi, szukałem schronienia w ich domach. Wydali mnie za to, co pozwoliłem jej zrobić.

Wokół nas przetaczały się fale złota i kości słoniowej. Niebo nad nami było nieskazitelnie błękitne.

– Nie mogę ich za to winić – dodał.

\*\*\*

Późnym popołudniem dotarliśmy na drugi koniec żyznej doliny. Gdy Lucien zaproponował zatrzymanie się na noc, nalegałam, byśmy szli dalej – między strome wzgórza ciągnące się aż do podnóża szarych, zwieńczonym śniegiem gór należących do pasma leżącego na granicy za Dworem Zimy. Gdybyśmy zdołali przekroczyć tę granicę za dzień lub dwa, może odzyskałabym panowanie nad mocami na tyle, żeby skontaktować się z Rhysem – lub przeskoczyć resztę drogi do domu.

Droga nie należała do łatwych.

Szlak znaczyły wielkie, postrzępione, omszałe głazy. Między nimi rosła długa trawa o bladych źdźbłach, które syczały jak jadowite węże. Wiatr szarpał nasze włosy, a im wyżej wchodziliśmy, tym bardziej spadała temperatura.

Dziś... możliwe, że dziś będziemy musieli zaryzykować rozpalenie ognia. Tylko po to, żeby nie zamarznąć.

Lucien dyszał ciężko, gdy weszliśmy na kolejny ogromny głaz. Dolina rozpościerała się za naszymi plecami, a rosnąca za nią knieja przypominała zmaconą rzekę farb. Gdzieś musiała się znajdować przełęcz umożliwiająca wejście głębiej w góry – gdzie nikt nas już nie zdoła wypatrzeć.

– Jakim cudem nie jesteś tak zmęczona jak ja? – wydyszał, wdrapując się na szczyt głazu.

Odrzuciłam przez ramię włosy, które wiatr wyrwał z warkocza, by chłostać nimi moją twarz.

– Dużo ćwiczyłam.

– Trochę się domyśliłem po tym, jak pokonałaś Dagdana i odeszłaś, jak gdyby nigdy nic.

– Na moją korzyść działał efekt zaskoczenia.

– Nie – zaoponował cicho Lucien, gdy szukałam stopą oparcia na kolejnym głazie. – Pokonałaś go, bo byłaś lepsza.

Moje paznokcie zaprotestowały, gdy wbiłam palce w kamień i podciągnęłam się wyżej.

– Broniłaś mnie – dodał. – Przed nimi, przed Ianthą. Dziękuję.

Jego słowa poruszyły coś głęboko we mnie. Dziękowałam wiatrowi, który wciąż ryczał wokół nas, że ukrył przed Lucieniem

łzy, które napłynęły mi do oczu.

\*\*\*

Zasnęłam – w końcu.

Po rozpaleniu ognia w znalezionej jaskini ciepło i względna odludność schronienia wystarczyły, by mnie pokonać.

We śnie chyba płynęłam przez umysł Luciena, tak jakby w końcu wracała do mnie jakaś mała cząstka moich mocy.

Śniłam o przytulnym ogniu, o nierównych ścianach, o niewielkiej komorze ledwie dość dużej, by pomieścić nas i ognisko. Śniłam o wyjąłym wichrze, o ciemnej nocy poza jaskinią, o wszystkich dźwiękach, których Lucien tak uważnie nasłuchiwał, trzymając wartę.

W pewnej chwili jego uwaga skupiła się na mnie i pozostała przy mnie przez dłuższą chwilę.

Nigdy nie podejrzewałam, jak młodo i jak ludzko wyglądałam we śnie. Warkocz spływał z mojego ramienia niczym lina, usta miałam lekko rozchylone, twarz steraną dniami wędrówki z niedostatkim odpoczynku i pożywienia.

Śniłam, że zdjął płaszcz ze swoich ramion i położył go na moim kocu.

Potem odpłynęłam, opuściłam jego głowę, a marzenia senne pożeglowały na inne wody. Ukołysało mnie morze gwiazd.

\*\*\*

Czyjaś dłoń chwyciła mnie za twarz tak mocno, że zbudziłam się gwałtownie na chrzest własnych kości.

– Patrzcie, kogo znaleźliśmy – powiedział lodowaty męski głos.

Znałam tę twarz – rude włosy, bladą skórę, szyderczy uśmiech. Znałam też twarze pozostałych dwóch mężczyzn przyciskających warczącego Luciena do podłoża.

Jego braci.

## Rozdział 12

Ojciec – powiedział ten, który mnie trzymał, przykładając mi nóż do gardła – jest dość poirytowany, że nie wpadłeś się przywitać.

– Mamy ważne sprawy do załatwienia i nie możemy sobie pozwolić na opóźnienia – odparł spokojnie Lucien.

Ostrze naparło minimalnie mocniej na moją skórę, gdy napastnik zaśmiał się ponuro.

– Oczywiście. Plotka głosi, że uciekliście razem i przyprawiliście rogi Tamlinowi. – Uśmiechnął się szerzej. – Nie sądziłem, że jesteś zdolny posunąć się do czegoś takiego, braciszku.

– Najwyraźniej był zdolny posunąć ją. – Jeden z pozostałej dwójki zachichotał.

Utkwiłam wzrok w trzymającym mnie mężczyźnie.

– Uwolnicie nas.

– Nasz szanowny ojciec życzy sobie się z wami widzieć – powiedział z jadowitym uśmiechem. Nóż ani drgnął. – Zatem wróćcie z nami do domu.

– Eris – warknął ostrzegawczo Lucien.

Imię odbiło się echem w mojej głowie. Nade mną, oddalony o ledwie kilka cali...

Były narzeczony Mor. Ten, który porzucił ją, kiedy znalazł jej okaleczone ciało na granicy. Następca tronu.

Przysięgłabym, że w moich palcach poczułam widmowe szpony.

Jeszcze dzień czy dwa i może zdołałabym rozorać mu nimi gardło.

Ale nie miałam czasu, by na to czekać. Miałam tylko chwilę obecną. I musiałam wykorzystać ją najlepiej, jak mogłam.

– Wstawaj – nakazał mi chłodnym i znudzonym tonem Eris.

Wtedy ją poczułam – budzącą się we mnie, jakby szturchniętą patykiem. Tak jakby przebywanie tutaj, na tych ziemiach, w otoczeniu synów księcia tego dworu w jakiś sposób ją przebudziło, wzmocniło na tyle, by pokonała truciznę. By odparowała ją

z mojego ciała.

Ponieważ cały czas przykładał nóż do mojego gardła, pozwoliłam Erisowi dźwignąć mnie na nogi. Pozostali dwaj bracia szarpnęli Luciena i przytrzymywali go, aż zdołał sam ustać na nogach.

Wykorzystać okazję. Użyć otoczenia.

Napotkałam spojrzenie Luciena.

A on dostrzegł pot perlący się na mojej skroni, na górnej wardze, w miarę jak moja krew stawała się coraz gorętsza.

Lekkie drgnięcie jego grdyki było jedynym znakiem, że zrozumiał.

Eris miał zamiar zabrać nas do Berona, który albo zabije nas dla zabawy, albo odda temu, kto zaoferuje mu najwięcej, albo będzie przetrzymywał w nieskończoność. Po tym, co zrobili ukochanej Luciena, jak skatowali Mor...

– Panie przodem – powiedział ze spokojem Eris i w końcu opuścił nóż.

Popchnął mnie przed sobą.

Na to czekałam. Równowaga, jak uczył mnie Kasjan, była kluczem do wygrania walki.

Kiedy Eris mnie popchnął, na chwilę niekorzystnie przesunął środek ciężkości swojego ciała, a ja wykorzystałam nadany mi pęd przeciwko niemu.

Obróciłam się tak szybko, że nie zdążył unieść ramienia, i wbiłam łokieć prosto w jego nos.

Zatoczył się do tyłu.

Ogień uderzył w pozostałą dwójkę. Lucien odskoczył, podczas gdy oni zatoczyli się z krzykiem w głąb jaskini.

Uwolniłam wzbierające we mnie płomienie do ostatka i utworzyłam z nich między nami a nimi ścianę ognia, więząc braci Luciena w komorze.

– *W nogi* – wydyszałam.

Ale Lucien był już przy moim boku i ujął mnie pod ramię, pomagając mi utrzymać pion, podczas gdy ja zwiększałam temperaturę płomieni. Nie mogły powstrzymać ich na długo, a do tego czułam czyjąś siłę wzbierającą, by rzucić mi wyzwanie.

Ale była jeszcze jedna moc do wykorzystania.

Lucien zrozumiał to w tej samej chwili co ja.

Pot zasyczał na jego czole, gdy fala naznaczona ogniem mocy uderzyła w kamienny sufit tuż nad naszymi głowami. Posypały się kurz i odłamki skalne.

W następny cios Luciena wrzuciłam wszystkie resztki mojej siły.

I w kolejny.

W chwili, gdy Eris z twarzą wykrzywioną wściekłością przechodził przez moją zasłonę płomieni, świecąc się od żaru niczym nowo narodzony bóg gniewu, wspólnie z Lucieniem zawaliliśmy sufit jaskini.

Ogień buchnął przez drobne pęknięcia niczym tysiąc płonących gadzich języków, ale zwałisko kamieni nawet mocniej nie zadrżało.

– Szybko – wydyszał Lucien.

Nie marnowałam tchu na odpowiedź i razem wytoczyliśmy się w nocne powietrze.

Nasze plecaki, nasza broń, nasze jedzenie... wszystko zostało w środku.

Miałam przy pasie dwa sztylety, Lucien miał jeden. Miałam też swoją pelerynę, ale... on istotnie przykrył mnie swoim płaszczem. Dygotał na zimnie, podczas gdy pięliśmy się po zboczu góry, nie ważąc się zatrzymać nawet na chwilę.

\*\*\*

Gdybym pozostała człowiekiem, byłabym już martwa.

Zimno przenikało mnie do szpiku kości, wyjący wiatr chłostał niczym płonący bicz. Zęby mi szczękały, palce miałam tak sztywne, że z ledwością dawałam radę chwycić się lodowatego granitu. Ale parliśmy naprzód, mila za milą zagłębiając się w góry. Może przed śmiercią z zimna ocaliło nas oboje to jądro płomienia, które już tylko słabo się tliło w naszych żyłach.

Nie zatrzymywaliśmy się nawet na chwilę z niewypowiedzianego strachu, że gdybyśmy przystanęli, zimno wyssałoby z nas ostatnie resztki ciepła i już nie zdołalibyśmy ruszyć ponownie. Albo bracia Luciena by nas dogonili.

Próbowałam raz za razem zawołać do Rhysa przez naszą więź.



Przeskoczyć. Wykształcić skrzydła i spróbować ponieść nas powietrzem nad przełęczą, którą przemierzaliśmy po pas w śniegu, który miejscami był tak zbity, że musieliśmy czołgać się po jego powierzchni, zdzierając skórę na lodzie.

Ale dławiący uścisk zguby fae wciąż uniemożliwiał mi skorzystanie z większości moich mocy.

„Musimy być blisko granicy Dworu Zimy” – przekonywałam samą siebie, mrużąc oczy w lodowatym wietrze wiejącym od drugiego końca wąskiej przełęczy. Blisko – a gdy ją przekroczymy, Eris i pozostali nie odważą się za nami podążyć, kontynuować pościgu na terenie innego dworu.

Mięśnie protestowały gwałtownie przy każdym kroku, buty zupełnie przemieły od śniegu, stopy były niepokojąco odrętwiałe. Spędziłam wystarczająco wiele ludzkich zim w lasach, by znać niebezpieczeństwa związane ze zbyt długim przebywaniem na zimnie i w śniegu.

Brnący o krok za mną Lucien dyszał ciężko. Po chwili skalne ściany i zwały śniegu rozstały się, by ukazać nakrapiane gwiazdami nocne niebo – i jeszcze więcej górskich szczytów w oddali.

Niemal jęknęłam.

– Musimy iść dalej – powiedział.

Śnieg oblepiał luźne kosmyki jego włosów, a ja się zastanawiałam, czy może straciłam już głos.

Lodowe igiełki łaskotały moje zmrożone nozdrza.

– Długo nie wytrzymamy. Musimy gdzieś się ogrzać i odpocząć.

– Moi bracia...

– Jeśli nie damy sobie wytchnąć, zginiemy.

Albo w najlepszym wypadku stracimy palce u dłoni i stóp. Wskazałam stok góry przed nami, niebezpieczną drogę w dół.

– Nie możemy ryzykować pokonywania tego w nocy. Musimy znaleźć jakąś jaskinię i spróbować rozniecić ogień.

– Niby czym? – warknął. – Widzisz tu jakieś drewno?

Nie odpowiedziałam i ruszyłam przed siebie. Kłótnia to tylko marnowanie sił – i czasu.

Poza tym nie znałam odpowiedzi.  
Zastanawiałam się, czy przetrwamy noc.

\*\*\*

Znaleźliśmy jaskinię. Głęboką i osłoniętą od wiatru i wścibskich oczu. Wspólnie zamaskowaliśmy nasze ślady i upewniliśmy się, że wiatr wieje z odpowiedniej strony, że maskuje nasz zapach.

Ale na tym skończyło się nasze szczęście. Nigdzie nie było drewna, a w naszych żyłach brakło już ognia.

Wykorzystaliśmy więc jedyną możliwość, jaka nam została: ciepło naszych ciał. Wtuleni w siebie w najdalszym kącie jaskini siedzieliśmy udo w udo, ramię w ramię, owinięci moją peleryną, dygoczący z zimna i kompletnie przemoczeni.

Zęby szczękały nam obojgu tak głośno, że ledwo słyszałam głucho wycie wiatru.

„Znajdź mnie, znajdź mnie, znajdź mnie!” – próbowałam krzyczeć wzdłuż mojej więzi z Rhysem. Ale nie usłyszałam w odpowiedzi kpiarskiego głosu mojego towarzysza.

Słyszałam jedynie szczekanie zębów i ryk wichru.

– Opowiedz mi o niej, o Elainie – poprosił cicho Lucien.

Tak jakby śmierć przykucnęła w ciemności obok nas i ciągnęła jego myśli w stronę jego towarzyszki.

Rozważyłam zignorowanie jego pytania – trzęsłam się tak mocno, że miałam trudności z wydobyciem z siebie słów – ale...

– Kocha swój ogród. Zawsze lubiła dbać o rośliny. Nawet kiedy nie mieliśmy grosza przy duszy w cieplejsze miesiące potrafiła utrzymać niewielki ogródek. A kiedy... kiedy szczęście ponownie się do nas uśmiechnęło, założyła i prowadziła ogród piękniejszy, niż kiedykolwiek widziałeś. Nawet w Prythianie. Dprowadzała służbę do szaleństwa, bo to ogrodnicy mieli przecież wykonywać całą pracę, a panienki powinny jedynie przycinać tu i ówdzie gałązkę różanego krzewu, ale Elaina zakładała słomkowy kapelusz, wsuwała na dłonie rękawice, klękała na ziemi i zabierała się do wrywania chwastów. Zachowywała się jak panienka z dobrego domu pod wszystkimi względami poza tym jednym.

Lucien milczał dłuższą chwilę.

– Zachowywała się – mruknął. – Mówisz o niej, jakby już nie żyła.

– Nie wiem, jakie zmiany wywołał w niej Kocioł. Nie sądzę, żeby mogła kiedykolwiek wrócić do domu. Niezależnie od tego, jak bardzo mogłaby tego pragnąć.

– Z pewnością Prythian jest lepszą alternatywą, niezależnie od wojny.

Zebrałam się w sobie, zanim mu odpowiedziałam.

– Lucienie, ona jest zaręczona.

Poczułam, jak sztywnieje obok mnie.

– Z kim?

Beznamiętne chłodne słowa. Z tłącą się pod nimi groźbą zastosowania przemocy.

– Z synem ludzkiego możnowładcy. Człowieka nienawidzącego fae, który poświęcił całe swoje życie i całe bogactwo na polowanie na nich. Na nas. Powiedziano mi jednak, że chociaż ma to być małżeństwo z miłości, ojciec jej narzeczonego bardzo chciałby położyć ręce na jej znacznym posagu, żeby kontynuować swoją kampanię przeciwko fae.

– Elaina kocha syna tego człowieka. – To nie było pytanie.

– Mówi, że tak. Nesta... Nesta uważała, że jej ojciec ze swoją obsesją na punkcie zabijania fae był wystarczająco groźny, żeby powziąć pewne obawy. Ale nigdy się z nimi nie zdradziła przed Elainą. Ja też nie.

– Moja towarzyszka jest zaręczona z człowiekiem.

Powiedział to bardziej do siebie niż do mnie.

– Przepraszam, jeśli...

– Chcę się z nią zobaczyć. Ten jeden raz. Żeby... wiedzieć.

– Żeby wiedzieć co?

Podciągnął moją wilgotną pelerynę wyżej pod brodę.

– Czy warto o nią walczyć.

Nie mogłam się zdobyć na zapewnienie, że tak było. Nie mogłam dać mu takiej nadziei, skoro Elaina równie dobrze mogła zrobić wszystko, co tylko było w jej mocy, by poślubić swojego ludzkiego narzeczonego. Nawet jeśli nieśmiertelność już sprawiła, że będzie to

niemożliwe.

Lucien oparł głowę o skałę za naszymi plecami.

– A potem zapytam twojego towarzysza, jak to przetrwał... Jak dał sobie radę ze świadomością, że byłeś zaręczona z kimś innym. Że dzieliłaś łożę z innym mężczyzną.

Wetknęłam zmarznięte dłonie pod pachy i wbiłam wzrok w mrok przed nami.

– Powiedz mi, kiedy się dowiedziałeś – zapytał, napierając kolanem na moją nogę. – Że łączy cię z Rhysandem więź godowa. Powiedz mi, kiedy przestałeś kochać Tamlina i zaczęłaś kochać jego.

Postanowiłam nie odpowiadać.

– Czy to trwało, zanim jeszcze nas opuściłaś?

Spojrzałam na niego, chociaż ledwie mogłam dojrzeć jego twarz w mroku jaskini.

– Pierwszy raz dotknęłam Rhysanda w ten sposób dopiero wiele miesięcy później.

– Całowałaś się z nim pod Górą.

– Nie miałam wtedy nic do powiedzenia, podobnie jak z tańcem.

– A mimo to właśnie jego teraz kochasz.

Nie wiedział – nie miał pojęcia o osobistych wyznaniach, tajemnicach, które otworzyły moje serce na księcia Dworu Nocy. Nie do mnie należało opowiadanie tych historii.

– Można by pomyśleć, Lucienie, że ucieszy cię, że zakochałam się w swoim towarzysz, biorąc pod uwagę, że jesteś w tej samej sytuacji, w jakiej Rhys był pół roku temu.

– Opuściłaś nas.

Nas. Nie Tamlina. *Nas*. Jego słowa odbiły się echem w ciemności i podążyły ku wyjącemu wichrowi i siekącemu śniegowi za zakrętem jaskini.

– Powiedziałaś ci wtedy w lesie: porzuciłeś mnie na długo, zanim ja odeszłam. – Zadrzałam ponownie, nienawidząc każdego punktu, w którym stykały się nasze ciała; nienawidząc tego, że tak bardzo potrzebowałam jego ciepła. – Nie pasujesz do Dworu Wiosny tak samo jak ja, Lucienie. Cieszyły cię przyjemności i rozrywki. Ale nie udawaj, że nie zostałeś stworzony do czegoś więcej.

Metalowe oko zachrobotąło.

– A gdzie dokładnie twoim zdaniem niby jest moje miejsce? Na Dworze Nocy?

Nie odpowiedziałam. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Jako księżna mogłam mu zapewne zaoferować jakiś urząd – jeśli przeżyjemy na tyle długo, żeby dotrzeć do domu. Zrobiłabym to głównie po to, by powstrzymać Elainę od udania się pewnego dnia na Dwór Wiosny, ale nie wątpiłam, że Lucien nie dałby moim przyjaciołom dmuchać sobie w kaszę. A do tego gdzieś w małym okropnym zakamarku swojej duszy cieszyłam się na myśl, że odbieram Tamlinowi jeszcze coś – coś bardzo ważnego, coś mu niezbędnego.

– Powinniśmy wyruszyć o świcie – powiedziałam tylko.

\*\*\*

Przetrwaliśmy noc.

Byłam cała zeszywniała i bolały mnie wszystkie mięśnie, gdy rozpoczęliśmy ostrożną wędrówkę w dół zbocza. Ani śladu braci Luciena – ani w ogóle czegokolwiek żywego.

Ale nie dbałam o to, liczyło się tylko przekroczenie granicy i wkroczenie na ziemię Dworu Zimy.

Po minięciu kolejnej góry ujrzeliśmy skrzącą się w oddali lodową równinę. Przejście jej zajmie nam całe dni, ale to nie miało znaczenia: obudziłam się z wystarczającą ilością magii w żyłach, by ogrzać nas niewielkim ogniskiem. Powoli, bardzo powoli działanie zguby fae ustępowało.

Byłam gotowa iść o zakład, że mniej więcej w połowie tego lodowego pola dalej będziemy już mogli przeskakiwać. Jeśli szczęście nas nie opuści i nikt inny nas nie znajdzie.

Odtwarzałam sobie w głowie wszystko, czego Rhys nauczył mnie o Dworze Zimy i jego księciu Kalliasie.

Strzeliste przepiękne pałace pełne ognia trzaskającego na paleniskach, całe udekorowane zimozielonymi gałązkami. Ulubionym środkiem transportu mieszkańców dworu były rzeźbione sanie ciągnięte przez renifery o aksamitnym porożu, których

szerokie kopyta sprawdzały się doskonale na lodzie i śniegu. Ich wojska były doskonale wyszkolone, ale często polegali na sile olbrzymich białych niedźwiedzi, które przemierzały ziemie dworu w poszukiwaniu nieproszonych gości.

Modliłam się w duchu, żeby żaden z nich nie czekał na nas na lodzie, z futrem idealnie zlewającym się z otoczeniem.

Kontakty między Dworem Nocy a Dworem Zimy były nie najgorsze, choć wciąż napięte, tak jak wszystkie inne, po okresie rządów Amaranthy. Po tym, jak wybiła ich tyłu, w tym – jak sobie przypomniałam, walcząc z falą mdłości – dziesiątki dzieci.

Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić – tej straty, tej wściekłości, tego żalu. Nigdy nie zdobyłam się na to, by podczas długich miesięcy szkolenia zapytać Rhysa, czyje właściwie były to dzieci. Jakie konsekwencje pociągnął za sobą ten mord. Czy uznano go za najgorszą z przewin Amaranthy, czy też jedynie jedną z niezliczenie wielu.

Niemniej jednak niezależnie od wszelkich tymczasowych układów Dwór Zimy był jednym z dworów pór roku. Jego księżę mógł stanąć po stronie Tamlina albo Tarquina. Naszymi najbliższymi sojusznikami pozostawały dwory słoneczne: Świtu i Dnia. Ale one leżały daleko na północ – poza linią rozgraniczającą dwa rodzaje dworów. Pas rozdzielający je był święty, stanowił ziemię niczyją, na której znajdowała się Góra. I chatka Tkaczki.

Znikniemy, zanim będziemy musieli postawić nogę w tym groźnym, pradawnym lesie.

Minął cały dzień i po nim jeszcze jedna noc, zanim zostawiliśmy góry za plecami i weszliśmy na grubą pokrywę lodu. Nic tu nie rosło i mogłam ocenić, że kroczymy po stałym gruncie, jedynie po twardości ubitego śniegu pod naszymi stopami. W innych miejscach, aż nazbyt często, lód był przejrzysty niczym szkło i można było przezeń zobaczyć ukryte pod nim bezdenne ciemne jeziora.

Przynajmniej nie napotkaliśmy żadnego z białych niedźwiedzi. Ale prawdziwym zagrożeniem, z czego sobie oboje szybko zdaliśmy sprawę, był całkowity brak schronienia. Na lodzie nie było niczego, co by mogło nas osłonić przed wiatrem i zimnem. A gdybyśmy

rozpalili ogień swoją słabowitą magią, każdy będący w okolicy by go dostrzegł. Nie wspomniawszy o technicznej stronie rozpalania ogniska na zamrzniętym jeziorze.

Słońce właśnie wylaniało się z za horyzontu i malowało lodowe pole na złoto, chociaż cienie wciąż pozostawały sinoniebieskie.

– Dzisiaj stopimy nieco lodu, żeby go zmiękczyć – powiedział Lucien – po czym zbudujemy z niego schronienie.

Rozważyłam tę propozycję. Weszliśmy ledwie sto stóp na coś, co wyglądało na nieskończenie wielkie jezioro. Nie sposób było ocenić, gdzie się kończyło.

– Sądzisz, że będziemy przemierzać ten lód na tyle długo?

Lucien spojrzał spod zmarszczonych brwi na malowany światem horyzont.

– To możliwe. Kto wie, jak daleko się to ciągnie?

Istotnie, nawiany śnieg ukrywał większość lodu przed wzrokiem.

– Może jest jakiś sposób na obejście... – zaczęłam, zerkając za plecy w stronę porzuconego obozowiska.

Odwróciliśmy się jednocześnie. I oboje dostrzegliśmy trzy postacie stojące na skraju jeziora. Uśmiechające się.

Eris uniósł dłoń spowitą płomieniami.

Ogniem – by stopić lód, na którym stał.

## Rozdział 13

**B**iegnij – wyszeptał Lucien.

Nie odważyłam się spuścić wzroku z jego braci. Zwłaszcza że Eris właśnie opuszczał dłoń do krawędzi zamrożonego jeziora.

– Niby dokąd?

Ciało dotknęło lodu i buchnęła para. Zamarznęta tafla zmętniała i zaczęła topnieć w prostej linii, która wystrzeliła w naszą stronę...

Ruszyliśmy biegiem. Śliski lód utrudniał utrzymanie równowagi, ściegna w kostkach wyły od nadmiernego obciążenia.

Przed nami jezioro ciągnęło się w nieskończoność. Przy ledwie budzącym się słońcu niebezpieczeństwa będą jeszcze trudniejsze do wypatrzenia...

– Szybciej – zakomenderował Lucien. – Nie oglądaj się! – dodał ostrym tonem, gdy zaczęłam obracać głowę, by się przekonać, czy nasi prześladowcy biegną za nami.

Sięgnął dłonią do mojego łokcia i pomógł mi utrzymać równowagę, zanim w ogóle zarejestrowałam swoje potknięcie.

„Dokąd uciekać, dokąd uciekać, dokąd uciekać...”

Woda zachlupotała pod moimi butami – roztopiony lód. Eris albo musiał spożytkować całą swoją moc, by przebić się przez nawarstwiający się od tysiącleci lód, albo robił to powoli z rozmysłem, by nas dręczyć...

– Zygzakiem – wydyszał Lucien. – Musimy...

Pchnął mnie w bok; potknęłam się i zamachałam ramionami.

Strzała odbiła się od lodu w miejscu, gdzie przed chwilą byłam.

– Szybciej – warknął Lucien.

Nie zawahałam się i puściłam się przed siebie pełnym sprintem. Przeplataliśmy ścieżki naszego biegu, a kolejne strzały przecinały powietrze. Gdy uderzały w lód, wyrzucały w powietrze fontanny drobnych odłamków. Chociaż biegliśmy, ile tylko mieliśmy sił w nogach, podłoże topniało coraz bardziej i bardziej...



Lód. W moich żyłach krążył lód, a teraz byliśmy już na terenie Dworu Zimy...

Nie dbałam o to, czy zobaczą to – moją moc. Moc Kalliasa. Alternatywy były o wiele gorsze.

Gdy topniejąca plama zaczęła się powiększać, a zamarznięta pokrywa pod nami jęknęła, wyrzuciłam przed siebie rękę. Z mojej dłoni wystrzelił stożek lodu, na powrót zamrażając powierzchnię jeziora.

Nie przestając biec, przy każdym wymachu ramienia strzelałam lodem z dłoni, utwardzając to, co Eris chciał przed nami roztopić. Może... może udałoby się nam dotrzeć do brzegu jeziora, a gdyby okazali się na tyle głupi, by być na nim, kiedy nam się to uda... Skoro potrafiłam tworzyć lód, z pewnością mogłam go też niszczyć.

Ponownie zamieniliśmy się z Lucieniem miejscami. W przelocie nasze spojrzenia się spotkały i już otwierałam usta, żeby wyjawić mu swój plan, kiedy pojawił się Eris.

Nie za nami. Z przodu.

Widok jego brata stojącego przy nim, który od razu posłał strzałę w moją stronę, sprawił, że krzyknęłam głośno.

Rzuciłam się w bok i przetoczyłam.

Nie dość szybko.

Krawędź grotu rozorała mi ucho i policzek, pozostawiając po sobie szczypiącą szramę. Lucien krzyknął, ale powietrze przecinał już kolejny pocisk.

Ten przeszedł prosto przez moje prawe przedramię.

Poleciałam przed siebie. Lód rozorał mi twarz i dłonie, kolana dziko zaprotestowały, ramię rwało z bólu po uderzeniu w twarde podłoże...

Za mną zadudniły kroki. Nadbiegał trzeci brat.

Przygryzłam wargę aż do krwi, rozerwałam materiał kurty i koszuli na przedramieniu, złamałam strzałę i wyrwałam ją z ręki. Mój ryk potoczył się po zamarzniętej tafli jeziora.

Eris postąpił krok w moją stronę z drapieżnym uśmiechem. Zerwałam się na nogi z ostatnimi dwoma ilyryjskimi nożami w dłoniach. Prawe ramię paliło bólem z powodu gwałtownego

ruchu...

Wokół mnie lód zaczął się topić.

– Możesz skończyć, tonąc i błagając mnie o pomoc, kiedy jezioro błyskawicznie zamarznie z powrotem – szydził Eris.

Za nim odcięty przez swoich braci Lucien dobył własnego noża i mierzył wzrokiem zagradzających mu drogę mężczyzn.

– Albo możesz po prostu podać mi dłoń. Tak czy owak pójdiesz ze mną.

Mięśnie i skóra ramienia już się regenerowały. To moc Świtu budziła się w moich żyłach...

A jeśli ona działała...

Nie dałam Erisowi czasu, by zdołał przewidzieć mój ruch.

Nabrałam gwałtownie powietrza.

Z mojej skóry buchnęło oślepiające białe światło. Eris zaklął, a ja puściłam się biegiem.

Nie ku niemu – odniesione rany doskwierały mi zbyt mocno, żebym mogła skutecznie posługiwać się nożami. Pobiełam w dal, ku odległemu brzegowi. Sama na wpół oślepiona potykałam się i zataczałam, aż wydostałam się poza zwodnicze kałuże nadtopionego lodu, po czym puściłam się pełnym pędem.

Zdołałam ująć może dwadzieścia stóp, zanim Eris przeskoczył przede mnie i uderzył.

Wierzchem dłoni prosto w twarz, tak mocno, że zęby przecięły mi wargi.

Zanim zdążyłam paść na ziemię, wymierzył mi w brzuch potężny cios, który odebrał mi zupełnie dech. Za moimi plecami Lucien zaatakował dwóch pozostałych braci. Metal i ogień zatańczyły i zderzyły się, lód prysnął wkoło.

Gdy tylko upadłam, Eris chwycił mnie za włosy, tuż przy samej skórze, tak mocno i gwałtownie, że łzy napłynęły mi do oczu. Nie puszczając, ciągnął mnie po lodzie w stronę brzegu...

Jeszcze się nie otrząsnęłam po ciosie w brzuch, walczyłam rozpaczliwie o odzyskanie tchu. Ryłam butami w lodzie, ale bez skutku, Eris trzymał mocno...

Chyba Lucien wykrzyknął moje imię.

Otworzyłam usta, ale między zęby wciśnięto mi ognisty knebel. Nie parzył, ale był na tyle gorący, żebym zrozumiała, że mógł mnie poparzyć, jeśli tylko Eris tak zechce. Ogniste więzy pojawiły się wokół moich nadgarstków, kostek. Gardła.

Nie mogłam sobie przypomnieć... nie mogłam sobie przypomnieć, co powinnam zrobić, jak się poruszać, jak to wszystko powstrzymać...

Coraz bliżej brzegu, coraz bliżej czekającego na nas oddziału strażników, który pojawił się nagle znikąd. „Nie, nie, nie...”.

Cień uderzył w ziemię przed nami, tworząc w lodzie pęknięcie, które sięgnęło horyzontu po obu stronach.

Nie, nie cień.

Ilyryjski wojownik.

Siedem czerwonych syfonów lśniło na czarnej łuskowej zbroi. Kasjan złożył skrzydła i warknął na Erisa, dając upust pięciu stuleciom tłumionej wściekłości.

Nie był martwy. Nie był ranny. Był cały.

Skrzydła wyleczone i silne.

Mimo płonącego knebla zaszlochałam. Syfony Kasjana zamigotały w odpowiedzi, tak jakby mój widok, zaciśnięta dłoń Erisa...

Kolejne uderzenie w lód, tym razem za nami. Chwilę później pojawiły się rozbiegane cienie.

Azriel.

Wybuchłam niekontrolowanym płaczem, jakby na skutek przybycia moich przyjaciół całe pokłady powstrzymywanego smutku w końcu zerwały się z uwięzi. Azriel również żył i był cały i zdrowy. Kasjan dobył bliźniaczych ilyryjskich mieczy. Ich widok przypomniał mi o domu.

– Sugeruję, żebyś puścił moją panią – zwrócił się do Erisa z lodowatym spokojem w głosie.

Eris tylko mocniej zacisnął palce na moich włosach, wyduszając ze mnie jęk.

Wściekłość, która wykrzywiła twarz Kasjana, była zdolna niszczyć światy.

Ale przesunął na mnie spojrzenie swych kasztanowych oczu.

Niema komenda.

Uczył mnie całymi miesiącami. Nie atakować, lecz się bronić.

Uczył mnie w koło i w koło, jak się uwolnić z chwytu napastnika. Jak panować nie tylko nad swoim ciałem, ale też nad swoim umysłem.

Tak jakby wiedział, że istniało bardzo duże prawdopodobieństwo zrealizowania tego scenariusza któregoś dnia.

Eris skrepował mi kończyny, ale... wciąż mogłam nimi poruszać. Wciąż mogłam używać części mojej magii.

By wytrącić go z równowagi na chwilę wystarczającą, żeby musiał mnie puścić, żeby Kasjan mógł wskoczyć między nas i zaatakować księżęcego syna...

Stojący nade mną Eris nawet nie spojrzał w dół, kiedy wykręciłam się w jego uchwycie, zawirowałam na lodzie i wbiłam skrepowane stopy między jego nogi.

Szarpnął się i schylił z warknięciem.

Prosto w kierunku pięści skrepowanych w nadgarstkach i pędzących w stronę jego nosa. Kość zachręściła i puścił moje włosy.

Odtoczyłam się w bok. Kasjan już działał.

Eris ledwie zdążył dobyć miecza, by się zasłonić przed pędzącymi ku niemu ostrzami.

Po lodzie poniósł się brzęk stali zderzającej się ze stalą. Czekający na brzegu strażnicy wypuścili w naszą stronę strzały z drewna i magii – które odbiły się od błękitnej tarczy.

Azriel. Wspólnie z Lucieniem walczył dalej na lodzie z pozostałymi dwoma synami Berona. Fakt, że którykolwiek z braci Luciena potrafił skutecznie stawić czoła Ilyrom, świadczył tylko o ich doskonałym wyszkoleniu, ale...

Skupiłam płynący moimi żyłami lód na kneblu w moich ustach, na więzach wokół moich przegubów i kostek. Lód, by ugasić ogień, by ukołysać go do snu...

Kasjan i Eris doskakiwali do siebie, odskakiwali, a następnie ponownie zwierali się w walce.

Ogniste wieży pękły i roztopiły się z sykiem w parę.

Po chwili stałam już na nogach i sięgałam po broń, której przy sobie nie miałam. Moje noże leżały na lodzie ze czterdzieści stóp ode mnie.

Kasjan minął zastawę Erisa z bezwzględną wprawą. Gdy ilyryjskie ostrze wbiło się w brzuch syna Berona, następcy tronu Dworu Jesieni krzyknął głośno.

Krew, czerwona niczym rubiny, splamiła lód i śnieg.

Przez chwilę nie dłuższą niż jedno uderzenie serca ujrzałam możliwe konsekwencje: trzech synów Berona zabitych przez nas. Tymczasowe zadowolenie dla mnie, pięć wieków satysfakcji dla Kasjana, Azriela i Mor, ale jeśli Beron wciąż się wahał, którą stronę poprzeć w nadchodzącej wojnie...

Mogłam użyć innej broni.

– Przestańcie! – zawołałam.

Łagodna, zimna komenda.

Azriel i Kasjan posłuchali.

Dwaj bracia, którzy walczyli z Lucienem, stali oparci o siebie plecami, zakrwawieni i oddychający z trudem przez szeroko otwarte usta. Lucien również dyszał ciężko, wciąż trzymając przed sobą uniesiony miecz, a Azriel strząsnął krew ze swojego ostrza i podszedł do mnie.

Spojrzałam w piwne oczy pieśniarza cieni. Chłodna maska skrywająca taki ból... i taką dobroć. Przybył po mnie. Kasjan również.

Ilyrowie stanęli po moich bokach. Eris, przyciskając dłoń do rany w brzuchu, oddychał chrapliwie i wpatrywał się w nas.

Wpatrywał – i rozważał. Podczas gdy on przyglądał się naszej trójce, zwróciłam się do niego, jego dwóch braci i strażników stojących na brzegu:

– Za to, co zrobiliście, wszyscy zasługujecie na śmierć. I na coś o wiele, wiele gorszego. Ale oszczędzę wasze nędzne życia.

Nawet z dziurą ziejącą w brzuchu Eris wykrzywił usta w szyderczym grymasie.

Kasjan warknął ostrzegawczo.

Zdjęłam z siebie czar, pod którym się ukrywałam przez te

wszystkie tygodnie. Spod rozerwanego rękawa kurty i koszuli, gdzie jeszcze niedawno była rana po strzale, przebijała gładka skóra. Poznaczona zawijasami tatuażu. Oznaczeniami mojego nowego tytułu – i mojej więzi godowej.

Lucien pobladł na twarzy, gdy zbliżał się do nas. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości po stronie Azriela.

– Jestem księżną Dworu Nocy – oznajmiłam cichym głosem.

Nawet Eris przestał się uśmiechać pod nosem. Jego bursztynowe oczy rozszerzyły się i pojawiało się w nich coś na kształt strachu.

– Nie ma czegoś takiego jak księżna dworu – wykrztusił jeden z braci Luciena.

Lekki uśmieszek zatańczył na moich wargach.

– Teraz już jest.

I nadszedł czas, by świat się o tym dowiedział.

Napotkałam spojrzenie Kasjana i dostrzegłam lśniąca w nim dumę – oraz ulgę.

– Zabierz mnie do domu – nakazałam mu z wysoko uniesioną głową, po czym zwróciłam się do Azriela: – Zabierzcie mnie obaj do domu. – Na koniec spojrzałam na żołdaków Dworu Jesieni. – Do zobaczenia na polu bitwy.

Im pozostawiłam ocenę, czy lepiej będzie walczyć z nami, czy przeciw nam.

Obróciłam się do Kasjana, który objął mnie ramionami i przyciągnął do siebie, po czym wystrzelił w niebo, potężnie bijąc skrzydłami. Obok nas Azriel i Lucien zrobili to samo.

Gdy Eris i pozostali byli już tylko ledwie czarnymi kropkami na rozległej bieli pod naszymi stopami, gdy mknęliśmy wysoko nad ziemią, Kasjan zauważył:

– Nie wiem, kto wygląda na bardziej zmieszanego: Az czy Lucien Vanserra.

Zachichotałam i zerknęłam przez ramię na pieśniarza cieni niosącego mojego przyjaciela. Obaj ostentacyjnie nie odzywali się do siebie ani nawet na siebie nie patrzyli.

– Vanserra?

– Nie znałaś jego nazwiska rodowego?

Spojrzałam w te roześmiane, zaciekle piwne oczy.

Uśmiech Kasjana złagodniał.

– Witaj, Feyro.

Gardło mi się ścisnęło aż do bólu i zarzuciłam mu ramiona na szyję, przyciągając mocno do siebie.

– Ja też za tobą tęskniłem – wymruczał Kasjan, odwzajemniając uścisk.

\*\*\*

Lecielśmy, aż dotarliśmy do granicy świętego ósmego terytorium. Gdy Kasjan postawił nas na zaśnieżonej łące przed pradawnym lasem, dostrzegłam jasnowłosą kobietę w ilyryjskiej skórzni drepczącą w tę i we w tę między poskręcanyimi drzewami i puściłam się biegiem w jej stronę.

Mor uścisnęła mnie mocno, gdy chwyciłam ją w objęcia.

– Gdzie on jest? – zapytałam, nie puszczając jej, nie odrywając twarzy od jej ramienia.

– Cóż... to długa opowieść. Daleko, ale śpieszy z powrotem. W tej chwili.

Mor odsunęła mnie na tyle, żeby móc przyjrzeć się mojej twarzy. Mina jej stężała na widok śladów po niedawnych ranach i delikatnie zeskrobała mi zaschniętą krew z ucha.

– Wykrył cię, waszą więź, ledwie minuty temu. Nasza trójka była najbliżej. Przeskoczyłam Kasjana, ale z Erisem i pozostałymi... – Poczucie winy zamgliło jej spojrzenie. – Nasze stosunki z Dworem Zimy są napięte. Uznaliśmy, że jeśli zostanę tutaj, na granicy, może siły Kalliasa nie zainteresują się tym, co się dzieje na południu. Przynajmniej na dość długo, by cię wydostać.

I uniknąć konfrontacji z Erisem, na którą Mor mogła nie być jeszcze gotowa.

Pokręciłam głową na widok wstydu wciąż mącącego jej zwykle pogodną twarz.

– Rozumiem. – Uścisnęłam ją ponownie. – Rozumiem.

Mor z wdzięczności niemal połamała mi żebra.

Aziel i Lucien wylądowali. Drugi z nich wzbił przy tym

w powietrze fontannę śniegu. Mor i ja ostatecznie wyswobodziłyśmy się z wzajemnego uścisku. Jej twarz spochmurniała, gdy jej wzrok padł na tego, który towarzyszył mi w ucieczce. Był cały oblepiony śniegiem, krwią i brudem – oboje byliśmy.

– Walczył z Erisem i pozostałą dwójką – wyjaśnił Kasjan.

Krtań Mor poruszyła się, gdy moja przyjaciółka dostrzegła krew plamiącą dłoń Ilyra – gdy pojęła, że nie była jego. Bez wątpienia rozpoznała zapach.

– Eris – wykrztusiła. – Czy...

– Żyje – odparł Azriel. Jego cienie wirowały wokół szponów wieńczących jego skrzydła, tak mocno odcinających się od bieli śniegu. – Pozostali również.

Lucien wodził wzrokiem między całą trójką, czujny i milczący. Ile wiedział o zaszłościach między Mor a jego najstarszym bratem... nigdy nie zapytałam. Nigdy nie miałam ochoty zapytać.

Mor odrzuciła swoje gęste złote włosy na plecy.

– Zatem wracajmy do domu.

– Którego? – zapytałam ostrożnie.

Mor ponownie przeniosła uwagę na Luciena. Niemal współczułam mu konieczności znoszenia jej spojrzenia, chłodnego, oceniającego. Taksujący wzrok Morrigan – której darem była nieskazitelna prawda.

Cokolwiek dostrzegła w Lucienie, wystarczyło, by podjęła decyzję.

– Do domu w mieście. Ktoś tam już na ciebie czeka.



## Rozdział 14

**N**ie pozwalałam sobie nawet na marzenie o tym: o tej chwili, kiedy ponownie stanę na drewnianej podłodze holu tego miejskiego domu. Kiedy ponownie usłyszę krzyki mew szybujących wysoko nad Velaris, kiedy poczuję woń wód Sidry przecinającej serce miasta, kiedy poczuję na plecach ciepło promieni słońca sączących się przez okna.

Mor przeskoczyła nas wszystkich, a teraz stała za mną, dysząc lekko, a my przypatrywaliśmy się Lucienowi rozglądającemu się wokoło.

Metalowe oko wirowało z wizgiem, podczas gdy drugie podejrzliwie lustrowało pomieszczenia przyległe do holu: jadalnię i pokój dzienny z oknami wychodzącymi na niewielkie podwórze i ulicę za nim; schody prowadzące na piętro; korytarz do kuchni i ogródek za domem.

W końcu zamknięte drzwi frontowe. Za którymi czekało miasto.

Kasjan oparł się o poręcz schodów i skrzyżował ramiona w aroganckiej pozie, która ewidentnie zapowiadała kłopoty. Azriel stał przy mnie z cieniami kłębiącymi się wokół palców dłoni. Tak jakby walka z księżęciami synami była dla nich normalnym sposobem spędzania dnia.

Zastanawiałam się, czy Lucien był świadom, że jego pierwsze słowa wypowiedziane tutaj mogą go zgubić lub ocalić. Dumałam, jaka będzie w tym moja rola.

Nie... decyzja należała do mnie.

Księżna. Byłam... stałam wyżej od nich, od moich przyjaciół. To do mnie należała decyzja, czy Lucien może pozostać na wolności.

Ale ich czujne milczenie było wystarczającą wskazówką: niech on zdecyduje o własnym losie.

W końcu Lucien spojrzał na mnie. Na nas.

– Z ulicy dobiega śmiech dzieci – zauważył.

Zamrugalam. Powiedział to z taką... niepewnością i zdziwieniem. Tak jakby nie słyszał niczego podobnego od bardzo, bardzo dawna.

Już otwierałam usta, by mu odpowiedzieć, ale ktoś inny przemówił za mnie.

– Dziecięcy śmiech na ulicach nawet po ataku wojsk Hybernii świadczy o tym, jak ciężko lud Velaris pracował nad odbudową miasta.

Zawirowałam na pięcie i mój wzrok padł na Amrenę wstającą z pluszowego fotela w pokoju dziennym. Masywny mebel wcześniej całkowicie skrył jej drobne ciało.

Wyglądała tak samo jak ostatnim razem, kiedy ją widziałam: stojącą w tym właśnie holu, ostrzegającą nas, żebyśmy uważali podczas pobytu na Hybernii. Sięgające brody smoliście czarne włosy lśniły w blasku słońca. Srebrne nieziemskie oczy zalśniły nadspodziewanie jasno, gdy nasze spojrzenia się spotkały.

Drobna kobieta skłoniła głowę na mój widok. Jedyne gest poddaństwa, jakiego można było oczekiwać od piętnastotysiącletniej istoty względem świeżo upieczonej księżnej. I przyjaciółki.

– Widzę, że przyprowadziłaś ze sobą nowego pupilka – zauważyła, marszcząc nos z niesmakiem.

W zdrowym oku Luciena dostrzegłam coś jakby strach, tak jakby on również dostrzegł potwora kryjącego się za tą piękną twarzą.

Istotnie zdawało się, że już o niej słyszał. Zanim zdążyłam go przedstawić, skłonił się w pas. Głęboko. Kasjan chrząknął z lekkim rozbawieniem. Posłałam mu ostrzegawcze spojrzenie.

Amrena uśmiechnęła się lekko.

– Już wytresowany, jak widzę.

Lucien wyprostował się powoli, tak jakby stał przed otwartą paszczą jakiegoś drapieżnego kota z wielkich równin, którego nie chciał zaniepokoić jakimś zbyt gwałtownym ruchem.

– Amreno, to jest Lucien... Vanserra.

Lucien zeszywniał.

– Nie używam nazwiska rodzowego – wyjaśnił Amrenie, skłaniając głowę. – Wystarczy Lucien.

Podjejrzałam, że przestał używać tego nazwiska, kiedy serce

jego ukochanej przestało bić.

Amrena przyglądała się jego metalowemu oku.

– Sprytnie zrobione – skwitowała, po czym zlustrowała mnie. – Wygląda na to, że ktoś cię poharatał, dziewczyno.

Przynajmniej rana na ramieniu się zaleczyła, chociaż został po niej jeszcze paskudny czerwony ślad. Zakładałam, że moja twarz nie wygląda lepiej.

– Co to za miejsce? – zapytał Lucien, zanim zdołałam odpowiedzieć Amrenie.

Wszyscy spojrzeliśmy na niego.

– Dom – odparłam. – To jest... mój dom.

Było widać, jak wszystko powoli do niego dociera. Brak ciemności. Żadnych krzyków. Zapach morza i cytrusów zamiast smrodu krwi i rozkładu.

Śmiech dzieci, które nie zamierzały przestać być radosne.

Największa tajemnica w historii Prythianu.

– Jesteśmy w Velaris – wyjaśniłam. – Mieście Blasku Gwiazd.

Grdyka zatańczyła na jego szyi.

– A ty jesteś księżną Dworu Nocy.

– Istotnie, jest.

Krew zastygła mi w żyłach na dźwięk tego głosu za moimi plecami.

Na zapach, który uderzył w moje nozdrza i który rozbudził mnie. Na twarzach moich przyjaciół pojawiały się uśmiechy.

Odwróciłam się.

Rhysand stał oparty o łuk prowadzący do pokoju dziennego, ze skrzyżowanymi ramionami, bez skrzydeł, ubrany w swój jak zwykle nieskazitelnie czarny kaftan i spodnie.

Gdy te fioletowe oczy napotkały moje, gdy ten znajomy szelmowski uśmieszek zelżał...

Twarcz wykrzywił mi mimowolny grymas. Z mojego gardła dobiegł słaby urwany dźwięk.

Rhys błyskawicznie ruszył do mnie, ale nogi już odmówiły mi posłuszeństwa. Dywan wyściełający podłogę holu złagodził upadek.

Ukryłam twarz w dłoniach. Wydarzenia ostatniego miesiąca

zwaliły się na mnie wszystkie jednocześnie.

Rhys przyklęknął przede mną, kolano w kolano.

Delikatnie odsunął moje ręce od twarzy. Z największą delikatnością położył dłonie na moich policzkach i otarł z nich łzy.

Nie dbałam o to, że się nam przyglądają; uniosłam wzrok i rozkoszowałam się radością, troską i miłością bijącym z tych cudownych oczu.

Rhys również nie dbał o widownię.

– Moja miłości – wymruczał i pocałował mnie.

Wplotłam palce w jego włosy, a on jednym płynnym ruchem przygarnął mnie do siebie i wstał. Oderwałam wargi od jego ust i zerknęłam na bladego Luciena. Rhysand, nie odrywając ode mnie wzroku, zwrócił się do naszych towarzyszy:

– Znajdźcie sobie jakieś inne miejsce na pewien czas.

Nie czekał, by się przekonać, czy tak zrobią.

Przeskoczył nas na piętro i ruszył równym szybkim krokiem w głąb korytarza. Zerknęłam w dół schodów do holu, akurat żeby dostrzec jeszcze Mor chwytającą Luciena za ramię i dającą pozostałym znak skinięciem głowy, zanim wszyscy zniknęli.

– Czy chcesz poznać przebieg wydarzeń na Dworze Wiosny? – zapytałam chropawym głosem, przyglądając się twarzy mojego towarzysza.

Nie znalazłam na niej rozbawienia, tylko to drapieżne napięcie skoncentrowane na każdym moim oddechu.

– Są pewne inne rzeczy, które wolałbym zrobić najpierw.

Wziął mnie na ręce i wniósł do naszej sypialni – kiedyś *jego* sypialni, teraz pełnej naszych rzeczy. Wyglądała dokładnie tak, jaką ją zapamiętałam: olbrzymie łóżko, do którego mnie teraz niósł, dwie duże szafy, biurko pod oknem wychodzącym na ogród na tyłach domu, teraz zasypany fioletem, różem i błękitem wśród soczystej zieleni.

Sądziłam, że zostanę zaraz położona na materacu, ale Rhys przystanął w pół drogi. Drzwi zamknęły się z trzaskiem pchnięte rozgwieżdżonym wiatrem. Powoli postawił mnie na miękkim dywanie, ostentacyjnie zsuwając w dół swojego ciała. Tak jakby tak

samo nie mógł się powstrzymać od dotykania mnie, tak samo nie chciał mnie puszczać, jak ja nie chciałam się od niego odrywać.

A w każdym punkcie, w którym stykały się nasze ciała, czułam jego ciepło, był taki materialny, taki *prawdziwy*... Rozkoszowałam się tym. Ze ściśniętym gardłem położyłam dłoń na jego muskularnym torsie. Dudniący łomot serca pod czarnym kaftanem odbijał się echem w moich mięśniach. Jedyna oznaka fal przelewających się przez niego. Przesunął dłonie wzdłuż moich ramion w leniwej pieszczocie, a na koniec chwycił mnie za barki.

Łagodnie zataczał kciukami kręgi na brudnym ubraniu, jednocześnie przyglądając się uważnie mojej twarzy.

Piękny. Był jeszcze piękniejszy, niż go pamiętałam, niż śniłam przez te wszystkie tygodnie spędzone na Dworze Wiosny.

Przez dłuższą chwilę jedynie oddychaliśmy swoimi tchnieniami. Przez dłuższą chwilę mogłam jedynie wdychać jego zapach głęboko w płuca, pozwalać mu osiąść we mnie. Zacisnęłam palce na jego marynarce.

Towarzysz. Mój towarzysz.

Tak jakby usłyszał moje myśli dzięki naszej więzi, bo w końcu wymruczał:

– Kiedy nasze połączenie zgasło, pomyślałem...

W jego oczach przemknął strach – prawdziwe przerażenie – chociaż jego kciuki nieprzerwanie gładziły moje ramiona, łagodnie i miarowo.

– Gdy dotarłem do Dworu Wiosny, ciebie już nie było. Tamlin miotał się w szale po całym lesie, szukał cię. Ale ty ukryłaś swój zapach. Nawet ja nie mogłem... nie mogłem cię znaleźć...

Rozpacz przebijająca przez jego słowa ugodziła mnie niczym nóż wbity w brzuch.

– Przeszliśmy do Dworu Jesieni przez jedną z bram – wyjaśniłam, kładąc mu na ramieniu drugą dłoń. Napięte mięśnie pod jedwabistym materiałem drgnęły pod moim dotykiem. – Nie mogłeś mnie znaleźć, ponieważ dwójka Hybernijczyków zatrąła moje jedzenie i picie zgubą fae. To wystarczyło, by wytlumić moje moce. Dotąd... dotąd nie odzyskałam nad nimi pełnej władzy.

Na jego pięknej twarzy mignęła zimna furia, a kciuki na moich ramionach zamarły.

– Zabiłaś ich.

Nie było to właściwie pytanie, ale i tak skinęłam głową.

– To dobrze.

Przełknęłam ślinę.

– Czy Hybernia złupiła Dwór Wiosny?

– Jeszcze nie. Cokolwiek zrobiłaś... zadziałało. Strażnicy Tamlina opuścili go. Dwa dni temu ponad połowa jego poddanych nie zjawiała się z daniną. Niektórzy wręcz odchodzą do innych dworów. Inni szepczą o powstaniu. Wygląda na to, że zdołałaś zyskać ich miłość. Nawet uwielbienie.

Rozbawienie nareszcie rozjaśniło jego twarz.

– Byli raczej niezadowoleni, kiedy zorientowali się, że pozwolili Hybernijczykom zastraszyć cię tak bardzo, że musiałaś salwować się ucieczką.

Przesunęłam palcem wzdłuż delikatnego srebrnego haftu na pole kaftana i przysięgłabym, że zadrżał pod moim dotykiem.

– Zakładam, że wkrótce dowiedzą się, że udzielono mi schronienia i otoczono opieką.

Rhys uściskał moje ramiona w ramach potwierdzenia, tak jakby miał zamiar zaraz mi pokazać, jak dobrą mnie otoczy opieką, ale ja przechyliłam głowę i zapytałam:

– A co z Ianthą... i Jurianem?

Potężny tors poruszył się gwałtownie pod moją dłoń, gdy Rhysand westchnął ciężko.

– Doniesienia dotyczące ich obojga są niejasne. Jurian, jak się zdaje, wrócił do ręki, która go karmi. Iantha... – Rhys uniósł brwi. – Zakładam, że stan swojej dłoni zawdzięcza tobie, a nie Hybernijczykom.

– Przewróciła się – rzuciłam słodko.

– To musiał być bardzo poważny upadek.

Tajemniczy uśmiech zatańczył na jego ustach, gdy przysunął się jeszcze bliżej. Żar bijący od jego ciała wlewał się we mnie, a on zsunął dłonie z moich ramion i począł wodzić nimi leniwie po

plecach. Przygryzłam wargę i skoncentrowałam się na jego słowach, a nie na pokusie wyprężenia się pod jego dotykiem, wtulenia twarzy w jego pierś i podjęcia własnych wędrówek po jego ciele.

– Aktualnie dobrze po swoich przejściach, jak się zdaje. Nie opuszcza murów świątyni.

Tym razem to ja wymruczałam:

– To dobrze.

Może jedna z jej ślicznych akolitek w końcu nie będzie mogła znieść jej świętoszkowatego pieprzenia i udusi ją we śnie.

Położyłam dłonie na jego biodrach, gotowa wsunąć je pod kaftan, czując wielką potrzebę dotknięcia jego nagiej skóry, ale Rhys nagle się wyprostował i odsunął.

Nadal był na tyle blisko, by trzymać jedną dłoń na mojej talii, ale drugą...

Sięgnął po moją rękę i delikatnie zbadał paskudną szramę pozostawioną przez strzałę. W kącie pomieszczenia zakotłowała się ciemność.

– Kasjan właśnie mnie wpuścił do swojego umysłu... by mi pokazać, co się stało na lodzie. – Rhys przesunął kciukiem po ranie, delikatnie, jakby musnęło mnie piórko. – Dni Erisa zawsze były policzone. Teraz Lucien ma szansę zbliżyć się do odziedziczenia ojcowskiego tronu bardziej, niż kiedykolwiek przypuszczał, że to możliwe.

Zesztywniałam.

– Eris jest dokładnie tak okropny, jakim go malowałeś.

Rhys ponownie przesunął kciuk po moim przedramieniu, przyprowadzając mnie o gęsią skórę. Obietnica – nie odwetu, który rozważał, ale tego, co nas czekało w tej komnacie. Do łoża mieliśmy zaledwie kilka stóp.

– Przedstawiłaś się jako księżna – mruknął.

– Miałam tego nie robić?

Puścił moją rękę, by pogłodzić mi policzek wierzchem palców.

– Chciałem to wykrzyczeć z dachów Velaris, od kiedy tylko kapłanka cię namaściła. Jakże to dla ciebie typowe, niweczyć moje wspaniałe plany.

Uśmiech wprosił się na moje usta.

– To miało miejsce niespełna godzinę temu. Z pewnością mógłbyś się teraz wychylić z komina i wszyscy byliby przekonani, że usłyszeli tę nowinę po raz pierwszy właśnie od ciebie.

Przeczesał palcami moje włosy i uniósł mi twarz za brodę. Szelmowski uśmiech poszerzał się. Podkurczyłam palce stóp.

– Oto właśnie moja kochana Feyra.

Opuścił wzrok i wbił go w moje usta. Fioletowe oczy zapłonęły głodem...

– Gdzie są moje siostry?

Ta myśl nie dawała mi spokoju niczym bijący na alarm dzwon.

Rhys zastygł na chwilę, po czym wysunął dłoń z moich włosów. Jego uśmiech zbladł.

– W Domu Wiatru. – Wyprostował się i przełknął z trudem ślinę, jakby to go z jakiegoś powodu gnębiło. – Mogę... zabrać cię do nich.

Każde słowo zdawało się okupione znacznym wysiłkiem.

Ale wiedziałam, że zrobiłyby to. Zignorowałyby swoje pożądanie i zabrały mnie do nich, gdybym tego właśnie chciała. Mój wybór. W jego przypadku to zawsze był mój wybór.

Pokręciłam głową. Nie zamierzałam się z nimi spotykać – jeszcze nie teraz. Musiałam najpierw wystarczająco się uspokoić, by móc stanąć z nimi twarzą w twarz.

– Ale wszystko z nimi w porządku?

Jego wahanie wystarczyło mi za odpowiedź.

– Są bezpieczne.

To właściwie nie odpowiadało na moje pytanie, ale nie miałam zamiaru się oszukiwać, że moje siostry przyjęłyby to wszystko bez najmniejszego problemu. Oparłam czoło o jego tors.

– Kasjan i Azriel wyleczeni – wymruczałam w materiał kaftana; wdychałam jego zapach raz za razem, aż przeszył mnie silny dreszcz. – Powiedziałeś mi to... ale jednak to nie... nie dotarło do mnie. Aż do teraz.

Rhys przesunął dłoń w dół moich pleców, drugą chwycił mnie za biodro.

– Azriel wydobrał w kilka dni. Skrzydła Kasjana... to była



trudniejsza sprawa. Ale każdego dnia ćwiczył, żeby odzyskać siłę. Większą część tkanki musiał mu odbudować uzdrowiciel... ale będzie z nim dobrze.

Przełknęłam z trudem, objęłam go w pasie i wtuliłam twarz w jego pierś. W odpowiedzi ścisnął mocniej moje biodro, a drugą dłoń przesunął na kark i przytulił mnie.

– Mor powiedziała, że byłeś daleko – wyszeptałam. – Dlatego cię tam nie było.

– Przepraszam, że tak się stało.

– Nie – zaprotestowałam i uniosłam głowę, by spojrzeć mu w poszarzałe od nagłej troski oczy. – Nie o to mi chodziło. – Tylko...

– Przez chwilę rozkoszowałam się jego ciałem pod moimi dłońmi. – Gdzie byłeś?

Rhys zeszywniał, a ja przygotowałam się na to, co mógł powiedzieć.

– Nie mogłem ci pozwolić zrobić wszystkiego, by osłabić naszych wrogów, prawda? – odparł swobodnie.

Nie uśmiechnęłam się.

– Gdzie. Byłeś.

– Ponieważ Az dopiero co stanął na nogi, przejąłem część jego obowiązków.

Zacisnęłam zęby.

– Na przykład?

Schylił głowę i trącił mnie nosem w szyję.

– Nie chcesz pocieszyć swojego towarzysza, który tak straszliwie za tobą tęsknił przez te wszystkie tygodnie?

Położyłam mu dłoń na twarzy i odepchnęłam z gniewnym grymasem.

– Chcę, żeby mój towarzysz powiedział mi, gdzie, do cholery, był. Potem dostanie swoje *pocieszanie*.

Rhys lekko ugryzł mnie w palec.

– Okrutna, piękna kobieto.

Spoglądałam na niego spod zmarszczonych brwi.

Rhys przewrócił oczami i westchnął.

– Byłem na kontynencie. W pałacu królowych ludzi.

Zakrztusiłam się.

– Byłeś *gdzie*?

– W zasadzie to nad nim przelatywałem, ale...

– I poleciałeś tam *sam*?

Spojrzał na mnie lekko zaskoczony.

– Mimo naszych błędów popełnionych na Hybernii potrafię...

– Poleciałeś do świata ludzi, do stolicy naszych wrogów, *sam*?

– Wolałem zrobić to samemu niż posyłać kogokolwiek z pozostałych.

To było jego problemem od samego początku. Zawsze on, zawsze się poświęcający...

– Dlaczego? – zapytałam stanowczo. – Dlaczego podjąłeś takie ryzyko? Czy coś się dzieje?

Rhys spojrzał w stronę okna, tak jakby mógł sięgnąć wzrokiem aż do krain śmiertelników. Twarz mu stężała.

– Martwi mnie spokój po ich stronie morza. Żadnych donesień o gromadzonych wojskach, nie są wzywani żadni ludzcy sojusznicy. Od czasu wydarzeń na Hybernii – cisza. Pomyślałem więc, że sam zobaczę, czym jest to spowodowane. – Pstryknął mnie w nos i ponownie przyciągnął do siebie. – Właśnie się zbliżałem do skraju ich ziem, kiedy poczułem, jak nasza więź ponownie ożywa. Wiedziałem, że inni są bliżej, więc wysłałem ich.

– Nie musisz się tłumaczyć.

Rhys oparł brodę o czubek mojej głowy.

– Chciałem tam być... polecieć po ciebie. Znaleźć cię. Zabrać do domu.

– Zdecydowanie lubisz dramatyczne wejścia.

Zachichotał i jego oddech ogrzał mi włosy, a ja wsłuchiwałam się w ciche dudnienie przetaczające się przez jego ciało.

Oczywiście, że działał przeciwko Hybernii pod moją nieobecność. Czy oczekiwałam, że wszyscy przez ponad miesiąc będą siedzieć na tyłkach? A Rhys, nieustannie knujący, zawsze o krok przed innymi... Wykorzystałby ten czas na swoją korzyść. Przez chwilę rozważałam zapytanie go o to, ale teraz, gdy oddychałam jego zapachem, gdy czułam jego ciepło... Pytania mogły poczekać.

Rhys złożył pocałunek na moich włosach.

– Jesteś w domu.

Wydobył się ze mnie drżący, cichy jęk i kiwnęłam głową, ściskając go mocniej. W domu. Nie tylko w Velaris, ale tam, gdzie był on; tam, gdzie była nasza rodzina.

Smoliście czarne pazury przesunęły się po barierze broniącej dostępu do moich myśli – pieszczotliwie i zachęcająco.

Opuściłam tarczę dla niego, a on w tej samej chwili zrobił to samo. Jego umysł owinał się wokół mojego tak mocno, jak jego ramiona obejmowały moje ciało.

– Tęskniłem do ciebie w każdej chwili – wyznał Rhys i nachylił się, by pocałować kącik moich ust. – Do twojego uśmiechu. – Jego wargi musnęły moje ucho, czym sprawił, że wyprężyłam lekko plecy. – Do brzmienia twojego śmiechu.

Przycisnął usta do mojej szyi tuż poniżej ucha, a ja przechyliłam głowę, aby mu ułatwić sprawę, gryząc się w język, żeby nie błagać go, by wziął więcej, by brał szybciej.

– Do twojego zapachu – wymruczał.

Zamknęłam oczy, a on zsunął dłonie po moich biodrach i chwycił mnie za pośladki, jednocześnie schylając się, by pocałować skórę na mojej szyi.

– Do dźwięków, jakie wydajesz, kiedy jestem w tobie.

Musnął językiem miejsce, które przed chwilą pocałował, i wyzwolił ze mnie jeden z tych dźwięków. Następnie przycisnął usta do mojego obojczyka i całkowicie stopniałam w środku.

– Do mojej dzielnej, odważnej, genialnej towarzyszkki.

Uniósł głowę, a ja z wysiłkiem uniosłam powieki. Spojrzałam mu w oczy, podczas gdy jego dłonie kreśliły leniwie zawijasy na moich plecach, schodziły na pośladki, po czym wracały wyżej.

– Kocham cię – powiedział.

I gdybym już mu wcześniej nie uwierzyła, gdybym nie czuła tego w szpiku kości, blask rozświetlający mu twarz, gdy wypowiadał te słowa...

Oczy ponownie zapiekły mnie od łez, które popłynęły, zanim zdołałam je powstrzymać.

Rhys pochylał głowę, by je zlizać z mojej twarzy. Jedną po drugiej. Jak kiedyś pod Górą.

– Masz wybór – wymruczał w mój obojczyk. – Albo wyliżę do czysta każdy cal twojego ciała... – Musnął palcami mój sutek, kreśląc nieśpiesznie kręgi na piersi. Tak jakbyśmy mieli wiele dni tylko na to. – Albo możesz skorzystać z kąpeli, która powinna być już gotowa.

Odsunęłam się od niego i uniosłam brew.

– Sugerujesz, że śmierdzę?

Rhys uśmiechnął się szelmowsko i przysięgłabym, że gdzieś wewnątrz mnie coś zadudniło w odpowiedzi na ten uśmieszek.

– Ależ skąd. Lecz... – Oczy mu pociemniały, pożądanie i rozbawienie przygasty, gdy przyglądał się mojemu ubraniu. – Masz na sobie krew. Swoją i cudzą. Pomyślałem, że będę dobrym towarzyszem i zaoferuję ci kąpiel, zanim cię całkowicie zniewolę.

Zdusiłam śmiech i odgarnęłam mu włosy z twarzy, delektując się jedwabistymi czarnymi pasmami między palcami.

– Jakże miło z twojej strony. Chociaż nie mogę uwierzyć, że wykopałeś wszystkich z domu, żeby móc mnie zaciągnąć do łóżka.

– Jedna z licznych korzyści z bycia księciem.

– Cóż za straszliwe nadużywanie władzy.

Zawadiacki uśmieszek ponownie zatańczył na jego ustach.

– Więc?

– Jakkolwiek chciałabym zobaczyć, jak usiłujesz zlizać brud, pot i krew, które się nawarstwiały przez tydzień... – Jego oczy załśniły na myśl o tym wyzwaniu i zaśmiałam się ponownie. – Poproszę jednak o zwykłą kąpiel.

Miał czelność wyglądać na lekko rozczarowanego. Dźgnęłam go w tors i odepchnęłam, po czym ruszyłam w stronę dużej komnaty łazienkowej przylegającej do sypialni. Wielka porcelanowa wanna była już wypełniona parującą wodą i...

– Bąbelki?

– Czy masz przeciwko nim jakieś obiekcje natury etycznej?

Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu i zabrałam się do rozpinania guzików kurty. Palce miałam niemal czarne od brudu i uwalane

krwią. Skrzywiłam się.

– Mogę potrzebować więcej niż jednej kąpieli, żeby się doczyścić.

Pstryknął palcami i moja skóra momentalnie stała się idealnie czysta. Zamrugałam.

– Jeśli możesz zrobić coś takiego, jaki jest cel kąpieli?

Robił to już dla mnie kilka razy pod Górą.

Jakoś nigdy nie zapytałam.

Oparł się o framugę i przyglądał, jak zdejmuję podartą i poplamioną kurtę. Jakby to było najważniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek otrzymał.

– Esencja brudu pozostaje. – Głos mu nieco ochrypł. Śledził każdy ruch moich palców przy rozsznurowywaniu butów. – Jak warstwa oliwy.

Istotnie moja skóra wyglądała na czystą, ale sprawiała wrażenie... nieumytej. Skopałam buty z nóg prosto na brudną kurtę.

– Więc to bardziej kwestia estetyki.

– Za długo ci to zajmuje – stwierdził i wskazał brodą wannę.

Sutki mi stwardniały na lekki warkot, którym były podszyte jego słowa. Im również się przyglądał.

Uśmiechnęłam się do siebie i wyprężyłam plecy nieco bardziej, niż to było konieczne przy zdejmowaniu koszuli, po czym rzuciłam ją na marmurową posadzkę. Promienie słońca tworzyły smugi w parze unoszącej się z wanny, malując powietrze między nami na złoto i biało. Rhys spojrzał na mój nagi tors i wydał z siebie cichy dźwięk, który do złudzenia przypominał jęknięcie. Pożerał wzrokiem moje piersi, teraz już ciężkie i napięte. Z trudem powstrzymałam się od zasugerowania, by pominąć całkowicie sprawę kąpieli.

Udawałam, że nie zauważyłam jego reakcji, i zabrałam się do rozpinania spodni. Po chwili one również opadły na posadzkę. A w ślad za nimi bielizna.

Oczy Rhysa zapłonęły.

Uśmiechnęłam się pod nosem i zaryzykowałam spojrzenie na jego spodnie. Na dowód tego, co właśnie z nim robiłam, napierający na czarny materiał z imponującym żądaniem.

– Szkoda, że w wannie nie zmieszczą się dwie osoby – rzuciłam

niby od niechcienia.

– Błąd konstrukcyjny, którym jutro się zajmę.

Mówił głosem zachrypniętym, cichym, od którego poczułam dotyk niewidzialnych dłoni na piersiach i między nogami.

Matko, ocal mnie. W jakiś sposób zdołałam podejść do wanny i wsunąć się do wody.

Jakoś zdołałam sobie przypomnieć, na czym polega kąpiel.

Rhys cały czas stał oparty o framugę i przyglądał mi się w milczeniu, z uporczywym skupieniem.

Niektóre części ciała mogłam myć nieco dłużej, niż było trzeba. Mogłam też dopilnować, by mógł dobrze się przyjrzeć.

Chwycił tylko framugę tak mocno, że drewno zajęczało w proteście.

Ale nie rzucił się na mnie, nawet kiedy się wycierałam i rozczesywałam splątane włosy. Tak jakby trzymanie swoich żądz na wodzy... też było elementem gry.

Odłożyłam szczotkę na szafkę z misą umywalki i podkuliłam palce stóp na marmurowej posadzce. Każdy cal mego ciała był świadomy Rhysa stojącego w drzwiach, jego wzroku na moim odbiciu w lustrze.

– Czysta – oznajmiłam ochryple, spoglądając mu w oczy odbite w lustrzanej tafli.

Przysięgłabym, że za jego ramionami wirują jedynie ciemność i gwiazdy. Zamrugałam i zniknęły. Ale ten drapieżny głód na jego twarzy...

Obróciłam się. Palce zaciśnięte na okrywającym mnie ręczniku drżały lekko.

Rhys tylko wyciągnął dłoń w moją stronę; jego palce również drżały. Ręcznik był niczym papier ścierny wobec mojej nadwrażliwej skóry. Podałam mu dłoń. Poczułam drapnięcie zgrubień na jego palcach, gdy je zacisnął na moich. Pragnęłam, by drapał mnie całą.

Ale on tylko powiódł mnie do sypialni, krok za krokiem. Mięśnie jego pleców grały pod materiałem kaftana. A niżej smukłe, silne uda, jego tyłek...

Miałam ochotę go pożreć. Od stóp do głów. Miałam ochotę go

*pożreć...*

Ale Rhys zatrzymał się przed łóżkiem, puścił moją dłoń i odwrócił się do mnie twarzą w bezpiecznej odległości jednego kroku. Jego mina, gdy przyglądał się wciąż obolałemu miejscu na moim policzku, ostudziła żar grożący spopieleniem moich zmysłów.

Przełknęłam ślinę. Woda skapywała z mokrych włosów na dywan.

– Czy siniak jest bardzo paskudny?

– Już prawie go nie widać.

Ciemność ponownie przemknęła przez pomieszczenie.

Przyjrzałam się tej doskonałej twarzy. Każdej linii, wszystkim krzywiznom. Lękowi, wściekłości i miłości; mądrości, przebiegłości i sile.

Pozwoliłam rącznikowi opaść na podłogę.

Pozwoliłam mu pożreć mnie całą wzrokiem i położyłam dłoń na jego piersi. Czułam tłukące szaleńczo serce.

– Gotowa na niewolenie.

Nie udało mi się powiedzieć tego tak buńczucznie, jak zamierałam.

Uniemożliwił mi to uśmiech Rhysa – mroczny, okrutny.

– Nie mogę się zdecydować, od czego zacząć. Tyle możliwości.

Uniósł palec. Oddech mi przyśpieszył, gdy kreślił leniwie koła wokół jednej z moich piersi, potem wokół drugiej. Coraz ciaśniejsze koła.

– Mógłbym zacząć tutaj – mruknął.

Zacisnęłam uda. Zauważył to i jego mroczny uśmiech się poszerzył. Na chwilę przed tym, gdy jego palec dotarł do sutka, tuż przed tym, gdy miał mi dać to, o co zamierałam właśnie błagać, przesunął dłoń w górę – przez tors, szyję, na brodę. Prosto do moich ust.

Obrysował moje wargi dotykem lekkim niczym szept.

– Albo mógłbym zacząć tutaj – powiedział ledwo słyszalnie, wsuwając koniuszek palca do moich ust.

Nie mogłam się powstrzymać od zaciśnięcia warg, od trącenia czubkiem języka jego opuszki.

Ale Rhys wyjął palec z cichym jękiem i przesunął go w dół. Wzdłuż szyi. Poprzez tors. Prosto przez sutek. Tam się na chwilę zatrzymał, trącając go raz, po czym pogładził go kciukiem.

Trzęślam się teraz cała, ledwie utrzymując się na nogach, a jego palec podjął wędrówkę w dół piersi.

Przez chwilę rysował złożone wzory na brzuchu i przyglądał się uważnie mojej twarzy.

– Albo... – wymruczał.

Wszystkie moje myśli koncentrowały się na tym jednym palcu, na tym jednym miejscu, którego dotykał, wędrując coraz niżej i niżej, tam, gdzie go chciałam.

– Albo? – zdołałam wyszeptać.

Opuścił głowę. Włosy zsunęły się do przodu i przesłoniły mu czoło, a on się przyglądał – oboje się przyglądaliśmy – jak jego szeroki palec sunie w dół.

– Albo mogę zacząć tutaj – powiedział gardłowym, chropawym tonem.

Było mi wszystko jedno – z jego palcem sunącym prosto do mojego środka, było mi wszystko jedno.

Z jego palcem krążącym wokół tego miejsca, delikatnie i prowokująco.

– Tutaj byłoby miło – zauważył, oddychając nierówno. – A może nawet tutaj – dokończył i wsunął energicznie palec we mnie.

Jęknęłam, chwyciłam jego rękę, wbijając paznokcie w mięśnie kryjące się pod skórą; w mięśnie napinające się, gdy poruszył palcem raz, drugi. A potem wyjął go i zapytał z uniesionymi brwiami:

– Hmm? Gdzie powinienem zacząć, droga Feyro?

Ledwie potrafiłam sformułować słowa, myśli. Ale... miałam już dość gry.

Więc ujęłam go za tę płomienną dłoń, powiodłam nad moje serce i położyłam tam, częściowo na krzywiźnie piersi. Spojrzałam mu w oczy i wypowiedziałam słowa, o których wiedziałam, że odbiorą mu kontrolę nad sobą w tej małej grze; słowa, które wzbierały we mnie z każdym oddechem.



– Jesteś mój.

Pękła smycz, na której trzymał sam siebie.

Jego ubrania zniknęły, wszystkie, a jego usta objęły moje wargi.

To nie był delikatny pocałunek. Nie był łagodny ani badawczy.

Był zaborczy, dziki i nieposkromiony – spuszczone z uwięzi. A jego smak... bijący od niego żar, natarczywe ruchy języka w moich ustach... W domu. Byłam w *domu*.

Wplotłam palce w jego włosy, przyciągnęłam go do siebie i na każdy jego płomienny pocałunek odpowiedziałam swoim, nie mogąc się nasycić, nie mogąc dość go dotykać i czuć.

Nie odrywając się ode mnie, Rhys pokierował mnie w stronę łóżka, miętosząc dłońmi moje pośladki, podczas gdy ja błdziłam swoimi po jego aksamitnej skórze, po każdym twardym mięśniu, po każdej prędze. Z pleców wystrzeliły te piękne potężne skrzydła i rozpostarły się szeroko, po czym złożyły na plecach.

Uderzyłam udami w łóżko i Rhys się zatrzymał, drżąc na całym ciele. Dawał mi okazję do zmiany zdania, nawet teraz. Z bólem serca oderwałam wargi od jego ust. Patrząc mu cały czas w oczy, usiadłam na białej pościeli i odchyliłam się do tyłu.

Powoli, powoli kładłam się na materacu, aż leżałam przed nim naga i gotowa. Opuściłam wzrok na znaczną dumną długość preżącą się przede mną i coś we mnie ścisnęło się w odpowiedzi.

– Rhys – wyszeptałam błagalnie jego imię.

Rozpostarł skrzydła, pierś poczęła mu ciężko falować, a w oczach zabłysnęły mu gwiazdy. I to właśnie – ukryta pod pożądaniem i pod pragnieniem – wypisana w tych pięknych oczach tęsknota kazała mi spojrzeć na góry wytatuowane na jego kolanach.

Insygnia tego dworu – mojego dworu. Obietnica, że nie uklęknie przed nikim i niczym poza swoją koroną.

I mną.

Mój – był *mój*. Posłałam tę myśl wzdłuż naszej więzi.

Bez gierki, bez zwłoki – chciałam go na sobie, w sobie. Potrzebowałam go poczuć, trzymać w objęciach, dzielić z nim oddech. Usłyszał nutę desperacji, poczuł ją przez płynącą między nami więź godową.

Nie odrywając spojrzenia od moich oczu, wsunął się nade mnie, poruszając się z gracją skradającego się dzikiego kota. Splótł palce dłoni z moimi, oddychając nierówno, po czym rozsunął kolanem moje nogi i wsunął się między nie.

Ostrożnie, czule położył nasze złączone dłonie obok mojej głowy i wsuwając się we mnie, wyszeptał mi do ucha:

– Ty też jesteś moja.

Na pierwsze pchnięcie poderwałam głowę, by uchwycić jego usta.

Przeciagnałam językiem po jego zębach, przełknęłam jego jęk rozkoszy, podczas gdy poruszał biodrami w łagodnych pchnięciach, wchodząc i wchodząc, i wchodząc.

Dom. To był mój *dom*.

A kiedy wsunął się we mnie na całą długość, kiedy zatrzymał się na chwilę, abym mogła się dostosować do niego wypełniającego mnie, myślałam, że wybuchnę w blask księżyca płomieniem, że szczenę od potęgi tego, co przeze mnie przepływało.

Moje dyszenie było bliskie łkania; wbiłam palce w jego plecy, a Rhys uniósł się nieco na ramionach, by przyjrzeć się mojej twarzy. By z niej czytać.

– Nigdy więcej – przyrzekł, po czym wycofał się i wsunął z powrotem z nieznośną powolnością. Pocałował moje czoło, skronie. – Moja droga Feyro.

Nie znajdując słów, poruszyłam biodrami, nalegając, by wszedł głębiej, mocniej. Rhys posłuchał.

Z każdym ruchem, z każdym wspólnym oddechem, z każdą wyszeptaną czułością, z każdym jękiem więź godowa, którą dotąd skrywałam tak głęboko we mnie, lśniła coraz większym blaskiem. Była coraz wyraźniejsza.

A kiedy ponownie lśniła tak jasno jak adamant, wyzwolenie spłynęło przeze mnie wartkim strumieniem i sprawiło, że moja skóra zajaśniała jak nowo narodzona gwiazda.

Na ten widok – w chwili, gdy przeciagnałam palcem po wrażliwym wnętrzu skrzydła – Rhys wykrzyczał moje imię i znalazł swoją rozkosz.

Obejmowałam go dyszącego ciężko, trzymałam go, aż się w końcu

uspokoił, nie wysuwając się ze mnie, i rozkoszowałam się dotykiem jego skóry.

Przez długie minuty leżeliśmy tak splątani, wsłuchując się w swoje wyrównujące się oddechy, znajdując je wspanialszymi od każdej muzyki.

Po chwili Rhys uniósł się na tyle, by ująć moją prawą dłoń. Przyjrzał się uważnie pokrywającym ją tatuażom. Ucałował jeden z zawijasów niemal czarnego atramentu.

Grdyka zatańczyła na jego szyi.

– Tęskniłem do ciebie. W każdej sekundzie, z każdym oddechem. Nie tylko do tego – powiedział, poruszając biodrami dla podkreślenia swoich słów i wydobywając z głębi mojego gardła kolejny jęk – ale... do rozmowy z tobą. Śmiania się razem z tobą. Brakowało mi ciebie w moim łóżku, ale jeszcze bardziej brakowało mi ciebie jako mojej przyjaciółki.

Oczy mnie zapiekły.

– Wiem – zdołałam wykrztusić z siebie, gładząc dłonią jego skrzydła, plecy. – Wiem. – Pocałowałam nagie ramię tuż nad zawijaszem ilyryjskiego tatuażu. – Nigdy więcej – obiecałam.

I szeptałam to raz po raz, a promienie słońca sunęły po podłodze.

## Rozdział 15

**M**oje siostry mieszkały w Domu Wiatru, odkąd przybyły do Velaris.

Nie opuszczały pałacu wykutego w szczycie góry stołowej dominującej nad miastem. Nie prosiły o nic ani z nikim nie chciały się widzieć.

Zatem ja musiałam udać się do nich.

Gdy w końcu zesliśmy z Rhysem na dół, Lucien czekał w pokoju dziennym. Mój towarzysz wydał zawczasu niemy rozkaz, by wszyscy wrócili.

Jak można się było spodziewać, Kasjan i Azriel siedzieli rozparci w jadalni po drugiej stronie korytarza, pałaszowali lunch i obserwowali każdy oddech Luciena. Kasjan uśmiechnął się do mnie półgębkiem i poruszył brwiami.

Posłałam mu ostrzegawcze spojrzenie, sugerujące, co mu zrobię, jeśli tylko się odezwie. Szczęśliwie Azriel jednocześnie kopnął Kasjana pod stołem.

Ten spojrział na przyjaciela z urazą, jakby chciał powiedzieć: „Niczego nie miałem zamiaru zrobić”. W tym czasie podeszłam do łuku prowadzącego do pokoju dziennego. Lucien dostrzegł mnie i podniósł się z miejsca.

Zwalczyłam grymas pchający się na twarz i stanęłam w progu. Lucien wciąż miał na sobie swoje znoszone i brudne ubranie, w którym wyruszył ze mną z Dworu Wiosny. Przynajmniej twarz i dłonie miał czyste, ale... powinnam była zorganizować dla niego coś na zmianę. Powinnam była pamiętać, by mu zaproponować...

Myśl rozplynęła się w nicość, gdy obok mnie stanął Rhys.

Lucien nawet nie próbował ukryć odrazy wykrzywającej mu wargi.

Tak jakby mógł dostrzec więź godową lśniąca między nami.

Jego oczy – oba: i to rdzawobrunatne, i to złote – omiotły mnie od stóp do głów. Zatrzymały się na dłoni.

Na pierścieniu, który zdołał teraz mój palec – błękitny niczym niebo gwiaździsty szafir osadzony w srebrze. Na palcu Rhysanda tkwiła prosta srebrna obrączka.

Wsunęliśmy je sobie nawzajem na dłonie, zanim zeszedliśmy na dół. To było bardziej osobiste i chwytające za serce niż jakiegokolwiek publiczne przysięgi.

Wcześniej powiedziałam Rhysowi, że przez chwilę zastanawiałam się, czy jego obrączki nie zostawić w chacie Tkaczki i nie kazać mu jej odzyskać.

Roześmiał się i stwierdził, że jeśli naprawdę czułam potrzebę wyrównania rachunków, może powinnam wybrać mu innego przeciwnika – kogoś, kto nie znalazłby takiej przyjemności w usunięciu z jego ciała *mojej* ulubionej jego części. W odpowiedzi tylko go pocałowałam, wymruczałam coś na temat kogoś mającego o sobie bardzo wygórowane mniemanie i wsunęłam mu na palec obrączkę, którą sam wybrał dla siebie; kupioną tu, w Velaris, w czasie gdy mnie nie było.

Wszelka radość, cały brzęczyący jeszcze śmiech z tamtej chwili, gdy składaliśmy sobie te nieme przysięgi... Zwinęły się jak liście w ogniu, gdy Lucien skrzywił się na widok mojego pierścienia i obrączki Rhysa. Na to, jak blisko siebie staliśmy.

Przełknęłam ślinę.

Rhys również to zauważył. Nie sposób było nie zauważyć.

– Zakładam – zwrócił się do Luciena mój towarzysz, opierając się o rzeźbioną framugę łuku – że Kasjan albo Azriel wyjaśnili ci, że jeśli zagroźisz komukolwiek z tego domu, jakimkolwiek mieszkańcowi tego dworu, pokażemy ci sposoby odbierania życia, które nigdy ci nawet nie przeszły przez myśl.

Istotnie Ilyrowie uśmiechnęli się nieprzyjemnie z drzwi prowadzących do jadalni. Z nich dwóch zdecydowanie bardziej przerażający był Azriel.

Na tę groźbę coś mnie ścisnęło w brzuchu – śliska, zimna agresja.

Lucien był – kiedyś – moim przyjacielem. Nie był moim wrogiem, nie do końca...

– Ale – podjął Rhys, wsuwając dłonie do kieszeni – rozumiem, jak

ciężki był dla ciebie ten miniony miesiąc. Wiem, że Feyra wyjaśniła ci, że nie jesteśmy tacy, jak głoszą plotki...

Wpuściłam go do swojego umysłu, zanim zesłiśmy. Pokazałam wszystko, co się wydarzyło na Dworze Wiosny.

– Ale usłyszeć a zobaczyć to dwie różne rzeczy. – Wzruszył ramieniem. – Elaina otrzymała należytą opiekę. Jej udział w tutejszym życiu wynika całkowicie z jej decyzji. Do Domu Wiatru wstęp mamy tylko my i kilkoro zaufanych służących.

Lucien zachowywał milczenie.

– Kochałem Feyrę – dodał cicho Rhys – na długo zanim odwzajemniła to uczucie.

Lucien skrzyżował ramiona.

– Jak fortunnie się złożyło, że koniec końców dostałeś to, czego chciałeś.

Zamknęłam oczy na chwilę między kolejnymi uderzeniami serca.

Kasjan i Azriel zamarli, czekając na rozkaz.

– Powiem to tylko raz – ostrzegł go książe Dworu Nocy. Nawet Lucien się wzdrygnął. – Podejrzywałem, że Feyra jest przeznaczoną mi przez los towarzyszką, zanim się dowiedziałem, że jest związana z Tamlinem. A kiedy się o tym dowiedziałem... Jeśli to dawało jej szczęście, byłem gotowy usunąć się w cień.

– Przyszedłeś do naszego domu i wykradłeś ją w dzień jej ślubu.

– Miałam zamiar odwołać ceremonię – wtrąciłam się, postępując krok w stronę Luciena. – Wiedziałeś o tym.

Zanim Lucien zdołał zripostować, Rhysand kontynuował swoją przemowę:

– Byłem gotowy stracić swoją towarzyszkę na rzecz innego mężczyzny. Byłem gotowy pozwolić im na ślub, jeśli to miałyby ją uszczęśliwić. Ale nie miałem zamiaru pozwalać jej cierpieć. Przyglądać się beczynnemu, jak się stopniowo zmienia w cień samej siebie. A gdy ta kupa gówna rozwaliała swój gabinet, kiedy *zamknął ją w tamtym domu...*

Skrzydła wystrzeliły z jego pleców i Lucien się wzdrygnął.

Rhys obnażył zęby. Nogi się pode mną ugięły, cała zadrżałam w obliczu mrocznej mocy kłębiącej się w rogach pokoju. Nie ze

strachu, nigdy się go nie bałam. Ale z obawy, że utraci nad sobą kontrolę.

– Może któregoś dnia moja towarzyszka zdoła mu wybaczyć – warknął na Luciena Rhys. – Wybaczyć tobie. Ale ja nigdy nie zapomnę, jakie to było uczucie, odbierać jej *przerażenie* w tamtych chwilach.

Twarz mi spłonęła rumieńcem, zwłaszcza że Kasjan i Azriel podeszli bliżej. Piwne oczy były teraz wypełnione mieszaniną współczucia i wściekłości.

Nigdy z nimi o tym nie rozmawiałam – o tym, co się stało tamtego dnia, kiedy Tamlin zniszczył swój gabinet, albo kiedy zamknął mnie w rezydencji. Nigdy nie zapytałam Rhysa, czy im powiedział. Wnosząc po dzikiej furii promieniującej od Kasjana i zimnej wściekłości emanującej z Azriela... chyba tego nie zrobił.

Lucien, trzeba mu oddać, nie cofnął się nawet o krok. Ani przed Rhysem, ani przede mną, ani przed Ilyrami.

„Mądry lis stawia czoła skrzydlatej śmierci”. Obraz mignął mi przed oczami.

– Zatem ponownie, powiem to tylko raz – podjął Rhys. Rysy jego twarzy wygładziły się i przeobraziły w maskę śmiertelnego spokoju. Dźwięk jego głosu wyrwał mnie z barw, światła i cieni gromadzących się w moich myślach. – Feyra nie zhańbiła ani nie zdradziła Tamlina. Wyjawiłem naszą więź godową dopiero miesiące później. I zgotowała mi z tego powodu piekło, możesz być pewien. Ale teraz, skoro znajdujesz swoją towarzyszkę w podobnej sytuacji, może spróbujesz zrozumieć, jak się wtedy czułem. Nawet jeśli cię to nie obchodzi, to mam nadzieję, że będziesz miał na tyle oleju w głowie, żeby trzymać gębę na kłódkę, ponieważ jeśli jeszcze raz spojrzysz na moją towarzyszkę z taką odrazą i pogardą, nie będę wyjaśniał wszystkiego od nowa, tylko wyrwę ci pieprzone gardło.

Rhys powiedział to tak łagodnie, że dopiero po chwili dotarła do mnie rzucona groźba. Uderzyła mnie niczym kamień wrzucony do jeziora.

Lucien tylko przestąpił z nogi na nogę. Czujny. Rozważający swoją sytuację. Liczyłam kolejne uderzenia serca, zastanawiając się,

jak dalece bym interweniowała, gdyby powiedział coś naprawdę głupiego.

– Wygląda na to, że jest tu do opowiedzenia dłuższa historia – wymamrotał w końcu.

Mądra odpowiedź. Gniew odpływał z twarzy Rhysa, a Kasjan i Azriel ledwo zauważalnie rozluźnili ramiona.

„Tylko jeden raz” – powiedział mi wtedy Lucien, podczas naszej ucieczki. Tylko tyle chciał: zobaczyć Elaine choć jeden raz.

A potem... Będę musiała zdecydować, co z nim zrobić. Chyba że mój towarzysz puścił już w ruch jakiś swój plan.

Jedno spojrzenie na Rhysa, który uniósł brwi, tak jakby chciał powiedzieć: „Jest cały twój”, uświadomiło mi, że decyzja należy do mnie. Ale do tego czasu... Odchrząknęłam.

– Mam zamiar zobaczyć się z moimi siostrami w Domu Wiatru – zwróciłam się do Luciena, którego oczy strzeliły w moją stronę; to metalowe zwięzło się i zachrobotало.

Zmusiłam się do przywołania na twarz ponurego uśmiechu.

– Czy chciałbyś mi towarzyszyć?

Rozważył propozycję – a wraz z nim trzech mężczyzn obserwujących każde jego mrugnięcie, każdy oddech.

Kiwnął tylko głową. Kolejna mądra decyzja.

Po kilku minutach już nas nie było. Szybko wspięliśmy się na dach – i to by było tyle, jeśli chodzi o przyspieszony kurs zapoznania Luciena z moim domem. Nie zaprzętałam sobie głowy objaśnianiem rozkładu sypialni. A Lucien nie miał zamiaru pytać.

Azriel zostawił nas, gdy wzbijaliśmy się w niebo, mamrocząc pod nosem coś na temat pilnych spraw. Po wściekłym spojrzeniu, które posłał mu Kasjan, nabrałam podejrzeń, że pieśniarz cieni wymyślił tę wymówkę, aby uniknąć niesienia Luciena do Domu Wiatru, ale subtelne skinienie głowy Rhysa w stronę swojego szpiega rozwiało moje wątpliwości.

Istotnie zajmowali się czymś ważnym. Snuli jakieś intrygi – jak zwykle w przypadku tej dwójki. A po spotkaniu z moimi siostrami... uzyskam odpowiedzi na swoje pytania.

Zatem Kasjan poniósł zachowującego kamienną twarz Luciena



w przestworza, a Rhys zagarnął mnie w swoje objęcia i pomknął wdzięcznie w bezchmurny błękit.

Z każdym uderzeniem skrzydeł, z każdym głębokim wdechem powietrza przetykanego wonią cytrusów i soli... stopniowo opadało ze mnie napięcie.

Nawet pomimo tego, że każde uderzenie przybliżało nas też do Domu Wiatru wysoko nad Velaris. Do moich sióstr.

\*\*\*

Dom Wiatru został wykuty w czerwonej ogrzewanej słońcem skale gór stołowych wyrastających na obrzeżu miasta. Z niezliczonymi balkonami i tarasami wyrastającymi ze zbocza tysiąc stóp nad dnem doliny. Kręte uliczki Velaris płynęły aż do samej skalnej ściany. Między masywami wiała się Sidra niczym jasna wstęga błyszcząca w południowym słońcu.

Gdy wylądowaliśmy na tarasie przylegającym do jadalni, w której zwykle spożywaliśmy posiłki, a Kasjan z Lucieniem właśnie podchodzili do lądowania za naszymi plecami, wtedy właśnie do mnie dotarło: miasto, rzeka i odległe morze, postrzępione pasmo górskie po drugiej stronie Velaris i nieskazitelny błękit nieba nad naszymi głowami. I Dom Wiatru, mój drugi dom. Wspaniała oficjalna rezydencja, bliźniacza wobec naszego domu miejskiego – w zasadzie nasza główna rezydencja. Miejsce, w którym będziemy odbywali spotkania i przyjmowali gości spoza rodziny.

Dużo przyjemniejsza alternatywa dla drugiej oficjalnej siedziby: Dworu Koszmarów. Tam mogłam się zatrzymać w pałacu z księżycowego kamienia na szczycie góry, w której wydrążono Wykute Miasto. Ale lud, którym będę władała... Odcięłam od nich myśli i poprawiłam warkocz, upychając w nim pasma wyrwane zeń przez łagodny wiatr, który Rhys przepuścił przez swoją barierę podczas lotu.

Lucien podszedł do balustrady i spojrzał w dal. Nie mogłam go winić.

Obejrzałam się przez ramię na Rhysa i Kasjana.

Rhys uniósł brew.

„Zaczekajcie na mnie w środku”.

Uśmiechnął się drapieźnie. „Żebyś nie miała żadnych świadków, kiedy wypchniesz go przez balustradę?”.

Posłałam mu pełne niedowierzania spojrzenie i ruszyłam w stronę Luciena. Rhys mruknął do Kasjana coś o drinkach w jadalni i obaj się oddalili. Szklane drzwi otworzyły się i zamknęły niemal bezgłośnie. W tamtym pomieszczeniu spotkałam po raz pierwszy większość z nich – moją nową rodzinę.

Stałam obok Luciena. Wiatr szarpał pasmami rudych włosów wyrwanych z rzemienia, którym zebrał je z tyłu głowy.

– Nie tego się spodziewałem – przyznał, spoglądając na rozpościerające się przed nami Velaris.

– Miasto wciąż się podnosi po ataku Hybernijczyków.

Spuścił wzrok na rzeźbioną balustradę.

– Chociaż nie mieliśmy w tym żadnego udziału... Wybacz. Ale... nie to miałem na myśli.

Zerknął przez ramię na Rhysa i Kasjana czekających na nas w jadalni z kieliszkami w dłoniach, opierających się z udawaną swobodą o olbrzymi dębowy stół na środku pomieszczenia.

Właśnie w tej chwili obaj udali wielkie zainteresowanie jakąś plamą na blacie.

Skrzywiłam się i przełknęłam ślinę, by się uspokoić. I chociaż wewnątrz czekały moje siostry, chociaż pragnienie zobaczenia ich było tak silne, że nie zdziwiłabym się, gdybym spojrzała w dół i znalazła linę ciągnącą mnie w stronę domu, zwróciłam się do Luciena:

– Rhys ocalił moje życie podczas Calanmai.

Opowiedziałam mu. Wszystko – całą historię, dzięki której może zrozumie. I zorientuje się, jak bezpieczna jest w tej chwili Elaina – jak bezpieczny jest on sam. W pewnym momencie przyzwałam Rhysa, aby mógł opowiedzieć o tym ze swojej strony. Przedstawił Lucienowi jedynie ogólne fakty. Pomiął wszystkie szczerze, bolesne fragmenty, które doprowadziły mnie do łez w górskiej chatce. Ale i tak namalował wystarczająco jasny obraz.

Lucien słuchał go w milczeniu. Nie odzywał się też, gdy podjęłam

swoją opowieść, do której Kasjan często dorzucał własne wtręty na temat mieszkania razem z dwójką osób związanych więzią godową, ale zachowujących się, jakby nic takiego nie miało miejsca, na temat udawania, że Rhys wcale się do mnie nie umizguje, na temat przyjęcia mnie do ich kameralnego kręgu.

Nie wiedziałam, ile czasu minęło. Powaga rozmowy nie przeszkodziła Rhysowi i Kasjanowi bez zażenowania wygrzewać skrzydeł w promieniach słońca. Pominęłam wydarzenia na Hybernii – z dnia, w którym wróciłam na Dwór Wiosny.

Zapadła cisza, a Rhys i Kasjan ponownie się oddalili, rozumiejąc wir emocji kłębiących się w oku Luciena; znaczenie ciężkiego westchnięcia, które z siebie wydał.

Zostaliśmy sami. Lucien potarł oczy.

– Widziałem, jak Rhysand robił takie... okropności. Widziałem, jak raz za razem odgrywa mrocznego księcia. A ty mi mówisz, że to wszystko było kłamstwem. Maską. Grą obliczoną na ochronienie tego miejsca, jego mieszkańców. Wyśmiałybym cię, że wierzysz w coś takiego, a mimo to... to miasto istnieje. Nietknięte... przynajmniej do niedawna. Nawet miasta Dworu Świtów nie są tak cudowne.

– Lucienie...

– A ty go kochasz. I on... on naprawdę kocha też ciebie. – Przesesał dłonią swoją rudą czuprynę. – A ci wszyscy, których przez całe wieki nienawidziłem, których się wręcz lękałem... są twoją rodziną.

– Sądzę, że Amrena zapewne zaprzeczyłaby, że żywi jakiegokolwiek ciepłe uczucia względem nas...

– Amrena jest bajką opowiadaną dzieciom na dobranoc, żeby były grzeczne. Amrena, która wypije krew i zabierze w otchłań, jeśli nie będzie się posłusznym. Ale oto była w tamtym domu i zachowywała się bardziej jak stara zrzędliva ciotka.

– Nie... nie przestrzegamy tu protokołu ani rang.

– To oczywiste. Na Kocioł, Rhys mieszka w zwykłym domu w mieście.

Machnął ręką, wskazując całe Velaris.

Milczałam, bo co niby miałam powiedzieć?

– Nie zdawałem sobie sprawy, że w twojej opowieści byłem złoczyńcą – dodał szeptem Lucien.

– Nie byłeś.

Nie do końca.

Słońce tańczyło na odległym morzu, przeobrażając linię horyzontu w lśniący pas światła.

– Ona nie wie o tobie niczego. Tylko podstawowe rzeczy, które powiedział jej Rhys: że jesteś synem księcia Dworu Jesieni, że służyysz na Dworze Wiosny. Że pomogłeś mi pod Górą. Nic więcej.

Nie dodałam, że wedle słów Rhysa moja siostra ani razu o niego nie zapytała.

Wyprostowałam się.

– Chciałabym zobaczyć się z nimi pierwsza. Wiem, że nie możesz się doczekać...

– Po prostu idź – przerwał mi Lucien i oparł przedramiona na kamiennej balustradzie. – Przyjdź po mnie, kiedy będzie gotowa.

Niemal poklepałam go po ramieniu, niemal powiedziałam coś pocieszającego.

Ale ponownie nie znalazłam żadnych słów i w milczeniu zanurzyłam się w tonące w półmroku wnętrza Domu Wiatru.

\*\*\*

Rhys udostępnił Neście i Elainie przylegające komnaty z widokiem na miasto, rzekę i pasmo górskie w oddali.

Ale Nestę znalazł dopiero w rodzinnej bibliotece.

Gdy szliśmy we trójkę w dół schodów łączących poszczególne poziomy domu, wyczuwałam w Kasjanie zwinięte jak sprężyna i ostre jak brzytwa napięcie. Korytarze wykute w czerwonej skale były skąpane w półmroku. Szelest skrzydeł Kasjana i stłumione bicie wiatru w szyby okien niosły się echem po całym domu. Z każdym krokiem przybliżającym nas do podwójnych drzwi biblioteki to Ilyr sprawiał wrażenie coraz bardziej spiętego. Nie zapytałam, czy widzieli się lub czy rozmawiali od tamtego dnia na Hybernii.

Kasjan sam z siebie niczego nie zdradził.

Już byłam gotowa zapytać Rhysa przez naszą więź, ale właśnie

wtedy otworzył jedno ze skrzydeł drzwi.

Od razu wypatrzyłam Nestę zwiniętą w fotelu z książką rozłożoną na kolanach. Po raz pierwszy wyglądała jak nie ona – swobodna, może nawet rozluźniona.

Ciesząca się samotnością.

Gdy tylko podeszwy moich butów zaszurały na kamiennej posadzce, zerwała się na równe nogi, cała zeszywniała i zamknęła czytany tom z głuchym hukiem. Jej szaroniebieskie oczy rozszerzyły się tylko minimalnie, gdy mnie spostrzegła.

Przyjrzałam się jej uważnie.

Nesta była piękna jeszcze jako ludzka kobieta.

Jako fae wysokiego rodu była wprost oszałamiająca.

Kątem oka zauważyłam, w jakim całkowitym bezruchu zastygł obok mnie Kasjan, i zastanowiłam się, czy myśli o tym samym co ja.

Ubrana była w grafitową suknię prostego kroju, ale z doskonałej jakości materiału. Włosy miała zaplecione w warkocz i zwinięte na czubku głowy, co podkreślało długą bladą szyję – która przyciągnęła spojrzenie Kasjana, zanim zdążył odwrócić wzrok.

– Wróciłaś – rzekła do mnie.

Jej fryzura ukrywała spiczastość uszu. Ale nie mogła ukryć nieziemskiej gracji, aż nazbyt widocznej, gdy postąpiła krok w naszą stronę. Po czym przeniosła swoją uwagę na Kasjana.

– Czego chcesz? – dodała.

Poczułam się, jakby mnie ktoś uderzył w brzuch.

– Widzę, że niektórych rzeczy w tobie nieśmiertelność nie zmieniła – stwierdziłam.

Nesta posłała mi lodowate spojrzenie.

– Czy jest jakiś cel tej wizyty, czy też mogę wrócić do książki?

Rhys musnął palcami moją dłoń w niemym geście pocieszenia. Ale wyraz twarzy miał... kamienny. I zdecydowanie nierozbawiony.

Kasjan zbliżył się powoli do Nesty z szelmowskim uśmieszkiem powoli wkradającym się na twarz. Nawet nie drgnęła, kiedy podniósł książkę i przeczytał tytuł, po czym zachichotał.

– Nie podejrzewałam cię o zamiłowanie do romansów.

Posłała mu miażdżące spojrzenie.

Kasjan przekartkował tom.

– Nie przegapiłaś wiele, zajmując się niszczeniem naszych wrogów, Feyro – powiedział przeciągle. – Przez większość czasu tak to właśnie wyglądało.

Nesta obróciła się gwałtownie w moją stronę.

– U... udało ci się?

Zacisnęłam zęby.

– Zobaczymy, jak sprawy się potoczą. Dopilnowałam, aby Iantha cierpiała. – Na widok rodzącej się w spojrzeniu mojej siostry wściekłości i obawy dodałam: – Ale jeszcze nie dość.

Spojrzałam na jej dłoń; tę, którą wycelowała w króla Hybernii. Rhys wspomniał, że żadna z moich sióstr nie przejawiała jakichkolwiek szczególnych mocy. Ale tamtego dnia na Hybernii, kiedy Nesta otworzyła oczy...

Widziałam to. Dostrzegłam w nich coś ogromnego i przerażającego.

– Zapytam ponownie: po co tu przyszłaś?

Wyrwała książkę z rąk Kasjana, który nie próbował się opierać, ale nie odstał od niej. Obserwował każdy jej oddech, każde mrugnięcie.

– Chciałam się z tobą zobaczyć – odparłam cicho. – Sprawdzić, jak się masz.

– Przekonać się, czy pogodziłam się ze swoim losem i poczułam wdzięczność z powodu przeistoczenia się w jedną z *nich*?

Wyprostowałam plecy.

– Nesto, jesteś przecież moją siostrą. Widziałam, jak cię krzywdzą. Chciałam się przekonać, czy wszystko z tobą w porządku.

Zaśmiała się nisko i gorzko. Obróciła się do Kasjana i zlustrowała go, tak jak królowa spoczywająca na tronie lustruje poddanego.

– A co mnie to obchodzi? – zwróciła się do nas wszystkich. – Będę wiecznie młoda i piękna, a do tego nigdy już nie wrócę do tych służalczych głupców po drugiej stronie muru. Mogę też robić, co chcę, ponieważ najwyraźniej nikt tutaj nie stosuje się do naszych zasad, manier czy tradycji. Może istotnie powinnam podziękować ci za wciągnięcie mnie w to wszystko.

Rhys położył dłoń na moim krzyżu, zanim jej słowa na dobre we mnie wsiąkły.

Nesta parsknęła.

– Ale to nie mną powinnaś się przejmować. Po drugiej stronie muru trzymało mnie równie niewiele, co teraz trzyma mnie tu. – Na chwilę twarz wykrzywiła jej nienawiść. Na chwilę dość długą, by mi się zrobiło niedobrze. – Ona nie opuszcza swojej komnaty – wysyczała. – Nie przestaje płakać. Nie chce jeść, spać ani pić.

Rhys zacisnął zęby.

– Regularnie pytam, czy potrzebujecie...

– Dlaczego miałabym pozwolić któremukolwiek z was – ostatnie słowo zostało posłane w stronę Kasjana z dozą jadu, której nie powstydziliby się jadowity wąż – choćby zbliżyć się do niej? Ta sprawa dotyczy tylko nas.

– Towarzysz Elainy tu przybył – powiedziałam.

I to było coś, czego nie powinnam przy niej mówić.

Pobieliała z wściekłości.

– Nie jest dla niej nikim podobnym – warknęła, zbliżając się do mnie na tyle, że Rhys postawił między nami barierę.

Tak jakby on również dostrzegł wtedy na Hybernii tę niezmierną potęgę w jej oczach. I nie wiedział, jak może się objawić.

– Jeśli przyprowadzisz tego *samca* choć w pobliże niej, to wtedy...

– Co zrobisz? – zapytał łagodnym głosem Kasjan.

Gdy zatrzymała się może pięć stóp przede mną, ruszył za nią wolnym krokiem. Obróciła się gwałtownie na pięcie, a on jedynie uniósł brew.

– Nie chcesz dołączyć do mnie na ćwiczenia, więc nie ma mowy, byś dała komukolwiek radę w walce. Nie chcesz nawet rozmawiać o swoich mocach, więc z pewnością nie zdołasz ich użyć. A do tego...

– Zamknij się – warknęła, emanując władczością. – Kazałam ci się do mnie nawet nie zbliżać, więc jeśli nie...

– Wkraczasz między mężczyznę a jego towarzyszkę, Nesto Archeron, i poznasz tego nieprzyjemne konsekwencje.

Nesta rozděła nozdrza. W odpowiedzi Kasjan jedynie posłał jej szelmowski uśmiech.

– Jeśli Elaina nie jest na to gotowa – wtrąciłam się – to nie zobaczy się z nim. Nie będę jej do tego zmuszać. Ale on chce się z nią zobaczyć, Nesto. Proszę w jego imieniu, ale decyzja będzie należała do niej.

– W imieniu samca, który nas sprzedał Hybernii.

– To o wiele bardziej złożone.

– Cóż, zdecydowanie będzie bardziej złożone, kiedy ojciec wróci i odkryje, że nas nie ma. Jak zamierzasz *jemu* to wszystko wyjaśnić?

– Zważywszy na to, że od miesiący nie dał znaku życia z kontynentu, będę się tym martwiła później – odcięłam się.

I dzięki niech będą za to Kotłowi – że zajmował się handlem w jakichś odległych krajach.

Nesta tylko pokręciła głową i odwróciła się w stronę fotela i swojej książki.

– Nie dbam o to. Rób, co chcesz.

Chłodne odtrącenie, choć może też przyznanie, że nadal ufa mi, że postawię potrzeby Elainy na pierwszym miejscu. Rhys skinął głową na Kasjana, po czym wskazał brodą drzwi. Podążyłam za nimi.

– Przepraszam, Nesto – powiedziałam cicho.

Nie odpowiedziała. Siedziała sztywno w fotelu, wzięła książkę i uparcie nas ignorowała. Lepiej bym zniosła policzek.

Gdy spojrzałam przez siebie, dostrzegłam Kasjana wpatrzonego w Nestę.

Zastanawiałam się, dlaczego nikt jeszcze nie wspomniał o uczuciach bijących z jego oczu, gdy spoglądał na moją siostrę.

O tej żałości. I tęsknocie.

\*\*\*

Komnata była cała zalana słońcem.

Wszystkie zasłony były odsunięte tak bardzo, jak się tylko dało, aby wpuścić do środka jak najwięcej światła.

Tak jakby choć odrobina mroku była czymś niedopuszczalnym.



Jakby chciała go przegonić.

Na krześle postawionym przed najjaśniejszym oknem, plecami do nas, siedziała Elaina.

I podczas gdy milczenie Nesty było wyzwaniem dla świata, milczenie Elainy było... puste.

Włosy miała rozpuszczone, nawet niezaplecione w warkocz. Nie pamiętałam, kiedy po raz ostatni widziałam jej włosy w takim stanie. Zrzuciła na siebie jedwabny szlafrok w kolorze blasku księżyca.

Gdy weszliśmy do komnaty, nie spojrzała w naszą stronę, nie odezwała się, nawet nie drgnęła.

Chorobliwie chude ramiona wsparła na oparciach krzesła. Żelazny pierścionek zaręczynowy wciąż zdobił jej palec.

Skórę miała tak bladą, że w mocnym świetle wyglądała jak świeży śnieg.

Wtedy zrozumiałam, że biel była barwą śmierci, żalu.

Brakiem koloru. Życia.

Zostawiłam Kasjana i Rhysa przy drzwiach.

Wściekłość Nesty była lepsza od tej... skorupy.

Tej pustki.

Gdy minęłam krzesło, na chwilę zaparło mi dech w piersi. Spojrzałam na panoramę miasta, w którą moja siostra wpatrywała się niewidzącym wzrokiem.

Potem przyjrzałam się jej zapadniętym policzkom, bladym wargom, brązowym oczom, które kiedyś były tak żywe i ciepłe, a teraz sprawiały wrażenie tak beznadziejnie matowych.

Jak ziemia na grobie.

Nawet na mnie nie spojrzała.

– Elaino? – odezwałam się cicho.

Nie poważyłam się sięgnąć po jej dłoń.

Nie poważyłam się zbliżyć zanadto.

To ja to sprawiłam. Ja to na nie sprowadziłam...

– Wróciłam – dodałam bezbarwnym tonem, bez nadziei na odpowiedź.

Powiedziała tylko:

– Chcę wrócić do domu.

Zamknęłam oczy i poczułam nieznośny ucisk w piersi.

– Wiem.

– Będzie mnie szukał – wyszeptała.

– Wiem – powtórzyłam kolejny raz.

Nie Lucien – nie jego miała na myśli.

– W przyszłym tygodniu mieliśmy się pobrać.

Przyłożyłam dłoń do swojej piersi, tak jakbym mogła w ten sposób powstrzymać serce przed pęknięciem.

– Przepraszam.

Nic. Nawet śladu emocji.

– Wszyscy ciągle to powtarzają. – Przesunęła kciukiem po żelaznym pierścionku na palcu. – Ale to niczego nie naprawia, prawda?

Nie mogłam złapać tchu. Nie mogłam... nie mogłam oddychać, patrząc na tę zdruzgotaną, wydrażoną istotę, w którą przemieniła się moja siostra. Z czegom ją okradła, com jej odebrała...

Rhys podszedł do mnie i otoczył mnie ramieniem w talii.

– Czy możemy ci jakkolwiek pomóc, Elaino?

Powiedział to tak łagodnie, że niemal się rozplakałam.

– Chcę wrócić do domu – powtórzyła.

Nie mogłam jej zapytać o Luciena. Nie teraz. Jeszcze nie.

Odwróciłam się, gotowa wypaść z komnaty i w sąsiednim pomieszczeniu, w innej części domu pofolgować swojej rozpacz. Ale w drzwiach stał Lucien.

I po wstrząsie wymalowanym na jego twarzy poznałam, że słyszał każde słowo. Widział, słyszał i czuł bijące od niej pustkę i desperację.

Elaina zawsze była łagodna i urocza – a ja uznawałam to za inny rodzaj siły. Lepszy. Patrzeć na trudy tego świata i wybierać, raz za razem, okazywanie miłości, dobroci. Zawsze była tak pełna światła.

Może dlatego rozsunała wszystkie kotary. Żeby wypełnić pustkę tych wszystkich miejsc, które wcześniej rozjaśniało jej światło.

A w których teraz nie było nic.

## Rozdział 16

Rhysand poprowadził Luciena w milczeniu do apartamentu po przeciwnej stronie Domu Wiatru, w którym miał zamieszkać. Szliśmy z Kasjanem za nimi. Żadne z nas się nie odezwało słowem, dopóki mój towarzysz nie otworzył pary onyksowych drzwi, za którymi ukazał się słoneczny pokój dzienny wykuty w czerwonej skale góry. Za szerokimi na całą ścianę oknami roztaczał się widok na miasto w dole, aż po odległe postrzępione góry i lśniące morze.

Rhys przystanął na środku ciemnogramatowego ręcznie tkanego dywanu i wskazał zamknięte drzwi po swojej lewej.

– Sypialnia. – Skinął niedbale dłonią w stronę pojedynczych drzwi na przeciwległej ścianie. – Komnata łazienka.

Lucien rozejrzał się po pomieszczeniu z chłodną obojętnością. Co czuł w sprawie Elainy, co zamierzał zrobić... Nie chciałam pytać.

– Zakładam, że będziesz potrzebował ubrań – ciągnął Rhys.

Wskazał głową brudną kurtę i brudne spodnie Luciena, które nosił przez cały tydzień naszej wędrówki. Istotnie, miał... plamy krwi w kilku miejscach.

– Jakieś preferencje co do fasonu?

To przyciągnęło uwagę Luciena. Obrócił się na tyle, żeby móc spojrzeć na Rhysa, by dostrzec mnie i Kasjana stojących przy drzwiach wejściowych.

– Czy jest jakaś tego cena?

– Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że nie masz pieniędzy, to się nie martw. Ubrania są podarkiem. – Rhys uśmiechnął się nieznacznie. – Jeśli zaś pytasz, czy to jest swego rodzaju łapówka...

– Wzruszył ramionami. – Jesteś ksiązęcym synem. Dałbym przykład złych manier, gdybym nie zapewnił ci dachu nad głową i odzienia, gdy znalazłeś się w potrzebie.

Lucien się najeżył.

„Przestań go prowokować” – rzuciłam przez naszą więź.

„Ale to jest takie fajne” – wymruczał w odpowiedzi.

Wydawał się podminowany i prowokowanie Luciena zdało mu się prostym sposobem na spuszczenie pary. Weszłam głębiej do pomieszczenia; Kasjan pozostał za moimi plecami.

– Wrócimy za kilka godzin na wieczerzę – zwróciłam się do Luciena. – Wypocznij trochę... wykąp się. Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebował, pociągnij za ten sznur przy drzwiach.

Lucien zeszywniał – nie z powodu tego, co powiedziałam, ale z powodu tonu mojego głosu. Tonu gospodyni w swoim domu.

– A co z... Elainą? – zapytał.

„Twój wybór” – rzucił Rhys.

– Muszę się nad tym zastanowić – odparłam szczerze. – Muszę wymyślić, co z nią zrobić. I z Nestą. Nie wchodź im w drogę. – Zamilkłam na chwilę, po czym dodałam, może zbyt chłodno: – Ten dom jest chroniony przed przeskakiwaniem. Zarówno z zewnątrz, jak i ze środka. Jest tylko jedna droga wyjścia: schody prowadzące do miasta. One również są chronione magią... i strzeżone. Proszę, nie zrób czegoś głupiego.

– Zatem jestem więźniem.

Czułam, że Rhys ma ochotę zripostować, ale pokręciłam głową.

– Nie. Ale zrozum, mimo że jesteś jej towarzyszem, to Elaina jest moją siostrą. Zrobię wszystko, żeby uchronić ją przed dalszą krzywdą.

– Nigdy bym jej nie skrzywdził.

W jego głosie pobrzmiwała smętna szczerłość.

Kiwnęłam w milczeniu głową, westchnęłam, po czym spojrzałam Rhysowi błagalnie w oczy.

Mój towarzysz nijak nie zdradził, że dostrzegł moją niemą prośbę.

– Możesz chodzić swobodnie po całym domu – powiedział. – Jeśli odważysz się zejść schodami, możesz też poruszać się po mieście. Są jednak dwa warunki: nie możesz zabierać ze sobą żadnej z sióstr i masz nie wchodzić na ich piętro. Jeśli zechcesz przeczytać jedną z książek z biblioteki, poproś kogoś ze służby. Jeśli zapragniesz pomówić z Elainą lub Nestą, również poproś służbę, a oni skontaktują się z nami. Jeśli złamiesz którąkolwiek z tych zasad,

zamknę cię w jednym pomieszczeniu z Amreną.

Po tych słowach Rhys obrócił się do mnie, wsunął dłonie do kieszeni i podał mi ramię. Wzięłam go pod rękę.

– Do zobaczenia za kilka godzin – powiedziałam do Luciena.

Byliśmy już prawie przy drzwiach, a Kasjan stał już na korytarzu, kiedy Lucien zwrócił się do mnie:

– Dziękuję.

Nie odważyłam się zapytać za co.

\*\*\*

Polecieliśmy prosto do mieszkania Amreny. Wiele osób pozdrowiało nas, gdy szybowaliśmy nad dachami Velaris. Nie musiałam udawać uśmiechu, gdy machałam w odpowiedzi... do mojego ludu. Rhys tylko obejmował mnie nieco mocniej, gdy to robiłam. Jego uśmiech był radosny jak słońce odbijające się w Sidrze.

Mor i Azriel już czekali na nas u Amreny. Siedzieli niczym skarcone dzieci na gładkim dywanie, plecami oparci o ścianę, podczas gdy ciemnowłosa kobieta kartkowała księgi rozłożone na podłodze wokół niej.

Gdy weszliśmy, Mor posłała mi pełne wdzięczności i ulgi spojrzenie. Twarz Azriela nie wyrażała absolutnie niczego. Podniósł się i stanął w starannie obliczonej odległości od niej. Amrena odezwała się jako pierwsza:

– Powinieneś zabić Berona i jego synów, a następnie osadzić przystojniaka na tronie Dworu Jesieni, nie dbając o to jego dobrowolne wygnanie. To by ułatwiło nam życie.

– Rozważę to – stwierdził Rhys.

Ruszył w jej stronę, a ja zostałam z pozostałą dwójką. Jeśli trzymali się z dala... to Amrena musiała mieć naprawdę podły nastrój.

Westchnęłam ciężko.

– Kto jeszcze uważa, że pozostawienie tamtej trójki razem w Domu Wiatru jest fatalnym pomysłem?

Kasjan uniósł dłoń, a Rhys i Mor zachichotali.

– Stawiam, że nie minie więcej niż godzina, zanim spróbuje się

z nią zobaczyć – rzucił książęcy generał.

– Trzydzieści minut – skontrowała Mor. Usiadła z powrotem na dywanie i skrzyżowała nogi.

Skrzywiłam się.

– Zaręczam, że Nesta teraz pilnuje Elainy. Sądzę, że może go naprawdę zabić, jeśli spróbuje ją choćby tknąć.

– Bez odpowiedniego treningu nie da rady – mruknął Kasjan, składając ciaśniej skrzydła i sadowiąc się obok Mor na miejscu zwolnionym przez Azriela.

Pieśniarz cieni nawet na niego nie spojrział. Nie, Azriel podszedł do ściany obok Kasjana i oparł się o drewnianą boazerię.

Po nerwowym milczeniu Rhysa i pozostałych wiedziałam, że muszę ostrożnie dobierać słowa.

– Z tego, co mówiła Nesta, wynikało, że odwiedzałaś ją w Domu Wiatru... i to często – zwróciłam się do Kasjana. – Proponowałaś jej, że będziesz ją szkolić?

Kasjan zamknął oczy i skrzyżował wyprostowane nogi w kostkach, rozprostowując mięśnie.

– Latam tam co drugi dzień. To dobre ćwiczenie dla skrzydeł.

Poruszył wspomnianymi skrzydłami dla podkreślenia swoich słów. Nie było na nich widać najmniejszego zadrapania.

– I?

– I to, co widziałaś w bibliotece, było łagodniejszą wersją rozmowy, którą odbywamy za każdym razem.

Mor zacisnęła usta w cienką linię, tak jakby bardzo się starała czegoś nie powiedzieć. Azriel z kolei posłał Mor ostrzegawcze spojrzenie, nakazując jej istotnie powściągnąć język. Tak jakby już o tym rozmawiali. Wielokrotnie.

– Nie winię jej – powiedział Kasjan i wzruszył ramionami. – Została... skrzywdzona. Jej ciało przestało należeć w pełni do niej. – Zacisnęła zęby. Nawet Amrena nie odważyła się wtrącić słowa. – A gdy następnym razem spotkam króla Hybernii, obedrę go całego ze skóry.

Syfony Ilyra zamigotały do wtóru jego słowom.

– Jestem przekonany, że królowi się to wielce spodoba – rzucił

niby od niechcenia Rhys.

Kasjan zgromił go wzrokiem.

– Nie żartuję.

– Och, nie wątpię, że nie żartujesz. – Fiołkowe oczy Rhysa skrzyły się w mroku panującym w mieszkaniu. – Ale zanim zatracisz się w planowanej zemście, wspomnij, że musimy najpierw zaplanować wojnę.

– Dupek.

Kącik ust mojego towarzysza powędrował w górę. I... Rhys go prowokował, świadomie denerwował Kasjana, żeby nie pozwolić mu się osunąć całkowicie w poczucie winy. Pozostali pozwolili mu przejąć to zadanie, bo zapewne w ostatnich tygodniach sami musieli to robić kilka razy.

– Z pewnością nim właśnie jestem – przyznał Rhys – ale to nie zmienia faktu, że musimy przedłożyć wygranie tej wojny nad zemstę.

Kasjan już otwierał usta, tak jakby zamierzał się dalej kłócić, ale Rhys spojrzał na książki rozłożone na dywanie.

– Nic? – zapytał Amrenę.

– Nie wiem, czemu przysłałeś tę dwójkę bufonów – rzuciła gniewne spojrzenie na Azriela i Mor – żeby mnie pilnowali.

A więc tu udał się Azriel – prosto do tego mieszkania. Bez wątplenia by ocalić Mor od konieczności przebywania z Amreną sam na sam. Ale ton głosu „malutkiej pradawnej”... owszem, zgryźliwy, ale może też nieco na pokaz, obliczony był na przegnanie niepokojącego błysku w oczach Kasjana.

– Nie monitorujemy cię – zaoponowała Mor, stukając stopą o dywan. – Pilnujemy Księgi.

I kiedy to powiedziała... poczułam ją. Usłyszałam ją.

Amrena położyła Księgę Tchnień na szafce nocnej.

A na niej postawiła szklanekę starej krwi.

Nie wiedziałam, czy powinnam się zaśmiać, czy skrzywić. Wygrało to drugie, gdy Księga zamruczała: „Witaj, kłamczucho o ślicznej twarzączce. Witaj, księżniczko o...”.

– Och, siedź cicho – syknęła Amrena w stronę Księgi, która...

zamilkła. – Wstrętne cholerstwo – zamamrotała i wróciła do studiowania leżącego przed nią tomu.

Rhys uśmiechnął się do mnie krzywo.

– Odkąd obie połowy Księgi zostały na powrót złączone... co jakiś czas się odzywa.

– Co mówi?

– Kompletne bzdury – warknęła Amrena, krzywiąc się na Księgę.

– Po prostu lubi słuchać własnego głosu. Podobnie jak większość osób tłoczących się w moim mieszkaniu.

Kasjan uśmiechnął się pod nosem.

– Czy ktoś znowu zapomniał nakarmić Amrenę?

Wycelowała w niego ostrzegawczo palec, nawet nie podnosząc wzroku.

– Rhysandzie, czy jest jakiś konkretny powód, dla którego ściągnąłeś do mojego domu swoją trajkoczącą bandę?

Jej dom był zasadniczo wielkim z grubsza zagospodarowanym strychem, ale nikt z nas nie odważył się odezwać. Mor, Kasjan i Azriel w końcu zbliżyli się do Amreny i stanęli wokół niej.

– Informacje, które wyciągnąłeś z Dagdana i Brannagh, potwierdzają to, czego sami się dowiedzieliśmy pod twoją nieobecność – zwrócił się do mnie Rhys. – Zwłaszcza o potencjalnych sojusznikach Hybernii w innych krainach. Na kontynencie.

– Sępy – mruknęła Mor, a Kasjan zdawał się z nią zgadzać.

Ale Rhys... Rhys istotnie szpiegował, podczas gdy Azriel... Księżę parsknął.

– Potrafię się ukrywać przed wzrokiem innych, towarzyszeko ma.

Posłałam mu wściekłe spojrzenie.

– Potrzebowaliśmy potwierdzenia ruchów Hybernii przez ciebie, Feyro – wtrącił Azriel.

– Dlaczego?

Kasjan skrzyżował ramiona.

– Ledwie mamy szansę przetrwać starcie z armiami Hybernii. Jeśli dołączą do nich wojska Vallahanu, Montesere'u i Rasku... – Przeciągnął palcem w poprzek opalonego gardła.



Mor dźgnęła go łokciem w żebra. Kasjan nie pozostał jej dłużny, a Azriel pokręcił tylko głową; wokół czubków jego skrzydeł kłębiły się cienie.

– Czy te trzy krainy są... takie potężne?

Może to było głupie pytanie, pewnie tylko udowadniałam, jak niewiele wiem o ziemiach fae na kontynencie...

– Owszem – powiedział bez śladu osądu w piwnych oczach Azriel. – Vallahan ma liczne wojsko, Montesere ma pełne skarbcce, a Rask... jest dość duży, by mieć jedno i drugie.

– A my nie mamy wśród tych zamorskich krain potencjalnych sojuszników?

Rhys wyciągnął luźną nitkę z mankietu kaftana.

– Nie takich, którzy przypłynęliby nam na pomoc.

Strach ścisnął mi żołądek.

– A Miriam i Drakon? – Kiedyś odmówił nawet rozważenia tej ewentualności, ale... – Walczyłeś dla nich wieki temu. – Zrobił o wiele więcej, jeśli wierzyć Jurianowi. – Może nadszedł czas odebrać przysługę?

Rhys pokręcił głową.

– Próbowaliśmy. Azriel udał się na Kreteę.

Wyspa, na której Miriam, Drakon oraz zjednoczeni ludzie i fae mieszkali w tajemnicy przez ostatnie pięć stuleci.

– Wyspa została opuszczona – powiedział Azriel. – Wszystko się rozpadało. Nie znalazłem niczego, co by mnie naprowadziło na trop tego, co się stało czy dokąd się udali.

– Sądysz, że Hybernia...

– Nie było śladu obecności Hybernijczyków ani żadnej walki – wtrąciła z napiętą miną Mor.

Ona również była ich przyjaciółką... w czasie wojny. Miriam, Drakona, królowych ludzi, które podpisały Traktat. W jej brązowych oczach zamigotała troska – nieklamana głęboka troska. Podobnie jak w oczach ich wszystkich.

– Zatem sądzą, że usłyszeli o zamiarach Hybernii i uciekli? – zapytałam.

Kiedyś Rhys mi powiedział, że Drakon dysponował skrzydlatym

legionem. Jeśli była szansa odszukania ich...

– Drakon i Miriam, których znałem, nie uciekliby... nie przed tym – powiedział Rhys.

Mor pochyliła się do przodu. Złociste włosy spłynęły jej po ramionach.

– Ale teraz, gdy do konfliktu włączył się Jurian... Oboje, czy tego chcieli, czy nie, zawsze byli z nim powiązani. Nie winię ich za to, że uciekli, jeśli naprawdę ich ściga.

Na krótką chwilę między kolejnymi uderzeniami serca Rhys spochmurniał.

– To właśnie jest karta przetargowa króla Hybernii wobec Juriana – dodał cicho. – Dlatego Jurian wykonuje jego polecenia.

Zmarszczyłam brwi.

– Miriam umarła. Podczas ostatniej bitwy na morzu bosak przebił jej pierś – wyjaśnił Rhys. – Wykrwawiła się, zanim zdołano ją zanieść w bezpieczne miejsce. Ale Drakon wiedział o świętej ukrytej wyspie, na której znajdował się przedmiot o wielkiej i straszliwej mocy. Przedmiot wykonany przez sam Kocioł, jak głosiła legenda. Zabrał ją tam, na Kreteę, i wykorzystał ten przedmiot do wskrzeszenia jej i uczynienia nieśmiertelną. Tak jak stało się i z tobą, Feyro.

Tak powiedziała Amrena – miesiące temu. Że Miriam zyskała swoją nieśmiertelność tak samo jak ja.

Amrena zdawała się też to sobie przypominać.

– Król Hybernii musiał obiecać Jurianowi, że wykorzysta Kocioł do wyśledzenia ich – powiedziała. – Do znalezienia miejsca, gdzie Miriam i Drakon teraz mieszkają. Może to przewidzieli i opuścili wyspę najszybciej, jak tylko zdołali.

A dla zemsty, z tej szalonej wściekłości, która doprowadzała Juriana do obłędu... zrobiliby wszystko, o co król by go tylko poprosił. Żeby tylko własnoręcznie móc zabić Miriam.

– Ale dokąd się udali? – Spojrzałam na Azriela, który wciąż stał oparty o ścianę w nienaturalnym bezruchu. – Znalazłeś jakiegokolwiek ślady, które pomogłyby nam ustalić, gdzie podążyli?

– Żadnych – odpowiedział za niego Rhys. – Wyszliśmy tam też

posłańców... bez skutku.

Potarłam twarz i porzuciłam tę ścieżkę nadziei.

– Zatem jeśli oni nam nie pomogą... W jaki sposób powstrzymamy te krainy z kontynentu od połączenia sił z Hybarnią, od przysłania tu swoich wojsk? – Skrzywiłam się. – Taki jest nasz plan... prawda?

Rhys uśmiechnął się ponuro.

– Owszem. Pracowaliśmy nad nim przez cały czas twojej nieobecności. – Czekałam, starając się nie zacząć krążyć nerwowo, patrząc w srebrne oczy Amreny, które zdawały się skrzyć z rozbawienia. – Najpierw przyjrzałem się Hybarnii. Jej mieszkańcom. Najlepiej, jak zdołałem.

Udał się na Hybarnię...

Rhys uśmiechnął się półgębkiem na widok troski wypisanej na mojej twarzy.

– Miałem nadzieję, że znajdę tam jakieś wewnętrzne tarcia, które mógłbym wykorzystać, żeby zniszczyć wroga od środka. Liczyłem, że może mieszkańcy nie chcą tej wojny, postrzegają ją jako kosztowną, niebezpieczną, niepotrzebną. Ale pięćset lat na tej wyspie, ze znikomym handlem, przy braku możliwości... Mieszkańcy Hybarnii pragną zmiany. Albo raczej... powrotu do dawnych czasów, kiedy mieli ludzkich niewolników, by wykonywali pracę za nich, kiedy nie było barier uniemożliwiających im dotarcie na ziemię, które ich zdaniem im się należą.

Amrena zamknęła z trzaskiem czytana książkę.

– Głupcy. – Pokręciła głową, potrząsając atramentowoczarnymi włosami, i spojrzała na mnie skrzywiona. – Bogactwa Hybarnii topniały od stuleci. Większość jej handlu przed wojną była związana z południem, z Czarnymi Ziemiami. Ale odkąd ta kraina przypadła ludziom... Nie dowiemy się, czy król rozmyślnie nie nawiązał nowych stosunków handlowych, aby jego poddani byli coraz przychylniej nastawieni do tej wojny, czy też był na tyle krótkowzroczny, że pozwolił wszystkiemu się rozpaść. Tak czy owak od wieków lud Hybarnii gotuje się w sobie. Król pozwolił rosnać ich rozżaleniu spowodowanemu postępującą stagnacją i rosącym

ubóstwem.

– Jest wielu fae wysokiego rodu – powiedziała ostrożnie Mor – którzy przed wojną wierzyli, którzy wciąż wierzą, że ludzie... stanowią ich własność. Jest wielu takich, którzy dzięki tym niewolnikom pławili się w luksusach. A gdy im je odebrano, kiedy byli zmuszeni opuścić swoje ziemie lub zrobić miejsce innym fae i podzielić swe władztwa na północ od muru, by stworzyć nowe kraje... Oni wciąż kipią tym gniewem, mimo upływu czasu. Zwłaszcza w miejscach niepodobnych Hybernii, której terytorium i liczba mieszkańców praktycznie się nie zmieniły. Było tylko kilka krain, które nie musiały oddać części swoich ziem z powodu powstania muru. Czy to śmiertelnikom, czy napływowym fae poszukującym nowego domu. Odizolowani, coraz biedniejsi, bez niewolników do wykonywania prac... Hybernia od dawna postrzega czasy sprzed wojny jako złotą epokę. A lata po wojnie – jako mroczne wieki.

Poczułam przykry ucisk w piersi.

– Są szaleni, jeśli istotnie tak myślą.

Rhys kiwnął głową.

– Tak... zdecydowanie tak. Ale nie zapominaj, że sam król zachęcał ich do takiego myślenia. Nie nawiązał nowych stosunków handlowych, nie pozwolił innym zamieszkać na jego ziemi i przynieść ze sobą swoich kultur. Rozważał, gdzie lojaliści popełnili błąd podczas wojny. Zrozumiał, że ostateczną klęskę ponieśli nie wskutek ulegnięcia przeważającym siłom wroga, ale z powodu wewnętrznych niesnasek. Hybernijczycy mieli wiele, wiele lat, by przemyśleć te błędy. I zastanowić się, jak uniknąć ich w przyszłości, za wszelką cenę. Król dopilnował więc, aby jego poddani całym sercem popierali tę wojnę. Aby byli niezachwianymi zwolennikami zniszczenia muru. Żeby byli przekonani, że to w jakiś sposób wróci im tę... nadzieję na złotą przyszłość. Mieszkańcy Hybernii postrzegają swojego władcę i jego wojska nie jako najeźdźców cudzych ziem, ale jako wyzwolicieli fae wysokiego rodu i wszystkich, którzy staną po ich stronie.

Poczułam wzbierające nudności.

– Jak ktokolwiek może w coś takiego wierzyć?

Azriel przeczesał włosy poblížnioną dłonią.

– Tego właśnie się dowiadaliśmy. Słuchaliśmy rozmów na Hybernii. I w krainach takich jak Rask, Montesere czy Vallahan.

– Mamy posłużyć za przykład dla innych, dziewczyno – wyjaśniła Amrena. – Prythian. Byliśmy jednymi z najbardziej zagorzałych obrońców i orędowników Traktatu. Hybernijczycy chcą zająć naszą wyspę nie tylko po to, by utworować sobie drogę na kontynent, ale żeby pokazać, jaki los spotka te krainy fae, które staną w obronie Traktatu.

– Ale z pewnością inni przecież będą go bronili, prawda? – zapytałam, studiując ich twarze.

– Nie tyłu, na ilu mieliśmy nadzieję – przyznał Rhys niechętnie. – Jest wielu, zbyt wielu takich, którzy także czuli się przez te wieki upokarzani i tłamszeni. Chcą odzyskać swoje ziemie na południe od muru, a także władzę i dobrobyt, który za tym idzie. Ich obraz przeszłości został podkolorowany przez pięć stuleci walki o dostosowanie się i prosperowanie w nowych warunkach.

– Może za mało im pomogliśmy – zastanowiła się Mor. – Za mało dzieliliśmy się naszym bogactwem, za mało udostępniliśmy ziem. Może ponosimy część winy za tę zarazę?

– Na takie dyskusje przyjdzie jeszcze czas – stwierdziła Amrena i machnęła delikatną dłonią. – Teraz ważne jest to, że nie stajemy wobec armii pragnącej siać zniszczenie. Oni są przekonani, że niosą wszystkim wyzwolenie. Że oswobadzają fae pokrzywdzonych istnieniem muru. Że sięgają po to, co ich zdaniem nigdy nie przestało należeć do nich.

Przełknęłam ślinę.

– Więc jak się w to wpisują te pozostałe krainy? Te trzy, które zdaniem Hybernijczyków ich wesprą? – Powiodłam wzrokiem od Rhysa do Azriela i z powrotem. – Mówiłeś, że byłeś... tam?

Rhys wzruszył ramionami.

– Tam, na Hybernii, w innych miejscach... – Mrugnął na widok moich rozdziawionych ust. – Musiałem znajdować sobie ciągle zajęcia, żeby uniknąć usychania z tęsknoty.

Mor przewróciła oczami. Ale to Kasjan się wtrącił:

– Nie możemy dopuścić, by te trzy krainy połączyły siły z Hybernią. Jeśli przyślą swoje armie do Prythianu, już po nas.

– Co zatem robimy?

Rhys oparł się o rzeźbioną kolumnę łóżka Amreny.

– Dbaliśmy o to, by nie brakło im zajęcia. – Wskazał brodą Azriela. – Rozsiewaliśmy plotki, prawdziwe, fałszywe, trochę takie, trochę takie. Podobne pogłoski rozpuszczaliśmy wśród naszych dawnych sprzymierzeńców, którzy teraz nie są zbyt chętni, by nas wspomóc.

Azriel błysnął zębami w uśmiechu. Kłamstwa i prawdy – pieśniarz cieni i jego szpiedzy rozsiewali je na innych dworach.

Zmarszczyłam brwi.

– Rozgrywaliście krainy na kontynencie jedną przeciwko drugiej?

– Dopilnowaliśmy, by byli sobą wystarczająco zajęci – odparł z zawadiackim błyskiem w oku Kasjan. – Zapewniliśmy, by odwieczni wrogowie i rywale Rasku, Vallahanu i Montesere’u nagle otrzymali informacje, które sprawiły, że zaczęli się obawiać ataku. W związku z czym wzmocnili swoje granice. To z kolei sprawiło, że Rask, Vallahan i Montesere zajęli się bardziej swoimi granicami niż naszymi.

– Jeśli nasi sprzymierzeńcy z czasów wojny zbyt się boją, by przybyć tu i walczyć – dodała Mor, krzyżując ramiona na piersi – to niech przynajmniej zajmą pozostałych i powstrzymają ich od przyplłynięcia tutaj.

Zamrugłam. Spojrzałam na Rhysa.

Genialne. Całkowicie genialne: sprawić, by byli tak skoncentrowani na sobie nawzajem, by jedni drugich tak się bali, by nie mieli ochoty przybywać na Prythian.

– Zatem... nie przyplyną tutaj?

– Możemy tylko mieć taką nadzieję – odparła Amrena. – A także że zdążymy się uporać z problemami tutaj, zanim się zorientują, że wszyscy zostali wyprowadzeni w pole.

– A co z królowymi ludzi? – Przygryzłam czubek kciuka. – One przecież muszą wiedzieć, że w ostatecznym rozrachunku żaden układ

z Hybernią nie zadziała na ich korzyść.

Mor objęła nogi ramionami.

– Kto wie, co król Hybernii im obiecał? Co im nakłamał? Już je obdarzył nieśmiertelnością dzięki mocy Kotła w zamian za ich współpracę. Jeśli były na tyle głupie, by się na to zgodzić, nie wątpię, że już otworzyły swoje bramy przed nim na oścież.

– Ale nie wiemy tego na pewno – zaproponowała Amrena. – I nic z tego nie wyjaśnia, dlaczego były tak cicho; zamknięte w tym pałacu.

Rhys i Azriel pokręcili głową w milczącym potwierdzeniu. Przyjrzałam się im, odnotowując niknące rozbawienie.

– To was doprowadza do szału, prawda? Że żadnemu nie udało się dostać do środka tego pałacu.

Obaj warknęli ponuro.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo – wymamrotał Azriel.

Amrena mlasnęła ze zniecierpliwieniem i spojrzała na mnie.

– Ci hybernijscy dowódcy byli głupcami, że zdradzili swoje plany zniszczenia muru. Albo może dobrze wiedzieli, że ta informacja dotrze do nas. Może ich władca chciał, żebyśmy się teraz nad tym głowili.

Przechyliłam głowę na bok.

– Masz na myśli strzaskanie muru poprzez wykorzystanie istniejących szczelin?

Wskazała spiczastą brodą rozłożone wokół niej książki.

– To bardzo złożone zaklęcie. Usterka w magii spajającej mur.

– A to sugeruje – wtrąciła Mor, mocno marszcząc brwi – że coś może być nie tak z samym Kotłem.

Przez chwilę w skupieniu rozważałam implikacje.

– Ponieważ Kocioł powinien być w stanie samodzielnie zniszczyć mur, tak?

– Właśnie tak – potwierdził Rhys i podszedł do spoczywającej na szafce nocnej Księgi. Nie odważył się jej dotknąć. – Po co szukać tych szczelin, żeby ułatwić pracę Kotłowi, skoro mogliby zwyczajnie wyzwolić jego moc i załatwić to za jednym zamachem?

– Może zużył zbyt wiele ze swej mocy na transformację moich

sióstr i tych królowych.

– To możliwe – przyznał Rhys i wrócił do mojego boku. – Ale jeśli chce wykorzystać te rozdarcia w murze, musimy znaleźć sposób na ich naprawienie, zanim zaczną działać.

– Czy istnieją zaklęcia, które mogłyby to zrobić? – spytałam Amrenę.

– Szukam ich – wycedziła przez zęby. – Pomogłoby mi, gdyby *ktoś* wziął swoją dupę w troki i udał się do biblioteki, żeby pogłębić nasze badania.

– Jesteśmy do twojej dyspozycji – oznajmił Kasjan i skłonił się błazeńsko.

– Nie wiedziałam, że umiesz czytać – odparła słodko Amrena.

– To może być wybieg – wtrącił się Azriel, zanim Kasjan zdołał zwerbalizować ripostę. – Żebyśmy się skoncentrowali na murze, podczas gdy on uderzy z innego kierunku.

Skrzywiłam się na Księgę Tchnień.

– A dlaczego nie spróbujemy po prostu ponownie zneutralizować Kotła?

– Bo poprzednim razem o mało przez to nie zginęłaś – odparł spokojnie Rhys, dając mi wyraźnie do zrozumienia, że za żadne skarby nie zaryzykuje kolejnej próby.

Wyprostowałam się.

– Na Hybernii nie byłam przygotowana. Żadne z nas nie było. Gdybym spróbowała jeszcze raz...

Mor weszła mi w słowo:

– Gdybyś spróbowała jeszcze raz, równie dobrze mogłoby to cię zabić. Nie wspominając o tym, że musielibyśmy fizycznie dotrzeć do Kotła, co jest wykluczone.

– Król – wyjaśnił Azriel, widząc moje zmarszczone brwi – nie spuszcza Kotła z oka. Do tego jest otoczony większą liczbą zaklęć i pułapek niż poprzednio. – Już otwierałam usta, by zaprotestować, ale pieśniarz cieni nie dał mi dojść do słowa: – Sprawdziliśmy to. To jest niewykonalne.

Uwierzyłam mu. Czysta szczerłość w jego piwnych oczach wystarczyła mi za potwierdzenie, że drobiazgowo rozważył tę



ewentualność.

– Cóż, jeśli zneutralizowanie Kotła jest zbyt ryzykowne – myślałam na głos – to może ja mogę jakoś naprawić mur? Skoro powstał w wyniku współpracy wielu różnych fae, a moja magia jest wynikiem zmieszania mocy kilku różnych dworów...

Amrena rozważała moje słowa w zapadłej ciszy.

– Może. Związek między tobą a murem byłby słaby, ale... tak, może zdołałabyś go załatać. Chociaż twoje siostry, stworzone bezpośrednio w Kotle, mogą dysponować magią, której my...

– Moje siostry nie będą brały w tym udziału.

Ponownie zapadła cisza, przerywana jedynie szmerem skrzydeł Azriela.

– Prosiłam je już raz o pomoc i proszę, co się stało. Nie zaryzykuję tego ponownie.

Amrena parsknęła.

– Jakbym słyszała Tamlina.

Słowa uderzyły mnie jak młot.

Rhys podtrzymał moje plecy. Przesunął się za mnie tak szybko, że nie zdołałam zarejestrować ruchu. Zanim zdołał coś powiedzieć, Mor odezwała się cicho:

– Nigdy więcej nie mów czegoś takiego, Amreno.

Twarz Mor wyrażała całkowity lodowaty spokój – była wściekła.

Nigdy nie widziałam, żeby wyglądała tak... przerażająco. Owszem, wściekła się na królowe ludzi, ale to... To była twarz prawej ręki księcia fae.

– Jeśli jesteś rozdrażniona z powodu głodu, to nam to powiedz – kontynuowała z tym samym chłodem w głosie Mor. – Ale jeśli kiedykolwiek powiesz coś podobnego, wrzucę cię do przeklętej Sidry.

– Chciałabym zobaczyć, jak próbujesz to zrobić.

W odpowiedzi Mor jedynie uśmiechnęła się złowieszczo.

Amrena przeniosła swoją uwagę na mnie.

– Potrzebujemy twoich sióstr... Jeśli nie do tego, to by przekonały innych do dołączenia do nas, by powiedziały im o ryzyku. Bo każdy potencjalny sojusznik mógłby mieć pewne... opory przed

uwierzeniem nam na słowo po tylu latach kłamstw.

– Przeproś – zażądała Mor.

– Mor – mruknęłam.

– *Przeproś* – wysyczała do Amreny.

Ta jednak milczała.

Mor postąpiła krok w jej stronę.

– Ona ma rację – powiedziałam.

Obie spojrzały na mnie z uniesionymi brwiami.

Przełknęłam ślinę.

– Amrena ma rację.

Odsunęłam się od podtrzymującego mnie ramienia Rhysa i zdałam sobie sprawę, że nie odezwał się ani słowem; pozwolił mi rozwiązać tę sprawę. Pozwolił mi samej dojść do tego, jak sobie poradzić z nimi dwiema, jak w rodzinie, ale przede wszystkim jako ich księżna.

Twarz Mor steżała, ale pokręciłam głową.

– Mogę... poprosić moje siostry o pomoc. Przekonać się, czy dysponują jakąś mocą. Zobaczyć, czy byłyby skłonne... porozmawiać z innymi o tym, co przeżyły. Ale jeśli nie zechcą nam pomóc, nie zmuszę ich do tego. Wybór będzie należał do nich.

Zerknęłam na mojego towarzysza – mężczyznę, który zawsze dawał mi wybór nie jako przywilej, ale jako moje przyznane przez bogów *prawo*. Przez fioletowe oczy Rhysa przemknął błysk potwierdzenia.

– Ale przedstawię im... skalę naszej desperacji.

Amrena sapnęła, przypominając w tym drapieżnego ptaka puszącego pióra.

– Kompromis, Amreno – powiedział miękkim głosem Rhys. – To się nazywa kompromis.

Zignorowała go.

– Jeśli chcesz zacząć przekonywać swoje siostry, wyprowadź je z Domu Wiatru. Siedzenie tam jak na grzędzie nigdy nikomu nie pomogło.

– Nie jestem całkiem pewny, czy Velaris jest gotowe na Nestę Archeron – powiedział gładko Rhys.

– Moja siostra nie jest jakimś dzikim zwierzęciem – warknęłam.  
Rhys cofnął się nieco, a pozostali nagle zaczęli się uważnie przyglądać dywanowi i książkom.

– Nie to miałem na myśli.

Nie odpowiedziałam.

Mor spojrzała z dezaprobatą na Rhysa, który bardzo uważnie mi się przyglądał.

– A co z Elainą? – zwróciła się do mnie.

Przestąpiłam z nogi na nogę, przedzierając się przez słowa wciąż wiszące między mną a Rhysem.

– Mogę ją zapytać, ale... może nie być gotowa na przebywanie wśród tylu osób. W przyszłym tygodniu miała wziąć ślub.

– Owszem, ciągle to powtarza, w koło i w koło – mruknęła Amrena.

Zgromiłam ją wzrokiem.

– Uważaj – rzuciłam, a Amrena zamrugowała i spojrzała na mnie zdziwiona. – Zatem musimy znaleźć sposób na załatanie muru, zanim Hybernijczycy użyją Kotła do zniszczenia go. I stoczyć tę wojnę, zanim inne krainy przyłączą się do hybernijskich wojsk. I ostatecznie zdobyć sam Kocioł. Coś jeszcze?

– To tyle – odezwał się zza moich pleców z wystudiowaną swobodą Rhys. – Gdy tylko zdołamy zebrać nasze siły, rzucamy wyzwanie Hybernii.

– Ilyryjskie legiony są niemal gotowe – zakomunikował Kasjan.

– Nie – powiedział Rhys. – Mam na myśli większe siły. Nie tylko wojska Dworu Nocy, ale całego Prythianu. Ta wyspa to nasza jedyna szansa na zdobycie sprzymierzeńców w tej wojnie.

Żadne z nas się nie odezwało, żadne się nie poruszyło.

– Jutro – podjął po chwili Rhys – wyślemy zaproszenia do wszystkich książąt Prythianu. Na spotkanie, które odbędzie się za dwa tygodnie. Nadszedł czas się przekonać, kto jest po naszej stronie. I dopilnować, by w pełni zrozumieli konsekwencje podjęcia odmiennej decyzji.

## Rozdział 17

**D**wie godziny później pozwoliłam Kasjanowi zanieść się do Domu Wiatru. Wyznał, że wciąż pracuje nad wzmocnieniem skrzydeł, i potrzebuje ciągłego wysiłku.

Powietrze falowało nad nagrzanymi słońcem dachami i czerwonym kamieniem. Mknęliśmy nad nimi, a morska bryza składała na mojej twarzy chłodne pocałunki.

Ledwie pół godziny temu skończyliśmy debatować – tylko dlatego, że burczenie w brzuchu Mor mogło się równać z hukiem gromu. Rozważaliśmy różne możliwe miejsca spotkania z księżętami pozostałych dworów; zastanawialiśmy się, co powinniśmy ze sobą zabrać.

Jutro miały zostać rozesłane zaproszenia – ale bez podania miejsca. Rhys stwierdził, że wybieranie go nie miało sensu, ponieważ zaproszeni bez wątpienia i tak by odrzucili naszą propozycję i przedstawili własną. Wybraliśmy tylko dzień i godzinę – zostawiając im dwa tygodnie na uporanie się ze sprzeczkami, które niechybnie wybuchną. A reszta... Będziemy się po prostu musieli przygotować na wszelkie ewentualności.

Szybko wróciliśmy do miejskiego domu Rhysa, aby się przebrać przed wyruszeniem do Domu Wiatru. W swojej komnacie natknęłam się na Nualę i Cerridwenę czekające z uśmiechami na cienistych twarzach.

Objęłam je obie, chociaż powitanie Rhysa było mniej... entuzjastyczne. Nie z powodu antypatii do półzjaw, lecz...

Napadłam na niego. W mieszkaniu Amreny. Nie wyglądał na złego, a jednak... Czułam, jak przez ostatnie kilka godzin uważnie mnie obserwuje. Z tego powodu było... dziwnie, patrzeć na niego. Wystarczająco dziwnie, by apetyt, który stopniowo we mnie wzbierał, przerodził się w lekkie nudności. Rzuciałam mu wyzwania już wcześniej, ale... nie jako księżna. Nie... takim tonem.

Nie miałam okazji zapytać go o to, ponieważ gdy Nuala i Cerridwen pomagały mi się ubrać, on udał się do komnaty łazienkowej.

Ich pomoc nie była mi w zasadzie potrzebna. Wybrałam ilyryjskie skórzane spodnie, luźną białą koszulę i parę haftowanych pantofli, z powodu których Kasjan co pewien czas parskał podczas lotu.

Po trzecim parsknięciu na przestrzeni dwóch minut uszczypnęłam go w ramię.

– Jest upał – powiedziałam. – W tych butach było mi za gorąco. Uniósł brwi, udając wcielenie niewinności.

– Nic nie mówiłem.

– Burknąłeś. *Znowu.*

– Obcuję z Mor już od pięciuset lat. W dość bolesny sposób nauczyłem się nie kwestionować doboru obuwia. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Jakkolwiek byłoby absurdalne.

– Jest pora wieczery. Chyba że planujesz jakąś bitwę na później?

– Twoja siostra tam będzie. Moim zdaniem to już samo w sobie gwarantuje solidną bitwę.

Przyjrzałam mu się mimochodem. Bardzo usilnie starał się utrzymać obojętny wyraz twarzy, patrzeć gdziekolwiek, byle nie mi w oczy. Rhys leciał w pobliżu, ale dość daleko, by pozostawać poza zasięgiem głosu.

– Użyłbyś jej, by się przekonać, czy potrafi w jakiś sposób naprawić mur? – zapytałam.

Jego piwne oczy błyskawicznie odszukały moje. Płonęły w nich zaciętość i determinacja.

– Tak. Nie tylko dla naszego dobra, ale... ona musi ruszyć się z tego domu. Musi...

Skrzydła Kasjana dalej biły równym rytmem. Odrosty można było odróżnić tylko po tym, że nie były poznaczone bliznami.

– Zniszczy sama siebie, jeśli będzie się dalej tu kisiła.

Poczułam nagle ukłucie w piersi.

– Czy... – Starannie dobierałam słowa. – W dniu, w którym została odmieniona... Wyczułam w niej coś innego.

Walczyłam z kurczami mięśni wywołanymi tymi wspomnieniami.

Krzykami, krwią i mdłościami wywołanymi widokiem moich sióstr wrzucanych do Kotła wbrew ich woli, a ja nie mogłam nic zrobić, a my...

Zdusiłam w sobie lęk, poczucie winy.

– Tak jakby... wszystko, czym była; ta stal, ten ogień... Jakby to zostało zwielokrotnione. Niewyobrażalnie. Tak jak... jakby w jednej chwili stał przed tobą zwykły kot domowy, a chwilę później patrzyłbyś na panterę.

Potrząsnęłam głową, jakbym mogła w ten sposób pozbyć się wspomnienia tego drapieżnika, tej furii kipiącej w jej niebieskoszarych oczach.

– Nigdy nie zapomnę tamtych chwil – powiedział cicho Kasjan, wyczuwając, jak bardzo dręczą mnie te wspomnienia. – Będę miał je przed oczami do końca swoich dni.

– Czy widziałeś to od tamtego czasu?

– Nigdy. – Dom Wiatru rysował się już coraz wyraźniej. Jego złote światła, ściany, okna i drzwi przyzywały nas zapraszająco. – Ale czuję to... czasem. – Dodał nieco smętnie. – Zwykle kiedy jest na mnie wkurzona. Co ma miejsce... przez większość czasu.

– Dlaczego?

Od początku skakali sobie do gardeł, ale to... tak, dynamika ich relacji była dziś inna. Ostrzejsza.

Kasjan strząsnął z oczu kosmyk ciemnych włosów, nieco dłuższych, niż kiedy go widziałam ostatnim razem.

– Nie sądzę, żeby Nesta kiedykolwiek wybaczyła mi to, co się stało na Hybernii. Co się przydarzyło jej... ale głównie Elainie.

– Twoje skrzydła były w strzępach. Ledwie to przeżyłeś.

W każdym słowie Kasjana pobrzmiwało poczucie winy – pustoszące i zatruwające. To z tym pozostali walczyli w mieszkaniu Amreny.

– Nie miałeś żadnej możliwości uratować kogokolwiek.

– Złożyłem jej obietnicę. – Wiatr targał włosy Kasjana, gdy uniósł twarz ku niebu i zmrużył oczy. – I w tej najważniejszej chwili nie dotrzymałem jej.

Wciąż śniłam o nim usiłującym pełznąć do niej, sięgającym ku

niej, chociaż sam był już ledwo przytomny z bólu i utraty krwi. Tak jak niegdyś postąpił Rhysand, gdy chodziło o mnie, w ostatnich chwilach życia Amaranthy.

Od szerokiego tarasu dzieliło nas już tylko kilka uderzeń skrzydłami.

– Dlaczego wciąż próbujesz, Kasjanie?

Przymknął oczy, gdy miękko wylądowaliśmy. Sądziłam już, że nie odpowie, zwłaszcza gdy dobiegły nas głosy pozostałych zebranych już w pomieszczeniu wychodzącym na taras, zwłaszcza gdy Rhys wylądował z gracją obok nas i ruszył przodem, uprzednio puściwszy do mnie oko.

Ale Kasjan odpowiedział cicho, gdy ruszyliśmy w stronę jadalni:

– Ponieważ nie potrafię być z dala od niej.

\*\*\*

Elaina, co nie zdziwiło nikogo, pozostała w swojej komnacie.

Nesta, co zdziwiło wszystkich, przyszła do jadalni.

To żadną miarą nie było formalne przyjęcie – chociaż Lucien, stojący przy oknach i obserwujący słońce zachodzące za Velaris, włożył elegancki zielony surdut wyszywany złotą nicią, kremowe spodnie podkreślające umięśnione uda i wysokie do kolan czarne buty wypolerowane tak starannie, że odbijały się w nich wszystkie kandelabry wypełnione czarodziejskim światłem.

Zawsze był pełen niewymuszonego wdzięku, ale tu, dziś, z włosami związanymi z tyłu głowy i guzikami zapiętymi pod szyję, naprawdę wyglądał na książęcego syna. Przystojnego, potężnego, nieco zawadiackiego – ale jednocześnie dobrze wychowanego i eleganckiego.

Podeszłam do niego, gdy pozostali zajęli się winem i wachali zawartość karafek stojących na wiekowym drewnianym stole. Doskonale wiedziałam, że chociaż moi przyjaciele prowadzili niezobowiązujące rozmowy między sobą, wszyscy mieli nas na oku. Lucien zlustrował mnie swoim zdrowym okiem – przyjrzał się mojemu swobodnemu ubraniu, potem przeniósł wzrok na Ilyrów w ich tradycyjnych skórzniach, na Amrenę w jej zwyczajowych

szarościach, na Mor w powłóczystej czerwonej sukni.

– Jakie tu właściwie panują wymagania odnośnie do stroju? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami i podałam mu przyniesiony kieliszek wina.

– Takie... na jakie akurat mamy ochotę.

Złote oko szczęknęło i mechaniczna źrenica się zwężyła, by po chwili wrócić do obserwowania miasta w dole.

– Jak spędziłeś popołudnie?

– Spałem – odparł. – Myłem się. Siedziałem na tyłku.

– Mogłabym cię jutro oprowadzić po mieście – zaproponowałam.  
– Jeśli chcesz.

Co prawda mieliśmy spotkanie do zaplanowania. Mur do naprawienia. Wojnę do stoczenia. Ale mogłam wygospodarować pół dnia. Pokazać mu, dlaczego to miejsce stało się moim domem, dlaczego zakochałam się w jego władcy.

– Nie musisz marnować swojego czasu na przekonywanie mnie – powiedział Lucien, tak jakby wyczuwał moje myśli. – Ja wszystko rozumiem. Że... że nie byliśmy tym, czego chciałaś. Ani czego potrzebowałaś. Jakże mizerny i zapadły musiał się wydawać nasz dom, kiedy tylko zobaczyłaś to wszystko. – Wskazał brodą miasto, które zaczynało się iskrzyć światłami w zapadającym mroku. – Kto mógłby się z tym równać?

Niemal powiedziałam: „Nie chciałaś powiedzieć aby: co mogłoby się z tym równać?”, ale ugryzłam się w język.

Spojrzał gdzieś za mnie i... zamknął usta. Metalowe oko zabrzęczało cicho.

Podążyłam za jego wzrokiem i usiłowałam nie zeszywnieć, gdy dostrzegłam wkraczającą do jadalni Nestę.

Tak, słowo „oszałamiająca” dobrze oddawało jej obecną urodę fae. A do tego w tej granatowej sukni z długimi rękawami, która opinała jej kształty, aby na koniec majestatycznie opaść na ziemię kaskadą materiału...

Kasjan wyglądał, jakby ktoś go właśnie uderzył mocno w brzuch.

Ale Nesta patrzyła wprost na mnie. Czarodziejskie światło skrzyło



się na srebrnych grzebieniach, którymi upięła włosy na czubku głowy. Pozostałych ostentacyjnie zignorowała. Uniosła głowę i ruszyła w naszą stronę. Modliłam się w duchu, by Mor i Amrena, przyglądające się jej z wysoko uniesionymi brwiami, nie powiedziały nic...

– Skąd wytrzasnąłaś tę suknię? – zapytała Mor i ruszyła zważnym krokiem w stronę Nesty.

Moja siostra stanęła w miejscu, zeszywniała, czujna...

Mor była już przy niej i wodziła palcami po ciężkim granatowym materiale, uważnie przyglądała się każdemu szwowi.

– Chcę taką – oznajmiła kapryśnie.

Było to bez wątpienia zawołowane zaproszenie dla mnie na wspólną wyprawę do składów w celu powiększenia garderoby. Jako księżna potrzebowałam ubrań – bardziej wykwintnych ubrań. Zwłaszcza na planowane spotkanie. Moje siostry również ich potrzebowały.

Brązowe oczy Mor spotkały na chwilę moje, a ja musiałam zwalczyć przytłaczające poczucie wdzięczności, by się nie rozpłakać. Podeszłam bliżej.

– Zakładam, że mój towarzysz skądś ją wykopał – stwierdziłam.

Rzuciłam spojrzenie przez ramię na Rhysa, który siedział na brzegu stołu jadalnianego z Azem i Kasjanem po obu stronach. Cała trójka Ilyrów udawała, że nie słuchała uważnie każdego słowa naszej rozmowy, i polewała sobie nawzajem wino.

Wścibskie samce. Posłałam tę myśl Rhysowi przez naszą więź i otrzymałam w odpowiedzi ponury śmiech.

– Zawsze zbiera pochwały za wynajdowanie ubrań – powiedziała Mor, przyglądając się uważnie materiałowi spódnicy Nesty, podczas gdy moja siostra obserwowowała ją czujnie niczym jastrzęb – a nigdy mi nie mówi, skąd je wszystkie bierze. Wciąż mi nie chce zdradzić, gdzie znalazł suknię, którą Feyra miała na sobie w Święto Spadających Gwiazd. – Rzuciła przez ramię w jego stronę pełne wyrzutu spojrzenie. – Drań.

Rhys zachichotał. Kasjan za to nawet się nie uśmiechnął. Zdawał się całkowicie i bez reszty skoncentrowany na Neście i Mor.

Na tym, co zrobi moja siostra.

Mor przyjrzała się srebrnym grzebieniom we włosach Nesty.

– Dobrze, że nosimy różne rozmiary – rzuciła. – W przeciwnym razie kusiłoby mnie, żeby ci wykraść tę suknię.

– Zapewne zanim zdążyłaby ją zdjąć – mruknął Kasjan.

Uśmiezek Mor nie był w żadnej mierze przyjazny.

Twarz Nesty pozostawała bez wyrazu. Chłodna. Zlustrowała Mor od stóp do głów, rejestrując suknię eksponującą znaczną część brzucha, pleców i dekoltu, spływające miękko spódnice z przejrzystymi wstawkami odsłaniającymi tu i ówdzie jej nogi. Wedle ludzkich standardów jej ubiór był skandaliczny.

– Szczęśliwie dla ciebie – powiedziała bezbarwnym głosem Nesta – ja nie mogę tego samego powiedzieć o twojej sukni.

Azriel zakrztusił się winem.

Nesta poprzestała na tym stwierdzeniu, podeszła do stołu i usiadła na krześle.

Mor zamrugła i zwróciła się do mnie poufale, mrużąc oko:

– Chyba będziemy potrzebowały o wiele więcej wina.

Nesta zeszywniała, ale nie odezwała się ani słowem.

– Pójdę splądrować piwnicę – zaoferował Kasjan i zbyt szybko, by jego zachowanie uznać za swobodne, zniknął w drzwiach prowadzących w głąb domu.

Nesta zeszywniała jeszcze bardziej.

Droczyli się z nią, drażnili ją... Usiadłam przy niej i mruknęłam:

– Mają dobre intencje.

Nesta jedynie powiodła palcem po zastawie w kolorach kości słoniowej i obsydianu, przyjrzała się srebrnym sztuccom z wygrawerowanymi na trzonkach pnączami i nocnym kwieciem jaśminowca.

– Nie dbam o to.

Amrena wślizgnęła się na miejsce naprzeciw mnie. W tej samej chwili Kasjan wrócił z butelką w każdej ręce i wzdrygnął się.

– Niezłe z ciebie ziółko – zwróciła się do mojej siostry Amrena.

Nesta uniosła wzrok. Siedząca naprzeciw nas leniwie mieszała krew w swoim pucharze i przyglądała się jej niczym kot nowej

interesującej zabawce.

– Dlaczego twoje oczy się świecą? – zapytała Nesta.

Odrobina ciekawości – bezceremonialne żądanie odpowiedzi.

I ani krztyny lęku. Nic a nic.

Amrena przechyliła głowę.

– Wiesz, żadne z tych wścibskich natrętów nigdy mnie o to nie zapytało.

Wspomniani wścibscy natręci starali się nie wyglądać na zbyt zaciekawionych. Tak jak i ja.

Nesta czekała cierpliwie.

Amrena westchnęła; jej ciemne włosy zafalowały.

– Świecą się, ponieważ to była jedyna część mnie, z którą pętające mnie zakłęcie nie mogło sobie całkiem poradzić. Niewielkie okienko pozwalające zerknąć na to, co czai się pod powierzchnią.

– A co czai się pod powierzchnią?

Nikt inny się nie odezwał. Nikt się nawet nie poruszył. Twarz Luciena stojącego bez ruchu przy oknie przybrała barwę świeżego papieru.

Amrena powiodła palcem po brzegu swojego pucharu. Czerwony lakier na paznokciu lśnił równie jaskrawo jak krew obmywająca brzegi naczynia.

– O to też nigdy nie odważyli się zapytać.

– Dlaczego?

– Bo to nieładnie o coś takiego pytać... a także dlatego, że się boją.

Amrena spojrzała Neście prosto w oczy, ale moja siostra nawet się nie wzdrygnęła.

– Jesteśmy takie same, ty i ja – stwierdziła Amrena.

Chyba przestałam oddychać. Nie potrafiłam też ustalić przez więź łączącą mnie z Rhysem, czy on oddycha.

– Nie ciałem, nie tym, co krąży pod naszą skórą, pod kośćmi... – Amrena zmrużyła swoje niesamowite oczy. – Ale... Widzę rdzeń ciebie, dziewczyno. – Kiwnęła głową, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. – Nie pasowałaś... do formy, w którą cię wtłoczyli. Do miejsca, w którym się urodziłaś, i ścieżki, którą byłaś

zmuszona kroczyć. Próbowalaś, a mimo to nie pasowałaś, *nie mogłaś* pasować. A potem ścieżka się zmieniła. – Kiwnęła lekko głową. – Wiem... jak to jest trwać w takim stanie. Pamiętam to, choć było to bardzo dawno temu.

Nesta opanowała nienaturalny bezruch fae dużo szybciej ode mnie. Siedziała tak przez kilka chwil, spokojnie wpatrując się w dziwną delikatną kobietę siedzącą naprzeciw niej, ważąc jej słowa i moc, która promieniowała od Amreny... Aż w końcu powiedziała niewzruszonym głosem:

– Nie wiem, o czym mówisz.

Czerwone usta Amreny rozchyliły się w szerokim przebiegłym uśmiechu.

– Gdy wybuchniesz, dziewczyno, niech poczują to we wszystkich światach.

Zimny dreszcz przebiegł mi po skórze.

– Amrena, jak się zdaje – wtrącił leniwie Rhys – pobierała od aktorów z teatru nieopodal jej domu lekcje odgrywania dramatów.

Spojrzała na niego gniewnie.

– Nie żartuję, Rhysandzie...

– Nie wątpię, że tak właśnie jest – powiedział i usiadł po mojej prawej ręce. – Ale wolałbym coś zjeść, zanim odbierzesz nam wszystkim apetyt.

Szeroka dłoń odszukała moje kolano pod stołem i ogrzała je pocieszającym uściskiem.

Kasjan usiadł na lewo od Amreny, Azriel obok niego, Mor zajęła miejsce naprzeciwko pieśniarza cieni, a więc dla Luciena pozostawało...

Spojrzał spod zmarszczonych brwi na krzesło u szczytu stołu, a następnie na ostatnie wolne miejsce – obok Amreny, prawie naprzeciwko Nesty.

– Czy... nie powinieneś zasiąść u szczytu stołu?

Rhys uniósł brew.

– Nie dbam o to, gdzie usiądziesz. Dbam jedynie o zjedzenie czegoś w tej... – pstryknął palcami – ...chwili.

Na stole na półmiskach, misach i paterach pojawiło się jedzenie

przygotowane przez kucharzy, których uprzednio odwiedziłam w trzewiach Domu Wiatru. Pieczone mięsiwo, różne sosy i dressingi, ryż i pieczywo, duszone warzywa świeżo dostarczone z okolicznych gospodarstw... Owiewające mnie aromaty niemal wycisnęły ze mnie westchnienie rozkoszy.

Lucien wślizgnął się na swoje miejsce, sprawiając przy tym wrażenie, jakby siadał na poduszce z igłami.

Pochyliłam się nad stołem przed Nestą, by zwrócić się do Luciena:

– Przywykniesz do tego... do swobodnych manier.

– Mówisz to, droga Feyro, jakby to było coś złego – wtrącił Rhys, nałożył sobie trochę smażonego pstrąga, po czym podał półmisek mnie.

Przewróciłam oczami i zsunęłam kilka chrupiących kawałków na swój talerz.

– Powinieneś wiedzieć, że przy pierwszej wieczerzy w pełnym gronie mocno mnie to zaskoczyło.

– Och, wiem o tym – powiedział Rhys z szerokim uśmiechem.

Kasjan zachichotał.

– Jeśli mam być szczerą – zwróciłam się do Luciena, który w milczeniu nałożył sobie niewielki stosik fasoli szparagowej w maśle, po czym jedynie wpatrywał się weń, może podziwiając prostotę potrawy, tak odmiennej od przesadnie wyszukanych dań serwowanych na Dworze Wiosny – Azriel jest tu jedyną dobrze wychowaną osobą.

Mor i Kasjan zaprotestowali głośno, a na ustach pieśniarza cieni zatańczył nikły uśmiech, gdy schylał się nad stołem, by przysunąć do siebie półmisek pieczonych buraków posypanych pokruszonym kozim serem.

– Nawet nie próbujcie udawać, że to nieprawda.

– Oczywiście, że prawda – przyznała z głośnym westchnieniem Mor – ale nie musisz z nas robić barbarzyńców.

– Pomyślałbym, że uznałabyś to określenie za komplement – rzucił łagodnym głosem Rhys.

Nesta obserwowała tę szermierkę słowną jak jakąś dyscyplinę sportową, strzelając wzrokiem od jednego do drugiego. Sama nie

sięgnęła po jedzenie, więc pozwoliłam sobie nałożyć na jej talerz kilka łyżek różnych potraw.

Temu również się przyglądała.

Kiedy skończyłam i zajęłam się uzupełnianiem własnego talerza, odezwała się:

– Rozumiem... co miałaś na myśli w kwestii jedzenia.

Dopiero po chwili przypominałam sobie tamtą sytuację – rozmowę w rezydencji naszego ojca, kiedy skakałyśmy sobie do gardeł z powodu różnic między potrawami ludzkimi a fae. I tu, i tam podawano to samo, ale... na północ od muru wszystko smakowało lepiej.

– Czy to był komplement?

Nesta nie odwzajemniła mojego uśmiechu, nabiła szparag na widelec i włożyła do ust.

Uznałam, że lepszej okazji już nie będzie, i zwróciłam się do Kasjana:

– O której wznawiamy jutro trening?

Trzeba mu przyznać, że nawet nie spojrzał na Nestę, tylko odparł z leniwym uśmiechem:

– Powiedziałbym, że o świecie, ale ponieważ bardzo się cieszę, że wróciłaś w jednym kawałku, dam ci się wyspać. Spotkajmy się o siódmej.

– Nie nazwałabym tego wyspaniem się.

– Dla Ilyra to już graniczy z lenistwem – mruknęła Mor.

Kasjan poruszył skrzydłami.

– Światło dnia jest bardzo cennym zasobem.

– Mieszkamy na ziemiach Dworu Nocy – zripostowała Mor.

Kasjan tylko posłał krzywy uśmiech Rhysowi i Azrielowi.

– Mówiłem wam, że kiedy tylko zaczniemy dopuszczać do naszej grupy kobiety, zaczną się kłopoty.

– Jeśli dobrze pamiętam, Kasjanie – zauważył sucho Rhys – to w rzeczywistości powiedziałeś, że potrzebujesz odmiany od patrzenia ciągle na nasze paskudne gęby i że parę *dam* wniosłoby trochę niezastąpionej urody, którą mógłbyś delektować się całe dni.

– Świnia – rzuciła Amrena.

Kasjan pokazał jej wulgarny gest, na widok którego Lucien zakrztusił się fasolą.

– Byłem wtedy młodym Ilyrem i jeszcze nie znałem świata – powiedział Kasjan i wskazał widelcem Azriela. – Nie próbuj się tu wtapiać w cienie. Powiedziałeś wtedy to samo.

– Nie powiedział – wtrąciła się Mor, lecz cienie, którymi Azriel istotnie subtelnie się otaczał, zniknęły. – Azriel nawet raz nie powiedział niczego tak okropnego. Tylko ty mówisz takie rzeczy, Kasjanie. Tylko ty.

Generał książęcych armii pokazał jej język. Mor odwzajemniła się tym samym.

Amrena skrzywiła się i spojrzała na Rhysa.

– Postąpisz mądrze, Rhysandzie, jeśli na czas spotkania z resztą pozostawisz ich *oboje* w domu. Inaczej sprawią tylko kłopoty.

Zaryzykowałam spojrzenie na Luciena – tylko żeby ocenić jego reakcję.

Starał się zachować kamienną twarz, ale... dostrzegłam cień zaskoczenia. Również czujności, ale przede wszystkim... zaskoczenia. Zaryzykowałam kolejne zerknięcie na Nestę, lecz ona wpatrywała się w swój talerz, starannie ignorując wszystkich wokół.

– Jeszcze się okaże, czy będą nam towarzyszyć – powiedział Rhys.

Lucien spojrzał na księcia z wyraźnym zaciekawieniem w zdrowym oku. Rhys dostrzegł to i wzruszył ramionami.

– W sumie i tak się wkrótce dowiesz. Jutro rozsyłamy zaproszenia do władców wszystkich dworów na naradę wojenną.

Lucien zacisnął mocniej dłoń na widelcu.

– Do wszystkich?

Nie byłam pewna, czy chodzi mu o Tamlina, czy o jego ojca, ale tak czy owak Rhys kiwnął głową.

Lucien się zasepił.

– Czy mogę w tej sprawie wtrącić swoje trzy grosze?

Rhys uśmiechnął się pod nosem.

– Chyba pierwszy raz ktokolwiek zadał takie pytanie przy tym stole.

Mor i Kasjan oboje pokazali mu języki.

Rhys skinął leniwie na Luciena.

– Jak najbardziej, słuchamy.

Lucien przyjrzał się mojemu towarzyszowi, potem mnie.

– Zakładam, że Feyra będzie obecna.

– Będę.

Amrena upiła drobny łyk krwi. Przełknięcie było jedynym dźwiękiem, który zakłócił ciszę podczas ponownego milczenia Luciena.

– Zamierzasz ukryć jej moce?

Cisza.

– Zamierzałem omówić to z moją towarzyszką – przyznał Rhys. – Skłaniasz się ku konkretnemu rozwiązaniu, Lucienie?

W tonie jego głosu wciąż pobrzmiwało coś ostrego, jadowitego.

Lucien ponownie przyjrzał się mi uważnie. Musiałam się bardzo pilnować, żeby nie zacząć się kręcić w miejscu.

– Mój ojciec zapewne przyłączyłby się do Hybernii, gdyby sądził, że ma choćby szansę odzyskania w ten sposób swojej mocy... poprzez zabicie ciebie.

Rhys warknął.

– Twoi bracia już mnie widzieli – zauważyłam, odkładając widelec. – Ogień mogli wziąć za twój, ale lód...

Lucien wskazał brodą Azriela.

– Tego należałoby się dowiedzieć. Co wie mój ojciec. Czy moi bracia zorientowali się w tym, co ona robiła. Od tego trzeba zacząć i cały plan przygotować na podstawie tego, co się uda ustalić.

– Eris mógł zachować tę wiedzę dla siebie i przekonać pozostałych, by zrobili to samo – wtrąciła Mor. – Jeśli sądzi, że to mu się bardziej przysłuży.

Zastanawiałam się, czy gdy Mor patrzyła na te rude włosy, na złocistobrązową skórę parę odcieni ciemniejszą od reszty braci, czy wciąż widziała Erisa.

– To możliwe – przyznał spokojnie Lucien. – Ale musimy wiedzieć na pewno. Jeśli Beron lub Eris wiedzą o tym, wykorzystają to na tym spotkaniu na swoją korzyść. Żeby zyskać kontrolę nad przebiegiem rozmów. Albo nad tobą. Albo mogą w ogóle się nie



zjawić i od razu udać się na Hybernię.

Kasjan zaklął cicho, a ja byłam skłonna zrobić to samo.

Rhys zamieszał wino w swoim pucharze, odstawił go i zwrócił się do Luciena:

– Powinieneś porozmawiać z Azrielem. Jutro.

Lucien spojrzał na pieśniarza cieni, który tylko krótko skinął głową.

– Jestem do twojej dyspozycji.

Żadne z nas nie było na tyle głupie, by zapytać, czy byłby skłonny zdradzić szczegółowe informacje na temat Dworu Wiosny. Czy sądzi, że Tamlin przybędzie? Tę rozmowę lepiej zostawić na inną okazję. Tylko między nami dwojgiem.

Rhys odchylił się na oparcie krzesła. Rozwahał... coś. Mięśnie na jego szczęce napięły się, po czym westchnął niemal niesłyszalnie. Zbierał się w sobie.

Żeby powiedzieć to, co właśnie miał nam zdradzić. Jakieś plany, które dotąd trzymał w tajemnicy. I chociaż poczułam nieprzyjemny ucisk w żołądku, jednocześnie przebiegł przeze mnie swego rodzaju dreszcz podniecenia – z podziwu dla tego przenikliwego umysłu.

W końcu Rhys przemówił:

– Jest jeszcze jedno spotkanie, które musimy odbyć... i to wkrótce.

## Rozdział 18

Proszę, nie mów, że musimy się udać na Dwór Koszmarów – wymamrotał z pełnymi ustami Kasjan.

Rhys uniósł brew.

– Nie masz ochoty sterroryzować naszych tamtejszych przyjaciół? Złocista twarz Mor pobladła.

– Masz zamiar poprosić mojego ojca, by walczył w tej wojnie – zwróciła się do Rhysa.

Powstrzymałam się przed gwałtownym nabraniem powietrza.

– Czym jest Dwór Koszmarów? – zapytała Nesta.

Lucien wyręczył nas w odpowiedzi.

– Miejsce, w którym zdaniem reszty świata znajduje się większość Dworu Nocy. – Wskazał brodą Rhysa. – Centrum jego władzy. A przynajmniej było centrum.

– Och, wciąż nim jest – powiedział Rhys. – Dla wszystkich mieszkających poza Velaris. – Spojrzał spokojnie na Mor. – I tak. Legion Niosących Mrok Keira stanowi siłę na tyle istotną, że musimy się z nim spotkać.

Ostatnie spotkanie skończyło się strzaskaniem ramienia Keira w tyłu miejscach, że zrobiło się bezkształtne. Wątpiłam, żeby zechciał nam w najbliższej przyszłości w jakikolwiek sposób pomagać – może dlatego właśnie Rhys chciał się z nim spotkać.

Nesta zmarszczyła brwi.

– Dlaczego po prostu im nie rozkażesz? Czy nie są twoimi poddanymi?

Kasjan odłożył swój widelec, zapominając o jedzeniu.

– Niestety w stosunkach między naszymi dwoma dworami obowiązują pewne protokoły regulujące takie sprawy. Zasadniczo rządzą się sami, z ojcem Mor w roli zarządcy.

Mor przełknęła z trudem ślinę. Azriel przyglądał się jej uważnie z zaciśniętymi mocno ustami.

– Formalnie zarządca Wykutego Miasta ma prawo odmówić posłania swoich wojsk mi na pomoc – wyjaśnił Neście i mnie Rhys. – Było to częścią umowy zawartej przez mojego przodka z Dworem Koszmarów wiele tysięcy lat temu. Pozostają pod tą górą, nie rzucają nam wyzwania, nie opuszczają swoich granic... ale zachowują prawo odmówienia nam pomocy w wypadku wojny.

– A kiedykolwiek... odmówili? – zapytałam.

Mor pokiwała głową z ponurą miną.

– Dwa razy. Nie za rządów mojego ojca. – Niemal zakrztusiła się tym słowem. – Ale... były dwie wojny. Dawno, dawno temu. Zdecydowali się nie walczyć. Wygraliśmy, ale... ledwo. I wielkim kosztem.

A w nadchodzącej teraz wojnie... będziemy potrzebowali wszystkich sojuszników, jakich tylko zdołamy znaleźć. Wszelkich wojsk.

– Wyruszamy za dwa dni – zarządził Rhys.

– Odmówi – powiedziała Mor. – Nie marnuj swojego czasu.

– Będę musiał zatem znaleźć sposób na przekonanie go do zmiany zdania.

Mor spojrzała na niego z błyskiem w oku.

– Co?

Azriel i Kasjan poruszyli się niespokojnie na swoich krzesłach, a Amrena mlasnęła językiem. Z dezaprobatą.

– Walczył w wojnie pięćset lat temu – wyjaśnił spokojnie Rhys. – Może i tym razem się nam poszczęści.

– Pragnę ci przypomnieć, że legion Niosących Mrok był pod względem zachowania niewiele lepszy od wroga – zauważyła Mor, odsuwając od siebie talerz.

– Wprowadzę nowe zasady.

– Nie będziesz miał odpowiedniej pozycji, by wprowadzać jakiegokolwiek zasady – wypaliła Mor. – I dobrze o tym wiesz.

Rhys jedynie ponownie zakręcił pucharem z winem.

– Zobaczymy.

Zerknęłam na Kasjana. Generał subtelnie pokręcił głową. „Nie mieszaj się do tego. Na razie”.

Przełknęłam ślinę i również ledwo zauważalnie skinęłam mu głową.

Mor obróciła się gwałtownie w stronę Azriela.

– A co ty o tym sądzisz?

Pieśniarz cieni nie odwrócił wzroku. Z jego twarzy nie dało się niczego wyczytać. Rozważał za i przeciw.

Staralam się pamiętać o oddychaniu. Stanie po stronie kobiety, którą kocha, czy opowie się za swoim księciem?

– To nie jest moja decyzja.

– Gówniana odpowiedź – wycedziła Mor.

Przysięgłabym, że w oczach Azriela na chwilę pojawiła się uraza, ale jedynie wzruszył ramionami i ponownie przywołał na swoją twarz maskę chłodnej obojętności. Mor wydeła usta.

– Nie musisz się z nami tam udawać, Mor – powiedział tym swoim spokojnym głosem Rhys.

– Oczywiście, że z wami pójdę. Moja nieobecność tylko pogorszyłaby sprawy. – Dopiła wino jednym zdecydowanym haustem. – Wygląda na to, że mam dwa dni na znalezienie sukni odpowiedniej, by przerazić mojego ojca.

Amrena zachichotała na jej słowa, nawet Kasjan zaśmiał się gardłowo.

Ale Rhys przyglądał się przyjaciółce dłuższą chwilę. W jego oczach zgasło kilka gwiazd. Rozważałam zapytanie, czy jest jakiś inny sposób, jakaś droga, która pozwoliłaby nam uniknąć tej niezręczności między nami, ale... Wcześniej napadłam na niego. A w obecności Luciena i mojej siostry... Zdecydowałam się zachować milczenie.

Cóż, przynajmniej w tej sprawie. W ciszy, która zapadła, szukałam rozpaczliwie jakiegokolwiek skrawka normalności i zwróciłam się ponownie do Kasjana:

– Ustalmy trening na jutro *na ósmą*. Spotkamy się na placu.

– Wpół do ósmej – odparł z rozbajającym uśmiechem, przed którym większość jego wrogów zapewne by pierzchła.

Lucien wrócił do dziobania widelcem jedzenia na talerzu. Mor uzupełniła swój puchar winem, a Azriel śledził każdy jej ruch,

mocno zaciskając poblížnione palce na trzonku widelca.

– O ósmej – odparowałam kategorycznie, po czym zwróciłam się do Nesty, cały ten czas obserwującej nas wszystkich w milczeniu: – Dołączysz do nas?

– Nie.

Teraz cisza była zbyt znacząca, by ją zignorować. Wzruszyłam niedbale ramionami, sięgnęłam po dzban z winem, po czym rzuciłam swobodnie w powietrze:

– Chcę się nauczyć latać.

Mor parsknęła winem w poprzek stołu, opluwając tors i szyję Azriela. Pieśniarz cieni był zbyt zajęty gapieniem się na mnie, by to zauważyć.

Kasjan wyglądał na rozdartego między patrzeniem się na mnie z niedowierzaniem a ryknięciem śmiechem na widok Azriela.

Moja magia wciąż była zbyt słaba, bym zdołała wykształcić ilyryjskie skrzydła, ale mimo to skinęłam na dwóch Ilyrów.

– Chcę, byście mnie nauczyli.

– Mówisz poważnie? – wykrztusiła Mor.

Wtedy odezwał się Lucien... *Lucien!*

– Cóż, to by tłumaczyło skrzydła.

Nesta pochyliła się do przodu i przyjrzała mi się uważnie.

– Jakie skrzydła? – zapytała.

– Potrafię... zmieniać kształt – przyznałam. – A w zbliżającym się konflikcie – zwróciłam się do wszystkich zebranych – umiejętność latania może się okazać... przydatna. – Wskazałam brodą Kasjana, który teraz przyglądał mi się z irytującą natarczywością; oceniał mnie. – Zakładam, że Ilyrowie będą walczyli przeciwko siłom Hybernii. – Generał kiwnął nieznacznie głową. – Zatem zamierzam walczyć razem z wami. W przestworzach.

Czekałam na zastrzeżenia, na zdecydowany sprzeciw Rhysa.

Słysząc tylko wycie wiatru za oknami jadalni.

Kasjan westchnął donośnie.

– Nie wiem, czy to właściwie jest w ogóle możliwe. Chodzi o czas. Musiałabyś się nauczyć nie tylko latania, ale też przywyknąć do ciężaru tarczy i broni. I jest jeszcze kwestia ilyryjskiej taktyki walki.

Opanowanie tego ostatniego elementu zajmuje nam zwykle kilkadziesiąt lat. A my mamy w najlepszym wypadku kilka miesięcy... a w najgorszym: kilka tygodni.

Poczułam ukłucie zwątpienia w piersi.

– Zatem do tego czasu będziemy jej przekazywali to, co wiemy – zdecydował Rhys, chociaż gwiazdy w jego oczach zastygły w zimny kamień, gdy dodawał: – Dam jej każdą szansę na uzyskanie przewagi... lub sposobu ucieczki, jeśli wszystko okaże się stracone. Nawet jeden dzień szkolenia może mieć znaczenie.

Azriel złożył ciasno skrzydła. Rysy jego pięknej twarzy niecodziennie złagodniały. Zamyślił się.

– Będę cię uczył.

– Czy... jesteś tego pewny? – zapytałam.

Na twarz Azriela wróciła niemożliwa do odczytania maska.

– Rhys i Kas uczyli się latać w tak młodym wieku, że ledwo to pamiętają.

Ale Azriel, aż do jedenastego roku życia zamknięty w lochach znienawidzonego ojca jak jakiś przestępca, niemogący latać, walczyć, robić cegokolwiek, co nakazywały mu jego ilyryjskie instynkty...

Mrok przetoczył się po mojej więzi. Nie ze złości na mnie, ale... Rhys również przypominał sobie krzywdy wyrządzone jego przyjacielowi. Nigdy ich nie zapomniął. Żadne z nich nie zapomniało. Musiałam się powstrzymać przed spojrzeniem na straszliwe blizny pokrywające dłonie Azriela. Modliłam się w duchu, żeby Nesta nie zaczęła o to dopytywać.

– Nauczyliśmy podstaw wielu młodzików – zaproponował Kasjan.

Azriel pokręcił głową. Cienie wiły się wokół jego nadgarstków.

– To nie to samo. Kiedy jesteś starszy, lęk, blokady w twojej głowie... wszystko wygląda inaczej.

Żadne z nich, nawet Amrena, nie odezwało się ani słowem.

– Będę cię uczył – zwrócił się bezpośrednio do mnie Azriel. – Potrenuj z Kasem kilka godzin, a ja przybędę, gdy skończycie. – Po tych słowach zwrócił się do Luciena, któremu udało się nie wzdygnąć na widok kłębiących się cieni: – My spotkamy się po

lunchu.

Przełknęłam ślinę, ale skinęłam głową.

– Dziękuję. – I może to życzliwość Azriela zerwała we mnie jakiś postronek, bo zwróciłam się do Nesty: – Król Hybernii chce zniszczyć mur, wykorzystując Kocioł do powiększenia istniejących szczelin. – Jej szaroniebieskie oczy nie zdradzały niczego poza kipiącym gniewem na wspomnienie króla. – Mogę zdołać załatać te dziury, ale ty... odrodzona w samym Kotle... jeśli on potrafi te szczeliny poszerzyć, niewykluczone, że ty możesz je zamknąć. Po odpowiednim przeszkoleniu... w tym krótkim czasie, jaki nam pozostał.

– Mogę ci pokazać, jak to zrobić – włączyła się Amrena. – Czy raczej w teorii mogę to zrobić. Jeśli zaczniemy wkrótce... jutro rano. – Zastanowiła się przez chwilę, po czym zwróciła do Rhysa: – Kiedy się udasz do Dworu Koszmarów, będziemy ci towarzyszyły.

Obróciłam gwałtownie głowę w jej stronę.

– Co?

Na samą myśl o Neście w tamtym miejscu...

– Wykute Miasto to skarbiec potężnych przedmiotów – wyjaśniła Amrena. – Może to oznaczać okazję do ćwiczeń. Niech dziewczyna zobaczy, jak wygląda coś podobnego do muru lub Kotła. – Gdy Azriel już miał zaprotestować, dodała szybko: – Po kryjomu.

Nesta nie odezwała się ani słowem.

Czekałam, aż zdecydowanie zaprotestuje, z wyrachowaniem przetnie wszelkie nadzieje.

Ale ona tylko zapytała:

– Dlaczego nie zabić króla Hybernii, zanim zacznie działać?

Zapadła całkowita cisza.

– Jeśli ty chcesz zadać ostatni cios, dziewczyno, proszę bardzo – odparła dość łagodnie Amrena.

Oczy mojej siostry zdryfowały w stronę otwartych drzwi prowadzących w głąb góry. Tak jakby mogła dostrzec siedzącą gdzieś tam Elaine.

– Co się stało z ludzkimi królowymi?

Zamrugałam.

– W jakim sensie?

– Czy zyskały nieśmiertelność?

To pytanie było skierowane do Azriela.

Syfony pieśniarza cieni rozżarzyły się.

– Doniesienia są mgliste i niespójne. Niektórzy mówią, że tak, inni temu zaprzeczają.

Nesta przyjrzała się zawartości swojego pucharu.

Kasjan oparł się ramionami na blacie stołu.

– Dlaczego?

Oczy mojej siostry strzeliły wprost na jego twarz. Mówiła cicho, do mnie, do nas wszystkich, cały czas spoglądając prosto w oczy Kasjana, tak jakby był jedyną osobą w całym pomieszczeniu:

– Gdy ta wojna dobiegnie końca, chcę, żeby wszyscy nie żyli. Król, królowe... wszyscy. Przyrzeknijcie mi, że ich zabijecie, a ja pomogę wam załatać mur. Będę z nią ćwiczyć. – Tu wskazała brodą Amrenę. – Udam się do Wykutego Miasta czy jakkolwiek się to zwie... Zrobię to. Ale tylko jeśli mi to przysięgniecie.

– W porządku – zgodziłam się. – Możemy też potrzebować twojej pomocy podczas spotkania z pozostałymi książętami. Byś przedstawiła innym dworom i ich sojusznikom, do czego zdolni są Hybernijczycy. Co zrobiono tobie.

– Nie.

– Jesteś gotowa zgodzić się zaprawić mur czy udać do Dworu Koszmarów, ale odmawiasz porozmawiania z innymi?

Twarz Nesty stężała.

– Nie.

Księżna czy siostra; siostra czy księżna...

– Wiele żyć może zależeć od twojej opowieści. Powodzenie tego spotkania z władcami pozostałych dworów może od tego zależeć.

Zacisnęła palce na oparciach swojego krzesła, jakby próbując unieruchomić siebie samą.

– Daruj sobie ten protekcyjny ton. Moja odpowiedź brzmi „nie”.

Przechyliłam głowę na bok.

– Rozumiem, że to, co ci się przydarzyło, było straszne...



– Nie masz pojęcia, jakie było, a jakie nie było. Najmniejszego pojęcia. A ja nie mam zamiaru płaszczyć się jak te Dzieci Błogosławionych, błagać o pomoc fae, którzy chętnie zabiliby mnie, kiedy byłam śmiertelna. Nie opowiem im tej historii... mojej historii.

– Książęta mogą nie uwierzyć nam na słowo. Jesteś cennym świadkiem...

Nesta odsunęła gwałtownie swoje krzesło, cisnęła serwetkę na talerz... tłuszcz powoli wsiąkał w cienki materiał.

– To nie mój problem, że nie jesteście dla nich wiarygodni. Pomogę wam z murem, ale nie będę rozpowiadać mojej historii każdemu, tylko dlatego, że to może wam pomóc.

Zerwała się na nogi. Na jej zwykle bladą twarz zaczął wpływać rumieniec.

– A jeśli poważysz się zasugerować to Elainie – wysyczała – wyrwę ci gardło.

Oderwała wzrok od moich oczu i zlustrowała pozostałych – rozciągając swoją groźbę także na nich.

Żadne z nas się nie odezwało, dopóki nie wyszła z jadalni, zatrzaskując z hukiem za sobą drzwi.

Opadłam na oparcie krzesła i odchyliłam głowę do tyłu.

Coś stuknęło przede mną. Butelka wina.

– Możesz pić prosto z niej – powiedziała krótko Mor.

\*\*\*

– Rzekłbym, że Nesta może iść w szranki z Amreną pod względem dzikiej żądzы krwi – powiedział w zamyśleniu Rhys, gdy wiele godzin później szedł razem ze mną ulicami Velaris. – Jedyne różnica jest taka, że Amrena naprawdę ją pije.

Parsknęłam i pokręciłam głową. Skręciliśmy na szeroką ulicę biegnącą brzegiem Sidry i ruszyliśmy wzdłuż nakrapianej gwiazdami rzeki.

Tyle blizn wciąż szpeciło cudowne zabudowania Velaris, ulice wciąż zaśmiecone gruzem i poznaczone śladami pazurów. Większość zniszczeń naprawiono, ale niektóre witryny sklepowe były zabite deskami, niektóre domy nad rzeką były jedynie kupami gruzów.

Zlecieliśmy z Domu Wiatru na dół zaraz po wieczery – no, prawie zaraz. Po winie. Mor zabrała ze sobą jeszcze jedną butelkę, po czym zniknęła we wnętrzu budynku. Azriel tylko odprowadził ją wzrokiem spod zmarszczonych brwi.

Nie zaproponowaliśmy nikomu, by nam towarzyszył. Rhys spytał mnie tylko przez naszą więź: „Przejdiesz się ze mną?”. A ja w odpowiedzi skinęłam ukradkiem głową.

I oto byliśmy w Velaris. Szliśmy już od ponad godziny, głównie w ciszy, głównie... rozmyślając. O słowach, informacjach i groźbach, które padły tego dnia. Nie zwalnialiśmy kroku, aż dotarliśmy do tej niewielkiej restauracji, w której pewnej nocy wszyscy jedliśmy pod gwiazdami.

Coś dotąd zakleszczonego w mojej piersi rozluźniło się, gdy ujrzałam nietknięty budynek i cytrusy w doniczkach wzdychające na lekkim wietrze wiejącym od rzeki. Na wietrze niosącym... te przepyszne intensywne przyprawy, nacierane czosnkiem mięso, gotowane na wolnym ogniu pomidory... Oparłam się o kamienną balustradę na skraju nadrzecznego bulwaru i obserwowałam personel restauracji obsługujący licznych klientów.

– Kto wie – powiedziałam cicho, w końcu odpowiadając na jego wcześniejsze stwierdzenie. – Może Nesta też zacznie pijać krew. Z pewnością wierzę, że byłaby zdolna wyrwać mi gardło. Może jeszcze jej zasmakuje.

Rhys zachichotał. Brzmienie jego śmiechu odezwało się echem w moich kościach. Stał obok mnie ze skrzydłami ciasno złożonymi na plecach i oparł się łokciami o poręcz balustrady. Wzięłam głęboki wdech, wciągając w nozdrza jego zapach, zmieszaną woń cytrusów i morza, wypełniając nim płuca, krew. Musnął ustami moją szyję.

– Czy znienawidzisz mnie, jeśli powiem, że Nesta jest... trudna?  
Zaśmiałam się lekko.

– Powiedziałabym, że mimo wszystko poszło całkiem nieźle. Przynajmniej zgodziła się na jedno. – Przygryzłam wargę. – Nie powinnam była jej o to prosić przy wszystkich. To był mój błąd.

Nie odzywał się, słuchał.

– A propos wszystkich – dodałam – jak udaje ci się znaleźć

równowagę... między byciem księciem a swoją rodziną?

Rhys zastanowił się, zanim odpowiedział:

– To nie jest proste. Przez wieki podjąłem mnóstwo złych decyzji. Z przykrością więc muszę powiedzieć, że dzisiejsza rozmowa może być dopiero początkiem.

Westchnęłam ciężko.

– Powinnaś była pomyśleć, że wyjawienie obcym tego, co się z nią stało na Hybernii, może... może być dla niej dość trudne. Moja siostra całe życie była raczej zamknięta w sobie, nawet w stosunku do nas.

Rhys nachylił się i ponownie pocałował mnie w szyję.

– Wcześniej... w mieszkaniu Amreny... – powiedział, odchylając się, by zajrzeć mi w twarz. Nawet nie mrugnął, oczy miał szeroko otwarte. – Nie chciałem jej obrazić.

– Przepraszam, że na ciebie napadłem.

Uniósł ciemną brew.

– Dlaczego miałabyś za to przeproszać? Obraziłem twoją siostrę, ty jej broniłaś. Miałaś prawo skopać mi za to tyłek.

– Nie chciałam... podważać twojej pozycji.

Cienie przemknęły przez jego oczy.

– Ach, tak.

Odwrócił się twarzą do Sidry; poszłam za jego przykładem. Woda przepływała w dole. Jej ciemna powierzchnia skrzyła się od złotego czarodziejskiego światła latarni ulicznych i jasnych klejnotów Tęczy.

– To dlatego było tak ... dziwnie między nami tego popołudnia. – Skrzywił się i stanął przede mną. – Matko nad nami, Feyro.

Policzki nabiegły mi rumieńcem i weszłam mu w słowo, zanim zdołał odezwać się ponownie.

– Rozumiem dlaczego, mimo wszystko. Spójny jednolity front jest ważny. – Podrapałam paznokciem gładkie drewno balustrady. – Zwłaszcza dla nas.

– Nie wśród rodziny.

Ciepło rozpląnęło się po moim ciele na dźwięk tego słowa – *rodziny*.

Ujął mnie za dłoń i splótł palce z moimi.

– Możemy ustalać takie zasady, jakie tylko chcemy. Masz wszelkie prawo kwestionować to, co robię, naciskać na mnie. Zarówno prywatnie, jak i publicznie. – Parsknął. – Oczywiście jeśli zdecydujesz się naprawdę skopać mi tyłek, prosiłbym, aby stało się to za zamkniętymi drzwiami, abym nie musiał znosić całych stuleci docinków, ale...

– Nie będę podkopywać twojego autorytetu publicznie. A ty nie będziesz podkopywał mojego.

Milczał, pozwalając mi się zastanowić, dając mi mówić.

– W obecności osób innych niż nasi przyjaciele możemy kwestionować to, co robimy, przez naszą więź – powiedziałam. – Ale na razie, w tych pierwszych latach, chcę pokazać światu jednolity front... Oczywiście, jeśli przeżyjemy.

– Przeżyjemy.

Powiedział to z absolutną pewnością siebie.

– Ale chcę, żebyś nie czuł oporów przed kwestionowaniem moich racji, przed sprzeciwianiem się mnie...

– A kiedy niby czułem takie opory? – Uśmiechnął się.

– Chcę, żebyś robił to samo... dla mnie – dodałam.

– Zgoda. Ale w gronie naszej rodziny... wytykaj mi głupie posunięcia, ile tylko zapragniesz. W zasadzie to nalegam, byś to robiła.

– Dlaczego?

– Bo z tego jest frajda.

Szturchnęłam go łokciem.

– Bo jesteś mi równa – powiedział. – I o ile publicznie oznacza to wspieranie się nawzajem, jednocześnie wymaga obdarzenia się wzajemnie szczerością. Prawdą.

Rozejrzałam się po otaczającym nas tętniącym życiem mieście.

– Mogę więc być teraz szczerą?

Zamarł w bezruchu, ale odparł:

– Zawsze.

Westchnęłam.

– Chyba powinieneś zachować ostrożność... we współpracy z Keirem. Nie dlatego, że jest taki odrażający, ale z powodu... Chyba

mógłbyś naprawdę zranić Mor, jeśli nie rozegrasz tego właściwie.

Rhys przeczesał dłonią włosy.

– Wiem. Wiem.

– Czy to jest warte... jakichkolwiek wojsk, które może wystawić? Jeśli to oznacza zranienie jej?

– Współpracujemy z Keirem od stuleci. Powinna już do tego przywyknąć. I tak... jego wojska są tego warte. Niosący Mrok są dobrze wyszkoleni, potężni i zbyt długo już nie zasmakowali walki.

Zastanowiłam się nad jego słowami.

– Podczas naszej ostatniej wizyty na Dworze Koszmarów grałam twoją dziwkę.

Skrzywił się na to słowo.

– Ale teraz jestem twoją księżną – kontynuowałam, wodząc palcem po wierzchu jego dłoni. Śledził wzrokiem jego wędrówkę. Zniżyłam głos. – Żeby Keir zgodził się nam pomóc... Masz dla mnie jakieś rady? Jaką maskę powinnam założyć na czas wizyty w Wykutym Mieście?

– Ta decyzja należy do ciebie – odparł, wciąż przyglądając się mojemu palcowi kreślącemu leniwie kręgi na jego skórze. – Widziałas, jaki tam jestem... jacy wszyscy tam jesteśmy. To od ciebie zależy, jak się w to wpiszesz.

– Chyba muszę szybko się zdecydować... nie tylko na potrzeby tej wizyty, ale też spotkania z władcami pozostałych dworów za dwa tygodnie.

Rhys spojrział na mnie z ukosa.

– Zaprosimy wszystkich.

– Wątpię, żeby on przybył, zważywszy na to, że jest sojusznikiem Hybernii. I wie, że tu byśmy go zabili.

Wiatr wiejący od rzeki poruszył jego granatowoczarnymi włosami.

– Podczas spotkania będzie aktywne zaklęcie wymuszające zawieszenie broni. Jeśli ktoś naruszy ten rozejm, magia zażąda od niego wysokiej ceny. Zapewne życia. Tamlin nie będzie na tyle głupi, żeby zaatakować... ani my nie zaatakujemy jego.

– Dlaczego w ogóle chcesz go zaprosić?

– Pominiecie go dałoby mu tylko więcej argumentów przeciwko nam. Wierz mi, nie mam najmniejszej ochoty się z nim widzieć. Albo z Beronem. Który aktualnie jest chyba wyżej od Tamlina na mojej czarnej liście.

– Przybędzie Tarquin. A *my* jesteśmy całkiem wysoko na jego liście.

– Nawet mimo krwawych rubinów nie będzie na tyle głupi, żeby zaatakować nas podczas spotkania.

Rhys wypuścił powietrze przez nos.

– Na ilu sprzymierzeńców możemy liczyć? Oczywiście poza Keirem i Wykutym Miastem.

Spojrzałam wzdłuż bulwaru. Klienci restauracji i uczestnicy przyjęć byli zbyt zajęci dobrą zabawą, żeby w ogóle dostrzec naszą obecność, nawet pomimo łatwo rozpoznawalnych skrzydeł Rhysa. Mimo to... może to nie było najlepsze miejsce na tę rozmowę.

– Nie jestem pewien – przyznał Rhys. – Helion i Dwór Dnia, zapewne. Kallias... może. Od czasu wydarzeń pod Górą nasze stosunki z Dworem Zimy były napięte.

– Zakładam, że Azriel pozyska więcej informacji.

– Już się tym zajmuje.

Kiwnęłam głową.

– Amrena twierdziła, że razem z Nestą potrzebują pomocy w ustaleniu możliwych sposobów naprawienia muru. – Wskazałam ręką miasto. – Wskaż mi drogę do najlepszej biblioteki, w której można takie informacje znaleźć.

Rhysand uniósł brwi.

– Teraz? Twoja etyka pracy zawstydzą moją.

– *Jutro*, mądralo – syknęłam.

Zachichotał, rozpostarł skrzydła i ponownie ciasno je złożył. Skrzydła... które pozwolił zobaczyć Lucienowi.

– Ufasz Lucienowi.

Rhys przechylił głowę na bok na to nie do końca pytanie.

– Ufam w to, że aktualnie jesteśmy w posiadaniu tego, czego pragnie ponad wszystko inne. I dopóki tak pozostanie, będzie się starał utrzymywać z nami dobre stosunki. Ale jeśli to się zmieni...

Jego talent marnował się na Dworze Wiosny. Wiesz, nie bez powodu nosił maskę lisa. – Uśmiechnął się kącikiem ust. – Gdyby zdołał wykraść Elainę i zabrać ją z powrotem na ziemie Tamlina czy gdziekolwiek indziej... Czy wierzysz, ale tak szczerze, że nie sprzedałby wszystkiego, co wie? Dla korzyści albo w celu zapewnienia, że *ona* będzie bezpieczna?

– Mimo to pozwoliłeś mu dzisiaj wszystko usłyszeć.

– Nie usłyszał niczego, co by mogło pomóc Hybernii w zniszczeniu nas. Król zapewne już wie, że postaramy się pozyskać Keira; że spróbujemy znaleźć sposób, by powstrzymać go przed zniszczeniem muru. Dagdan i Brannagh nie byli zbyt subtelni w swoich poszukiwaniach. I będzie się po nas spodziewał prób zjednoczenia wszystkich dworów. Dlatego właśnie miejsce spotkania z ich władcami ustalę dopiero później. Czy wtedy powiem Lucienowi? Czy zabiorę go ze sobą?

Rozważyłam jego pytanie: czy ja ufałam Lucienowi?

– Ja również nie jestem pewna – przyznałam i westchnęłam. – Nie podoba mi się, że Elaina jest w tym wszystkim pionkiem.

– Wiem. To nigdy nie jest proste.

Musiał sobie radzić z takimi sprawami całe wieki.

– Chcę zaczekać, przekonać się, co Lucien zrobi w najbliższych dwóch tygodniach. Jak się zachowa; względem nas i względem Elainy. Co Azriel będzie o nim myślał.

Zmarszczyłam brwi.

– On nie jest zły...

– Z pewnością nie jest.

– Ja po prostu... – Spojrzałam w jego spokojne oczy. – Obdarzanie go bezgranicznym zaufaniem jest ryzykowne.

– Czy mówił, co sądzi na temat Tamlina?

– Nie. Nie chciałam tego poruszać na siłę. Miał... wyrzuty sumienia z powodu tego, co się stało ze mną. I z powodu wydarzeń na Hybernii, z powodu Elainy. Czy czułby to samo, gdyby nie ona? Nie wiem... może. Jednak nie sądzę, czy wtedy opuściłby Tamlina.

Rhys odgarnął włosy z mojej twarzy.

– To wszystko przynależy do gry, droga Feyro. Komu zaufać,

kiedy to zrobić... jakie informacje zaoferować w zamian.

– Podoba ci się to?

– Czasem. Obecnie nie. Ryzyko jest za wysokie. – Musnął palcami moje czoło. – Zbyt wiele mam do stracenia.

Położyłam dłoń na jego piersi, bezpośrednio na ilyryjskich tatuażach ukrytych pod ubraniami, bezpośrednio nad sercem. Poczułam pewny rytm odbijający się echem w mojej skórze, w moich kościach.

Gdy spojrzał mi w oczy, gdy jego usta znalazły się tuż przy mojej skórze, zapomniałam o otaczającym nas mieście.

– Będziemy dalej planować przyszłość, niezależnie od wojny – mruknął. – *Ja* będę dalej planować naszą przyszłość.

Zapieкло mnie w gardle. Skinęłam głową.

– Zaslugujemy na szczęście – powiedział; błysk w jego oku zdradził, że wspomina słowa, które ode mnie usłyszał na dachu jego miejskiego domu tuż po ataku. – I będę walczył ze wszystkich sił, by je nam zapewnić.

– *My* będziemy walczyć – powiedziałam ochrypłym głosem. – Nie tylko ty... już nie.

Za dużo. Oddał już tak dużo, a wciąż zdawał się uważać, że dał jeszcze za mało.

Rhys jedynie obejrzał się przez ramię na wesołych gości restauracji.

– Tej pierwszej nocy, kiedy wszyscy tu przyszliśmy – powiedział, a ja podążyłam za jego wzrokiem, przyglądając się pracownikom nakrywającym stoły z pieśczośliwą dbałością. – Kiedy powiedziałaś Sevendzie, że po jej jedzeniu poczułaś się rozbudzona... – Pokręcił głową. – Wtedy po raz pierwszy wyglądałaś na... spokojną. Jakbyś istotnie się przebudziła, jakbyś z powrotem *żyła*. Poczułem taką ulgę, że obawiałem się, że zwymiotuję prosto na stół.

Przypomniałam sobie to powłóczyście dziwne spojrzenie, którym mnie obdarzył, kiedy w końcu przemówiłam tamtej nocy. Długi spacer, kiedy odprowadzał mnie do domu, kiedy usłyszeliśmy muzykę, którą wysłał mi do celi pod Górą.

Odepchnęłam się od balustrady i pociągnęłam go w stronę mostu



spinającego brzegi Sidry... mostu prowadzącego do domu. Niech rozważania na temat tego, kto jest gotów oddać najwięcej w tej wojnie, zaczekają.

– Przejdź się ze mną... przez Tęczę.

Ten roziskrzony wielobarwny klejnot miasta, bijące serce stanowiące dzielnicę artystów. O tej porze nocy pełne życia i radości.

Wzięłam go pod rękę.

– Ty i to miasto pomogliście mi się przebudzić, pomogliście mi wrócić do życia. – Zerknął na mnie, a ja posłałam mu uśmiech. – Ja również będę walczyła ze wszystkich sił, Rhys. Ze wszystkich.

Pocałował mnie w czubek głowy, przyciągnął bliżej siebie i ruszyliśmy mostem nad Sidrą pod rozgwieżdżonym niebem.

## Rozdział 19

**D**obrze, że nalegałam na spotkanie z Kasjanem o ósmej, bo chociaż zdołałam się obudzić o świcie, wystarczyło jedno spojrzenie na twarz śpiącego Rhysanda, żebym spędziła poranek na powolnym słodkim budzeniu go.

Wciąż cała promieniałam, kiedy Rhys postawił mnie na placu ćwiczebnym na szczycie Domu Wiatru, otoczonym ścianami z czerwonego kamienia i pozbawionym dachu – całkowicie wystawionym na działanie żywiołów. Obiecał mi, że po lunchu pokaże mi bibliotekę, w której mogłabym prowadzić swoje badania, po czym mrugnął zawadiacko, cmoknął mnie w policzek i wystrzelił z powrotem w niebo potężnym uderzeniem skrzydeł.

Kasjan stał oparty o ścianę obok stojaka z bronią.

– Mam nadzieję, że nie zmęczyłaś się już zanadto – rzucił z przekąsem – ponieważ to będzie *naprawdę* bolało.

Przewróciłam oczami, chociaż jednocześnie walczyłam z obrazem Rhysanda kładącego mnie na brzuchu i całującego od karku wzdłuż kręgosłupa. Niżej. Starłam się odsunąć od siebie wspomnienie jego silnych dłoni chwytających mnie za biodra i unoszących wysoko, aby następnie położyć się pod nimi i ucztować, aż zaczęłam błagać go po cichu. Wtedy uniósł się za mną i musiałam wgryźć się w poduszkę, aby swoimi jękami nie obudzić całego domu.

Poranny Rhysand był... Nie znajdowałam słów, by opisać te doznania, kiedy się nie śpieszył, kiedy działał leniwie, kiedy drażnił się ze mną; kiedy jego włosy były wciąż zmierzwiłone snem, a oczy spalały mnie tym zamglonym piekielnie męskim spojrzeniem. Przed chwilą wciąż lśniły leniwym zadowoleniem, a jego szyderczo niewinny całus w policzek posłał na wskroś przeze mnie rozgrzany do czerwoności impuls.

Później. Później to ja będę go torturowała.

A na razie... Podeszłam do Kasjana, zataczając kręgi ramionami.

– Tego samego ranka dwóch Ilyrów wyciska ze mnie siódme poty. Cóż może zrobić biedna kobieta?

Kasjan zaśmiał się chrapliwie.

– Przynajmniej zjawiasz się w dobrym humorze.

Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu, oparłam dłonie na biodrach i przyjrzałam się broni na stojaku.

– Która?

– Żadna. – Wskazał brodą wyrysowane białą kredą za moimi plecami linie wytyczające ring. – Minęło trochę czasu od naszego ostatniego treningu. Dzisiejszy dzień poświęcimy na odświeżenie podstaw.

W jego głosie wyczułam na tyle silne napięcie, że powiedziałam:

– Nie minęło aż tak dużo czasu.

– Półtora miesiąca.

Przyjrzałam się mu: ciasno złożonym skrzydłom, długim do ramion ciemnym włosom.

– Co się stało?

– Nic.

Minął mnie i wszedł na ring.

– Czy chodzi o Nestę?

– Nie wszystko w moim życiu kręci się wokół twojej siostry, wiesz?

Postanowiłam zamilczeć ten temat.

– Czy chodzi o jutrzejszą wyprawę na Dwór Koszmarów?

Kasjan rzucił koszulę, odsłaniając prężące się mięśnie pokryte pięknymi zawiłymi tatuażami. Ilyryjskimi znakami szczęścia i chwały.

– O nic nie chodzi. Przyjmij postawę.

Zrobiłam, jak kazał, chociaż wciąż przyglądałam mu się z uwagą.

– Jesteś... zły.

Milczeniem wymusił na mnie rozpoczęcie rozgrzewki – serii wypadów, kopnięć i rozciągania – mającej rozluźnić wszystkie mięśnie. Odezwał się dopiero, kiedy zaczęliśmy sparing, kiedy zbijał owiniętymi bandażami dłońmi grad moich ciosów.

– Ukryliście z Rhysem przed nami prawdę. Wszyscy ruszyliśmy na

Hybernię nieświadomi.

– Nieświadomi czego?

– Że jesteś księżną.

Wyprowadziłam dwa szybkie ciosy w jego uniesione dłonie, dysząc ciężko.

– A co by to zmieniło?

– Zmieniłoby *wszystko*. Wszystko by się inaczej potoczyło.

– Może dlatego właśnie Rhys postanowił utrzymać to w tajemnicy.

– Hybernia była *katastrofą*.

Zaprzestałam dalszych ciosów.

– Kiedy tam poleciliśmy, wiedziałeś, że jestem jego towarzyszką. Nie rozumiem, w jaki sposób bycie księżną cokolwiek zmienia.

– Zmienia.

Wsparłam dłonie na biodrach, ignorując jego zachętę do kontynuowania ćwiczeń.

– Dlaczego?

Kasjan przeczesał dłonią włosy.

– Ponieważ... ponieważ jako jego towarzyszka, to wciąż... to był jego obowiązek, by cię bronić. Och, nie patrz tak na mnie. Tak samo twoim obowiązkiem jest bronić jego. Oddałbym życie za ciebie jako jego towarzyszkę... i jako przyjaciółkę. Ale wciąż byłaś... jego.

– A jako księżna?

Kasjan westchnął ciężko.

– Jako księżna jesteś *moja*. I Azriela, i Mor, i Amreny. Należysz do nas wszystkich, a my należymy do ciebie. Wtedy byśmy... nie wystawilibyśmy cię na takie niebezpieczeństwo.

– Może właśnie dlatego Rhys postanowił utrzymać to w tajemnicy. To by was zdekcentrowało.

– Ta rozmowa jest między nami dwojgiem. I wierz mi, zamieniliśmy z Rhysem... parę słów na ten temat.

Uniosłam brwi.

– Jesteś na mnie zły?

Pokręcił głową z zamkniętymi oczami.

– Kasjanie.

Uniósł jedynie ręce w milczącym poleceniu kontynuowania ćwiczeń.

Westchnęłam i wznowiłam swój taniec. Kasjan odezwał się ponownie, dopiero kiedy wykonałam piętnaście serii i już bardzo ciężko dyszałam.

– Nie uważałaś, że jesteś niezbędna. Uratowałaś nam dupy, owszem, ale... nie byłaś przekonana, że jesteś tam najważniejsza.

Raz, dwa. Raz, dwa. Raz, dwa.

– Bo nie jestem. – Już otwierał usta, by zaproponować, ale wtedy natarłam, wyrzucając kolejne słowa między kolejnymi wdechami. – Wszyscy macie... obowiązki. Wszyscy jesteście niezbędni. Owszem, mam pewne zdolności, lecz... Ty i Azriel odnieśliście rany, a moje siostry... Dobrze wiesz, co się z nimi stało. Zrobiłam, co mogłam, żeby nas stamtąd wydostać. Wolałam, żeby padło na mnie niż na którekolwiek z was. Nie mogłabym żyć, gdyby stało się inaczej.

Jego uniesione dłonie nawet nie drgnęły mimo gradu moich ciosów.

– Na Dworze Wiosny mogło ci się przydarzyć wszystko.

Ponownie przerwałam.

– Jeśli Rhys nie zamecza mnie tymi nadopiekuńczymi bzdurami, to nie widzę powodu, żebyś ty...

– Żeby było jasne: Rhys ze zmartwienia wychodził z siebie. Och, oczywiście, wydaje się opanowany, Feyro, ale ja go znam. Podczas twojej nieobecności cały czas *panikował*. Owszem, wiedział... wiedzieliśmy... że potrafisz sobie poradzić. Ale to nie sprawiło, że przestaliśmy się martwić.

Strzepnęłam obolałe dłonie, po czym rozmasowałam bolące już mięśnie ramion.

– Na niego też byłś wściekły.

– Gdybym się nie leczył, pognałbym go na kopniakach z jednego końca Velaris na drugi.

Nie odpowiedziałam.

– Wszyscy umieraliśmy z obawy o ciebie.

– Radziłam sobie.

– Oczywiście. Wiedzieliśmy, że sobie poradzisz. Ale... –

Skrzyżował ramiona. – Rhys to samo odstawił pięćdziesiąt lat temu. Kiedy udał się na to cholerne przyjęcie Amaranthy.

Ach. Ach.

– Nigdy tego nie zapomnę, wiesz – powiedział i westchnął ciężko.  
– Tej chwili, kiedy przemówił do nas w naszych umysłach. Kiedy zrozumiałem, co się dzieje i że... ocalił nas. Uwięził nas tu, związał nam ręce, ale... – Podrapał się w skroń. – Wszystko umilkło... w mojej głowie. Tak jak nigdy wcześniej. Odkąd... – Spojrzał przez zmrużone powieki w bezchmurne niebo. – Chociaż tutaj, na wszystkich naszych ziemiach zaczęła się krwawa rzeź, wszystko po prostu... ucichło. – Postukał się palcem w bok głowy i zmarszczył brwi. – Po wydarzeniach na Hybernii uzdrowicielka utrzymywała mnie w uśpieniu przez cały czas, gdy pracowała nad moimi skrzydłami. Zatem kiedy obudziłem się dwa tygodnie później... to właśnie usłyszałem. A kiedy Mor powiedziała mi, co się z tobą stało... Ponownie wszystko umilkło.

Przełknęłam ślinę przez ściśnięte gardło.

– Znalazłeś mnie, kiedy potrzebowałam cię najbardziej, Kasjanie.

– Cieszę się, że mogłem pomóc. – Uśmiechnął się ponuro. – Możesz na nas polegać, wiesz. Oboje możecie. On chciałby robić wszystko sam... dawać tylko z siebie. Nie potrafi pozwolić komukolwiek innemu na nawet drobne poświęcenie. – Uśmiech Kasjana zniknął. – Ty też nie potrafisz.

– A ty potrafisz?

– To nie jest proste, ale tak. Dowodzę jego wojskiem. A to wymaga umiejętności dzielenia się odpowiedzialnością. Stoję u boku Rhysa już ponad pięćset lat, a on wciąż usiłuje wszystko zrobić sam. Wciąż sądzi, że za mało z siebie daje.

Wiedziałam, o czym mówi... aż za dobrze. A na myśl o Rhysie, w tej wojnie, usiłującym stawić czoła wszystkiemu, co los na nas rzuci... wezbrały we mnie nudności.

– Cały czas wydaje polecenia.

– Tak. I doskonale wie, w czym jesteśmy najlepsi. Ale kiedy przychodzi co do czego... – Kasjan poprawił bandaż na dłoniach. – Jeśli władcy pozostałych dworów i Keir odwrócą się od niego, mimo

to ruszy walczyć z Hybernią. I przyjmie na siebie większość konsekwencji, żebyśmy my nie musieli.

Poczułam bardzo silne mdlące ssanie w brzuchu. Rhys by przeżył... nie odważyłby się poświęcić wszystkiego, by tylko dopilnować, że my...

Owszem, zrobiłby to. Postąpił tak z Amaranthą i uczyniłby to ponownie, bez chwili zawahania.

Odepchnęłam tę myśl. Zepchnęłam głęboko na dno umysłu. Skoncentrowałam się na oddychaniu.

Coś za moimi plecami przyciągnęło uwagę Kasjana i chociaż zachował swobodną postawę, przez jego oczy przemknął drapieżny błysk.

Nie musiałam się odwracać, by wiedzieć, kto za mną stoi.

– Dołączysz do nas? – zapytał miękkim głosem Kasjan.

– Nie wygląda na to, żebyście ćwiczyli cokolwiek poza swoimi językami – odparła Nesta.

Obejrzałam się przez ramię. Miała na sobie bladobłękitną suknię, przy której jej skóra wyglądała na złotą. Włosy zebrała wysoko na głowie, plecy trzymała sztywno wyprostowane. Chciałam coś powiedzieć, przeprosić, ale... nie przy nim. Nie chciałyby odbywać tej rozmowy w obecności Kasjana.

Ilyr wyciągnął obandażowaną dłoń i poruszył palcami w przyzywającym geście.

– Boisz się?

Rozważnie trzymałam język za zębami, podczas gdy Nesta przeszła przez otwarte drzwi i wkroczyła na zalany oślepiającym światłem plac.

– Czemu miałabym się bać kłótliwego przerośniętego nietoperza?

Zakrztusiłam się, a Kasjan posłał mi ostrzegawcze spojrzenie. Poszukałam w swoich myślach tej szczególnej więzi i opuściłam bariery na tyle, by móc przekazać Rhysandowi, gdziekolwiek w mieście teraz był: „Proszę, zjaw się tutaj i uratuj mnie od sprzeczki Kasjana i Nesty”.

Jedno uderzenie serca później Rhys odpowiedział leniwie: „Żałujesz zostania księżną?”.

Rozkoszowałam się tym głosem... tym humorem. Ale ponownie zdusiłam rodzącą się panikę i odparowałam: „Czy to należy do moich obowiązków?”.

Zmysłowy ponury śmiech. „Jak myślisz, dlaczego tak rozpaczliwie szukałam partnerki? Blisko pięć wieków musiałem sobie z tym radzić sam. Nie byłoby sprawiedliwie, gdybyś nie musiała wycierpieć swojego”.

– Sprawiasz wrażenie lekko podenerwowanej, Nesto – powiedział Kasjan. – Tak nagle nas opuściłaś minionego wieczoru... Czy mogę w jakiś sposób pomóc ci pozbyć się tego napięcia?

„Proszę” – błagałam Rhysa.

„A co mi za to dasz?”.

Nie byłam pewna, czy mogę syknąć przez naszą więź, ale po chichocie, który odbił się echem w mojej głowie chwilę później, poznałam, że moja irytacja dotarła do adresata. „Odbywam spotkanie z zarządcami Pałaców. Mogą się nieco wkurzyć, jeśli tak po prostu zniknę”.

Staralam się nie westchnąć.

Nesta skubała paznokcie.

– Wkrótce zjawi się Amrena, żeby mnie uczyć...

Urwała w pół słowa, gdy jakiś cień przesłonił plac. Ale to nie Rhysand wylądował między nami, lecz...

„Wysłałem ci innego przystojniaka – zakomunikował Rhys. – Nie jest oczywiście tak piękny jak ja, ale niewiele mi ustępuje”.

Gdy okrywające go cienie się rozwiały, Azriel przyjrzał się Neście i Kasjanowi, po czym zerknął na mnie z lekkim współczuciem.

– Musimy zacząć naszą lekcję wcześniej.

Żałosne kłamstwo, ale skorzystałam z okazji.

– Oczywiście – odparłam. – Żaden problem.

Kasjan rzucił mi wściekle spojrzenie, potem przeniósł wzrok na Azriela. Oboje go zignorowaliśmy. Podeszłam do pieśniarza cieni, odwijając po drodze bandaż z dłoni.

„Dziękuję” – posłałam przez więź.

„Wynagrodzisz mi to wieczorem”.

Staralam się usilnie nie zarumienić na widok obrazu przesłanego



przez Rhysa, w którym ukazywał ze szczegółami, jak mu to wynagrodzę, i zatrzasnęłam podwoje swojego umysłu. Przysięgłabym, że w czarny adamant ściany otaczającej moje myśli zadrapały od zewnątrz szponiaste palce w zmysłowej niemej obietnicy. Przełknęłam z trudem ślinę.

Azriel rozłożył skrzydła – przenikające przez nie promienie słońca malowały je na czerwono i złoto – i wyciągnął ku mnie rękę.

– Las sosnowy się nada... ten nad jeziorem.

– Dlaczego?

– Ponieważ lepiej wpadać w wodę niż lądować na skale – odpowiedział za przyjaciela Kasjana, krzyżując ramiona na piersi.

Poczułam nagły ucisk w brzuchu, ale mimo to pozwoliłam Azrielowi chwycić mnie mocno. Gdy potężnie uderzył skrzydłami, wzbijając obłoki kurzu zalegającego na placu, owionął mnie jego zapach przywodzący na myśl chłodną nocną mgłę i cedrowe drewno.

Napotkałam spojrzenie Kasjana posłane spomiędzy zmrużonych powiek i uśmiechnęłam się szeroko.

– Powodzenia – rzuciłam.

I wtedy Azriel, niech Kocioł go błogosławi, wystrzelił w bezchmurne niebo.

Oboje usłyszeliśmy grube przekleństwo Kasjana, ale nie zaszczyciliśmy go odpowiedzią.

Kasjan był generałem – najwyższym dowódcą Dworu Nocy.

Z pewnością zdoła sobie poradzić z Nestą.

\*\*\*

– Po drodze odstawiłem Amrenę do Domu Wiatru – powiedział mi Azriel, gdy wylądowaliśmy na brzegu turkusowego górskiego jeziora otoczonego sosnami i granitem. – Powiedziałem jej, żeby jak najszybciej udała się na plac ćwiczebny. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Ale nie wcześniej niż po kilku minutach.

Parsknęłam i rozprostowałam ramiona.

– Biedny Kasjan.

Azriel prychnął z rozbawieniem.

– W rzeczy samej.

Przestąpiłam z nogi na nogę. Małe szare kamyki pokrywające brzeg zachrzęściły pod podeszwami butów.

– Zatem...

Czarne włosy Azriela zdawały się pochłaniać oślepiające światło słońca.

– Do latania – powiedział oschle – potrzebne są skrzydła.

No tak.

Twarz spłonęła mi rumieńcem. Zakręciłam dłońmi i strzeliłam kostkami przegubów.

– Minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz je przyzwałam.

Nie odrywał świdrującego wzroku od mojej twarzy, postawy. Równie niewzruszony i spokojny co granitowa skała, w której powstało to jezioro. Robiłam na nim nie większe wrażenie niż trzepoczący motyl na tych górach, pozostając przy tym samym porównaniu.

– Czy mam cię obrócić? – zapytał i uniósł ciemną brew dla podkreślenia swoich słów.

Skrzywiłam się zażenowana.

– Nie. Ale... mogę potrzebować kilku prób.

– Zaczęliśmy wcześniej. Mamy mnóstwo czasu.

– Doceniam, że udajesz, że nie widzisz, jak rozpaczliwie chciałam uniknąć uczestniczenia w sprzeczce Kasjana i Nesty.

– Nigdy bym nie pozwolił mojej księżnej cierpieć takich katuszy – powiedział z absolutnie kamienną twarzą.

Zachichotałam i potarłam obolałe miejsce na barku.

– Czy jesteś... gotowy na spotkanie z Lucieniem dziś po południu?

Azriel przekrzywił głowę.

– Czy powinienem się do tego specjalnie przygotowywać?

– Nie. Po prostu... – Wzruszyłam ramionami. – Kiedy wyruszasz, by zbierać wiadomości o władcach dworów?

– Po rozmowie z nim. – Oczy mu błyszczały... rozbawieniem.

Chyba doskonale wiedział, że gram na zwłokę.

Westchnęłam.

– W porządku. Trzeba to zrobić.

Sięgnęłam w głąb siebie do części otrzymanej od Tamlina... Moje serce się wzdrygnęło. Coś ostrego i złowrogiego w moim brzuchu otarło się o to, co zabrałam. Wszystko, co zabrałam.

Odrzuciłam te myśli i skoncentrowałam się na ilyryjskich skrzydłach. Przywołałam je tamtego dnia na równinie z pamięci i czystego strachu. Wytworzenie ich teraz... Pozwoliłam swoim myślom zapuścić się we wspomnienia o skrzydłach Rhysa – jakie były w dotyku, jak się poruszały, jakie były ciężkie.

– Szkielet musi być nieco grubszy – odpowiedział Azriel, gdy jakiś ciężar pociągnął mnie do tyłu. – Wzmocnij mięśnie, na których jest zawieszony.

Posłuchałam jego rady, a moja magia wysłuchiwała moich poleceń. Doradzał mi dalej, gdzie dodać, skąd ująć, gdzie wygładzić, co usztywnić.

Brakowało mi tchu, pot lał się strumieniem wzdłuż kręgosłupa. W końcu powiedział:

– Dobrze. – Odchrząknął. – Wiem, że nie jesteś Ilyrem, ale... wśród nich powszechnie uważa się, że... dotykanie cudzych skrzydeł bez pozwolenia jest poważnym nietaktem. Zwłaszcza w przypadku kobiet.

Wśród *nich*. Nie czuł przynależności.

Dopiero po chwili zrozumiałam, o co mu chodzi.

– Och... Och. Proszę bardzo.

– Muszę sprawdzić, czy w dotyku wszystko jest w porządku.

– Oczywiście.

Stanełam plecami do niego. Mięśnie jęknęły z wysiłku, gdy rozpostarłam skrzydła. Wszystko – od szyi, przez ramiona, żebra i kręgosłup, aż po tyłek – zdawało się teraz nimi operować i protestowało głośno z powodu nowego ciężaru i ruchu.

Miałam je jedynie przez parę chwil podczas spotkania z Lucieniem na równinie – nie dostrzegłam wtedy, jakie są ciężkie i jak złożony jest układ mięśni.

Pomimo blizn dłonie Azriela były delikatne jak piórko. Dotykał i ścisnął różne partie skrzydeł, poklepywał i postukiwał inne. Zacisnęłam zęby. Uczucie przypominało... łaskotanie i dotykanie

spodu stopy. Szybko zakończył oględziny i stanął przede mną, a ja rozprostowałam barki.

– To... niesamowite – mruknął pod nosem. – Są takie same jak moje.

– Sądzę, że większość pracy wykonała magia.

Pokręcił głową.

– Jesteś artystką. Ta twoja dbałość o szczegóły...

Zarumieniłam się nieco na ten komplement i wsparłam dłonie o biodra.

– No i? Ruszamy w przestworza?

– Pierwsza lekcja: nie ciągnij ich tak po ziemi.

Zamrugłam. Moje skrzydła istotnie leżały na kamieniach.

– Dlaczego?

– Ilyrowie uważają to za przejaw lenistwa... oznakę słabości. A z czysto praktycznego punktu widzenia na ziemi jest mnóstwo rzeczy, o które można je zranić. Ostre kawałki drewna, odłamki skalne... Nie tylko mogą utkwąć w błonie i doprowadzić do zakażenia, ale też wpływają na sposób, w jaki skrzydło łapie wiatr. Dlatego też trzymaj je zawsze w górze.

Gdy spróbowałam je podnieść, plecy przeszył mi ostry ból. Zdołałam wyprostować lewe. Ale prawe zwisało jak luźny żagiel.

– Musisz wzmocnić mięśnie grzbietu. I ud. I ramion. I tułowia.

– Czyli w zasadzie wszystkie.

I znowu ten ironiczny uśmiezek.

– Jak myślisz, dlaczego Ilyrowie są tak świetnie zbudowani?

– Dlaczego nikt mnie nie ostrzegł przed twoim zarozumiałym wcieleniem?

Kąciki ust Azriela powędrowały do góry.

– Oba skrzydła w górze.

Ciche, acz stanowcze polecenie.

Skrzywiłam się z wysiłku i spróbowałam unieść również prawe skrzydło. Bez powodzenia.

– Jeśli nie możesz go podnieść w ten sposób, spróbuj oba rozpostrzeć, a potem złożyć z powrotem.

Posłuchałam rady i syknęłam z powodu ostrego bólu, który

zapłonął we wszystkich mięśniach grzbietu, gdy rozpostarłam skrzydła na boki. Nawet najbliższy powiew wiatru od jeziora łaskotał i ciągnął. Rozstawiłam nogi szerzej na kamienistym brzegu, szukając choć odrobiny równowagi...

– A teraz je złóż.

Skrzydła złożyły się z młaśnięciem – tak szybko, że aż zatoczyłam się do przodu.

Azriel złapał mnie, zanim upadłam twarzą na kamienie, chwycił mocno pod pachą i postawił z powrotem na nogi.

– Wzmocnienie mięśni tułowia pomoże również w utrzymaniu równowagi.

– Zatem z powrotem do Kasjana?

Kiwnął głową.

– Jutro. Dzisiaj skoncentruj się na unoszeniu, składaniu, rozpościeraniu i unoszeniu. – Jego skrzydła zaśniły czerwienią i złotem w promieniach słońca. – W ten sposób.

Zademonstrował, o co mu chodzi: rozpostarł szeroko skrzydła, złożył je na plecach, rozpostarł, przechylił, złożył. I tak w koło. Westchnęłam i powtórzyłam jego ruchy ku gwałtownym protestom całych pleców. Może nauka latania była jednak stratą czasu?

## Rozdział 20

Nigdy wcześniej nie byłam w bibliotece – przyznałam się Rhysowi po lunchu, gdy schodziliśmy kondygnację za kondygnacją w głąb Domu Wiatru.

Moje słowa odbiły się echem od wygładzonego czerwonego kamienia. Krzywiłam się przy każdym kroku, co rusz rozmasowując mięśnie pleców.

Aziel dał mi wywar, który miał uśmierzyć ból, ale i tak wiedziałam, że do wieczora będę pojękiwać. Chyba że godziny szukania sposobu na załatanie dziur w murze sprawią, że zasnę wcześniej.

– To znaczy – sprostowałam – nie licząc prywatnych bibliotek w twojej rezydencji i w pałacu Tamlina. No i moja rodzina też miała jedną, ale... Nie byłam w takiej prawdziwej.

Rhys zerknął na mnie z ukosa.

– Słyszałem, że ludzie mają na kontynencie biblioteki, do których każdy może wejść bez konieczności płacenia.

Nie byłam pewna, czy to było pytanie, czy tylko stwierdzenie, ale na wszelki wypadek kiwnęłam głową.

– W jednej z krain wpuszczają każdego, niezależnie od pozycji czy pochodzenia.

Rozważyłam jego słowa.

– Czy... przed wojną też były biblioteki?

Oczywiście musiały być, ale chodziło mi o...

– Tak. Wielkie, pełne gderliwych uczonych, którzy potrafili wyszukać tomiszczą mającą nawet kilka tysięcy lat. Ale nie wpuszczano do nich ludzi, chyba że czyjś niewolnika na polecenie jego właściciela, ale nawet wtedy bardzo uważnie ich pilnowano.

– Dlaczego?

– Ponieważ księgi były pełne magii i rzeczy, o których ludzie mieli

się nie dowiedzieć.

Rhys wsunął dłonie do kieszeni i poprowadził mnie korytarzem oświetlonym jedynie kulami czarodziejskiego światła trzymanymi przez piękne kobiece posągi wszelkich gatunków fae.

– Uczni i bibliotekarze sami rezygnowali z posiadania niewolników. Niektórzy robili to z przyczyn osobistych, ale głównie nie chcieli, żeby ludzie mieli dostęp do księgozbioru i archiwów.

Rhys wskazał ręką w dół kolejnych krętych schodów. Musieliśmy już być głęboko pod górą. Powietrze było tu suche i zimne – a także ciężkie. Tak jakby było tu uwięzione od stuleci.

– Co się stało z bibliotekami po wybudowaniu muru?

Rhys złożył ciaśniej swoje skrzydła, gdy klatka schodowa zwężyła się, a sufit obniżył nad naszymi głowami.

– Większość uczonych miała dość czasu, by uciec... i zdołali przeskoczyć razem z księgozbiorami. Ale jeśli nie zdążyli albo nie mieli wystarczających sił, by się bronić... – Mięsień zadrgał na jego szczęce. – Spalili biblioteki. Woleli wszystko zniszczyć niż pozwolić ludziom uzyskać dostęp do ich cennych informacji.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Woleli, żeby cała ta wiedza przepadła na zawsze?

Kiwnął głową. Słabe światło ozłociło granatowoczarne włosy.

– Nawet gdy pominąć uprzedzenia, obawiano się, że ludzie odkryją niebezpieczne zaklęcia... i użyją ich przeciwko nam.

– Ale my... to znaczy *oni* nie potrafią się posługiwać magią. Ludzie nie umieją czarować.

– Niektórzy umieją. Zazwyczaj ci, którzy gdzieś w odległym pokoleniu mają przodka spośród fae. Ale niektóre zaklęcia nie wymagają od rzucającego użycia magii. Czasem wystarczają właściwe słowa lub odpowiednie składniki.

Coś mnie tknęło w jego słowach.

– Czy... to znaczy, oczywiście, że tak się działo, ale... ludzie i fae kiedyś się ze sobą mieszały. Co się działo z potomstwem? Kiedy ktoś był w połowie fae i w połowie człowiekiem, dokąd się udawał, gdy postawiono mur?

Rhys wszedł do sali, w której znajdowało się szerokie przejście

wykute w czerwonej skale i zamknięte obsydianowe drzwi poprzecinane żyłami srebra. Piękne... przerażające. Tak jakby po drugiej stronie trzymano ogromną bestię.

– Mieszkańcy nie mieli lekkiego życia – powiedział po chwili. – Wielu pochodziło z niechcianych związków. Zazwyczaj zostawali ze swoimi ludzkimi matkami, ze swoimi ludzkimi rodzinami. Ale kiedy powstał mur, żyjący wśród ludzi mieszkańcy... przypominali wszystkim o tym, co było, o wrogach czyhających na północ od granicy. W najlepszym wypadku prowadzili życie wyrzutków i pariasów, tak samo jak ich dzieci, jeśli również nosiły znamiona swojego pochodzenia. W najgorszym zaś... W tych pierwszych latach, a także w pokoleniu, które po nich przyszło, ludzie mieli w sobie bardzo dużo gniewu. Chcieli, żeby ktoś zapłacił za niewolnictwo, za zbrodnie przeciwko nim. Nawet jeśli mieszkańcy nie zrobili nic złego... nie kończyło się to dobrze.

Podszedł do drzwi, które otworzyły się, pchane niewyczuwalnym wiatrem, tak jakby sama góra istniała, by mu służyć.

– A ci, którzy się znaleźli po drugiej stronie muru?

– Byli uważani za gorszych od najpodlejszych fae. Albo byli niechciani w każdy miejscu, w które się udali, albo... wielu znalazło pracę na ulicach. Sprzedawali swoje ciała.

– Tutaj w Velaris? – spytałam słabym głosem.

– W tamtych czasach księciem był wciąż mój ojciec – wyjaśnił Rhys, sztywniejac nieco. – Przez wieki nie wpuszczaliśmy na nasze ziemie żadnych ludzi: czy to niewolników, czy to wolnych. Nie pozwalał im tu zamieszkać, niezależnie od tego, czy chcieli się sprzedawać, czy szukali azylu.

– A gdy ty zostałeś księciem?

Rhys zatrzymał się przed rozpościerającym się przed nami mrokiem.

– Do tego czasu dla większości z nich było już za późno. Ciężko jest... zaoferować komuś azyl, jeśli nie można wytłumaczyć, gdzie znajduje się dane miejsce. Rozpuszczać wieści o nim, przy jednoczesnym utrzymywaniu naszej iluzji bezwzględnej okrucieństwa. – Blask gwiazd w jego oczach przygasł. – Przez lata



spotkaliśmy kilkoro. Część zdołała tu dotrzeć. Innym... nie można już było pomóc.

Coś poruszyło się w ciemności za drzwiami, ale ja całą uwagę skupiłam na jego twarzy, na sztywnych ramionach.

– A jeśli mur runie, czy... – Nie zdołałam dokończyć.

Rhys splótł palce z moimi.

– Tak. Jeśli są gdzieś ludzie czy fae potrzebujący bezpiecznego miejsca... to miasto będzie dla nich otwarte. Velaris było zamknięte już tak długo... może za długo. Sprowadzenie nowych mieszkańców, z różnych miejsc, różnych kultur, o różnych historiach... Nie widzę, w jaki sposób to mogłoby zaszkodzić. Okres przejściowy może być trudniejszy, niż się spodziewamy, ale... tak. Bramy tego miasta będą otwarte dla tych, którzy potrzebują jego bezpieczeństwa. Dla każdego, kto zdoła tu dotrzeć.

Ścisnęłam jego dłoń, delektując się zgrubieniami, na które Rhys uczciwie zapracował. Nie, nie pozwolę mu dźwigać samodzielnie ciężaru tej wojny, płacić za nią samemu.

Rhys spojrział na otwarte drzwi – na zakapturzoną postać w długiej szacie, która cierpliwie czekała w cieniach za nimi. Wszystkie obolałe ścięgna i kości w moim ciele momentalnie zastygły, gdy dostrzegłam jasne szaty, kaptur zwieńczony diademem z błękitnym kryształem, woalem, który można spuścić na oczy... Kapłanka.

– To jest Kloto – powiedział spokojnie Rhys, puszczając moją rękę, by poprowadzić mnie w stronę czekającej na nas kobiety.

Ciężar jego dłoni na moim krzyżu był wyraźnym znakiem, że doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo jej widok mną wstrząśnie.

– Jest jedną z dziesiątek pracujących tu kapłanek.

Kloto skłoniła głowę w ukłonie, ale nie odezwała się ni słowem.

– Nie... nie wiedziałam, że kapłanki opuściły swoje świątynie.

– Biblioteka jest swego rodzaju świątynią – powiedział z zawadiackim uśmiechem Rhys. – Ale tutejsze kapłanki... – Gdy weszliśmy do właściwej biblioteki, dokoła ożyły złote światła, tak jakby przed naszym przyjściem Kloto przebywała tu w zupełnej

ciemności. – Są wyjątkowe. Jedyne w swoim rodzaju.

Przechyliła głowę w geście, który można było uznać za rozbawienie. Jej twarz pozostawała w cieniu, szczupłe ciało całkowicie zakrywała jasna ciężka szata. Cisza... a jednak wokół niej tańczyło życie.

Rhys uśmiechnął się ciepło do kapłanki.

– Czy znalazłaś te pozycje?

Gdy pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć „i tak, i nie”, zrozumiałam, że albo nie mogła mówić, albo złożyła śluby milczenia. Kłoto wskazała w lewo – na właściwą bibliotekę.

Oderwałam wzrok od niemej kapłanki na chwilę wystarczająco długą, by móc przyjrzeć się pomieszczeniu.

Nie był to olbrzymi pokój w pałacu. W żadnym wypadku.

To było...

Tak jakby podstawę góry wydrążyła jakaś olbrzymia bestia i pozostawiła po sobie jamę sięgającą serca świata. Wokół tej wielkiej dziury, wyciętej w korzeniach góry, wiły się spiralnie kolejne poziomy półek, ksiąg i miejsc do czytania, prosto w atramentową ciemność w dole. Z tego, co dostrzegłam na poszczególnych poziomach, gdy podeszłam do wykutej w kamieniu balustrady okalającej otwór, regały ciągnęły się daleko w głąb góry niczym szprychy wielkiego koła.

W powietrzu unosił się trzepoczący niczym skrzydła ćmy szmer papieru i pergaminu.

Cichy, acz żywy. Przytomny, brzęczący i niespokojny, jakby jakaś wieloramienna bestia nieustannie pracowała. Spojrzałam w górę i dostrzegłam kolejne poziomy wznoszące się w stronę Domu Wiatru nad naszymi głowami. A daleko pod nami czyhała... ciemność.

– Co jest na dnie tej jamy? – zapytałam Rhysa, który właśnie stanął przy mnie, ocierając się o mnie ramieniem.

– Kiedyś sprowokowałem Kasjana, by poleciał tam na dół i przekonał się na własne oczy. – Rhys oparł dłonie na balustradzie i spojrzał w dół, prosto w mrok.

– I?

– I wrócił szybciej, niż kiedykolwiek widziałem, żeby latał, błąd

jak sama śmierć. Nigdy mi nie powiedział, co tam zobaczył. Przez pierwsze kilka tygodni sądziłem, że to był z jego strony żart, że chciał zwyczajnie rozbudzić moją ciekawość. Ale kiedy w końcu miesiąc później zdecydowałem przekonać się na własne oczy, zagroził, że przywiąże mnie do krzesła. Powiedział, że niektórych rzeczy lepiej nie widzieć, nie niepokoić. Od tamtego czasu minęło już dwieście lat, a on wciąż nie chce mi zdradzić, co wtedy zobaczył. Jeśli się o tym wspomni, blednie i zaczyna dygotać, a potem nie odzywa się przez kilka godzin.

Jego słowa zmroziły mi krew.

– Czy to... jakiś potwór?

– Nie mam pojęcia. – Rhys wskazał głową Kloto, która cierpliwie czekała kilka kroków za nami z twarzą wciąż ukrytą w cieniu. – Nie mówią ani nie piszą o tym, więc jeśli wiedzą... Z pewnością nie zdradzą tego mnie. Zatem jeśli to coś nie zaczepia nas, ja nie będę zaczepiał jego. Przy założeniu, że to jest w ogóle jakieś coś. Kasjan nigdy nie powiedział, czy ujrzał tam na dole coś żywego. Może to jest coś zupełnie innego.

Zastanowiłam się nad tym wszystkim, co zdążyłam zobaczyć... Nie chciałam myśleć o tym, co się znajdowało na dnie biblioteki. Ani też o tym, co mogło tak przerazić Kasjana, który wszak widział straszniejsze i niebezpieczniejsze części świata, niż ja potrafiłam sobie wyobrazić.

Z szelestem szat Kloto ruszyła w stronę pochylni prowadzącej w głąb biblioteki. Ruszyliśmy za nią. Posadzka była wykuta w czerwonym kamieniu, podobnie jak reszta tego miejsca, ale została dodatkowo wygładzona i wypolerowana. Zastanawiałam się, czy którakolwiek z kapłanek kiedykolwiek spróbowała zjechać po spiralnej ścieżce.

„Nie słyszałem o takim przypadku – odezwał się w moich myślach Rhys. – Ale spróbowaliśmy kiedyś z Mor, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi. Matka przyłapała nas na trzecim poziomie i posłała do łóżek bez kolacji”.

Stłumiłam cisnący mi się na usta uśmiech. „Czy to była aż taka zbrodnia?”.

„Była, ponieważ wysmarowaliśmy posadzkę olejem i potem uczeni ciągle padali na twarz”.

Odkaszlnęłam, aby stłumić śmiech, i opuściłam głowę, chociaż Kloto szła dobre kilka kroków przed nami.

Mijaliśmy rzędy ksiąg i pergaminów wypełniających półki wykute w samej skale lub wykonane z mocnego ciemnego drewna. Korytarze wypełnione oboma rodzajami regałów znikwały w głąbi góry. Co kilka minut natrafialiśmy na niewielkie miejsca czytelniane z wieloma wysprzątanymi stołami, szklanymi lampami dającymi przyćmione światło i wygodnymi tapicerowanymi fotelami i kanapami. Podłoga między nimi zasłana była wiekowymi tkanymi dywanami, najczęściej przed paleniskami wykutymi bezpośrednio w skale z dala od półek z książkami, z rusztem tak gęstym, żeby nie uciekł zeń żaden zbłąkany węgielek.

Było tu przytulnie, pomimo rozmiarów całego kompleksu, i ciepło, pomimo nienazwanej potworności czającej się w dole.

„Kiedy pozostali za bardzo mnie wkurzą, lubię tu przychodzić skorzystać z ciszy i spokoju”.

Uśmiechnęłam się lekko do Rhysa, który w trakcie naszej mentalnej rozmowy spoglądał cały czas przed siebie.

„Nie zorientowali się dotąd, że znajduję cię tutaj?”.

„Oczywiście, że się zorientowali. Ale nigdy nie udaję się w to samo miejsce dwa razy z rzędu, więc zazwyczaj znalezienie mnie zajmowało im tyle czasu, że przestali próbować. Ponadto wiedzą, że jeśli jestem tutaj, to dlatego, że chcę być sam”.

„Biedne książątko – zaszydziłam. – Musi uciekać, żeby znaleźć samotność, by poużalać się nad sobą”.

Rhys uszczypnął mnie w pośladek, aż musiałam przygryźć wargę, żeby nie krzyknąć.

Przysięgłabym, że ramiona Kloto zatrzęsły się od śmiechu.

Ale zanim zdołałam odgryźć Rhysowi głowę za rwący ból w moich biednych plecach wywołany tak gwałtownym ruchem, Kloto doprowadziła nas na miejsce, mniej więcej trzy kondygnacje poniżej poziomu głównego. Stał tam wielki stół założony grubymi wiekowymi księgami oprawionymi w różnego rodzaju ciemną skórę.

Z boku stołu leżał równy stos papieru z zapasem piór. Lampy świeciły pełnym blaskiem, rozpraszając mrok radosnym i skrzącym światłem. Na niskim stoliku między dwiema skórzanymi kanapami stojącymi przed mruczącym kominkiem lśnił srebrny serwis do herbaty. Z wygiętego dzióbka dzbanka unosiła się smuga pary. Obok stał talerz wypełniony herbatnikami i małymi kanapeczkami oraz okazały stos serwetek w ramach delikatnej sugestii, byśmy wycierali palce za każdym razem przed dotknięciem ksiąg.

– Dziękuję – zwrócił się do kapłanki Rhys.

Ta w milczeniu wzięła jedną z ksiąg ze stosu, który niewątpliwie sama zgromadziła, i otworzyła na stronie zaznaczonej aksamitną wstążką koloru zaschniętej krwi – ale to nie na kolor zakładki zwróciłam uwagę, ale na dłoń kapłanki, gdy na chwilę pojawiła się w złotym świetle lamp.

Wszystkie palce miała powykręcane pod takimi kątami, że wzięłabym to za zniekształcenie obecne od urodzenia, gdyby nie blizny...

Na chwilę między kolejnymi uderzeniami serca znalazłam się w wiosennym lesie. Słyszałam chrzęst kamienia uderzającego w ciało i kość, bo nakazałam innej kapłance zmiążdżyć swoją rękę. Do skutku.

Rhys położył mi dłoń na plecach. Wysilek, jaki Kloto musiała wkładać w przygotowanie tego wszystkiego tak zdeformowanymi dłońmi...

Ale wtedy spojrzała na inny tom, a przynajmniej zwróciła w jego stronę głowę, a on przesunął się po stole.

Magia. No tak.

Palcem wygiętym pod dwoma różnymi kątami wskazała stronę, na której otworzyła trzymaną księgę, a następnie przesunięty po stole tom.

– Przyjrzę się temu – powiedział Rhys i skłonił głowę. – Powiadomimy cię, jeśli będziemy czegokolwiek potrzebowali.

Kloto ponownie ukloniła się i zaczęła odchodzić – ostrożnie i w milczeniu.

– Dziękuję – powiedziałam za nią.

Zatrzymała się, obejrzała na mnie i skinęła mi głową.

Kilka sekund później zniknęła.

Patrzyłam na nią jeszcze długo, chociaż Rhys usiadł już na jednym z dwóch krzeseł stojących przy założonym księgami stole.

– Dawno temu Kloto doznała bardzo poważnej krzywdy ze strony grupy mężczyzn – wyjaśnił cichym głosem.

Nie potrzebowałam znać szczegółów, by wiedzieć, co się wtedy wydarzyło. Ton głosu Rhysa implikował to wystarczająco wyraźnie.

– Wycięli jej język, żeby nie mogła nikomu powiedzieć, kto jej to zrobił. I zmiażdżyli dłonie, żeby nie mogła tego opisać.

Każde kolejne słowo było bardziej urwane od poprzedniego. W powietrzu między nami przemknęła smuga ciemności.

Odraza ścisnęła mi żołądek.

– Dlaczego jej nie zabili?

– Ponieważ w ten sposób lepiej się bawili. Do czasu, kiedy znalazła ją Mor. I przyprowadziła do mnie.

Wtedy bez wątpienia zajrzał do jej umysłu i zobaczył twarz.

– Pozwoliłem Mor ich wyśledzić. – Przyciągnął ciaśniej do siebie skrzydła. – A kiedy skończyła, siedziała tu przez miesiąc. Pomagała Kloto wyleczyć rany najlepiej, jak można było tego oczekiwać, ale też... wymazywała pozostawioną przez nich plamę.

Cierpienie Mor było inne, ale... rozumiałam, dlaczego to zrobiła, dlaczego chciała tu być. Ciekawe, czy pozwoliło jej to choć częściowo zaleczyć własne rany.

– Kasjan i Azriel wyleczyli się całkowicie po wydarzeniach na Hybernii. Nie można było niczego zrobić dla Kloto?

– Ci mężczyźni... leczyli ją w miarę okaleczania. W ten sposób utrwalali szkody. Kiedy Mor ją znalazła, było już za późno. Nie skończyli z jej dłońmi, więc zdołała je choć częściowo uratować, pozwolić jej ich w pewnym stopniu używać, ale... Żeby ją całkiem uleczyć, wszystkie rany musiałyby zostać otwarte na nowo. Zaproponowałem jej, że odejmę jej ból na czas zabiegów, ale... Nie mogła tego znieść... tego, co ponowne otwarcie ran wyzwoliłoby w jej głowie. W jej sercu. Od tamtego czasu żyje tutaj... z innymi sobie podobnymi. Jej magia pomaga jej się poruszać.

Wiedziałam, że powinniśmy zacząć pracę, ale nie mogłam się powstrzymać przed zapytaniem:

- Czy... czy wszystkie kapłanki w tej bibliotece są takie jak ona?
- Tak.

W tym słowie zawierały się całe wieki gniewu i bólu.

– Przekształciłem tę bibliotekę w ostoję dla nich. Niektóre przybywają się leczyć, pracują jako akolity, potem odchodzą. Inne składają śluby Kotłowi i Matce, zostają kapłankami i zamieszkują tu na zawsze. To od nich zależy, czy zostaną tu na tydzień, czy do końca swoich dni. Osoby z zewnątrz mogą korzystać z biblioteki w celu prowadzenia swoich badań, ale jedynie wtedy, gdy kapłanki się na to zgodzą. I tylko jeśli odwiedzający złożą wiążącą przysięgę niewyrządzenia żadnej krzywdy w czasie swojej wizyty. Ta biblioteka należy do kapłanek.

- Kto tu był przed nimi?

– Paru gderliwych uczonych, którzy skłękali przede mną, gdy przeniosłem ich do innych bibliotek w mieście. Nadal mogą tu przychodzić, ale to, kiedy mogą to robić i do jakich ksiąg uzyskać dostęp, zależy wyłącznie od kapłanek.

Wybór. W jego przypadku zawsze chodziło o mój wybór. A także o wybory dokonywane przez innych. Na długo zanim świat mu to uświadomił w bolesny sposób.

Pytanie musiało być wypisane w moich oczach, ponieważ po chwili Rhys dodał:

– Przychodziłem tu często w tygodniach po wydarzeniach pod Górą.

Poczułam ucisk w gardle i pochyliłam się, by delikatnie pocałować go w policzek.

- Dziękuję, że podzieliłeś się tym miejscem ze mną.
- Teraz należy też do ciebie.

Wiedziałam, że nie miał na myśli tylko naszej więzi godowej, ale... też sposób, w jaki biblioteka należała do obecnych tu kobiet. Które przetrwały i przeżyły.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

- To chyba cud, że jestem w stanie wytrzymać przebywanie pod

ziemią.

Jego twarz pozostała poważna, zamyślona.

– Owszem – powiedział łagodnie. – Jestem z ciebie bardzo dumny.

Oczy mnie zapiekły. Zamrugałam i spojrzałam na księgi.

– I zakładam – dodałam, starając się, by mój głos brzmiał swobodnie – że kolejnym cudem jest, że potrafię w ogóle przeczytać to wszystko.

Rhys uśmiechnął się uroczo – i tylko trochę złośliwie.

– Jak mniemam, moje małe lekcje pomogły.

– Tak, niewątpliwie nauczyłam się czytać dzięki przepisywaniu „Rhys jest najlepszym kochankiem, o jakim może marzyć kobieta”.

– Chciałem ci tylko przekazać to, co teraz już sama wiesz.

Krew zakrążyła mi nieco szybciej w żyłach.

– Hmm – mruknęłam i przyciągnęłam do siebie jedną z ksiąg.

– Odbieram to „hmm” jako wyzwanie.

Zsunął dłoń po moim udzie, objął kolano i przesunął kciukiem po jego boku. Nawet przez skórzane ubranie jego żar wlewał się we mnie aż do szpiku kości.

– Może zaciągnę cię między regały i się przekonamy, jak cicho potrafisz być.

– Hmm.

Przejrzałam kilka stron, nie rejestrując ani jednego słowa.

Jego dłoń rozpoczęła zabójczą i bezczelną wycieczkę w górę mojego uda; palce sunęły po jego czulej stronie. Wyżej, wyżej. Pochylił się, żeby przyciągnąć do siebie książkę.

– A może położę cię natym stole – wyszeptał mi do ucha – i będę cię lizał, aż zaczniesz krzyczeć na tyle głośno, żeby obudzić to, co drzemie na dnie biblioteki.

Obróciłam gwałtownie głowę w jego stronę. Oczy miał zamglone, niemal senne.

– Ten plan miał moje pełne poparcie – oznajmiłam, gdy jego dłoń zatrzymała się bardzo, *bardzo* blisko zbiegu moich ud – dopóki nie wspomniłeś o tym czymś na dole.

Uśmiechnął się miękko i drapieźnie. Spojrzał mi w oczy i oblizał dolną wargę.



Sutki mi stwardniały pod koszulą, a on spuścił wzrok... przyglądał się.

– Pomyślałbym – powiedział w zamyśleniu – że nasze poranne zapasy wystarczą ci do wieczora.

Wsunął dłoń między moje nogi, bezwstydnie łapiąc mnie za krocze i przyciskając kciuk do najczulszego miejsca. Z moich ust wydobył się gardłowy jęk, a policzki spłonęły mi rumieńcem.

– Najwyraźniej nie zdołałem cię należycie zadowolić, skoro tak łatwo cię rozbudzić ledwie kilka godzin później.

– Duppek – wyszeptałam chrapliwie.

Przycisnął kciuk mocniej i zaczął nim zataczać intensywne kręgi.

Nachylił się ponownie i pocałował mnie w szyję, tuż poniżej ucha, po czym wyszeptał, nie odrywając ust od mojej skóry:

– Zobaczmy, jakimi imionami mnie obdarzysz, kiedy moja głowa znajdzie się między twoimi nogami, droga Feyro.

Po tych słowach zniknął.

Przeskoczył, zabierając ze sobą połowę ksiąg. Wzdrygnęłam się. Było mi zimno, moje ciało sprawiało wrażenie obcego. Kręciło mi się w głowie i ogólnie byłam zdezorientowana.

„Gdzie, do demonów, jesteś?”

Rozejrzałam się dokoła, ale nie znalazłam niczego poza cieniem, wesołym płomieniem i opasłymi tomami.

„Dwa poziomy niżej”

„A dlaczego jesteś dwa poziomy niżej?”

Zerwałam się z krzesła do wtóru protestów mięśni grzbietu i wypadłam na kładkę. Dopadłam balustrady i spojrzałam w dół, prosto w mrok.

Istotnie, dwa poziomy niżej dostrzegłam jego ciemną czuprynę i skrzydła. Odchyłał się w krześle przed identycznym stołem z kostką jednej nogi opartą na kolanie drugiej. Uśmiechał się do mnie szyderczo.

„Bo nie mogę pracować, kiedy mnie rozpraszasz”

Skrzywiłam się gniewnie.

„Ja *ciebie* rozpraszam?”

„Kiedy siedzisz obok, to czytanie zakurzonych ksiąg jest ostatnią

rzeczą, o której myślę. Zwłaszcza kiedy masz na sobie te wszystkie obcisłe skóry”.

„Świnia”.

Jego chichot poniósł się echem po bibliotece wśród szelestu papieru i skrobania piór pracujących wszędzie wokół kapłanek.

„Jak zdołałeś przeskoczyć wewnątrz Domu Wiatru? Sądziłam, że jest przed tym chroniony”.

„Najwyraźniej biblioteka ustala własne zasady”.

Parsknęłam.

„Dwie godziny pracy – obiecał Rhys, obrócił się w stronę stołu i rozłożył skrzydła, aby się przede mną zasłonić. I po to, żeby on nie mógł widzieć mnie. – Potem możemy się zabawić”.

Pokazałam mu wulgarny gest.

„Widziałem”.

Powtórzyłam gest, a jego śmiech popłynął do mnie przez mrok. Zasiadłam przed zebranymi na stole tomami i zaczęłam czytać.

\*\*\*

Znaleźliśmy mnóstwo informacji na temat muru i jego powstania. Kiedy dwie godziny potem porównaliśmy swoje notatki, odkryliśmy sprzeczności między poszczególnymi tekstami, z których każdy przypisywał sobie najwyższy autorytet w tej sprawie. Było jednak kilka powtarzających się informacji, których Rhys wcześniej nie znał.

Kiedy mur powstał i podpisano Traktat, on leczył rany w swojej górskiej chacie. Szczegóły, które udało się nam ustalić, były w najlepszym wypadku niejasne, ale wszystkie wynalezione przez Kloto tomy na temat procesu powstawania muru i obowiązujących zasad zgadzały się co do jednego: bariera nigdy nie miała być wieczna.

Początkowo mur miał być tymczasowym rozwiązaniem, sposobem na rozdzielenie ludzi i fae aż do czasu, gdy będą skłonni ze sobą na spokojnie rozmawiać. I ustalić, w jaki sposób mają żyć obok siebie – jako jeden lud.

Ale mur pozostał. Ludzie starzeli się i umierali, a ich dzieci

zapomniały o przyrzeczeniach złożonych przez rodziców, dziadków, przodków. A fae wysokiego rodu, którzy przeżyli... dla nich to był nowy świat, bez niewolników. Pomniejsze fae zastąpiły im nagle odebraną darmową siłę roboczą. Wytoczono na nowo granice, by pomieścić przesiedleńców. Tak wielkie zmiany zaszły na świecie w tych pierwszych wiekach, tak wiele osób dokładało starań, by zapomnieć o wojnie, by leczyć, i w rezultacie mur... stał się trwałym rozwiązaniem. Legendą.

– Nawet jeśli wszystkie siedem dworów stanie ramię w ramię – powiedziałam, biorąc kolejne winogrono ze srebrnej miski w cichym pokoju dziennym w Domu Wiatru, do którego się przenieśliśmy ze skąpanej w półmroku biblioteki, łaknąc promieni słońca – nawet jeśli przyłączą się do nas Keir i Dwór Koszmarów... Czy mamy szansę wygrać tę wojnę?

Rhys odchylił się na haftowane oparcie fotelika stojącego przed zajmującym całą ścianę oknem. Velaris było lśniącą plamą światła daleko w dole – spokojne i cudowne, nawet z bliznami pozostawionymi na nim przez niedawną bitwę.

– W bezpośrednim starciu szanse na zwycięstwo są wątki.

Bezpośrednie, szczerze słowa. Poprawiłam się na bliźniaczym foteliku stojącym po drugiej stronie niskiego stolika.

– Czy ty byś... Gdybyś stanął do bezpośredniej walki z królem Hybernii...

– Czy ja bym wygrał? – Rhys uniósł brew i przyjrzał się miastu w oddali. – Nie wiem. Jest sprytny i trzyma pełnię swoich mocy w tajemnicy. Ale musiał się posunąć do wybiegu i gróźb, żeby nas pokonać w swoim pałacu. Ma za sobą tysiące lat zdobywania wiedzy i treningu. Gdybyśmy się starli... Wątpię, że w ogóle by do tego dopuścił. Większą szansę na zwycięstwo będzie miał, jeśli zwyczajnie zaleje nas swoim wojskiem, jeśli zmusi nas do rozdrobnienia sił. Gdybyśmy walczyli jeden na jednego, gdyby w ogóle przyjął moje wyzwanie... Szkody wyrządzone wszystkiemu wokół byłyby ogromne. I mówię tylko o nim samym, niewładającym Kotłem.

Serce zamarło mi w piersi.

– Jestem gotów przyjąć na siebie gros trudów – kontynuował –

jeśli dzięki temu pozostali przynajmniej staną razem z nami przeciwko niemu.

Zacisnęłam ręce na wywiniętych oparciach fotelika.

– Nie musisz.

– To może być jedyne wyjście.

– Nie dopuszczam do siebie takiej możliwości.

Spojrzał na mnie i zamrugał.

– Prythian może mnie potrzebować jako takiej możliwości.

Ponieważ z jego mocą... Mógłby stawić czoła królowi i całej jego armii. Wypalić się, aż...

– *Ja* ciebie potrzebuję. Jako możliwości. W *mojej* przyszłości.

Cisza. I pomimo słońca ogrzewającego mi stopy poczułam rozchodzące się po moim ciele przeraźliwe zimno.

Grdyka zatańczyła na jego szyi.

– Jeśli to oznacza danie ci przyszłości, to jestem gotowy...

– Nie zrobisz niczego takiego – wydyszałam przez wyszczerzone zęby i pochyliłam się do przodu.

Rhys przyglądał mi się w milczeniu zamglonym wzrokiem.

– Jak możesz prosić mnie, bym nie dał z siebie wszystkiego – powiedział po chwili – by zapewnić przetrwanie tobie, mojej rodzinie i mojemu ludowi?

– Dałeś już wystarczająco wiele.

– Nie. Jeszcze nie.

Miałam problemy z oddychaniem, napływające do oczu łzy rozmywały mi wzrok.

– Dlaczego? Skąd to się bierze, Rhys?

Tym razem nie odpowiedział.

W wyrazie jego twarzy była jakaś kruchość, jakaś nigdy niezaleczona rana. Westchnęłam i potarłam twarz.

– Po prostu... współpracuj ze mną – powiedziałam. – Z nami wszystkimi. Wszyscy razem. To nie jest tylko twoje brzemię.

Oderwał kolejne winogrono od łądźki i przeżuwał je przez chwilę. Wygiął wargi w lekkim uśmiechu.

– Zatem co proponujesz?

Wciąż dostrzegałam tę bezbronność w jego oczach, wciąż czułam

ją w naszej więzi. Przekrzywiłam głowę. Przypomniałam sobie wszystko, co wiedziałam, co się wydarzyło. Wróciłam myślami do ksiąg przeczytanych w podziemnej bibliotece. Bibliotece, w której mieszkało...

– Amrena ostrzegała nas, by nigdy nie łączyć ze sobą obu części Księgi – myślałam na głos. – Ale... zrobiliśmy to. Powiedziała, że rzeczy starsze od nas mogłyby... zostać wybudzone. Mogłyby się zjawić, wężąc za nową potęgą.

Rhys oparł stopę na kolanie.

– Hybernijczycy mogą mieć przewagę liczebną – ciągnęłam – ale co, jeśli my będziemy mieli potwory? Powiedziałeś, że król Hybernii przewidział potencjalny sojusz wszystkich dworów... ale może nie z istotami zupełnie z nimi niepowiązanymi. – Pochyliłam się w jego stronę. – I nie mówię o potworach krążących cały czas po świecie. Mówię o jednym konkretnym, który nie ma nic do stracenia i wszystko do zyskania.

Którego starałabym się pozyskać na wszelkie możliwe sposoby, żeby Rhys nie musiał znosić całych trudów sam.

Uniósł brwi.

– Ach?

– Rzeźbiący w Kościach – wyjaśniłam. – On i Amrena już od dawna szukają drogi powrotnej do swoich światów.

Tamtego dnia w Więzieniu stwór bardzo natarczywie i nieustępliwie wypytywał mnie o miejsce, do którego udałam się po śmierci. Przysięgłabym, że złocista skóra Rhysa pobladła.

– Ciekawi mnie – dodałam – czy nadszedł właściwy czas, by go zapytać, co by dał za możliwość powrotu do domu.

## Rozdział 21

Gdy się zegnałam z Rhysem, mięśnie grzbietu, tułowia i ud całkowicie odmówiły mi już posłuszeństwa. Mój towarzysz udał się na poszukiwania Kasjana, który miał mi jutro towarzyszyć w wyprawie do Więzienia. Gdybyśmy udali się tam oboje, mogłoby to wyglądać na zbyt... desperackie, zbyt rozpaczliwe. Ale jeśli księżna wraz ze swym generałem odwiedza Rzeźbiącego, by mu zadać kilka hipotetycznych pytań...

Nadal zdradzałoby to naszą pozycję, ale może nie ukazywałoby, jak bardzo potrzebujemy każdej najmniejszej nawet pomocy. A Kasjan, co mnie nie dziwiło, wiedział więcej o tym stworze niż ktokolwiek inny – w wyniku jakiejś chorobliwej fascynacji wszystkimi istotami przetrzymywanymi w Więzieniu. Zwłaszcza że to on odpowiadał za osadzenie tam części z nich.

Pod nieobecność Rhysa zajęłam się swoim zadaniem.

Krzywiąc się i sycząc, ruszyłam ponurymi czerwonymi korytarzami Domu Wiatru na poszukiwania mojej siostry i Amreny. Chciałam się przekonać, która z nich wciąż stoi o własnych siłach po ich pierwszej lekcji. Między innymi.

Znalazłam je obie w zacisznej zapomnianej pracowni, wpatrujące się w siebie nawzajem lodowato.

Na stole między nimi leżały rozrzucone w nieładzie książki. Jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę było tykanie zegara przy zakurzonych szafkach.

– Przepraszam, że przerywam pojedynek na spojrzenia – powiedziałam od progu i rozmasowałam krzyż – ale chciałam się przekonać, jak wam idzie pierwsza lekcja.

– Dobrze.

Amrena nie odrywała oczu od mojej siostry. Po jej czerwonych wargach błędził nikły uśmiezek.

Przyjrzałam się Neście, która przypatrywała się Amrenie

z całkowicie kamienną twarzą.

– Co robisz?

– Czekam – odparła Amrena.

– Na co?

– Aż natręci zostawią nas w spokoju.

Wyprostowałam się i odchrząknęłam.

– Czy to jest część jej szkolenia?

Amrena obróciła głowę w moją stronę z przesadną powolnością. Sięgające brody, proste jak druty włosy zafalowały lekko przy tym ruchu.

– Rhys ma swoją metodę uczenia ciebie. Ja mam swoją. – Przy każdym słowie jej białe zęby błyskały w ustach. – Jutro odwiedzamy Dwór Koszmarów. Do tego czasu musi opanować chociaż część podstaw.

– Takich jak?

Amrena westchnęła i uniosła wzrok ku sufitowi.

– Osłanianie się. Przed wścibskimi umysłami i mocami.

Zamrugalam. Powinnam była o tym pomyśleć. Że jeśli Nesta ma nam towarzyszyć w Wykutym Mieście... Będzie potrzebowała jakichś sposobów obrony poza tym, co ja mogłam jej zaoferować.

Nesta w końcu spojrzała na mnie z twarzą równie chłodną co zwykle.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

Amrena cmoknęła z dezaprobatą.

– Nic jej nie jest. Uparta jak osioł, ale skoro jesteście spokrewnione, to akurat mnie nie dziwi.

Skrzywiłam się.

– Skąd mam wiedzieć, jak wyglądają twoje metody? Równie dobrze mogłaś się nauczyć w Więzieniu jakichś okropnych technik.

Ostrożnie. Bardzo, bardzo ostrożnie.

– To miejsce nauczyło mnie wielu rzeczy – syknęła Amrena – ale zdecydowanie nie tego.

Przechyliłam głowę na bok, wyglądałam jak wcielenie zaciekawienia.

– Czy kiedykolwiek kontaktowałaś się z pozostałymi?

Im mniej osób będzie wiedziało o mojej jutrzejszej wyprawie na spotkanie z Rzeźbiącym, tym będzie to bezpieczniejsze – mniejsze ryzyko, że Hybernijczycy coś wywęszą. Nie bałam się zdrady, ale... zawsze było ryzyko.

Azriel, teraz zbierający informacje na temat Dworu Jesieni, dowie się dziś wieczorem, gdy wróci. Mor... jej w końcu też powiem. Ale Amrena... Zdecydowaliśmy z Rhysem poczekać z powiedzeniem jej o tym. Ostatnim razem, gdy byliśmy w Więzieniu, była... dociekliwa. Powiedzieć jej, że zamierzaliśmy uwolnić jednego z jej byłych współwięźniów? Może lepiej o tym nie wspominać, dopóki szuka sposobu na załatanie muru... i nauczanie mojej siostry.

Amrena skrzywiła się zniecierpliwiona, srebrne oczy błysnęły gniewnie.

– Rozmawiałam z nimi tylko szeptami i echemi w skale, dziewczyno. I bardzo się cieszyłam z tego powodu.

– Czym jest Więzienie? – odezwała się w końcu Nesta.

– Makabryczną czeluścią zaklętą w kamieniu – powiedziała Amrena. – Pełną istot, w przypadku których powinnaś dziękować Matce, że nie chodzą już po ziemi.

Nesta zmarszczyła czoło, ale nie indagowała dalej.

– Takich jak? – zapytałam.

Każdy skrawek informacji, który mogła znać... Amrena obnażyła zęby.

– Uczę tutaj magii, nie historii. – Machnęła lekceważąco ręką. – Jeśli chcesz z kimś poplotkować, idź znaleźć jednego z psów. Kasjan na pewno wciąż węszy na górze.

Kąciaki ust Nesty drgnęły ku górze.

Amrena wskazała ją smukłym palcem zakończonym ostrym zadbanym paznokciem.

– Skoncentruj się. Najważniejsze organy musisz osłaniać bez przerwy.

Postukałam dłonią o otwarte drzwi.

– Poszukam dalszych informacji dla ciebie w bibliotece, Amreno. – Bez odpowiedzi. – Powodzenia – dodałam.

– Ona nie potrzebuje powodzenia – odparła Amrena.



Nesta stłumiła śmiech.

Uznałam, że lepszego pożegnania się nie doczekam. Może pozwolenie Amrenie na ćwiczenie Nesty było... złym pomysłem? Nawet mimo wizji puszczenia ich wolno na Dworze Koszmarów... Uśmiechnęłam się pod nosem na tę myśl.

Do czasu, gdy razem z Mor, Rhysem i Kasjanem zebraliśmy się w domu w mieście na wieczerzę (Azriel wciąż szpiegował Berona), moje mięśnie były tak obolałe, że ledwie dałam radę wejść po schodkach prowadzących do frontowych drzwi. Cierpiałam tak bardzo, że zrezygnowałam z wcześniejszych planów odwiedzenia Luciena w Domu Wiatru po skończonym posiłku. Mor była milcząca i drażliwa, niewątpliwie w związku z jutrzejszą wyprawą.

Musiała współpracować z Keirem wiele razy przez te wszystkie wieki, a mimo to jutro... Ostrzegła Rhysa tylko raz podczas posiłku, że powinien uważnie rozważyć każdą propozycję, jaką Keir może mu przedstawić jako zapłatę za pomoc jego wojska. Rhys wzruszył ramionami i odparł, że pomyśli o tym, kiedy nadejdzie właściwy czas. Wymijająca odpowiedź, na którą Mor zazgrzytała zębami.

Nie miałam jej tego za złe. Na długo przed wojną jej rodzina skrzywdziła ją na sposoby, o których nawet nie chciałam myśleć. A na pewno nie na dzień przed ponownym spotkaniem z nimi – przed proszeniem *ich* o pomoc. Podjęciem z nimi współpracy.

Rhys, niech Matka go błogosławi, kazał przygotować dla mnie kąpiel po posiłku.

Jutro muszę być w swojej najlepszej formie. Na spotkanie z potworami, którym stawię czoło pod dwiema bardzo różnymi górami.

\*\*\*

Nie byłam w tym miejscu od miesiący. Ale rzeźbione kamienne ściany były dokładnie takie jak poprzednim razem, ciemność nadal rozpraszały osadzone w uchwytych pochodnie.

Nie w Więzieniu. Pod Górą.

Ale zamiast okaleczonego ciała Klary przybitego do skały wysoko nade mną...

Jej niebieskoszare oczy wciąż były rozszerzone przerażeniem. Nie było ani śladu wyniosłego chłodu, władczo uniesionej głowy.

Nesta. Zrobili jej dokładnie to samo, rana po ranie, co uczynili Klarze.

A za mną, wrzeszcząca i błagająca...

Obróciłam się i ujrzałam Elaine, nagą i łkającą, przywiązaną do tego olbrzymiego różna. Los, którym niegdyś grożono mnie. Zdeformowani fae z twarzami ukrytymi za maskami obracali żelaznymi korbami, obracali ją...

Spróbowałam się poruszyć. Skoczyć.

Ale byłam unieruchomiona... przytwierdzona do podłoża niewidzialnymi łańcuchami.

Z drugiego krańca sali tronowej dobiegł kobiecy śmiech. Z podestu. Teraz pustego.

Pustego, bo oto Amarantha wkraczała dumnym krokiem w półmrok, wychodziła z jakiegoś korytarza, którego wcześniej tam nie było, ale teraz ciągnął się w dal w nicość.

Rhysand szedł tuż za nią. Wchodził z nią. Do tamtej sypialni.

Obejrzał się na mnie przez ramię, tylko raz.

Nad skrzydłami. Skrzydłami, które rozpostarł, które ona zobaczy i zniszczy zaraz po tym, gdy...

Krzyczałam, żeby tego nie robił. Miotalam się, usiłując zerwać krępujące mnie więzy. Błagania Elaine były coraz głośniejsze, głośniejsze i głośniejsze. Rhys dalej szedł za Amaranthą. Pozwolił jej wziąć się za dłoń i pociągnąć za sobą.

Nie mogłam się poruszyć, nie mogłam tego powstrzymać, niczego...

\*\*\*

Zostałam wyciągnięta ze snu niczym ryba rzucająca się w sieci zarzuconej na głębokim morzu.

A gdy dotarłam na powierzchnię... pozostałam tam w połowie. Połowicznie we własnym ciele, połowicznie pod Górą, obserwując, jak...

– Oddychaj.

Słowo było rozkazem. Przesączonym tą pierwotną siłą, po którą tak rzadko sięgał.

Ale dzięki temu odzyskałam ostrość widzenia. Płuca wypełniły się powietrzem. Wsunęłam się nieco bardziej w swoje ciało.

– Jeszcze raz.

Posłuchałam. Ujrzałam jego twarz, czarodziejskie światła budzące się z cichym pomrukiem do życia w swoich lampach i misach w naszej sypialni. Skrzydła złożone ciasno, okalające zmierzwiłone włosy, ściągniętą twarz.

Rhys.

– Jeszcze raz – powiedział krótko, a ja posłuchałam.

Moje kości zdawały się bardzo kruche, żołądek skręcały silne nudności. Zamknęłam oczy, usiłując je zwalczyć. Obezwładniający strach wciąż wbijał swoje szpony głęboko. Wciąż to widziałam: jak go poprowadziła tym korytarzem. Do...

Rzuciłam się, przetoczyłam na skraj materaca i zacisnęłam ręce na brzuchu, podczas gdy moje ciało usiłowało wyrzucić wszystkie wnętrzności na dywan. Momentalnie poczułam na plecach jego dłoń zataczającą kojące kręgi. Był gotów pozwolić mi wymiotować z brzegu łóżka. Skoncentrowałam się na oddychaniu.

Na odepchnięciu tych wspomnień, jedno po drugim. Namalowanych na nowo wspomnień. Przez niezliczone minuty leżałam, półwisząc, na brzegu materaca. Cały czas masował moje plecy.

Kiedy w końcu zdołałam się poruszyć, kiedy nudności minęły... Obróciłam się do niego. I na widok jego twarzy... Objęłam go w pasie, ściskając go mocno, a on złożył cichy pocałunek na moich włosach. I przypominałam sobie raz za razem, że udało nam się wydostać. Że przeżyliśmy. Nigdy więcej... nigdy więcej nie pozwolę komukolwiek na skrzywdzenie go w ten sposób. Na skrzywdzenie moich sióstr.

Nigdy więcej.

## Rozdział 22

Gdy rankiem się ubieraliśmy, a także później podczas obfitego śniadania, czułam na sobie wzrok Rhysa. Ale nie naciskał mnie, nie dopytywał, co sprawiło, że wrzeszczałam wniebogłosy.

Już dawno te koszmary nie wyrywały nas ze snu. Nie zacierały granic.

Dopiero gdy staliśmy w holu, czekając na Kasjana przed przeskoczeniem do Więzienia, oparty o balustradę schodów Rhys zapytał:

– Potrzebujesz o tym porozmawiać?

Moje ilyryjskie skóry zatrzeszczały, gdy obróciłam się do niego.

– Ze mną... albo z kimkolwiek innym – doprecyzował.

Skubiąc koniec warkocza, odpowiedziałam mu szczerze:

– Przy wszystkim, co na nas teraz spada, gdy wszystko ryzykujemy... – Puściłam warkocz. – Nie wiem. Chyba rozdarło coś... jakąś część mojej duszy, która dopiero powoli się goiła.

Goiła dzięki staraniom nas obojga.

Pokiwał głową bez cienia strachu czy wyrzutu w oczach.

Więc mu opowiedziałam. Wszystko. Jąkałam się przy fragmentach, od których wciąż robiło mi się niedobrze. A on tylko słuchał.

Gdy skończyłam, byłam cała roztrzęsiona, ale... Wyrzucenie tego z siebie, powiedzenie mu tego wszystkiego...

Dziki uścisk moich koszmarów zelżał. Wyparował jak rosa w promieniach słońca. Zrobiłam długi wydech, tak jakbym wydmuchiwała z siebie lęki, i rozluźniłam mięśnie.

Rhys w milczeniu odepchnął się od balustrady i pocałował mnie. Raz. Drugi.

Uderzenie serca później Kasjan wszedł przez frontowe drzwi i jęknął, że jest za wcześnie, żeby znieść widok nas całujących się. Mój towarzysz warknął na niego krótko, po czym ujął dłonie nas

obojga i przeskoczył nas do Więzienia.

Ścisnął moje palce mocniej niż zwykle, gdy wichur wył wokół nas. Kasjan mądrze zachowywał milczenie. Gdy wyłoniliśmy się z tego czarnego huraganu, tuż przed tym, gdy powitały nas szare światło i wycie morskiego wiatru, Rhys nachylił się do mnie i pocałował mnie po raz trzeci, słodko i miękko.

Najwyraźniej Więzienie było zimne i mgliste niezależnie od pory roku. Staliśmy u stóp porosłej mchem skalistej góry, pod którą się znajdowało. Spojrzeliśmy na zbocze spod zmarszczonych brwi.

Czułam, jak chłód przenika mnie aż po szpik kości, pomimo ilyryjskich skór, które miałam na sobie. Roztarłam ramiona i spojrzałam pytająco z uniesionymi brwiami na Rhysa, który stał w swoim zwyczajowym ubraniu, tak niepasującym do tej wilgotnej i wietrznej plamy zieleni pośrodku szarego morza.

Wiatr targał jego czarnymi włosami, gdy przyglądał się mnie i Kasjanowi, który mierzył górę wzrokiem, tak jakby oceniał przeciwnika przed walką. Na muskularnych plecach generała tkwiły skrzyżowane ilyryjskie miecze.

– Gdy będziecie w środku – powiedział Rhys, ledwie dając radę przekrzyczeć wycie wiatru i szum srebrzystych strumieni spływających zboczem góry – nie będziecie mogli się ze mną porozumieć.

– Dlaczego?

Roztarłam już kostniejące z zimna dłonie, po czym chuchnęłam w nie kilka razy.

– Zaklęcia ochronne o wiele starsze od Prythianu – powiedział zdawkowo Rhys i wskazał brodą Kasjana. – Nie spuszczaście się z oczu.

Śmiertelna powaga w głosie Rhysa powstrzymała mnie od odpowiedzi ciętą ripostą.

Mój towarzysz patrzył na mnie twardo, niewzruszenie. Podczas naszej wizyty tutaj on miał omówić z Azrielem to, ku której stronie wedle ustaleń pieśniarza cieni skłania się w tej wojnie Dwór Jesieni. A potem mieli wspólnie dostosować do tego strategię na spotkanie z władcami pozostałych dworów. Ale mimo to czułam, że ma ochotę

prosić o możliwość towarzyszenia nam. Opiekowania się nami.

– Krzyknij przez naszą więź, kiedy wyjdziecie z powrotem – powiedział Rhys z łagodnością, która nie dotarła do jego oczu.

Kasjan obejrzał się przez ramię.

– Wracaj do Velaris, kokoszeko. Poradzimy sobie.

Rhys posłał mu kolejne niespotykane twarde spojrzenie.

– Pamiętaj, Kasjanie, kogo tu zamknąłeś.

Generał tylko złożył ciaśniej skrzydła, tak jakby szykował wszystkie mięśnie do walki. Opanowany i twardy jak góra, na którą mieliśmy właśnie wejść.

Rhys mrugnął do mnie, po czym zniknął.

Kasjan sprawdził sprzączki mocujące mu miecze na plecach i skinął na mnie, abyśmy rozpoczęli długą wspinaczkę. Zrobiło mi się nieswojo na myśl o wędrowce przez wyjąca pustkę tego miejsca.

– Kogo tu zamknąłeś?

Mech porastający podłoże amortyzował moje kroki. Kasjan przyłożył poblížniony palec do ust.

– Tę rozmowę lepiej zostawić na inną okazję.

No tak. Zrównałam się z nim. Od wspinaczki po stromiźnie już czułam palący ból w mięśniach ud. Mgła chłodziła twarz. Kasjan oszczędzał siły i nie marnował ani krzty na osłonięcie nas przed żywiołami.

– Naprawdę sądzisz, że wypuszczenie Rzeźbiącego przechyli szalę w walce z Hybernią na naszą stronę?

– Przecież to ty jesteś generałem – wydyszałam. – Ty mi powiedz.

Zastanowił się. Wiatr chłostał mu twarz jego własnymi włosami.

– Nawet jeśli obiecasz znaleźć sposób na wysłanie go do jego rodzimego świata dzięki mocy Księgi albo dasz mu jakąkolwiek przeklętą rzecz, której pragnie – zastanawiał się na głos Kasjan – sądzę, że powinnaś znaleźć sposób na zapanowanie nad nim w tym świecie, bo w przeciwnym razie będziemy walczyć z wrogami na wszystkich frontach. A ja dobrze wiem, który skopie nam tyłki.

– Rzeźbiący w Kościach jest aż tak straszny?

– Pytasz mnie o to tuż przed spotkaniem z nim?

– Zakładałam, że Rhys nie pozwoliłby nam na tę wyprawę, gdyby

była aż tak ryzykowna – wysyczałam.

– Rhys jest znany z układania planów, od których serce zamiera mi w piersi – mruknął Kasjan. – Zatem nie liczyłbym na niego w kwestii rozsądku.

Skrzywiłam się na niego, a on w odpowiedzi błysnął wyszczerzonymi drapieżnie zębami.

Kasjan rozejrzał się po ciężkim szarym niebie, tak jakby szukał czyichś wścibskich oczu. Potem zlustrował mech, trawę i kamienie pod naszymi butami w poszukiwaniu nasłuchujących uszu.

– Kiedyś tu było życie – powiedział, w końcu odpowiadając na moje pytanie. – Zanim książęta utworzyli dwory na Prythianie. Nazywamy je starymi bogami. Władali kniejami, rzekami i górami. Niektórzy z nich wręcz byli tym wszystkim. Potem magia przechyliła się na stronę fae wysokiego rodu, którzy przynieśli ze sobą Kocioł i Matkę, i chociaż garstka wciąż oddaje cześć starym bogom, większość już o nich zapomniała.

Uczepiłam się dużego szarego głazu i wciągnęłam się nań.

– Rzeźbiący w Kościach był starym bogiem?

Przezeszał palcami włosy. Syfon na jego dłoni zalśnił w bladym świetle.

– Tak mówi legenda. Wspomina też, że jednym oddechem potrafił powalić setki żołnierzy.

Przeszył mnie zimny dreszcz zupełnie niezwiązany z lodowatym wiatrem.

– Przydatna zdolność na polu bitwy.

Złocista skóra Kasjana pobladła, gdy rozważał to w myślach.

– Ale wymagająca odpowiednich zabezpieczeń. Musiałby przysiąc na swoje życie być nam posłusznym.

Na to musiałam znaleźć jakiś sposób.

– Jak trafił tutaj... do Więzienia?

– Nie wiem. Nikt tego nie wie. – Kasjan chwycił mnie mocno za rękę i pomógł wejść na duży głaz. – Ale jak zamierzasz go uwolnić?

Skrzywiłam się.

– Podejrzewam, że nasza przyjaciółka by wiedziała, skoro ona się wydostała.

Ostrożnie... musieliśmy zachować tu ostrożność z imieniem Amreny.

Twarz Kasjana spoważniała.

– Nie mówi o tym, jak to zrobiła, Feyro. Na twoim miejscu uważałbym, jak usiłujesz wydobyć z niej tę informację.

Ponieważ dotąd nie zdradziliśmy Amrenie, dokąd się dziś udajemy. I w jakim celu.

Zamierzałam jeszcze powiedzieć coś więcej, ale wtedy przed nami, wysoko na zboczu góry, potężne kościane wrota stanęły otworem.

\*\*\*

Zapomniałam o tym – o duchocie wewnątrz Więzienia. Wędrówka przez nie przypominała przedzieranie się przez niewietrzone od wieków wnętrze grobowca. Przypominała oddychanie powietrzem z rozwartej szczęki czaszki.

Oboje szliśmy z mieczami w dłoni. Czarodziejskie światło podskakiwało przed nami, ukazując nam drogę, co jakiś czas tańcząc i przesuając się po lśniącym metalu. Dotyk rąk... Kasjan ścisnął moje palce równie kurczowo co ja jego. Zagłębialiśmy się coraz bardziej w wieczną czerń Więzienia. Nasze buty chrzęściły na suchym podłożu. Nie było żadnych drzwi – a przynajmniej żadnych nie widzieliśmy.

Ale czułam ich przez litą czarną skałę. Przysięgłabym, że w korytarzu rozlegał się stłumiony odgłos drapania. Z drugiej strony ściany.

Tak jakby ktoś przesuwał paznokciami po kamieniu. To musiało być coś wielkiego... i starego. A także cichego jak wiatr sunący po polu pszenicy.

Kasjan zachowywał całkowite milczenie, obserwując coś... licząc coś.

– To może być... bardzo zły pomysł – przyznałam, ścisnąjąc mocniej jego dłoń.

– Och, to zdecydowanie jest bardzo zły pomysł – odparł z wątlym uśmiechem. Schodziliśmy coraz niżej w ciężką czerń i dudniącą ciszę.

– Ale to jest wojna. Nie stać nas na realizowanie wyłącznie



dobrych pomysłów. Możemy tylko wybierać między złymi a gorszymi.

\*\*\*

Gdy tylko przyłożyłam dłoń do drzwi celi Rzeźbiącego w Kościach, te stanęły otworem.

– To wynagradza niedolę bycia towarzyszką Rhysa – zażartował Kasjan, podczas gdy biała kość odsuwała się w ciemność.

Ze środka dobiegł cichy chichot.

Na ten dźwięk rozbawienie zniknęło z twarzy Kasjana. Weszliśmy do środka, nadal ściskając swoje dłonie.

Kula czarodziejskiego światła poleciała w podskokach naprzód, oświetlając wykute w skale pomieszczenie.

Kasjan warknął na to, co wydobyło z mroku. Kogo wydobyła.

Na pewno był to ktoś inny niż ten sam młody chłopiec, który się właśnie do mnie uśmiechał.

Ciemnowłosa, z przenikliwie fioletowymi oczami.

Wpatrywałam się w twarz dziecka – i docierało do mnie to, czego nie zauważyłam za pierwszym razem.

Czego wtedy nie rozumiałam.

To była twarz Rhysanda. Kolor skóry, oczy... to była twarz mojego towarzysza.

Ale pełne szerokie wargi Rzeźbiącego wykrzywiałe się w tym odrażającym uśmiechu... to były moje usta. Usta mojego ojca.

Gęsia skórka pokryła mi całe ręce. Stwór skłonił głowę w powitaniu – powitaniu i potwierdzeniu, tak jakby doskonale wiedział, z czego właśnie zdałam sobie sprawę. Kogo widziałam wtedy i kogo rozpoznałam teraz.

Syna księcia Dworu Nocy. Mojego syna. *Naszego*. Jeśli przeżyjemy na tyle długo, by go począć.

Jeśli nie zawiodę i zdołam pozyskać Rzeźbiącego dla naszej sprawy. Jeśli uda się nam zjednoczyć wszystkie dwory, w tym Dwór Koszmarów. I utrzymać mur w całości.

Z trudem powstrzymałam kolana od dygotania. Twarz Kasjana była tak blada, że cokolwiek widział... z pewnością nie był to

piękny mały chłopiec.

– Zastanawiałem się, kiedy wrócisz – powiedział Rzeźbiący słodkim chłopięcym głosem, a zarazem innym, przerażającym; głosem pradawnej istoty czającej się pod tą ułudą. – Księżno – zwrócił się do mnie. – Racz przyjąć moje gratulacje z okazji twojego ślubu. – Zerknął na Kasjana. – Wyczuwam na tobie wiatr. – Kolejny wątlły uśmiech. – Czy przynieśliście mi prezent?

Sięgnęłam do kieszeni kurty i wyjęłam z niej niewielki odłamek kości, nie większy od mojej dłoni. Cisnęłam go pod nogi Rzeźbiącego.

– To wszystko, co pozostało po attorze, którego rozsmarowałam po ulicach Velaris.

Niebieskie oczy rozświectliły się nieludzkim zachwytem. Nawet nie wiedziałam, że zachowaliśmy ten fragment kości. Był przechowywany aż do teraz – właśnie w tym celu.

– Moja nowa księżna taka żądna krwi – zamruczał stwór, podnosząc splekaną kość, obracając ją w tych drobnych delikatnych dłoniach. Po chwili dodał: – Wyczuwam na tobie woń mojej siostry, Wyzwolicielko.

Zaschło mi w ustach. Jego siostry...

– Czy coś jej wykradłaś? Czy wplotła nić twojego życia w swoją tkaninę?

Tkaczka z lasu. Serce zaczęło mi walić jak młotem. Żadne oddechy nie chciały go uspokoić. Kasjan ścisnął mocniej moją dłoń.

– Jeśli zdradzę ci tajemnicę, waleczne serce – zamruczał Rzeźbiący do Kasjana – co mi dasz?

Żadne z nas się nie odezwało. Ostrożnie... musieliśmy się wysławiać i postępować bardzo ostrożnie.

Rzeźbiący pogładził trzymany odłamek kości, całą uwagę poświęcając stojącemu z kamienną twarzą Kasjanowi.

– A gdybym powiedział ci, Panie Rozlewu Krwi, co kamień, ciemność i morze poza nimi mi wyszeptwały? Jak drżeli ze strachu; na tej wyspie za morzem. Jak się trzęśli, kiedy *ona* się pojawiła. Zabrała coś... coś cennego. Wyrwała im to własnymi zębami.

Zazwyczaj złocista twarz Kasjana była teraz blada jak papier.

Ilyryjski generał złożył ciaśniej skrzydła.

– Co wybudziłeś tamtego dnia na Hybernii, Książę Bękartów?

Krew zastygła mi w żyłach.

– To, co wyszło, nie było tym, co weszło. – Stwór zaśmiał się chrapliwie i odłożył odłamek kości na ziemię obok siebie. – Jakże jest urocza... świeża niczym sarenka, a jednocześnie prastara jak morze. A teraz cię wzywa. Królowa, jak niegdyś moja siostra. Straszliwa i dumna; piękna jak zimowy wschód słońca.

Rhys ostrzegał mnie o skłonności więźniów do kłamstw; do opowiadania bredni, jeśli tylko w jakiś sposób mogły kupić im wolność.

– Nesta – wymruczał Rzeźbiący w Kościach. – *Nes-ta*.

Ścisnęłam dłoń Kasjana. Dość. Dość już tych kpin i drwin. Ale on na mnie nie patrzył.

– Jak wiatr wyjękuje jej imię. Też to słyszysz? Nesta. Nesta. *Nesta*. Nie byłam pewna, czy Kasjan oddycha.

– Cóż zrobiła, gdy tonęła w beczasowej ciemności? Co stamtąd *zabrała*?

Akcent położony na to ostatnie słowo zerwał ostatni postronek mojej cierpliwości.

– Jeśli chcesz się dowiedzieć, to może przestań mówić choć na chwilę, żebyśmy mogli ci to wyjaśnić.

Zdawało się, że mój głos otrząsnął Kasjana z otępienia. Nabrał gwałtownie powietrza i spojrzał na moją twarz ze skruchą.

Rzeźbiący zachichotał.

– Tak rzadko mam towarzystwo. Wybacz, że chcę mówić dla samego mówienia. – Skrzyżował nogi w kostkach. – Czemu przychodzicie prosić o moje usługi?

– Zdobyliśmy Księżę Tchnień – powiedziałam niby od niechcienia.

– Znajdują się w niej... ciekawe zaklęcia. Szyfr zaklęty w szyfrze zaklętym w szyfrze. Ktoś, kogo znamy, uporał się z większością z nich. Wciąż pracuje nad pozostałymi. Nad zaklęciami, które mogłyby... wysłać kogoś takiego jak ona do domu. I innych jej podobnych również.

Fiołkowe oczy Rzeźbiącego w Kościach załśniły jasnym

płomieniem.

– Zamieniam się w słuch.

## Rozdział 23

Nadchodzi wojna – zwróciłam się do Rzeźbiącego. – Krążą słuchy, że dysponujesz pewnymi... darami, które mogą być przydatne na polu bitwy.

Uśmiech posłany Kasjanowi, tak jakby stwór rozumiał, dlaczego to właśnie on mi towarzyszy.

– Za pewną cenę – powiedział Rzeźbiący.

– W granicach rozsądku – zaznaczył Kasjan.

Stwór rozejrzył się po swojej celi.

– I sądzicie, że chcę... wrócić.

– A nie chcesz?

Rzeźbiący w Kościach podciągnął nogi pod swoje wątle ciało.

– Tam, skąd przybyliśmy... Nie sądzę, żeby teraz było tam cokolwiek więcej ponad kurz sunący nad równiną. Nie mam domu, do którego mógłbym wrócić. Nie taki, którego bym pragnął.

Skoro był tu, jeszcze zanim pojawiła się Amrena... Dziesiątki tysięcy lat... może nawet dłużej. Zwalczyłam nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– Zatem jeśli to w tym świecie chcesz pozostać, może przekonałaby cię poprawa... warunków życiowych.

– Nie chcę opuszczać tej celi, Wyzwolicielko. – Rzeźbiący poklepał ziemię obok siebie. – Sądzisz, że pozwoliłem im mnie uwięzić bez istotnej przyczyny?

Kasjan wydawał się teraz napięty i skoncentrowany. Gotowy nas stąd zabrać.

Stwór narysował na ziemi trzy zachodzące na siebie, wzajemnie połączone kręgi.

– Poznałaś już mą siostrę, bliźniaczkę. Tkaczkę, jak ją teraz nazywacie. Ja ją znałem jako Strzygę. Ona i nasz starszy brat, Kościej. Jakże ukochali ten świat, gdyśmy na niego spadli. Jakże ci pradawni fae lękali się ich i wielbili. Gdybym miał więcej odwagi,

mógłbym zaczekać, aż ich moc osłabnie, aż ten dawny wojownik fae podstępem zmusi Strzygę do wyzbycia się części swej mocy i przywiązania się do środkowej części wyspy. Tak samo Kościej... uwięziony w swoim małym jeziorze na kontynencie. Wszystko to miało miejsce przed założeniem Prythianu, przed podziałem ziem i koronacją pierwszych książąt.

Zachowywaliśmy z Kasjanem milczenie, nie ważąc się mu przerwać.

– Sprytny był ten fae, ta fae. Jej ród już wygaś... choć jej krew wciąż krąży w żyłach paru ludzi. – Uśmiechnął się, jakby ze smutkiem. – Nikt nie pamięta jej imienia. Poza mną. Byłaby moim zbawieniem, gdybym nie podjął decyzji na długo, zanim zstąpiła na tę ziemię.

Czekałam, czekałam i czekałam, rozkładając jego opowieść na kawałki, tak jak się wyskubuje kawałki chleba z bochna.

– Gdy przyszło co do czego, nie mogła ich zabić... byli zbyt silni. Nie można ich było utrzymać. – Rzeźbiący starł dłonią narysowane kręgi, całkowicie je niszcząc. – Wiedziałem to na długo, zanim ich uwięziła... Zdecydowałem się znaleźć drogę tu, do tego miejsca.

– Aby uchronić świat przed sobą? – zapytał ze zmarszczonym czołem Kasjan.

Oczy stwora zapłonęły niczym najgorętszy płomień.

– Aby się ukryć przed moim rodzeństwem.

Zamrugalam.

– Dlaczego?

– To bóstwa śmierci, dziewczyno – wyszczał Rzeźbiący. – Jesteś nieśmiertelna... a przynajmniej żyjesz już na tyle długo, by się taką zdawać. Lecz moje rodzeństwo i ja... jesteśmy inni. A ich dwójka... jest silniejsza. O wiele silniejsza, niż ja kiedykolwiek byłem. Moja siostra... znalazła sposób na *pożeranie* życia. Na zachowanie młodości i urody dzięki odbieranym żywotom.

Tkanie... nici w tej chatce, dach zrobiony z włosów... Odnotowałam w myślach, by wrzucić Rhysa do Sidry za wysłanie mnie tam.

Ale sam Rzeźbiący...

– Jeśli oni są bóstwami śmierci – powiedziałam – to czym ty jesteś?

Śmierć. Pytał mnie, raz po raz, o śmierć. O to, co kryje się po drugiej stronie, jakie to było uczucie. Gdzie trafiłam. Sądziłam, że wynika to z czystej ciekawości, ale...

Rozbawienie wykrzywiło chłopięcą twarz. Twarz mojego syna. Wizja przyszłości, która już raz została mi ukazana te miesiące temu, jako swego rodzaju drwina lub ucieleśnienie tego, czego sama przed sobą nie odważyłam się jeszcze przyznać. Czego byłam najbardziej niepewna. A teraz... teraz ten chłopiec... Kolejna drwina – z przyszłości, którą mogłam utracić.

– Jestem zapomniany, ot co. I takim wolę pozostać. – Rzeźbiący oparł głowę o skałę za sobą. – Wiedz zatem, że nie chcę stąd odchodzić. Nie mam ochoty przypominać mojej siostrze i bratu, że żyję i wciąż jestem na tym świecie. Mimo że uwięzieni i osłabieni, możliwości wciąż mają... znaczne.

– Jeśli Hybernia wygra tę wojnę – powiedział chrapliwym głosem Kasjan – może się okazać, że wrota tego miejsca zostaną szeroko otwarte. A twoja siostra i twój brat zostaną uwolnieni... i mogą zechcieć złożyć ci wizytę.

– Nawet król Hybernii nie jest taki głupi. – Fuknął z zadowoleniem. – Jestem pewien, że znajdziecie tu innych więźniów, dla których wasza oferta będzie... kusząca.

Krew zadudniła mi w uszach.

– Nawet nie rozważysz wspomnienia nas. – Machnęłam ręką, wskazując ściany celi. – Czy to właśnie wolisz... na wieczność?

– Gdybyś знаła moje rodzeństwo, Wyzwolicielko, uznałabyś to za zdecydowanie mądrzejsze i przyjemniejsze wyjście.

Otworzyłam usta, aby odparować, ale Kasjan ostrzegawczo ścisnął moją dłoń. Dość. Powiedzieliśmy dość, wystarczająco wiele już zdradziliśmy. Okazywanie takiej desperacji... Nie pomogłoby nam.

– Powinniśmy iść – zwrócił się do mnie z niezmaconym spokojem Kasjan. – Czekają nas rozkosze Wykutego Miasta.

Istotnie gdybyśmy nie ruszyli teraz, spóźnilibyśmy się. Rzuciłam

Rzeźbiącemu spojrzenie na pożegnanie i pozwoliłam Kasjanowi poprowadzić mnie ku otwartym drzwiom celi.

– Udajcie się do Wykutego Miasta – odezwał się stwór, bardziej stwierdzając, niż pytając.

– Nie sądzę, żeby to było twoją sprawą – rzuciłam przez ramię.

Nagle milczenie Rzeźbiącego odbiło się echem wokół nas. Sprawilo, że przystanęliśmy na progu.

– Ostatnia próba – rozważał na głos stwór, błędząc po nas wzrokiem – pozyskania pomocy całego Dworu Nocy, jak mniemam.

– Jak mówiłam, to nie jest twoja sprawa – odparłam chłodno.

Rzeźbiący się uśmiechnął.

– Będziecie dobijać z nim targu. – Zerknął na tatuaż pokrywający moją prawą dłoń. – Ciekawe, jakiej zapłaty zażąda Keir. – Zaśmiał się pod nosem. – Ciekawe.

Kasjan westchnął ciężko.

– Wyrzuć to z siebie.

Rzeźbiący w Kościach ponownie zamilkł i bawił się leżącym na ziemi odłamkiem kości attora.

– Prądy Kotła wirują na dziwne sposoby – mruknął pod nosem bardziej do siebie niż do nas.

– Idziemy – powiedziałam i ponownie odwróciłam się do wyjścia, ciągnąc za sobą Kasjana.

– Moja siostra miała w swoim czarnym zamku kolekcję luster – powiedział stwór.

Stanęliśmy.

– Dzień i noc podziwiała swoje odbicie, chełpiąc się swoją młodością i urodą. Wśród nich było lustro szczególne – nazywała je Uroborosem. Było stare już wtedy, kiedy my byliśmy jeszcze młodzi. Okno na świat. W jego ciemnej powierzchni można było dostrzec wszystko, przekazać wszystko. Teraz jest w posiadaniu Keira... to jego pamiątka rodowa. Przynieś mi je. To jest moja cena. Przynieś mi Uroborosa, a oddam się wam we władanie. Jeśli zdołacie znaleźć sposób na uwolnienie mnie.

Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

Wymieniłam spojrzenia z Kasjanem, po czym oboje wzruszyliśmy



ramionami.

– Zobaczymy – powiedziałam i wyszłam z celi.

\*\*\*

Usiedliśmy z Kasjanem na głazie nad srebrzystym strumieniem i wdychaliśmy mroźne, mgliste powietrze. Więzienie górowało za naszymi plecami; potworny ciężar przesłaniający horyzont.

– Mówiłeś, że Rzeźbiący jest starym bogiem – powiedziałam cicho.

– Czy wiedziałeś, że był bogiem śmierci?

Na twarzy Kasjana malowało się napięcie.

– Domyślałem się tego.

Uniosłam pytająco brew.

– Rzeźbi w kościach cudzą śmierć. Przygląda się jej. Rozkoszuje nią. Nie było trudno się domyślić.

Zastanowiłam się nad jego słowami.

– Kto wpadł na pomysł, żebyś tu ze mną przyszedł: ty czy Rhys?

– Chciałem iść z tobą. Ale Rhys... on też to odgadł.

Z powodu tego, co dostrzegliśmy w oczach Nesty...

– Podobieństwo przyciąga podobieństwo.

Kasjan pokiwał sztywno głową.

– Nie sądzę, żeby nawet Rzeźbiący wiedział, czym jest Nesta. Ale chciałem się upewnić... na wszelki wypadek.

– Dlaczego?

– Chcę pomóc.

To wystarczyło za odpowiedź.

Oboje zamilkliśmy. Przepływający strumień szemrał po kamieniach.

– Czy bałbyś się jej, gdyby Nesta była... śmiercią? Lub gdyby jej moc od niej pochodziła?

Kasjan milczał dłuższą chwilę.

– Jestem wojownikiem – powiedział w końcu. – Całe życie krocę ramię w ramię ze śmiercią. Bardziej bym się bał o nią, że musi władać taką mocą. Ale nie bałbym się jej. – Zastanowił się i dodał po chwili: – Nic w Neście by mnie nie przestraszyło.

Co za ulga. Ścisnęłam jego dłoń.

– Dziękuję.

Nie byłam pewna, dlaczego to właściwie powiedziałam. Kasjan kiwnął głową.

Poczułam go, zanim się pojawił; iskrę gwiazdzistej radości przenikającą przeze mnie w chwili, gdy Rhys materializował się przed nami.

– No i?

Kasjan zeskoczył z głazu i podał mi dłoń, by pomóc mi zejść.

– Nie spodoba ci się jego cena.

Rhys wyciągnął do nas ręce, by przeskoczyć razem z nami z powrotem do Velaris.

– Jeśli chce fikuśną zastawę obiadową, to ją dostanie.

Ani Kasjan, ani ja nie zdołaliśmy wykrzesać z siebie śmiechu. Chwyciliśmy wyciągnięte dłonie Rhysa.

– Lepiej, żebyś się dzisiaj dobrze targował – wymamrotał mojemu towarzyszowi Kasjan na chwilę przed tym, gdy wszyscy zniknęliśmy w cieniu.

## Rozdział 24

**G**dy wróciliśmy do miejskiego domu Rhysa, w sam środek popołudniowego letniego żaru, Kasjan i Azriel ciągnęli losy, by ustalić, kto zostaje w Velaris.

Obaj chcieli nam towarzyszyć na Dworze Koszmarów, ale ktoś musiał strzec miasta – w ramach od dawna przestrzegane go protokołu. Ponadto ktoś musiał pilnować Elainy, chociaż pod żadnym pozorem nie miałam zamiaru tego zdradzać Lucienowi. Kasjan, do wtóru przekleństw i narzekań, wyciągnął krótszy patyk. Azriel jedynie poklepał go po ramieniu i ruszył do Domu Wiatru poczynić przygotowania.

Po kilku minutach podążyłam za nim, pozostawiając Kasjanowi przekazanie Rhysowi reszty tego, co powiedział Rzeźbiący w Kościach. I wyjawienie księciu, czego stwór zażądał.

W Domu Wiatru były dwie osoby, z którymi chciałam się zobaczyć przed podróżą. Powinnam była wcześniej zajrzeć do Elainy, powinnam była pamiętać, że jej niedoszły ślub miał się odbyć za kilka dni, ale... Przeklinałam się w myślach, że o tym zapomniałam. A co do Luciena... Pomyślałam sobie, że nie zaszkodzi dowiedzieć się, gdzie przebywa. I jak poszła jego wczorajsza rozmowa z Azrielem. Upewnić się, że pamiętał o zasadach, które ustaliliśmy.

Kwadrans później starałam się nie krzywić, przemierzając korytarze Domu Wiatru, wdzięczna Azrielowi za to, że ruszył przodem. Przeskoczyłam na niebo nad najwyższym położonym tarasem i ponieważ uznałam, że to dobry moment na poćwiczenie latania, przywołałam swoje skrzydła.

I runęłam na kamienną posadzkę znajdującą się dwadzieścia stóp niżej.

Srowadzony w ostatniej chwili wiatr pozwolił mi uniknąć połamania kości, ale w wyniku bezwładnego runięcia w dół z takiej wysokości poważnie poobijałam sobie oba kolana i dumę.

Przynajmniej nikt tego nie widział.

Szczęśliwie do czasu, gdy odnalazłam Elaine w rodzinnej bibliotece, sztywny i lekko kulejący chód przeszedł w umiarkowanie swobodny krok.

Wciąż wpatrywała się w świat za oknem, ale przynajmniej opuściła swój pokój.

Nesta siedziała w tym samym fotelu co zwykle, jednym okiem obserwując siostrę, drugim czytając książkę rozłożoną na kolanach. Tylko ona spojrzała na mnie, gdy wślizgnęłam się do środka przez rzeźbione drewniane drzwi.

– Dzień dobry – mruknęłam i zamknęłam je za sobą.

Elaina nie odwróciła się. Miała na sobie bladoróżową suknię, która niezbyt dobrze się prezentowała przy ziemistej skórze i brązowo-złoty włosach opadających w luźnych ciężkich lokach na szczupłe plecy.

– Ładny mamy dzień – powiedziałam.

Nesta uniosła pytająco elegancką brew.

– Gdzie twoja menażeria przyjaciół?

Posłałam jej chłodne i ostre spojrzenie.

– Moi przyjaciele zapewnili ci dach nad głową i wszelkie wygody.

I szkolenie – lub cokolwiek, co robiła Amrena.

– Jesteś gotowa na wieczór?

– Tak.

Nesta zwyczajnie wróciła do lektury. Ostentacyjne lekceważenie.

Wydałam z siebie ciche parsknięcie, które – wiedziałam dobrze – przyprawi ją o czerwoną gorączkę, i podeszłam do Elainy. Nesta obserwowała każdy mój krok niczym pantera szykująca się do skoku przy najmniejszej oznace zagrożenia.

– Czemu się tak przyglądasz? – zapytałam łagodnym swobodnym głosem.

Twarz miała bladą, usta wręcz papierowe. Poruszyła nimi, z ledwością.

– Mój wzrok sięga teraz tak daleko. Aż do samego morza.

Istotnie morze za ujściem Sidry było ledwie odległym błyskiem.

– Potrzeba trochę czasu, by do tego przywyknąć.

– Słyszę bicie twojego serca... jeśli dobrze się wsłucham. Słyszę też jej bicie serca.

– Możesz się nauczyć wyciszyć dźwięki, które ci przeszkadzają.

Ja tak zrobiłam, całkiem sama. Zastanawiałam się, czy Nesta również zdołała to zrobić, czy też obie cierpiały, dzień i noc słysząc bicie swoich serc. Nie spojrzałam na moją najstarszą siostrę, by poszukać potwierdzenia.

Elaina w końcu zwróciła na mnie swój wzrok. Pierwszy raz od wydarzeń na Hybernii.

Nawet mimo szkód wyrządzonych cierpieniem i rozpaczą uroda Elainy zapierała dech w piersiach. Miała twarz zdolną rzucić królów na kolana. Lecz nie było w niej ani krzty radości. Światła. Życia.

– Słyszę szum morza – powiedziała. – Nawet w nocy. Nawet w snach. Huk fal rozbijających się o skały... i krzyk ptaka całego z ognia.

Ogromnym wysiłkiem powstrzymałam się od zerknięcia na Nestę. Nawet dom Rhysa w Velaris był zbyt daleko od wybrzeża, by dosłyszeć szum morskich fal. A do tego ten ognisty ptak...

– Przy moim drugim domu jest ogród – powiedziałam. – Chciałabym, byś może się nim zajęła, jeśli tylko chcesz.

Elaina obróciła twarz na powrót do okien rozświetlonych słońcem, którego promienie tańczyły jej we włosach.

– Czy usłyszę dżdżownice drążące swoje tunele w glebie? Albo rosnące korzenie? Czy ognisty ptak przysiadzie na gałęzi, by mi się przyglądać?

Nie byłam pewna, czy powinnam odpowiadać. Ledwie powstrzymałam się od dygotu.

Wtedy napotkałam spojrzenie Nesty i dostrzegłam na jej twarzy cień bólu, zanim na powrót ukryła go pod swoją chłodną maską.

– Nesto, chciałabym, byś pomogła mi znaleźć pewną księgę – powiedziałam, spoglądając znacząco na regały na lewo ode mnie.

Wystarczająco daleko, byśmy mogły porozmawiać na osobności, ale jednocześnie dość blisko, by móc pomóc Elainie, gdyby czegoś od nas potrzebowała. Gdyby chciała coś zrobić.

Coś pękło w mojej piersi, gdy wzrok Nesty również powędrował

w stronę okien przed Elainą.

Żeby sprawdzić – tak jak i ja się upewniłam – czy aby nie można ich łatwo otworzyć.

Szczęśliwie były trwale zamknięte, zapewne po to, by jakiś głupiec nie pozostawił ich otwartych, co mogłoby się bardzo źle skończyć dla książek.

Zapewne zabezpieczenie przed Kasjanem.

Nesta bez słowa odłożyła czytana książkę i ruszyła za mną w niewielki labirynt stosów woluminów. Obie nasłuchiwałyśmy odgłosów z pozostawianej za plecami głównej czytelnicy.

Gdy oddaliłyśmy się już wystarczająco, otoczyłam nas barierą zastygłego wiatru, by żadne dźwięki nie wydostały się na zewnątrz.

– Jak ją nakłoniłeś do opuszczenia pokoju?

– Nie zrobiłam tego – odparła Nesta, opierając się o regał i krzyżując szczupłe ramiona. – Znalazłam ją tu. Kiedy się obudziłam, nie było jej w łóżku.

Nesta musiała wpaść w panikę, gdy zastała sypialnię siostry pustą...

– Czy cokolwiek zjadła?

– Nie. Zdołałam ją wczoraj nakłonić do wypicia odrobiny bulionu. Odmówiła wzięcia do ust czegokolwiek innego. Cały dzień mówi tymi zagadkami.

Przeczesałam dłonią włosy, uwalniając kilka pasm z warkocza.

– Czy cokolwiek się stało, że...

– Nie wiem. Zaglądam do niej co kilka godzin. – Zaciśnęła zęby. – Wczoraj jednak nie było mnie trochę dłużej.

Kiedy ćwiczyła z Amreną. Rhys powiedział mi, że na koniec treningu podstawowe tarcze Nesty były na tyle solidne, że Amrena uznała moją siostrę za gotową na dzisiejszy wieczór.

Ale teraz, pod tą chłodną fasadą, wyczułam... poczucie winy. Panikę.

– Wątpię, żeby cokolwiek się stało – powiedziałam szybko. – Może to tylko... część procesu dochodzenia do siebie. Jej sposób dostosowywania się do bycia fae.

Nesta nie wyglądała na przekonaną.

– Czy ma jakieś moce? Jak moje?

„A jakie dokładnie są twoje moce, Nesta?”

– Nie... nie wiem. Nie sądzę. Chyba że właśnie mamy do czynienia z pierwszymi oznakami czegoś nowego.

Ugryzłam się w język, by nie dodać: „Gdybyś chciała mówić o tym, co się stało w Kotle, może lepiej byśmy mogli to zrozumieć”.

– Dajmy jej dzień lub dwa – dodałam. – Zobaczmy, co się będzie działo. Czy się jej poprawi.

– Dlaczego nie teraz?

– Ponieważ za kilka godzin udajemy się do Wykutego Miasta. A ty zapewne nie pozwolisz nam, byśmy wtrącali się w twoje sprawy – powiedziałam tak spokojnie, jak tylko zdołałam. – I wątpię, by Elaina była skłonna na to przystać.

Nesta posłała mi harde spojrzenie, bez cienia emocji na twarzy, po czym krótko skinęła głową.

– Cóż, przynajmniej opuściła swój pokój.

– I krzesło.

Wymieniłyśmy rzadkie spokojne spojrzenia.

– Dlaczego nie ćwiczysz z Kasjanem? – zapytałam.

Nesta zeszywniała.

– Dlaczego mogę ćwiczyć tylko z Kasjanem? Dlaczego nie z tym drugim?

– Azrielem?

– Tak, z nim. Albo z tą blondynką, której się buzia nie zamyka.

– Jeśli masz na myśli Mor...

– I dlaczego muszę w ogóle ćwiczyć? Nie jestem wojowniczką i nie mam ochoty nią zostać.

– W ten sposób możesz nabrać siły...

– Jest wiele rodzajów siły, nie tylko ta umożliwiająca machanie mieczem i odbieranie życia. Amrena powiedziała mi to wczoraj.

– Mówiłaś, że chcesz doprowadzić do śmierci naszych wrogów. Dlaczego nie zabić ich samodzielnie?

Przyjrzała się swoim paznokciom.

– Po co się trudzić, kiedy ktoś inny może to zrobić za mnie?

Zwalczyłam ochotę roztarcia skroni.

– My tylko...

Wtem ktoś otworzył drzwi biblioteki i szybko opuściłam barierę z zastygłego powietrza. Usłyszałyśmy odgłosy kroków, które po chwili nagle się urwały.

Chwyciłam ramię Nesty, by ją powstrzymać, gdy obie usłyszałyśmy zdziwiony głos Luciena.

– O... opuściłaś swój pokój.

Nesta zjeżyła się i wyszczerzyła zęby. Wzmocniłam uścisk i postawiłam wokół nas nową ścianę powietrza, tym razem po to, by uniemożliwić jej powrót do czytelni.

Tygodnie izolacji Elainy nie poprawiły jej stanu. Te dziwne rzeczy, które mówiła, były chyba tego dowodem. I nawet jeśli Lucien właśnie łamał ustalone zasady...

Kolejne kroki, bez wątpienia bliżej okna, przy którym stała Elaina.

– Czy... czy mogę ci coś przynieść?

Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby mój przyjaciel zwracał się do kogoś tak łagodnie. Tak niepewnie, z taką troską w głosie.

Może przez to zasługiwałam na miano najpodlejszej łajdaczki, ale zarzuciłam ku nim sieć swoich myśli. Ku niemu.

I po chwili byłam w jego ciele, w jego głowie.

„Wychudzona”.

„Musiała w ogóle nie jeść”.

„Jak daje radę w ogóle ustać?”.

Myśli płynęły przez jego głowę, jedna za drugą. Jego serce tłukło się opętańczo w piersi, a on sam nie ważył się ruszyć z miejsca, ledwie pięć stóp od niej. Nie odwróciła się jeszcze do niego, ale spustoszenia wyrządzone postem były aż nazbyt widoczne.

„Dotknąć jej, powąchać, posmakować...”.

*Instynkty były niczym rwąca rzeka. Zacisnął dłonie w pięści po bokach.*

*Nie spodziewał się jej tu zastać. Podejrzewał, że może spotkać drugą siostrę – „tę żmiję” – ale skłonny był podjąć takie ryzyko. Poza wczorajszą rozmową z pieśniarzem cieni, która była tak irytująca, jak się tego spodziewał – „choć Azriel sprawiał wrażenie raczej*



przyzwoitego faceta” – tkwił skazany na nudę w tym chłostanym wichrem domu już drugi dzień. Myśl o spędzeniu w ten sposób kolejnego wystarczała, by pchnąć go do zaryzykowania gniewu Rhysanda.

Chciał się jedynie przejść – i wziąć kilka książek. Minął już szmat czasu, odkąd miał wolniejszą chwilę, by poczytać, a co dopiero – dla przyjemności.

Ale wtedy spotkał ją. Swoją towarzyszkę.

Pod żadnym względem nie przypominała Jesmindy.

Ona była zawsze roześmiana i psotna, zbyt dzika i swobodna, by wytrzymać życie na wsi, gdzie przyszła na świat. Droczyła się z nim, drwiła z niego – uwiodła go tak skutecznie, że nie pragnął niczego poza nią. Widziała w nim nie siódmego syna księcia, lecz mężczyznę. Kochała go bez zastrzeżeń, bez cienia wątpliwości. Wybrała go.

Elaina została mu... rzucona.

Spojrzał na serwis do herbaty rozstawiony na pobliskim niskim stoliku.

– Zakładam, że jedna z tych filiżanek jest twojej siostry.

Istotnie na fotelu, który zazwyczaj zajmowała żmija, leżała książka. Niech Kocioł ma w opiece tego, który skończy przykuty do niej.

– Czy mogę skorzystać z drugiej?

Starał się mówić swobodnie, beztrąsko. Pomimo serca galopującego tak szybko, że obawiał się z wymiotowania na bardzo kosztowny i bardzo stary dywan. Pochodzący z Sangrawy, jeśli wnosić po wzorach i żywych kolorach.

Wiele rzeczy można było powiedzieć o Rhysandzie, ale nie można mu było odmówić dobrego smaku.

Cały ten dom został urządzony przemyślanie i elegancko, stawiając wygodę ponad przepych.

Nie chciał przyznać, że mu się tu podobało. Nie chciał przyznać, że miasto w dole wydało mu się piękne.

Że krąg fae, którzy twierdzili, że są nową rodziną Feyry... Że byli tym, czym niegdyś – dawno temu – sądził, że będzie dwór Tamlina.

Przeszył go ból, jakby ktoś przebił mu pierś, ale przemógł się i podszedł przez dywan do stolika. Opanował drżenie rąk i nalał sobie filiżankę herbaty, po czym usiadł w fotelu naprzeciw tego, który opuściła Nesta.

– Stoi tu talerz herbatników. Czy chciałabyś jeden?

Nie oczekiwał, że mu odpowie, i dał sobie minutę, po której zamierzał wstać i wyjść – przed powrotem Nesty, jeśli szczęście dopisze.

Ale wtedy dostrzegł błysk słońca na złocie... i Elaina powoli odwróciła się od okna.

Nie widział całej jej twarzy od tamtego dnia na Hybernii.

Wtedy była spięta i przerażona, pozbawiona wyrazu i otepiąta, z włosami oblepiającymi głowę, z ustami sinymi z zimna i szoku.

Gdy ujrzał ją teraz...

Była blada, owszem. Wyraz twarzy wciąż miała nieobecny.

Ale gdy obróciła się całkiem w jego stronę, stracił dech w piersiach.

Była najpiękniejszą kobietą, jaką widział w całym swoim życiu.

Do żył wsączyło mu się przyprawiające o mdłości, lepkie poczucie zdrady. To samo kiedyś mówił Jesmindzie.

Ale w tej samej chwili, gdy ogarniało go uczucie wstydu, słowa, zmysły wołały: „Moja. Jesteś moja, a ja jestem twój. Towarzystwo”.

Jej oczy były brązowe jak sierść sarny. I przysięgłby, że coś w nich zalśniło, gdy spojrzała mu w oczy.

– Kim jesteś?

Wiedział, bez konieczności pytania, że była świadoma tego, czym dla niej był.

– Nazywam się Lucien i jestem siódmym synem księcia Dworu Jesieni.

I kompletnie niczym. Wyznał pieśniarzowi cieni wszystko, co wiedział – o żyjących braciach, o ojcu. W przypadku matki... zachował dla siebie kilka szczegółów, nieistotnych i całkowicie osobistych. Wszystko inne – o najbliższych sojusznikach ojca, najbardziej przebiegłych dworzanach i możliwych... Powiedział mu wszystko. Owszem, informacje były nieaktualne od kilku wieków, ale z wieści gromadzonych w czasie pełnienia służby poselskiej wiedział, że niewiele się zmieniło. Zresztą wszyscy zachowywali się tak samo pod Górą. A po spotkaniu z braćmi przed kilku dniami... Nie miał nawet cienia poczucia winy, gdy dzielił się z Azrielem wszystkim, co wiedział. Ani krzty tego, co czuł, gdy spoglądał na południe – ku obu dworom, które nazywał swoim domem.

Przez dłuższą chwilę twarz Elainy nawet nie drgnęła, ale jej spojrzenie

zdało się nieco bardziej świadome.

– Lucien – powiedziała w końcu, podczas gdy on zaciskał kurczowo palce na uszku filiżanki, by powstrzymać je od drżenia na dźwięk jego imienia padającego z jej ust. – Z opowieści mojej siostry. Jej przyjaciel.

– Tak.

Elaina zamrugnęła powoli.

– Byłeś na Hyberni.

– Tak.

Więcej nie zdołał wykrztusić.

– Zdradziłeś nas.

Zaprzagnął, by go wyrzuciła przez okno za jej plecami.

– To... to był błąd.

Spojrzenie miała szczere i chłodne.

– Miałam wyjść za mąż za kilka dni.

Zwalczył obezwładniającą wściekłość, irracjonalną chęć odszukania mężczyzny, który śmiał się jej oświadczyć, i rozerwania go na strzępy.

– Wiem – powiedział ochryplym głosem. – Przykro mi.

Nie kochała go, nie chciała, nie potrzebowała. Narzeczona innego mężczyzny.

Żona śmiertelnika. A przynajmniej miała nią zostać.

Odwróciła wzrok – ku oknom.

– Słyszysz bicie twojego serca – powiedziała cicho.

Nie był pewien, jak na to odpowiedzieć, więc zachował milczenie i wypił herbatę, choć płyn parzył go w usta.

– Kiedy śpię – wyszeptała – słyszysz bicie twojego serca przez kamień. – Przekrzywiła głowę, tak jakby szukała odpowiedzi w panoramie miasta.

– Czy ty słyszysz bicie mojego?

Nie był pewien, czy istotnie chciała się do niego zwrócić, ale i tak odpowiedział:

– Nie, pani. Nie słyszę.

Wychudzone ramiona zdały się przygarbić.

– Nikt nigdy nie słyszy. Nikt nigdy się nie starał... nie naprawdę. – Splątane słowa, ledwo słyszalny szept. – Poza nim. On mnie widział. Teraz już nie będzie.

Przesunęła kciukiem po żelaznym pierścionku na palcu.

*Pierścionku otrzymanym od innego mężczyzny, kolejny znak, że należała do innego...*

Dość. Usłyszałam dość, dowiedziałam się dość.

Wycofałam się z umysłu Luciena.

Nesta wpatrywała się we mnie z szeroko otwartymi oczami, z twarzą pobladłą z powodu słów, jakie między nimi padły.

– Czy kiedykolwiek byłaś w *mojej*...

– Nie – wychrypiałam.

Nie chciałam pytać, skąd wiedziała, co zrobiłam. Rozwiałam otaczającą nas barierę i ruszyłam w stronę czytelnicy.

Lucien, który bez wątpienia usłyszał nasze kroki, spłonął rumieńcem i strzelał wzrokiem to na mnie, to na Nestę. Niczym nie zdradzał, by zauważył, że zakradłam się do jego myśli. Że przetrząsnęłam je niczym włamywacz nocą. Zdusiłam napływające lekkie nudności.

– Wynoś się – zażądała krótko moja najstarsza siostra.

Posłałam Neście gniewne spojrzenie, ale Lucien wstał.

– Przyszedłem po książkę.

– No to jakąś znajdź i wyjdź.

Elaina tylko spoglądała za okno, nieświadoma... albo obojętna.

Lucien nie udał się w stronę regałów. Ruszył prosto do otwartych drzwi. Zatrzymał się w progu i zwrócił do mnie... i do Nesty:

– Trzeba jej świeżego powietrza.

– To my ocenimy, czego jej trzeba.

Przysięgłabym, że jego rubinowe włosy zalśniły jak stopiony metal, gdy wzbierał w nim gniew. Ale po chwili złość opadła, a rdzawobrunatne oko spojrzało na mnie.

– Zabierzcie ją nad morze. Zabierzcie do jakiegoś ogrodu. Ale niech opuści ten dom choćby na godzinę albo dwie.

Po tych słowach wyszedł.

Spojrzałam na swoje siostry. Odizolowane tu, wysoko nad światem.

– Przeprowadzacie się do domu w mieście, teraz zaraz – zaordynowałam.

Na tyle głośno, by usłyszał mnie Lucien, który przystanął

w półmroku korytarza za drzwiami.

Nesta, ku memu zaskoczeniu, nie zaprotestowała.

\*\*\*

Rhys także nie oponował, gdy wysłałam przez naszą więź prośbę, by razem z Kasjanem i Azrielem pomogli w przeprowadzce. Nie, mój towarzysz jedynie obiecał udostępnić moim siostrom dwie sypialnie na końcu korytarza, po drugiej stronie schodów. I trzecią Lucienowi – po naszej stronie korytarza. Wystarczająco daleko od pokoju Elainy.

Pół godziny później Azriel przeniósł milczącą i niereagującą na nic Elaineę.

Nesta wyglądała na gotową prędzej zejść z tarasu niż pozwolić się objąć Kasjanowi – już ubranemu i uzbrojonemu z myślą o służbie wartowniczej tej nocy – tak więc popchnęłam ją delikatnie w stronę Rhysa, Luciena skierowałam do Kasjana, a ja poleciałam o własnych siłach.

A przynajmniej próbowałam – ponownie. Szybowałam przez około pół minuty, rozkoszując się oczyszczającym krzykiem wiatru, zanim skrzydła mi zadrżały, plecy wyprężyły i upadek stał się nieznośnie dotkliwy. Przeskoczyłam resztę drogi do domu i w oczekiwaniu na pozostałych poprawiałam wazy i figurki w pokoju dziennym.

Pierwszy dotarł Azriel, bez ani jednego cienia. Moja siostra w jego objęciach była bladozłotą masą. Pieśniarz cieni również miał na sobie ilyryjską zbroję. Złocistobrązowe włosy Elainy zaczepiły się o kilka czarnych łusek na jego piersi i ramionach.

Przeniósł ją przez drzwi frontowe i postawił delikatnie na dywanie w holu.

Elaina spojrzała na jego cierpliwą, poważną twarz.

Azriel uśmiechnął się niepewnie.

– Czy życzyłabyś sobie, abym pokazał ci ogród?

Przy nim wydawała się taka drobna, taka krucha na tle łusek jego pancerza i szerokich barków, znad których wystawały skrzydła.

Ale Elaina nie ulękła się go, nie cofnęła, lecz skinęła głową – raz.

Pieśniarz cieni, wdzięcznie niczym dworzanin, podał jej ramię. Nie potrafiłam ocenić, czy patrzyła na jego błękitny syfon, czy też na poblżnioną skórę pod nim, gdy wyszeptwała:

– Piękne.

Złocistobrazowe policzki Azriela spłonęły rumieńcem, lecz tylko skłonił głowę w podzięcie i poprowadził moją siostrę w blasku słonecznych promieni do tylnych drzwi prowadzących do ogrodu.

Chwilę później Nesta weszła przez frontowe drzwi z twarzą o niezwykłym odcieniu zieleni.

– Potrzebuję... na stronę.

Spojrzałam w oczy kroczącemu za nią z rękami w kieszeniach Rhysowi.

„Coś ty zrobił?”

Uniósł zdziwiony brwi. Bez słowa pokierowałam Nestę do toalety dla gości pod schodami. Zniknęła w środku i zatrzęsnęła za sobą drzwi.

„Ja? – Rhys oparł się o dolny słupek poręczy schodów. – Narzekała, że rozmyślnie lecę powoli. Więc poleciałem szybko”.

W drzwiach stanęli Kasjan i Lucien, starannie unikający swojego wzroku. Uwaga Luciena momentalnie skierowała się ku prowadzącemu na tył domu korytarzowi, w którym wyczuł zapach Elainy. I tego, z kim poszła.

Warknął gardłowo...

– Spokojnie – uspokoił go Rhys. – Azriel nie należy do napadających na niewiasty.

Lucien spojrzał na niego spode łba.

Szczęśliwie, a może wprost przeciwnie, ciszę przerwał odgłos torsji Nesty. Kasjan spojrzał z szeroko otwartymi oczami na Rhysa.

– Coś ty zrobił?

– O to samo go zapytałam – wtrąciłam, krzyżując ramiona. – Powiedział: poleciałem szybko.

Nesta ponownie zwymiotowała... a potem zapadła cisza.

Kasjan westchnął, wznosząc wzrok ku górze.

– Nigdy już nie będzie chciała latać.

Gałka u drzwi się obróciła, a my staraliśmy się – przynajmniej

Kasjan i ja – nie sprawiać wrażenia, jakbyśmy ją przed chwilą słyszeli. Twarz Nesty wciąż była bladozielona, ale... Oczy odzyskały płomień.

Nie było słów, które mogłyby go opisać – nawet obraz mógłby nie oddać tego widoku.

Tęczówki pozostały tak samo szaroniebieskie jak moje. Ale... na myśl przychodził mi tylko stopiony metal. Płonąca rtęć.

Postąpiła krok w naszą stronę. Całą swoją uwagę skupiała na Rhysie.

Kasjan niby od niechcienia stanął między nimi ze skrzydłami złożonymi ciasno na plecach. Rozstawił nogi szeroko na dywanie. Postawa bojowa – rozluźniona, ale... syfony zabłysnęły.

– Czy wiesz – zwrócił się do niej – że ostatnim razem, kiedy wdałem się w bójkę w tym domu, wykopali mnie na miesiąc?

Nesta przeniosła na niego swe ogniste spojrzenie. Wciąż była wściekła – ale na jej twarz zaczynało się wkradać niedowierzanie.

– To była oczywiście wina Amreny – ciągnął Kasjan – ale nikt mi nie wierzył. A jej nie odważyliby się wyrzucić.

Zamrugła powoli.

Ale płonące stopione oczy przybrały na powrót wygląd śmiertelny. Na tyle śmiertelny, na ile którekolwiek z nas mogło być.

– Czym ty jesteś? – wyszeptał Lucien.

Kasjan nie odważył się spuścić wzroku z Nesty. Ale moja siostra powoli przeniosła spojrzenie na Luciena.

– Wymusiłam wtedy na nim, by coś mi dał w zamian – powiedziała przerażająco cichym głosem.

Kocioł. Gęsia skórka pokryła mi całe ręce. Moja siostra spuściła wzrok na dywan, potem spojrzała na jakiś punkt na ścianie.

– Chcę się udać do mojego pokoju.

Dopiero po chwili się zorientowałam, że mówi do mnie. Odchrząknęłam.

– Po schodach na górę, potem w prawo. Drugie drzwi. Albo trzecie, które wolisz. Drugi pokój jest dla Elainy. Musimy ruszać za...

– zmrużyłam oczy i spojrzałam na zegar stojący w pokoju dziennym

– ...dwie godziny.

Oszczędne kiwnięcie głową było jedynym potwierdzeniem, że mnie usłyszała, i zarazem jedynym podziękowaniem.

Odprowadziliśmy ją wzrokiem po schodach. Lawendowa suknia powiewała za nią, smukła dłoń sunęła po poręczy.

– Przepraszam – zawołał za nią Rhys.

Zacisnęła mocniej rękę na drewnie, kłykcie naparły na bladą skórę, ale nie odezwała się ani słowem i po chwili ruszyła dalej.

– Czy to jest w ogóle możliwe? – mruknął Kasjan, kiedy drzwi do jej pokoju zamknęły się za nią. – Żeby ktoś zabrał część esencji Kotła?

– Na to by wyglądało – powiedział w zamyśleniu Rhys, po czym zwrócił się do Luciena: – Płomień w jej oczach nie był normalny, jak mniemam.

Lucien pokręcił głową.

– Nie. Nie odpowiadał niczemu, co ja potrafię przywołać. To był... lód tak zimny, że aż parzy. Lód, a jednak... płynny jak płomień. Albo płomień utkany z lodu.

– Sądzę, że to jest śmierć – powiedziałam cicho.

Patrzyłam w oczy Rhysa, tak jakby jego spojrzenie ponownie było nicią utrzymującą mnie w tym świecie.

– Sądzę, że jej moc jest mocą śmierci... ona jest ucieleśnieniem śmierci. Albo jakiegokolwiek mocy, za pomocą której Kocioł włada tymi sprawami. To dlatego Rzeźbiący to usłyszał... usłyszał o niej.

– Matko nad nami – szepnął Lucien i przeczesał dłonią włosy.

Kasjan skinął mu poważnie głową.

Rhys potarł brodę, myśląc intensywnie.

– Z tym że Nesta nie tyle pokonała śmierć – powiedział po chwili – ile ją złupiła.

Nic dziwnego, że nie chciała o tym z nikim mówić – nie chciała nam tego wyjawiać. Z naszego punktu widzenia zniknęła pod powierzchnią na kilka sekund.

Nigdy nie zapytałam moich sióstr, jak długo pobyt w Kotle trwał wedle *ich* upływu czasu.

\*\*\*



– Azriel wie, że się im przyglądasz – powiedział stojący przed lustrem w naszej sypialni i wygładzający klapy czarnego kaftana Rhys.

Dom wypełniała cicha krzątanina. Wszyscy przygotowywali się do drogi. Mor i Amrena przybyły przed półgodziną, po czym pierwsza udała się do pokoju dziennego, a druga zaniósła suknię mojej siostrze. Nie odważyłam się jej zapytać, co wybrała dla Nesty.

„Ćwiczenia” – powiedziała kilka dni temu Amrena. We Dworze Koszmarów znajdowały się magiczne przedmioty, którym moja siostra mogła się dziś przyjrzeć, podczas gdy my będziemy się zajmowali Keirem. Zastanawiałam się, czy Uroboros był wśród nich – odnotowałam w pamięci, żeby zapytać Amrenę, co wiedziała o lustrze, którego tak bardzo pożądał Rzeźbiący w Kościach. Które musiałam jakoś uzyskać dziś od Keira.

Lucien zaoferował się, że w czasie naszej nieobecności przejrzy część tomów rozłożonych na stołach w pokoju dziennym. Amrena tylko mruknęła w odpowiedzi na tę propozycję. Wyjaśniłam Lucienowi, że to miało znaczyć „tak”.

Kasjan był już na dachu i spokojnie ostrzył noże. Zapytałam go, czy naprawdę potrzebuje aż dziewięciu, na co odparł jedynie, że nie zaszkodzi być przygotowanym, a także że jeśli mam dość czasu, by go zasypywać pytaniami, to znaczy, że mam dość czasu na kolejny sparing. Pokazałam mu wulgarny gest i szybko zeszłam na dół.

Z włosami wciąż wilgotnymi po kąpieli założyłam ciężkie kolczyki i wyrzłam przez okno sypialni do ogrodu na tyłach domu.

Elaina siedziała w milczeniu przy jednym z kutek stołów z filiżanką herbaty przed sobą. Azriel leżał rozparty na szezlongu po drugiej stronie wyłożonej szarymi kamieniami alejki, wygrzewając skrzydła w słońcu i przekopując się przez stos papierów – zapewne informacji na temat Dworu Jesieni, które po uporządkowaniu zamierzał przedstawić Rhysowi. Był już ubrany na wizytę w Wykutym Mieście – złowroga piękna zbroja kontrastowała z uroczym ogrodem. I z siedzącą w nim moją siostrą.

– Dlaczego to tej dwójki nie połączyła więź godowa? – zastanowiłam się na głos. – Dlaczego Lucien?

– Nie zadawałbym tego pytania Lucienowi.

– Pytam poważnie. – Obróciłam się do niego i skrzyżowałam ramiona na piersi. – Co o tym decyduje? *Kto* o tym decyduje?

Rhys po raz kolejny wygładził klapy, po czym strzepnął z nich niewidzialny pyłek.

– Los, Matka, wirujące pływy Kotła...

– *Rhys!*

Spojrzał na moje odbicie w lustrze, a ja podeszłam do szafy i otworzyłam drzwi, by wydobyć suknię, którą wybrałam wcześniej. Skrawki lśniącego czarnego materiału – nieco bardziej przyzwoita wersja tej, którą miałam na sobie na Dworze Koszmarów przed paroma miesiącami.

– Powiedziałeś, że twoja matka i ojciec nie pasowali do siebie. Tamlin powiedział, że jego rodzice też nie pasowali do siebie. – Zrzuciłam z siebie szlafrok. – Więc ten sposób kojarzenia par nie jest doskonały. A co, jeśli... – Wskazałam brodą okno, moją siostrę i pieśniarza cieni w ogrodzie. – Jeśli *to* jest właśnie tym, czego potrzebuje? Jeśli nie ma wolnej woli? Co, jeśli Lucien pragnie tego związku, ale ona nie?

– Więc godową można odrzucić – powiedział łagodnie Rhys, pożerając oczami w lustrze każdy cal mojego nagiego ciała. – Jest wybór. I czasem, owszem... dobór towarzyszy jest chybiony. Czasem więc nie ma znaczenia przy jakiejś... narzuconej odgórnie roszadzie związanej z doborem pary, która wyda na świat najsilniejsze potomstwo. Na najbardziej podstawowym poziomie może chodzi tylko o to. O jakąś pierwotną funkcję, a nie wskazanie prawdziwie przeznaczonych sobie dusz.

Uśmiechnął się do mnie, myśląc pewnie o rzadkości tego, co nas łączyło.

– Mimo to – podjął – zawsze będzie... pociąg. Kobietom zwykle łatwiej go zignorować, ale mężczyźni... może ich doprowadzić do szaleństwa. To ich brzemię, z którym muszą sobie poradzić, ale niektórzy uważają, że kobieta im się należy. Nawet po odrzuceniu więzi postrzegają ją jako swoją własność. Czasem powracają, by rzucić wyzwanie temu, którego ona wybierze sama. Czasem kończy

się to czyjąś śmiercią. To dzikie, to paskudne i szczęśliwie nie zdarza się często, ale... Wiele połączonych w ten sposób par będzie próbowało ułożyć sobie wspólne życie, wierząc, że Kocioł przeznaczył ich sobie z jakiegoś powodu. Dopiero po latach orientują się, że może dobór nie był najlepszy pod względem ducha.

Wydobyłam z szuflady wysadzany klejnotami ciemny pas i założyłam go, pozwalając mu zwisać swobodnie z bioder.

– Zatem mówisz, że może to zignorować i odejść... a Lucien będzie miał pełne prawo zabić każdego, z kim ona zechce być.

Rhys odwrócił się w końcu od lustra. Czarne ubranie doskonale skrojone do jego figury. Dzisiaj bez skrzydeł.

– Nie pełne prawo, nie na moich ziemiach. Na tym dworze takie rzeczy są zabronione od bardzo, bardzo dawna. Zakaz jest starszy ode mnie. Na innych dworach tak nie jest. Na kontynencie są krainy, w których panuje przekonanie, że kobiety dosłownie należą do swojego towarzysza. Ale nie tutaj. Jeśli Elaina zdecyduje się odrzucić więź, zostanie otoczona naszą pełną ochroną. Ale to nie sprawi, że więź zniknie. Osłabi się, owszem, ale będzie jej towarzyszyć do końca jej dni.

– Czy sądzisz, że pasują do siebie z Lucieniem?

Wyciągnęłam parę sandałów wiązanych aż po nagie uda, włożyłam w nie stopy i zajęłam się rzemieniami.

– Znasz ich lepiej ode mnie. Ale powiedziałbym, że Lucien jest lojalny... bezwzględnie.

– Tak jak i Azriel.

– Myśli Azriela od pięciuset lat zaprzęta inna kobieta.

– Czy gdyby łączyła ich więź godowa, nie dałaby już o sobie znać przez ten czas?

Rhys zamknął oczy.

– Sądzę, że to pytanie Azriel zadaje sobie od pierwszego dnia, kiedy poznał Mor. – Westchnął, a ja skończyłam wiązać jeden sandał i zajęłam się drugim. – Czy mogę prosić, abyś *nie* bawiła się w swatkę? Niech sami to wszystko sobie ułożą.

Wyprostowałam się i wsparłam dłonie na biodrach.

– Nigdy nie mieszałam się w cudze sprawy!

Uniósł brew w niemym wyzwaniu. A ja doskonale wiedziałam, o co mu chodzi.

Poczułam ucisk w brzuchu. Usiadłam przy toalecie i zaczęłam zaplatać włosy w warkocz na czubku głowy. Może to było tchórzostwo z mojej strony, że nie potrafiłam zapytać o to na głos, ale wysłałam przez naszą więź: „Czy to było nie w porządku... wkraczać tak do umysłu Luciena?”

„Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie za ciebie”. Rhys podszedł i podał mi szpilkę do włosów.

Wsunęłam ją w splot warkocza. „Musiałam się upewnić – że nie spróbuje jej porwać, że nas nie zdradzi”.

Podał mi kolejną. „I czy uzyskałaś odpowiedź?”

Pracowaliśmy w tandemie, upinając kolejne partie włosów. „Tak sądę. Nie chodziło o to, co myślał. To było... uczucie. Nie wyczułam żadnej złej woli, żadnego podstępu. Tylko troskę o nią. I... smutek. Tęsknotę”. Pokręciłam głową. „Powinnam mu powiedzieć? O tym, co zrobiłam?”

Rhys upiął część fryzury, do której trudno mi było sięgnąć.

„Musisz rozważyć, czy cena jest warta ukojenia twojego poczucia winy”.

Cena, czyli utrata kruchego zaufania Luciena do mnie, do tego miejsca. „Przekroczyłam pewną granicę”.

„Ale zrobiłaś to, by upewnić się co do bezpieczeństwa tych, których kochasz”.

„Nie wiedziałam...”. Odplynęłam myślami, po czym ponownie pokręciłam głową.

Ścisnął moje ramię. „Czego nie wiedziałaś?”

Wzruszyłam ramionami i przygarbiłam się. „Że to będzie takie pogmatwane”. Poczułam, jak rumieniec zalewa mi twarz. „Wiem, że wychodzę na bardzo naiwną...”

„To jest zawsze pogmatwane i nigdy nie stanie się łatwiejsze, nieważne, ile wieków doświadczenia będziesz miała”.

Przesuwałam kilka dodatkowych szpilek po blacie toaletki. „Już drugi raz weszłam do jego głowy”.

„Zatem uznaj, że to był ostatni raz, i miej to już za sobą”.

Zamrugalam i unioslam glowe. Pomalowalam usta szminka tak ciemnoczerwona, ze prawie czarna, po czym zacisnelam je w waska kreske.

„Co sie stalo, to sie nie odstanie – dodal. – Zamartwianie sie tym niczego nie zmieni. Zrozumialas, ze to byla granica, ktorej nie lubisz przekraczac, wiec wiecej juz nie popelnisz tego bledu”.

Poruszylam sie niespokojnie. „Czy ty bys to zrobil?”.

Rhys zastanowil sie przez chwile. „Tak. I gryzloby mnie potem takie samo poczucie winy”.

Te jego slowa uspokoily cos glęboko we mnie. Pokiwalam glowa, dwa razy.

„Jeśli chcesz poczuć się nieco lepiej, pomyśl, że Lucien zasadniczo złamał ustalone przez nas zasady – dodal. – Zatem miałas prawo zajrzeć do jego umysłu, choćby tylko po to, by zagwarantować bezpieczeństwo swojej siostry. On pierwszy przekroczył pewną granicę”.

Kłębek nerwów gdzieś glęboko poluźnil się jeszcze troche. „Masz rację”.

I to było na tyle.

Przygladalam się odbiciu Rhysa w lustrze, gdy w jego dłoniach pojawila się ciemna korona. Ta z kruczych piór, ktora wcześniej u niego widzialam... ale jednocześnie inna, w wersji kobiecej. Diadem, który delikatnie, z namaszczeniem umieścił przed warkoczem, który wspólnie upielismy na czubku mojej glowy. Wlasciwa korona... pojawila się chwile później nad jego czołem.

Spojrzelismy wspólnie na nasze odbicie. Księżę i księżna Dworu Nocy.

– Gotowa na bycie niegodziwą? – mruknal mi do ucha.

Palce u moich stóp podkuliły się same z siebie na pieszczotę zakletą w tym głosie – na wspomnienie naszej ostatniej wizyty na Dworze Koszmarów. Jak siedzialam na jego kolanach... gdzie wędrowaly jego palce.

Wstalam ze stolka i obróciłam się do niego twarzą. Przesunął dłonie po nagiej skórze na moich żebrach. Między piersiami. Na zewnętrznej stronie ud. Och, on również to pamiętał.

– Tym razem – szepnęłam i pocałowałam skraj tatuażu wychylający się tuż nad kołnierzem czarnego kaftana Rhysa – to ja zmuszę Keira do błagania.

## Rozdział 25

Amrena nie ubrała Nesty w pajęczyny i gwiazdny pył, na podobieństwo mnie i Mor. Nie odziała jej też na swoje podobieństwo w luźne spodnie i obszerną bluzkę.

Postawiła na rozwiązania proste. Bezpretensjonalne.

Suknia w kolorze nieprzeniknionej czerni spływała aż do marmurowej posadzki sali tronowej w Wykutym Mieście, obcisła w stanie i w ramionach. Dekolt był bardzo płytki, ledwie zakrywający blade obojczyki. Włosy Nesta miała zebrane w prostą fryzurę podkreślającą jej twarz i dziką jasność oczu, którymi wodziła po zebranych tłumie, wysokich rzeźbionych kolumnach i pokrytych łuskami bestiach wijących się wokół nich, po potężnym podeście i stojącym na nim tronie... i nawet się nie wzdrygnęła.

Wręcz z każdym krokiem zbliżającym nas do podestu głowa Nesty wędrowała minimalnie wyżej.

Jeden tron, zorientowałam się – potężne siedzisko uformowane na kształt dwóch splecionych ze sobą łuskowatych stworów.

Rhys również to zauważył. Zaplanował to.

Moja siostra i pozostali rozeszli się na boki przed podestem, stając po obu stronach jego podstawy. Bez lęku, bez radości, bez światła na twarzach.

Stojący obok Mor Azriel przyjrzał się zebranym z morderczym spokojem, którego nie stracił nawet wtedy, gdy jego wzrok padł na uśmiechającego się szyderczo Keira czekającego razem ze złotowłosą kobietą, która musiała być matką Mor. „Niczego im nie obiecuj” – ostrzegła mnie wcześniej Mor.

Rhys podał mi dłoń, aby mi pomóc wejść na podest. Trzymałam się prosto, głowę uniosłam wysoko. Przyjęłam jego pomoc i weszłam na te kilka schodków.

Ku samotnemu tronowi.

Rhys puścił do mnie oko i podprowadził mnie właśnie do niego.

Kroczył lekko i zwinnie, jakby tańczył.

Po tłumie przetoczył się szmer, gdy usiadłam, czując przenikliwie zimno kamienia na nagich udach.

Gdy Rhys zwyczajnie przysiadł na oparciu i uśmiechnął się do mnie zawiadacko, z sali dobiegły zduszone okrzyki.

– Pokłońcie się – zwróciłam się do Dworu Koszmarów.

Ponieważ jeszcze tego nie zrobili. A ze mną siedzącą na tronie...

Na ich twarzach wciąż malowała się mieszanina zaskoczenia i odrazy, lecz wszyscy opadli na kolana.

Unikałam patrzenia na Nestę, która nie miała wyboru: musiała postąpić tak samo jak wszyscy wokół.

Utrzymywałam wzrok wbity w Keira, w kobietę przy jego boku, w każdego, kto powążył się spojrzeć mi w oczy. Przypominałam sobie, co zrobili Mor, teraz kłaniającej się z szerokim uśmiechem na twarzy, kiedy była podlotkiem. Część dworzan odwróciła wzrok.

– Rozumiem, że brak drugiego tronu wynika ze zbyt krótkiego czasu na przygotowanie do tej wizyty – powiedział ze śmiertelnym spokojem Rhys. – I pozwolę wam uniknąć obdarcia ze skóry za to przewinienie. To mój dar godowy dla was. Nasi wierni poddani – dodał z nikłym uśmieszkiem.

Powiodłam palcem po łuskowatym cielsku jednej z bestii tworzących oparcie tronu. Nasz dwór. Jego część.

A my potrzebowaliśmy ich, by dla nas walczyli. Aby się na to zgodzili – tego wieczoru.

Rozchyliłam usta pomalowane tą ciemną, bardzo ciemną czerwienią w leniwym uśmiechu. Wijące się smugi magii podpełzły do podestu, lecz nie powążyły się posunąć dalej niż na pierwszy stopień. Badali mnie... chcieli się dowiedzieć, jaką mocą dysponuję. Ale na tyle dyskretnie, by nie urazić Rhysanda.

Pozwoliłam im podkraść się bliżej, węsząc, po czym zwróciłam się do Rhysa, do całej sali:

– Z pewnością chcieliby już powstać, kochany.

Rhys uśmiechnął się do mnie, potem do klęczących.

– Powstańcie.

Tak zrobili. Niektóre smużki magii odważyły się wpełznąć na



pierwszy stopień.

Uderzyłam.

Trzy zduszone okrzyki przebiły się ponad przetaczający się szmer, gdy wbiłam ostre szpony magii w te trzy zbyt ciekawskie wstęgi. Wbiłam je mocno i głęboko. Kot przyciskający łapą do ziemi ptaszka. Kilka ptaszków.

– Chcielibyście je odzyskać? – zapytałam, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Stojący w pobliżu podestu Keir spoglądał przez ramię z twarzą wykrzywioną złością. Srebrny diadem połyskiwał na jego złocistych włosach. Ktoś w głębi sali załkał.

– Nie wiecie – zamruczał do zebranych Rhys – że niegrzecznie jest dotykać damy bez jej pozwolenia?

Wbiłam ciemne szpony jeszcze głębiej w miotającą się i rzucającą magię tego, kto powążył się mnie wybadać.

– Bądźcie grzeczni – zwróciłam się do dworzan szyderczo łagodnym głosem.

I puściłam.

Trzy niezależne gwałtowne ruchy rywalizowały o moją uwagę. Ktoś od razu przeskoczył, pierzchając daleko stąd. Ktoś inny zemdlał. Trzecia osoba uczepiła się kurczowo kogoś stojącego obok, dygocząc na całym ciele. Zapamiętałam ich twarze.

Amrena i Nesta podeszły do frontu podestu. Moja siostra patrzyła na mnie, tak jakby nigdy wcześniej mnie nie widziała. Nie odrzuciłam maski zamyślnego chłodu. Nie ważyłam się zapytać, czy tarcze Nesty trzymają się dobrze... czy ktoś ją również próbował wybadać. Władcza mina Nesty niczego nie zdradzała.

Amrena skłoniła głowę przed Rhysem, przede mną.

– Za twoim przyzwoleniem, księżę.

Rhys machnął od niechcienia dłonią.

– Idźcie. Bawcie się. – Skinął głową na przyglądających się dworzan. – Jedzenie i muzyka. Teraz.

Wykonano jego polecenie. Natychmiast.

Moja siostra i Amrena wyszły przez wielkie wrota, prosto w zalegający za nimi półmrok, zanim zebrany tłum zaczął na dobre

krążyć. Poszły zabawić się częścią przetrzymywanych tu magicznych przedmiotów, żeby Nesta mogła przeciwżyć posługiwanie się swoimi mocami, by być gotowa, gdy Amrena ustali sposób naprawienia muru.

Kilka ciekawskich spojrzeń podążyło za nimi, po czym szybko powędrowało gdzie indziej, gdy tylko Amrena je zauważała.

I uchylała rąbka zasłony, za którą czaił się potwór.

Wciąż nie powiedzieliśmy jej o Rzeźbiącym w Kościach – ani o samej wizycie w Więzieniu. Poczułam w żołądku kielkujące poczucie winy. Chociaż, uznałam, chyba musiałam się do niego zacząć przyzwyczajać.

Rhys przyzwał Keira skinieniem palca.

– Sala rady – powiedział. – Za dziesięć minut.

Keir zmrużył oczy, a stojąca obok niego kobieta trzymała głowę cały czas spuszczoną – obraz uległości. Tak jak miała skończyć Mor.

Ona sama obserwowała swoich rodziców z chłodną obojętnością. Azriel utrzymywał pewien dystans i miał baczenie na wszystko wokół.

Pilnowałam się, aby nie wyglądać na zbyt zainteresowaną, zbyt przejętą, gdy Rhys podał mi dłoń i oboje wstaliśmy z tronu. Po czym udaliśmy się rozmawiać o wojnie.

\*\*\*

Sala rady w Wykutym Mieście wielkością niemal dorównywała sali tronowej. Została wyrzeźbiona w tej samej czarnej skale, z takimi samymi kolumnami ze splątanymi bestiami.

Pod bardzo wysokim sklepieniem sufitem stał olbrzymi stół z czarnego szkła, z wydłużonymi i poszarpanymi rogami, ostrymi niczym brzytwa. Dzielił salę na dwoje niczym błyskawica.

Rhys zasiadł u szczytu stołu. Ja spoczęłam na drugim końcu. Azriel i Mor zajęli miejsca z jednej strony, podczas gdy Keir usiadł naprzeciw nich.

Krześło obok niego pozostało puste.

Rhys odchylił się w swoim czarnym siedzisku i zakręcił pucharem, do którego chwilę wcześniej zachowujący kamienną twarz służący

nalął wina. Musiałam się pilnować, by nie podziękować mężczyźnie, który nappełnił mój kielich.

Tutaj nie dziękowałam nikomu.

Tutaj brałam, co moje, i nie okazywałam żadnej wdzięczności, nie oferowałam żadnych przeprosin.

– Wiem, dlaczego tu jesteś – powiedział bez ogródek Keir.

– Ach? – Rhys dystyngowanie uniósł brwi.

Keir potoczył po nas wzrokiem z odrazą malującą się na przystojnej twarzy.

– Na Hybernii kłębi się od wojska. Twoje legiony – powiedział z szyderym uśmiechem posłanym Azrielowi, Ilyrom, których reprezentował – się gromadzą. – Keir splótł długie palce swoich dłoni i oparł je na ciemnym szkle. – Chcesz mnie prosić, by Niosący Mrok dołączyli do twojej armii.

Rhys upił łyk wina.

– Cóż, przynajmniej oszczędziłeś mi konieczności krążenia wokół tego tematu.

Keir wytrzymał jego spojrzenie bez mrugnięcia.

– Wyznam, że sam jestem... przychylnie nastawiony do sprawy Hybernii.

Mor poruszyła się niespokojnie. Azriel jedynie wbił w rządce lodowate wszechwidzące spojrzenie.

– Nie ty jeden – odparł chłodno Rhys.

Keir zmarszczył brwi i uniósł wzrok na kandelabr z obsydianu wyrzeźbiony na kształt wieńca kwitnących nocnych kwiatów, w środku każdego migotało srebrzyste czarodziejskie światło.

– Mój lud i mieszkańcy Hybernii mają ze sobą wiele wspólnego. Są tak samo uwięzieni... w zastoju.

– Jeśli dobrze pamiętam – wcięła się Mor – możesz robić, co tylko zechcesz, już od wielu wieków. A nawet dłużej.

Keir nawet na nią nie spojrzał, co wywołało błysk gniewu w oczach Azriela.

– Ach, ale czy jesteśmy tu wolni? Nawet góra cała nie należy do nas... masz wszak swój pałac na jej szczycie.

– *Wszystko* to należy do mnie, racz pamiętać – powiedział cierpko

Rhys.

– Takie właśnie nastawienie sprawia, że zdławiony lud Hybernii jawi mi się jako... bratnie dusze.

– Jeśli pragniesz pałacu na szczycie, jest twój. – Rhys założył nogę na nogę. – Nie wiedziałem, że od tak dawna go pragniesz.

Keir odpowiedział przebiegłym uśmiechem.

– Musisz bardzo rozpaczliwie potrzebować moich wojsk, Rhysandzie.

Ponownie posłał Azrielowi przepętnione nienawiścią spojrzenie.

– Czy te przerośnięte nietoperze nie dają już sobie rady?

– Przybądź z nimi poćwiczyć – powiedział cicho Azriel – a sam się przekonasz.

Przez stulecia swojego żalostnego istnienia Keir zdecydowanie opanował do perfekcji sztukę szyderczego uśmiechu.

A grymas, z jakim spojrzał na Azriela... Mor błysnęła zębami w słabym świetle. Z trudem powstrzymałam się od zrobienia tego samego.

– Nie wątpię – odezwał się z wymalowanym na twarzy nieopisanym znudzeniem Rhys – że już zdecydowałeś, jakiej ceny zażadasz.

Keir spojrzał wzdłuż stołu – na mnie. Długo się wpatrywał, ale nie odwróciłam wzroku.

– Owszem.

Poczułam ukłucie w żołądku na te słowa, na to, co kryło się za tym spojrzeniem.

Mroczna moc przetoczyła się przez salę, wywołując brzęk onyksowego kandelabru.

– Uważaj, Keir.

Rządca jedynie uśmiechnął się do mnie, potem do Rhysa. Mor całkowicie znieruchomiła.

– Co byś mi dał za szansę wygrania tej wojny, Rhysandzie? Ty się kurwiłeś dla Amaranthy... ale co z twoją towarzyszką?

Nie zapomniał, jak go potraktowaliśmy. Jak go upokorzyliśmy te miesiące temu.

A Rhys... w jego twarzy odbijała się wyłącznie wieczna bezlitosna

śmierć, wyzierająca z ciemności wzbierającej za jego krzesłem.

– Targ, którego dobili nasi przodkowie, daje ci prawo decydowania, jak i kiedy twoje wojska wspierają moje. Ale nie daje ci prawa pozostania przy życiu, kiedy mi się znudzi twoje istnienie.

Jakby w odpowiedzi na te słowa niewidzialne pazury do wtóru pisku szkła wyryły w blacie stołu głębokie rysy. Wzdrygnęłam się. Keir spojrział na blat zniszczony ledwie kilka cali od niego i pobladł.

– Aczkolwiek podejrzewałem, że możesz się... wahać, czy mi pomóc – kontynuował Rhys.

Nigdy dotąd nie widziałam go takiego spokojnego. Nie, nie spokojnego – wypełnionego lodowatą furją.

Podobną do tej, którą czasem dostrzegałam w oczach Azriela.

Rhys pstryknął palcami i rzucił w powietrze:

– Wprowadźcie go.

Widmowy wiatr otworzył drzwi.

Nie wiedziałam, na kogo patrzeć, gdy służący wprowadził do środka wysokiego mężczyznę.

Na Mor, która pobladła z przerażenia. Na Azriela, który sięgnął po swój sztylet – Prawdomówcę – i oddychał równo, czujny, skoncentrowany, ale w żadnym stopniu nie zdziwiony. Nie zdradzał nawet cienia zaskoczenia.

Czy na Erisa, następcę tronu Dworu Jesieni, który właśnie wchodził do sali.

## Rozdział 26

To dla niego było przeznaczone ostatnie puste krzesło.

A Rhys...

Pozostał rozparty w swoim, sącząc wino.

– Witaj ponownie, Erisie – powiedział leniwie. – Minęło... ile... pięć stuleci, odkąd tu ostatnio byłeś?

Mor spojrzała na Rhysa. Potworne rozgoryczenie i... żal. To właśnie biło z jej oczu.

Że nas nie uprzedził. Naraził na taką... niespodziankę.

Zastanawiałam się, czy zapanowałam nad wyrazem twarzy lepiej od przyjaciółki. Tymczasem Eris zajął wolne miejsce, nie pozdrawiając przyglądającego mu się podejrzliwie Keira nawet zdawkowym skinieniem.

– Istotnie minęło trochę czasu.

Wyleczył już rany po naszym spotkaniu na lodzie. Po mieczu wbitym mu w brzuch przez Kasjana nie został nawet ślad. Rude włosy miał rozpuszczone, a na doskonale skrojony kobaltowy kaftan zarzucił jedwabny płaszcz.

„Co on tu robi?!” – zapytałam ostro przez naszą więź, nawet nie próbując ukryć tego, co się we mnie kotłowało.

„Jest gwarancją, że Keir zgodzi się nam pomóc” – odparł zagadkowo z napięciem w głosie Rhys. Był w stanie najwyższej koncentracji.

Tak jakby cały czas musiał utrzymywać swoją wściekłość na uwięzi.

Cienie wiły się wokół ramion Azriela, szeptały mu do ucha, podczas gdy pieśniarz cieni przyglądał się Erisowi.

– Kiedyś chciałeś nawiązać stosunki z Dworem Jesieni, Keirze – powiedział Rhys, odstawiając swój puchar. – Cóż, teraz masz po temu okazję. Eris jest gotowy zaoferować formalne przymierze... w zamian za twoje usługi na tej wojnie.

„W jaki sposób udało ci się go do tego przekonać?”.

Rhys nie odpowiedział.

„Rhysand!”.

Keir oparł się wygodniej w krzesło.

– To nie wystarczy.

Eris parsknął i nalał sobie wina ze stojącego na środku stołu dzbana.

– Zapomniałem już, dlaczego czułem taką ulgę, kiedy nasza umowa nie doszła do skutku poprzednim razem.

Rhys posłał mu ostrzegawcze spojrzenie. Eris jedynie upił solidny łyk.

– Czego zatem chcesz, Keirze? – zapytał szyderczo łagodnym głosem Rhys.

Czułam, że jeśli Keir ponownie zasugeruje, że chodzi mu o mnie, skończy rozpaćkany na ścianie.

Ale Keir chyba też to przeczuwał, bo zwrócił się bezpośrednio do Rhysanda:

– Chcę się stąd wydostać. Chcę przestrzeni. Chcę uwolnić mój lud od tej góry.

– Masz wszelkie wygody – odezwałam się w końcu. – I to ci nie wystarcza?

Keir zignorował mnie. Tak jak zapewne ignorował większość kobiet w swoim życiu.

– Utrzymywałeś wiele rzeczy w tajemnicy, mój książę – powiedział z odrażającym uśmiechem Keir, splatając dłonie i opierając je na uszkodzonym blacie stołu, tuż przy najbliższej mu szramie. – Zawsze się zastanawiałem, dokąd się wszyscy udajecie, kiedy nie ma was tutaj. Hybernijczycy w końcu dali mi odpowiedź na to pytanie... swoim atakiem na... jak brzmiała ta nazwa? Velaris. Tak. Na Velaris. Miasto Blasku Gwiazd.

Mor całkowicie zamarła.

– Chcę mieć dostęp do tego miasta – zażądał Keir. – Dla mnie i mojego dworu.

– Nie – zaprotestowała Mor.

Słowo odbiło się echem od kolumn, szkła, skały.

Byłam skłonna ją poprzeć. Sama myśl o tych fae, o Keirze, w Velaris... Plugawiących je swoją obecnością, swoją nienawiścią, swoją małostkowością, swoją pogardą, swoim okrucieństwem...

Rhys nie odmówił. Nie odrzucił od razu jego żądania.

„Nie możesz rozważać tego na poważnie”.

Rhys jedynie przyglądał się Keirowi i odpowiedział mi przez więź:

„Przewidziałem to... i zabezpieczyłem się”.

Zastanowiłam się nad jego odpowiedzią.

„Spotkanie z rządcami Pałaców... Miało z tym jakiś związek?”.

„Tak”.

– Będą obowiązywały pewne warunki – zwrócił się do Keira.

Mor już otwierała usta, ale Azriel położył poblížnioną dłoń na jej ręce.

Wyrwała ją, tak jakby ją oparzył – tak jak jego skóra była poparzona.

Mimo tak gwałtownego odtrącenia chłodna maska Azriela nawet nie drgnęła.

Ale Eris zachichotał cicho. To wystarczyło, by oczy Azriela zapłonęły wściekłością, gdy skierował je na książęcego syna. Ten jednak jedynie skinął głową pieśniarzowi cieni.

– Chcę nieograniczonego dostępu – zwrócił się Keir do Rhysa.

– Nie dostaniesz go – odparł książę. – Będą ograniczenia co do dni i liczby odwiedzających. Do ustalenia w późniejszym terminie.

Mor spojrzała błagalnie na Rhysa. Jej miasto... miejsce, które tak bardzo kochała...

Niemal to słyszałam. Pęknięcie, o którym wiedziałam, że zaraz się pojawi w naszym kręgu.

Keir spojrzał w końcu na Mor, dostrzegł jej rozpacz i złość. I uśmiechnął się.

Tak naprawdę nie chciał się wydostać spod tej góry.

Pragnął jedynie odebrać coś, co jego córka bardzo ceniła.

Chętnie bym mu wyszarpała gardło z szyi.

– Zgoda – powiedział Keir.

Rhys nawet się nie uśmiechnął. Mor tylko patrzyła na niego i patrzyła, choć błagalny wyraz powoli opadał z jej twarzy.



– Jest jeszcze jedna rzecz – dodałam, prostując plecy. – Jeszcze jedna prośba.

Keir łaskawie zwrócił na mnie uwagę.

– Tak?

– Potrzebuję lustro, Uroborosa – powiedziałam, starając się zachować lodowaty spokój. – Natychmiast.

W brązowych oczach Keira – identycznych jak u Mor – błysnęły zainteresowanie i zdziwienie.

– Kto ci powiedział, że je mam? – zapytał cicho.

– To bez znaczenia. Chcę go.

– Czy ty w ogóle wiesz, *czym* jest Uroboros?

– Zważ na swój ton, Keirze – ostrzegł go Rhys.

Keir nachylił się, opierając przedramiona na stole.

– Lustro... – Zaśmiał się cicho. – Uznaj to za prezent godowy ode mnie. Jeśli zdołasz je wziąć – dodał z jadowitą słodyczą.

Nie rzucał mi wyzwania, nie bezpośrednio, ale...

– W jakim sensie?

Keir wstał, uśmiechając się jak kot trzymający w pysku kanarka.

– Aby wziąć Uroborosa, aby przejąć lustro na własność, musisz najpierw w nie spojrzeć. – Udał się w stronę drzwi, nie czekając na odprawienie. – A każdy, kto tego próbował, albo oszalał, albo postradał wszelkie zmysły. Nawet księżę, czy może nawet dwóch, jeśli wierzyć legendzie. – Wzruszył ramionami. – Zatem jest twoje, jeśli odważysz się stawić mu czoła.

Zatrzymał się w progu i drzwi zostały otwarte podmuchem widmowego wiatru.

– Lord Tanatos ma... znów problemy z córką. Wymaga mojej pomocy – zwrócił się do Rhysa.

To było chyba najbliższe prośbie o pozwolenie na oddalenie się, czego mogliśmy się od niego spodziewać.

Rhys jedynie machnął dłonią, tak jakby nie oddał Keirowi właśnie naszego miasta. Rządca wskazał skinieniem głowy Erisa.

– Będę pragnął pomówić z tobą... wkrótce.

Kiedy skończy chełpić się swoim dzisiejszym zwycięstwem. Tym, co mu oddaliśmy.

I co utraciliśmy.

Jeśli nie uda mi się zabrać Uroborosa, przynajmniej bez tak wielkiego ryzyka... Odeгнаłam tę myśl i odłożyłam na później. Keir wyszedł. I zostawił nas samych z Erisem.

Następca tronu Dworu Jesieni spokojnie sączył wino.

Do tego miałam bardzo nieprzyjemne przeczucie, że kiedy Eris odstawił swój puchar, Mor uciekła myślami gdzieś bardzo, bardzo daleko.

– Dobrze wyglądasz, Mor – odezwał się syn Berona.

– Nie odzywaj się do niej – powiedział cicho Azriel.

Eris uśmiechnął się gorzko.

– Widzę, że wciąż żywcie urazę.

– Ten układ, Erisie – wtrącił się Rhys – zależy wyłącznie od twojej umiejętności trzymania języka za zębami.

Eris stłumił śmiech.

– Czyż nie spisałem się śpiewająco? Nawet mój ojciec nie podejrzewa, dokąd się dziś udałem.

Powiodłam wzrokiem między nimi dwoma.

– Jak do tego doszło?

Eris przyjrzał mi się uważnie. Zatrzymał na chwilę wzrok na koronie, na sukni.

– Nie sądziłaś, że będę się spodziewał waszego pieśniarza cieni, który węszył, by się dowiedzieć, czy powiedziałem ojcu o twoich... mocach? Zwłaszcza po tym, gdy moi bracia dziwnym trafem o nich *zapomnieli*. Wiedziałem, że pozostaje tylko kwestią czasu, aż jedno z was pojawi się, by wymazać także moją pamięć. – Eris postukał długim palcem w skroń. – Nieszczęśliwie dla was nauczyłem się paru rzeczy o daemati. I nieszczęśliwie dla moich braci nigdy nie uznałem za stosowne ich tego nauczyć.

Poczułam nagle ukłucie w piersi.

„Rhys”.

By mnie uchronić od gniewu Berona, by zapobiec rozpadnięciu się potencjalnego przymierza wszystkich dworów, zanim w ogóle zostanie zawiązane...

„Rhys”.

Z trudem powstrzymałam napływ łez do oczu.

Łagodna pieśczoła wysłana przez naszą więź była jego jedyną reakcją.

– Oczywiście nie powiedziałem mojemu ojcu – kontynuował Eris, upiwszy kolejny łyk wina. – Po co marnować tego rodzaju informacje na tego drania? Nakazałby tylko wysledzić cię i zabić... Nie dostrzegłby, w jak głębokich tkwimy kłopotach z Hybernią i że ty możesz odegrać kluczową rolę w powstrzymaniu wroga.

– Zatem twój ojciec zamierza się do nas przyłączyć – wtrącił Rhys.

– Nie zrobi tego, jeśli odkryje twój mały sekret – odparł z szyderczym uśmiechem Eris.

Mor zamrugła... Tak jakby zrozumiała, że kontakt Rhysa z Erisem, zaproszenie tu Beronowego syna... Poślane mi spojrzenie, spokojne i stanowcze, powiedziało mi wszystko, co musiałam wiedzieć. Uraza i złość wciąż wirowały w jej oczach, ale dostrzegałam w nich też zrozumienie.

– Czego zatem żądasz w zamian, Erisie? – zapytała Mor, opierając nagie ramiona na ciemnym szkle. – Kolejnej narzeczonej, którą mógłbyś torturować?

Coś błysnęło w oczach następcy tronu Dworu Jesieni.

– Nie wiem, kto naopowiadał ci tych kłamstw, Morrigan – powiedział ze złowrogim spokojem. – Zapewne bękarty, którymi się otaczasz.

Spojrzał z paskudnym grymasem na Azriela.

Mor warknęła, brzęknął przesunięty gwałtownie puchar.

– Nigdy nie udowodniłeś niczego przeciwnego. Z pewnością nie wówczas, gdy pozostawiłeś mnie w tym lesie.

– Działają tu siły, których nigdy nawet nie wzięłaś pod uwagę – odparł chłodno Eris. – A ja nie mam zamiaru marnować czasu na klarowanie ci tego. Możesz roić sobie na mój temat, co tylko zechcesz.

– Gonileś mnie jak zwierzynę na polowaniu – wciąłem się. – Chyba uznamy za stosowne wierzyć w najgorsze.

Błada twarz Beronowego syna poczerwieniała.

– Otrzymałem polecenie. Wysłano mnie z konkretnym zadaniem.

Mnie i dwójkę moich... braci.

– A co z bratem, który był ze mną, którego też ścigałeś? Tym, którego ukochaną pomogłeś zamordować na jego oczach?

Eris położył dłoń płasko na stole.

– Nie masz bladego pojęcia o tym, co się wydarzyło tamtego dnia. Najmniejszego.

Cisza.

– To mnie oświeć – odparowałam.

Eris wbił we mnie gniewne spojrzenie. Odpowiedziałam tym samym.

– Jak myślisz, jak zdołał dotrzeć do granicy Dworu Wiosny? – zapytał cicho. – Nie było mnie tam, kiedy to zrobili. Zapytaj go. Odmówiłem. To był pierwszy i jedyny raz, kiedy odmówiłem czegokolwiek mojemu ojcu. Ukarał mnie. A gdy odzyskałem wolność... Jego też chcieli zabić. Dopilnowałem, żeby tak się nie stało. Żeby Tamlin dowiedział się, z anonimowego źródła, że powinien jak najszybciej stanąć na swojej granicy.

Gdzie dwóch braci Erisa zginęło z rąk Luciena i Tamlina.

Eris skubnął odstającą nitkę na swoim kaftanie.

– Nie wszyscy mieliśmy tyle szczęścia w kwestii przyjaciół i rodziny co ty, Rhysandzie.

Twarz Rhysa była maską bezgranicznego znużenia.

– Na to wygląda.

Nic z tego nie zmasało całkowicie jego przewin, ale...

– Jaka jest cena? – powtórzyłam.

– Taka, jaką przedstawiłem Azrielowi, kiedy znalazłem go wczoraj wężącego w lasach mego ojca.

Mor szarpnęła głową i spojrzała na pieśniarza cieni z urazą w oczach. Jednak Ilyr udał, że tego nie dostrzega.

– Kiedy przyjdzie czas... mamy poprzeć Erisa jako pretendenta do tronu.

Pomimo spokoju w głosie twarz Azriela wykrzywił zimny gniew. A Eris okazał się dość mądry, by w końcu spuścić z tonu. Może dlatego Eris zachował wiedzę o moich mocach dla siebie. Nie tylko w celu dobicia tego targu, ale też po to, by uniknąć gniewu

pieśniarza cieni. Ciosu jego ostrza.

– Moja propozycja, Rhysandzie – powiedział Eris, odzyskując rezon – by zwyczajnie zabić mojego ojca i pozbyć się kłopotów, pozostaje otwarta. Mogę ci przyrzec nasze wojska tu i teraz.

Święta Matko. Nawet nie próbował tego ukryć, nawet nie udawał skruchy. Z trudem powstrzymałam swoją szczękę przed opadnięciem na stół na jego słowa, na spokój, z jakim je wymówił.

– Kuszące, ale pociąga za sobą zbyt wiele komplikacji – odparł Rhys.  
– Beron stanął po naszej stronie podczas wojny. Mam nadzieję, że teraz dokona podobnego wyboru.

Spojrzał wymownie na Erisa.

– Tak robi – przyrzekł, przesuwając palcem przez jedną ze szram w blacie stołu. – I pozostanie w błogiej niewiedzy w kwestii... darów Feyry.

Tron... w zamian za jego milczenie. I przychylność.

– Nie obiecuj Keirowi niczego, na czym ci nie zależy – rzucił Rhys i odprawił księżęcego syna machnięciem ręki.

Eris wstał.

– Zobaczymy.

Spojrzał na Mor spod zmarszczonych brwi, dopił wino i odstawił puchar.

– Dziwię się, że wciąż nie potrafisz nad sobą panować w jego obecności. Wszystkie emocje miałaś wyraźnie wypisane na tej swojej ślicznej twarzyczce.

– Uważaj – ostrzegł Azriel.

Eris uśmiechnął się pod nosem i spojrzał na jedno i na drugie. Tak jakby wiedział coś, czego Azriel nie był świadom.

– Nie tknąłbym cię – zwrócił się do Mor, która ponownie pobladła. – Ale kiedy się pieprzyłaś z tym drugim bękartem...

Z gardła Rhysa dobiegł gardłowy warkot. Z mojego również.

– Wiem, dlaczego to zrobiłaś. – Ponownie ten tajemniczy uśmiezek, od którego Mor się skuliła. *Skuliła*. – Zatem zwróciłem ci wolność, zerwałem zaręczyny w taki sposób, by nie było co do tego wątpliwości.

– A co się stało później? – warknął Azriel.

Cień przemknął przez twarz Beronowego syna.

– Niewielu rzeczy żałuję. To jest jedna z nich. Ale... może któregoś dnia, skoro jesteśmy już sojusznikami, powiem ci, dlaczego to zrobiłem. I jaką zapłaciłem za to cenę.

– Gównu mnie to obchodzi – powiedziała cicho Mor i wskazała drzwi. – Wynoś się.

Eris uklonił się szyderczo przed nią. Przed nami wszystkimi.

– Do zobaczenia na spotkaniu za dwanaście dni.

## Rozdział 27

Nestę i Amrenę znaleźliśmy czekające przed salą tronową. Obie wyglądały na rozdrażnione i zmęczone. Cóż, przynajmniej cała nasza szóstka czuła się podobnie.

Nie wątpiałam w słowa Keira na temat lustra – a ryzykowanie spojrzenia w nie... Żadne z nas nie mogło sobie pozwolić na takie ryzyko. Odejścia od zmysłów. Popadnięcia w szaleństwo. Żadne z nas – nie teraz. Może Rzeźbiący w Kościach o tym wiedział. Wysłał mnie na bezcelowe poszukiwania jedynie dla własnej rozrywki.

Nie zawracaliśmy sobie głowy pożegnaniami z członkami szepczącego dworu i od razu przeskoczyliśmy do naszego domu w mieście. Do Velaris – miejsca spokoju i piękna, które obecnie wydawały się nieskończenie bardziej kruche.

Podczas naszej nieobecności Kasjan najwyraźniej zszedł z dachu i dołączył do Luciena w pokoju dziennym. Książki z regału stojącego pod ścianą leżały porozkładane na niskim stoliku między nimi dwoma. Obaj przerwali pracę i wstali, gdy tylko zobaczyli nasze miny.

Kasjan był już w połowie drogi dzielącej stolik od Mor, kiedy ona obróciła się gwałtownie do Rhysa i zapytała:

– *Dlaczego?*

Głos jej się łamał.

Coś pękło również w mojej piersi, gdy po jej twarzy popłynęły łzy.

Rhys stał w milczeniu i patrzył na nią z nieodgadnioną miną.

Przyglądał się, podczas gdy ona waliła dłońmi w jego pierś i krzyczała:

– *Dlaczego?*

Cofnął się o krok.

– Eris znalazł Azriela... mieliśmy związane ręce. Obróciłem to na naszą korzyść, jak tylko mogłem. – Grdyka zatańczyła na jego szyi.

– Przepraszam.

Zastygły na środku pokoju Kasjan przyglądał się im w zdumieniu. Założyłam, że Rhys przekazywał mu informacje bezpośrednio do umysłu, jemu i Amrenie. Może nawet Lucienowi i Neście, wnosząc po tym, jak intensywnie mrugali oczami z zaskoczonym wyrazem twarzy.

Mor obróciła się do Azriela.

– Dlaczego nic mi *nie powiedziałyście*?

Azriel nie odwrócił wzroku, tylko stał niewzruszony. Nawet skrzydła mu nie drgnęły.

– Ponieważ próbowałybyś nas powstrzymać. A nie mogliśmy sobie pozwolić na niepozyskanie poparcia Keira... i ryzykowanie, że Eris zwróciłby się przeciwko nam.

– Współpracujesz z tym kutasem – wciął się Kasjan, który najwyraźniej właśnie zaczął nadażać za rozmową.

Stanął u boku Mor i położył jej dłoń na plecach. Pokręcił głową, spoglądając na Azriela i Rhysa, wykrzywiając z odrazą usta.

– Powinniście nabić jego pieprzoną głowę na kij i przytwierdzić do bramy wjazdowej.

Azriel patrzył na nich z lodowatą obojętnością.

Lucien skrzyżował ramiona i odchylił się na oparcie kanapy.

– Muszę się zgodzić z Kasjanem. Eris jest podstępny.

Może zatem Rhys nie przekazał im wszystkiego. Nie zdradził, że Eris utrzymywał, jakoby starał się ocalić swojego najmłodszego brata na wszelkie dostępne sobie sposoby. Jakoby działał przeciwko swemu ojcu.

– Cała twoja rodzina jest godna pogardy – zwróciła się do Luciena Amrena, stojąca razem z Nestą z tyłu, w łuku prowadzącym do holu.

– Ale Eris może się okazać lepszą alternatywą. Jeśli znajdzie sposób na zabicie Berona i dopilnowanie, żeby moc przeszła na niego.

– Jestem pewien, że znajdzie – rzucił Lucien.

Mor wciąż nie odrywała wzroku od Rhysa, a ciche łzy nadal płynęły po jej zaczerwienionych policzkach.

– Nie chodzi mi o Erisa – powiedziała rozedrganym głosem. – Chodzi mi o to miejsce. – Machnęła ręką, obejmując dom, miasto. –



To jest mój dom, a ty chcesz pozwolić Keirowi go *zniszczyć*.

– Podjąłem środki zaradcze – odparł Rhys, a w tonie jego głosu pojawiło się coś, czego nie słyszałam od dawna. – Rozliczne. Począwszy od spotkania z rządcami Pałaców i uzyskania od nich zgody, by nigdy nie obsługiwali Keira ani kogokolwiek z Dworu Koszmarów. Żeby nie dawali im schronienia ani ich nie zabawiali.

Mor zamruwała. Kasjan przesunął dłoń na jej ramię i ścisnął je.

– Rozsyłają pisma do wszystkich właścicieli budynków w mieście – kontynuował Rhys. – Do każdej restauracji, każdego sklepu, każdego lokalu rozrywkowego. Zatem Keir i jego pobratymcy mogą tu przychodzić... ale nie będą tu mile widziani. Nie zdołają nawet znaleźć noclegu.

Mor pokręciła głową i wyszeptała:

– Tak czy owak zniszczy je.

Kasjan objął ją ramieniem z miną bardziej hardą niż kiedykolwiek, jak sięgałam pamięcią. Przyglądał się w milczeniu Rhysowi. Potem przeniósł wzrok na Azriela.

– Powinieneś być nas ostrzec.

– Powiniennem być – przyznał Rhys, chociaż nie sprawiał wrażenia, jakby tego żałował.

Azriel stał obok z ciasno złożonym skrzydłami i lśniącymi syfonami.

W końcu zdecydowałam się wkroczyć.

– Wyznamy granice. Ustalimy, kiedy i jak często mogą tu przybywać.

Mor wciąż kręciła głową, nie odrywając wzroku od Rhysa.

– Gdyby Amarantha żyła... – Brzmienie tego imienia przepełzło wokół pokoju i sprawiło, że w jego kątach pociemniało. – Gdyby żyła, a ja zaoferowałabym jej swoją współpracę... nawet gdybym zrobiła to, by nas wszystkich ocalić... jak byś się poczuł?

Nigdy... nigdy nie zbliżyli się tak bardzo do tego tematu.

Podeszłam do Rhysa i musnęłam palcami jego dłoń. Zacisnął ją na mojej ręce.

– Gdyby Amarantha zaoferowała nam choć nikłą szansę na przetrwanie – odparł Rhys, nie odrywając wzroku od oczu Mor – to,

że przez te wszystkie lata zmuszała mnie do pieprzenia się z nią, nie miałoby dla mnie *najmniejszego* znaczenia.

Kasjan wzdrygnął się. Cały pokój zadrżał.

– Gdyby Amarantha stanęła w tej chwili w tych drzwiach – warknął Rhys, wskazując drzwi frontowe – i powiedziała, że może nam dać szansę pokonania Hybernijczyków, utrzymania *was wszystkich przy życiu, dziękowałbym pieprzonemu Kotłowi za tę szansę.*

Mor pokręciła ponownie głową, a po jej twarzy popłynęły nowe łzy.

– Nie mówisz tego poważnie.

– Owszem, mówię.

„Rhys”.

Ale więź, ten most między nami... był wyjącą pustką. Szalejącym mrocznym sztormem.

Za daleko... to oboje pchało za daleko w rozpacz. Spróbowałam pochwycić spojrzenie Kasjana, ale on zbyt wiele uwagi poświęcał dwójce przyjaciół. Jego złocistobrązowa skóra przybrała nienaturalnie blady odcień. Cienie Azriela zebrały się wokół niego, częściowo przesłaniając go przed wzrokiem innych. A Amrena...

Amrena wkroczyła między Rhysa a Mor. Oboje nad nią górowali.

– Przez czterdzieści dziewięć lat nie dopuściłam do rozłamu w tej grupie – przemówiła z oczami lśniącymi jasno niczym dwie błyskawice. – Nie pozwolę wam teraz rozszarpać jej na strzępy. – Zwróciła się do Mor: – Współpraca z Keirem i Erisem nie oznacza wybaczenia im. Kiedy ta wojna się skończy, dopadniemy ich i zarżniemy dla ciebie, jeśli tego będziesz chciała.

Mor z początku nie odpowiedziała... chociaż przynajmniej oderwała spojrzenie od Rhysa.

– Mój ojciec zatruje to miasto.

– Nie pozwolę mu na to – odparła Amrena.

Wierzyłam jej.

I chyba Mor też jej uwierzyła, bo choć z jej oczu nadal płynęły łzy... to teraz sprawiały inne wrażenie.

Amrena obróciła się do księcia, którego twarz okrył teraz cień... rozpaczy.

Wsunęłam dłoń do jego ręki.

„Dostrzegam cię pod tą maską – powiedziałam, przywołując słowa, które wyszeptalam wiele miesięcy temu. – I to, co widzę, nie przeraża mnie”.

– Ty podstępny draniu – zwróciła się do Rhysa Amrena. – Zawsze taki byłeś i zapewne taki pozostaniesz. Ale to nie usprawiedliwia, chłopcze, tego, że nas nie ostrzegłeś. Że nie uprzedziłeś jej, że w sprawę będą wmieszane te dwa potwory. Tak, podjąłeś właściwą decyzję... rozegrałeś to dobrze. Ale jednocześnie rozegrałeś to fatalnie.

Oczy Rhysanda na chwilę przyćmiło coś przypominającego wstyd.  
– Przepraszam.

Słowa skierowane do Mor, do Amreny.

Ciemne włosy tej drugiej zafalowały, gdy im się przyglądała. Mor w końcu pokręciła ponownie głową – tym razem jednak bardziej na znak zgody niż negacji.

Przełknęłam ślinę.

– To jest wojna – powiedziałam chrapliwym głosem. – Mamy niewielu sprzymierzeńców, ale nawet oni są już wobec nas podejrzliwi.

Spojrzałam każdemu po kolei w oczy – mojej siostrze, Lucienowi, Mor, Azrielowi i Kasjanowi. Potem Amrenie. A na koniec mojemu towarzyszowi. Widząc poczucie winy zatapiające w nim głęboko swoje pazury, ścisnęłam go pokrępiąco za rękę.

– Wszyscy byliście już na wojnie, podczas gdy ja nigdy jeszcze nie postawiłam nogi na polu bitwy. Ale... wyobrażam sobie, że nie wytrwamy długo, jeśli... nasza grupa zostanie rozbita. Od wewnątrz.

Odpowiedziały mi wymamrotane ledwo zrozumiałe słowa.

– Ona ma rację – powiedział w końcu Azriel.

Mor nawet nie spojrzała w jego stronę. Mogłam przysiąc, że wzrok pieśniarza cieni przesłoniło poczucie winy, na chwilę, ale gdy Ilyr zamrugął – zniknęło.

Amrena wróciła do boku Nesty.

– Co się stało z lustrem? – zapytał Kasjan.

Pokręciłam głową.

– Keir powiedział, że mogę je zabrać, jeśli tylko się odważę po nie sięgnąć. Najwyraźniej to, co się w nim ujrzy, złamie patrzącego... albo odbierze mu zmysły. Nikomu nigdy nie udało się wytrzymać tej próby.

Kasjan zaklął.

– Z ust mi to wyjąłeś.

Było to ryzyko, na podjęcie którego chyba żadne z nas nie było w pełni gotowe. Na pewno nie w sytuacji, gdy wszyscy byliśmy potrzebni – każde z nas.

– Mój ojciec nie kłamał – wtrąciła nieco zachrypniętym głosem Mor, rozprostowując czarne fałdy swojej półprzejrzystej sukni. – Gdy dorastałam, słuchałam wielu opowieści o tym lustrze. Żadna z nich nie była przyjemna. A wszyscy ich bohaterowie ponieśli klęskę.

Kasjan spojrział na mnie spod zmarszczonych brwi, potem przeniósł wzrok na Rhysa.

– W takim razie co...

– Mówicie o Uroborosie – domyśliła się Amrena.

Zamrugłam. Cholera. *Cholera...*

– Do czego jest wam potrzebne to lustro?

W jej głosie zabrzmiała nieprzyjemna nuta.

Rhys wsunął wolną dłoń do kieszeni.

– Skoro motywem przewodnim dzisiejszego wieczoru została szczerłość... Ponieważ Rzeźbiący w Kościach nas o nie poprosił.

Amrena rozdęła nozdrza.

– Byliście w Więzieniu.

– Twoi dawni znajomi ślą pozdrowienia – powiedział nieco kpiąco Kasjan, opierając się ramieniem o framugę.

Amrena ściągnęła twarz. Nesta wodziła uważnie wzrokiem między nimi dwojgiem. Czytała nas. Zwłaszcza gdy rtęć oczu Amreny zawirowała, a ona sama zapytała:

– Dlaczego się tam udaliście?

Już otworzyłam usta, by jej odpowiedzieć, ale wtedy złote oko Luciena przyciągnęło moją uwagę. Usidliło ją.

Chwila zawahania musiała dać wystarczający wyraz mojej

nieufności, bo Lucien przeprosił wszystkich i udał się do swojego pokoju z zaciśniętymi zębami i twarzą zdradzającą frustrację. I może rozczarowanie. Odgrodziłam się od tych uczuć – od tego, co robiły z moim żołądkiem.

– Mieliśmy parę pytań do Rzeźbiącego – powiedział z szelmowskim uśmiechem Kasjan, gdy Lucien już się oddalił. – I mamy też kilka do ciebie.

Wypełnione wirującym dymem oczy Amreny rozszerzyły się.

– Chcecie uwolnić Rzeźbiącego.

– Tak – odparłam wprost.

Potwór, który starczy za całą armię.

– To niemożliwe.

– Pozwól, słodka Amreno, że ci przypomnę, że *ty sama* zdołałaś stamtąd uciec – skontrował gładko Rhys. – I pozostałaś na wolności. Zatem to jest możliwe. Może mogłabyś nam powiedzieć, jak to zrobiłaś.

Dostrzegłam, że Kasjan przesunął się bliżej wejścia, bliżej Nesty. Aby móc ją chwycić i zabrać stąd, gdyby Amrena uznała, że tak właściwie to nie dba, w jakim kierunku potoczy się ta rozmowa. A także że nie dba o to, co się stanie z meblami w tym pokoju.

Z tego właśnie powodu Rhys znalazł się teraz po drugiej stronie Amreny, żeby odciągnąć jej uwagę ode mnie, a Mor stanęła z tyłu, cała sprężona i gotowa przystąpić w każdej chwili do działania.

Kasjan wpatrywał się w Nestę – na tyle intensywnie, że moja siostra w końcu się do niego obróciła. Spojrzała mu w oczy. Przechylił głowę na bok – minimalnie. Ciche polecenie.

Nesta – ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu – posłuchała i stanęła przy boku Kasjana.

– Nie – odpowiedziała Rhysowi Amrena.

– To nie była prośba – stwierdził Rhys.

Kiedyś przyznał, że dopiero niedawno, w ostatnich latach, Amrena pozwoliła mu zadać sobie kilka pytań. Ale wydawać polecenie? Naciskać na nią w ten sposób?

– Feyra i Kasjan rozmawiali z Rzeźbiącym w Kościach. Zażądał Uroborosa w zamian za służenie nam... za walkę u naszego boku

z wojskami Hybernii. Ale musisz nam wyjaśnić, jak go możemy wydostać.

Targ, którego Rhys albo ja dobiliśmy z Rzeźbiącym, wystarczyłby, by poddać stwora naszej woli.

– Czy to wszystko? – zapytała przesadnie spokojnym, przesadnie słodkim głosem.

– Kiedy będziemy mieć już to wszystko za sobą – dodał Rhys – spełnię swoją obietnicę sprzed paru miesięcy: będziesz mogła użyć Księgi, by wrócić do domu, jeśli tylko zechcesz.

Amrena patrzyła na niego w milczeniu. Zapadła taka cisza, że słysząc było tykanie zegara stojącego na kominku. I szum fontanny w ogrodzie...

– Odwołaj swojego psa – zażądała grobowym głosem Amrena.

Ponieważ cień zbierający się w kącie pokoju za plecami Amreny... był Azrielem. Czarna rękoność Prawdomówcy tkwiła w jego poblížnionej dłoni. Nie zauważyłam, kiedy się za nią przesunął, lecz nie miałam wątpliwości, że pozostali zapewne byli świadomi jego ruchów.

Amrena wyszczerzyła na niego zęby. Na pięknej twarzy Azriela nie zadrgał nawet jeden mięsień.

Rhys nie ruszył się z miejsca.

– Dlaczego nie chcesz nam tego powiedzieć? – zapytał Amrenę.

Kasjan niby od niechcienia przesunął Nestę za siebie, jednocześnie chwytając palcami spódnice jej czarnej sukni. Tak jakby chciał się dodatkowo upewnić, że Amrena nie ma do niej wolnej drogi. Nesta stanęła na palcach, żeby wyjrzeć nad jego ramieniem.

– Ponieważ kamień pod tym domem ma uszy, wiatr ma uszy... i wszystkie słuchają – odparła Amrena. – A jeśli doniosą... Będą pamiętali, Rhysandzie, że mnie nie złapali. A ja im nie pozwolę wrzucić mnie z powrotem do tej czarnej jamy.

Zatkało mi uszy od nagłej zmiany ciśnienia, gdy wszystkich nas otoczyła szczelna bariera.

– Nikt poza tym pokojem nie usłyszy twoich słów.

Amrena przyjrzała się zapomnianym książkom leżącym na niskim stoliku.

Zmarszczyła brwi.

– Musiałam coś oddać. Musiałam oddać siebie. Żeby wyjść, musiałam stać się czymś zupełnie innym; czymś, czego Więzienie nie rozpozna. Zatem... uwięziłam się w tym ciele.

Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby się zająknęła.

– Powiedziałaś wcześniej, że kto inny to zrobił – zauważył ostrożnie Rhys.

– Skłamałam... żeby ukryć to, co zrobiłam. Żeby nikt inny nie wiedział. Żeby uciec z Więzienia, uczyniłam się śmiertelną. Nieśmiertelną tak jak wy, ale... śmiertelną w porównaniu z tym... czym byłam wcześniej. A to... Nie czułam tak, jak wy czujecie. Tak jak teraz ja czuję. Niektóre rzeczy: lojalność, gniew, ciekawość... Ale nie całe spektrum.

Znowu spojrzała niewidzącym wzrokiem w jakiś punkt w przestrzeni.

– Byłam doskonała, według niektórych. Nie żałowałam, nie opłakiwałam... a ból... nie czułam go. A mimo to... mimo to skończyłam *tutaj*, ponieważ nie byłam do końca taka jak pozostali. Chociaż sama... sama byłam inna. Zbyt ciekawska. Zbyt dociekliwa. Kiedy tylko na niebie pojawiło się rozdarcie... to ciekawość pchnęła mnie ku niemu. Moi bracia i siostry pierzchli. Na rozkaz naszego władcy właśnie zniszczyliśmy bliźniacze miasta, zrównaliśmy je z ziemią, zostawiliśmy po sobie tylko kupę gruzów, a mimo to oni uciekli przed rozdarciem w osnowie świata. Ale ja pragnęłam zajrzeć. *Pragnęłam*. Nie zostałam stworzona ani wychowana, by czuć takie samolubne pragnienie. Widziałam, jaki los spotykał tych z moich pobratymców, którzy zbaczali z drogi, którzy stawiali swoje potrzeby ponad inne rzeczy. Którzy zaczynali... czuć. Mimo to przekroczyłam to rozdarcie na niebie. I oto jestem.

– I oddałaś to wszystko, żeby się wydostać z Więzienia? – zapytała łagodnie Mor.

– Oddałam mój wdzięk... moją doskonałą nieśmiertelność. Wiedziałam, że kiedy to zrobię... poczuję ból. I żal. Że będę pragnąć, że strawią mnie płomienie pożądania. Że... upadnę. Ale byłam... po całym tym czasie zamknięcia w tamtym miejscu... było mi już

wszystko jedno. Nie czułam wiatru na twarzy, nie wachałam deszczu... Nawet nie pamiętałam, jakie to były uczucia. Nie pamiętałam blasku słońca.

Przeniosła wzrok na Azriela – mrok pieśniarza cieni cofnął się i odsłonił oczy pełne zrozumienia. Zamknięta w lochu.

– Zatem uwięziłam się w tym ciele. Zagrzebałam swój ognisty wdzięk głęboko w sobie. Oddałam wszystko, czym byłam. Drzwi celi zwyczajnie... otworzyły się. Więc przez nie wyszłam.

Ognisty wdzięk... Który wciąż tlił się gdzieś głęboko w niej, który można było dostrzec tylko przez dym w jej szarych oczach.

– Taka będzie cena uwolnienia Rzeźbiącego. Będziecie musieli uwięzić go w jednym ciele. Uczynić go... fae. I wątpię, by się na to zgodził. Zwłaszcza bez Uroborosa.

Wszyscy milczeliśmy.

– Powinniście byli mnie zapytać, zanim tam poszliście – dodała na powrót ostrzejszym głosem. – Oszczędziłabym wam fatygi.

Rhysand przełknął ślinę.

– Czy można cię... uwolnić? – zapytał.

– Ja tego nie mogę zrobić.

– A co by się stało, gdyby ktoś tego dokonał?

Przez dłuższą chwilę Amrena spoglądała na niego w milczeniu. Potem przeniosła wzrok na mnie. Na Kasjana. Azriela. Mor. Nestę. W końcu z powrotem na mojego towarzysza.

– Nie pamiętałabym żadnego z was. Bylibyście mi całkowicie obojętni. Zgładziłabym was wszystkich albo porzuciła. To, co czuję teraz... byłoby dla mnie obce... nie miałyby żadnego znaczenia. Wszystko, czym jestem: to ciało... przestałoby istnieć.

– Czym ty byłaś? – wyszeptała Nesta, wychodząc zza Kasjana i stając u jego boku.

Amrena bawiła się przez chwilę kolczykiem z czarną perłą.

– Posłańcem... żołnierzem zabójcą. Na usługach gniewnego boga władającego młodym światem.

Czułam kotłujące się w pozostałych pytania. Oczy Rhysa niemal od nich lśniły.

– Czy twoje imię brzmiało Amrena? – zapytała Nesta.



– Nie. – Dym zawirował w oczach zapytanej. – Nie pamiętam imienia, jakie mi nadano. Wybrałam Amrenę, gdyż... to długa historia.

Już miałam ją zacząć błagać, by nam ją opowiedziała, ale wtedy zabrzmiały czyjeś miękkie kroki i...

– Ach.

Elaina wzdrygnęła się... i zrozumiałam, że nas nie słyszała. Nie miała pojęcia, że tu jesteśmy – z powodu bariery zatrzymującej każdy dźwięk.

Bariera w mgnieniu oka zniknęła. Moja siostra nadal stała przy schodach. Koszulę nocną okryła jedwabnym bladobłękitnym szalem. Ścisnęła palcami mocno materiał i owijała się nim.

Podeszłam szybko do niej.

– Trzeba ci czegoś? – zapytałam.

– Nie... Spałam, ale usłyszałam... – Pokręciła głową.

Przyjrzała się ze zdziwieniem naszym eleganckim strojom, ciemnej koronie na mojej głowie – i na głowie Rhysanda.

– Nie słyszałam was.

Azriel postąpił naprzód.

– Ale usłyszałaś coś innego.

Elaina przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby miała skinąć głową, ale tylko się cofnęła.

– Chyba mi się przyśniło – wymamrotała. – Ostatnimi dniami chyba ciągle mi się coś śni.

– Przyniosę ci trochę ciepłego mleka – zaoferowałam i ujęłam ją za łokieć, by ją wprowadzić do pokoju dziennego.

Ale Elaina odtrąciła moją rękę i ruszyła z powrotem do schodów.

– Słyszę, jak... płacze – powiedziała, gdy weszła na pierwsze stopnie.

Chwyciłam dolny słupek poręczy.

– Kto?

– Wszyscy myślą, że nie żyje. – Elaina dalej szła po schodach. – Ale to nieprawda. Tylko... jest inna. Odmieniona. Tak jak ja.

– Kto? – nie dawałam za wygraną.

Ale Elaina tylko pokonywała kolejne stopnie ze zwisającym

w poprzek pleców szalem. Nesta podeszła do mnie. Obie nabrałyśmy powietrza, by coś powiedzieć. Co dokładnie, nie wiedziałam, lecz...

– Co widziałaś? – zapytał Azriel.

Staralam się nie wzdrygnąć, gdy pojawił się nagle przy moim drugim boku. Nie widziałam jego ruchu. Znowu.

Elaina zatrzymała się w połowie schodów. Powoli obróciła się i spojrzała na niego.

– Widziałam młode dłonie więdnące ze starości. Widziałam szkatułkę z czarnego kamienia. Widziałam ogniste pióro padające na śnieg i topiące go.

Poczułam coś bardzo ciężkiego w żołądku. Jedno spojrzenia na Nestę upewniło mnie, że ona też to poczuła. Też to widziała.

Oszalała. Elaina chyba postradała zmysły...

– Było złe – dodała cicho Elaina. – Było takie złe, że coś zostało zabrane. Zatem za karę odebrało coś im.

Wszyscy milczeliśmy. Nie wiedziałam, co mogłam powiedzieć – o co zapytać. Jeśli Kocioł również jej coś zrobił...

Spojrzałam na Azriela z rozłożonymi bezradnie dłońmi.

– Co to znaczy?

Piwnie oczy pieśniarza cieni pociemniały, gdy przyglądał się mojej siostrze, tak straszliwie wychudzonej. Po czym bez słowa przeskoczył gdzieś. Mor patrzyła na miejsce, w którym przed chwilą stał, jeszcze przez długi czas po jego zniknięciu.

\*\*\*

Odczekałam, aż wszyscy się rozejdą: Kasjan i Rhys wyślizgnęli się, by rozważyć możliwości – lub ich brak – naszych nowych sojuszników; Amrena wypadła z domu, by znaleźć się jak najdalej od nas; z kolei Mor wyszła, pożegnawszy się wciąż drżącym głosem, by spędzić w Velaris w jej przekonaniu ostatnie kilka dni w spokoju. Gdy się rozeszli, odszukałam Nestę w pokoju dziennym.

– Co się stało w Wykutym Mieście? Co robiłyście z Amreną? Nie zająknęłaś się na ten temat ani słowem.

– Wszystko było w porządku.

Zacisnęłam zęby.

– Co się stało?

– Zaprowadziła mnie do sali pełnej skarbów. Dziwnych przedmiotów. A tam... – Skubnęła wąski rękaw swojej sukni. – Część z nich chciała zrobić nam krzywdę. Tak jakby były żywe... świadome. Jak... jak w tych wszystkich opowieściach i zmyślonych historiach, którymi nas karmiono po drugiej stronie muru.

– Nic ci się nie stało?

Nie dostrzegłam widocznych obrażeń na żadnej z nich i ani jedna, ani druga nie powiedziały niczego, co by mogło świadczyć...

– To było ćwiczenie. Obchodzenia się z magią, której zadaniem jest odstraszenie intruzów. – Wyrecytowała te słowa jak wyuczoną formułkę. – Bo z murem będzie zapewne podobnie. Chciała, bym przełamała zaklęcia obronne... znalazła ich słabe punkty.

– I naprawiła je?

– Tylko znalazła słabe punkty. Naprawienie to inna sprawa.

Nesta spojrzała na książki leżące na niskim stoliku przed kominkiem i zmarszczyła brwi, a jej oczy się lekko zamgłyły.

Westchnęłam.

– Więc... przynajmniej to się udało.

Jej wzrok błyskawicznie odzyskał ostrość.

– Zawiodłam. Za każdym razem. Tak więc nie. Nie udało się.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Gdybym okazała współczucie, prawdopodobnie doczekałabym się tylko długiej tyrady. Wybrałam więc inną drogę.

– Musimy coś zrobić w sprawie Elainy.

Nesta zeszywniała.

– A co właściwie proponujesz? Wpuszczenie twojego towarzysza do jej głowy, żeby mógł poprzestawiać to i owo?

– Tego bym nigdy nie zrobiła. Nie sądzę nawet, by Rhys potrafił... naprawiać umysły w ten sposób.

Nesta przechadzała się przed wygaszonym paleniskiem.

– Wszystko ma swoją cenę. Może ceną za jej młodość i nieśmiertelność była utrata części poczytalności.

Nogi ugięły się pode mną, aż musiałam przysiąść na miękkiej kanapie.

– Jaka była twoja cena?

Nesta zatrzymała się.

– Może przyglądanie się, jak Elaina cierpi... podczas gdy ja wyszłam z tego bez szwanku.

Zerwałam się na nogi.

– Nesto...

– Daruj sobie.

Podążyłam za nią w stronę schodów. Z których właśnie schodził Lucien. Kiedy ją zobaczył, skrzywił się.

Odsunął się do samej poręczy, aby dać jej dużo miejsca, gdy mijała go szybkim krokiem. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego ściągniętą twarz, żebym zebrała się w sobie... i wróciła do pokoju dziennego.

Opadłam na najbliższy fotel. Gdy materiał mojej czarnej sukni otarł się o nagą skórę, zdziwiłam się, że jeszcze jej nie zdjęłam. Ile czasu minęło od powrotu z Wykutego Miasta? Pół godziny? Mniej? A w Więzieniu naprawdę byliśmy tego ranka?

Wydawało mi się, że od tamtej wyprawy minęło kilka dni. Oparłam głowę o haftowane oparcie fotela i przyglądałam się Lucienowi przysiadającemu na zaokrąglonym oparciu najbliższej kanapy.

– Ciężki dzień?

Mruknęłam niewyraźnie w odpowiedzi.

Żrenica metalowego oka się zwęziła.

– Sądziłem, że Więzienie to kolejny mit.

– Cóż, jest prawdziwe.

Przyjrzał mi się badawczo i skrzyżował ramiona.

– Pozwól mi coś zrobić. W sprawie Elainy. Słyszałem... ze swojej sypialni. Wszystko, co przed chwilą się wydarzyło. Nie zaszkodziłoby, gdyby przyjrzała się jej uzdrowicielka. Od zewnątrz i od środka.

Byłam tak wycieńczona, że ledwie zdołałam nabrać dość powietrza, by go zapytać:

– Sądzisz, że Kocioł odebrał jej zmysły?

– Sądzę, że przeszła coś strasznego – odparł ostrożnie Lucien. –

I nie zaszkodziłoby poprosić waszą najlepszą uzdrowicielkę, by dokładnie ją zbadała.

Potarłam dłonią twarz.

– W porządku. – Z trudem wymówiłam słowa. – Jutro rano.

Zdołałam lekko skinąć głową, po czym zebrałam w sobie siły, by się podnieść z fotela. Ciężko... wypełniał mnie wiekowy ciężar. Jakbym mogła teraz zasnąć na sto lat i mimo to nie wypocząć.

– Proszę, powtórz mi – odezwał się Lucien, kiedy przekroczyłam próg oddzielający pokój od holu – to, co powie uzdrowicielka. I jeśli... jeśli będę do czegoś potrzebny.

Skinęłam mu głową po raz ostatni, nie mogąc już wydobyć z siebie ani słowa.

Gdy mijałam drzwi do pokoju Nesty, wiedziałam, że jeszcze nie śpi. Że dzięki swojemu wyczulonemu słuchowi słyszała każde nasze słowo. I że zatrzymałam się pod drzwiami Elainy, nasłuchując. Zapukałam raz i wetknęłam do środka głowę. Spała... oddychała.

Wysłałam do Madji, ulubionej uzdrowicielki Rhysanda, prośbę o przybycie następnego dnia o jedenastej. Nie wyjaśniłam powodu wezwania ani kogo dotyczyło. Po wszystkim udałam się do naszej sypialni, wpełzłam na materac i zapłakałam.

Nie wiedziałam do końca dlaczego.

\*\*\*

Silne szerokie dłonie masowały mi plecy. Otworzyłam oczy i spostrzegłam, że w pokoju panuje całkowita ciemność, a Rhysand siedzi na łóżku obok mnie.

– Czy chcesz coś do jedzenia? – zapytał łagodnie... niepewnie.

Nie oderwałam głowy od poduszki.

– Czuję... znowu czuję się ciężka – wyszeptałam łamiącym się głosem.

Rhys nie odpowiedział, tylko wziął mnie w swoje ramiona. Jeszcze się nie rozebrał, tak jakby dopiero co wrócił z rozmowy z Kasjanem.

W ciemności wdychałam jego zapach, rozkoszowałam się ciepłem.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

Przez dłuższą chwilę milczał.

– Nie.

Objęłam go i ścisnęłam mocno.

– Powinienem był znaleźć inny sposób – powiedział.

Przeczesałam palcami jego jedwabiste włosy.

– Gdyby... – zamruczał i przełknął głośno ślinę. – Gdyby przyszła do tego domu... – Wiedziałam, kogo miał na myśli. – Zabiłbym ją. Nie pozwoliłbym jej wymówić nawet słowa. Zabiłbym ją.

– Wiem.

Zrobiłabym to samo.

– W bibliotece mnie zapytałaś – szeptał dalej – dlaczego... dlaczego wolałbym to wszystko przyjąć na siebie. Właśnie z powodu takich sytuacji jak dzisiejszego wieczoru. Żeby nie widzieć płaczącej Mor. Podjąłem złą decyzję. Staralem się znaleźć inne wyjście z tej gównianej sytuacji, w której się znaleźliśmy.

I w wyniku tego utracił coś... Mor coś utraciła...

Trwaliśmy w swoich objęciach w milczeniu przez minuty. Godziny. Dwie dusze splecione w mroku. Opuściłam swoją tarczę, wpuściłam go całkowicie. Jego umysł owinał się wokół mojego.

– Czy zaryzykowałbyś spojrzenie w lustro... w Uroborosa? – zapytałam.

– Jeszcze nie – odparł Rhys, obejmując mnie mocniej. – Jeszcze nie.

## Rozdział 28

Następnego ranka zwlekłam się z łóżka ogromnym wysiłkiem woli.

Amrena powiedziała, że Rzeźbiący nie zgodzi się na uwięzienie go w ciele fae – tak *twierdziła*.

Ale nie zaszkodzi spróbować. Jeśli miało to nam dać choć cień szansy przetrwania tej wojny, uchronienia Rhysa od poświęcenia wszystkiego...

Kiedy się ocknęłam, jego już nie było. Zazgrzytałam zębami, ubrałam się w ilyryjską skórę i przeskoczyłam do Domu Wiatru.

Przygotowałam skrzydła, gdy natrafiłam na zaklęcia broniące dostępu do budynku, i zdołałam przejść w dość przyzwoite szybowanie nad placem treningowym na płaskim dachu.

Kasjan już na mnie czekał z dłońmi wspartymi na biodrach. Obserwował moje zejście do lądowania, coraz niżej, niżej...

Za szybko. Odbiłam się stopami od podłoża i zaczęłam ponownie wznosić...

– *Hamuj skrzydłami...*

Za późno mnie ostrzegł.

Uderzyłam w szkarłatną ścianę, po czym upadłam twarzą na czerwony żwir... Zaklęłam. Ego miałam poranione równie dotkliwie co skórę na rozoranych dłoniach. Zatoczyłam się do tyłu, skrzydła bardziej przeszkadzały, niż pomagały. Ramiona Kasjana zatrzęśły się od tłumionego śmiechu, co skwitowałam wulgarnym gestem.

– Jeśli w ten sposób schodzisz do lądowania, upewnij się, że masz dość miejsca.

Skrzywiłam się.

– Następnym razem będę pamiętała.

– Albo przestrzeń nad, by skrócić i kołować, aż zwolnisz...

– Zrozumiałam.

Kasjan uniósł dłonie w przeproszającym geście, ale gdy pozbyłam się skrzydeł i ruszyłam w jego stronę, rozbawienie z niego opadło.

– Chcesz dzisiaj trenować ostro czy raczej trochę odpuścić?

Moim zdaniem inni go nie doceniali. Nie podejrzewali, że potrafi dostrzec zmiany w czymś stanie emocjonalnym. Żeby skutecznie dowodzić legionami, musiał umieć odczytywać takie rzeczy; oceniać, kiedy jego żołnierze albo wróg byli silni, kiedy na skraju paniki, a kiedy już za tym skrajem.

Zajrzałam do środka, w miejsce, które teraz przypominało lotne piaski.

– Na ostro – powiedziałam. – Kiedy skończymy, chcę się ledwie trzymać na nogach.

Zdjęłam skórzaną kurtę i podwinęłam rękawy białej koszuli.

Kasjan omiótł mnie badawczym wzrokiem.

– Mnie też to pomaga – mruknął. – Ćwiczenia fizyczne, trening. – Rozruszał ramiona i zaczął się rozciągać. – Zawsze mi to pomagało odzyskać koncentrację. A po wczorajszym... – Związał ciemne włosy z tyłu głowy. – Zdecydowanie potrzebuję... tego.

Przytrzymałam zgiętą nogę za plecami, ignorując protesty rozciąganych mięśni.

– Podejrzewam, że są gorsze sposoby radzenia sobie z problemami.

Uśmiechnął się krzywo.

– Istotnie, są.

\*\*\*

Późniejsza lekcja z Azrielem obejmowała stanie na wietrze i usiłowanie zapamiętania jego uwag na temat prądów wznoszących i opadających, a także wpływu gorąca i zimna na kierunek i szybkość wiatru.

Cały czas był dość wycofany – zamknięty w sobie. Nawet jak na siebie.

Popełniłam błąd i zapytałam, czy od wczorajszego wieczora rozmawiał z Mor.

Nie rozmawiał. Nic więcej na ten temat nie powiedział.

Tylko cały czas rozprostowywał i zaciskał poblížnioną dłoń. Tak jakby przypominał sobie dotyk dłoni, którą wyrwała z jego palców



podczas spotkania. Raz po raz. Nie odważyłam się powiedzieć mu, że podjął właściwą decyzję – że może powinien porozmawiać z Mor, zamiast się poddawać poczuciu winy. Między tą dwójką było dość trudnych spraw bez mojego wtrącania się.

Kiedy kilka godzin później wróciłam do domu w Velaris, istotnie ledwie trzymałam się na nogach. Znalazłam Mor siedzącą przy stole w jadalni i pałaszującą ogromne ciastko kupione po drodze w piekarni.

– Wyglądasz, jakby przebiegło po tobie stado koni – zauważyła między kolejnymi kęsami.

– To dobrze – odparłam, zabierając jej smakołyk z ręki i pochłaniając w całości.

Wydała z siebie oburzony okrzyk, ale chwilę potem pstryknęła palcami i na wypolerowanym blacie stołu przed nią pojawił się talerz pokrojonego melona.

Równo na stosie listów napisanych na bardzo różnorodnej papeterii.

– A to co? – zapytałam, ocierając okruszki z ust.

– Pierwsze odpowiedzi książąt dworów – odparła słodkim głosem, po czym wzięła palcami jeden z żółto-zielonych plastrów owocu i odgryzła kawałek.

Ani śladu wściekłości czy strachu z zeszłego wieczora.

– Aż tak miłe, co?

– List Heliona przyszedł z samego rana. Jeśli pominąć wszystkie okrągłe słowa, chyba chce... połączyć z nami siły.

Uniosłam pytająco brwi.

– To chyba dobrze... prawda?

Wzruszyła ramionami.

– O Heliona się nie martwiliśmy. Co do pozostałej dwójki... – Dokończyła melona, głośno mlaszcząc. – Thesan napisał, że przybędzie, ale pod warunkiem, że spotkanie odbędzie się w naprawdę neutralnym i bezpiecznym miejscu. Kallias... nie ufa żadnemu z nas po... wydarzeniach pod Górą. Chce przybyć w asyście zbrojnej straży.

Dzień, Świt i Zima. Nasi najbliżsi sprzymierzeńcy.

- Ani słowa od pozostałych? – zapytałam ze ściśniętym gardłem.
- Nie. Wiosna, Jesień i Lato nie przysłały odpowiedzi.
- Nie zostało wiele czasu do spotkania. Co, jeśli w ogóle nie odpowiedzą?

Nie miałam czelności zastanawiać się na głos, czy Eris dotrzyma danego słowa i dopilnuje przybycia swojego ojca. I poparcia naszej sprawy. Nie chciałam gasić światła, które wróciło na jej twarz.

Mor wzięła kolejny plaster melona.

– Wtedy będziemy musieli zdecydować, czy mamy ich wspólnie z Rhysem na to spotkanie zawlec za karki, czy też zaczniemy bez nich.

– Sugeruję to drugie – odparłam, na co Mor zmarszczyła czoło. – Pierwsze wyjście raczej nie przekona ich do sprzymierzenia się z nami.

Dziwił mnie jednak brak odpowiedzi ze strony Tarquina. Nawet pomimo wendety przeciwko nam... Mężczyzna, którego wtedy spotkałam, którego nadal tak bardzo podziwiałam... Z pewnością pragnąłby zawrzeć przymierze przeciwko Hybernii. Chyba że teraz chciał dołączyć do nich, żeby dopilnować wymazania Rhysa i mnie z mapy świata raz na zawsze.

– Zobaczymy – skwitowała krótko Mor.

Westchnęłam ciężko przez nos.

– Jeśli chodzi o wczoraj...

– W porządku. Nic się nie stało.

Szybkość odpowiedzi sugerowała coś zgoła przeciwnego.

– Owszem, stało się. Masz prawo czuć się w ten sposób.

Mor zmierzwiła swoje włosy.

– Cóż, nie pomoże nam to wygrać tej wojny.

– Nie. Ale... nie do końca wiem, co powiedzieć.

Mor przez dłuższą chwilę wpatrywała się w okno.

– Rozumiem, dlaczego Rhys to zrobił. Zważywszy na nasze położenie. Eris jest... Dobrze wiesz jaki. A jeśli istotnie zagroził zdradzeniem ojcu informacji o twoich darach... Święta Matko, *sama* bym dobiła takiego targu z Erisem, żeby uchronić cię przed gniewem Berona. – Na te słowa ucisk w mojej piersi zelżał. – Po prostu... Mój

ojciec wiedział, gdy tylko usłyszał o tym miejscu, zapewne się domyślił, ile dla mnie znaczy. Nie zażądałby żadnej innej ceny za swoją pomoc w tej wojnie. Żadnej. I Rhys też był tego świadom. Spróbował wciągnąć w to Erisa, żeby zmiękczyć mojego ojca... zapewne liczył, że uda się mu zupełnie wyłączyć z tego Velaris.

Uniosłam brwi w niemym pytaniu.

– Rozmawialiśmy o tym... Rhys i ja. Dziś rano. Kiedy Kasjan spuszczał ci manto.

Parsknęłam.

– A Azriel?

To tyle, jeśli chodzi o moje niewtrącanie się.

Mor wróciła do skubania melona.

– Az... Kiedy Eris go znalazł, musiał podjąć trudną decyzję. I... – Przygryzła wargę. – Nie wiem, dlaczego oczekiwałam, że weźmie moją stronę, dlaczego tak mnie to zaskoczyło.

Ugryzłam się w język, żeby nie zasugerować, by mu to powiedziała. Mor wzruszyła ramionami.

– Po prostu... to wszystko mnie zaskoczyło. I nigdy nie będę zadowolona z któregokolwiek z tych warunków, ale... Jeśli pozwolę, by to mnie dotknęło, wygra mój ojciec, wygra Eris, wygrają wszyscy mężczyźni ich pokroju. Jeśli pozwolę temu zgasić moją radość, zakłócić moje życie. Zakłócić moje stosunki z wami wszystkimi. – Westchnęła i uniosła wzrok na sufit. – Nienawidzę wojny.

– Nie jesteś sama.

– Nie tylko samej śmierci i okropieństw. Ale tego, co ona z nami robi. Tych decyzji.

Kiwnęłam głową, chociaż dopiero zaczynałam rozumieć. Wybory i ich ceny.

Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, ale wtedy rozległo się stukanie do drzwi frontowych. Zerknęłam na zegar stojący w pokoju dziennym po drugiej stronie holu. No tak. Uzdrowicielka.

Wspomniałam dziś rano Elaine, że Madja przyjdzie do niej o jedenastej. Uzyskałam wymijającą odpowiedź. Cóż, lepsza taka od jednoznacznej odmowy.

– Otworzysz drzwi czy ja mam to zrobić?

Skwitowałam bezczelność w pytaniu Mor wulgarnym gestem. Gdy wstałam z krzesła, przyjaciółka chwyciła moją dłoń.

– Jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować... będę tutaj.

Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością.

– Ja również.

Wciąż się uśmiechała, gdy wzięłam głęboki wdech i ruszyłam do przedsionka.

\*\*\*

Uzdrowicielka nie znalazła niczego.

Wierzyłam jej – choćby dlatego, że Madja była jedną z niewielu fae wysokiego rodu, które spotkałam, których ciemna skóra była poznaczona zmarszczkami, a włosy przerzedzone zaawansowanym wiekiem.

Jej brązowe oczy wciąż jednak były czyste i lśniły wewnętrznym ciepłem, a jej gruzłowate dłonie nie drżały, gdy przesuwała nimi nad ciałem Elainy leżącej cierpliwie i spokojnie na łóżku.

Od kobiety biła słodka i kojąca magia, teraz wypełniająca całą sypialnię mojej siostry. Kiedy delikatnie przyłożyła dłonie do skroni leżącej, wzdrygnęłam się, a ona jedynie spojrzała na mnie przez ramię, uśmiechnęła się pod nosem i poleciała, bym się uspokoiła.

Nesta, obserwująca wszystko byстрыm okiem z kąta pokoju, zachowywała milczenie.

Po dłuższej chwili Madja poprosiła nas, byśmy razem z nią udały się po filiżankę herbaty dla Elainy – i spojrzała wymownie na drzwi. Ruszyliśmy za nią i pozostawiliśmy naszą siostrę w zalanym słońcem pokoju.

– Jak to wszystko jest z nią w porządku? – wysyczała szeptem Nesta.

Stara kobieta chwyciła dłonią poręcz i zaczęła schodzić na dół. Kroczyłam blisko niej, z dłonią w pobliżu jej łokcia, na wypadek gdyby trzeba było ją podtrzymać.

Pomyślałam, że przecież Madja wyleczyła Kasjana i Azriela – i niezliczonych innych. Wyleczyła skrzydła Rhysa podczas wojny. Wyglądała na bardzo starą, ale nie wątpiłam, że miała jeszcze duży

zapas sił – albo niezłomną wolę pomagania swoim pacjentom.

Madja wstrzymywała się z odpowiedzią na pytanie Nesty, dopóki nie znalazłyśmy się na dole schodów. Lucien już czekał na nas w pokoju dziennym, Mor wciąż siedziała w jadalni. Oboje wstali, ale pozostali po swoich stronach holu.

– Chodzi mi o to – powiedziała w końcu Madja, spoglądając najpierw na Nestę, potem na mnie – że nie znalazłam u niej niczego, co by było nie w porządku. Jej ciało jest zdrowe. Owszem, jest wychudzona i potrzebuje więcej jedzenia oraz świeżego powietrza, ale nic jej nie dolega. Jeśli zaś chodzi o jej umysł... nie mogę do niego wejść.

Zamrugalam.

– Ma barierę?

– Została stworzona przez Kocioł – odparła uzdrowicielka, ponownie spoglądając badawczo na Nestę. – Nie przypominacie całej reszty. Nie potrafię przebić się do miejsc, w których pozostawił najgłębszy ślad.

Umysł. Dusza. Posłała mi ostrzegawcze spojrzenie.

– I na twoim miejscu nie próbowałabym, pani.

– Ale czy sądzisz, że coś może być nie tak, skoro nie ma żadnych oznak? – naciskała NESTA.

– Widywałam już wcześniej osoby po ciężkim szoku. Jej objawy są charakterystyczne dla wielu tego rodzaju niewidzialnych ran. Ale... została też stworzona przez coś, czego nie rozumiem. Czy jest z nią coś nie tak?

Madja zastanowiła się przez chwilę.

– Nie podoba mi się to sformułowanie: nie tak. Inna, może. Odmieniona.

– Czy potrzebuje dalszej pomocy? – wycodziła przez zęby NESTA.

Wiekowa uzdrowicielka wskazała ruchem głowy Luciena.

– Zobaczcie, co on zdoła zrobić. Jeśli ktokolwiek może wyczuć, czy coś jest nie w porządku, to jej towarzysz.

– Jak?

To słowo było bardziej warkniętym poleceniem niż pytaniem.

Już miałam upomnieć Nestę, by zachowywała się grzeczniej, ale

Madja odpowiedziała jej, tak jakby mówiła do małego dziecka:

– Więż godowa. To most między duszami.

Nesta zeszywniała na ton uzdrowicielki, ale ta już kuśtykała do drzwi. Zanim wyszła, wycelowała wyprostowany palec w Luciena.

– Spróbuj z nią posiedzieć. Tylko rozmawiać, wyczuwać. Zobacz, co uda ci się wyczuć. Ale nie naciskaj.

Po chwili już jej nie było.

Obróciłam się gwałtownie do Nesty.

– Przydałoby się nieco *szacunku*, Nesto...

– Wezwij inną uzdrowicielkę.

– Mowy nie ma, jeśli będziesz na nie warczała.

– Wezwij inną uzdrowicielkę.

Mor podeszła do nas ze zwodniczym spokojem. Moja siostra posłała jej mordercze spojrzenie.

Napotkałam spojrzenie Luciena.

– Co ty na to?

– Nawet nie próbuj... – warknęła Nesta.

– Cicho bądź – nie wytrzymałam.

Nesta zamrugowała zdziwiona.

Wyszczrzyłam na nią zęby.

– Owszem, spróbuj. A jeśli on niczego nie znajdzie, rozważymy sprowadzenie innej uzdrowicielki.

– Masz zamiar ją tak po prostu tu ściągnąć?

– Mam zamiar ją zaprosić.

Nesta obróciła się do Mor, która wciąż przyglądała się nam z przejścia do pokoju.

– A ty co będziesz robiła?

Mor uśmiechnęła się półgębkiem.

– Będę siedziała z Feyrą. Miała na wszystko oko.

Lucien wymamrotał pod nosem coś na temat tego, jakoby nie trzeba go było pilnować. Wszystkie trzy spojrzaliśmy na niego z uniesionymi brwiami.

Uniósł tylko ręce, mruknął, że musi się odświeżyć, i ruszył korytarzem.

## Rozdział 29

Było to najbardziej niezręczne pół godziny, jakie pamiętam. Sączyłyśmy z Mor schłodzoną herbatkę miętową przy wykuszowym oknie, między nami na stoliczku piętrzyły się odpowiedzi od trzech księżąt, udawałyśmy, że przyglądamy się zalanej letnim słońcem ulicy za oknem, dzieciom fae, zarówno wysokiego rodu, jak i pospolitych, biegającym z latawcami, wstążkami i różnymi zabawkami. Udawałyśmy to wszystko, podczas gdy Lucien i Elaina siedzieli w nerwowej ciszy przy wygaszonym kominku, a między nimi stała nietknięta herbata. Nie śmiałam pytać, czy próbuje dostać się do jej głowy, czy czuje więź, podobną do tego mostu z czarnego adamantu, który łączył umysł Rhysa z moim. Czy zwykła więź godowa była zupełnie inna?

Filizanka zadzwoniła i zazgrzytała o spodek; obie z Mor podniosłyśmy głowy.

Elaina uniosła swoje naczynie i sączyła herbatę, nie patrząc na nikogo. Wiedziałam, że z jadalni naprzeciwko Nesta próbuje dojrzeć przebieg wypadków, gdyż Amrena warknęła na nią, by bardziej uważała.

Amrena powiedziała mi, że budowały ściany – w swoich umysłach. Nakazała Neście usiąść przy jadalnianym stole i zająć miejsce naprzeciwko niej.

Uczyła ją również wyczuwać je – i znajdować powstające w nich dziury. Oraz je naprawiać. Jeśli wydarzenia na Dworze Koszmarów nie nauczyły mojej siostry, co trzeba zrobić, to to było kolejne podejście – inna, niewidzialna droga. „Nie każda magia wiąże się z błyskami i migotaniem” – stwierdziła Amrena zaraz przed tym, jak wygoniła mnie z pomieszczenia.

Jednak jakiegokolwiek ślady tej mocy u mojej siostry... Nie usłyszałam ich, nie widziałam ani nie poczułam.

Żadna nie kwapiła się również do objaśnienia, co właściwie

próbowały z niej wydobyć.

Jakiś ruch na zewnątrz przykuł naszą uwagę. Rhys i Kasjan szli wolno przez frontową furtkę, wracając widocznie z pierwszego spotkania z dowódcami Niosących Mrok, armii Keira – już szykujących się i gotujących do walki.

Przynajmniej to poszło wczoraj dobrze.

Obaj natychmiast zauważyli nas w oknie i zatrzymali się w pół kroku.

„Nie wchodźcie – ostrzegłam Rhysa przez więź. – Lucien próbuje wyczuć, co jest nie tak z Elainą. Przez ich więź”.

Rhys powtórzył cicho moje słowa Kasjanowi, który przechylił głowę w podobny sposób, w jaki robiła to Nesta, by spojrzeć za nas.

„Czy Elaina o tym wie?” – spytał sarkastycznie Rhys.

„Została zaproszona na herbatę. Więc ją właśnie pijemy”.

Rhys znów odezwał się przyciszonym głosem do Kasjana, który zdusił śmiech, po czym odwrócił się i wyszedł z powrotem na ulicę. Rhys wsunął ręce do kieszeni i został nieco dłużej.

„Idzie się napić. Jestem skłonny do niego dołączyć. Kiedy mogę wrócić, nie ryzykując życia?”.

Pokazałam mu przez szybę wulgarny gest.

„Taki wielki i silny ilyryjski wojownik”.

„Ilyryjscy wojownicy wiedzą, kiedy stawać do walki. A z Nestą obserwującą wszystko jak jastrząb i wami dwiema krążącymi jak sępy wiem, kto jest na przegranej pozycji”. Znów pokazałam mu ten sam gest, a Mor, która domyśliła się, o czym mówimy, zawtórowała mi. Rhys roześmiał się cicho i złożył nam przesadny ukłon.

„Książęta przesłali odpowiedzi – powiedziałam kiedy już się oddalał. – Dzień, Świt i Zima się pojawią”.

„Wiem – odparł. – Właśnie otrzymałem wiadomość od Kresejdy, że Tarquin rozważa przyłączenie się do nas”.

Lepsze to niż nic. Co zresztą mu przekazałam.

Rhys uśmiechnął się przez ramię.

„Miłej herbatki, natrętna przyzwoitko”.

„Zdajesz sobie sprawę, że to mnie przydałaby się przyzwoitka, kiedy jestem w twoim towarzystwie”.



„W tym domu miałaś aż cztery”.

Uśmiechnęłam się, kiedy w końcu dotarł do niskiej frontowej furtki, gdzie czekał na niego Kasjan korzystający z ociągania się przyjaciela, by rozprostować skrzydła ku zachwytowi pół tuzina obserwujących go dzieci.

Z drugiego pomieszczenia usłyszałam syczenie Amreny:

– Skup się.

Stół jadalniany aż się zatrzęsł.

Dźwięk ten musiał zaniepokoić Elaine, bo szybko odstawiła filiżankę. Wstała i Lucien natychmiast również się podniósł.

– Przepraszam – wyrzucił z siebie.

– Co... co to było?

Mor położyła mi rękę na kolanie, żeby powstrzymać mnie od wstania.

– To... to było szarpnięcie. Na więzi.

– Ani mi się... – syknęła Amrena. – Paskudna dziewczyna.

Nesta już stała w progu.

– Co zrobiłeś? – Jej słowa były ostre jak brzytwy.

Lucien spojrzał na nią, potem na mnie. Na jego szczęce drgnął mięsień.

– Nic – odpowiedział, zwracając się na powrót ku swojej towarzyszce. – Przepraszam, jeśli cię to...

Elaina podeszła do Nesty, która niemal kipiała.

– To było... dziwne – szepnęła. – Jak pociągnięcie za nić przywiązaną do żebra.

Wyciągnął ku niej dłoń.

– Przepraszam.

Elaina tylko przyglądała mu się dłuższą chwilę. Jakakolwiek świadomość odpłynęła z niej, kiedy przechyliła głowę, mrugając dwukrotnie, i zwróciła się do Nesty:

– Nadchodzą bliźniacze kruki, jeden biały, drugi czarny.

Nesta dobrze ukryła swoje rozczarowanie. Frustrację.

– Co mogę ci przynieść, Elaine?

Tylko w stosunku do niej używała takiego tonu.

Ale Elaine potrzęsnęła głową.

– Słońce.

Nesta rzuciła mi wściekłe spojrzenie, po czym wyprowadziła naszą siostrę korytarzem – do słonecznego ogrodu na tyłach domu.

Lucien poczekał, aż szklane drzwi otworzą się i zamkną, po czym wypuścił ciężko powietrze z płuc.

– Jest więź... i jest ona prawdziwa – powiedział bardziej do siebie niż do nas.

– I...? – dociekała Mor.

Lucien przecesał palcami swoje długie rude włosy. Skórę miał ciemniejszą – w odcieniu głębokiego, złotego brązu – w porównaniu z bladą cerą Erisa.

– Właśnie dostałem się do krańca po stronie Elainy, kiedy uciekła.

– Wyczułeś coś?

– Nie... nie miałem czasu. Czuję ją, ale... – Jego policzki pokrył rumieniec.

Cokolwiek poczuł, nie było to tym, czego szukał. Nawet my nie miałyśmy pojęcia, co to mogło być.

– Możemy spróbować ponownie... innego dnia – zaproponowałam.

Lucien pokiwał głową, ale nie wyglądał na przekonanego.

Amrena krzyknęła z jadalni:

– Czy ktoś mógłby pójść po twoją siostrę? Nie skończyłyśmy lekcji.

– Tak jest, Amreno – westchnęłam.

Uwagę Luciena przykuły listy piętrzące się za mną, pisane różnymi charakterami pisma i na różnych rodzajach papieru. Złote oko zwęziło się. Jako że był posłem Tamlina, byłam pewna, że je rozpoznał.

– Niech zgadnę: zgodzili się, ale teraz problemem będzie wybór odpowiedniego miejsca.

– Jakies pomysły? – zapytała ze zmarszczonym czołem Mor.

Lucien związał włosy brązowym rzemykiem.

– Masz mapę?

Wyglądało na to, że to mnie pozostało pójść po Nestę.

\*\*\*

– Tej sosny nie było tu przed chwilą.

Azriel roześmiał się cicho ze swojego miejsca na gładzie, przyglądając się, jak strzepuje sosnowe igły z włosów i kurty.

– Sądząc po jej rozmiarze, była tu od... dobrych dwustu lat.

Zmarszczyłam ponuro brwi, pozbywając się odłamków kory i mojej nadwerężonej dumy.

To zimno i wyniosłość, tak charakterystyczne dla niego tuż po odrzuceniu w złości przez Mor... złagodniały. Czy dlatego, że Mor zdecydowała się usiąść przy nim wczoraj podczas kolacji... cicha oferta wybaczenia... czy po prostu potrzebował czasu, by to przetrwać?

Nawet ja przysięgłabym, że za każdym razem, kiedy patrzył na Mor, pojawiał się przeblask poczucia winy.

Cokolwiek o tym myślał Kasjan, o własnej złości na Azriela... teraz pozostały już tylko uśmieszki i lubieżne komentarze. Cieszyłam się, że wszystko wróciło do normy... przynajmniej na razie.

Policzki mnie paliły, kiedy spoglądałam taksująco na gład, na którym siedział, i na połyskujące pomiędzy sosnami przynajmniej piętnaście stóp niżej jezioro.

Tymi samymi sosnami, o które popisowo się rozbiłam podczas ostatniej próby zeskoczenia z gładu i poszybowania w stronę jeziora.

Oparłam ręce na biodrach i oceniłam różnicę wysokości, spojrzałam na drzewa i jezioro za nimi.

– Co zrobiłam nie tak?

Azriel, który ostrzył właśnie Prawdomówcę, przeniósł na mnie spojrzenie swych piwnych oczu.

– Poza drzewem?

Pieśniarz cieni miał poczucie humoru. Dyskretne i sarkastyczne, ale... kiedy byliśmy sami, dawało się je zauważyć częściej niż w grupie.

Ostatnie dwa dni spędziłam na dwóch zajęciach: ślęcząc nad starożytnymi tomiszczami w poszukiwaniu jakiegokolwiek strzępka informacji o naprawianiu mentalnych ścian, który wspomógłby Amrenę i Nestę wciąż ćwiczące wznoszenie i naprawienie barier

wokół swoich umysłów; albo też debatując z Rhysem i pozostałymi nad odpowiedziami na masę listów wymienianych teraz z książętami, a dotyczących się miejsca, w którym miałyby się odbyć spotkanie. Lucien faktycznie poddał nam ciekawą możliwość, a potem kilka innych, kiedy pierwsza została odrzucona. To zdaniem samego Luciena, który zdawał się organizować takie spotkania wiele razy, było całkowicie do przewidzenia. Rhys tylko pokiwał głową na znak, że się zgadza... i aprobuje.

A kiedy nie robiłam żadnej z tych dwóch rzeczy... przeczesywałam *więcej* książek – wszystkie, jakie tylko Kloto potrafiła dla mnie znaleźć, szukając czegokolwiek o Uroborosie.

Sposobu, by go ujarzmić.

Zwierciadło cieszyło się złą sławą. Każdy znany filozof poruszał jego temat. Niektórzy mieli odwagę spojrzeć w nie... i wpadali w obłęd. Niektórzy podchodzili doń... i uciekali przerażeni.

Nie udało mi się znaleźć śladów kogokolwiek, komu by się powiodło. Kto spojrzełby w to, co czaiło się w tafli lustra, i odszedł wciąż w pełni władz umysłowych.

Poza Tkaczką z Lasu, która sama wydawała się wystarczająco pomyłona, być może właśnie dzięki zwierciadłu, które tak kochała. A może jakieś zło, które czaiło się w niej, skaziło również lustro. Niektórzy z filozofów zdawali się to właśnie sugerować, choć nie znali jej imienia... pisali tylko, że lustro należało kiedyś do mrocznej królowej i było dla niej bardzo cenne. Dzięki niemu mogła zobaczyć każdego na całym świecie... i używała go do polowania na piękne młode dziewczyny, by sama pozostać wiecznie młodą.

Mogłam założyć, że fakt posiadania zwierciadła przez rodzinę Keira przez tysiąclecia świadczył o tym, że niewielu w ogóle się pokusiło o spojrzenie w nie i przetrwało to.

Nie było to zbyt pokrzepiające.

Zwłaszcza że wszystkie przekazy zgadzały się w jednym: nie było sposobu przechytrzenia go. Znalezienia jakiejś luki. Jediną drogą do ujarznienia lustra było stanięcie twarzą w twarz z tym, co kryje.

To oznaczało, że powinnam raczej rozważyć inne możliwości... inne sposoby przekonania Rzeźbiącego, by nam pomógł. Kiedy

oczywiście znajdzie chwilę.

Azriel schował swój legendarny nóż bojowy i sprawdził rozłożone przeze mnie szeroko skrzydła.

– Wciąż próbujesz używać ramion do sterowania. Masz mięśnie w samych skrzydłach... i w plecach. Ramiona są przy tym zbędne... Bardziej przydają się do zachowywania równowagi. A nawet wtedy dają ci jedynie raczej komfort psychiczny.

To była najdłuższa wypowiedź, jaką kiedykolwiek od niego usłyszałam.

Kiedy zobaczył, że się w niego wpatruję, uniósł brew. Zamknęłam usta. Przyjrzałam się ze zmarszczonym czołem różnicy wysokości.

– Znowu? – mruknęłam.

Odpowiedział mi łagodny śmiech.

– Jeśli chcesz, możemy poszukać niższego punktu.

Skrzywiłam się.

– Mówiłeś, że *ten* jest niski.

Azriel odchylił się, wspierając ciało na rękach, i czekał. Cierpliwy i chłodny.

Przypomniałam sobie korę wpijającą mi się w dłonie i uderzenie, kiedy kolana spotkały się z chropowatą powierzchnią...

– Jesteś nieśmiertelna – powiedział cicho. – Bardzo trudno jest zrobić ci krzywdę. – Zamilkł na chwilę. – To samo sobie powtarzałem.

– Trudno zrobić mi krzywdę – powtórzyłam ponuro. – Ale tak czy owak *boli*.

– Powiedz to drzewu.

Zaśmiałam się krótko.

– Wiem, że to niewysoko, i wiem, że się nie zabiję. Czy mógłbyś po prostu... popchnąć mnie?

Bo to właśnie ten pierwszy skok, to kompletne zdanie się na los, pierwsze puszczenie wszystkiego w ruch, to właśnie sprawiało, że zastygałam.

– Nie – padła krótka odpowiedź.

Wciąż się wahałam.

Bezsensowne... ten strach. Stawiałam czoła attorowi, spadając

w dół tysiąc stóp.

Wściekłość, jaka ogarnęła mnie na samo jego wspomnienie, co zrobił ze swoim żalonym życiem, co jemu podobni wciąż mogą zrobić, spowodowała, że zgrzytnęłam zębami i poczułam przyływ energii, by skoczyć z głazu.

Rozłożyłam szeroko skrzydła, a kiedy złapały wiatr, moje plecy zaprotestowały, jednak nogi wciąż wisiały jak balast, dolna połowa ciała nie wytrzymała...

Przede mną wyrosło kolejne zdradzieckie drzewo, ostro skrzyłam w prawo, żeby uniknąć zderzenia.

I uderzyłam prosto w inne drzewo.

Skrzydłami.

Najpierw usłyszałam odgłos ścięgien i kości szorujących po korze, po ziemi, a potem poczułam ból. I usłyszałam ciche przekleństwo Azriela.

Wydałam z siebie cichy jęk. Najpierw zarejestrowałam szczypanie w dłoniach... potem w kolanach.

Potem w plecach...

– Cholera – to wszystko, na co mogłam się zdobyć, kiedy Azriel uklęknął przy mnie.

– Wszystko w porządku. To tylko szok.

Świat wciąż powracał do normy.

– Dobry unik.

– Prosto w inne drzewo.

– Świadomość otoczenia to połowa sukcesu przy lataniu.

– Już to mówiłeś – warknęłam.

To prawda. Mówił, z tuzin razy, choćby tylko dziś.

Azriel przysiadł na piętach i podał mi rękę, żeby pomóc mi wstać.

Ciało mnie paliło, ale chwyciłam jego palce, zrzucając z siebie ogromną ilość igieł sosnowych i drzazg. Plecy paliły mnie tak, że opuściłam skrzydła, nie dbając o to, że wloką się po ziemi, kiedy Azriel podprowadził mnie na brzeg jeziora.

W oślepiającym słońcu odbijającym się w turkusowej wodzie jego cienie całkiem zniknęły. Twarz miała wyraz trzeźwy i jasny. Bardziej... ludzki niż kiedykolwiek wcześniej.

– Nie ma szans, żebym poleciała razem z legionem, prawda? – spytałam, klękając obok niego, kiedy z zadziwiającą delikatnością zajmował się moimi poranionymi dłońmi.

Słońce podkreślało wszystkie jego blizny, nie pozwalając ukryć ani jednego zdeformowanego kawałka skóry.

– Raczej nie – odpowiedział.

Odebrało mi to nieco animuszu.

– Ale na pewno nie zaszkodzi ćwiczyć aż do ostatniej chwili. Nigdy nie wiesz, kiedy taki trening się przyda.

Skrzywiłam się, kiedy wyciągał z mojej dłoni sporą drzazgę, po czym przemył dokładnie ranę.

– Mnie było bardzo trudno nauczyć się latać – powiedział. Nie śmiałam się odezwać. – Większość Ilyrów uczy się latać jeszcze jako małe szkraby. Ale... zakładam, że Rhysand podzielił się z tobą szczegółami mojego wczesnego dzieciństwa.

Pokiwałam głową. Skończył już z jedną moją ręką i wziął się do drugiej.

– Ponieważ byłem już duży, odczuwałem lęk przed lataniem... i nie ufałem swoim instynktom. To było... upokarzające, uczyć się tak późno. Nie tylko dla mnie, ale dla całego obozu, kiedy do niego przybyłem. Ale opanowałem to, często trenując w odosobnieniu. Oczywiście Kasjan znalazł mnie pierwszy. Wykpił mnie, potem stłukł na kwaśne jabłko i zaproponował, że będzie mi pomagał ćwiczyć. Następnego dnia był tam Rhys. To oni nauczyli mnie latać.

Skończył opatrywać moją drugą dłoń i usiadł na brzegu z chrzęstem kamieni. Przycupnęłam obok, opierając obolałe dłonie na kolanach wnętrzem do góry i pozwalając skrzydłom zwisać za mną.

– Ponieważ to był taki wysiłek... Kilka lat po wojnie Rhys przyniósł mi opowieść. To był dar... ta opowieść. Dla mnie. On... on udał się odwiedzić Miriam i Drakona w ich nowym domu. Wizyta była owiana taką tajemnicą, że nawet my aż do jego powrotu o niej nie wiedzieliśmy. Byliśmy świadomi, że ich ludzie nie utonęli, jak wszyscy wierzyli; jak chcieli, by wszyscy wierzyli. Widzisz, kiedy Miriam uwolniła swój lud od królowej Czarnej Łądy, poprowadziła

ich... prawie pięćdziesiąt tysięcy... przez pustynię, aż do brzegów Morza Erythriańskiego, osłaniał ich powietrzny legion Drakona. Ale kiedy dotarli na miejsce, zobaczyli, że statki, które miały na nich czekać, by przewieźć ich przez wąski kanał do sąsiedniego królestwa, zostały zniszczone. Zniszczyła je sama królowa, która wysłała swoją armię w celu sprowadzenia byłych niewolników z powrotem. Ludzie Drakona... serafini... są skrzydlaci. Jak my, tylko ich skrzydła pokryte są piórami. I przeciwnie niż u nas w ich społeczeństwie kobiety mogą walczyć, dowodzić i rządzić. Wszyscy władają potężną magią powietrza i wiatru. Kiedy zobaczyli tę armię szarżującą na nich, wiedzieli, że ich siły są zbyt małe, by ją odeprzeć. Rozdzielili więc wody kanału aż po przeciwległy brzeg i nakazali ludziom biec. Tak też zrobili, ale Miriam upierała się zostać, aż ostatni z jej ludzi znalazł się po drugiej stronie. Nie zgodziła się zostawić nawet jednej osoby. Byli już mniej więcej w połowie, kiedy dosięgła ich armia. Serafini byli wykończeni... ich magia ledwo dawała radę utrzymać przejście przez morze. Drakon wiedział jednak, że jeśli będą dalej utrzymywać przejście, armia wtargnie tam i wyrznie wszystkich do nogi po drugiej stronie. Serafini odparli awangardę. To była chaotyczna, brutalna i krwawa potyczka... W czasie walki nie zauważyli, że Miriam została pchnięta włócznią przez samą królową. Drakon nie zauważył. Myślał, że przeszła na drugą stronę, przeniesiona przez jednego z jego żołnierzy. Nakazał więc puścić z powrotem wody morskie, które zatopiły ścigających ich żołnierzy. Na szczęście młoda serafinka imieniem Nephelle zobaczyła, jak Miriam pada. Ukochana Nephelle była jednym z generałów Drakona, i to ona zauważyła, że obydwo nie ma. Drakon odchodził od zmysłów, ale jego magia niemal całkowicie się wyczerpała i nic nie było w stanie powstrzymać napierającej wody; nikt również nie dałby rady dotrzeć do jego towarzyszki na czas. Jednak Nephelle się udało. Widzisz, Nephelle była kartografką, ponieważ została odrzucona przez walczącą część legionu. Jej skrzydła były za małe i trochę zdeformowane. Poza tym była drobniutka... tak niska, że czyniłaby niebezpieczną wyrwę w walczących tarcza w tarczę szeregach.



Drakon pozwolił jej starać się o miejsce w legionie tylko ze względu na jej ukochaną, ale Nephelle po prostu nie dawała rady. Ledwie była w stanie unieść seraficką tarczę, a jej mniejsze skrzydła nie były dość silne, by dotrzymać kroku pozostałym. Stała się więc wybitną kartografką podczas wojny i często pomagała Drakonowi i swojej ukochanej wyszukiwać przed bitwą dogodniejsze pozycje. Przez te długie miesiące stała się też najdroższą przyjaciółką Miriam. Tego dnia na dnie morza Nephelle pamiętała, że jej przyjaciółka była jedną z ostatnich w grupie. Wróciła więc po nią, nawet kiedy wszyscy inni polecili już na przeciwległy brzeg. Znalazła Miriam wykrwawiającą się, przebitą włócznią. Ściany wody zaczęły spadać... na przeciwległym brzegu. Zabijając wrogą armię... ale też niebezpiecznie szybko się do nich zbliżając. Miriam chciała, by Nephelle się ratowała sama, ale ona ani myślała opuścić przyjaciółkę. Podniosła ją i zaczęła lecieć.

Głos Azriela przepęnlony był podziwem.

– Kiedy kilka lat później Rhys rozmawiał o tym z Drakonem, ten wciąż nie znajdował słów, by opisać to, co się stało. To przeczyło logice, całemu treningowi Nephelle, która nie była dość silna, by nosić seraficką tarczę, a przeniosła Miriam... ważącą trzy razy tyle. A co więcej... Ona *poleciała*. Morze z hukiem spadało na nie, ale Nephelle leciała jak najlepsi seraficy wojownicy. Dno morza było labiryntem poszarpanych skał, zbyt wąskich, by serafin mógł tamtędy przelecieć. Próbowali podczas ucieczki i rozbijali się o głazy. Jednak Nephelle, ze swoimi mniejszymi skrzydłami... Jeśli byłyby choć o cal większe, nie zmieściłaby się. Co więcej... Nephelle szybowała pomiędzy nimi z konającą Miriam w ramionach ze zwinnością najlepszego z serafinów. Nephelle, która została odrzucona, zapomniana... Prześcignęła samą śmierć. Od wody po obu stronach nie dzieliła jej więcej niż stopa. Fale już chlupotały u jej nóg, kiedy wystrzeliła w górę. Jej zbyt małe, zdeformowane skrzydła... nie zawiodły jej. Ani na chwilę. Nawet przez jedno uderzenie.

Poczułam łzy napływające do oczu.

– Dała radę. Łatwo się domyślić, że jej ukochana poślubiła ją

jeszcze tej samej nocy, a Miriam... Cóż, żyje dzisiaj tylko dzięki Nephelle.

Azriel podniósł płaski biały kamień i obrócił go w dłoniach.

– Rhys opowiedział mi tę historię, kiedy wrócił. Od tego czasu zaadaptowaliśmy filozofię Nephelle do potrzeb naszej armii. – Uniosłam pytająco brew. – My... Rhys, Kasjan i ja... od czasu do czasu przypominamy sobie, że to, co jest naszą największą słabością, może czasem okazać się naszą największą siłą. I że właśnie osoba, po której by się tego najmniej spodziewać, może odmienić bieg historii.

– Filozofia Nephelle.

Pokiwał głową.

– Podobno w ich królestwie co roku urządzają w uznaniu jej lotu Wyścig Nephelle. Na suchym lądzie, ale... Dla upamiętnienia wydarzeń tamtego dnia ona i jej małżonka co roku koronują nowego zwycięzcę.

Rzucił kamień z powrotem pomiędzy podobne leżące na brzegu. Odgłos poniósł się po wodzie.

– Będziemy więc trenować, Feyro, tak długo, jak to będzie możliwe, do ostatniego dnia. Ponieważ nigdy nie wiemy, czy taka jedna dodatkowa godzina nie zmieni kiedyś wszystkiego.

Rozważyłam jego słowa, historię Nephelle.

Wstałam i rozłożyłam skrzydła.

– No to spróbujmy ponownie.

\*\*\*

Tego wieczora, kiedy dowlokłam się do naszej sypialni, jęcząc i kulejąc, znalazłam Rhysa za biurkiem, pochylonego nad księgami.

– Ostrzegałam cię, że Azriel to twardy cholernik – powiedział, nie podnosząc wzroku.

Uniósł rękę i w przyległej komnacie łazienkowej zabulgotała woda.

Wymamrotałam podziękowanie i poczłapałam tam, zaciskając zęby z bólu przeszywającego do szpiku kości plecy i uda. Wszystko mnie bolało, a ponieważ mięśnie wokół skrzydeł musiały się odtworzyć, ich ciężar też musiałam nosić. Odgłos szorowania

skrzydeł po drewnianej podłodze, a potem po dywanie, był jedynym, jaki towarzyszył szuraniu moich znużonych stóp. Spojrzałam na parującą kąpiel. Dostanie się do wanny wymagało ode mnie nieco wysiłku. Jęknęłam. Nawet zdjęcie ubrania wiązało się z koniecznością użycia mięśni, które już prawie odmówiły posłuszeństwa.

W sypialni zaszurało krzesło, potem rozległy się kocie kroki i...

– Zakładam, że wiesz dobrze, iż żeby móc się wykąpać, musisz realnie wejść do tej wanny, a nie tylko się w nią wpatrywać.

Nie miałam nawet siły, żeby spiorunować go wzrokiem. Zdołałam tylko zrobić jeden chwiejny, sztywny krok w stronę wody, kiedy mnie złapał. Moje ubranie zniknęło – założyłam, że zostało posłane do pralni na dole – a Rhys chwycił mnie w ramiona i naga opuszczył do wody. Ledwie się zmieściłam ze skrzydłami i...

Wydałam głęboki, gardłowy jęk, kiedy przeniknęło mnie cudowne ciepło wody. Nie dbałam już o nic poza odchyleniem się i wsparciem głowy o brzeg wanny.

– Zaraz wracam – powiedział Rhys, wychodząc z komnaty łazienkowej, a potem w ogóle z sypialni.

Musiałam zasnąć podczas jego nieobecności, gdyż nagle poczułam na ramieniu dotyk dłoni.

– Wyłaż – powiedział, ale chwilę potem sam wyjął mnie z wody, osuszył i poprowadził do łóżka.

Położył mnie na brzuchu i wtedy zauważyłam ustawione obok olejki i balsamy, poczułam lekki zapach rozmarynu i... czegoś, czego nie miałam siły sobie przypominać, ale pachniało cudownie. Nałożył sporą ilość na dłonie, tak że aż całe lśniły, po czym zaczął masować.

Moje jęki miały w sobie niewiele godności, kiedy ugniatał obolałe mięśnie pleców. Bardziej tkliwe miejsca wywoływały dość żałosne miauknięcia, ale rozmasowywał je delikatnie, póki całe napięcie nie zniknęło, a ostry ból nie zamienił się w tępe ćmienie.

Potem przeszedł do skrzydeł.

Ulga i rozkosz, kiedy mięśnie w tych delikatnych regionach rozluźniały się pod jego delikatnym czułym dotykiem.

Palce stóp mi się podkurczyły, a żołądek ścisnął... a on dopiero

doszedł do jednego wrażliwego miejsca. Teraz zsunął dłonie na moje łydki. Rozpoczął powolną wędrówkę w górę nóg, od czasu do czasu drażniąc się ze mną i muskając ich wewnętrzną stronę. Oddychałam już ciężko przez nos.

W swojej wędrówce Rhys doszedł już do pośladków, które masował z równą wprawą i równie niemoralnie. Wreszcie przeniósł się na dół pleców w stronę skrzydeł.

Jego dotyk zmienił się teraz. Stał się badający. Zamaszyste, gładzące ruchy i delikatne musnięcia, łuki, kręgi i długie posuwiste pociągnięcia.

Coraz bardziej się rozgrzewałam i aż przygryzłam wargę, kiedy przesunął paznokciem po tym wewnętrznym wrażliwym punkcie.

– Jaka szkoda, że jesteś zbyt zmęczona po treningu – rzucił lekko, jednocześnie kreśląc leniwie koła na mojej skórze.

Zdołałam ledwie wydobyć z siebie ciąg słów, które były jednocześnie prośbą i obelgą.

Nachylił się tak, że jego oddech ogrzewał punkt między moimi skrzydłami.

– Czy mówiłem ci już, że nie słyszałem, żeby ktokolwiek inny wyrażał się równie plugawo?

Stłumione dźwięki, które usłyszał w odpowiedzi, bardziej utwierdziły go w tym mniemaniu, niż je rozwiały.

Zaśmiał się krótko i musnął obrzeże tego wrażliwego miejsca, podczas gdy jego druga ręka powędrowała między moje uda.

Bezwstydnie uniosłam biodra, bez słów dając mu do zrozumienia, że chcę więcej. Ale on tylko wodził palcem leniwie po moim skrzydle. Całował kręgosłup.

– Jakże mam się dzisiaj z tobą kochać, droga Feyro?

Wiłam się, próbując ocierać się o znajdujący się przede mną koc, żeby choć trochę ulżyć rosnącemu we mnie napięciu, kiedy on cały czas utrzymywał mnie na skraju otchłani.

– Ależ jesteś niecierpliwa – wymruczał, wsuwając we mnie palec.

Uczucie było tak silne, tak intensywne, że aż zajęczałam. Jedną z jego dłoni między moimi udami, drugą wodziła po skrzydle bliżej i bliżej tego najwrażliwszego miejsca, zupełnie jak drapieжник

krążący wokół ofiary.

– Czy zawsze już tak będzie? – spytał, bardziej siebie niż mnie, dołączając kolejny palec, wsuwając i wysuwając je leniwymi ruchami, jakby się ze mną droczył. – Będę cię pragnął... w każdej godzinie, z każdym oddechem. Nie wiem, czy zniosę tego tysiąc lat. – Moje biodra poruszały się razem z nim, sprawiając, że sięgał coraz głębiej. – Pomyśl o tym, jak cierpi na tym moja wydajność.

Warknęłam do niego coś, co na pewno *nie* było romantyczne, ale on tylko zaśmiał się i wysunął całkowicie palce. Wydałam z siebie żalostny odgłos protestu. Wtedy zastąpił palce ustami, dłońmi przytrzymał biodra, by unieść je w górę, co dało mu lepszy dostęp, by się mną delectować. Jęczałam głośno, ale dźwięki tłumione były przez poduszkę, a on tylko sięgał głębiej, drażniąc i drocząc się ze mną każdym muśnięciem.

Wydałam z siebie przeciągły jęk, poruszając kolicie biodrami. Rhys tylko chwycił mnie mocniej, przytrzymując w miejscu, by mógł kontynuować.

– Nigdy nie miałem okazji wziąć cię w bibliotecę – powiedział, przeciągając językiem przez sam środek wrażliwej tkanki. – Musimy to zmienić.

– Rhys.

Jego imię brzmiało w moich ustach jak prośba.

– Hmmm – odparł tylko, pomruk jego głosu wprawił moją skórę w drżenie...

Oddychałam ciężko, zaciskając dłonie na pościeli.

Jego palce zniknęły wreszcie z moich bioder. Wszeptałam jego imię z ulgą, ciesząc się, że wreszcie da mi to, czego pragnę...

Wtedy jednak jego usta zamknęły się na kłębuszku zakończeń nerwowych między moimi udami, podczas gdy dłoń... podążyła prosto do tego niesamowitego miejsca na krawędzi lewego skrzydła i pogładziła je lekko.

Wydałam z siebie gardłowy okrzyk, kiedy wybuchł we mnie orgazm, niemal mnie wyrzucając poza moje własne ciało. Jednak kiedy przestały wstrząsać mną spazmy i przygasło światło gwiazd...

Przytłoczyło mnie straszliwe zmęczenie, tak wieczne i trwałe jak

nasza więź godowa. Rhys położył się za mną i wtulił mnie w siebie, układając moje skrzydła tak, by mógł przysunąć się jak najbliżej.

– To był ciekawy eksperyment – wymruczał mi do ucha.

Czułam go na swoich pośladkach, był twardy i gotowy, ale kiedy wyciągnęłam rękę, by po niego sięgnąć, jego ramiona tylko zacisnęły się na mnie mocniej.

– Śpij, Feyro – powiedział.

Położyłam więc dłoń na jego przedramieniu i wtuliłam głowę w jego pierś.

– Chciałabym mieć całe dni, by móc spędzać je z tobą... w ten sposób – zdołałam jeszcze wyszeptać, choć oczy same już mi się zamykały. – Tylko ty i ja.

– Będziemy je mieli. – Pocałował moje włosy. – Będziemy.

## Rozdział 30

Następnego dnia byłam wciąż na tyle obolała, że musiałam odwołać trening z Kasjanem. I z Azrielem.

Być może był to jednak błąd, ponieważ obaj w ciągu kilku minut pojawili się w drzwiach domu, pierwszy, domagając się odpowiedzi, co się ze mną, na Kocioł, dzieje, a drugi, niosąc puszkę maści na moje obolałe plecy.

Podziękowałam Azrielowi za maść i zaproponowałam Kasjanowi, żeby pilnował własnych spraw.

Potem zaś zaproponowałam mu, żeby zaniósł Nestę do Domu Wiatru, ponieważ ja z pewnością nie byłam w stanie tego dzisiaj zrobić – po przeskoczeniu nie mogłabym przelecieć nawet kilku stóp.

Wyglądało na to, że moja siostra nie znalazła w swoich księgach niczego o naprawianiu barier – a ponieważ nikt dotąd nie pokazał jej biblioteki, postanowiłam sama to zrobić.

Zwłaszcza że Lucien jeszcze przed śniadaniem wyruszył do biblioteki na drugim krańcu miasta, by szukać podobnych informacji – to zadanie chętnie na niego scedowałam. Może i czułabym się winna, że nigdy nie pokazałam mu oficjalnie Velaris, ale... zdawał się bardzo chętny na tę wyprawę. Nawet więcej – sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się doczekać samodzielnego wyruszenia w miasto.

Dwóch Ilyrów przestało przyglądać mi się bacznie na chwilę wystarczającą, by dostrzec moje siostry, które właśnie kończyły śniadanie. Elaina miała dziś na sobie suknię w kolorze brudnego różu, zaś Nesta bladoszarą, która podkreślała jej stalowe oczy.

Obaj zdębieli na chwilę. Zaraz jednak Azriel się uklonił, Kasjan zaś podszedł do stołu jadalnianego, sięgnął ponad ramieniem Nesty i wziął z koszyczka babeczkę.

– Dzień dobry, Nesto – powiedział, przeżuwając jagodowo-cytrynowy wypiek. – Elaino.

Nozdrza Nesty rozděły się, ale Elaina spojrzęła na Kasjana i zamrugęła dwukrotnie.

– Potrzaskęł ci skrzydła, połamęł kości.

Staręłam się odpędzić wspomnienie krzyków Kasjana... bryzgęjącej krwi.

Nesta wbięła wzrok w talerz. Przynajmniej Elaina nie byęła w swoim pokoju, ale...

– Potrzeba trochę więcej, żeby mnie zabić – odparęł Kasjan z szelmowskim, nieco nieszczerym, uśmiezkęm.

Elaina tylko odrzekęła:

– Nie, nie potrzeba.

Kasjan ścięgnęł swoje cięmne brwi. Przesunęłam dłonię po twarzy, po czym podeszęłam do Elainy i dotknęłam jej wychudzonego ramienia.

– Może chciaęabyś pójść do ogrodu? Zięła, które posadzięłaś, pięknie rosnę.

– Pomogę jej – zaoferowęł Azriel, podchodząc do stołu.

Elaina bezgłęśnie podniosęła się z krzesła. Kiedy wycięgał do niej rękę, koło jego uszu i między palcami dłoni nie więły się żadne cienie.

Nesta obserwowęła go jak jastrzęb, ale nie odezwaęła się, kiedy jej siostra ujęła jego dłoń i kiedy razem wyszli.

Kasjan skończył babeczkę i oblizał palce. Przysięgęłabym, że Nesta przyględaęła mu się cały czas z ukosa. Uśmiechnęł się do niej szeroko, jakby doskonale o tym wiedział.

– Gotowa na polatanie sobie, Nes?

– Nie zwracęj się do mnie w ten sposób.

Niewłaściwa reakcja, jeśli sędzić po tym, jak oczy Kasjana się zaświeciły.

Zdecydowęłam się w tamtej chwili przeskoczyć w powietrze ponad domem, podsmiewając się, kiedy wiatr nięł mnie przez świat. Mały siostrzany odwet, można by powiedzieć. Za całokształt zachowania Nesty.

Na szczęście nikt nie zobaczył mojego niezbyt miękkiego lędowania na werandzie, a zanim na niebie pojawięła się cięmna sylwetka Kasjana i zalśnięły bręzem w porannym słońcu włosy Nesty,



zdążyłam już otrzepać kurz i pył z mojej skórzni.

Twarz mojej siostry była zaróżowiona od wiatru. Kasjan delikatnie postawił ją na posadzce. Podeszła do szklanych drzwi, nie oglądając się nawet za siebie.

– Proszę bardzo – krzyknął za nią Kasjan, a w jego głosie czuć było trochę gorzkości.

Dłonie zwinęły mu się w pięści, po czym opadły po bokach... Jakby starał się pozbyć ciężaru jej ciała ze swych dłoni.

– Dziękuję – odezwałam się, ale Kasjan nie pożegnał się nawet, tylko wystrzelił w powietrze i zniknął w chmurach.

Biblioteka pod Domem Wiatru była mroczna i cicha. Drzwi rozwarły się przed nami tak samo, jak kiedy byłam tu pierwszy raz z Rhysem.

Nesta milczała i lustrowała dokładnie każdą półkę i wnękę, zwisający kandelabr, kiedy prowadziłam ją w dół, na poziom, na którym Kłoto znalazła księgi. Pokazałam jej mały zakątek do czytania, z którego sama korzystałam, wskazałam biurko.

– Wiem, że Kasjan działa ci na nerwy, ale jestem również ciekawa, skąd wiesz, czego szukać, jeśli chodzi o barierę.

Nesta przesunęła palcem po antycznym meblu.

– Po prostu wiem.

– Skąd?

– Tego nie wiem. Amrena poleciła mi po prostu... zobaczyć, czy informacja „zaskoczy”.

I może trochę ją to przerażało. Intrygowało, ale też przerażało. I nie milczała przy Kasjanie, żeby mu zrobić na złość, ale żeby nie okazać słabości. Nie zdradzić braku kontroli.

Nie naciskałam. Przyglądałam się jej przez dłuższą chwilę, ale nie wiedziałam, jak ugryźć ten temat. Jak zapytać ją, czy wszystko w porządku, czy może mogę jej jakoś pomóc. Nigdy nie okazywałam jej wiele czułości... nigdy nawet jej nie przytuliłam. Nie pocałowałam w policzek. Nie wiedziałam, jak zacząć. Powiedziałam więc tylko:

– Rhyś powiedział mi, gdzie można tu znaleźć różne księgi. Myślę, że więcej informacji o Kotle i barierze może być kilka poziomów

nizej. Możesz tu poczekać albo...

– Pomogę ci szukać.

Poszliśmy w milczeniu pochyłą kładką. Towarzyszył nam jedynie szelest papieru lub sunących po kamiennej posadzce szat kapłanek. Szeptem opowiadałam Neście, kim one są... co tu robią. Wyjaśniłam, że chcemy z Rhysem zapewnić azyl wszystkim ludziom, którzy zdołają dotrzeć do Velaris.

Milczała. Im niżej schodziłyśmy, tym większa zapadała wokół nas cisza. Ciemna czeluść po mojej prawej zdawała się gęstnieć z każdym naszym krokiem.

Doszliśmy już do wgrzyzającej się w głąb góry ścieżki, zastawionej regałami pełnymi książek, którą oświetlało tylko zamknięte w kulach czarodziejskie światło rozbłyskujące, kiedy je mijałyśmy. Nesta przyglądała się półkom, ja czytałam tytuły... Dość wolno, wciąż potrzebowałam czasu, by przetworzyć to, co mojej siostrze zdawało się przychodzić naturalnie.

– Nie wiedziałam, że naprawdę nie umiesz czytać – powiedziała Nesta, przystając przy niczym niewyróżniającym się regale, kiedy zauważyła, że bezgłośnie powtarzam każde słowo tytułów. – Nie wiedziałam, do czego doszły twoje guwernantki, kiedy... kiedy to wszystko się wydarzyło. Założyłam, że czytasz równie dobrze jak my.

– Cóż, tak nie było.

– Dlaczego nigdy nie poprosiłaś którejś z nas, by cię nauczyła?

Przeciągnęłam palcem po równiutkim rzędzie grzbietów.

– Ponieważ wątpiłam, że zgodzicie się mi pomóc.

Nesta zeszywniała, jakbym ją uderzyła, a w jej oczach pojawiły się ostre błyski. Zdjęła z półki książkę.

– Amrena mówiła, że to Rhysand nauczył cię czytać.

Policzki mi zapłonęły.

– To prawda.

I wtedy, w głębinach pod światem, gdzie towarzyszyła nam tylko ciemność, zapytałam:

– Dlaczego zawsze odpychałaś każdego poza Elainą?

„Dlaczego zawsze mnie odpychałaś?”.

W jej oczach zawirowwały emocje. Krtań się poruszyła, kiedy gwałtownie nabrała powietrza.

– Ponieważ...

Zamilkła.

Poczułam to w tej samej chwili co ona.

Drżenie i wstrząs. Jakby... jakby część świata poruszyła się, jakby uderzony został fałszywy ton. Spojrzałyśmy w rozświetloną część korytarza, którą przyszyliśmy, po czym w ciemność wiodącą daleko, daleko w drugą stronę. Czarodziejskie światła zaczęły migotać i gasnąć. Jedne po drugich.

Coraz bliżej i bliżej nas.

Miałam przy sobie tylko jeden ilyryjski nóż.

– Co to takiego? – szepnęła Nesta.

– Uciekaj – odpowiedziałam tylko.

Nie dałam jej szansy zaprotestować. Chwyciłam ją za łokieć i ruszyłam pędem w stronę stosów ułożonych przy wylocie. Czarodziejskie światła rozbłyskały przed nami, lecz po chwili zostały pochłonięte przez ścigającą nas ciemność.

Wolno... moja siostra w tej sukience biegła tak straszliwie wolno, jej ogólny brak kondycji...

„Rhys”.

Nic.

Jeśli bariery wokół Więzienia były na tyle grube, by zapobiec komunikacji... Może takie same postawiono tutaj.

Pojawiła się ściana... za nią sala. Kolejne rozwidlenie: w lewo do góry, w prawo ostro w dół...

Ciemność spływała z góry. Jednak smolisty mrok wiodący głębiej był inny... świeży i zachęcający.

Skręciłam w prawo.

– Szybciej – ponaglałam.

Jeśli udałoby się nam doprowadzić to coś, co nas ścigało, głębiej, być może mogłybyśmy zawrócić. Mogłabym przeskoczyć...

Przeskoczyć. Mogłabym przeskoczyć *teraz*...

Złapałam rękę Nesty.

Właśnie wtedy ciemność za nami zatrzymała się i wyszło z niej

dwóch fae wysokiego rodu. Jeden ciemnowłosy, drugi jasny. Obaj w szarych kurtkach wyszywanych wzorem w kolorze białym jak kość.

Znałam herby wyszyte na ich prawych ramionach. Znałam te martwe oczy.

Hybernia. Hybernijczycy byli *tutaj*...

Nie zdążyłam zrobić uniku wystarczająco szybko, kiedy jeden z nich dmuchnął w naszą stronę. Kiedy niebieski pył zguby fae dostał się do moich oczu, nosa i ust, moja magia przestała działać.

Zdławiony wdech Nesty powiedział mi, że poczuła coś podobnego.

Jednak to właśnie na niej ci dwaj skupili swoją uwagę, kiedy ja zatoczyłam się w tył. Łzy płynęły mi z oczu i plułam pyłem. Chwyciłam ją za ramię, usiłując przeskoczyć. Daremnie.

Za nimi zakapturzona kapłanka osunęła się na ziemię.

– Tak łatwo dostać się do ich umysłów, kiedy nasz pan przepuścił nas przez bariery ochronne – powiedział jeden z fae... ten ciemnowłosy. – Sprawić, by sądziły, że jesteśmy uczonymi. Zamierzaliśmy wybrać się po ciebie... Ale wygląda na to, że to ty znalazłaś nas pierwsza.

Wszystko to mówił do mojej siostry. Twarz Nesty była niemal biała, ale w oczach nie znać było lęku.

– Kim jesteście?

Białowłosy uśmiechnął się szeroko. Obaj podchodzili coraz bliżej.

– Jesteśmy Krukami króla. Jego latającymi daleko oczami i pazurami. I przyszliśmy zabrać cię ze sobą.

Król... ich pan. On... Matko najświętsza.

Czy król był w Velaris?

„Rhys – uderzałam mentalną dłonią w więź. – Rhys!”.

Nic.

Oddech Nesty przyśpieszył. Przy bokach bieli miecze, po jednym z każdej strony. Ich ramiona były szerokie, świadczące o silnych mięśniach pod tymi kosztownymi szatami.

– Nigdzie jej nie zabieracie – powiedziałam, chwytając swój nóż.

W jaki sposób król tego dokonał... przybył tu niezauważony i przełamał nasze zaklęcia?

Jeśli zaś był w Velaris... Odsunęłam od siebie przerażenie, jakie wywoływała ta konstatacja. Sama myśl o tym, co mógłby zrobić poza tą biblioteką w ukryciu, niewidoczny...

– Ty też jesteś niespodziewaną gratką – odezwał się do mnie ciemnowłosey. – Ale twoja siostra... – Błysnął w uśmiechu zbyt białymi zębami. – Wzięłaś coś z Kotła, dziewczyno. Król chce to odzyskać.

To dlatego Kocioł nie był w stanie strzaskać muru. Nie dlatego, że wyczerpał swoją moc.

Ale dlatego, że Nesta skradła mu jej zbyt wiele.

## Rozdział 31

Rozważyłam możliwości, jakie mi pozostały.

Wątpiłam, by ci dwaj, nazywający się Krukami króla, byli na tyle głupi, żeby gadać tak długo, aż moje moce powrócą. Do tego, jeśli król naprawdę tu był... Musiałam wszystkich ostrzec. *Natychmiast*.

Miałam trzy możliwości.

Spróbować pokonać ich w walce wręcz, mając do dyspozycji jeden nóż bojowy, podczas gdy każdy z nich dysponował dwoma mieczami i ewidentnie doskonale wiedział, jak ich używać.

Spróbować uciekać i wydostać się z biblioteki... ryzykując życie i fundując jeszcze większą traumę kapłankom znajdującym się na wyższych poziomach.

Albo...

– Jeśli król chce dostać to, co zabrałam – powiedziała Nesta – niech sobie sam przyjdzie to odebrać.

– Jest zbyt zajęty, by się tym zajmować – wymruczał białowłosey, robiąc kolejny krok.

– Ale najwyraźniej ty nie jesteś.

Zacisnęłam palce na dłoni Nesty. Spojrzała na mnie.

„Musisz mi zaufać” – próbowałam jej przekazać.

Nesta odczytała emocje malujące się w moich oczach – i niezauważalnie skinęła głową.

Zwróciłam się do nich.

– Popelniliście błąd, przychodząc tutaj. Do *mojego* domu.

Zaśmiali się szyderczo.

Uśmiechnęłam się równie drwiąco i kontynuowałam:

– I mam nadzieję, że rozerwie was na krwawe strzępy – dokończyłam, po czym rzuciłam się do ucieczki, wlokąc za sobą Nestę.

Jednak nie pobiegłam w stronę wyższych poziomów. Lecz w dół.

Prosto w wiekiustą ciemność drzemiącą w samym sercu biblioteki.

Prosto w ramiona czegokolwiek, co tam się czało.

\*\*\*

Wokoło i w dół, wokoło i w dół...

Półki i papiery, meble i ciemność, powietrze stawało się coraz bardziej wilgotne i zatechłe, jakby gęstniało, ciemność zdawała się osiadać na mojej skórze jak rosa. Oddech Nesty stawał się coraz cięższy, jej spódnica szeleściła z każdym kolejnym śpiesznym krokiem.

Czas – to tylko kwestia czasu, zanim któraś z kapłanek skontaktuje się z Rhysem.

Przed nami przestały pojawiać się czarodziejskie światła.

Za nami rozległ się paskudny śmiech.

– Nie tak łatwo znaleźć drogę w ciemnościach, prawda?

– Nie zatrzymuj się – wydyszałam do Nesty, pchając nas obie głębiej w ciemność.

Nagle rozległ się wysoki zgrzytliwy dźwięk. Jakby pazurów drapiących po kamieniu. Jeden z Kruków rzucił za nami śpiewnie:

– Wiecie, co się przytrafiło... królowym?

– Biegnij dalej – szepnęłam, sunąc dłonią po kamieniu, by nie zgubić się w tej ciemności.

Wkrótce... niedługo dotrzemy na sam dół, a wtedy... A wtedy staniemy twarzą w twarz z czymś tak straszliwym, że Kasjan nie chciał o tym nawet rozmawiać.

Mniejsze zło... albo straszliwsze.

Kruk ciągnął:

– Najmłodsza... ta suka o skwaszonej twarzy... wskoczyła do Kotła pierwsza. Niemal podeptała pozostałe, by się do niego dostać, kiedy zobaczyła, co zrobił z tobą i twoją siostrą.

– Nie zatrzymuj się – powtórzyłam, kiedy Nesta się potknęła. – Jeśli coś mi się stanie, *uciekaj*.

Nad tym wyborem nie musiałam się zastanawiać. Nawet przez chwilę. Nie przerażał mnie.

Kamień zazgrzytał pod bliźniaczymi dłońmi zaopatrzonymi w pazury.

– Ale Kocioł... On wiedział, że coś zostało z niego zabrane. Nie jest świadomy, a jednak... wiedział. Był wściekły. Więc kiedy młoda królowa wskoczyła do niego...

Krukowie roześmiali się. Śmiali się nadal, kiedy dotarliśmy na samo dno biblioteki.

– Och, oczywiście zapewnił jej nieśmiertelność. Zmienił ją w fae. Ale ponieważ coś zostało mu zabrane... Kocioł zabrał to, co jej było najdroższe. Jej młodość. – Znów zaśmiali się szyderczo. – Wskoczyła młoda kobieta, wyszła zwiędła starucha.

Gdzieś z otchłani świadomości wróciły do mnie słowa Elainy: „Widziałam młode dłonie więdnące ze starości”.

– Pozostałe królowe nie chciały już wskakiwać do Kotła z obawy, że przydarzy im się to samo. A ta najmłodsza... Och, żebyś jej posłuchała, Nesto Archeron. Co ona chce z tobą zrobić, kiedy król Hybernii już z tobą skończy...

„Nadchodzą bliźniacze kruki”.

Elaina wiedziała. Wyczuła to. Próbowwała nas ostrzec. Wokół nas leżały starożytne zbiory. Przynajmniej wydawało mi się, że czuję je pod palcami, kiedy biegnąc przed siebie na oślep, wpadałyśmy na niezliczone załomy ścian. Gdzie to było, gdzie to było...

Zagłębiałyśmy się coraz bardziej w ciemność.

– Ten pościg zaczyna nas nudzić – odezwał się jeden z napastników. – Nasz pan czeka na dostarczenie ciebie.

Prychnęłam wystarczająco głośno, by mnie usłyszeli.

– Zdziwiający, że w ogóle znalazł siły, by przebić się przez bariery ochronne. Skoro wygląda na to, że do wszystkiego musi używać artefaktów.

Drugi z Kruków syknął, a szpony zazgrzytały głośnie.

– Jak myślisz, czyją księgę zaklęć Amarantha ukradła wiele dekad temu? Kto wpadł na pomysł, by ukarać członków Dworu Wiosny, przytwierdzając im maski do twarzy? Zaklęcie, które przebiło dzisiaj wasze bariery... to kolejny przykład. Niestety może zostać użyte tylko raz... taka szkoda.

Przyglądałam się wątlemu światełku, które byłam w stanie dojrzeć... wysoko nad nami.



– Biegnij w stronę światła – szepnęłam do Nesty. – Ja ich zatrzymam.

– Nie.

– Nawet nie próbuj być szlachetna i bohaterska, jeśli to o tym właśnie szepczecie – zakpił zza naszych pleców jeden z Kruków. – I tak obie was złapiemy.

Nie miałyśmy czasu... by czekać, aż to coś, co czaiło się tu, znajdzie nas. Nie miałyśmy czasu...

– *Biegnij* – szepnęłam. – Proszę.

Zawahała się.

– Proszę – błagałam łamiącym się głosem.

Nesta ścisnęła moją rękę.

I w jednej chwili rzuciła się w bok... prosto ku środkowi jamy. I światła wysoko ponad nami.

– Co... – warknął jeden z nich, ale ja już uderzałam.

Każda kość mojego ciała zaprotestowała, kiedy z całej siły naparłam na jeden z regałów. Potem znowu i znowu.

Póki nie przechylił się i nie upadł prosto na kolejny, a ten na jeszcze następny.

Zagradzając drogę, którą pobiegła NESTA.

Oraz moją jedyną szansę ucieczki. Drewno zajęczało i pękło, księgi z hukiem spadały na kamienie.

Ale przede mną...

Drapałam i macałam skałę, ruszając głębiej w ciemność. Moja magia była tylko ćmieniem w żyłach.

– Spokojnie, jeszcze ją złapiemy – odezwał się przeciągle jeden z Kruków. – Nie chcielibyśmy rozdzielać sióstr.

„Gdzie jesteś, gdzie jesteś, gdzie jesteś, gdzie jesteś?”

Nie widziałam ściany przed sobą.

Wpadłam na nią twarzą, aż mi zęby zadzwoniły. Macałam na oślep, szukając jakiegoś załomu, rogu...

Ściana ciągnęła się dalej. Ślepy zaułek. Jeśli był to ślepy zaułek...

– Tu nie ma już dokąd uciekać, moja pani.

Nie ustawałam w wysiłkach, próbując obudzić w sobie uśpioną moc. Nie byłam w stanie wzbudzić nawet okruszyny, żeby wezwać

światałko, zobaczyć, gdzie jestem...

Czy nie ma tam gdzieś jakichś dziur...

Przerażenie odbierało mi siły. Nie. Nie, muszę iść dalej, iść dalej...

Wyciągnęłam rękę, szukając dłonią regału, którego mogłabym się chwycić. Choć przecież nie stawialiby regałów tak blisko wyrwy w ziemi...

Moje palce natrafiły na pustkę, palce prześlizgnęły się po ciemności. I znowu, i znowu. Zrobiłam chwiejny krok.

Poczułam pod palcami skórę... litą skórę. Potknęłam się, opierając dłońmi o grzbiety książek, i wydałam z siebie zduszony okrzyk ulgi. Ostatnia deska ratunku na wzburzonym morzu. Biegłam teraz wzdłuż rzędu regałów. Skończył się zbyt szybko. Postąpiłam kolejny krok na oślep przed siebie, po omacku skręciłam za róg kolejnego rzędu regałów. Krukowie syknęli z niezadowoleniem.

Ten dźwięk powiedział mi wszystko.

Zgubili mnie... na razie.

Pełzłam powoli naprzód, sunąc plecami wzdłuż regałów, uspokajając zmęczone płuca, aż wreszcie mój oddech przestał być słyszalny.

– Proszę – szepnęłam w ciemność tak cicho, że niemal bezgłośnie.

– Proszę, pomóż mi.

W ciemności rozległ się huk czegoś uderzającego o kamienną posadzkę.

– Księżno Dworu Nocy – zaintonował jeden z Kruków. – Ciekawe, jaką klatkę zbuduje dla ciebie król?

Strach może mnie zabić, strach może...

Tuż przy moim uchu rozległ się miękki szept:

– Ty jesteś Księżną?

Głos był jednocześnie młody i stary, okropny i piękny.

– T-tak – wyszeptałam.

Nie byłam w stanie wyczuć ciepła żadnego ciała, żadnej fizycznej postaci, ale... Czułam za sobą obecność. Mimo że przylegałam plecami do regału, czułam, że ktoś czai się za mną. Wokół mnie. Jak cała ciemność.

– Czujemy twój zapach – odezwał się jeden z Kruków. – Ależ twój

towarzysz będzie szalał, kiedy się dowie, że cię zabraliśmy.

– Proszę – szepnęłam do tej przycupniętej za mną... wokoło mnie... obecności.

– Co mi dasz?

Niebezpieczne pytanie. Nigdy nie zawieraj układów, powiedziała mi Alis jeszcze przed wydarzeniami pod Górą. Nawet jeśli układy, które zawarłam... ocaliły nas. I poprowadziły mnie do Rhysa.

– Czego chcesz?

Jeden z Kruków rzucił krótko:

– Z kim ona rozmawia?

– Kamień i wiatr wszystko słyszą, wszystko powtarzają. Szepczą o tym, że pragniesz skorzystać z usług Rzeźbiącego. Wymienić się.

Mój oddech stał się ciężki i przychodził z trudem.

– Może i tak, co z tego?

– Znałam go kiedyś... dawno temu. Zanim tak wiele rzeczy zaczęło pełzać po ziemi.

Krukowie się zbliżali... byli stanowczo za blisko.

– Co ona tam mamrocze? – syknął jeden z nich.

– Zna jakieś zaklęcia, jak nasz pan?

– Jaka jest twoja cena? – wyszeptałam w ciemność za sobą.

Kroki Kruków rozlegały się tuż-tuż, nie mogli być dalej niż dwadzieścia stóp ode mnie.

– Z kim rozmawiasz? – dopytywał się jeden z nich.

– Towarzystwo. Przyślij mi kogoś do towarzystwa.

Otworzyłam usta i chwili zawahania odpowiedziałam pytaniem:

– Do... zjedzenia?

Śmiech, który się rozległ, przyprawił mnie o ciarki.

– By opowiedzieli mi o *życiu*.

Powietrze przede mną poruszyło się... kiedy Krukowie się zbliżali.

– No, tutaj jesteś – wysyczał jeden z nich.

– Umowa stoi – wyszeptałam.

Skóra na lewym przedramieniu załaskotała mnie. Obecność za mną... Przysięgłabym, że się uśmiechnęła.

– Mam ich zabić?

– T-tak, proszę.

Przede mną rozbłysła jasność. Zamrugałam, widząc oślepiającą kulę czarodziejskiego światła.

Zobaczyłam najpierw obu Kruków ze światłem nad ramionami... przyświecali nim, żeby ułatwić sobie pościg.

Spojrzeli na mnie. Potem ich wzrok przeniósł się ponad moje ramię. Moją głowę. Ich twarze przepełniło niewyobrażalne przerażenie. Wywołane tym, co stało za mną.

– Zamknij oczy – wymruczało mi do ucha.

Usłuchałam, drżąc na całym ciele.

Potem słyszałam już tylko wrzaski. Wysokie, przeraźliwe krzyki i błagania. Odgłos pękających kości, rozbryzgującej się jak deszcz krwi, rozdieranego materiału i wrzaski, wrzaski, wrzaski...

Zacisnęłam powieki tak mocno, że rozboleła mnie głowa. Drżałam.

Później poczułam na sobie ciepłe chropowate dłonie, odciągające mnie i głos Kasjana przy moim uchu powtarzający.

– Nie patrz. *Nie patrz.*

Nie spojrzałam. Pozwoliłam mu się zabrać. Wtedy poczułam przybycie Rhysa. Poczułam, jak ląduje na posadzce obok otchłani z taką siłą, że aż cała góra się zatrzęsała.

Otworzyłam oczy. Zobaczyłam go zbliżającego się do nas szybkim krokiem, całego spowitego cieniami nocy, z twarzą zastygłą w wyrazie takiej furii...

– Zabierz je stąd.

To było polecenie skierowane do Kasjana.

Za nami wciąż słychać było krzyki.

Rzuciłam się w stronę Rhysa, ale jego już nie było, tylko smugi ciemności wiły się w miejscu, w którym przed chwilą stał.

Żeby zasłonić to, co znajdowało się za nim.

Ponieważ wiedział, że spojrzę.

Wrzaski ustały.

W przeraźliwej ciszy Kasjan wywlókł mnie stamtąd... ku mrocznej otchłani wewnątrz. Czekala tam Nesta, z szeroko rozwartymi oczami, owinięta ciasno ramionami.

Kasjan wyciągnął ku niej rękę. Jakby w transie podeszła od razu

do niego. Objął nas obie ramionami, syfony rozjarzyły się w ciemności krwistą czerwienią. Wystrzeliliśmy w górę.

Dokładnie w chwili, kiedy na nowo rozległy się krzyki.

## Rozdział 32

**K**asjan podał nam obu po szklaneczce brandy. A raczej po dużej szklance.

Nesta siedziała w fotelu w domowej bibliotece na górze i piła sporymi haustami.

Zajęłam miejsce w fotelu naprzeciwko niej i wzięłam łyk, wzdrygając się na smak i odstawiając zaraz szklanekę na niski stoliczek między nami.

– Pij dalej – polecił mi Kasjan.

Jego gniew nie był jednak skierowany przeciwko mnie.

Nie... skierowany był przeciwko temu, co było na dole. Temu, co się wydarzyło.

– Nic ci nie jest? – spytał.

Mówił lakonicznie – niemal surowo.

Potrząsnęłam głową.

Nie zapytał Nesty... musiał znaleźć ją pierwszą. Upewnić się sam.

– Czy król... miasto... – zaczęłam.

– Ani śladu. – Na jego szczęście drgnął mięsień.

Siedzieliśmy w milczeniu. Aż do chwili, kiedy w otwartych drzwiach pojawił się Rhys z wciąż wijącymi się za nim cieniami. Jego dłonie umazane były krwią... ale tylko one.

Tyle krwi, lśniącej rubinową czerwienią w przedpołudniowym słońcu.

Jakby przebijał się przez nich gołymi rękami.

W jego oczach zastygł obraz furii.

Opuścił jednak dłonie na moją lewą rękę. Rękaw był brudny, chociaż wciąż podwinięty...

Moje przedramię opasywała teraz jakby wąska, czarna obręcz... nowy tatuaż.

„Na moim dworze panuje zwyczaj pozostawiania na ciele trwałych znamion zawartych umów” – powiedział mi Rhys jeszcze

pod Górą.

– Co jej zaferowałaś?

Nie słyszałem tego tonu od czasu naszej wyprawy na Dwór Koszmarów.

– Ona... ona powiedziała, że chce towarzystwa. Kogoś, kto opowiadałby jej o życiu. Więc się zgodziłam.

– Czy zaferowałaś *siebie*?

– Nie. – Dopiliśmy resztkę brandy, słysząc jego ton i widząc twarz wciąż zastygłą w tym strasznym grymasie. – Powiedziała tylko, żeby przysłać *kogoś*. I nie zostało również ustalone *kiedy*.

Skrzywiłam się, widząc intensywnie czarną obręcz, szerokości mniej więcej mojego palca, z dwiema tylko wąskimi przerwami z boku przedramienia. Próbowałam wstać, żeby podejść do niego, chwycić go za te okrwawione dłonie, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa i nie byłam w stanie się podnieść.

– Czy Krukowie króla są martwi? – zapytałam.

– Prawie byli, kiedy dotarłem na miejsce. A ich umysły ledwie funkcjonowały, z trudem w nie zajrzałem. A kiedy skończyłem, dobiłem ich.

Kasjan patrzył z kamienną twarzą na pokryte krwią dłonie Rhysa i jego oczy zimne jak lód.

Mój towarzysz zwrócił się do mojej siostry:

– Król Hybernii poluje na ciebie z powodu tego, co zabrałaś z Kotła. Królowe pragną twojej śmierci z zemsty... za pozbawienie ich nieśmiertelności.

– Wiem – odparła chropawym głosem Nesta.

– Co takiego wzięłaś?

– Nie wiem. – Jej głos był teraz ledwie szeptem. – Nawet Amrena nie może do tego dojść.

Rhys przyglądał się jej. Nesta spojrzała na mnie... i przysięgłabym, że w jej oczach lśnił strach, poczucie winy i... inny rodzaj emocji, którego nie umiałam nazwać.

– Kazałaś mi uciekać.

– Jesteś moja siostrą – powiedziałam tylko.

Ona kiedyś próbowała przekroczyć mur, żeby ratować mnie.

– Elaina... – kontynuowała.

– Elaina ma się dobrze – wtrącił Rhys. – Azriel był z nią w domu. Lucien również już wraca, a zaraz będzie tam także Mor. Wiedzą o zagrożeniu.

Nesta odchyliła się w fotelu, nieco bezwładnie opadając na poduszki.

– Hybernijczycy dostali się do naszego miasta. Znowu – zwróciłam się do Rhysa.

– Dupek trzymał to ulotne zaklęcie, aż będzie mu naprawdę potrzebne.

– Ulotne zaklęcie?

– Zaklęcie bardzo potężne, ale takie, którego można użyć tylko raz... za to ze spektakularnym efektem. Na przykład zdolne rozplatać barierę zaklęć ochronnych... Musiał zbierać siły już jakiś czas.

– Czy bariera tutaj jest...

– Amrena stara się właśnie zmodyfikować ją, by zapobiec tego typu zdarzeniom w przyszłości. A potem zacznie przeczesać miasto, aby się upewnić, że król nie zostawił jakichś pomagierów, zanim zniknął.

Pod zimnym szalem Rhysa czaiła się jeszcze jakaś surowość... na tyle wyraźna, że zapytałam w myślach:

„Co jest nie w porządku?”.

– Co jest nie w porządku? – powtórzył... na głos, jakby nie był już w stanie rozróżnić obydwu rodzajów rozmowy. – Nie w porządku jest to, że te dwa *gnoje* dostały się do mojego domu i zaatakowały moją *towarzyszkę*. Nie w porządku jest to, że moje własne zaklęcia ochronne zadziałały przeciwko mnie i musiałś wejść w ten układ. Nie w porządku jest to...

– Uspokój się – powiedziałam cicho, ale pewnie.

Jego oczy zalśniły jak błyskawica rozświetlająca ocean. Jednak wciągnął głęboko nosem powietrze i rozluźnił ramiona... odrobinę.

– Czy widziałeś, co to było... ta obecność tam na dole?

– Domyśliłem się na jej temat wystarczająco wiele, by zamknąć oczy – odpowiedział. – Otworzyłem je dopiero, kiedy odeszła już od



ich ciał.

Skóra Kasjana zrobiła się popielata. On ją widział. Znów ją zobaczył. Ale nic nie powiedział.

– Owszem, król przedostał się przez twoje zabezpieczenia – perswadowałam Rhysowi. – Owszem, sprawy nie poszły najlepiej. Ale żadnej z nas nic się nie stało. A Krukowie dostarczyli nam istotnych informacji.

Zawalił... zdałam sobie sprawę, że Rhys zawalił sprawę z tymi dwoma. Normalnie zostawiłby ich przy życiu, żeby Azriel mógł ich przesłuchać. Ale wziął, czego potrzebował, szybko i brutalnie, po czym ich wykończył. Już więcej samokontroli okazał z attorem...

– Wiemy, dlaczego Kocioł nie działa tak, jak król oczekiwał – kontynuowałam. – Wiemy, że Nesta jest dla niego ważniejsza niż ja.

Rhys rozważał moje słowa.

– Król Hybernii pokazał część kart, które trzyma w ręku, przyprowadzając ich tutaj. Musi mieć choć minimalne wątpliwości co do powodzenia swoich podbojów, skoro podjął to ryzyko.

Nesta wyglądała, jakby za chwilę miała zwymiotować. Kasjan bez słowa uzupełnił jej szklanekę.

– Skąd... skąd wiedzieliście, że mamy kłopoty? – spytałam.

– Kloto – odpowiedział Rhys. – Wewnątrz biblioteki znajduje się zaklęty dzwonek. Zadzwoń na nim i wszyscy otrzymaliśmy sygnał. Kasjan dotarł tam pierwszy.

Zastanawiałam się, co się wydarzyło w tych pierwszych kilku chwilach, kiedy znalazł moją siostrę.

Jakby odczytując moje myśli, Rhys przesłał mi obraz, bez wątplenia dostarczony mu przez Kasjana.

*Panika – i furia. To wszystko, co czuł, kiedy pędził w dół otchłani, kierując się ku starożytnej ciemności, która niegdyś wstrząsnęła nim do szpiku kości.*

*Nesta tam była – i Feyra.*

*To tę pierwszą dostrzegł najpierw, wybiegającą chwiejnym krokiem z ciemności z szeroko rozwartymi oczami przepełnionymi strachem; to jej przerażenie zamieniło w jednej chwili jego furię w coś tak przenikliwego, że ledwie był w stanie myśleć, ledwie oddychał...*

*Wydała z siebie cichy, niemal zwierzęcy odgłos... jak ranna łania... kiedy go tylko zobaczyła. Wylądował tak ciężko, że aż kolana mu zatrzęszczały.*

*Nic nie powiedział, kiedy Nesta rzuciła się ku niemu, jej suknia brudna i zmięta, ramiona wyciągnięte ku niemu. Rozwarł swoje na jej przyjęcie, nie mogąc powstrzymać się od podejścia...*

*Ona jednak chwyciła za jego skórnię.*

*– Feyra – wykrztusiła chrapliwie, wskazując wolną ręką za siebie, a drugą solidnie nim potrząsając.*

*Siła... taka niebywała siła drzemała w tym smukłym pięknym ciele.*

*– Hybernia.*

*To było wszystko, co potrzebował usłyszeć. Wyciągnął miecz... w tej chwili pikował już ku nim Rhys, jego moc kipiała jak wybuchający wulkan. Kasjan rzucił się w ciemność, podążając w stronę dobiegających stamtąd krzyków...*

Przerwałam kontakt, nie chcąc już dalej patrzeć. Widzieć tego, co zobaczył tam Kasjan.

Rhys podszedł do mnie, uniósł dłoń i już miał pogłodzić mnie po włosach... ale zamarł, widząc zaschniętą na moich palcach krew. Zamiast tego przyjrzał się dokładnie znaczącemu teraz moje przedramię tatuazowi.

– Póki nie musimy zapraszać jej na ucztę z okazji przesilenia, jakoś to przeżyję.

– Ty jakoś to przeżyjesz? – zapytałam, unosząc brwi.

Pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, przemknął pomiędzy nami cień uśmiechu.

– Przynajmniej teraz mam idealną karę, jeśli którekolwiek z was coś przeszkobie. Iść tam na dół i pogawędzić z nią przez godzinę.

Nesta skrzywiła się z niesmakiem, ale Kasjan zaśmiał się gardłowo.

– Dzięki, już wolę czyścić kible.

– Wygląda na to, że twoje drugie spotkanie było mniej wstrząsające niż pierwsze.

– Tym razem nie próbowała mnie zeżreć – odparł, ale w jego oczach wciąż czaił się cień.

Rhys również to dojrzał. Dojrzał, po czym powiedział cicho swoim „tonem księcia”:

– Ostrzeż wszystkich, których to się tyczy, by nie wychodzili dziś wieczór bez wyraźnej potrzeby. Dzieci po zmroku mają zniknąć z ulic, żaden z Pałaców nie będzie otwarty dłużej niż do wschodu księżycy. Ktokolwiek pozostanie na ulicach, robi to na własne ryzyko.

– Ryzyko czego? – spytałam, czując w żołądku palenie alkoholu.

Mina Rhysa stężała, kiedy obserwował migoczące pod nami za oknem miasto.

– Spotkania polującej Amreny.

\*\*\*

Kiedy dotarliśmy do domu w Velaris, Elaina siedziała na kanapie obok Mor wyglądającej bardziej nonszalancko niż zwykle. Nesta minęła mnie i zajęła miejsce po drugiej stronie Elainy, po czym spojrzała na nas, wciąż stojących w wejściu, jakby w jakiś sposób wyczuwała, że spotkanie właśnie miało się rozpocząć.

Stojący przy oknie Lucien odwrócił się od ulicy, którą obserwował. Wręcz uważnie monitorował. U jego pasa zwiślały miecz i sztylet. Na twarzy nie było nawet śladu uśmiechu ani ciepła... tylko ponura zacięta determinacja.

– Azriel schodzi z dachu – rzucił w przestrzeń Rhys, opierając się o framugę w wejściu do pokoju dziennego i krzyżując ramiona.

W tej chwili, jakby na wezwanie, z cieni przy schodach wyszedł Azriel i zlustrował nas od stóp do głów. Chwilę dłużej zatrzymał wzrok na zakrwawionych dłoniach Rhysa.

Usiadłam naprzeciwko wejścia, podczas gdy dwaj Ilyrowie zajęli miejsca pomiędzy nami.

Rhys przez chwilę milczał, po czym rzekł:

– Kapłanki nie będą wspominać o tym, co się dzisiaj wydarzyło. Mieszkańcy miasta nie dowiedzą się również, *dla czego* Amrena szykuje się dziś na polowanie. Nie możemy dopuścić, by dowiedzieli się o tym inni książęta. Wywoła to u nich tylko nerwowość... i zdestabilizuje obraz, jaki pieczołowicie malowaliśmy.

– Atak na Velaris – wtrąciła Mor ze swojego miejsca na kanapie – ujawnił już naszą słabość.

– To był atak z zaskoczenia, z którym sobie szybko poradziliśmy – zaproponował Kasjan, a jego syfony zapłonęły. – Az upewnił się, że rozeszły się wyłącznie wieści o naszym zwycięstwie... i o tym, że jesteśmy zdolni przeciwstawić się każdemu wyzwaniu, jakie rzuci nam Hybernia.

– Dzisiaj właśnie to zrobiliśmy – stwierdziłam.

– To co innego – rzekł Rhys. – Za pierwszym razem mogliśmy się wytłumaczyć zaskoczeniem. Za drugim razem... wychodzimy na nieprzygotowanych. Podatnych na ataki. Nie możemy dopuścić, żeby tego rodzaju plotki rozeszły się przed spotkaniem. To tylko dziesięć dni. Dla utrzymania pozorów udajemy niewzruszenie szykujących się na wojnę.

Mor bezsilnie osunęła się na poduszki.

– Wojnę, w której poza Keirem nie mamy innych sojuszników, czy to w Prythianie, czy poza nim.

Rhys spojrzał na nią ostro. Jednak zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, odezwała się cicho Elaina:

– Królowa może przybyć.

Cisza.

Elaina wpatrywała się wciąż zamglonymi oczami w wygaszone palenisko.

– Jaka królowa? – spytała bardziej obcesowo, niż zazwyczaj zwykła się odzywać do siostry Nesta.

– Ta, która została przeklęta.

– Przeklęta przez Kocioł? – starała się doprecyzować Nesta, odpychając się od framugi. – Kiedy zbiesił się po tym, jak... odeszłaś?

– Nie. – Elaina spojrzała uważnie na mnie, potem na nią. – Nie, nie ta. Ta druga.

Nesta wzięła głęboki oddech i otworzyła usta, gotowa bądź zabrać Elaine na górę, bądź zmienić temat.

Jednak w tej chwili Azriel zapytał łagodnie, postępując miękko o krok do pokoju:

– Jaka druga?

Elaina ściągnęła lekko brwi.

– Królowa... z płomienistymi piórami.

Pieśniarz cieni przechylił głowę.

Przyglądając się cały czas Elainie, Lucien szepnął do mnie:

– Czy powinniśmy... czy ona potrzebuje...

– Ona niczego nie potrzebuje – odpowiedział Azriel, nie patrząc nawet na Luciena.

Elaina wpatrywała się teraz w mistrza szpiegów... zupełnie nie mrugając.

– To my czegoś potrzebujemy... – ciągnął Azriel. – Wieszczki. Kocioł uczynił cię wieszczką – powiedział bardziej do siebie niż do nas.

## Rozdział 33

Wieszczka.

Słowa zabrzmiały we mnie jak we wnętrzu dzwonu.

Ona wiedziała. Ostrzegła Nestę przez Krukami. W całym zamieszaniu związanym z tym atakiem całkowicie wyleciało mi to z głowy. Równie całkowicie jak jawa i wizje mieszają się Elainie.

Wieszczka.

Elaina zwróciła się ku Mor, która wpatrywała się w nią ze swojego miejsca na kanapie.

– Czy tak właśnie jest?

Jej słowa... brzmiały tak normalnie, że aż poczułam ucisk w piersi.

Wzrok Mor przebiegł po twarzy mojej siostry, jakby ważąc słowa, pytanie, zawierające prawdę lub kłamstwo.

Wreszcie zamrugała, rozchylając lekko usta. Jakby jej magia rozwikłała wreszcie jakąś zagadkę. Powoli, ale zdecydowanie pokiwała głową. Lucien cicho osunął się na jedno z krzesel pod oknem, jego metalowe oko zachrobotło, kierując się na moją siostrę.

Faktycznie, to miało sens, że właśnie Azriel okazał się jedyną osobą, która jej naprawdę słuchała. Mężczyzna, który słyszał to, czego nie słyszeli inni... Być może on również cierpiał podobnie jak Elaina, zanim zrozumiał, jaki posiada dar.

– Jest inna królowa? – zapytał.

Elaina zmrużyła oczy, jakby pytanie wymagało zastanowienia... sięgnięcia w głąb siebie; w to, co kłębiło się w jej umyśle.

– Tak.

– Szósta królowa – wyszeptała Mor. – Królowa, o której ta złota wspomniała, nie była chora...

– To dlatego powiedziała, żeby nie ufać innym królowym – dodałam.

Kiedy tylko słowa te wydostały się z moich ust... ogarnęło mnie uczucie, jakbym odsunęła się nagle od obrazu, co pozwoliło mi ujrzeć go w całości. Z bliska słowa zdawały się zagmatwane i niejasne. Ale z pewnej odległości...

– Ty coś skradłaś z Kotła – zwróciłam się do Nesty, która wyglądała, jakby gotowa była wskoczyć pomiędzy nas i Elaine. – Ale co, jeśli Kocioł postanowił podarować coś Elaine?

Nesta pobladła.

– Co takiego?

Lucien, którego twarz była równie blada, wydawał się niemo powtarzać za Nestą to pytanie.

Azriel pokiwał głową.

– Wiedziałaś – powiedział do Elainy – o młodej królowej zamieniającej się w staruchę.

Elaina zamrugnęła, a jej oczy na powrót się przejaśniły. Jakby zrozumienie, nasze zrozumienie uwolniło ją z jakiegoś mglistego świata, w którym tkwiła.

– Szósta królowa żyje? – pytał dalej Azriel.

Mówił spokojnym wyważonym tonem, głosem księżęcego mistrza szpiegów, który potrafił zarówno łamać wolę wrogów, jak i czarować sprzymierzeńców.

Elaina przechyliła głowę, jakby słuchała jakiegoś wewnętrznego głosu.

– Tak.

Lucien wpatrywał się usilnie w moją siostrę, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

Odwróciłam gwałtownie głowę w stronę Rhysa.

„Potencjalna sojuszniczka?”

„Nie wiem – odpowiedział. – Jeśli inne ją przekleły...”

– Co to za klątwa? – spytał głośno mój towarzysz, zanim jeszcze skończył rozmawiać ze mną w myślach.

Elaina obróciła się w jego stronę. Kolejne mrugnięcie.

– Sprzedały ją... jakiejś ciemności... jakiemuś czarownikowi... – Potrząsnęła głową. – Nigdy nie mogę go dojrzeć. Czym jest. Ma w swoim posiadaniu szkatułkę z onyksu, ważniejszą niż... wszystko

poza nimi. Dziewczętami. Przetrzymuje tam również inne... tak do niej podobne... ale ona... Za dnia przybiera inną postać, nocą znów staje się człowiekiem.

– Ptak o ognistych piórach – powiedziałam.

– Ognisty ptak za dnia – odezwał się w zamyśleniu Rhys – kobieta nocą... a więc jest przetrzymywana przez jakiegoś czarnoksiężnika?

Elaina ponownie potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Słyszę ją... jej krzyki. Z wściekłości. Nieprawdopodobnej wściekłości... – Wzdrygnęła się.

Mor pochyliła się ku niej.

– Czy wiesz, dlaczego pozostałe królowe ją przekłęły... sprzedały ją mu?

Elaina wpatrywała się w stolik.

– Nie. Nie... wszystko jest ciemne i zamglone.

Rhys wypuścił powietrze.

– Czy jesteś w stanie wyczuć, gdzie ona jest?

– Tam jest... jezioro. Daleko... w głębi kontynentu, tak myślę. Ukryte w górach i odwiecznej puszczy. – Elaina przełknęła z trudem ślinę. – Wszystkie je przetrzymuje w tym jeziorze.

– Inne kobiety takie jak ona?

– I tak, i nie. Ich pióra są białe jak śnieg. Szybują nad wodą, podczas gdy ona przemierza przestworza nad nimi.

Mor zwróciła się do Rhysa.

– Co wiemy o szóstej królowej?

– Niewiele – pośpieszył z informacją Azriel. – Bardzo mało. Młoda... może dwudziestokilkuletnia. Scytia przylega do muru na wschodzie.

– To najmniejsza z krain władanych przez ludzkie królowe, ale zamożna, słynąca z handlu i świetnej armii. Nazywają ją Vassa, ale nigdy nie dowiedziałem się, jak brzmi jej pełne imię.

– Musiała stanowić dla pozostałych poważne zagrożenie, skoro zwróciły się przeciwko niej – zastanowił się na głos Rhys. – A biorąc pod uwagę, co było ich celem...

– Jeśli udałoby się nam odnaleźć tę Vassę – wtrąciłam – mogłaby naprawdę wspomóc nas w przekonaniu ludzi do walki po naszej



stronie. No i mielibyśmy sprzymierzeńca na kontynencie.

– Jeśli zdołamy ją odnaleźć – stwierdził sceptycznie Kasjan, rozchylając lekko skrzydła. – To może zająć miesiące. Nie wspominając już o tym, że spotkanie z facetem, który ją przetrzymuje, może być trudniejsze, niż nam się wydaje. Nie możemy sobie pozwolić na podjęcie tego ryzyka. Ani na poświęcenie czasu, jaki to zajmie. Musimy skupić się najpierw na spotkaniu z władcami pozostałych dworów.

– Ale możemy tyle zyskać – zaproponowała Mor. – Ona może mieć armię...

– Może i ma – przerwał jej Kasjan. – Ale jeśli jest zaklęta, kto ją poprowadzi? W dodatku jeśli jej królestwo jest tak daleko... będą musieli podróżować jak śmiertelnicy. Pamiętasz, jak wolno się przemieszczali, jak szybko umierali...

– Zawsze warto spróbować – upierała się Mor.

– Jesteś potrzebna tutaj – powiedział Kasjan.

Azriel wyglądał, jakby chciał się z nim zgodzić, chociaż nie odezwał się ani słowem.

– Potrzebuję cię na polu bitwy... nie włączając się po kontynencie. Do tego po *ludzkiej* połowie. Jeśli te królowe zebrały armie, by wspomóc Hybernię, z pewnością stoją pomiędzy tobą a królową Vassą.

– Nie możesz mi niczego nakazać...

– Nie, ale ja mogę – przerwał im Rhys. – Nie patrz tak na mnie. On ma rację... Potrzebujemy cię tutaj, Mor.

– Scytia. – Blondynka pokręciła głową. – Pamiętam ich. To hodowcy koni. A kawaleria zawsze porózuje szybciej...

– Nie. – Oczy Rhysa błysnęły nieprzejeźdzeniem.

Rozkaz był nieodwołalny, ale Mor wciąż drążyła:

– Z jakiegoś powodu Elaina zobaczyła właśnie to. Miała rację w tym, że królowa stała się stara, z atakiem Kruków... *dłaczego* widzi właśnie te, a nie inne obrazy? *Dłaczego* słyszy właśnie tę królową? To musi mieć znaczenie. Jeśli to zignorujemy, możemy zasłużyć na porażkę.

Zapadła cisza. Powiodłam po wszystkich wzrokiem. Byli ważni.

Każdy z nich pełnił ważną funkcję *tutaj*. Ale ja...

Zaczerpnęłam głęboko powietrza.

– Ja pójdę. – Mówiąc to, Lucien patrzył tylko na Elaine.

Za to wszyscy pozostali spojrzeli na niego.

Ten zaś przeniósł uwagę na Rhysa, potem na mnie.

– Ja pójdę – powtórzył, wstając z krzesła. – Żeby odnaleźć szóstą królową.

Mor otworzyła i zamknęła usta.

– Na jakiej podstawie sądzisz, że masz szansę ją odnaleźć? – spytał Rhys.

Nie obcesowo, ale... jak dowódca próbujący ocenić umiejętności swoich żołnierzy. Wysłanie Luciena rokowało zyski przeważające nad ryzykiem.

– To oko... – wskazał metalową kulę w oczodole – potrafi zobaczyć rzeczy, których inni... nie widzą. Przejrzeć zaklęcia, iluzje... Może mi pomóc ją znaleźć. I przełamać jej klątwę. – Spojrzał na Elaine, która znów wpatrywała się w swoje kolana. – Nie jestem wam tutaj potrzebny. Będę walczył, jeśli będziecie tego potrzebowali, ale... – Uśmiechnął się do mnie ponuro. – Nie należę do Dworu Jesieni. Założę się również, że nie jestem już dłużej mile widziany w d... na Dworze Wiosny. – Domu. To właśnie słowo niemal wymówił. – Ale nie mogę siedzieć tu i nie robić nic. Te królowe i ich armie... to też jest ryzyko, z którym trzeba się liczyć. Więc skorzystajcie z moich usług. Wyślijcie mnie. Odnajdę Vasse, zobaczę, czy jest w stanie... sprowadzić pomoc.

– Będziesz musiał się udać na ziemie śmiertelników – ostrzegł go Rhys. – Nie mogę również pozwolić sobie na wysłanie z tobą żadnych sił, które by cię strzegły...

– Nie potrzebuję ich. Sam będę podróżował znacznie szybciej. – Podniósł głowę. – Odnajdę ją. A jeśli dysponuje jakąś armią albo jeśli jest jakiś sposób, by jej historia przekonała innych ludzi... Zrobię to.

Moi przyjaciele popatrzyli po sobie. Pierwsza odezwała się Mor:

– To będzie... bardzo niebezpieczne.

Lucien uśmiechnął się półgębkiem.

– To dobrze. Inaczej byłoby nudno.

Tylko Kasjan wyszczerzył zęby w odpowiedzi.

– Przygotuję ci trochę ilyryjskiej stali.

Elaina obserwowała Luciena ostrożnie, od czasu do czasu mrugając. Nie wyjawiała nic z tego, co mogła widzieć... czuć. Nic. Rhys odepchnął się od framugi.

– Przeskoczę cię tak blisko, jak się da... skądkolwiek zechcesz rozpocząć swoje poszukiwania.

Rzeczywiście Lucien studiował ostatnio mapy. Być może nagliła go ta sama siła, która popychała nas wszystkich do działania.

– Dziękuję – dodał jeszcze mój towarzysz.

Lucien wzruszył ramionami. Ten gest sprawił, że musiałam wreszcie zapytać:

– Jesteś tego pewien?

On tylko spojrzał na Elaine, której twarz była całkowicie spokojna i pozbawiona emocji. Wodziła palcem po haftach na obiciu kanapy.

– Tak. Pozwólcie mi pomóc w taki sposób, w jaki mogę.

Nawet Nesta sprawiała wrażenie zaniepokojonej. Choć z pewnością nie z jego powodu, ale dlatego, że jeśli coś by mu się stało... Jak mogłoby to wpłynąć na Elaine? Przerwanie więzi godowej... Odsunęłam od siebie myśl, co zrobiłoby to mnie.

– Kiedy zamierzasz wyruszyć? – spytałam.

– Jutro. – Od dłuższego czasu nie słyszałam, żeby mówił z taką pewnością w głosie. – Dzisiaj przygotuję wszystko i jutro po śniadaniu wyruszę. – Zwrócił się do Rhysa: – Jeśli ci to pasuje.

Mój towarzysz machnął tylko niedbale ręką.

– W obliczu tego, co zamierzasz zrobić, pasuje nam wszystko.

Znów zapanowała cisza. Jeśli naprawdę udałoby mu się odnaleźć zaginioną królową i może przyprowadzić część ludzkiej armii, albo przynajmniej odwieść ich od służenia Hybernii... Jeśli zdołałabym jeszcze przeciągnąć na naszą stronę Rzeźbiącego w jakiś sposób niewymagający użycia tego koszmarnego zwierciadła. Czy to by wystarczyło?

Wszystko wskazywało na to, że odpowiedź da nam spotkanie

z książętami.

Rhys wskazał brodą Azriela, który zrozumiał natychmiast rozkaz i zniknął w cieniach... zapewne po to, by sprawdzić, jak się miewa Amrena.

– Dowiedzcie się, czy Keir i jego Niosący Mrok doświadczyli jakichkolwiek ataków – polecił Mor i Kasjanowi, którzy skinęli głowami i wyszli.

Zostaliśmy sami z moimi siostrami i Lucienem. Złowiliśmy z Rhysem spojrzenie Nesty. Na szczęście ten jeden raz moja siostra wstała i podeszła do nas, po czym cała nasza trójka niezbyt subtelnie wycofała się na górę, pozostawiając Elaine i Luciena samych.

Sporo wysiłku wymagało niezatrzymanie się na półpiętrze, by posłuchać, o czym będą mówić.

Jeśli w ogóle coś powiedzą.

Ale zmusiłam się, by wziąć Rhysa za rękę, choć nieco odrzucała mnie zastygnięta na jego dłoniach krew, i poprowadzić go do komnaty łaźiebnej. Usłyszałam jeszcze zamykające się w głębi korytarza drzwi do sypialni Nesty.

Rhys przyglądał się bez słowa, jak odkręcałam kurek w wannie i sięgałam po myjkę leżącą na stojącej nieopodal pod ścianą skrzyni. Usiadałam na brzegu wanny i sprawdziłam nadgarstkiem temperaturę, po czym poklepałam wygiętą porcelanę obok siebie.

– Usiądź.

Posłuchał mnie, pochylając głowę, kiedy wykonywał moje polecenie.

Ujęłam jedną z jego dłoni i skierowałam ją pod bulgoczący strumień wody.

Czerwień zaczęła spływać ze skóry, wijąc się smugami w zbierającej się w wannie wodzie. Wzięłam myjkę i zaczęłam delikatnie myć, usuwając coraz więcej zaschniętej krwi. Woda chlapała na jak dotąd nieskalane rękawy kaftana.

– Czemu nie osłoniłeś również swoich dłoni?

– Chciałem to poczuć... ich życie gasnące pod moimi palcami.

Zimne, bezlitosne słowa.

Szorowałam jego paznokcie, krew zastygła w miejscach, w których stykały się ze skórą. Dostała się pod nie.

– Dlaczego tym razem było inaczej?

Inaczej niż podczas zasadzki na attora, ataku Hybernijczyków w lasach czy napaści na Velaris... wszystkiego. Widziałam wcześniej jego furję, ale nigdy... nigdy nie zapamiętał się w niej tak bardzo. Jakby moralność i dobroć były uczuciami, które egzystowały tylko na powierzchni, daleko ponad zamarzniętymi otchłaniami, do których teraz sięgnął.

Obróciłam jego dłoń pod strumieniem wody, tak by obmywała przestrzenie pomiędzy palcami.

– Jaki jest sens – zaczął – całej tej potęgi... jeśli nie jestem w stanie ochronić tych, którzy w moim mieście są najbardziej narażeni? Jeśli nie jestem w stanie wykryć nadciągającego ataku?

– Nawet Azrielowi nie udało się o nim dowiedzieć...

– Król użył starożytnego zaklęcia i po prostu sobie wszedł. Jeśli nie jestem w stanie...

Pokręcił głową, a ja opuściłam jego czystą już dłoń i sięgnęłam po drugą. Wodę zabarwiło jeszcze więcej krwi.

– Jeśli nie potrafię ochronić ich tutaj... Jak mam...

Jego grdyka zatańczyła. Uniosłam dłonią jego twarz. Lodowata furia ustąpiła miejsca bezsilności i bólowi.

– Te kapłanki dość już przeszły. Dzisiaj je zawiodłem. Ta biblioteka... nie będą się już czuły tam bezpiecznie. Jedyne miejsce, które miały dla siebie, w którym uważały, że są chronione... Król Hybernii dzisiaj im to odebrał.

Jemu również. On też zachodził do tej biblioteki, kiedy sam potrzebował ukojenia... i poczucia bezpieczeństwa.

– Może to kara za odebranie Mor Velaris, za zezwolenie Keirowi na wstęp tutaj.

– Nie możesz tak myśleć... to do niczego dobrego nie prowadzi.

Skończyłam mycie jego drugiej dłoni, wypłukałam myjkę i zaczęłam przeciągać nią po jego szyi i skroniach... Łagodzącymi, delikatnymi ruchami, nie po to, by go umyć, ale dać odprężenie.

– Nie jestem zły o twój układ – powiedział, zamykając oczy, kiedy

przesunęłam myjką po jego skroni. – Jeśli cię to... martwiło.

– Nie martwiło.

Rhys otworzył oczy, jakby mógł usłyszeć uśmiech w moim głosie, i przyglądał mi się przez chwilę, podczas gdy ja wrzuciłam z cichym plaśnięciem myjkę do wanny i zakręciłam kurek.

Wciąż mi się przyglądał, kiedy objęłam mokrymi dłońmi jego twarz.

– To, co się dzisiaj wydarzyło, nie było twoją winą – powiedziałam, a mój głos zdawał się wypełniać zalaną słońcem komnatę. – Nic z tego nie było. Cała wina leży po stronie króla Hybernii... i kiedy spotkamy się z nim ponownie, będziemy pamiętać te ataki, wszystkie rany zadane naszemu ludowi. Zapomnieliśmy o księdze zaklęć Amaranthy... na naszą własną szkodę. Ale teraz mamy własną Księżę... która, miejmy nadzieję, zawiera zaklęcie, którego potrzebujemy. A na razie... na razie będziemy się przygotowywać i stawimy czoła konsekwencjom. Na razie idziemy naprzód.

Obrócił się i pocałował moją dłoń.

– Przypomnij mi, żebym dał ci podwyżkę.

Zdusiłam śmiech.

– Za co?

– Oczywiście za mądre rady... i inne istotne usługi, jakie mi oddajesz. – Puścił do mnie oko.

Roześmiałam się szczerze i ścisnęłam delikatnie jego twarz, po czym pocałowałam go lekko w usta.

– Bezwstydy flirciarz.

Do jego oczu wreszcie powróciło ciepło.

Sięgnęłam po ręcznik w kolorze kości słoniowej i owinęłam zwojami materiału jego czyste już i ciepłe dłonie.

## Rozdział 34

Podczas swojego długiego nocnego polowania Amrena nie znalazła w Velaris żadnych innych hybrydycznych zabójców czy szpiegów. Skąd wiedziała, jak ich szukać, jak odróżnić przyjaciela od wroga... Niektórzy ludzie, jak mi powiedziała później Mor – po tym jak wszyscy przeżyliśmy bezsenną noc – mazali swoje drzwi jagnięcą krwią. Jako rodzaj ofiary. Opłaty, by zostawiła ich w spokoju. Niektórzy zostawiali całe kubki krwi na progach.

Jakby wszyscy mieszkańcy miasta wiedzieli, że prawa ręka ich Księcia, ta drobniutka kobieta... była potworem, który chronił ich przed innymi potwornościami świata.

Cały następny dzień Rhys spędził na zapewnianiu kapłanek o ich bezpieczeństwie i pokazując im nowe bariery ochronne.

Tę kapłankę, która ich wpuściła, z jakichś przyczyn Hybrydyczycy zostawili przy życiu. Pozwoliła Rhysowi zajrzeć sobie do umysłu, żeby mógł ujrzeć przebieg wydarzeń: kiedy król rozplątał barierę ochronną swoim ulotnym zaklęciem, jego Krukowie pojawili się pod postaciami dwóch starych uczonych, którzy poprosili o otwarcie drzwi, po czym włamali się do umysłów kapłanek i zmusili je, by pozwoliły im działać bez protestów. Już samo to pogwałcenie... Rhys spędził wczoraj z nimi godziny. Mor również.

Rozmawiali, słuchali tych, które *były zdolne* mówić, trzymali za ręce te, które nie były.

A kiedy wreszcie wrócili... Pomiedzy moim towarzyszem a jego kuzynką panował pokój. Wszelkie ślady uprzednich konfliktów zostały załagodzone.

Nie mieliśmy wiele czasu. Wiedziałam o tym. Czułam to z każdym oddechem. Hybrydyczycy byli coraz bliżej. Już tu byli.

Od spotkania z pozostałymi księżętami dzielił nas zaledwie tydzień... a Nesta wciąż odmawiała dołączenia do nas.

Ale mniejsza o to. Damy radę. Ja dam radę.

Nie mieliśmy innego wyjścia.

Dlatego właśnie stałam następnego ranka w korytarzu, patrząc, jak Lucien pakuje swój ciężki plecak. Pod grubą kurtę założył ilyryjską skórnię i kilka warstw ubrania, które miały mu pomóc przetrwać w różnych klimatach. Swoje rude włosy zaplątał w warkocz, który opadał mu teraz do połowy pleców, na pochwę przypasanego wzdłuż kręgosłupa ilyryjskiego miecza.

Kasjan pozwolił mu samodzielnie wybrać z jego osobistego arsenału, co chce, ale Lucien zabrał ze sobą bardzo skromny ekwipunek. Pochwa na plecach, do tego krótki miecz i kilka sztyletów. Do plecaka przypięty miał jeszcze kołczan strzał i łuk ze zdjętą cięciwą.

– Wiesz, gdzie dokładnie Rhys chce cię zabrać? – spytałam w końcu.

Lucien pokiwał głową, zerkając na mojego towarzysza czekającego już przy drzwiach wejściowych. Zabierze go na skraj ludzkiej części kontynentu, gdziekolwiek ten uzna, że będzie najlepiej wylądować. Jednak – jak nalegał Azriel – nie dalej. Jego źródła donosiły, że okolica ta była zbyt silnie obserwowana, zbyt niebezpieczna. Nawet dla jednego z nas. Nawet dla najpotężniejszego księcia w historii Prythianu.

Podeszłam do Luciena i zanim ten zdążył się cofnąć, ścisnęłam go mocno.

– Dziękuję – powiedziałam, starając się nie myśleć o tej całej stali, którą ze sobą zabierał.

Czy będzie potrzebował jej użyć?

– Nadszedł najwyższy czas – powiedział cicho Lucien – żebym i ja coś zrobił.

Odsunęłam się nieco, by się przyjrzeć jego twarzy noszącej charakterystyczną bliznę.

– Dziękuję – powtórzyłam.

To było wszystko, co zdołałam z siebie wydusić.

Rhys wyciągnął rękę do Luciena. Ten spojrzął na nią, potem na twarz mego towarzysza. Niemal byłam w stanie usłyszeć wszystkie nieprzyjemne słowa, jakie wymienili. Wisiały ciężko między nimi,



między wyciągniętą dłonią Rhysa a wiszącą przy boku Luciena.

Jednak Beronowy syn ujął podaną mu dłoń. Ta milcząca propozycja dotyczyła czegoś więcej niż tylko transportu.

Zanim porwał ich czarny wiatr, zobaczyłam, jak Lucien się ogląda.

Nie na mnie... na kogoś za mną.

U szczytu schodów stała Elaine, blada i wychudzona.

Ich wzrok spotkał się i długą chwilę na siebie patrzyli.

Moja siostra nie uczyniła jednak żadnego gestu. Nawet jednego kroku w dół schodów.

Lucien pochylił głowę w lekkim ukłonie, ukrywając tym gestem przepelniające zdrowe oko uczucie... tęsknoty i smutku.

Potem jednak, kiedy dał Rhysowi sygnał, że mogą ruszać... Nie obejrzał się już na Elaine.

Nie widział półkroku, jaki zrobiła w dół schodów... jakby chciała z nim pomówić. Zatrzymać go.

Potem obaj zniknęli. Kiedy obróciłam się, by zaproponować siostrze śniadanie, ona już zdążyła odejść.

\*\*\*

Czekałam na powrót Rhysa w korytarzu.

W jadalni po mojej lewej stronie Nesta w milczeniu ćwiczyła wznoszenie mentalnych barier... od wczorajszego nocnego polowania nie widzieliśmy jeszcze Amreny.

Kiedy zapytałam ją, czy robi jakieś postępy, powiedziała jedynie:

– Amrena sądzi, że powoli zaczynam dochodzić do czegoś konkretnego.

I tyle. Zostawiłam ją samą sobie, nie próbując już nawet pytać, czy Amrena *również* zaczęła dochodzić do czegoś konkretnego w kwestii Księgi i jakiegoś zaklęcia mogącego naprawić mur.

Liczyłam w ciszy mijające jedna po drugiej minuty.

Wreszcie w korytarzu pojawił się znajomy czarny wiatr i na widok Rhysa pojawiającego się na środku dywanu wypuściłam oddech, który nieświadomie wstrzymywałam. Nie widać po nim było śladów żadnej walki, żadnych ran czy urazów, ale i tak objęłam go

w pasie, potrzebując poczuć go, poczuć jego zapach.

– Wszystko przebiegło zgodnie z planem – powiedział Rhys i pocałował czubek mojej głowy. – O tyle, o ile można było się spodziewać. Jest teraz na kontynencie, kieruje się na wschód.

Zauważył uczącą się przy jadalnianym stole Nestę.

– Jak się trzyma nasza nowa wieszczka?

Już chciałam wyjaśnić, że pozostawiłam Elaine jej własnym rozmyślaniom, kiedy odezwała się Nesta:

– Nie nazywaj jej tak.

Rhys spojrział na mnie z niedowierzaniem, ale Nesta wróciła już do przeglądania swojej książki, a jej twarz na powrót przybrała pusty wyraz... jak zwykle, kiedy trenowała ćwiczenia w budowaniu barier, jakie zleciła jej Amrena. Dałam mu lekką sójkę w bok.

„Nie prowokuj jej”.

Kącik jego ust powędrował w górę... na twarzy zagościł wyraz przewrotnej radości.

„Mogę zamiast tego prowokować ciebie?”.

Zacisnęłam usta, żeby powstrzymać uśmiech...

Wtem drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i do wnętrza wparowała Amrena. Rhys natychmiast zwrócił się ku niej.

– Co?

W mgnieniu oka zniknęła gdzieś jego swobodna postawa i rozbawienie.

Błada twarz Amreny była spokojna, ale w jej oczach... kipiała furia.

– Hybernijczycy zaatakowali Dwór Lata. Właśnie oblegają Adriatę.

## Rozdział 35

**A** więc król Hybernii w końcu wykonał swój ruch. A my znów się go nie spodziewaliśmy.

Wiedziałałam, że Azriel weźmie winę na siebie. Wystarczył jeden rzut oka na pieśniarza cieni wkraczającego przez drzwi wejściowe z pędzącym za nim Kasjanem, żeby wiedzieć, że już to zrobił.

Staliśmy w korytarzu; za mną w jadalni wciąż siedziała Nesta.

– Czy Tarquin poprosił o pomoc? – spytał Kasjan Amrenę.

Żadne z nas nie pytało nawet, skąd ona wszystko wie.

Amrena zacisnęła zęby.

– Nie wiem. Dostałam tylko wiadomość... i nic więcej.

Kasjan skinął głową i zwrócił się do Rhysa:

– Czy Dwór Lata miał mobilne siły wojskowe, kiedy tam ostatnio byłeś?

– Nie – padła zwięzła odpowiedź. – Jego flota była rozszana po całym wybrzeżu. – Rhys rzucił okiem na Azriela.

– Połowa jest w Adriacie... reszta rozproszona – dopowiedział pieśniarz cieni. – Jego siły lądowe zostały przesunięte ku granicy Dworu Wiosny. Po tym jak Feyra... Najbliższy legion znajduje się może trzy dni marszu. Niewielu potrafi przeskakiwać.

– Ile okrętów? – chciał wiedzieć Rhys.

– W Adriacie w pełni uzbrojonych... dwadzieścia.

– Jak liczne są wojska Hybernii? – Rhys przeniósł spojrzenie na Amrenę.

– Nie wiem. Liczne. Myślę... myślę, że przewaga jest przytłaczająca.

– Jak brzmiała dokładnie treść wiadomości? – W jego głosie pobrzmiwał czysty, nieznoszący sprzeciwu rozkaz.

Oczy Amreny załśniły jasnym srebrem.

– To było ostrzeżenie. Od Variana. Żebyśmy przygotowali własne siły obronne.

– Varian, brat księcia, przesłał ci ostrzeżenie? – spytał złowróżbnym głosem Kasjan.

Amrena posłała mu gniewne spojrzenie.

– Tak robią przyjaciele.

Odpowiedziała jej tylko cisza.

Spotkałam wzrok Rhysa, wyczułam czające się za chłodną fasadą groźbę i wściekłość.

– Nie możemy zostawić Tarquina samego w takiej sytuacji – powiedziałam.

Być może król Hyberrnii wysłał Kruków wczoraj z rozmysłem, by odwrócić naszą uwagę od wydarzeń poza naszymi granicami. Byśmy skupili się na nim, a nie na wybrzeżu.

Rhys przeniósł uwagę na Kasjana.

– Keir i jego Niosący Mrok nie są gotowi do wymarszu. Jak prędko możesz poderwać legiony Ilyrów?

\*\*\*

Rhys natychmiast przeskoczył z Kasjanem do ilyryjskiego obozu, by osobiście przekazać rozkazy. Azriel zniknął w tej samej chwili, by zrobić rekonesans w Adriacie, zabierając ze sobą swoich najbardziej zaufanych szpiegów.

Poczułam bardzo silne ssanie w żołądku, gdy Azriel i Kasjan uderzyli lekko w swoje syfony na wierzchach dłoni i natychmiast ich ciała pokryły się zbroją. Gdy na każdym z nich pojawiała się po siedem syfonów. Gdy pieśniarz cieni poprawiał poblížnionymi dłońmi sprzączki swojego pasa z nożami i kołczanu, podczas gdy Rhys przywoływał dla Kasjana dodatkowe ilyryjskie ostrza... dwa na plecy i po jednym przy każdym boku.

A potem zniknęli... spokojni, z kamiennymi twarzami. Gotowi na rozlew krwi.

Mor pojawiła się po chwili, ciężko uzbrojona, z włosami splecionymi w ciasny warkocz, aż drżąca z niecierpliwości.

Ale obie czekałyśmy... na rozkaz wyruszenia. By do nich dołączyć. W czasie, kiedy mnie nie było, Kasjan przemieścił legion Ilyrów bliżej południowej granicy, ale mimo to nie będą w stanie wyruszyć

bez kilku godzin na przygotowanie. Do tego Rhys będzie ich musiał przeskoczyć. Wszystkich. Do Adriaty.

– Będziecie walczyć?

Nesta stała teraz na schodach prowadzących na górę, przyglądając się przygotowaniom moim i Mor. Wkrótce... Azriel lub Rhys wkrótce skontaktują się z nami i dadzą znać, że możemy już przeskoczyć do Adriaty.

– Jeśli będzie taka konieczność, to będziemy – odpowiedziałam jej, sprawdzając jeszcze raz, czy pas z nożami dobrze leży na moich biodrach.

Mor również miała na sobie ilyryjską skórnię, ale jej ostrza były inne. Smuklejsze, lżejsze, niektóre lekko zakrzywione na końcach. Wyglądały jak błyskawice obleczone w metal. Serafickie ostrza, jak mi kiedyś wyjaśniła. Podarowane jej przez samego księcia Drakona jeszcze podczas poprzedniej wojny.

– Co wy wiecie o bitwach?

Nie byłam w stanie dojść, czy ton mojej siostry był lekceważący, czy po prostu była ciekawa.

– Wystarczająco wiele – odpowiedziała zwięźle Mor, układając swój długi warkocz pomiędzy przypiętymi na plecach ostrzami.

Elaina i Nesta miały tu zostać ze strzegącą ich Amreną. Strzegącą również całego Velaris z niewielkim oddziałem Ilyrów, którym Kasjan przykazał stacjonować w górach otaczających miasto. Mor minęła się z nią w drzwiach. Wyglądało na to, że drobna kobieta udawała się właśnie do rzeźnika, by uzupełnić zapasy na swój pobyt tutaj... na tak długo, jak będziemy musieli zostać w Adriacie. Jeśli w ogóle wrócimy.

Odszukałam ponownie wzrok Nesty. Powitał mnie tylko ostrożny dystans.

– Prześlemy wiadomość, jak tylko będzie to możliwe.

Huk odległego grzmotu obił się o bariery mojego umysłu.

Niemy sygnał posłany poprzez góry i krainy. Jakby uwaga Rhysa była teraz skupiona na czymś zupełnie innym... i obawiał się od tego oderwać.

Serce mi skoczyło. Złapałam dłoń Mor, skórzane łuski wbijały się

w moją dłoń.

– Przybyli. Czas na nas.

Mor obróciła się ku mojej siostrze. Nigdy wcześniej nie widziałam jej tak... wojowniczej. Wiedziała, że czai się to u niej gdzieś pod skórą, ale to właśnie była Morrigan. Kobieta, która walczyła na wojnie. Która wiedziała, jak odbierać życie stalą i magią.

– Nie jest to nic, z czym nie damy sobie rady – powiedziała Neście z pewnym siebie uśmiechem, po czym zniknęłyśmy.

Czarny wiatr przenikał mnie na wskroś. Trzymałam się kurczowo Mor, kiedy ta przeskakiwała nas pomiędzy dworami. Słyszałam tuż przy uchu jej ciężki rwany oddech...

Potem oślepiające światło i obezwładniający upał wypełnione krzykami, okropnym hukiem i szcękaniem stali o stal...

Zakreśliło mi się w głowie, rozstawiłam szerzej nogi, zamrugałam. Wtedy zobaczyłam, co mnie otacza. Rhys i Ilyrowie dołączyli już do walki. Mor przeskoczyła nas na nagi szczyt jednego ze wzgórz otaczających półksiężycową zatokę, z którego roztaczał się wspaniały widok na miasto-wyspę na jej środku oraz resztę zabudowań na kontynencie.

Wody zatoki były czerwone.

Z budynków i płonących statków unosiły się skłębione słupy dymów. Ludzie wrzeszczeli, żołnierze krzyczeli...

Tak wielu.

Nie spodziewałam się tak licznego wojska.

Po którejkolwiek ze stron.

Sądziłam, że zobaczę równe, zwarte szeregi. Nie chaos.

Nie Ilyrów wysoko ponad miastem i portem, zasypujących atakujące zaciekle wrogie oddziały gradem strzał i raz po raz uderzających w nich ze swoich syfonów.

Jeden za drugim w wejściu do zatoki pojawiały się statki. Sama zatoka zaś...

– To są okręty Tarquina – powiedziała Mor ze ściągniętą twarzą, wskazując na białe żagle prowadzące zaciekłą walkę z szarymi jednostkami Hybernii.

Przeciwnik przytłaczał ich liczebnie, a mimo to smugi magii...

woda, wiatr i zielone pnącza raz po raz atakowały każdą zbliżającą się jednostkę. Ci zaś, którym udało się przebić przez magiczną barierę, napotykali żołnierzy uzbrojonych we włócznie, łuki i miecze.

Nad nimi zaś stawiające czoła flocie... szyki Ilyrów.

Tak wielu. Rhys przeskoczył ich tutaj... wszystkich. Jak strasznie musiało to wyczerpać jego moc...

Mor z trudem przełknęła ślinę.

– Nikt inny nie przyszedł im z pomocą – szepnęła. – Żaden inny dwór.

Jednak po stronie Hybernii nie widać było również Tamlina i oddziałów Dworu Wiosny.

Ogłuszający huk ciemnej mocy uderzył w hybernijską flotę, niszcząc statki... ale nieliczne. Jakby...

– Moc Rhysa musi być już niemal całkiem wyczerpana... albo jakoś się przed nią bronią. Więcej zguby fae?

– Hybern byłby głupcem, gdyby z niej nie korzystał – odparła.

Palce jej opuszczonych wzdłuż ciała dłoni zacisnęły się i rozwarły. Na czoło wystąpił pot.

– Mor?

– Wiedziała, że nadejdzie – wyszeptała. – Że kiedyś rozpęta się kolejna wojna. Wiedziała, że dojdzie do nowych bitew. Ale zapomniałam już, jakie to okropne. Te dźwięki. Ten odór.

Faktycznie, nawet z naszego skalistego wzniesienia było to... przytłaczające. Znalezienie się wewnątrz tego...

Alis. Alis opuściła Dwór Wiosny, obawiając się piekła, jakie mogą rozpętać... Tylko po to, by znaleźć się tutaj. Modliłam się, żeby nie było jej dziś w mieście, modliłam się, by ona i jej siostrzeńcy byli bezpieczni.

– Idziemy do pałacu – zaordynowała Mor, usztywniając ramiona.

Nie śmiałam przerywać skupienia Rhysa próbą kontaktu, ale wyglądało na to, że wciąż był w stanie wydawać rozkazy.

– Żołnierze dotarli do jego północnego skrzydła i otoczyli obronę.

Wskazałam głową pałac. Mor wyciągnęła swoje smukłe zakrzywione ostrze. Seraficka stal zaśniła srebrzyście jak oczy

Amreny.

Wyciągnęłam swój przytroczony na plecach ilyryjski miecz. Metal zdawał się ciemny i starożytny w porównaniu ze srebrzystym płomieniem w dłoni Mor.

– Trzymamy się razem... i tylko nie znikaj mi z oczu – powiedziała spokojnie i lakonicznie Mor. – Nie wchodzimy w żadne korytarze ani na żadne schody, nie rozejrzawszy się najpierw dobrze.

Skinęłam ponownie głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Serce tętniło mi jak rozpędzony koń, dłonie się pociły. Woda... chciałabym móc napić się odrobinę wody. W ustach zupełnie mi zaschło.

– Jeśli nie będziesz w stanie zabić – dodała – to osłaniaj mnie z tyłu.

– Jestem w stanie... zabijać – wychrypiałam.

Robiłam to wystarczająco wiele razy w Velaris.

Mor przyjrzała mi się, oceniając postawę i chwyt na broni.

– Nie zatrzymuj się i nie ociągaj. Przemijaj naprzód, aż powiem, że się wycofujemy. Rannych zostaw uzdrowicielom.

Zdałam sobie sprawę z tego, że żadne z nich nie czerpało z tego przyjemności. Moi przyjaciele... byli już na jednej wojnie i nie uważali tego za chwalebne, nie pozwolili, by przez wieki przydało im to chwały. Jednak byli skłonni rzucić się w piekło po raz kolejny, dla dobra Prythianu.

– Chodźmy – powiedziałam.

Każda zmarnowana chwila mogła oznaczać czyjąś śmierć w lśniąącym nad zatoką pałacu.

Mor przełknęła ślinę i przeskoczyła nas do środka.

\*\*\*

Musiła już wcześniej być tu kilkakrotnie z wizytą, gdyż doskonale wiedziała, gdzie wylądować.

Środkowe poziomy pałacu Tarquina stanowiły część wspólną pomiędzy niższymi piętrami (mieszkała tu służba i mieli swoje kwatery pomniejsi fae) a luksusowymi wyższymi, gdzie rezydowali fae wysokiego rodu. Kiedy ostatnio widziałam wielką salę przyjęć,



światło było jasne i czyste, odbijało się od wyłożonych muszlami ścian i tańczyło na płynących w podłodze rzekach. Morze za wysokimi oknami mieniło się żywymi barwami turkusowo-szafirowymi.

Kiedy teraz spoglądałam na zatokę, usiana była potężnymi statkami i zabarwiona krwią, zaś lazurowe niebo było pełne równych szyków ilyryjskich żołnierzy pikujących na wrogie oddziały z zaciekłą determinacją. Grube metalowe tarcze lśniły, kiedy Ilyrowie spadali na wroga, a za każdym razem, kiedy wzbijali się ponownie, pokryte były krwią... jeśli w ogóle wracali na niebo.

Ale moje zadanie czekało tutaj. W tym budynku.

Lustrowaliśmy piętro, nasłuchując.

Ze schodów wiodących na górę dobiegły nas pośpieszne szepty oraz ciężkie uderzenia.

– Barykadują się na wyższych poziomach – stwierdziła Mor, a ja zmarszczyłam brwi.

Zostawiają pomniejszych fae uwięzionych na dole. Bez pomocy.

– Dupki – wyszeptalam.

Pomniejsi fae nie dysponowali zbyt potężną magią... nie taką jak fae wysokiego rodu.

– Tędy – rzuciła Mor, wskazując podbródkiem schody prowadzące na dół. – Są trzy poziomy pod nami i wspinają się. Pięćdziesięciu.

Cała załoga jednego statku.

## Rozdział 36

Najtrudniejsze było zabicie pierwszych dwóch. Nie traciłam sił fizycznych na pięciu Hybernijczyków – fae, nie attoropodobne pomioty – próbujących dostać się do pomieszczenia, w którym zabarykadowali się przerażeni służący.

Nie, nawet jeśli moje ciało wahało się przed wymierzeniem śmiertelnego ciosu, moja magia nie miała podobnych zahamowań.

Dwóch żołnierzy najbliżej mnie miało marne tarcze, przez które przebiłam się szalejącą ścianą ognia. Ognia, który potem wdarł się im do gardeł, parząc wszystko po drodze. Później zaś przepalił się przez skórę, ścięgnął kości, aż wreszcie oddzielił głowy od tułowi.

Mor zabiła właśnie znajdującego się obok niej żołnierza starą dobrą dekapitacją.

Weszła w piruet i podczas gdy głowa pierwszego jeszcze leciała, zrobiła to samo z nacierającym na nas kolejnym.

Piąty i ostatni przerwał swoje ataki na drzwi i obrócił się w naszą stronę z oczami błyszczącymi zimną nienawiścią.

– Zrób to zatem – powiedział z takim samym akcentem jak Krukowie.

Podniósł swój szeroki miecz, po bruździe na ostrzu spływała krew. Ktoś po drugiej stronie drzwi szlochał ze strachu.

Żołnierz rzucił się na nas, zabłysła broń Mor.

Ale ja byłam pierwsza, strumień czystej wody uderzył go w twarz, oślepiając go. Potem wepchnął się mu do gardła i nosa, blokując dostęp powietrza.

Padł na ziemię szarpiąc się za gardło, jakby próbował uwolnić drogi oddechowe z zalewającej je wody.

Zostawiłyśmy go, nawet na niego nie patrząc. Wkrótce zresztą odgłosy dławienia się ucichły.

Mor spojrzała na mnie z ukosa.

– Przypomnij mi, żeby nigdy nie nastąpić ci na odcisk.

Doceniałam próbę rozładowania sytuacji, ale... śmiech był mi teraz obcy.

Miałam tylko ciężki oddech w płucach, kipiącą w żyłach magię i absolutnie krystaliczną jasność widzenia i ocenę otoczenia.

Znalazłyśmy kolejnych ośmiu zajętych krzywdzeniem i zabijaniem; sypialnia została zamieniona w prywatny przybytek wynaturzonych rozkoszy Hybernijczyków. Było mi nawet obojętne, co dokładnie robili. Notowałam tylko stopień okrucieństwa, by wiedzieć, jak szybko i łatwo mają zginąć.

Ci, którzy tylko mordowali, ginęli szybko.

Inni... Mor i ja nie spieszłyśmy się. Może nie o wiele, ale ich śmierć była powolniejsza.

Ostatnich dwóch pozostawiłyśmy rozbrojonych, ale przy życiu... żeby mogli zabić ich ci z pomniejszych fae, którzy przeżyli.

Dałam im do tego dwa ilyryjskie noże.

Żołnierze zaczęli wrzeszczeć, jeszcze zanim oczyściłyśmy poziom.

Korytarz na poziomie niżej cały zachlapany był krwią. Hałas wprost ogłuszał. Tuzin żołnierzy w srebrno-niebieskich strojach gwardii Tarquina odparowało natarcie hordy Hybernijczyków, starając się utrzymać korytarz.

Niemal zostali już zepchnięci na schody, z których właśnie zeszyliśmy, przytłoczeni przeważającą liczbą przeciwników. Hybernijscy żołdacy przechodzili nad... i po poległych wojownikach Dworu Lata.

Żołnierze Tarquina widocznie słabli, ale mimo to wciąż walczyli, wciąż dzierżyli swoje miecze. Ten znajdujący się najbliżej zauważył nas... otworzył już usta, żeby nakazać nam ucieczkę, ale wtedy zobaczył zbroje i krew na naszych ostrzach.

– Nie obawiaj się – powiedziała Mor.

A ja wyciągnęłam rękę i posłałam w nich ciemność. Żołnierze po obu stronach krzyknęli, zatoczyli się do tyłu przy wtórze szczęku zbroi. Sprawiałam, by moje oczy widziały w ciemności. Tak samo jak wtedy w ilyryjskim lesie, gdy zabiłam swojego pierwszego Hybernijczyka. Mor chyba urodziła się z umiejętnością widzenia w ciemności.

Przeskakiwałyśmy przez spowity mrokiem korytarz krótkimi skokami. Widziałam grozę na twarzach tych, którzy ginęli. Jednak nie byli w stanie mnie dojrzeć. Za każdym razem, kiedy pojawiałyśmy się przed którymś z nich, rozgorączkowanych w nieprzeniknionej ciemności, spadały głowy. Jedna po drugiej. Przeskok, cięcie. Przeskok, łup.

Aż nie został ani jeden, tylko stos ciał i kałuże krwi.

Rozwiałam ciemność i zobaczyłam, że żołnierze Dworu Lata, dysząc ciężko, wpatrują się ze zgrozą. W nas. W to, czego dokonałyśmy w zaledwie minutę.

Nie przyglądałam się zbyt długo poboju. Mor również.

– Gdzie jeszcze? – spytałam krótko.

\*\*\*

Oczyściłyśmy pałac aż po najniższe poziomy. Potem przeniosłyśmy się na ulice, strome wzgórze schodzące ku zatoce roiło się od hybernijskich żołnierzy.

Poranne słońce wzniosło się wyżej i paliło niemiłosiernie, pokrywając nasze ciała pod pancerzami potem. Przestałam już odróżniać pot od krwi na moich dłoniach.

Przestawałam czuć cokolwiek, w miarę jak zabijałyśmy więcej i więcej, czasem wręcz, czasem magią, czasem same dorabiając się szram i siniaków.

Słońce kontynuowało swoją wędrówkę po niebie, a bitwa w zatoce wciąż trwała. Ilyrowie szarpali hybernijską armadę z góry, podczas gdy od morza spychała ich flota Tarquina.

Powoli udawało nam się oczyszczać ulice z hybernijskich żołdaków. Czułam tylko palące mnie słońce i krew pokrywającą moją skórę; jej żelazisty odór przepęłniał mi nozdrza.

Oczyściłyśmy właśnie wąską uliczkę – Mor robiła przegląd poległych Hybernijczyków, by upewnić się, że wszyscy na pewno nie żyją. Ja opierałam się o zbryzganą krwią ścianę tuż obok rozbitego okna krawca, przyglądając się, jak srebrzyste ostrze Mor wznosi się i opada niczym miniaturowa błyskawica.

Za nami, wokół nas krzyki umierających rozbrzmiewały niczym

niecichnące ostrzegawcze miejskie dzwony.

Woda... potrzebowałam wody. Nawet jeśli tylko po to, by wypłukać krew z ust. Nie moją własną, ale żołnierzy, których zabiłam. Ich krew pryskała mi do ust, do nosa, nawet do oczu.

Mor doszła właśnie do ostatniego zabitego, kiedy przerażeni fae – wysokiego rodu i pomniejsi pospołu – zaczęli wystawiać głowy z okolicznych drzwi i okien. Nie widziałam nigdzie Alis, jej siostrzeńców, kuzynów... ani nikogo, kto wyglądałby podobnie do nich, ani pośród żywych, ani wśród martwych. Chociaż tyle dobrego.

Brnęłyśmy dalej. Było jeszcze wiele do zrobienia... tak wiele.

Kiedy Mor szła w moją stronę, jej buty plaskały na kałużach krwi. Wyciągnęłam w myślach dłonie ku naszej więzi. Ku Rhysowi... ku czemukolwiek stabilnemu i znajomemu.

Odpowiedziały mi wiatr i ciemność.

Tylko częściowo rejestrowałam wąską uliczkę, krew i słońce, kiedy spoglądałam w stronę łączącego nas pomostu.

„Rhys”.

Nic.

Pomknęłam tym mostem, brnąc na oślep poprzez nawałę nocy i cienia. Jeśli nasza więź czasem zdawała się żywą obręczą światła, dzisiaj przypominała raczej most ze zlodowaciałego obsydianu.

A na jego drugim końcu... jego umysł. Jego ściany... bariery... Zmienił się w fortecę.

Położyłam umysłową dłoń na czarnym adamancie, serce waliło mi jak młotem. Czemu on stawiał czoła... co takiego widział, by zmusiło go do postawienia tarcz tak nieprzeniknionych?

Nawet go nie czułam po drugiej stronie.

Były tam tylko kamień, ciemność i wiatr.

„Rhys”.

Mor prawie już do mnie dotarła, kiedy nadeszła odpowiedź.

W tarczy pojawiła się szczelina... na tak krótko, że miałam czas jedynie rzucić się w nią, zanim na powrót się za mną zamknęła. Zamykając mnie wewnątrz razem z nim.

Ulice, słońce i miasto zniknęły.

Istniało tylko tutaj... tylko on. I bitwa.

Patrzyłam oczami Rhysa tak jak kiedyś, tamtego dnia pod Górą... Czułam palące słońce, krew i pot spływające po jego twarzy, wślizgujące się za kołnierz ilyryjskiej zbroi... czułam zapach soli morskiej i otaczający mnie odór krwi. Czułam ogarniające go wyczerpanie, zarówno mięśni, jak i magii.

Pokład hybernijskiego okrętu zadrżał pod jego stopami, kiedy wylądował na nim z ilyryjskimi ostrzami w obu dłoniach.

Sześciu żołnierzy zginęło natychmiast. Ich ciała i zbroje zamieniły się w srebrzysto-czerwoną mgłę.

Inni zawahali się, widząc, kto znalazł się pomiędzy nimi, w samym sercu ich floty.

Rhys powoli lustrował chronione hełmami głowy, liczył broń. Nie, żeby miało to jakieś znaczenie. Wszyscy wkrótce staną się karminową mgłą albo pokarmem dla stworzeń krążących wokół ścierających się flot. Potem zaś sam statek zmieni się w unoszące się na falach drzazgi.

Jednak to nie zwykłego żołnierza szukał. Ponieważ tam, gdzie powinna kipieć jego moc, niszcząc wszystko na swojej drodze... Był zaledwie stłumiony pomruk. Stłamszony.

Wyśledził go aż tutaj... tę dziwną tamę na swojej mocy, na mocy syfonów. Jakby jakieś zaklęcie sprawiło, że jego moc wyslizgiwała mu się, kiedy po nią sięgał. Czyniąc ją o wiele trudniejszą w użyciu.

To dlatego bitwa trwała tak długo. Czysty, precyzyjny cios, który chciał zadać po przybyciu... jeden strzał, który mógłby ocalić tyle żyć... omsknął mu się.

Więc wytropił ją. Tę tamę. Przebił się przez całą Adriatę, aby dostać się na ten statek. A teraz zaczynał odczuwać już zmęczenie... Uzbrojeni żołnierze wokół niego rozstąpili się... i pojawił się on.

Uwięziona wewnątrz umysłu Rhysa, podczas gdy jego moc była stłamszona, a ciało zmęczone, nie byłam w stanie nic zrobić, tylko patrzeć, jak król Hybernii wychodzi spod pokładu i uśmiecha się paskudnie do mojego towarzysza.

## Rozdział 37

**K**rew skapywała z bliźniaczych ostrzy Rhysa na deski pokładu. Jedna kropla... dwie. Trzy.

Matko najświętsza. Król...

Władca Hyberrnii odziany był we własne barwy: kamienną szarość haftowaną kościanobiałą nicią. Nie miał przy sobie broni. Nie było też na nim ani kropli krwi.

Wewnątrz umysłu Rhysa nie byłam w stanie wziąć rwanego oddechu, nie czułam w swej piersi bicia serca. Nie mogłam zrobić nic, tylko patrzeć... patrzeć i być cicho, żeby nie rozpraszać go, nie ryzykować, że straci koncentrację choć na chwilę.

Rhys spojrzał w ciemne oczy króla gorejące pod masywnymi brwiami i uśmiechnął się.

– Dobrze widzieć, że wciąż nie kwapisz się włączyć osobiście do walki.

Król błysnął zębami w okrutnym uśmiechu.

– Czekałem na bardziej interesujące wyzwanie.

Jego głos był zimniejszy niż najwyższe szczyty ilyryjskich gór. Pułapka... to była pułapka, by odkryć, który z władców dworów odkryje pierwszy źródło osłabiające moce.

Rhys wiedział, że będą tu czekać... król bądź jego ludzie.

Wiedział, a mimo to przybył. Wiedział i nie poprosił nas, by mu *pomóc*...

„Najmądrzej by było – odezwał się do mnie spokojnym i równym głosem – wziąć go żywcem, by Azriel mógł go złamać i zmusić do oddania Kotła. A potem uczynić z niego przykład dla wszystkich innych dupków, którym przysłoby do głowy zniszczenie muru”.

„Nie – prosiłam. – Po prostu go zabij... zabij i skończ z tym. Zakończ tę wojnę, zanim się jeszcze na dobre rozpoczęła”.

Namyślał się przez chwilę.

„Ale śmierć tutaj, szybka i brutalna, sprawi, że wszyscy jego

ludzie bez wątpienia zwróca się przeciwko mnie”.

Jeśli w ogóle będzie w stanie tego dokonać. Król w ogóle nie walczył. Nie wyczerpał swoich rezerw mocy. Rhys zaś...

Poczułam, jak Rhys ocenia szanse.

„Pozwól, by jedno z nas przyszło ci z pomocą. Nie stawiaj mu czoła samemu...”.

Ponieważ próba wzięcia króla żywcem bez pełnego dostępu do swoich mocy...

Informacje przemknęły przeze mnie: wszystko, co wiedział i widział Rhys. Wzięcie króla żywcem zależało od tego, czy Azriel był w wystarczająco dobrej kondycji, by mu pomóc. Obaj z Kasjanem oberwali kilkakrotnie, ale... nie było to nic, z czym nie daliby sobie rady. Nic, co przeraziłoby wciąż walczących pod ich komendą Ilyrów. Na razie.

– Wygląda na to, że losy bitwy się odwracają – zauważył Rhys.

Faktycznie flota Dworu Lata wypychała już Hybernijczyków na pełne morze. Nie widziałam jeszcze Tarquina. Ani Variana, ani Kresejdy. Mimo to walka trwała. Wciąż odpychali wroga coraz dalej i dalej od portu.

Czas. Rhys potrzebował *czasu*...

Rzucił się ku umysłowi króla... i napotkał pustkę. Ani śladu, ani cienia. Jakby był niczym więcej jak przewrotnym i starożytnym złem...

Król mlasnął językiem.

– Słyszałem, że jesteś szarmancki, Rhysandzie. A jednak proszę bardzo, obłapiasz mnie i obmacujesz jak jakiś chłystek.

Kącik ust Rhysa zadrgał.

– Zawsze chętnie zawiodę Hybernijczyka.

– Och, ależ skąd – odparł król, krzyżując ramiona na piersi... mięśnie pod ubraniem zagrały. – Byłeś taką wspaniałą rozrywką. Zwłaszcza dla mojej drogiej Amaranthy.

Poczułam to... myśl, która wymknęła się Rhysowi.

Chciałby wymazać to imię całkowicie z pamięci świata. Może któregoś dnia mu się to uda. Kiedyś, być może, wymaze jej imię z myśli każdego na świecie, aż stanie się absolutnie niczym i nikim.



Ale król już to wiedział. Widziałam po jego uśmiechu, że wiedział. I wszystko, co robił... Wszystko...

„Zabij go, Rhys. Zabij go i skończ z tym”.

„To nie takie proste – brzmiała wyważona odpowiedź. – Nie zdołam tego zrobić bez przeszukania przynajmniej jego statku. Muszę najpierw odnaleźć źródło tego zaklęcia i zniszczyć je”.

Ale jeśli będzie się dłużej ociągał... Nie miałam wątpliwości, że król szykował jakąś paskudną niespodziankę. Specjalnie przygotowaną, by zaskoczyć go lada chwila. Wiedziałam, że Rhys również zdawał sobie z tego sprawę.

Wiedziałam, ponieważ zbierał swoją moc, oceniając przeciwnika i czając się jak żmija szykująca się do ataku.

– Ostatni raport, jaki otrzymałem od Amaranthy – ciągnął król, chowając ręce do kieszeni – sugerował, że dobrze się tobą bawi.

Żołnierze wybuchnęli śmiechem.

Mój towarzysz był jednak na to przygotowany... na ten śmiech żołdaków. Mimo że sama miałam ochotę rzucić się na nich z rykiem i rozerwać na strzępy, Rhys nawet nie zazgrzytał zębami, choć król posłał mu uśmiech sugerujący, że dokładnie wiedział, jakie blizny pozostawiła.

Co mój towarzysz robił, by odwracać uwagę Amaranthy. Dlaczego to robił.

Rhys uśmiechnął się półgębkiem.

– Szkoda, że nie zakończyło się to dla niej zbyt przyjemnie.

Jego moc przeszukiwała właśnie statek, starając się odnaleźć cokolwiek, co blokowało nasze moce.

„Zabij go... zabij go teraz” – słowa brzmiały w mojej krwi, w moim umyśle.

W jego również. Słyszałam je równie wyraźnie jak swoje własne.

– Niesamowita dziewczyna... ta twoja towarzyszka – rozważał głośno król. W jego głosie nie było emocji, gniewu, niczego poza zimnym rozbawieniem. – Najpierw Amarantha, potem mój pupilek attor... Wreszcie przełamała wszystkie bariery ochronne w moim pałacu, by dopomóc wam w ucieczce. Nie wspominając już... – Gardłowy śmiech. – Nie wspominając mojego siostrzeńca i mojej

siostrzenicy.

Furia... to właśnie zaczynało wzbierać w jego oczach.

– Zaszlachtowała Dagdana i Brannagh. I z jakiego powodu?

– Może powinienesz spytać Tamlina. – Rhys uniósł brew. – W zasadzie to gdzie on jest?

– Tamlin. – Władca Hybernii zdawał się rozkoszować brzmieniem tego imienia. – On ma względem ciebie plany, po tym, co ty i twoja towarzyszka mu zrobiliście. Jego dwór. Cóż za bałagan zostawiliście mu do posprzątania... chociaż niewątpliwie twoja towarzyszka ułatwiła mi umieszczenie jeszcze większej liczby żołnierzy na jego ziemiach.

Matko najświętsza... Matko najświętsza, ja to spowodowałam...

– Na pewno ją to ucieszy.

Za długo. Rhys za długo się ociągał, a walka z nim teraz... Walcz lub uciekaj. Uciekaj lub walcz.

– Ciekawe, skąd otrzymała swoje dary? Albo od kogo?

Król wiedział. Czym byłam. Czym władałam.

– Jestem szczęściarzem, że jest właśnie moją towarzyszką.

Król uśmiechnął się ponownie.

– Przez tę odrobinę czasu, jaka ci pozostała.

Przysięgłabym, że Rhys wytłumił te słowa.

Król ciągnął dalej jakby nigdy nic.

– Kompletnie cię to wykończy, wiesz o tym. Próba zatrzymania mnie. A kiedy dasz z siebie wszystko, umrzesz, Rhysandzie. I wtedy, kiedy twoja towarzyszka będzie rozpaczać nad twoim ciałem, wezmę ją.

Rhys nie dał po sobie poznać ani cienia emocji, skrywając za chłodną, lekko rozbawioną fasadą dziką szalejącą furie, która rosła w nim z każdym słowem, z każdą groźbą. Która zbierała się przede mną niczym bestia gotująca się do ataku, by bronić swego.

– Pokonała Amaranthę i attora – odparł Rhys. – Wątpię, byś ty sprawił jej wiele kłopotu.

– Zobaczymy. Może kiedy już z nią skończę, oddam ją Tamlinowi.

Furia wciąż rosła we krwi Rhysa. I w mojej własnej.

„Uderzaj lub wiedz, Rhys – błagałam ponownie. – Cokolwiek

zrobisz, zrób to *teraz*".

Rhys wezwał swoją moc. Poczułam, jak rośnie wewnątrz niego, jak stara się utrzymać ją na wodzy.

– Zakłęcie przestanie działać – powiedział król, wykonując dłonią niedbały gest. – Kolejna mała sztuczka, którą podłapałem, gnijąc na Hybernii.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł spokojnie Rhys.

Obaj tylko uśmiechnęli się do siebie.

Potem Rhys spytał:

– Dlaczego?

Król wiedział, co ma na myśli.

– Zdaniem twoim i tobie podobnych przy stole było miejsce dla wszystkich – prychnął król. – Dla ludzi, pomniejszych fae, różnych mieszkańców. W tym twoim nowym świecie było miejsce dla wszystkich... póki myślą tak jak ty. Ale dla lojalistów... Z jaką rozkoszą nas odrzuciłeś. – Wskazał ręką obserwujących ich żołnierzy, szalejącą w zatoce bitwę. – Chcesz wiedzieć dlaczego? Ponieważ cierpieliśmy... Kiedy nas stłamsiłeś, kiedy nas odrzuciłeś...

– Wielu żołnierzy wydało odgłosy świadczące o aprobachie dla słów króla. – Nie mam zamiaru spędzić kolejnych pięciuset lat, patrząc, jak mój lud kłania się tym ludzkim świniom... Patrząc, jak starają się przeżyć, podczas gdy ty roztaczasz nad tymi śmiertelnikami opiekę, dając im zasoby i bogactwa w zamian za nic. – Przechylił lekko głowę. – Dlatego odbierzemy, co nasze. Co zawsze było nasze i zawsze będzie nasze.

– Z pewnością możesz spróbować – rzucił Rhys z przebiegłym uśmiechem.

Nie próbował nawet dodać nic więcej, tylko cisnął w króla smukłą włócznią mocy, precyzyjnie jak strzała wypuszczona z łuku.

Kiedy jednak dosięgła króla...

Przeniknęła prosto przez niego.

Zafalował... po czym z powrotem się ustabilizował.

Iluzja. Cień.

Król roześmiał się głośno.

– Sądzisz, że pojawiłbym się na tej bitwie osobiście? – Machnął

ręką ku wciąż przyglądającym się żołnierzom. – Tylko przedsmak, ta bitwa to tylko przedsmak tego, co was czeka. Żeby zaostrić wasz apetyt.

Po czym zniknął.

Magia, która wyciekała z tego statku, która pokrywała oleistą mazią moce Rhysa... również zniknęła.

Rhys pozwolił żołnierzom na pokładzie statku, na pokładach wszystkich statków dookoła przynajmniej honorowo unieść broń.

Po czym obrócił wszystko w czerwoną mgłę i unoszące się na falach drzazgi.

## Rozdział 38

Mor potrząsała mną. Wiedziałam o tym tylko dlatego, że Rhys wypchnął mnie ze swojego umysłu w momencie, w którym rzucił się na hybernijskich żołnierzy.

„Byłaś tu aż za długo” – powiedział tylko, pieścotliwie wodząc ciemnym szponem po mojej twarzy. Po chwili znalazłam się na zewnątrz, zataczając się wzdłuż więzi, podczas gdy ściany fortecy za mną zatrzęsły się szalenie.

– Feyro! – usłyszałam głos Mor, a jej palce wbijały się w moje ciało nawet przez skórnię. – Feyro!

Zamrugałam, widząc z powrotem słońce, krew i wąską uliczkę.

Zamrugałam... i zwymiotowałam prosto na bruk uliczki. Wstrząśnięci i skamieniali mieszkańcy tylko się przyglądali.

– Tędy – powiedziała, objęła mnie w talii i poprowadziła w pustą pylistą alejkę. Daleko od ciekawskich oczu. Ledwie rejestrowałam miasto, zatokę i morze za nią... ledwie zauważyłam potężny sztorm ciemności, wody i wiatru przepychający hybernijską flotę aż za horyzont. Zupełnie jakby moce Rhysa i Tarquina zostały uwolnione zniknięciem króla.

Dotarliśmy do kupy gruzu pozostałej po na wpół zburzonym budynku i zwymiotowałam ponownie. A potem jeszcze raz.

Mor gładziła mnie po plecach kolistymi uspokajającymi ruchami, kiedy mną targały kolejne spazmy.

– To samo przydarzyło się mnie po mojej pierwszej bitwie. Nam wszystkim.

To nawet nie była bitwa... nie taka, jaką sobie wyobrażałam: armia przeciwko armii na jakimś niesamowitym polu bitewnym, chaos i błoto. Nawet dziś, prawdziwa bitwa tak naprawdę stoczona została na morzu... skąd Ilyrowie płynęli właśnie z powrotem na ląd. Nie miałam serca spojrzeć, ilu z nich wróciło.

Nie wiedziałam, jak Mor, Rhys, Kasjan czy Azriel to znoszą. A do

tego to, co zobaczyłam...

– Król tu był – szepnęłam.

Dłoń Mor zastygła na moich plecach.

– Co?

Oparłam się czołem o nagrzaną słońcem kamień budynku przede mną i opowiedziałam jej... co zobaczyłam w umyśle Rhysa. Król był tu, a jednak go nie było. Kolejna sztuczka... kolejne zaklęcie. Nic dziwnego, że Rhys nie był w stanie zaatakować jego umysłu: króla tam po prostu nie było. Gdy skończyłam opowieść, zacisnęłam oczy i mocniej oparłam się o kamień.

Wciąż pokrywały mnie krew i pot. Próbowałam przypomnieć sobie, jak moja dusza czuła się w ciele, jakie miałam priorytety, jak wyglądał świat moimi oczami. Co zrobić z kończynami w bezruchu. Jak zwykle układałam dłonie, kiedy nie trzymałam w nich miecza? Jak *przestać* się poruszać?

Mor ścisnęła moje ramię, jakby rozumiała myśli galopujące przez moją głowę, obcość mojego własnego ciała. Poprzednia wojna szalała przez siedem lat. *Siedem lat*. Jak długo potrwa ta?

– Powinnyśmy odszukać pozostałych – powiedziała, po czym pomogła mi się wyprostować i przeskoczyła nas z powrotem do górującego nad miastem pałacu.

Nie mogłam zdobyć się na posłanie kolejnej myśli wzdłuż mojej więzi z Rhysem. Zobaczyć, gdzie był. Ponieważ nie chciałam, by on zobaczył mnie... poczuł mnie... w takim stanie. Mimo że wiedziałam, że nie będzie mnie oceniał.

On również rozlał dziś na polu bitwy krew. I wielokrotnie przedtem. Podobnie jak wszyscy moi przyjaciele.

I rozumiałam teraz... choć tylko przez maleńką chwilę, kiedy szalał wokół nas wicher... dlaczego niektórzy władcy, ludzie i fae, woleli pokłonić się Hybernii. Pokłonić się raczej niż doświadczyć tego.

Nie tylko cena płacona w życiach była druzgocąca i rozdzierająca, ale też to, że wojna zmieniała samą duszę... świadomość, że może i mogłam wrócić do Velaris, może uda się osiągnąć pokój, miasta można odbudować... ale ta bitwa, ta wojna... *Ja* na zawsze już

pozostaną odmieniona.

Wojna pozostanie we mnie o wiele dłużej, niż będzie fizycznie trwała, jak niewidzialna blizna, która może z czasem zblednie, ale nigdy całkowicie nie zniknie.

Jednak dla mojego domu, dla Prythianu i ludzkich krain, dla tak wielu innych...

Oczyszczę moje ostrza i obmyję krew ze skóry.

I zrobię to jeszcze raz. I jeszcze raz.

\*\*\*

Środkowe poziomy pałacu aż wrzały od kręcących się fae: okrwawieni żołnierze Dworu Lata kuśtykali wokół uzdrowicieli, służący zaś biegali do tych ułożonych na podłodze.

Strumień biegnący przez środek głównej sali spływał czerwienią.

Coraz to kolejni fae wysokiego rodu o oczach szeroko rozwartych grozą przeskakiwali z jeszcze nowymi rannymi.

Nieco Ilyrów... równie pokrwawionych, ale o normalnych, trzeźwych oczach... wciągało własnych towarzyszy przez szeroko otwarte drzwi i okna balkonów.

Lustrowaliśmy z Mor okolicę, szeregi ludzi, odór śmierci i krzyki rannych.

Próbowałam przełknąć, ale usta miałam zeschnięte na wiór.

– Gdzie są...

Rozpoznałam jednego z wojowników w tej samej chwili, kiedy on zauważył mnie.

Varian, klęczący przy rannym żołnierzu, w kompletnie poszarpanych spodniach, na mój widok zamarł. Jego brązowa skóra pochłapana była krwią lśniąca jak rubiny, które nam przesłali, zaś białe włosy przylegały do głowy, jakby właśnie ściągnął hełm.

Świsnął przez zęby i obok niego pojawił się inny żołnierz, przejmując zawiązywanie opaski uciskowej na udzie rannego. Namiestnik Adriaty wstał na nogi.

Nie miałam w sobie już ani okruszyny magii, by postawić tarczę. Po spotkaniu Rhysa z królem pozostała we mnie jedynie ciemna otchłań, która zastąpiła szalejące morze strachu. Poczułam jednak,

jak otacza nas moc Mor. Nad moją głową wciąż wisiał wyrok śmierci. Nałożony przez nich.

Varian podszedł do nas... powoli. Sztywno. Jakby całe ciało go bolało. Mimo to jego przystojna twarz nie zdradzała nic poza obezwładniającym zmęczeniem.

Otworzył usta... po czym je zamknął. Mnie również brakowało słów.

Wreszcie wychrypiał głosem tak zdartym, że od razu znać było, jak wiele i jak długo musiał dzisiaj krzyczeć.

– Jest w jadalni dębowej.

Tej, w której spożywałam z nimi pierwszy posiłek.

Skinęłam mu głową i zaczęłam torować sobie drogę przez tłum, Mor kroczyła tuż za mną.

Sądziłam, że miał na myśli Rhysanda.

Jednak czekał na nas Tarquin. Stał we wciąż pokrytej krwią srebrnej zbroi przy jadalnianym stole zarzuconym mapami i pergaminami. Słoneczną komnatę wypełniali fae Dworu Lata – niektórzy pokryci krwią, inni zupełnie czysti.

Księżę Dworu Lata spojrział sponad stołu, kiedy zatrzymałyśmy się na progu. Przez chwilę przyglądał się Mor i mnie.

Łagodność i wyrozumiałość, które ostatnio gościły na jego twarzy, znikły całkowicie. Zastąpił je ponury zimny wyraz, który sprawił, że poczułam bolesny ucisk w żołądku.

Na szyi miał ranę, na której krew już zastygła, ale zaschnięte kawałki odpadały przy każdym ruchu głowy. Spojrzął na swoich poddanych i rozkazał:

– Zostawcie nas.

Nikt nie śmiał powiedzieć ni słowa, wszyscy tylko pośpiesznie opuścili jadalnię.

Ostatnim razem, kiedy tu byłam, dopuściłam się okropnych rzeczy. Łgałam i kradłam. Włamałam się do jego umysłu i sprawiłam, że uwierzył w moją niewinność. Brak zagrożenia z mojej strony. Nie winiłam go za wysłanie krwawego rubinu. Ale jeśli zechce zemścić się teraz...

– Słyszałam, że oczyściście pałac. I pomogliście oczyścić wyspę.



Mówił głosem niskim... beznamiętnym.

Mor przekrzywiła głowę.

– Twoi żołnierze walczyli dzielnie u naszego boku.

Tarquin zignorował ją, wlepiając we mnie spojrzenie swych turkusowych oczu. Dojrzał krew, rany, skórnię. Potem obrączkę godową na moim palcu, zmatowiały gwiazdny szafir, a pomiędzy delikatnymi arabeskami – zastygniętą krew.

– Sądziłem, że przybyliście tu, by dopełnić dzieła – odezwał się do mnie.

Nie śmiałam się ruszyć.

– Słyszałem, że Tamlin cię zabrał. Potem, że Dwór Wiosny legł w gruzach. Że jego mieszkańcy się zbuntowali. A ty po prostu zniknęłaś. Kiedy więc zobaczyłem nadlatujących Ilyrów... pomyślałem, że przybyłaś i po mnie. By pomóc Hybernijczykom nas wykończyć.

Varian nie powiedział mu w takim razie... o wiadomości, jaką przemycił Amrenie. Nie było to wołanie o pomoc, ale paniczne ostrzeżenie, żeby się ratowała. Tarquin nie miał pojęcia, że przyjdziemy z pomocą.

– Nigdy nie sprzymierzylibyśmy się z Hybernią – powiedziała Mor.

– Mówię do Feyry Archeron.

Wcześniej nie słyszałam, żeby Tarquin użył podobnego tonu. Mor zjeżyła się, ale zmilczała.

– Dlaczego? – zapytał ostro.

Słońce lśniło na jego zbroi, której zachodzące na siebie płytki przypominały rybią łuskę.

Nie wiedziałam, co ma na myśli. Dlaczego zwiedliśmy go i okradliśmy? Dlaczego przybyliśmy z pomocą? Jedno i drugie?

– Nasze cele są takie same.

Tylko tyle przyszło mi do głowy.

Zjednoczone ziemie, w których pomniejsze fae nie byłyby już traktowane jak gorszego sortu. Lepszy świat.

Przeciwieństwo tego, o co walczyła Hybernia. O co walczyli jej sojusznicy.

– Czy to usprawiedliwia okradzenie mnie?

Serce zamarło mi w piersi.

– Moja towarzyszka i ja mieliśmy swoje powody, Tarquinie – odezwał się nagle zza mnie Rhysand, który bez wątpienia właśnie tu przeskoczył.

Kolana się pode mną ugięły z powodu spokoju, jaki brzmiał w jego głosie, i widoku pochlapanej krwią twarzy, która jednak nie nosiła śladów żadnego urazu, ciemnej zbroi... takiej samej jak u Azriela i Kasjana... Z powodu tego, że mimo wszystko trzymał się prosto, podczas gdy ja ledwie byłam w stanie ustać na nogach.

„Kasjan i Azriel?”

„W porządku. Doglądają rannych Ilyrów i rozbijają na wzgórzach obóz”.

Tarquin powiódł wzrokiem między nami.

– Towarzyszka.

– Czy to nie oczywiste? – spytał Rhysand, puszczając oko.

Jednak jego spojrzenie było odmienione... ostre i pełne cieni.

Poczułam bolesne ukłucie w sercu.

„Czy król zostawił jakąś pułapkę, by...”.

Położył dłoń na moich plecach.

„Nie. Nie... wszystko w porządku. Jestem zły, że nie zorientowałem się, że to iluzja, ale... W porządku”.

Twarz Tarquina nie zmieniła wyrazu i dalej biła z niej zimna furia.

– Kiedy udałaś się na Dwór Wiosny i zwiódłaś Tamlina co do swojej prawdziwej natury, kiedy zniszczyłaś jego ziemie... Pozostawiłaś otwarte wrota dla Hybernii. Zacumowali w jego portach.

Bez wątpienia zamierzali zaczekać tam na upadek muru i pożeglować na południe.

– Rajd na moje ziemie był łatwy – warknął. – To wasza wina.

Przysięgłabym, że Rhys wzdrygnął się przez więź. Ale odpowiedział mu spokojnie:

– Niczego nie zrobiliśmy. Król Hybernii sam decyduje o swoich działaniach, my nie mamy na nie żadnego wpływu.

Wskazał Tarquina ruchem głowy.

– Moje oddziały pozostaną na wzgórzach, dopóki nie uznamy, że miasto jest już bezpieczne. Wtedy odejdziemy.

– Zamierzacie może ukraść coś jeszcze, zanim sobie pójdziecie?

Rhys zamarł. Pomyślałam, że zastanawia się, czy ma przeprosić. Wyjaśnić.

Oszczędziłam mu wyboru.

– Zajmij się swoimi rannymi, Tarquinie.

– Nie rozkazuj mi.

To była twarz byłego admirała Dworu Lata... księcia, który dowodził flotą, zanim został mu przemocą niemal wepchnięty ten najwyższy tytuł. Zobaczyłam znużenie w jego oczach, złość i żal.

Zginęli jego poddani. Wielu. Miasto, które z takim wysiłkiem odbudował, fae, którzy starali się uleczyć blizny pozostawione przez Amaranthę...

– Pozostajemy do twojej dyspozycji – powiedziałam i wyszłam z pomieszczenia.

Mor trzymała się blisko mnie. Kiedy doszliśmy do głównej sali, zastałyśmy w niej grupkę doradców i żołnierzy przyglądającą się nam uważnie. Za nami Rhys zwrócił się jeszcze do Tarquina:

– Nie miałem wyjścia. Próbowałem tego właśnie uniknąć Tarquinie. Powstrzymać Hybernię, zanim sprawy zajdą za daleko – mówił z napięciem.

– Wynoście się – rzucił oschle Tarquin. – I zabierzcie ze sobą swoją armię. Teraz, kiedy nie mogą wykorzystać elementu zaskoczenia, jesteśmy w stanie obronić zatokę.

Cisza. Zatrzymałyśmy się z Mor tuż za drzwiami, nie odwracając się, ale wciąż słuchając. Usłyszałyśmy, jak Rhysand mówi jeszcze:

– Podczas wojny widziałem, do czego jest zdolny król Hyberni, żeby wiedzieć, że ten atak to dopiero początek. – Chwila ciszy. – Przybądź na spotkanie, Tarquinie. Potrzebujemy cię... Prythian cię potrzebuje.

Po dłuższym milczeniu usłyszałyśmy ponownie głos księcia Dworu Lata:

– Wynoś się.

– Oferta Feyry wciąż jest aktualna, pozostajemy do twojej

dyspozycji.

– Zabierz swoją towarzyszkę i odejź. I sugeruję, żebyś ostrzegł ją na przyszłość, że nie powinna rozkazywać władcy dworu.

Zastygłam, gotowa już obrócić się na pięcie, kiedy usłyszałam głos Rhysa:

– Jest księżną Dworu Nocy. Może robić, co jej się podoba.

Szeregi stojących przed nami fae jakby się odsunęły. Przyglądali mi się uważnie, niektórzy z otwartymi ustami. Szmer przebiegł po wszystkich zebranych. Tarquin zaśmiał się gardłowo, z goryczą.

– Wyjątkowo lubisz pluć na tradycję.

Rhys nic już więcej nie powiedział. Jego kroki zabrzmiały na kaflach posadzki, a potem poczułam jego ciepłą dłoń na swoim ramieniu. Spojrzałam na niego, świadoma utkwionych w nas spojrzeń wszystkich wokół. Utkwionych we mnie.

Rhys przycisnął usta do mojej zakrwawionej skroni i zniknęliśmy.

## Rozdział 39

**O**bóz Ilyrów pozostał na wzgórzach nad Adriatą.

Głównie z powodu liczby rannych, których nie mogliśmy ruszyć, póki nie będą na tyle silni, by przeżyć podróż. Poszarpane skrzydła, otwarte rany brzucha, zmasakrowane twarze...

Nie wiedziałam, jak moi przyjaciele są w stanie wciąż utrzymać się na nogach i doglądać – w miarę możliwości – rannych. Azriel praktycznie zniknął mi z oczu, rozbił dla siebie namiot, gdzie przyjmował swoich zwiadowców. Według ich ustaleń flota Hybernii wycofała się – nie do Dworu Wiosny, ale za morze. Nie było śladu żadnych innych sił szykujących się do ataku; w tym również Tamlina czy Juriana.

Jednak Kasjan... Kuśtykał między rannymi, rozdając słowa otuchy i pochwały tym, którymi jeszcze nie zajęli się uzdrowiciele. Dzięki swoim syfonom mógł wykonywać tymczasowe opatrunki, ale... nic poważniejszego. Nic bardziej złożonego.

Za każdym razem, gdy się mijaliśmy, kiedy dostarczałam uzdrowicielom potrzebne materiały, widziałam, że jego twarz pozostaje ponura. Zapadnięta. Wciąż miał na sobie zbroję i chociaż zmył już ze skóry krew, to nadal na napierśniku nosił jej zaschnięte ślady. Jego piwne oczy były równie puste i zaszklone jak moje. I Mor.

Ale Rhys... Jego spojrzenie pozostało bystre. Świadome. Wyraz twarzy ponury, ale... To na niego zwracali swój wzrok żołnierze. A on był dokładnie taki, jaki powinien być: pewny siebie książę dworu, którego siły pokonały właśnie flotę Hybernii i ocaliły miasto pełne niewinnych fae. Jego żołnierze zapłacili za to wysoką cenę, ale zwycięstwo było tego warte. Przechadzał się po obozie, doglądając pielęgnowania rannych, zbierając dostarczane mu przez Azriela informacje, rozmawiając z dowódcami... wciąż w swojej ilyryjskiej zbroi. Choć już bez skrzydeł. Zniknęły, zanim wszedł do

komnaty Tarquina.

Słońce zaszło, spowijając znajdujące się pod nami miasto mrokiem. Było dziś o wiele ciemniejsze niż ostatnim razem, kiedy je widziałam, wtedy ożywione i jaśniejące światłami. Ta nowa ciemność... Widzieliśmy ją po ataku na Velaris... znaleźliśmy aż za dobrze.

Czarodziejskie światła w naszym obozie połyskiwały na szponach skrzydeł ilyryjskich wojowników, którzy pracowali albo leżeli ranni. Wiedziałam, że wielu zwracało oczy ku mnie... ich księżnej.

Nie byłam w stanie wykrzesać z siebie spokoju Rhysa. Jego cichego triumfu.

Przynosiłam misy świeżej wody i wynosiłam tę zabarwioną już krwią. Pomagałam trzymać krzyczących i wrywających się żołnierzy, aż ze zmęczenia zaczęłam szczekać zębami.

Usiadłam na przewróconym wiadrze przed namiotem uzdrowiciela, kiedy nogi odmówiły mi już posłuszeństwa. Tylko kilka minut... posiedzę tylko kilka minut.

Obudziłam się w innym namiocie, leżąc na futrach przy stłumionym miękkim blasku czarodziejskiego światła.

Rhys siedział obok mnie ze skrzyżowanymi nogami. Włosy miał w niezwykajnym dla siebie nieładzie. Pokryte krwią... która barwiła jego dłonie, kiedy się nimi przeczesywał.

– Ile czasu spałam?

Mój głos brzmiał chropawo.

Uniósł głowę znad leżących na futrze przed nim papierów, które uważnie studiował.

– Trzy godziny. Jeszcze daleko do świtu... powinnaś spać.

Oparłam się na łokciach.

– Ty nie śpisz.

Wzruszył ramionami i upił łyk ze stojącego obok kielicha.

– To nie ja spadłem z wiadra twarzą w błoto. – Uśmiechnął się krzywo. – Jak się czujesz?

Niemal powiedziałam: „W porządku, ale...”.

– Wciąż staram się zrozumieć, jak się czuć.

Ostrożne skinienie głowy.

– Otwarta wojna taka jest... Trochę czasu zajmuje, zanim się zdecydujesz, jak sobie radzić ze wszystkim, co ze sobą niesie. Z jej kosztem.

Usiadłam i spojrzałam na rozłożone przed nim papiery. Lista ofiar. Tylko niewiele ponad sto imion, ale...

– Znałeś ich... tych, którzy zginęli?

Przez jego fioletowe oczy przebiegł cień.

– Niektórych. Tarquin stracił wielu więcej niż my.

– Kto powiadomi ich rodziny?

– Kasjan. Roześle listy, kiedy tylko nadejdzie świt... kiedy dowiemy się, kto przeżył noc. Odwiedzi rodziny tych, których znał.

Pamiętałam, jak kiedyś Rhys opowiadał mi, jak to podczas wojny przeszukiwał listy ofiar w poszukiwaniu imion przyjaciół... jaką grozę wtedy czuł, obawiając się, że zaraz znajdzie znajome imię.

Tak wiele cieni przytłaczało te fiołkowe oczy. Położyłam dłoń na jego ręce. Przyglądał się moim palcom, ciemnym łukom pod paznokciami.

– Król przybył dzisiaj tylko po to – odezwał się wreszcie – żeby ze mnie zadrwić. Atak na bibliotekę, ta bitwa... wszystko to miało na celu zabawę moim kosztem. Naszym.

Dotknęłam jego twarzy. Zimna... jego skóra była taka zimna pomimo ciepłej letniej nocy wokół nas.

– Nie zginiesz na tej wojnie, Rhysandzie.

To przykuło jego uwagę.

Objęłam jego twarz dłońmi.

– Nie słuchaj tego, co mówi... ani słowa. On wie...

– Wie o nas. Zna nasze historie.

To śmiertelnie przerażało Rhysa.

– On wiedział o bibliotece... Wybrał ją, bo wiedział, ile dla mnie znaczy, a nie tylko po to, by porwać Nestę.

– A więc dowiemy się, gdzie uderzyć jego, i uderzymy mocno. Jeszcze lepiej: zabijemy go, zanim zdoła dokonać większych zniszczeń.

Rhys pokręcił lekko głową, odejmując moje dłonie od swojej twarzy.

– Jeśli chodziłoby tylko o króla... Ale w swoim arsenale ma teraz Kocioł...

Ramiona opadły mu nieco, opuścił lekko głowę... Chwyciłam na powrót jego dłonie.

– Potrzebujemy sojuszników – powiedziałam z płonącymi oczami.  
– Nie możemy stawić czoła wrogowi samodzielnie.

– Wiem. – Jego głos był ciężki i nabrzmiały znużeniem.

– Zwołaj wcześniej spotkanie władców domów. Za trzy dni.

– Dobrze.

Nigdy nie słyszałam u niego takiego tonu głosu... tak zgaszonego. I z tego właśnie powodu powiedziałam:

– Kocham cię.

Oczy mu zapłonęły.

– Był czas, kiedy marzyłem, by to usłyszeć – wymruczał. – Kiedy nie sądziłem, że kiedykolwiek to od ciebie usłyszę. – Wskazał dłonią namiot... i całą Adriatę w dole poza nim. – Nasza wyprawa tutaj po raz pierwszy pozwoliła mi... mieć nadzieję.

„Za gwiazdy, które słuchają. I marzenia, które się spełniają”.

A dzisiaj z Tarquinem...

– Świat powinien się dowiedzieć – powiedziałam. – Świat powinien się dowiedzieć o twojej dobroci, Rhysandzie... Jacy wszyscy jesteście cudowni.

– Nie wiem, czy nie powinienem się martwić, że mówisz o mnie tyle dobrych rzeczy. Może jednak drwiny króla i tobie dopiekły do żywego.

Uszczypnęłam go w ramię, a on zaśmiał się przeciągle, po czym podniósł moją głowę, by spojrzeć mi w oczy.

– *Powinienem* się martwić?

Po raz kolejny położyłam dłoń na jego policzku, teraz już jedwabistym i ciepłym.

– Jesteś bezinteresowny, odważny i dobry. To więcej, niż kiedykolwiek marzyłam, że otrzymam od losu, więcej niż...

Słowa uwięzły mi w gardle, przełknęłam, wzięłam głębszy oddech. Nie wiedziałam, czy potrzebował to usłyszeć, po tym, co powiedział mu król, ale *ja* potrzebowałam to powiedzieć.



W jego oczach tańczyło już światło gwiazd, ale ja jednak ciągnęłam:

– Na tym spotkaniu z pozostałymi książętami... jaką rolę zamierzasz odgrywać?

– Tę co zazwyczaj.

Pokiwałam głową, spodziewając się podobnej odpowiedzi.

– A inni również będą odgrywali swoje zwyczajowe role – skonstatowałam.

– I?

Zsunęłam dłoń z jego twarzy i położyłam mu ją na sercu.

– Myślę, że nadszedł czas, by zdjąć nasze maski. Przestać grać.

Czekał spokojnie, aż skończę myśl.

– Velaris nie jest już tajemnicą. Król również wie o nas aż za wiele... Kim jesteśmy. Czym jesteśmy. Jeśli mamy zawiązać sojusz z pozostałymi książętami... Myślę, że powinni znać prawdę. Będą potrzebowali ją poznać, by nam zaufać. Prawdę o tym, kim jesteś naprawdę... Kim naprawdę są Mor, Kasjan i Azriel. Zobacz, jak fatalnie ci poszło dzisiaj z Tarquinem. Nie możemy... nie możemy dopuścić, by tak było dalej. Więc koniec z maskami, koniec z rolami do odegrania. Idziemy jako my sami. Jako rodzina.

Jeśli czeokolwiek, to właśnie tego nauczyły mnie drwiny króla. Koniec z gierkami. Koniec z przebraniami i kłamstwami. Może sądził, że utwierdzi nas w konieczności kontynuowania tej farsy. Ale by mieć szansę... Być może szansa zwycięstwa leżała właśnie w czymś zgoła przeciwnym. W szczerości. We wzajemnym wspieraniu się... takimi, jacy jesteśmy.

Spodziewałam się, że Rhys odpowie, jaka to jestem młoda i niedoświadczona, że nic nie wiem o polityce i wojnie.

Jednak on tylko musnął kciukiem mój policzek.

– Mogą być wkurzeni, że karmiliśmy ich kłamstwami przez kilka stuleci.

– W takim razie pokażemy im, że rozumiemy ich punkt widzenia... i jasno powiemy, że nie mieliśmy innego wyjścia, by chronić nasz lud.

– Pokażemy im Dwór Snów – powiedział cicho.

Pokiwałam głową. Pokażemy im... również Keirowi, Erisowi i Beronowi. Pokażemy, kim jesteśmy, naszym sojusznikom... i naszym wrogom.

W jego pięknych oczach zalśniły i zapłonęły gwiazdy.

– A co z twoimi mocami?

Król również o nich wiedział... albo przynajmniej się domyślał.

Z jego ostrożnego tonu domyśliłam się, że ma już na ten temat wyrobioną opinię. Wybór jednak należał do mnie... będzie trwał przy mnie niezależnie od tego, co zdecyduje.

Kiedy to przemyślałam...

– Sądzę, że jeśli dowiedzą się w tym samym czasie, że twoja towarzyszka skradła po odrobinie mocy każdego z nich, mogą uznać nasze odkrycie się za manipulację. Jeśli król zamierza użyć tego przeciw nam... wtedy będziemy sobie z tym radzić.

– Tak właściwie to ta moc została ci podarowana, ale... rozumiem, co masz na myśli. Będziemy musieli bardzo uważać z tym, jak się pokazać... odpowiednio to przedstawić, żeby nie pomyśleli, że to jakaś pułapka czy szarada. A jeśli chodzi o ciebie...

– Ciemność wyparła z jego oczu gwiazdy. Ciemność zabójców i złodziei, ciemność nieuchronnej śmierci. – Ty możesz przechylić szalę na korzyść Hybernii, jeśli którykolwiek z nich rozważy sojusz. Sam Beron mógłby chcieć cię zabić i nie sądzę, by nawet Eris mógł go powstrzymać.

Przysięgłabym, że cały obóz zatrzęsł się od pomruku jego przebudzonej mocy... gniewu. Na zewnątrz namiotu głosy przycichły lub umilkły zupełnie.

Nachyliłam się i pocałowałam go delikatnie.

– Daj mi radę – wyszeptałam prosto w jego usta.

On jednak odsunął się z twarzą wciąż poważną i ponurą.

– Utrzymamy wszystkie twoje moce, poza tymi, które otrzymałaś ode mnie, w tajemnicy. Będą się spodziewać, że jako moja księżna jakieś otrzymałaś.

Przełknęłam z trudem ślinę i upiłam łyk wody z jego kielicha. Koniec z kłamstwami, ze zwodzeniem... poza moimi mocami. Niech Tarquin pozostanie pierwszą i ostatnią ofiarą naszego oszustwa.

Przygryzłam wargę.

– A co z Miriam i Drakonem? Próbowaleś dowiedzieć się, dokąd się udali?

Razem z całym legionem skrzydlatych wojowników.

Pytanie to wybiło go z rozmyślań o tym, co nas jeszcze czekało. Westchnął, przenosząc wzrok ponownie na listy ofiar. Czarny atrament zdawał się pochłaniać wątry blask czarohudziejskiego światła.

– Nie. Szpiedzy Aza nie znaleźli nawet śladu po nich w żadnej z okolicznych krain.

Potarł skronie.

– Jak można zniknąć z całym narodem?

Zmarszczyłam brwi.

– Wygląda na to, że taktyka Juriana mająca na celu wywabienie ich z ukrycia obróciła się przeciwko niemu.

Jurian – w czasie dzisiejszej bitwy nie było po nim nawet śladu.

– Na to by wyglądało. – Pokręcił głową, aż światło zatańczyło na jego kruczoczarnych włosach. – Powinienem był ustalić z nimi kanały komunikacji... wieki temu. Sposoby na skontaktowanie się, jeśli kiedykolwiek będziemy w potrzebie.

– Czemu więc tego nie zrobiłeś?

– Chcieli, żeby świat o nich zapomniał. Kiedy zobaczyłem, jak spokojna stała się Kretea... również nie chciałem, by świat wtrącał się do ich spraw. – Na jego szczęście drgnął mięsień.

– Jeśli w jakiś sposób udałoby nam się ich odnaleźć... czy to by wystarczyło? Oczywiście jeśli zdołamy zapobiec upadkowi muru. Nasze siły i wojska Drakona, może nawet królowej Vassy, jeśli Lucien ją odnajdzie... przeciwko całej Hybernii?

Przeciwko wszystkim zaklęciom i mocom, jakich zamierzał użyć król.

Rhys milczał przez chwilę.

– Być może będzie musiało.

Jego głos stał się nagle chrapliwy, a oczy nabrały wyrazu jak u rannego zwierzęcia. Wszystko to sprawiło, że przycisnęłam swoje usta do jego, położyłam dłoń na jego piersi i popchnęłam go na

futra.

Uniósł lekko brwi, ale na ustach pojawił się półuśmiech.

– W obozie jest niewiele prywatności – ostrzegł i trochę światła powróciło do jego oczu.

W odpowiedzi usiadłam tylko na nim okrakiem i zaczęłam rozpinąć guziki jego ciemnej kurty.

– W takim razie będziesz raczej musiał być cicho – odparłam.

Kontynuowałam rozpinanie, aż poły rozchyliły się swobodnie, ukazując koszulę. Powiodłam palcem po wyglądającym spod niej tatuażu przy szyi.

– Kiedy dzisiaj zobaczyłam, jak stawiasz czoła królowi...

Musnął palcami moje uda.

– Wiem. Czujęm cię.

Podciągnęłam rąbek jego koszuli, a on uniósł się na łokciach, by ułatwić mi zdjęcie z niego ubrania. Na żebrach widniał potężny świeży siniak...

– To nic takiego – powiedział, zanim zdążyłam się odezwać. – Szczęśliwy strzał.

– Z czego?

Znów ten półuśmiech.

– Z włóczni?

Serce zamarło mi w piersi.

– W-w...

Delikatnie przesunęłam dłonią po siniaku, przełykając z trudem.

– Pociągniętej zgubą fae. Większość zablokowała moja tarcza... niestety nie na tyle, bym nie poczuł uderzenia.

Groza ścisnęła mi żołądek, ale pochyliłam się i leciutko musnęłam obolałe miejsce ustami.

Rhys wypuścił powietrze, jego ciało zdawało się rozluźniać. Uspokajać. Pocałowałam więc to samo miejsce ponownie, po czym przesunęłam się niżej. Wodził dłonią po moim ramieniu i plecach, kreśląc leniwe kręgi.

Kiedy rozpięłam mu spodnie, poczułam, jak wokół namiotu podnosi się jego tarcza. Całowałam go coraz niżej po umięśnionym brzuchu. I jeszcze niżej. Rhys wplótł dłonie w moje włosy – reszta

jego ubrania zniknęła.

Przesunęłam po nim dłońią raz i drugi... ciesząc się uczuciem jego ciała pod palcami, wiedząc, że był tu, że *oboje* byliśmy. Bezpieczni.

Potem powtórzyłam ten sam dotyk ustami.

Jego pomruki rozkoszy wypełniły namiot, zagłuszając odległe krzyki rannych i umierających. Życie i śmierć... tak blisko siebie, szepczące do naszych uszu.

Czułam jego smak na języku i wielbiłam go dłońmi i ustami, a potem ciałem... I miałam nadzieję, że ta odrobina życia, którą złożyliśmy w ofierze, to niegasnące światło pomiędzy nami odeгна śmierć trochę dalej. Chociaż na jeszcze jeden dzień.

\*\*\*

W nocy zmarło tylko kilku Ilyrów. Jednak nawet wysoko w górach, razem z dymami pożarów wzniesionych przez Hybernijczyków, dochodziły naszych uszu wrzaski i zawodzenie ludzi Tarquina.

Kiedy wczesnym rankiem opuszczaliśmy Adriatę, przeskakując z powrotem do Velaris, pożary jeszcze szalały. Kasjan i Azriel pozostali na miejscu, by odprowadzić legion Ilyrów do ich nowego obozu na naszej południowej granicy... Generał wyruszył później na równiny, by złożyć kondolencje rodzinom zabitych.

Nesta czekała na nas w korytarzu domu; Amrena siedziała nabuzowana na krześle przy niezapalonym kominku w pokoju dziennym. Nigdzie nie było widać Elainy, ale zanim zdołałam o cokolwiek zapytać, uprzedziła mnie Nesta.

– Co się stało?

Rhys zerknął na mnie, potem na Amrenę, która zerwała się na równe nogi i teraz patrzyła na nas z tym samym wyrazem twarzy co Nesta, po czym zwrócił się do mojej siostry:

– Była bitwa. Wygraliśmy.

– To wiemy – odezwała się Amrena i zaczęła iść w naszą stronę. Jej drobne stopy stąpały niemal bezszelestnie po dywanie. – Co się stało z Tarquinem?

Mor wzięła głęboki wdech i już miała coś powiedzieć, zapewne o Varianie, co nie skończyłoby się dobrze dla żadnego z nas, więc

nie dałam jej dojść do słowa.

– Cóż, nie próbował zaszlachtować nas na miejscu, więc chyba... poszło nieźle?

Rhys rzucił mi rozbawione spojrzenie.

– Książęca rodzina żyje i ma się dobrze. Armada Tarquina poniosła pewne straty, ale Kresejda i Varian nie ucierpieli.

Z twarzy Amreny spłynęło jakieś napięcie i rozluźniła się cała na te słowa... dyplomatyczne i wyważone słowa.

Jednak Nesta wodziła wzrokiem między nami, wciąż czujna, z ustami zaciśniętymi w wąską linię.

– Gdzie on jest?

– Kto? – spytał przeciągle Rhys.

– Kasjan.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek usłyszę z jej ust jego imię. Jak dotąd zawsze mówiła o nim „on” albo „tamten”. Do tego moja siostra krążyła w kółko po korytarzu. Zupełnie jakby się martwiła.

Otworzyłam usta, ale Mor mnie ubiegła:

– Jest zajęty.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, by jej głos był taki... ostry. Lodowaty.

Nesta wytrzymała jej spojrzenie. Zacisnęła szczękę, rozluźniła, po czym znów zacisnęła... jakby walczyła sama ze sobą, by o nic nie pytać. Mor nie opuściła wzroku.

Nigdy wcześniej nie wzruszały jej kochanki Kasjana. Może dlatego, że nigdy wiele nie znaczyły... nie w tym sensie. Ale teraz, gdy Ilyr nie stanowił już fizycznego buforu między nią a Azrielem... A co gorsza, przyczyną tego stanu była Nesta...

– Kiedy wróci, trzymaj swój zmijowy języczek za zębami – dodała sucho Mor.

Serce zabiło mi szybciej, ramiona opadły wzdłuż ciała na dźwięk tej obrazy, tej groźby.

– Mor – odezwał się Rhys.

Powoli... bardzo powoli... spojrzała na niego.

Na twarzy Rhysa malowała się nieustępliwość.

– Spotkanie odbędzie się za trzy dni. Wyślij posłańców

z wiadomościami do pozostałych ksiąg. Mam też dość debatowania, gdzie się spotkać. Wybierz miejsce i skończmy z tym.

Przez chwilę wpatrywała się w niego, po czym przeniosła wzrok na moją siostrę.

Twarz Nesty nie zmieniła wyrazu, chłód był w niej wyrzeźbiony jak w kamieniu. Stała tak nieruchomo, że trudno było dojrzeć, czy w ogóle oddycha. Jednak się nie ugięła. Nie odwróciła wzroku od Morrigan.

Chwilę później Mor zniknęła.

Nesta obróciła się i wróciła do pokoju dziennego, gdzie – jak zauważyłam – na niskim stolczku przed kominkiem porozkładane były księgi.

Amrena popłynęła za nią, rzucając Rhysowi spojrzenie przez ramię. Jej szara bluzka przesunęła się na tyle, że zdołałam dojrzeć pod materiałem skry czerwieni.

Naszyjnik z rubinów, który nosiła ukryty pod spodem.

Dar od Variana.

Rhys pokiwał jej głową, a ta spytała moją siostrę:

– To na czym skończyliśmy?

Nesta siedziała w fotelu, zaciskając dłonie, aż pobielaly jej kostki palców.

– Objaśniałaś, jak zostały podzielone ziemie poszczególnych dworów.

Jej słowa brzmiały odlegle... szorstko. I...

„Wzięły się teraz do lekcji historii?”

„Dziwi mnie to równie mocno jak ciebie, że dom wciąż stoi”.

Stłumiłam śmiech, ujęłam go pod ramię i pociągnęłam w głąb korytarza. Już dawno nie widziałam, żeby był taki... brudny. Oboje pilnie potrzebowaliśmy kąpieli, ale było coś, co chciałam zrobić wcześniej. Musiałam zrobić.

Za nami Amrena mruknęła do Nesty:

– Kasjan wiele razy wyruszał już na bitwy. Nie został generałem Rhysa tak bez powodu. To była zaledwie potyczka w porównaniu z tym, co jeszcze nas czeka. Najprawdopodobniej odwiedza teraz rodziny poległych. Wróci przed spotkaniem.

– Wszystko mi jedno – odparła Nesta.  
Przynajmniej coś powiedziała.  
Zatrzymałam Rhysa w połowie korytarza.  
Ponieważ w domu było tyle mogących nas usłyszeć uszu,  
powiedziałam mu przez więź.  
„Zabierz mnie do Więzienia. Teraz”.  
Rhys nie kwestionował mojej prośby.



## Rozdział 40

**N**ie miałam ze sobą kości i choć każdy krok w górę wzgórze, a potem w dół, w ciemność odciskał na mnie swoje piętno, szłam dalej.

Jedna stopa za drugą. Odnosiłam wrażenie, że Rhys robił to samo.

Stojąc dwie godziny później przed Rzeźbiącym w Kościach, starożytnym bogiem śmierci, wciąż mającym postać mojego przyszłego syna, powiedziałam:

– Znajdź inny przedmiot, który chciałbyś otrzymać.

Fioletowe oczy Rzeźbiącego zapłonęły.

– Dlaczego księżę czai się na korytarzu?

– Nie ma wielkiej ochoty cię widzieć.

Była to po części prawda. Rhys zastanawiał się, czy uderzenie w dumę podziała na naszą korzyść.

– Czuć cię śmiercią i krwią.

Rzeźbiący wziął wdech, żeby lepiej poczuć mój zapach.

– Wybierz coś innego, nie Uroborosa – powiedziałam.

Król Hybernii znał nasze historie, wiedział o naszych możliwych sojusznikach. Jednak wciąż była szansa, że nie spodziewa się przybycia Rzeźbiącego.

– Nie chcę niczego więcej poza moim oknem na świat.

Przemogłam ochotę zaciśnięcia dłoni w pięści.

– Mogłabym zaoferować ci tak wiele rzeczy – obniżyłam głos, by brzmiał słodko i śpiewnie.

– Obawiasz się posiąść zwierciadło. – Rzeźbiący w Kościach przekrzywił głowę. – Dlaczego?

– Ty się go nie obawiasz?

– Nie. – Uśmiechnął się lekko i przechylił się w bok. – Czy ty również się go obawiasz, Rhysandzie?

Mój towarzysz nie odpowiedział z korytarza, choć podszedł aż na sam próg i wsparł się o futrynę, krzyżując ramiona na piersi.

Rzeźbiący westchnął na jego widok... na widok brudu i krwi, pomiętego ubrania.

– Och, o wiele lepiej wyglądasz pokryty krwią.

– Wybierz coś innego – powtórzyłam.

„Tylko tym razem nie wywiedz mnie w pole”.

– Co chciałabyś mi dać? Nie mam tutaj zastosowania dla bogactw. Potęga nie pozwala władać kamieniem. – Zaśmiał się. – Może twojego pierworodnego? – Z tajemniczym uśmiechem wskazał drobną dziecięcą rączką siebie samego.

Rhys spojrział na mnie. Przez jego twarz przemknęło zaskoczenie... zaskoczenie i coś o wiele bardziej czułego.

„A więc nie zwyczajnie jakiś tam chłopiec”.

Policzki mi zapłonęły

„Nie, nie jakiś tam chłopiec”.

– Wasze wysokości, to nieładnie rozmawiać, kiedy nie wszyscy mogą was słyszeć.

Zgromiłam Rzeźbiącego wzrokiem.

– A więc nie ma niczego innego?

„Niczego, od czego nie postradam zmysłów, gdy tylko na to spojrzę?”.

– Przynieś mi Uroborosa, a będę do twojej dyspozycji. Masz moje słowo.

Przez chwilę roztrząsałam błogi wyraz twarzy Rzeźbiącego, po czym wyszłam na zewnątrz.

– A gdzie jest moja kość? – zabrzmiało w ciemnościach.

Nie zatrzymałam się. Ale Rhys rzucił mu coś.

– To z obiadu.

Rzeźbiący zasyczał ze złości, kiedy po podłożu za nami potoczyła się kość z kurczaka.

W milczeniu zaczęliśmy piąć się z powrotem do wyjścia z Więzienia. Zwierciadło... będę musiała znaleźć sposób, by je dostać. Ale to po spotkaniu. W razie gdybym naprawdę miała od tego... oszaleć.

„Jak on wygląda?”.

Pytanie brzmiało miękko i niepewnie.

Splotłam moje palce z jego i ścisnęłam lekko.

„Pozwól, że ci pokażę”.

I wtedy, podczas wędrówki w ciemnościach ku oddalonemu, wciąż ukrytemu przed nami światłu, pokazałam mu.

\*\*\*

Zanim wróciliśmy do domu w Velaris, umieraliśmy już z głodu. A ponieważ żadne z nas nie miało ochoty czekać, aż jedzenie zostanie przyszykowane, udaliśmy się prosto do kuchni, ledwie pozdrawiając mijane Amrenę i Nestę machnięciem ręki.

Ślina już mi napływała do ust, kiedy Rhys popchnął ramieniem wahadłowe drzwi do kuchni.

Na widok tego, co nas tam czekało, zamarliśmy w pół kroku.

Między Nualą a Cerridweną, przy długim stole kuchennym, stała Elaina.

Wszystkie trzy pokrywała mąka. Blat przed nimi był pokryty pozostałościami jakiegoś nieszczęsnego ciastopodobnego bałaganu.

Dwie pokojówki, służące również za szpiegów, ukłoniły się Rhysowi, a Elaina...

W jej brązowych oczach znów lśniły iskierki.

Jakby dobrze się z nimi bawiła.

Nuala przełknęła z trudem.

– Pani powiedziała, że jest głodna, więc poszłyśmy coś przyrządzić. Ale... chciała nauczyć się jak, więc... – Wyłamywała bezradnie palce spowitych cieniami dłoni, a mąka opadała z nich niczym tumany śniegu. – Robimy chleb.

Elaina spojrzała na mnie, na Rhysa, ale zanim jej oczy znów zdążyły się zeszklić, uśmiechnęłam się szeroko i powiedziałam:

– Mam nadzieję, że wkrótce będzie gotowy... umieramy z głodu.

Elaina posłała mi w odpowiedzi błady uśmiech i skinęła głową.

Chciała coś zjeść. Chciała... zrobić coś. *Nauczyć się czegoś.*

– Idziemy się wykąpać – obwieściłam, chociaż burczało mi w brzuchu. – Zostawiamy was z pieczeniem.

Pociągnęłam Rhysa za sobą na korytarz, zanim jeszcze przebrzmiały słowa pożegnania.

Oparłam się o drewniane panele ściany przy schodach i położyłam rękę na piersi. Po chwili Rhys położył na niej swoją dłoń.

– Tak właśnie się poczułem – powiedział. – Zobaczyłem twój uśmiech tamtego dnia, gdy jedliśmy kolację nad Sidrą.

Pochyliłam się, opierając skroń o jego pierś tuż nad sercem.

– Wciąż daleka droga przed nią.

– Przed nami wszystkimi.

Pogładził mnie po plecach. Lgnęłam do jego dotyku, chłonąc jego ciepło i siłę.

Staliśmy tak dłuższy czas. W końcu powiedziałam:

– Chodźmy coś zjeść... na mieście.

– Hmm. – Nie ruszył się ani o cal.

Wreszcie spojrzałam na niego. W jego oczach lśniły znajome przewrotne błyski.

– Myślę, że mam ochotę na coś zupełnie innego – wymruczał.

Palce podkurczyły mi się w butach, ale uniosłam brwi i odpowiedziałam chłodno:

– Czyżby?

Rhys przygryzł płatek mojego ucha, po czym wyszeptał przeskakując nas do sypialni, gdzie czekały już na nas na biurku dwa talerze jedzenia:

– Wciąż nie odpłaciłem ci za wczorajszą noc, towarzysko.

Pozwolił mi przynajmniej wybrać, czym ma się zająć najpierw. Jedzeniem czy mną.

Wybrałam mądrze.

\*\*\*

Następnego dnia Nesta czekała przy stole śniadaniowym.

Jednak nie na mnie, jak się szybko zorientowałam, gdy jej wzrok prześlizgnął się po mnie, jakbym była ledwie pokojówką. Na kogoś innego.

Nie odzywałam się, nie mając zamiaru informować jej, że Kasjan zapewne wciąż jest w obozach w górach. Jeśli ona nie zamierzała pytać... ja nie zamierzałam się w to mieszać.

Zwłaszcza że Amrena zarzekała się, że moja siostra jest blisko... tak blisko opanowania wreszcie umiejętności, które mogłyby jej potencjalnie pomóc naprawić mur. Jeśli tylko pozwoliłaby samej sobie puścić wodze własnej mocy. Nie śmiałam sugerować, że może świat jednak nie był jeszcze na to gotowy.

Śniadanie spożyłam w całkowitej ciszy, zakłócanej tylko skrzypieniem widelca o talerzyk. Amrena twierdziła również, że jest bliska odkrycia w Księżce tego, czego potrzebowaliśmy... zaklęcia, którego miała użyć moja siostra. Skąd Amrena to wiedziała, nie miałam pojęcia. Uznałam, że nie byłoby rozsądne pytać ją o to.

Nesta odezwała się dopiero, kiedy wstawałam już z krzesła.

– Wybierasz się na to spotkanie za dwa dni?

– Tak.

Przygotowałam się na wszystko, co mogłaby powiedzieć. Ona jednak spojrzała tylko w stronę frontowych okien, jakby wciąż czekała, wciąż wypatrywała.

– Ruszyłeś do bitwy bez namysłu. Dlaczego?

– Ponieważ musiałam. Ponieważ ludzie potrzebowali mojej pomocy.

W snopie porannego światła jej niebieskoszare oczy zdawały się niemal srebrne. Nic już więcej nie powiedziała. Chwilę jeszcze poczekałam, ale w końcu przeskoczyłam do Domu Wiatru na moją lekcję latania z Azrielem.

## Rozdział 41

Następne dwa dni były tak wypełnione innymi sprawami, że ta jedna lekcja z Azrielem okazała się jedyną. Mistrz szpiegów powrócił po doręczeniu wiadomości przygotowanych przez Mor w sprawie przesunięcia terminu spotkania. Przynajmniej zgodzili się na datę. Jednak jej pomysł na miejsce spotkał się z ogólną dezaprobatą. Toteż między dworami wciąż trwały spory.

Niegdyś neutralnym miejscem spotkań były sale pod Górą. Ale nawet jeśli nie zostałyby zamknięte na głucho, nikt nie miał ochoty się tam spotykać. Trwała więc zażarta dyskusja na temat tego, na czym dworze odbędzie się spotkanie wszystkich książąt.

Cóż, na jednym z sześciu. Beron, wreszcie, zdecydował się zaszczyścić nas swoją obecnością. Jednak ze strony Dworu Wiosny wciąż nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

Wszyscy się wybieraliśmy... poza Amreną i Nestą, która – jak twierdziła ta pierwsza – musiała więcej ćwiczyć. Zwłaszcza że Amrena wczoraj znalazła w Księdze fragment, który mógł być właściwym do naprawienia muru.

Dosłownie na godziny przed umówionym terminem spotkania, poprzedniego wieczora, zapadła decyzja, że wszyscy udamy się na Dwór Świtu. Było to dość blisko środka Prythianu, a ponieważ Kallias, książę Dworu Zimy, nie zgadzał się na wpuszczenie nikogo na swoje ziemie po traumach, jakie spowodowała tam Amarantha, był to jedyny możliwy wybór w pobliżu neutralnego środka.

Rhys i Thesan, władca Dworu Świtu, byli w dość dobrych stosunkach. Świt w większości konfliktów starał się pozostawać bezstronny, ale że był jednym z Dworów Słonecznych, jego lojalność zawsze ciążyła bardziej ku nam. Nie tak silnie jak naszego najbliższego sojusznika, Heliona Czaroniszcza z Dworu Dnia, ale wystarczająco wyraźnie.

Niemniej jednak Rhys, Mor i Azriel zebrali się poprzedniego

wieczora wokół stołu w domu w Velaris, by omówić każdy strzęp informacji, jakim dysponowali na temat pałacu Thesana... wszystkie możliwe zagrożenia i pułapki. I ewentualne drogi ucieczki.

Trudno było zachować spokój, nie wątpić, że może jednak ryzyko nie jest warte potencjalnych zysków. Na Hybernii tyle rzeczy poszło nie tak. Tyle rzeczy szło nie tak na całym świecie. Za każdym razem, kiedy Azriel coś mówił, słyszałam jego ryk bólu, kiedy grot przebił jego pierś. Za każdym razem, kiedy Mor mu odpowiadała, widziałam ją, jak z pobielającą twarzą cofała się przed królem. Za każdym razem, kiedy Rhys pytał mnie o zdanie, widziałam go klęczącego w krwi swoich przyjaciół, błagającego króla, by nie przecinał naszej więzi.

Nesta i Amrena przerwały ćwiczenia w salonie, żeby ta druga mogła nas wspomagać radami i ostrzeżeniami dotyczącymi spotkania. Albo żeby mogła warknąć na Nestę, że ma się skupić i bardziej starać. Ona w tym czasie przeczesywała Księgę.

Kiedy Nesta poszła na górę, wymawiając się bólem głowy, Amrena zadeklarowała, że nie potrwa to dłużej niż jeszcze kilka dni. Jeszcze kilka dni i moja siostra dzięki jakiejś tajemniczej mocy będzie w stanie czegoś dokonać. Oczywiście, dodała szybko, jeśli jej samej uda się rozgryźć ten obiecujący fragment w Księdze. Z tymi słowami Amrena życzyła nam dobrej nocy... by wrócić do siebie i czytać, aż jej oczy zaczną krwawić, jak stwierdziła.

Biorąc pod uwagę, jak koszmarna była ta Księga, nie byłam pewna, czy na pewno żartowała.

Wyglądało na to, że inni też nie.

Ledwie tknęłam kolację. Potem nie mogłam zasnąć; kręciłam się i przewracałam w pościeli, aż Rhys się obudził i cierpliwie wysłuchał wszystkich moich lęków, dzięki czemu stały się tylko cieniami.

Wstał świt. Zanim się ubrałam, poranek ustąpił miejsca słonecznemu suchemu dniu.

Chociaż zamierzaliśmy iść na spotkanie bez masek, nasz strój pozostał taki sam: Rhys w swojej ulubionej czerni, Azriel i Kasjan w ilyryjskich zbrojach z widocznymi wszystkimi siedmioma syfonami, lśniącymi i wypolerowanymi. Mor zmieniła swoją

zwyczajową czerwień na granat. Jej suknia uszyta została według podobnie odważnego kroju, jej materiał i powłóczyste spódnice sporo odsłaniały, ale było w niej coś... powściągliwego. Królewskiego. Książęcego.

Wszyscy mieli na sobie zwyczajowe stroje... oprócz mnie.

Ja nie szukałam nowego stroju. Nie było bowiem sukni, która by lepiej pasowała niż ta, którą miałam na sobie. Stałam w korytarzu, kiedy zegar na kominku w salonie wybijał właśnie godzinę jedenastą.

Rhys nie zszedł jeszcze na dół, nie miałam również pojęcia, czy Amrena z Nestą zamierzają nas pożegnać. Spotkałyśmy się kilka minut wcześniej, ale... Spojrzałam w dół na siebie. Nawet w ciepłym blasku czarodziejskiego światła suknia połyskiwała i iskrzyła się jak świeżo wypolerowany klejnot.

Wybrałam tę samą, którą miałam na sobie na Świącie Spadających Gwiazd, i kazałam trochę ją przerobić, dodając przejrzysty materiał na plecach oraz płat połyskliwego, jakby utkanego z samego światła gwiazd, który powiewał ze mną jak welon lub peleryna. Jeśli Rhysand był triumfalną nocą, to ja byłam gwiazdą, która świeciła tylko dzięki jego ciemności, której blask był widoczny tylko dzięki niemu.

Spojrzałam z niezadowoleniem w stronę schodów. Jeśli tylko zechciałby pojawić się na czas.

Włosy Nuala ułożyła mi w elegancki łuk, a z przodu...

Zobaczyłam, że Kasjan zerka na mnie już chyba trzeci raz w ciągu minuty.

– O co chodzi? – spytałam.

Kąciki ust mu drgnęły.

– Po prostu wyglądasz tak...

– No, to teraz się dowiemy – mruknęła Mor ze swego miejsca przy schodach, gdzie bębniła pomalowanymi na czerwono paznokciami o balustradę.

Na każdym palcu połyskiwały pierścienie, a nadgarstki zdobiły pobrząkujące o siebie bransolety.

– Oficjalnie – dokończył Kasjan, rzucając jej pełne niedowierzania



spojrzenie. Machnął w moją stronę zdobną w syfony ręką. – *Elegancko.*

– Ponad pięćset lat. – Mor smutno potrząsnęła głową. – Zdolny wojownik i generał znany w wielu krainach, a prawienie komplementów damom jest dla niego bliskie niemożliwości. Przypomnij mi, dlaczego zabieramy cię na spotkanie dyplomatyczne?

Czekający już przy drzwiach spowity w cienie Azriel parsknął cicho.

– Nie widzę cię cytującego poezję, bracie – warknął Kasjan, piorunując go spojrzeniem.

Pieśniarz cieni tylko skrzyżował ramiona na piersi.

– Nie potrzebuję uciekać się do takich metod – odparł, wciąż lekko się uśmiechając.

Mor wydała z siebie skrzekliwy śmiech. Ja również parsknęłam, zarabiając sójkę w bok od Kasjana. Strzepnęłam jego rękę, ale powstrzymałam się od oddania mu tylko dlatego, że widziałam go dziś po raz pierwszy od wydarzeń w Adriacie i dostrzegałam cię wciąż przesłaniający mu oczy... no i z powodu wymyślnej i moim zdaniem nie do końca stabilnej rzeczy, którą miałam na głowie.

Korony.

Rhys zakładał mi różne ozdoby na głowę przed każdym spotkaniem i uroczystością, na których się pojawialiśmy, jeszcze na długo zanim zostałam jego towarzyszką i na bardzo długo zanim zostałam księżną. Nawet jeszcze pod Górą.

Nigdy nie kwestionowałam zasadności zakładania tiar, diademów i koron, które Nuala lub Cerridwena mocowały na moich włosach. Nawet wcześniej, zanim sprawy między nami przybrały obecny obrót – nigdy się im nie sprzeciwiałam. Ale ta... Spojrzałam w górę na schody, na których rozlegały się nieśpieszne kroki Rhysa, tłumione nieco przez dywan. Ta korona była cięższa. Nie nieprzyjemnie, ale... dziwnie.

On sam pojawił się u szczytu schodów, wspaniałały w swoim czarnym stroju; skrzydła miał na wierzchu lśniące, jakby je wypolerował. Znów byłam w tym pokoju, do którego zabrał mnie

wczorajszej nocy, gdy obudziłam go swoim bezsennym przewracaniem się w pościeli.

Znajdował się nad biblioteką Domu Wiatru i obłożony był tyłoma zakłęciami ochronnymi, że kilka chwil zajęło przebicie się przez nie. Tylko on i ja... i nasze przyszłe potomstwo, dodał z łagodnym uśmiechem... będą w stanie się do niego dostać. Chyba że któreś z nas zdecyduje się przyprowadzić gościa.

Komnata była chłodna i ciemna... jakbyśmy weszli do umysłu jakiejś śpiącej bestii. Wewnątrz okrągłego pomieszczenia połyskiwały wyspy światełek. Klejnotów. Skarby zbierane przez dziesięć tysięcy lat.

Starannie poukładane na postumentach i w otwartych szufladach, na popiersiach i wieszakach.

– Klejnoty rodowe – powiedział Rhys z przewrotnym uśmieszkiem.  
– Niektóre z nich, które nie bardzo lubimy, trzymamy na Dworze Koszmarów, częściowo po to, żeby się nie boczyli, a częściowo ponieważ okazyjnie pożyczamy je rodzinie Mor, ale te... te są dla rodziny.

Poprowadził mnie wzdłuż wystawionych klejnotów, lśniących jak małe konstelacje, wartość każdego z nich... Nawet jako córka kupca nie potrafiłam oszacować ich wartości.

Na samym tyle zaś komnaty, spowite gęstszą ciemnością...

Słyszałam o katakumbach na kontynencie, gdzie czaszki ukochanych albo okrytych sławą osób trzymane były w małych wnękach... usytuowanych dziesiątkami albo setkami w ścianach.

Tu założenie było podobne: w ścianie wyrzeźbiono całą serię wnęk, a każda z nich zawierała koronę. Każda z nich miała swoje miejsce, wyłożone czarnym aksamitem, każda rozświetlona była...

– Błękitne świetliki – powiedział Rhys, wskazując maleńkie niebieskawe kulki, obsiadające każdy z łuków.

Każdy zakamarek zdawał się dzięki nim rozświetlony jak gwiazdziste niebo. Tak naprawdę... To, co wzięłam najpierw za czarodziejskie światło wysoko na suficie... To wszystko były błękitne świetliki. Jasnoniebieskie i turkusowe, ich światło jedwabiste, rozświetlające klejnoty swoim odwiecznym milczącym ogniem.

– Wybierz sobie – szepnął mi do ucha Rhys.

– Świetlika?

Przygryzł płatek mojego ucha.

– Mądrała. – Poprowadził mnie z powrotem w stronę ściany koron; każda była inna... niepowtarzalne jak czaszki. – Wybierz tę, która ci się podoba.

– Nie mogę tak po prostu... wziąć jednej.

– Oczywiście, że możesz. Należą do ciebie.

Uniosłam brew.

– Nie... nie tak naprawdę.

– Zgodnie z uświęconym tradycją prawem wszystko to należy do ciebie. Sprzedaj je, przetop, noś je... możesz zrobić z nimi, co ci się żywnie podoba.

– Tobie jest wszystko jedno? – Wskazałam dłonią na zbiór wart więcej niż niejedno królestwo.

– Och, oczywiście, że mam swoje ulubione egzemplarze, co do których przekonywałbym cię, byś je oszczędziła, ale... To wszystko jest twoje. Każda sztuka.

Nasze oczy się spotkały i wiedziałam, że on również przypomniał sobie słowa, które wyszeptalam do niego wiele miesięcy temu. Że każda część mojego wciąż gojącego się serca należy do niego. Uśmiechnęłam się i musnęłam dłonią jego ramię, by po chwili podejść bliżej do ściany koron.

Kiedyś na Dworze Tamlina drżałam ze strachu na myśl o tym, że będzie mi próbował ofiarować koronę. Jednak w przypadku Rhysa nigdy jakoś nie spędzało mi to snu z powiek. Jakbym gdzieś głęboko w środku wiedziała, że to właśnie było moje miejsce: przy jego boku, jako równa jemu. Jego królowa.

Rhys skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że tak... widział i rozumiał – i zawsze to wiedział.

Kiedy teraz schodził ze schodów, jego uwagę automatycznie przykuła znajdująca się na mojej głowie korona. Uczucia, które odmalowały się na jego twarzy, były na tyle widoczne, że Mor i Kasjan odwrócili głowy.

Pozwoliłam, by korona sama do mnie przemówiła. Nie wybrałam

jej ze względu na wygląd czy wygodę, ale dlatego, że w jakiś sposób mnie do niej ciągnęło, podobnie jak w przypadku pierścienia w chatce Tkaczki.

Moja korona była wykonana ze srebra i diamentów, wszystko uformowane w pasma gwiazd i różne fazy księżyca. Jej szczyt wieńczył smukły półksiężyc otoczony przez dwie wybuchające gwiazdy. Razem z migotliwą suknią ze Święta Spadających Gwiazd...

Rhys zszedł ze schodów i ujął moją dłoń.

Triumfalna noc... i wieczne gwiazdy. Jeśli on był słodką przerażającą ciemnością, ja byłam migoczącymi gwiazdami, które dobrze widać tylko w jego ciemnościach.

– Myślałam, że wychodzicie – odezwała się ze szczytu schodów Nesta.

Odrywając uwagę od Rhysa, przygotowałam się na konfrontację.

Nesta miała dziś na sobie suknię w odcieniu najciemniejszego granatu, żadnej widocznej biżuterii, również w rozpuszczonych włosach. W zasadzie jej olśniewająca uroda nie potrzebowała już ozdób. To byłoby trochę jak ubieranie lwicy w błyskotki. Ale żeby ubrać się właśnie tak...

Zeszła ze schodów, odprowadzana milczeniem wszystkich. Wtedy dotarło do mnie...

Zerknęłam na Kasjana, starając się nie patrzeć zbyt otwarcie.

Nie widzieli się od wydarzeń w Adriacie.

Ale generał tylko spojrział na nią przelotnie i zwrócił się do Azriela z jakąś sprawą. Mor przyglądała się obojgu uważnie... ostrzeżenie, które wystosowała do mojej siostry, wciąż pobrzmiwało w powietrzu między nimi. I niech to Matka pochłonie, wyglądało na to, że Nesta naprawdę wzięła je sobie do serca. Stłumiła chęć powiedzenia czegoś kąśliwego i podeszła do mnie.

– Pięknie wyglądasz.

Zamrugałam, patrząc na nią.

– To, Kasjanie, powinieneś być właśnie powiedzieć – wtrąciła Mor. Ilyr wymamrotał coś, czego staraliśmy się nie słyszeć. Zwróciłam

się do siostry:

– Dziękuję. Ty również. – Nesta tylko wzruszyła ramionami. – Dlaczego ubrałaś się dziś tak elegancko? Czy nie miałaś ćwiczyć z Amreną?

Poczułam, jak uwaga Kasjana kieruje się ku nam; poczułam, jak oczy wszystkich zwracają się na Nestę.

– Idę z wami – powiedziała zwięźle.

## Rozdział 42

Wszyscy milczeli.

Nesta uniosła głowę.

– Ja... – Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby zabrakło jej słów. – Nie chciałam zostać zapamiętana jak tchórz.

– Nikt by tak nie pomyślał – odparłam cicho.

– Ja bym pomyślała.

Wzrok Nesty prześlizgnął się po wszystkich, omijając starannie Kasjana. Nie żeby mu okazać lekceważenie, ale by nie musieć odpowiadać na spojrzenie, które jej posyłał. Aprobata... nawet więcej.

– To była jakaś odległa sprawa – ciągnęła. – Wojna. Bitwy. Teraz... już nie jest. Pomogę, jeśli tylko będę mogła. Nawet jeśli to oznacza... opowiedzenie wszystkim o tym, co się wtedy stało.

– Dałaś już z siebie dość – zaoponowałam, a moja suknia zaszeleściła, gdy odważyłam się postąpić krok w jej stronę. – Amrena twierdzi, że jesteś bliska opanowania tych umiejętności, których potrzebujesz. Powinnaś zostać... skupić się na tym.

– Nie – ucięła czystym i opanowanym głosem. – Odłożenie mojego treningu na dzień czy dwa nie zrobi różnicy. Może do naszego powrotu Amrena rozgryzie wreszcie to zaklęcie z Księgi. – Wzruszyła ramionami. – Poszliście walczyć za dwór, który ledwie znacie... którego nawet nie możecie nazwać zaprzyjaźnionym. Amrena pokazała mi krwawy rubin. Kiedy zaś zapytałam, dlaczego, powiedziałaś, że to było właściwe. Ludzie potrzebowali pomocy. – Przełknęła nerwowo. – Nikt nie będzie chciał pomóc ludziom zza muru. Nikogo to nie obchodzi. Ale mnie tak. – Skubnęła fałd sukni. – Mnie tak.

Rhys podszedł do mnie.

– Jako księżna Feyra nie jest dłużej moją emisariuszką do świata ludzi. – Uśmiechnął się ostrożnie do Nesty. – Czy chcesz objąć to

stanowisko?

Twarz Nesty nie zdradziła niczego, ale przysięgłabym, że w jej oczach zapłonął ogień.

– Potraktuj to spotkanie jako okres próbny. I bądź pewien, że będziesz musiał słono zapłacić za moje usługi.

Rhys uniósł brew.

– Nie oczekiwałam niczego innego od jednej z sióstr Archeron. – Dźgnęłam go palcem między zębra, a on tylko się roześmiał. – Czeka cię dość upiorny pierwszy dzień.

Ku mojemu śmiertelnemu zdziwieniu na ustach Nesty zadrgał uśmiech.

– Teraz już nie ma odwrotu – zwrócił się do Rhysa Kasjan, wskazując swoje skrzydła.

Rhys wsunął dłonie do kieszeni.

– Myślę, że nadszedł czas, by świat się dowiedział, kto ma największą rozpiętość skrzydeł.

Kasjan się roześmiał; nawet Azriel się uśmiechnął. Mor posłała mi spojrzenie, które sprawiło, że musiałam przygryźć wargi, by nie zaśmiać się głośniej od Kasjana.

– Dwadzieścia złotych monet, że w ciągu pierwszej godziny wybuchnie bójka – odezwał się Kasjan, wciąż unikając bezpośredniego spojrzenia na Nestę.

– Trzydzieści i będzie to czterdzieści pięć minut – rzuciła Mor, krzyżując ramiona.

– Pamiętajcie, że obowiązują przysięgi i bariery neutralności – przypomniał im łagodnie Rhys.

– Do walki nie potrzeba pięści ani magii – podsunęła radośnie Mor.

Spod drzwi dobiegł nas głos Azriela.

– Pięćdziesiąt i mówię, że w pół godziny. I zacznie Jesień.

– Postarajcie się nie zdradzić, że robiliście o nich zakłady – powiedział Rhys, przewracając oczami. – I nie wolno wam oszukiwać. Żadnego prowokowania bójek.

Szerokie uśmiechy, jakimi mu odpowiedzieli, raczej dobrze nie wróżyły. Księżę westchnął.

– Sto monet na bójkę w pierwszym kwadransie – powiedział.

Nesta cicho parsknęła. Ale wszyscy patrzyli wyczekująco na mnie. Wzruszyłam ramionami.

– Rhys i ja jesteśmy zespołem. Niech on sam wyrzuca nasze pieniądze na głupoty.

Wszyscy sprawiali wrażenie głęboko urażonych.

Rhys przeplótł swoje ramię z moim.

– Z wierzchu królowa...

– Nawet tego zdania nie kończ – ostrzegłam.

Roześmiał się.

– Idziemy?

On miał przeskoczyć mnie na miejsce. Mor będzie musiała zabrać zarówno Kasjana, jak i Nestę, a Azriel poradzi sobie sam. Rhys spojrział na zegar w salonie i w milczeniu skinął pieśniarzowi cieni głową.

Azriel natychmiast zniknął. Przybędzie na miejsce pierwszy... pierwszy sprawdzi, czy nie czekają tam żadne pułapki.

Czekaliśmy w ciszy. Minutę. Dwie.

Wreszcie Rhys wypuścił powietrze i powiedział:

– Czysto.

Splótł swoje palce z moimi i złapał je mocno.

Mor jakby odrobinę oklapła. Jej biżuteria zalśniła, kiedy skierowała się ku Kasjanowi, by wziąć go za rękę. On za to podszedł do Nesty. Kiedy świat już zaczynał wirować w feerii cieni i wiatru, zobaczyłam jeszcze, jak Kasjan góruje nad moją siostrą i mówi gardłowym głosem, patrząc prosto w jej podniesioną dumnie twarz:

– Witaj, Nesto.

Wyglądało to, jakby Rhys powstrzymał własny przeskok, żeby tego wysłuchać.

– A więc jednak żyjesz – odpowiedziała moja siostra.

Kasjan wyszczerzył zęby w dzikim uśmiechu, a jego skrzydła lekko się rozchyliły.

– Miałaś nadzieję na coś przeciwnego?

Mor przyglądała się im... przyglądała się bardzo uważnie. Miała napięte wszystkie mięśnie. Sięgnęła ponownie po ramię Ilyra, ale on



wywinął się spod jej ręki, nie odrywając wzroku od gorejących oczu Nesty.

– Nie przyszedłeś, żeby... – zaczęła, ale urwała.

Zdawało się, że świat zamarł na tej przerwanej myśli, ale nikt nie zastygł bardziej niż Kasjan. Patrzył w jej twarz, jakby w szaleńczym skupieniu odczytywał jakiś raport bitewny.

Mor tylko się przyglądała, jak Kasjan ujmuje szczupłą dłoń Nesty, splatając swoje palce z jej palcami. Zwinął swoje skrzydła i trochę na oślep wyciągnął drugą rękę w stronę Mor – z niemym nakazem, by ich przeniosła.

Kasjan nie odrywał wzroku od Nesty, a ona od niego. W twarzy żadnego z nich nie było czułości ani ciepła. Tylko niesamowite napięcie, przemieszane ze wzgardą, zrozumieniem i ogniem.

Rhys znów zaczął nas przeskakiwać i kiedy czarny wiatr już miał nas porwać, usłyszałam, jak Kasjan mówi do Nesty niskim i chrapliwym głosem:

– Następnym razem, Emisariuszko, przyjdę się przywitać.

\*\*\*

Rhys sporo mi opowiadał, czego mogę się spodziewać na Dworze Świt, ale żaden z odmalowanych przez niego obrazów nie przygotował mnie na to, co znajdowało się tam naprawdę.

Pierwszym, co zobaczyłam, były chmury.

Ogromne chmury płynące po kobaltowym niebie, miękkie i wspaniałe, wciąż lekko zabarwione różowością wschodzącego słońca z obłymi brzegami pociągniętymi złotem. Kiedy wylądowaliśmy u stóp górskiego pałacu pnącego się aż po samo niebo, świeżość poranka nadal była wyczuwalna w balsamicznym powietrzu.

Jeśli pałac nad Dworem Koszmarów został wzniesiony z kamienia księżycowego, ten zbudowano z... kamienia słonecznego. Nie miałam słów, by opisać lekko opalizujący złotawy budulec, w którym zdawało się, że zastygł blask tysięcy wschodów słońca.

Schody, balkony i łuki, werandy i mostki łączyły wieże i złożone kopuły pałacu, a po kolumnach i zgrabnie przyciętych kamieniach

wiły się niebieskofioletowe powoje zbierające unoszącą się wokół mgiełkę rosy.

Unoszącą się ze względu na górę, na której znajdował się pałac...

Z jakichś przyczyn pierwszym, co zobaczyłam, były chmury.

Weranda, na której wylądowaliśmy, była pusta, jeśli nie liczyć Azriela i smukłego służącego w złoto-rubinowej liberii Dworu Świtu, luźnej i wielowarstwowej, a jednak świetnie leżącej na ciele.

Mężczyzna skłonił się. Jego brązowa skóra lśniła młodością i pięknem.

– Tędy proszę, książę.

Nawet jego głos był urokliwy jak pierwszy złotawy poblask na horyzoncie.

Rhys odwzajemnił ukłon skinieniem głowy i podał mi ramię.

– Jeśli kiedyś będziesz miał ochotę zbudować nowy pałac – wymamrotała Mor idąca za nami obok Nesty – ten mógłby być wspaniałą inspiracją.

Rhys rzucił jej przez ramię sceptyczne spojrzenie. Kasjan i Azriel cicho parsknęli.

Kiedy służący poprowadził nas nie łukiem pod werandą, ale spiralnymi schodami w górę... na szczyt nagiej wieży, zerknęłam na Nestę.

Zdawała się czuć nieswojo, jak my wszyscy... może poza Mor... ale...

Na jej twarzy malował się zachwyt.

Nieskrywany zachwyt pałacem w chmurach, bujną roślinnością poniżej, rozsypanymi daleko w dole czerwonymi dachami wiejskich domków i szerokimi migoczącymi rzekami. Bujną, wieczną krainą, bogatą latem.

Zastanawiałam się, czy ja miałam podobną minę... kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Velaris. Mieszanina zachwytu i gniewu na świadomość, że świat jest tak wielki i piękny, czasem tak przytłaczający w swojej cudowności, że ciężko było wszystko to wchłonąć naraz.

Na ziemiach Dworu Świtu znajdowały się oczywiście również inne pałace... rozrzucone po maleńkich wioskach parających się

zegarmistrzostwem, produkcją drobnych zmyslnych cudeniak i innych wymagających sporych zdolności wynalazków. Tutaj... poza tymi małymi wioskami wtulonymi w sielskie wzgórza nie było żadnego przemysłu. Niczego poza pałacem, niebem i chmurami.

Wchodziliśmy cały czas spiralnymi schodami. Pod nami czała się – aż zbyt blisko, by można było spokojnie patrzeć – otchłań pełna skał o ciepłych barwach udekorowana kępami bladych róż i ciemnoróżowych peonii. Piękna kolorowa śmierć.

Z każdym krokiem w górę wieży zbierałam się w sobie. Rhys wciąż mocno trzymał moją dłoń.

Skrzydła miał na wierzchu. Każdy krok stawiał pewnie.

Jego oczy odszukały moje spytały z rozbawieniem przez więź: „Ty też uważasz, że powinienem zmienić wystrój naszego domu?”.

Minęliśmy odkrytą komnatę zarzuconą puszystymi dywanami i miękkimi poduszkami; mijaliśmy okna, których szybki zdobne były kolorowymi witrażami; urny przepełnione lawendą; fontanny, z których tryskała źródłana woda migocząca w łagodnych promieniach słońca.

„To nie jest żaden konkurs” – odpowiedziałam śpiwnie.

Jego dłoń zacisnęła się na mojej.

„Cóż, nawet jeśli Thesan ma ładniejszy pałac, ja jako jedyny mam przy swoim boku księżnę”.

Nie mogłam powstrzymać wykwitającego na moich policzkach rumieńca.

Widząc to, Rhys dodał jeszcze:

„Chciałbym, żebyś dziś włożyła do łóżka tę koronę. Tylko tę koronę”.

„Łajdak”.

„Zawsze”.

Uśmiechnęłam się, a on nachylił się i delikatnie pocałował mój policzek.

Mor wymamrotała coś, co brzmiało jak prośba o oszczędzenie jej przejawów więzi godowej.

Z otwartej komnaty na szczycie wieży z kamienia słonecznego dotarły do nas stłumione głosy... niektóre głębokie, inne ostre,

jeszcze inne śpiewne... jeszcze zanim pokonaliśmy kolejny zakręt i wkroczyliśmy do pomieszczenia o łukach pozbawionych szyb, nietamujących płynących rozmów.

„Widzę, że trzy dwory już przybyły – ostrzegł mnie Rhys. Odniosłam też wrażenie, że Azriel szepcze coś Kasjanowi i Mor. – Helion, Kallias i Thesan”.

Książęta Dworów Dnia, Zimy i naszego gospodarza – Świtu.

Oznaczało to, że Dwory Jesieni i Lata – Beron i Tarquin – jeszcze nie dotarły. Ani Wiosna.

Wciąż wątpiłam, by Tamlin w ogóle się pojawił, ale Beron i Tarquin... Może ta bitwa zmieniła zdanie Tarquina, ale Beron był na tyle podły, by nawet sprzymierzyć się w międzyczasie z Hybernią, niezależnie od zabiegów Erisa.

Kątem oka dojrzałam, jak grdyka Rhysa się poruszyła, kiedy stawialiśmy już ostatnie kroki ku otwartemu wejściu. Wieżę z wnętrzem pałacu łączył długi most, którego poręcze spowijały blade jak świt glicynie. Zastanawiałam się, czy wszyscy musieli wdrapywać się po tych schodach, czy miało to być subtelną zniewagą.

„Tarcze gotowe?” – spytał Rhys, choć wiedziałam, że doskonale zdawał sobie sprawę, że podniosłam swoją jeszcze w Velaris.

Podobnie jak wiedziałam, że niezależnie od zobowiązań do zachowania pokoju na spotkaniu on podniósł wokół nas własne bariery – zarówno mentalne, jak i fizyczne.

Chociaż twarz miał spokojną, cały był spięty.

„Widzę cię całego, Rhysie. I nie ma w tobie niczego, czego nie kochałabym całą sobą”.

W odpowiedzi jego dłoń ponownie ucisnęła moją, unosząc ją na tyle, że kiedy wchodziliśmy do komnaty, musieliśmy przedstawiać widok wyjątkowo dystyngowanej pary.

„Nie kłaniasz się nikomu” – przekazał mi jeszcze krótko.

## Rozdział 43

**K**omnata i była, i nie była taka, jakiej oczekiwałam. Głęboko wyściełane dębowe krzesła zostały ustawione w ogromny okrąg na samym środku pomieszczenia... było ich wystarczająco wiele dla książąt i ich orszaków. Niektóre z nich, jak zauważyłam, zostały zaprojektowane specjalnie dla skrzydlatych użytkowników.

Wyglądało na to, że nie było to tu niezwykle. Wokół pięknego smukłego mężczyzny, którego pamiętałam jeszcze spod Góry, zgromadzili się bowiem skrzydlaci fae. Jednak jeśli skrzydła Ilyrów przypominały nietoperze, te... były raczej ptasie.

„Peregryni są odlegle spokrewnieni z serafinami Drakona – przekazał mi Rhys, spoglądając na umięśnionych, odzianych w złote zbroje mężczyzn i kobiety. – Dzięki temu Thesan może utrzymywać własny, niewielki skrzydlaty legion. Mężczyzna po jego lewej to jego kapitan i kochanek”.

Faktycznie, przystojny fae stał nieco bliżej księcia, jedną rękę cały czas trzymając na rękojeści wspaniałego miecza.

„Nie łączy ich jeszcze więź godowa, ale myślę, że Thesan nie zrobił tego kroku, żeby nie narażać go podczas rządów Amaranthy. Ona uwielbiała wyrywać pióra... jedno po drugim. Zrobiła sobie z nich całą suknię”.

Staralam się nie skrzywić, kiedy stawialiśmy pierwsze kroki na marmurowej posadzce rozgrzanej promieniami wpadającego przez kamienne łuki słońca.

Wszyscy spojrzeli w naszą stronę. Niektórzy szeptali między sobą na widok skrzydeł Rhysa, ale moją uwagę przykuł prawdziwy klejnot tego pomieszczenia... lustrzana sadzawka. Zamiast stołu środek pomiędzy krzesłami wypełniało oczko wodne wbudowane w podłogę. Jego ciemna woda usiana była różowymi i złotawymi liliami wodnymi o szerokich, dużych jak męska dłoń liściach, a pomiędzy nimi leniwie pływały kremowo-pomarańczowe ryby.

„To muszę mieć u siebie” – wyznałam Rhysowi.

Wzdłuż więzi dotarł do mnie rozbłysk ironii.

„Będę pamiętał, kiedy nadejdą twoje urodziny”.

Wokół kolumn otaczających pomieszczenie, a także wzdłuż stołów ustawionych pod niektórymi ścianami, wiło się więcej glicynii, rozwijały także swoje główki piwonie w kolorze wina. Pomiedzy wazonami stały talerze i kosze pełne jedzenia – oko przyciągały małe ciastka, peklowane mięsa i girlandy owoców, a także stojące za nimi cynowe dzbany pełne napojów.

Wreszcie sami trzej książęta.

Wyglądało na to, że nie tylko my postanowiliśmy odświeżnie się ubrać.

Przystanęliśmy w pół drogi na środek pomieszczenia.

Znałam ich wszystkich... pamiętałam ich z tych miesięcy spędzonych pod Górą. Rhys nauczył mnie ich historii, kiedy trenowaliśmy. Kiedy wodzili wzrokiem między nami, zastanawiałam się, czy byli w stanie wyczuć moją moc.

Thesan podszedł do nas z gracją. W swoich wspaniałych haftowanych butach stąpał po posadzce niemal niesłyszalnie. Tunikę na smukłej piersi miał dopasowaną, ale spodnie zwiewne – podobne w stylu do tych, które preferowała Amrena. Szeleściły przy każdym ruchu, kiedy się do nas zbliżał. Jego brązowa skóra i włosy lśniły, jakby pozłocił je wieczny wschód słońca, ale najpiękniejsze były lekko skośne oczy w kolorze świeżo zaoranej ziemi. Zatrzymał się kilka kroków przed nami, po czym przyjrzał się uważnie Rhysowi, mnie i reszcie naszej grupki. Skrzydłom, które Rhys miał zwinięte na plecach.

– Witajcie – powiedział głosem głębokim i łagodnym jak jego oczy.

Jego ukochany, stojąc nieco za nim, przypatrywał się uważnie każdemu naszemu oddechowi, bez wątpienia świadomy, że nasi towarzysze robią to samo.

– A może – zastanawiał się głośno – skoro to wy zwołaliście to spotkanie, to do was powinno należeć witanie gości?

Na twarzy Rhysa pojawił się blady uśmiech, choć pomiędzy

pasmami włosów tańczyły mu cienie. Zsunął tamę ze swojej mocy... tylko odrobinę. Wszyscy poszli za jego przykładem.

– Może i ja zwołałem to zebranie, Thesanie, ale to ty byłeś na tyle uprzejmy, by zaoferować swoją wspaniałą rezydencję.

Thesan z wdzięcznością skinął głową – być może uznał, że pytanie o nowo objawione skrzydła byłoby niegrzeczne – po czym obrócił się do mnie.

Patrzyliśmy na siebie nawzajem, podczas gdy moi towarzysze ukłonili się za mną. Jako małżonka księcia powinnam była zrobić to samo.

Jednak tylko stałam. I patrzyłam.

Rhys nie przerywał... to była pierwsza próba.

Świt... z darem uzdrawiania. Ten właśnie dar pozwolił mi ocalić życie Rhysanda. To znów posłało mnie tamtego dnia na spotkanie z surielem, które odmieniło dla mnie całą wieczność.

– Twój dom jest przepiękny – powiedziałam z powściągliwym uśmiechem.

Thesan skierował swoją uwagę na mój tatuaż. Wiedziałałam, że zauważył od razu, którą rękę pokrywa wzór. Inną niż pod Górą. Potem spojrział na koronę. Uniósł brwi.

Rhys tylko wzruszył ramionami.

Pozostali dwaj książęta również podeszli do nas.

– Kalliasie – odezwał się Rhys do białowłosego mężczyzny o cerze tak jasnej, że wyglądała na wykutą w lodzie.

Nawet jego niesamowicie niebieskie oczy zdawały się okruchami lodu. Rzucił okiem na skrzydła Rhysa i momentalnie je zignorował. Na sobie miał kaftan w kolorze królewskiego błękitu, wyszywany srebrem, przy kołnierzu na rękawach oblamowany białym króliczym futrem. Uznałabym podobny strój za zbyt ciepły jak na łagodny letni dzień, zwłaszcza widząc wysokie brązowe buty, również obszyte futrem, ale zważywszy nieprawdopodobnie lodowaty wyraz twarzy, być może krew również miał zmrożoną. Trójka podobnie wyglądających fae nie podniosła się ze swoich miejsc, ale jedna z nich, przepiękna młoda kobieta, spojrzała wprost na Mor... i posłała jej szeroki uśmiech.

Mor odwzajemniła go, przestępując z nogi na nogę, i kiedy właśnie Kallias otworzył usta, by coś powiedzieć... moja przyjaciółka wydała z siebie przeciągły pisk.

*Pisk.*

Obie kobiety rzuciły się ku sobie. Piski Mor zmieniły się w ciche łkanie, gdy zarzuciła smukłej nieznajomej ramiona na szyję i przytuliła ją mocno. Ta również cała dygotała, ściskając Mor.

Potem zaczęły się śmiać i płakać jednocześnie, tańczyć wokół siebie, zatrzymując się tylko na chwilę, by spojrzeć sobie w oczy, obetrzeć łzy i objąć się na nowo.

– Nic a nic się nie zmieniałaś – powiedziała nieznajoma, uśmiechając się promiennie od ucha do ucha. – Czy to ta sama sukienka, w której widziałam cię w...

– To ty się nic nie zmieniałaś! Futra w środku lata... jak stereotypowo...

– Widzę, że przyprowadziłaś tych co zwykle...

– Na szczęście towarzystwo ostatnio się poprawiło dzięki pewnym nowo przybyłym... – Mor wskazała ręką w moją stronę; dawno nie widziałam jej tak ożywionej i promieniejącej. – Viviane, poznaj Feyrę. Feyro, poznaj Viviane... małżonkę Kalliasa.

Rzuciłam okiem na Thesana i Kalliasa, który przyglądał się swojej żonie z uniesionymi brwiami.

– Próbowałem zasugerować, by została w domu – oznajmił sucho Kallias – ale zagroziła, że odmrozi mi jaja.

– Brzmi jakby znajomo – zaśmiał się ponuro Rhys.

Spiarunowałam go spojrzeniem znad migotliwego ramienia... akurat, by zobaczyć, jak z twarzy Kalliasa znika krzywy uśmieszek, gdy przyjrzał się na dobre Rhysowi. Tym razem nie tylko skrzydłom. Rozbawienie mojego towarzysza również przygasło. Między nim a Kalliasem można było wyczuć napięcie...

Jednak wtedy właśnie dołączyłam do Mor i Viviane. Ścierając z twarzy wyraz ciekawości, uścisnęłam zaskakująco ciepłą dłoń żony księcia Dworu Zimy.

Jej srebrne włosy lśniły w słońcu jak świeży śnieg.

– Żona – powiedziała Viviane, klaskając językiem. – To wciąż



brzmi dla mnie dziwnie, wiecie. Za każdym razem, gdy ktoś tak mówi, spoglądam za siebie, jakby miał tam stać ktoś inny.

Ze swojego miejsca naprzeciwko Rhysa, wciąż sztywny jak struna, odezwał się Kallias:

– Wciąż nie wiem, czy mam się czuć urażony. Mówi to codziennie. Viviane pokazała mu język, a Mor chwyciła ją za ramię i ścisnęła.

– Najwyższy czas.

Rumieniec oblał bladą twarz Viviane.

– Tak, cóż... po wydarzeniach pod Górą wszystko się zmieniło. – Jej szafirowe oczy odszukały moje i przekrzywiła lekko głowę. – Dziękuję... za zwrócenie mi mego towarzysza.

– Towarzysza? – syknęła Mor, spoglądając między nimi. – Małżeństwo i więź godowa?

– Zdajecie sobie sprawę z tego, że to poważne spotkanie? – rzucił Rhys.

– A ryby w tej sadzawce są bardzo wrażliwe na wysokie dźwięki – dodał Kallias.

Viviane pokazała im obu dość wulgarny gest, co spowodowało, że poczułam do niej natychmiastową sympatię.

Rhys rzucił Kalliasowi spojrzenie pełne czegoś, co można by nazwać męskim cierpieniem. Jednak księżę Dworu Zimy nie odwzajemnił go.

Wpatrywał się tylko w Rhysa, znów z poważną miną... na jego twarz powrócił lodowaty wyraz.

Stosunki z Dworem Zimy... były napięte, jak mi wyjaśniła Mor, kiedy uratowali mnie i Luciena na tamtym lodowcu. W związku z jakimś wydarzeniem pod Górą...

Jednak w tym momencie z drugiej strony sadzawki podszedł do nich trzeci księżę.

Dawno temu mój ojciec kupił, a potem odsprzedał złoty naszyjnik z lazurytu wydobyty z ruin pustynnego południowo-wschodniego kraju, gdzie fae rządili jak bogowie w cieniu palm daktylowych i smaganych piaskiem pałaców. Fascynowały mnie kolory, mistrzostwo wykonania, ale jeszcze bardziej transport mirry i fig, z którym został przysłany... Kilka z nich ojciec cichaczem mi

podsunął, kiedy myszkowałam po jego kantorze. Nawet teraz wciąż pamiętałam ich słodycz na języku, ziemisty zapach i z niewyjaśnionych przyczyn... kiedy zobaczyłam zbliżającego się księcia, przypomniały mi się ten starożytny naszyjnik i zamorskie smakołyki.

Jego strój wykonano z jednego kawałka białej tkaniny... nie była to szata, nie suknia, ale coś pomiędzy – plisowane i układane na muskularnym ciele. Ramię opasywała mu ozdoba w kształcie wijącego się w górę węża, a na głowie miał koronę z jaśniejących złotych kolców. Zauważyłam, że promienie słońca lśniły nawet na jego kruczoczarnych włosach.

Uosobienie słońca. Potężny, z leniwą gracją, zdolny do wielkiej łagodności, ale też do gniewu. Niemal tak piękny jak Rhysand i w jakiś sposób jeszcze zimniejszy niż Kallias.

Jego świta była niemal równie duża jak nasza. Wszyscy ubrani byli w podobne szaty w różnych nasyconych kolorach... kobaltowe, karmazynowe i ametystowe... niektórzy mieli pięknie pociągnięte cieniem oczy, a wszyscy promienieli zdrowiem.

Ale możliwe, że ich fizyczna siła... *jego siła* była tylko złudzeniem.

Innym bowiem tytułem Heliona był Czaroniszcz, a tysiąc bibliotek jego krainy zawierać miało podobno całą wiedzę świata. Być może to ta wiedza sprawiła, że zdawał się tak zdystansowany i taki zimny za tymi promiennymi oczami.

A może pojawiło się to dopiero po tym, jak Amarantha złupiła część jego zbiorów. Zastanawiałam się, czy odzyskał to, co zabrała – czy do dziś opłakiwał te, które spaliła.

Nawet Mor i Viviane przerwały swoją rozmowę, kiedy Helion zatrzymał się w pewnej odległości od nas.

To dzięki jego mocy zdołałam wyrwać moich przyjaciół z Hybernii. To jego moc sprawiała, że zaczynałam świecić, kiedy Rhys i ja spleceni byliśmy ze sobą w radosnym uniesieniu.

Helion skinął na Rhysa kwadratowym podbródkiem. Tylko on zdawał się nie dziwić widokiem jego skrzydeł. Szybko przeniósł wzrok na mnie.

– Czy Tamlin wie, kim ona jest?

Nawet jego głos brzmiał chłodniej niż głos Kalliasa. I to pytanie... tak starannie wyważone.

– Jeśli masz na myśli: piękna i mądra, to tak... sądzę, że wie – odparł leniwie Rhys.

Helios zmierzył go wzrokiem.

– Czy wie, że jest twoją towarzyszką i księżną?

– Księżną? – pisnęła Viviane, ale Mor uciszyła ją, odciągnęła na bok i zaczęła jej szeptać na ucho.

Thesan i Kallias przyjrżeli mi się uważnie. Z namysłem.

Kasjan i Azriel od niechcienia przysunęli się bliżej niczym dwa cienie.

– Jeśli przybędzie – odpowiedział spokojnie Rhys – wtedy się dowiemy, jak sądzę.

Helion parsknął ponurym śmiechem. Groźny... ten ozłocony słońcem książę był naprawdę śmiertelnie niebezpieczny.

– Zawsze cię lubiłem, Rhysandzie.

Thesan, jak przystało na dobrego gospodarza, podszedł bliżej. Ponieważ ten śmiech naprawdę brzmiał jak zapowiedź przemocy. Jego ukochany i pozostali peregryni przesunęli się na bardziej obronne pozycje... by strzec swego księcia lub by nam przypomnieć, że jesteśmy tu tylko gośćmi.

Uwagę Heliona przykuła teraz Nesta.

Chwilę się jej przyglądał.

Ona tylko patrzyła śmiało na niego. Kompletnie niewzruszona i chłodna.

– Kim jest twój gość? – spytał książę Dworu Dnia.

Trochę za cicho, jak na mój gust.

Kasjan nie dał nic po sobie poznać... nawet śladu tego, że *znał* Nestę. Jednak nie ruszył się również o cal ze swojej pozycji, gotowy do walki. Podobnie jak Azriel.

– To moja siostra i emisariuszka do krain śmiertelników – powiedziałam wreszcie, stając u jej boku. – Opowie tutaj swoją historię, kiedy tylko przybędą pozostali.

– Ale ona jest fae.

– No co ty... – mruknęła ironicznie Viviane.

Mor stłumiła parsknięcie, gdy Kallias spojrział na nie z uniesionymi brwiami. Helion jednak je zignorował.

– Kto ją przemienił? – spytał grzecznie Thesan, przechylając głowę.

Nesta zlustrowała go wzrokiem. Potem Heliona. Potem Kalliasa.

– Król Hybernii – odpowiedziała krótko.

Głowę trzymała wysoko, a w jej oczach ani na chwilę nie pojawił się nawet cień strachu.

Zaległa pełna zdumienia cisza.

Ja miałam jednak dość gapienia się na moją siostrę. Wzięłam ją pod ramię i poprowadziłam do krzeseł o niskich oparciach, które – jak rozumiałam – były przeznaczone dla nas.

– Zostały wrzucone do Kotła – powiedziałam. – Razem z moją młodszą siostrą Elainą. – Usiadłam, pociągając Nestę na miejsce obok siebie, i spojrzałam na trzech książąt bez cienia uprzejmości, dworności czy pochlebstwa. – Po tym jak wysoka kapłanka Iantha wraz z Tamlinem sprzedali Prythian i moją rodzinę Hybernii.

Nesta w milczeniu pokiwała głową.

Oczy Heliona zapłonęły jak wnętrze pieca.

– To dość poważne oskarżenia... zwłaszcza wobec byłego kochanka.

– To nie jest żadne oskarżenie – odparłam, składając dłonie na kolanach. – Wszyscy tam byliśmy. A teraz zamierzamy coś w tej sprawie zrobić.

Po więzi przemknęła w moją stronę duma.

Wtedy rozległ się szept Viviane, połączony z sójką wymierzoną między żebra Kalliasa:

– Dlaczego *ja* nie mogę również zostać księżną?

\*\*\*

Pozostali przybyli spóźnieni.

Wszyscy zajęliśmy miejsca wokół lustrzanej sadzawki. Służący Thesana o nienaganych manierach roznosili talerze potrawy i puchary egzotycznych soków z rozstawionych pod ścianami stołów. Rozmowy rozpoczynały się i kończyły, Mor i Viviane

siedziały obok siebie i nadrabiałały chyba za całe pięćdziesiąt lat ploteczek.

Viviane nie było pod Górą. Jako jej przyjaciel z dzieciństwa Kallias zawsze był w stosunku do niej bardzo opiekuńczy... Wysyłał tę niezwykle bystrą dziewczynę na patrole graniczne przez dekady, by oszczędzić jej zabiegów pozostałych dworaków. Nie dopuścił jej również nigdzie w pobliże Amaranthy. Nikomu nie dał poznać, co tak naprawdę czuje do swojej srebrnowłosej przyjaciółki, która także nie miała o tym pojęcia... ani przez chwilę... że kochał ją całe swoje życie. W tych ostatnich minutach, kiedy czuł, jak jego moc jest wydzierana przez to okropne zaklęcie... posłał całą pozostałą mu jeszcze resztkę, by ją ostrzec. By powiedzieć jej, że ją kocha. I błagać, by chroniła ich lud. Tak też zrobiła.

Podobnie jak Mor i moi przyjaciele chronili Velaris, Viviane osłoniła niewielkie miasto, dając bezpieczne schronienie każdemu, kto zdołał do niego dotrzeć.

Nigdy nie zapomniała o uwięzionym pod Górą księciu, nigdy nie przestała poszukiwać sposobów, by go uwolnić. Nawet kiedy Amarantha wypuściła na tę krainę potwory, by ich złamać, ukarać, Viviane utrzymała wszystkich razem. Podczas tych rządów terroru... podczas tych wszystkich lat... zrozumiała, co Kallias dla niej znaczy, co ona czuje do niego.

W dniu, w którym wrócił na ziemie Zimy, przeskoczył prosto do niej. Pocałowała go, jeszcze zanim zdołał się odezwać. Wtedy on ukląkł i poprosił ją, by została jego żoną.

Godzinę później stali już w świątyni i wymieniali przysięgi. Tej samej nocy – podczas „no wiesz”, jak Viviane powiedziała z szerokim uśmiechem do Mor – zaskoczyła między nimi więź godowa.

Opowieść zajmowała nam czas oczekiwania, gdyż Mor żądała szczegółów. Wielu szczegółów. Niektóre graniczyły z nieprzyzwoitością i sprawiały, że siedzący niedaleko Thesan prychał w swój puchar wypełniony winem z czarnego bzu. Jednak Kallias uśmiechał się do swojej żony i towarzyszki tak ciepło i promiennie pomimo swej lodowatej aparycji, że to on mógłby być

księciem Dworu Dnia.

Nie ten bezwzględny Helion o ostrym języku, który obserwował mnie i moją siostrę jak orzeł. Wielki złoty orzeł... o niezwykle ostrych szponach. Zastanawiałam się, jak wyglądała jego forma bestii; czy również rosły mu skrzydła? I szpony?

A Thesanowi? Białe jak u peregrynów, którzy wciąż milczeli, jak u jego ukochanego, który również jeszcze do nikogo się nie odezwał. Być może wszyscy władcy Dworów Słonecznych kryli pod skórą skrzydła... dar od niebios, którymi mieli władać.

Minęła godzina, zanim Thesan obwieścił:

– Przybył Tarquin.

W ustach mi zaschło. Zapadła krępująca cisza.

– Słyszałem o krwawych rubinach – rzucił Helion do Rhysa, bawiąc się złotą opaską na ramieniu. – To jest zdecydowanie historia, którą chciałbym usłyszeć.

Rhys machnął leniwie ręką.

– Wszystko w swoim czasie.

Do mnie zaś, puszczając oko, rzucił przez więź:

„Dupek”.

Wtedy na szczycie schodów prowadzących do komnaty pojawił się Tarquin, a zaraz za nim Varian i Kresejda.

Varian powiódł wzrokiem po nas, widocznie szukając kogoś, kogo tu dzisiaj nie było... i spiorunował spojrzeniem siedzącego obok Nesty Kasjana. Ten tylko posłał mu w odpowiedzi arogancki uśmiech.

„Zdemolowałem tylko jeden budynek” – powiedział wtedy o swojej ostatniej wizycie na Dworze Lata. Na który nie miał już więcej wstępu. Wyglądało na to, że nawet nasza pomoc nie wystarczyła, by go ułaskawić.

Tarquin zignorował nas wszystkich – Rhysanda, jego skrzydła i mnie – po czym mętnie wytłumaczył swoje spóźnienie ostatnim atakiem. Możliwe nawet, że była to prawda. Albo że zdecydował się przybyć tu dopiero w ostatniej chwili, pomimo wstępnego przyjęcia zaproszenia.

Sytuacja między nim a Helionem sprawiała wrażenie równie

napiętej i tylko Thesan zdawał się pozostawać z nim w dobrych stosunkach. Całkowicie neutralny dwór. Kallias stał się nagle jeszcze chłodniejszy i bardziej odległy.

Kiedy przebrzmiały już powitania, służący szepnął Thesanowi, że Beron przybył ze *wszystkimi* synami. Z twarzy i oczu Mor natychmiast zniknął uśmiech. Z moich również.

Kiedy księżę Dworu Jesieni pojawił się w wejściu, gniew emanujący z moich przyjaciół wystarczyłby do zagotowania znajdującej się przed nami sadzawki. Za nim weszli wszyscy jego synowie, w kolejności starszeństwa, a u jego boku żona... matka Luciena. Jej rdzawe oczy przesuwają się po zebranych, jakby szukając nieobecnego syna. Zamiast tego jej spojrzenie padło na Heliona, który kpiąco skinął jej głową. Natychmiast odwróciła wzrok.

Ona kiedyś ocaliła moje życie... pod Górą. W zamian za oszczędzenie Luciena.

Czy zastanawiała się, gdzie teraz był jej zaginiony syn? Czy słyszała plotki, które rozpuściłam, i kłamstwa, które utkałam. Nie mogłam powiedzieć jej, że Lucien w tej chwili przemierzał kontynent w poszukiwaniu zaklętej królowej, unikając wrogich armii. By znaleźć choć strzęp nadziei.

Beron – o pociągłej twarzy i brązowych włosach – nie spojrzał nawet na nikogo poza zebranymi książętami. Jednak jego synowie posyłali nam pogardliwe uśmieszki. Na tyle wyraźnie, że aż peregryni nastroszyli skrzydła. Nawet Varian obnażył ostrzegawczo zęby, kiedy jeden z nich lubieżnie uśmiechnął się do Kresejdy. Ich ojciec nie zwracał sobie głowy przywoływaniem ich do porządku.

Jednak zrobił to Eris.

Ze swojego miejsca o krok za ojcem warknął cicho:

– Dosyć.

Nagle wszyscy młodszy bracia się uspokoili. Wszyscy trzej.

Czy Beron nie zauważył niczego, czy o to nie dbał, trudno było powiedzieć. On tylko zatrzymał się w połowie drogi na środek pomieszczenia z rękoma założonymi przed sobą i zmarszczył nos, jakbyśmy wszyscy byli bandą zwykłych kundli.

Beron, najstarszy z nas wszystkich. I najpaskudniejszy.

Rhys przywitał go swobodnie, choć jego moc buzowała za nami niczym ciemna substancja.

– Nie dziwię się, że się spóźniłeś, skoro twoi synowie nie byli nawet dość szybcy, by złapać moją towarzyszkę. Widać to rodzinne.

– Towarzyszkę. – Usta Berona wydeły się lekko na widok mojej korony. I księżną.

Obrzuciłam go beznamiętnym, znudzonym spojrzeniem. Potem jego okropnych synów. I Erisa.

Eris tylko uśmiechnął się do mnie wyniośle i z rozbawieniem. Czy wciąż będzie nosił tę maskę, kiedy zakończy życie swojego ojca i zgarnie jego koronę?

Kasjan obserwował przyszłego księcia, jak jastrząb obserwuje potencjalną ofiarę. Eris rzucił na niego okiem i pochylił głowę w powitalnym geście, poklepując się dyskretnie po brzuchu. Gotowy na drugą rundę.

Potem uwaga Erisa przeniosła się na Mor. Przesunął po niej wzrok z pogardą, od której krew mi się zagotowała. Mor tylko patrzyła na niego pustym wzrokiem. Wydawała się znudzona. Nawet Viviane przygryzła wargę. A więc wiedziała, co zrobiono Mor... co mogła wywołać obecność Erisa.

Nieświadoma spotkania, które już się odbyło, i demonicznej ugody, która została zawarta. Azriel siedział tak nieruchomo, że nie byłam pewna, czy w ogóle oddychał. Mor nie dała po sobie poznać, czy zauważyła, czy wiedziała, że choć ona sama starała się przejść do porządku dziennego nad układem, jaki zawarliśmy, to w Azrielu wciąż wywoływał on niesamowite poczucie winy.

Usiedli... zajmując ostatnie miejsca.

Nie zostało już ani jedno wolne. To dość jasno mówiło o zamierzeniach Tamlina.

Usilnie starałam się nie przygarbić w swoim krześle, kiedy służba zajmowała się orszakiem Dworu Jesieni.

Thesan, nasz gospodarz, zaczął mówić

– Rhysandzie, ty zwołałeś to spotkanie. Nakłoniłeś nas do zebrania się wcześniej, niż zamierzaliśmy. Teraz jest odpowiedni



moment, by wyjaśnić, co było takiego pilnego.

Rhys mrugnął... powoli.

– Z pewnością wrogie armie najeżdżające nasze brzegi są wystarczającym powodem.

– Więc po co właściwie nas tu wezwałeś? – zapytał Helion, opierając przedramiona na lśniących muskularnych udach. – Żebyśmy stworzyli zjednoczoną armię?

– Między innymi – odpowiedział spokojnie Rhys. – Jesteśmy...

Jego wejście... było prawie takie samo....

Prawie takie samo jak tamtej nocy w mojej rodzinnej chatce, kiedy wśród powiewów mroźnego wiatru do środka wparowała bestia i ryknęła na nas.

Nie zaprzętał sobie głowy balkonem do lądowania, nie miał również ze sobą dworzan.

Jak uderzenie pioruna, jak gwałtowna wiosenna burza przeskoczył prosto do wnętrza komnaty.

Zamarłam, a krew w moich żyłach stała się chłodniejsza chyba niż lód Kalliasa, kiedy Tamlin pojawił się nagle i posłał wszystkim wilczy uśmiech.

## Rozdział 44

Zapadła całkowita cisza. Wszyscy zamarli.

Poczułam pomruk mocy, kiedy jedna po drugiej podnosiły się tarcze wokół każdego z książąt i ich towarzyszy. Naszą, która została postawiona już dawno, Rhysand teraz wzmacniał... Gniew emanował z każdej komórki jego ciała. Furia i gniew. Nawet jeśli twarz mojego towarzysza wciąż pozostawała w... leniwym grymasie znudzenia.

Staralam się przywołać na swoją twarz wyraz chłodnej ostrożności, z którą spoglądała na niego Nesta, lub pewnego niesmaku Mor. Staralam się... i kompletnie mi to nie wychodziło.

Ja znałam jego temperament, jego zmienność nastrojów.

Oto był książę, który przerobił tamte nagi na krwawe strzępki; oto był książę, który nabił Amaranthę na miecz Luciena i rozerwał jej gardło własnymi zębami.

Wszystko to lśniło w jego zielonych oczach, kiedy skupił swój wzrok na mnie, na Rhysie. Jego zęby błysnęły jak polerowana kość, kiedy uśmiechnął się szeroko.

Thesan podniósł się z miejsca. Jego kapitan co prawda pozostał na swoim miejscu, ale nie zdjął dłoni z rękojeści miecza.

– Nie spodziewaliśmy się ciebie, Tamlinie. – Skinął smukłą ręką na przestraszonych służących. – Przynieście księciu krzesło.

Tamlin nie odrywał wzroku ode mnie. Od nas.

Jego uśmiech stał się przytłumiony... a mimo to chyba jeszcze bardziej niepokojący. Bardziej bezlitosny.

Miał na sobie swoją zwyczajową zieloną tunikę... żadnej korony ani innych ozdób. Nie miał również nowego pasa w miejsce tego, który mu zabrałam.

– Przyznam, Tamlinie, że nieco dziwi mnie twoja obecność tutaj – wycedził Beron. – Krążą pogłoski, że twoja lojalność ciąży teraz w inną stronę.

Tamlin nie odwrócił ode mnie wzroku. Śledził każdy mój oddech.

Jednak po chwili jego wzrok przesunął się... w dół. Na pierścień na moim palcu. Na tatuaż zdobiący moją prawą dłoń, wijący się pod powiewnym rękawem bladobłękitnej migotliwej sukni. Potem zaś podniósł go... prosto na koronę, którą dla siebie wybrałam.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Co zrobić z ciałem, z oddechem.

Koniec z maskami, koniec z kłamstwami i zwodzeniem. Teraz przed nim leżała prawda, naga i surowa. Co zrobiłam w przyływie szału, kłamstwa, jakimi go karmiłam? Lud i kraina, których zostawiłam na pastwę Hybernii. A potem wróciłam do mojej rodziny, do mojego towarzysza...

Moja furia gorąca jak rozpalona lawa zastygła w coś ostrzejszego i bardziej szorstkiego.

Służący zdążyli już przynieść dodatkowe krzesło i ustawili je pomiędzy jednym z synów Berona a delegatem Heliona. Żaden nie wyglądał na zachwyconego, ale też żaden nie był na tyle głupi, by się wzdrygnąć, kiedy Tamlin usiadł obok nich.

Nie powiedział nic. Ani słowa.

– No dobrze, zaczynamy już. – Helion machnął noszącą ślady blizn dłonią.

Thesan odchrząknął. Nikt na niego nie spojrzał.

Nie kiedy Tamlin mierzył spojrzeniem dłoń, którą Rhys trzymał na moim pokrytym migotliwą tkaniną kolanie.

Niechęć w oczach Tamlina niemal bulgotała.

Nikt, nawet Amarantha, nigdy nie patrzył na mnie z taką dawką nienawiści.

Nie, Amarantha w zasadzie mnie nie znała... jej nienawiść była powierzchowna, wynikała z osobistych doświadczeń, które zatruiły jej ogląd rzeczywistości.

Tamlin... Tamlin mnie znał. I nienawidził każdej cząstki tego, czym byłam.

Otworzył usta, a ja zebrałam się w sobie.

– Wygląda na to, że należą się gratulacje.

Jego słowa wyzute były z emocji... a jednak miały w sobie coś okrutnego, jak pazury jego postaci bestii, obecnie ukryte pod

złotawą skórą.

Nie odezwałam się.

Rhys jedynie patrzył Tamlinowi prosto w oczy. Twarz miał jak wykuta z lodu, a jednak widziałam kipiącą w nim furję. Gniew rozmiarów galaktycznych, wijący się i bulgoczący wzdłuż łączącej nas więzi.

Jednak mój towarzysz zwrócił się do Thesana, który – choć wrócił na swoje miejsce – wydawał się daleki od swojego poprzedniego spokoju.

– Możemy omówić nasze sprawy później.

– Ależ nie przeszkadzajcie sobie moją obecnością – powiedział spokojnie Tamlin.

Światło w oczach Rhysanda zgasło, jakby jego gwiazdy spowiła nagła ręka ciemności. Odchylił się w krzesło, zabierając dłoń z mego kolana, by zacząć nią wodzić kolistymi ruchami po drewnianym podłokietniku.

– Nie zwykłem omawiać naszych planów z wrogami.

Helion uśmiechnął się jak lew z miejsca naprzeciwko.

– Nie – odparł Tamlin równie spokojnie. – Zwykłeś tylko się z nimi pieprzyć.

Z mojej głowy wyparowały wszystkie myśli i dźwięki.

Kasjan, Azriel i Mor zamarli... ich furia wylewała się z nich cichymi falami. Jeśli Tamlin zdawał sobie sprawę z tego, że trójka najgroźniejszych fae w tym pomieszczeniu planowała właśnie jego koniec, to nie dał tego po sobie poznać.

Rhys wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko.

– Wydawało się to znacznie mniej niszczycielską opcją niż wojna.

– A jednak to właśnie ty ją w ogóle rozpoczęłeś.

Rhysand zamrugał w niezrozumieniu.

Z palca Tamlina wysunął się pazur.

Kallias zeszywniał, a jego dłoń automatycznie powędrowała do krzesła Viviane... jakby był gotów rzucić się przed nie. Jednak Tamlin tylko przeciągnął pazurem po rzeźbionym podłokietniku krzesła... jak niegdyś przeciągał po mojej skórze. Uśmiechnął się, jakby dokładnie wiedział, jakie wspomnienie to wywołuje, po czym

zwrócił się do mojego towarzysza:

– Jeśli nie wykradłbyś mojej narzeczonej w środku nocy, Rhysandzie, nie byłbym zmuszony przedsięwziąć tak drastycznych kroków, by ją odzyskać.

– Kiedy cię opuściłam, słońce stało wysoko na niebie.

Zielone oczy przesunęły się po mnie szkliste i obce. Wydał z siebie niskie prychnięcie i odwrócił wzrok.

Zbył mnie.

– Dlaczego tu jesteś, Tamlinie? – spytał zwięźle Kallias.

Pazur Tamlina wbił się głęboko w drewno, choć jego głos pozostał spokojny. Nie miałam wątpliwości, że ten gest był również przeznaczony dla mnie.

– Wymieniłem dostęp do moich ziem za pomoc w odzyskaniu kobiety, którą kocham, z rąk sadysty, który uwielbia bawić się umysłami jak zabawkami. Zamierzałem przeciwstawić się Hybernii... Znaleźć sposób na wykręcenie się z tego układu, kiedy tylko ją odzyskam. Niestety Rhysand i jego klika zmienili ją w jedną z nich. A ona nie omieszkała rozedrzeć moich ziem, pozostawiając je na pastwę inwazji Hybernijczyków. Wszystko z powodu małostkowej urazy... jej własnej albo jej... pana.

– Nie uda ci się przekreślić faktów – odezwałam się cichym, lecz silnym głosem. – Nie uda ci się obrócić tego na własną korzyść.

Tamlin tylko przechylił głowę i spojrzał na Rhysa.

– Kiedy ją pieprzysz, zauważyłeś ten cichy jęk, który z siebie wydaje tuż przed szczytowaniem?

Policzki mi zapłonęły. To nie była otwarta bitwa, tylko spokojne, uważne niszczenie mojej godności i wiarygodności. Beron promieniał zachwycony, podczas gdy Eris uważnie obserwował.

Rhys obrócił głowę, obrzucając mnie spojrzeniem od stóp do głów. Potem przeniósł wzrok z powrotem na Tamlina. Za chwilę rozpęta się burza.

Jednak to Azriel odezwał się pierwszy, głosem lodowatym jak sama śmierć.

– Uważaj, jak wyrażasz się o mojej księżnej.

W oczach Tamlina błysnęło zaskoczenie... po czym szybko

zniknęło. Zniknęło połknięte przez czystą furję, kiedy zrozumiał znaczenie tatuażu pokrywającego moją rękę.

– Nie wystarczyło ci zasiadanie przy moim boku? – Jego usta wykrzywił nienawistny uśmiech. – Kiedyś spytałaś, czy będziesz moją księżną, a kiedy odpowiedziałem, że nie... – Zaśmiał się gardłowo. – Może jednak cię nie doceniłem. Po co miałabyś służyć na moim dworze, skoro możesz rządzić na jego?

Tamlin zwrócił się wreszcie do pozostałych książąt i ich świt.

– Snują opowieści o bronieniu naszych ziem i pokoju. A jednak to *ona* przyszła na moje ziemie i porzuciła je na pastwę Hybernii. Zabrała moją wysoką kapłankę i wypaczyła jej umysł... po tym jak umyślnie potrząsała jej kości. Jeśli zastanawiacie się, co się stało z ludzką dziewczyną, która poszła pod Górę, by nas ratować... Spójrzcie, kto siedzi obok niej. Zapytajcie, co on zyska... co oni zyskają na tej wojnie lub jej braku. Czy pójdziemy na wojnę tylko po to, by znaleźć się potem pod władaniem króla i królowej Prythianu? Pokazała już wszystkim swoje ambicje... a wcześniej już widzieliście, jak on całkiem chętnie służył Amarancie, by ratować swoją skórę.

Sporo mnie kosztowało, by nie warknąć, nie zacisnąć dłoni na oparciach krzesła i nie ryknąć na niego.

Rhys jednak tylko zaśmiał się ponuro.

– Świetne przedstawienie, Tamlinie. Uczysz się.

Twarz księcia Dworu Wiosny wykrzywiła się pogardliwie. Ale zwrócił się jeszcze do Kalliasa:

– Pytasz, co tu robisz? Mógłbym zapytać o to samo ciebie. – Wskazał brodą księcia Dworu Zimy i Viviane oraz pozostałych członków jego świty, którzy siedzieli w milczeniu. – Naprawdę możesz mi szczerze powiedzieć, że po tym, co działo się pod Górą, jesteś w stanie współpracować z nim? – Wskazał palcem Rhysanda.

Miałam ochotę wyrwać mu ten palec prosto z dłoni. I nakarmić nim czerwia middengardzkiego.

Srebrzysty blask otaczający Kalliasa przygasł. Nawet Viviane stała się jakby mniej promienna.

– Przybyliśmy, by ocenić to sami – odparła.

Mor wpatrywała się w swoją przyjaciółkę z niemym pytaniem. Viviane po raz pierwszy, odkąd przybyliśmy, nie podniosła na nią oczu. Tylko na swojego towarzysza.

– Nie miałem z tym nic wspólnego. Zupełnie nic – powiedział łagodnie Rhys do wszystkich i nikogo zarazem.

Oczy Kalliasa zapłonęły błękitnym płomieniem.

– Stałeś obok jej tronu, kiedy wydawała ten rozkaz.

Patrzyłam ze ściśniętym żołądkiem, jak złocista skóra Rhysa pobladła.

– Próbowałem ją powstrzymać.

– Powiedz to rodzicom tych dwóch tuzinów młodych, które wyrznęła – rzucił Kallias. – *Że próbowałeś.*

Zapomniałam. Zapomniałam już szczegóły obrzydliwej historii Amaranthy. To wydarzyło się, kiedy wciąż byłam na Dworze Wiosny... Dowiedzieliśmy się tego z raportu, który zdołał przemycić jeden z kontaktów Luciena na Dworze Zimy.

O dwóch tuzinach dzieci zabitych przez „plagę”. Przez Amaranthę.

Rhys zacisnął usta.

– Każdego dnia mam to w pamięci – odrzekł Kalliasowi i Viviane. I towarzyszącym im fae. – Każdego dnia.

Nie wiedziałam o tym nawet.

Powiedział mi kiedyś, wiele miesięcy temu, że są wspomnienia, którymi nie jest w stanie się podzielić... nawet ze mną. Założyłam, że chodzi o rzeczy, które Amarantha robiła jemu. Nie o to... czego musiał być świadkiem. Co musiał przeżywać skuty i uwięziony.

Stojący bezradnie, na smyczy Amaranthy, kiedy ona rozkazywała zabić te dzieci...

– Pamięć – powiedział Kallias – nie przywróci im jednak życia, prawda?

– Nie – odparł Rhys. – Nie, nie przywróci. I dlatego będę z całych sił walczył, by nic takiego nie wydarzyło się ponownie.

Viviane przesunęła wzrok pomiędzy swoim mężem a Rhysem.

– Nie było mnie pod Górą, ale chciałabym usłyszeć, jak próbowałeś ją powstrzymać.

Na jej twarzy malował się ból. Ona również nie zdołała tego powstrzymać, strzegąc swego małego skrawka ziemi.

Rhys milczał.

– W końcu nie masz nic do powiedzenia, Rhysandzie? – parsknął Beron.

Położyłam dłoń na jego ramieniu. Nie miałam wątpliwości, że Tamlin to zauważył. I było mi to obojętne.

– Ja ci wierzę – powiedziałam do mojego towarzysza, nie próbując nawet mówić przyciszonym głosem.

– Mówi kobieta – zadrwił Beron – która wydała niewinną dziewczynę zamiast siebie... na pastwę Amaranthy.

Nie dopuściłam do siebie tych słów. Wspomnień Klary.

Rhys przełknął ślinę. Zacisnęłam mocniej dłoń na jego ramieniu. Kiedy zwrócił się do Kalliasa, mówił zachrypniętym głosem.

– Kiedy twój lud się zbuntował...

Zrobili tak, pamiętam. Zima zbuntowała się przeciwko Amarancie. A te dzieci – to była retrybucja. Jej kara za wypowiedzenie nieposłuszeństwa.

– ...była wściekła – ciągnął Rhys. – Pragnęła, byś to ty zginął, Kalliasie. – Twarz Viviane pobladła śmiertelnie. – Ja... przekonałem ją, że miałyby to niewielki sens.

– Kto by pomyślał – zakpił Beron – że kutas może być tak przekonujący?

– Ojciec – głos Erisa brzmiał ostrzegawczo.

Dostrzegł wbite w ojca spojrzenia Kasjana, Azriela, Mor i moje. Żadne z nas się nie uśmiechało.

Być może Eris zostanie księciem wcześniej, niż zamierzał.

Rhys zwrócił się ponownie do Kalliasa:

– Wycofała się z pomysłu zabijania ciebie. Twoi rebelianci nie żyli... przekonałem ją, że to wystarczy. Myślałem, że na tym sprawa się skończy. – Oddech nieznacznie mu przyśpieszył. – Dowiedziałem się o wszystkim w tej samej chwili co ty. Myślę, że wzięła moją obronę twojego życia za znak ostrzegawczy... nic mi więcej o tym nie powiedziała. Do tego trzymała mnie w zamknięciu. Próbowałem włamać się do umysłów żołnierzy, których posłała, ale tama, którą



nałożyła na moją moc, była za silna, by utrzymać jakąkolwiek kontrolę... a klamka już zapadła. Ona... posłała z nimi daemati. Żeby... – Głos mu zadrżał. – Umysły tych dzieci... zostały zniszczone. – Rhys ponownie przełknął z trudem. – Myślę, że chciała, byś mnie podejrzewał. By mieć pewność, że nie zjednoczymy się przeciwko niej.

Co on musiał zobaczyć w umysłach tych żołnierzy...?

– Gdzie cię zamknęła? – pytanie padło z ust Viviane, która ciasno obejmowała się ramionami.

Nie byłam do końca gotowa na odpowiedź Rhysa.

– W swojej sypialni.

Moi przyjaciele nie kryli wściekłości, rozżalenia szczegółami, które ukrywał nawet przede mną.

– Opowieści i słowa – rzucił Tamlin, rozwalając się na krześle. – Masz jakieś dowody?

– Dowody!?! – warknął Kasjan, unosząc się z krzesła; jego skrzydła już zaczęły się rozchyłać.

– Nie – odparł Rhys, podczas gdy Mor zablokowała Kasjana ramieniem, zmuszając go do powrotu na miejsce. – Ale przysięgam, że tak było... na życie mojej towarzyszki – dodał, kładąc swoją dłoń na mojej.

Po raz pierwszy, odkąd pamiętałam, dłoń Rhysa była wilgotna. Sięgnęłam wzdłuż więzi, podczas gdy Rhys i Kallias mierzyli się wzrokiem. Nie użyłam słów, tylko siebie... tylko swojej duszy, którą przytulałam się do górujących ścian z czarnego adamantu.

On wiedział, ile będzie go kosztowało przybycie tu w takiej, a nie innej postaci. Co jeszcze będzie musiał wyjawić, poza skrzydłami, które tak kochał.

Tamlin przewrócił oczami. Musiałam użyć całej siły woli, żeby się na niego nie rzucić... i nie wydrapać mu ich.

Jednak Kallias musiał wyczytać coś w twarzy Rhysa, gdyż wbił wzrok w Tamlina i spytał ponownie:

– *Dlaczego tu jesteś, Tamlinie?*

Na szczęście księcia Wiosny drgnął mięsień.

– Jestem tu, by pomóc wam w walce przeciwko Hybernii.

– Gówno prawda – wymamrotał Kasjan.

Tamlin spiorunował go wzrokiem. Kasjan zwinął tylko ciasno skrzydła i odchylił się na krześle, odpowiadając mu krzywym uśmiechem.

– Wybacz nam – przerwał łagodnie Thesan – jeśli mamy pewne wątpliwości. I nie bardzo chcemy dzielić się z tobą jakimikolwiek planami.

– Nawet jeśli mam informacje o ruchach Hybernijczyków?

Zapadła cisza. Siedzący naprzeciwko Tarquin milczał i obserwował... może dlatego, że był z nich wszystkich najmłodszy albo też uznał, że ma interes w tym, by pozwolić innym walczyć między sobą.

Tamlin uśmiechnął się do mnie.

– Jak myślisz, dlaczego zaprosiłem ich do mojego domu, na moje ziemie? – Na te słowa Tamlina Rhys wydał z siebie warkot i poczułam, jak cały się jeży. – Kiedyś powiedziałem ci, że będę walczył przeciwko tyranii, przeciwko każdemu rodzajowi zła. Myślisz, że ty wystarczyłaś, by zawrócić mnie z tej ścieżki? – Kły Tamlina załśniły jak polerowana kość. – Tak łatwo było ci nazwać mnie potworem po tym wszystkim, co zrobiłem dla ciebie i twojej rodziny. – Wykrzywił twarz pogardliwie w kierunku Nesty, która w odpowiedzi zmarszczyła brwi z niesmakiem. – A ty, choć widziałaś wszystko, co zrobił pod Górą, nadal rozłożyłaś przed nim nogi. Cóż, myślę, że pasujecie do siebie. On był dziwką Amaranthy przez dziesięciolecie. Dlaczego ty nie miałabyś być teraz jego dziwką?

– Uważaj na słowa – wycedziła Mor.

Miałam trudności z przełknięciem śliny, a nawet z zaczerpnięciem oddechu.

Tamlin całkowicie ją zignorował i machnął leniwie dłonią w kierunku Rhysa.

– Czasem zapominam... kim jesteś. Czy teraz wreszcie maski opadły, czy to kolejna szarada?

– Zaczynasz robić się nudny, Tamlinie – odezwał się Helion, wspierając twarz na dłoni. – Zabierz swoje wynurzenia zdradzonego kochanka gdzie indziej i wróćmy do omawiania wojny.

– No, ty na pewno będziesz aż zbyt chętny na kolejną wojnę, biorąc pod uwagę, jak dobrze wyszedłeś na poprzedniej.

– Nikt nie powiedział, że wojna nie może przynosić korzyści – odparował Helion.

Usta Tamlina wykrzywiły się w grymasie, który sprawił, że przez głowę przebiegła mi myśl, czy aby najpierw nie udał się do Heliona, by rozerwać mój układ z Rhysem... a ten mu odmówił.

– Dość tego – przerwał mocno już zniecierpliwiony Kallias. – Mamy swoje własne zdanie w kwestii sposobu walki z Hybernią. – Utkwił swoje lodowate spojrzenie w Tamlinie. – Jesteś tu jako sojusznik Hyberнії czy może Prythianu? – Przez jego lodowatą i kamienną twarz przemknął szydery wyraz.

– Jestem przeciwnikiem Hyberнії.

– Udowodnij to – judził Helion.

Tamlin podniósł dłoń i na stoliku obok jego krzesła pojawił się stos papierów.

– Rejestry armii, wykazy amunicji, zapasy zguby fae. Wszystko pieczołowicie gromadzone przez kilka ostatnich miesięcy.

Wszystko to skierowane do mnie, ale nie pozwoliłam sobie opuścić głowy nawet o cal. Plecy mnie bolały od siedzenia tak sztywno, czułam to już w mięśniach po obu stronach kręgosłupa.

– Wszystko to bardzo szlachetne – ciągnął Helion – ale skąd mamy wiedzieć, że te informacje są w ogóle prawdziwe... albo czy nie jesteś agentem Hyberнії wysłanym tu specjalnie, by nas zwieść?

– A kto powiedział, że Rhysand i jego sitwa nie są agentami Hyberнії, a całe to zamieszanie jest tylko po to, byście zgodzili się na ich warunki bez szemrania?

– Chyba masz coś z głową – mruknęła Nesta, a Mor rzuciła jej spojrzenie mówiące, że owszem, na pewno ma.

– Jeśli mamy się zjednoczyć przeciwko Hyberнії – zauważył Thesan – to świetnie ci idzie przekonywanie nas, byśmy tego nie robili, Tamlinie.

– Po prostu ostrzegam was, że mogą wiele mówić o przyjaźni i szczerości, ale nie zmienia to faktu, że to on grzał łóżko Amaranthy przez pięćdziesiąt lat, a zaczął działać przeciwko niej, dopiero kiedy

wyglądało na to, że sytuacja obraca się na jej niekorzyść. Ostrzegam, że choć twierdzi, że jego miasto zostało zaatakowane przez Hybernię, świetnie sobie z nimi poradzi... zupełnie jakby wiedzieli, czego oczekiwać. Nie myślcie, że nie poświęciłby kilku budynków i pomniejszych fae, by przywabić was do tej koalicji, do myślenia, że macie wspólnego wroga. Dlaczego tylko Dwór Nocy wiedział o ataku na Adriatę... i jako jedyny przybył, by ich bohatercko ocalić?

– Dowiedzieli się – wtrącił chłodno Varian – ponieważ ja im wysłałem ostrzeżenie.

Tarquin odwrócił głowę w stronę kuzyna, unosząc w zaskoczeniu brwi.

– Może ty również z nimi współpracujesz – zwrócił się Tamlin do księcia Adriaty. – W końcu jesteś następny w kolejce do tronu.

– Jesteś szalony – wyszeptałam do Tamlina, podczas gdy Varian tylko obnażył zęby. – Czy ty słyszysz sam siebie? – Wskazałam Nestę. – Hybernijczycy przemienili moje siostry w fae, ponieważ twoja dziwka kapłanka je sprzedała!

– Być może umysł Ianthy był już zniewolony przez Rhysanda. I cóż to za tragedia, pozostać na zawsze młodą i piękną. Dobra z ciebie aktorka... na pewno to u was rodzinne.

Nesta zaśmiała się szyderczo.

– Jeśli szukasz kogoś do obwiniania za wszystko, co się wydarzyło – powiedziała – spójrz najpierw w lustro.

Tamlin zawarczał na nią.

– Uważaj – odwarknął Kasjan.

Tamlin powiódł wzrokiem między moją siostrą a Kasjanem... nieco dłużej zatrzymując się na jego zwiniętych na plecach skrzydłach. Prychnął.

– Widać, że osobliwe gusta również są rodzinne u Archeronów.

Moja moc zaczęła buzować... potężny potwór budzący się powoli i przeciągający po uśpieniu.

– Czego chcesz? – syknęłam. – Przepraszam? Żeby przyczołgała się z powrotem do twojego łóżka i bawiła się w uległą żonkę?

– Dlaczego miałbym chcieć cię z powrotem zbrukaną? – rzekł,

a mnie zapłonęły policzki. – W momencie, kiedy pozwoliłaś mi parzyć się z tobą jak jakieś zwie...

W jednej chwili z jego – obramowanych wielkimi kłami – ust bluzgały obrzydliwe słowa. W drugiej wszystko ucichło.

Tamlin po prostu przestał wydawać z siebie jakiegokolwiek dźwięki. Zamknął usta, otworzył je znowu i spróbował. Ani dźwięku, ani warkotu, nic.

Na twarzy Rhysanda nie było śladu uśmiechu, ani śladu tego niestosownego rozbawienia. Wsparł tylko głowę o oparcie krzesła.

– Pasuje ci wyraz pyszczka złotej rybki, Tamlinie.

Pozostali, którzy przyglądali się wszystkiemu z niesmakiem lub rozbawieniem, a nawet znudzeniem, teraz spojrzeli na mojego towarzysza. W ich oczach pojawił się cień strachu, kiedy zorientowali się, kto i co siedziało pomiędzy nimi. Krajan, a jednocześnie nie.

Tamlin był księciem równie potężnym jak każdy z nich.

Oprócz tego jednego siedzącego obok mnie. Rhys różnił się od pozostałych, jak fae różnią się od ludzi.

Czasem zapominali... jak głęboko sięgała jego moc. Jakiego rodzaju była to moc. Jednak kiedy Rhysand odebrał Tamlinowi możliwość mówienia... przypomnieli sobie.

## Rozdział 45

Tylko moi przyjaciele nie wyglądali na zaskoczonych.

Oczy Tamlina zapłonęły zielonym płomieniem, zaczęły wirować w nich złote drobinki, kiedy jego magia starała się wyrwać spod kontroli Rhysanda. Kiedy raz po raz próbował coś powiedzieć.

– Jeśli chcesz dowodu, że nie współpracujemy z Hybernią, zważ na to, że znacznie mniej zachodu kosztowałoby mnie włamanie się do twojego umysłu i przymuszenie cię do zrobienia dokładnie tego, czego chcę.

Tylko Beron był na tyle głupi, żeby prychnąć szyderczo. Eris przechylił się na krześle... by chronić swoją matkę.

– A jednak jestem tu – ciągnął Rhysand, nie poświęcając Beronowi nawet jednego spojrzenia. – Jesteśmy tu wszyscy.

Zapadła kompletna cisza.

Wtedy dotąd milczący i tylko przyglądający się wszystkiemu Tarquin odchrząknął.

Czekałam na tę chwilę... na cios, który zapewne nas pogrąży. Byliśmy w końcu złodziejami, którzy go oszukali. Przybyliśmy do jego domu rzekomo w pokojowych zamiarach i okradliśmy go. Do tego włamaliśmy się do ich umysłów, żeby zapewnić powodzenie swoim zamierzeniom.

Zwrócił się do mnie i Rhysanda:

– Pomimo samowolnego ostrzeżenia Variana... – Spiorunował wzrokiem kuzyna, który wcale nie sprawiał wrażenia skruszzonego. – Byliście jedynymi, którzy przyszli nam z pomocą. Jedynymi. A jednak nie chcieliście niczego w zamian. Dlaczego?

– Czy nie tak postępują przyjaciele? – Głos Rhysa brzmiał nieco chropawo.

Subtelna gałązka oliwna.

Tarquin przyjrzał mu się. Potem mnie. Wreszcie pozostałym.

– Unieważniam krwawe rubiny. Niech nie będzie więcej długów

między nami.

– Nie licz na to, że Amrena zwróci swój – mruknął Kasjan. – Przywiązała się do niego.

Przysięgłabym, że na ustach Variana zadrżał uśmiech.

Rhys zwrócił się w tym momencie do Tamlina, którego usta pozostały zamknięte. Jego oczy wciąż płonęły gniewem.

– Wierzę ci – zwrócił się do niego. – Wierzę, że będziesz walczył za Prythian.

Kallias nie sprawiał wrażenia przekonanego. Helion również.

Z gardła księcia Wiosny wydarł się warkot; stało się jasne, że Rhys uwolnił jego głos. Jednak Tamlin nie rzucił się do ataku, nawet nie przemówił.

– Wisi nad nami wojna – rzekł Rhysand. – Nie chcę marnować energii na kłótnie.

Okazywał swoją wielkość. Ta powściągliwość, dobór słów... Pieczołowicie przygotowany obraz rozsądku i potęgi. Ale Rhysand... Wiedziałam, że naprawdę myśli to, co powiedział. Nawet jeśli Tamlin miał swój udział w zabiciu jego rodziny, nawet jeśli odegrał swoją rolę na Hybernii... Dla dobra naszego domu, dla Prythianu, Rhys gotów był odłożyć waśnie. Poświęcenie, które nie zrani nikogo i niczego, poza jego własną duszą.

– Może i ty mu wierzysz, Rhysandzie – wtrącił się Beron – ale jako jego sąsiad nie dam się tak łatwo przekonać. – Skrzywił się. – Może mój marnotrawny syn będzie w stanie rzucić na to nieco światła. Gdzie on właściwie jest?

Nawet Tamlin spojrzał teraz na nas... na mnie.

– Pomaga w utrzymaniu pieczy nad miastem – odparłam krótko.

Nie było to do końca kłamstwo.

Eris prychnął i obrzucił wzrokiem Nestę, która śmiało patrzyła mu prosto w oczy.

– Szkoda, że nie zabrałaś swojej drugiej siostry. Słyszałem, że towarzyszka naszego brata jest niezłą ślicznotką.

Jeśli oni wiedzieli, że Elaina była towarzyszką Luciena... Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że była to kolejna droga, kolejny sposób, by uderzyć w swojego najmłodszego brata, którego

nienawidzili tak strasznie. Tak bezpodstawnie. W ustach mi zaschło.

– Jak widać, nadal kochasz brzmienie własnego głosu, Erisie – odparowała bez zająknięcia Mor. – W sumie dobrze wiedzieć, że przez stulecia pewne rzeczy się nie zmieniają.

Usta Erisa wykrzywił kpiący uśmiezek. Cały czas starannie odgrywał przedstawienie, udając, że nie widzieli się od dawna.

– Dobrze wiedzieć, że wciąż ubierasz się jak dziwka.

W jednej chwili Azriel siedział na swoim miejscu, a w kolejnej uderzał w Erisa falą mocy ze swojego syfonu i rzucał się na niego. Obaj padli na podłogę w chmurze drzazg.

– Cholera – zaklął Kasjan i natychmiast znalazł się przy nich...

Tylko po to, by zderzyć się ze ścianą błękitu.

Azriel zamknął ich za barierą, podczas gdy jego pokryte bliznami ręce zacisnęły się na szyi Erisa.

– Dostyc – powiedział krótko Rhys.

Azriel ścisnął mocniej, Eris zaczął się wić. Nie była to przemoc fizyczna – tego zabraniały zasady spotkania. Jednak Azriel dzięki mocy, jaką dawały mu jego cienie...

– *Powiedziałem dostyc*, Azrielu – nakazał Rhys.

Być może te same cienie, które teraz wiły się i tańczyły wokół Ilyra, ukrywały go przed gniewem magii przysięgi. Inni, jakby zastanawiając się nad tym samym, nawet nie próbowali interweniować.

Azriel wbił kolano w brzuch Erisa i napał całym swoim ciężarem. W całkowitym milczeniu wypychał z Erisa oddech. Płomienie Berona odbijały się raz po raz od błękitnej tarczy, po czym skwierczały i gasły w wodzie. Nieliczne, którym udało się przedrzeć, zniknęły pożarte przez cienie.

– Odwołaj swojego przerośniętego nietoperza – nakazał Beron Rhysowi.

Ten zaś chyba świetnie się bawił, gdyż mógł zakończyć to przedstawienie już chwilę temu. Jakby na potwierdzenie tego rzucił mi wymowne spojrzenie, w którym było... zaproszenie. Wstałam, sama będąc zaskoczona pewnością swoich nóg.

Poczułam, jak wszyscy zamierają. Tamlin wbijał we mnie wzrok



niczym rozżarzone żelazo, kiedy podchodziłam do pieśniarza cieni, szeleszcząc po posadzce migotliwą suknią. Położyłam dłoń na twardej niemal nieprzejrzywej barierze.

– Chodź, Azrielu – powiedziałam.

Azriel ustąpił.

Eris łapczywie łapał powietrze, kiedy poblížnione dłonie poluźniły ucisk na jego krtani. Kiedy jednak Ilyr odwrócił się ku mnie, malująca się w jego oczach furia niemal odebrała mi oddech.

Jednak pod nią widziałam obrazy, które go prześladowały: dłoń, którą odepchnęła Mor; jej płacz; przerażoną twarz, gdy krzyczała na Rhysa.

A teraz za nami Mor drżała w swoim krześle. Była śmiertelnie blada i dygotała.

– Chodź, usiądź przy mnie. – Podałam Azrielowi rękę.

Nesta przesunęła się już na bok i puste krzesło pojawiło się obok mojego.

Nie pozwoliłam, by dłoń mi zadrżała, kiedy trzymałam ją wyciągniętą. I czekałam.

Wzrok Azriela spoczął z powrotem na Erisie, który ciężko dyszał pod nim. Ilyr nachylił się jeszcze i wyszeptał Beronowemu synowi coś do ucha, na co tamten poblądł jeszcze bardziej. Jednak bariera opadła. Cienie ustąpiły miejsca światłu słońca.

Beron uderzył... tylko po to, by jego płomień odbił się od twardej powierzchni mojej tarczy. Podniosłam na niego wzrok.

– Już drugi raz dostajecie od nas w dupę. Naprawdę wydawałoby się, że będziecie mieli dość upokorzeń.

Helion roześmiał się, ale ja skupiłam się na Azrielu, który ujął podaną mu dłoń i wstał. Jego blizny były szorstkie w dotyku, ale skóra wydawała się zimna jak lód. Absolutnie lodowata.

Mor otworzyła usta, by coś do niego powiedzieć, ale Kasjan położył dłoń na jej nagim kolanie i pokręcił głową. Poprowadziłam pieśniarza cieni do wolnego krzesła... po czym podeszłam do jednego ze stołów, by nalać sobie puchar wina.

Nikt się nie odezwał, póki nie podałam Ilyrowi napoju i nie usiadłam.

– To moja rodzina – skwitowałam brwi uniesione w zdziwieniu, że mu usłużyłam.

Tamlin tylko pokręcił głową z odrazą, ale schował wreszcie pazur. Spojrzałam w twarz wciąż kipiącego gniewem Erisa.

– Wszystko mi jedno, czy jesteśmy sojusznikami w tej wojnie; jeśli będziesz znieważał moich przyjaciół, następnym razem go nie powstrzymam – poinformowałam go głosem równie lodowatym jak wyraz twarzy Azriela.

Tylko Eris wiedział, jak daleko szła nasza współpraca... Wiedza, która – jeśli zostałaaby wyjawiona – mogła pogrzyźć to spotkanie. Nie mówiąc o tym, że jego ojciec zmiotłby go natychmiast z powierzchni ziemi.

Mor wpatrywała się usilnie w Azriela, który odmawiał spojrzenia na nią, odmawiał zrobienia czegokolwiek oprócz mordowania wzrokiem Erisa. Ten zaś mądrze odwrócił wzrok.

– Przepraszam, Morrigan – powiedział.

Beron spojrzał na niego ze zdziwieniem. Ale coś na kształt aprobaty przemknęło przez twarz jego żony, gdy jej najstarszy syn zajął z powrotem swoje miejsce.

Thesan rozmasował skronie.

– To nie wróży najlepiej.

Jednak Helion rzucił swojej świcie ironiczny uśmieszek i założył nogę na nogę, wspierając na kolanie kostkę drugiej nogi i ukazując wszystkim potężne, gładkie uda.

– Wygląda na to, że jesteście mi winni dziesięć sztuk złota.

Jak widać, nie tylko my robiliśmy zakłady. Nawet jeśli nikt z orszaku Heliona nie odwzajemnił jego kpiącego uśmiechu.

Helion machnął ręką. Stos papierów Tamlina ułożył się równo i popłynął w jego stronę na widmowym wietrze. Strzelił palcami... poznaczonymi drobnymi bliznami od walki mieczem... i przed każdym krzesłem w pomieszczeniu pojawił się identyczny stos.

– Kopie – powiadomił, nie podnosząc wzroku znad przeglądanych papierów.

Przydatna sztuczka... dla kogoś, czyjego skarbem nie było złoto, ale wiedza.

Nikt inny nie sięgnął nawet po swoją kopię.

Helion mlasnął głośno.

– Jeśli to wszystko jest prawdą – stwierdził, a Tamlin warknął, słysząc jego wyniosły ton – sugeruję dwie rzeczy: najpierw zniszczyć zapasy zguby fae. Niedługo wytrzymamy, jeśli potrafią wykorzystać ją w każdej właściwie broni. Warto podjąć ryzyko, by to zrobić.

– W jaki niby sposób? – zapytał Kallias, unosząc brew.

– My się tym zajmiemy – zaoferował Tarquin. – Po Adriacie mamy rachunki do wyrównania.

Varian pokiwał głową.

– Nie ma takiej potrzeby – odezwał się Thesan.

Wszyscy zamrugali zdziwieni. Nawet Tamlin. Księżę Dworu Świtu tylko złożył dłonie na kolanach.

– Jedna z moich zdolniejszych wynalazców czekała tu już kilka godzin. Chciałbym, by teraz do nas dołączyła.

Zanim ktokolwiek zdołał coś powiedzieć, kobieta fae wysokiego rodu pojawiła się na skraju kręgu. Ukłoniła się tak prędko, że zdołałam zarejestrować niewiele ponad jasnobrązową skórę i długie czarne włosy. Strój miała podobny do tego, który nosił Thesan, ale jej tunika rozpięta była na piersi, a rękawy podwinięte do łokci. A jej ręka... odgadłam, kim była, zanim się wyprostowała. Jej prawa ręka była mechaniczna... wykonana ze złota. Podobnie jak oko Luciena. W powietrzu rozległ się cichy klekot i terkotanie mechanizmu, przyciągając wzrok każdego z zebranych, kiedy stanęła przed swym księciem. Thesan uśmiechnął się do niej na powitanie.

Jednak jej twarz... Przeszło mi przez myśl, czy aby Amrena nie ukształtowała swoich rysów na podobieństwo jej rodziny, kiedy przyjmowała ciało fae: ostry podbródek, zaokrąglone policzki i niesamowicie lekko skośne oczy. Jednak podczas gdy oczy Amreny były w nieludzko srebrnym odcieniu, jej były czarne jak onyks. I bardzo żywe. Doskonale wiedziała, że wszyscy patrzymy na jej rękę.

– Mój panie – zwróciła się do Thesana.

Księżę Świtu wskazał na stojącą przed nim kobietę i zwrócił się do

zgrupowanych:

– Nuana jest jedną z najbardziej uzdolnionych rzemieślniczek na moich ziemiach.

Rhys odchylił się na krześle i uniósł brwi, rozpoznając imię. Wskazał ruchem głowy Berona i Erisa.

– Możecie ją kojarzyć jako osobę, która przywróciła twojemu... marnotrawnemu synowi możliwość widzenia na lewe oko, po tym jak Amarantha go tego pozbawiła.

Nuana skinęła głową twierdząco. Zaciśnęła usta w wąską linię, obrzucając spojrzeniem rodzinę Luciena. Na Tamlina nawet nie spojrzała... a on również udawał, że jej nie widzi, niezależnie od łączącej ich przeszłości i wspólnego przyjaciela.

– Ale co to ma wspólnego ze zgubą fae? – chciał się dowiedzieć Helion.

Ton władcy Dworu Dnia sprawił, że ukochany Thesana aż się zjeżył, lecz jedno spojrzenie jego księcia sprawiło, że się rozluźnił.

Nuana obróciła się, jej czarne włosy opadły na ramię. Długo przyglądała się Helionowi. I nie wyglądało na to, by zrobił na niej wrażenie.

– Ponieważ znalazłam rozwiązanie tego problemu.

Thesan skinął dłonią i rzekł:

– Słyszeliśmy pogłoski o użyciu w tej wojnie zguby fae... że została użyta podczas ataku na twoje miasto, Rhysandzie. Pomyśleliśmy, że należałoby się przyjrzeć temu bliżej, zanim stanie się naszą słabością... śmiertelną słabością. – Skinął głową Nuanie. – Poza tym, że jest niezrównana w tworzeniu skomplikowanych mechanizmów, jest też zapaloną alchemiczką.

Nuana skrzyżowała ramiona. Promienie słońca odbijały się od jej metalowej dłoni.

– Dzięki próbkom pozyskanym w czasie ataku na Velaris byłam w stanie uzyskać... można powiedzieć, że rodzaj antidotum.

– W jaki sposób je pozyskaliście? – zapytał Kasjan.

Na policzkach Nuany wykwitł rumieniec.

– Ja... znając historię, założyłam, że Lucien Vanserra tam właśnie się uda po... tym, co się wydarzyło.

Wciąż nie patrzyła na Tamlina, który siedział milcząco i naburmuszony.

– Udało mi się z nim skontaktować kilka dni temu... więc poprosiłam go, by przysłał mi próbki. Zgodził się... i nie przyznał ci się – dodała szybko w stronę Rhysanda – ponieważ nie chciał robić wam nadziei. Dopóki nie znajdę rozwiązania.

Nic dziwnego, że tak chętnie wyruszył w miasto tamtego dnia, kiedy pomagał nam w poszukiwaniach. Rzuciłam okiem na Rhysa.

„Wygląda na to, że Lucien wciąż potrafi zmienić się w szczwanego lisa”.

Rhys nie odwzajemnił spojrzenia, ale kąciki jego ust zadrgały, kiedy przez więź odpowiedział:

„W rzeczy samej”.

– Matka dostarczyła nam wszystkiego, czego moglibyśmy na tym świecie potrzebować – ciągnęła dalej Nuana. – Więc tylko kwestią czasu było ustalenie, co takiego dała Prythianowi, by mógł bronić się przed substancją z Hybernii zdolną niwelować nasze moce.

Helion poruszył się niecierpliwie. Połyskująca biała tkanina rozchyliła się na muskularnej piersi.

Thesan zauważył jego ruch i szybko wyjaśnił:

– Nuanie udało się uzyskać proszek, który musi zostać spożyty z jedzeniem czy z pićm. Daje on odporność na zgubę fae. W tej chwili pracownicy w trzech z moich miast produkują go tyle, ile tylko zdołają, by móc rozdać go zjednoczonej armii.

Nawet Rhys zdawał się pod wrażeniem konspiracji.

„Jestem zaskoczona, że ty nie zdecydowałeś się dziś na wielkie przedstawienie” – posłałam mu przez więź.

„Okrutna, piękna księżna” – wymruczał, a w oczach zabłyśły mu gwiazdy.

– Ale co z przedmiotami wytworzonymi przy użyciu zguby? – spytał Tarquin. – Podczas bitwy mieli rękawice zdolne roztrzaskiwać każdą tarczę. – Wskazał brodą Rhysa. – Tak samo, gdy zaatakowali wasze miasto.

– Przeciwno temu – odparła Nuana – musicie radzić sobie tylko własnym sprytem.

Odwróciła głowę przed taksującym spojrzeniem Tarquina, ten zaś wyprostował się, zdziwiony jej śmiałością.

– Substancja, którą stworzyłam, ochroni tylko was... wasze moce... przed zniwelowaniem przez zgubę. Być może, jeśli otrzymacie ranę zadaną bronią umoczoną w zgubie, substancja w waszych żyłach może zniwelować jego skutki.

Zapadła cisza.

– I mamy ci tak po prostu zaufać – powiedział Beron, patrząc to na Thesana, to na Nuaną. – Z tą... substancją, która mamy spożyć w ciemno.

– Wolisz stawić czoła Hybernijczykom bez swoich mocy? – spytał ostro Thesan. – Moi mistrzowie alchemii i wynalazcy nie są głupcami.

– Nie – odparł Beron, marszcząc brwi. – Ale skąd ona się wzięła? Kim jesteś? – ostatnie pytanie było już skierowane bezpośrednio do Nuany.

– Jestem córką dwojga fae wysokiego rodu z Xianu, którzy przenieśli się tutaj, by dać swoim dzieciom lepsze życie, jeśli koniecznie musisz wiedzieć – odparła kwaśno Nuana.

– Co to w ogóle ma do rzeczy? – dochodził Helion.

Beron wzruszył ramionami.

– Jeśli jej rodzina jest z Xianu... który jak pragnę przypomnieć, walczył po stronie lojalistów... czyim interesom służy?

Oczy Heliona zapłonęły bursztynowo.

– Ja zaś pragnę przypomnieć – wtrącił się Thesan – że moja własna matka pochodziła z Xianu. Jak również spora część mojego dworu. Uważaj na to, co mówisz.

Zanim Beron zdołał wysyczeć jakąkolwiek odpowiedź, Nuana odezwała się do niego pierwsza z wysoko uniesioną głową.

– Jestem dzieckiem Prythianu. Tutaj się urodziłam, na tej samej ziemi co twój synowie.

– Uważaj na ton, dziewczko.

Twarz Berona pociemniała.

– Nie musi na nic uważać – wtrąciłam. – Nie kiedy obrzucasz ją tak idiotycznymi oskarżeniami. – Spojrzałam na alchemiczkę. – Ja

przyjmę twoje antidotum.

Beron przewrócił oczami.

– Ojczy – mitygował go Eris.

– Masz jeszcze coś do dodania? – zapytał syna Beron, unosząc brwi.

Następca tronu Dworu Jesieni nie wzdrygnął się, ale wyglądało na to, że bardzo uważnie dobiera słowa.

– Widziałem, jakie efekty ma zguba fae. – Skinął ku mnie głową. – Naprawdę całkowicie tłumi nasze moce. Jeśli zostanie użyta przeciw nam w wojnie lub poza nią...

– Jeśli tak będzie, stawimy temu czoła. Nie zaryzykuję moich ludzi ani rodziny, by przetestować *teorię*.

– To nie jest teoria – broniła się Nuana, a jej mechaniczna dłoń zaterkotała i zaklekotała, gdy zwinęła ją w pięść. – Nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie dowiodła ponad wszelką wątpliwość, że to działa.

To była dumna i pracowita kobieta.

– Ja też to wezmę – powiedział Eris.

To była... najbardziej przyzwoita rzecz, jaką kiedykolwiek od niego usłyszałam. Nawet Mor zamrugała.

Beron przyglądał się swojemu synowi tak uważnie, że gdzieś głęboko zaczęłam się zastanawiać, czy Eris nie wyrósłby na całkiem porządnego człowieka, gdyby miał innego ojca. Czy może, pod sączoną mu przez stulecia trucizną, wciąż gdzieś taki pozostawał.

Ponieważ Eris... Jak on musiał się czuć, tam – pod Górą?

Jakie gierki rozgrywał... przez co musiał przejść? Uwięziony przez czterdzieści dziewięć lat. Wątpiłam, by chciał ryzykować powtórkę. Nawet jeśli miałyby to postawić go po przeciwnej stronie barykady niż jego ojca... a może raczej właśnie dlatego.

– Nie, nie weźmiesz – skwitował krótko Beron. – Choć jestem pewien, że twoim braciom będzie przykro to słyszeć.

Rzeczywiście, pozostali synowie sprawiali wrażenie rozczarowanych, że pierwszy w kolejce do tronu nie będzie jednak ryzykował życia, wypróbując specyfik Nuany.

– W takim razie nie bierz – powiedział spokojnie Rhys. – Ja wezmę. Jak również cały mój dwór i moje wojska. – Skłonił głową

Nuanie w wyrazie wdzięczności.

Thesan zrobił to samo... dając jej jednocześnie znak, że może odejść. Mistrzynie alchemii i wynalazków ukłoniła się ponownie i wyszła.

– Przynajmniej masz armie, którym możesz je dać – powiedział spokojnie Tamlin, przełamując przedłużającą się ciszę. Posłał uśmiech w moją stronę. – Choć może taki był właśnie plan. Rozproszyc moje siły, żeby samemu móc wkroczyć. Czy po prostu chciałaś, by mój lud cierpiał?

Nieznosny ból zaczął pulsować w mojej prawej skroni.

– Musiałaś wiedzieć, że kiedy podburzysz moje siły przeciwko mnie – ciągnął, a z jego palców znów wysunęły się pazury – pozostawi nas to nas bezbronnych wobec Hybernii.

Nie odpowiedziałam, mimo że zablokowałam dostęp obrazów do mojego umysłu.

– Przygotowałaś grunt pod upadek mojego dworu – rzucił zjadliwym szeptem Tamlin. – I tak się stało. Te wioski, które tak bardzo chciałaś odbudować – teraz zostały po nich tylko popioły.

Na to również zamknęłam umysł. Sam powiedział, że pozostaną nietknięte, że Hybernijczycy mu to *obiecali*...

– Podczas gdy wy produkowaliście tu sobie antidotum i robiliście z siebie zbawców, ja starałam się zebrać do kupy moje siły... odzyskać ich zaufanie i odbudować liczebność. Próbowałam zgromadzić wszystkich na wschodzie, gdzie siły Hybernii jeszcze nie dotarły.

– A więc nie zamierzasz wziąć antidotum – skwitowała sucho Nesta.

Tamlin zignorował ją, choć znów wbił pazury w oparcie krzesła.

Wierzyłam mu jednak... że przemieścił tylu ludzi, ilu zdołał, na wschodnie rubieże swoich ziem. Zamierzał to zrobić, jeszcze zanim odeszłam.

Thesan odchrząknął i zwrócił się do Heliona.

– Powiedziałaś, że po przeanalizowaniu informacji masz dwie sugestie.

Helion wzruszył ramionami. Słońce zatańczyło na złotej nici,



którą haftowana była jego tunika.

– To prawda, choć Tamlin już mnie ubiegł. Trzeba ewakuować Dwór Wiosny. – Spojrzenie jego bursztynowych oczu przeskakiwało między Tarquinem a Beronem. – Z pewnością ich północni sąsiedzi zechcą ich przyjąć.

– Nie mamy środków na takie przedsięwzięcie. – Beron wykrzywił usta.

– Pewnie – zakpiła Viviane. – Bo wszyscy są zajęci polerowaniem klejnotów w twoim skarbcu.

Beron rzucił jej spojrzenie, na które Kallias zeszywniał.

– Żony zostały zaproszone dla towarzystwa, nie żeby zabierały głos.

W szafirowych oczach Viviane pojawiły się błyskawice.

– Jeśli ta wojna nie pójdzie po naszej myśli, będziemy się wykrwawiać razem z wami, więc sądzę, że powinniśmy mieć coś do powiedzenia

– Hybernijczycy zrobią coś o wiele gorszego niż zabicie was – odrzekł Beron chłodno. – Zwłaszcza takim młodym i ładnym jak ty.

Z gardła Kalliasa wydobył się groźny warkot, któremu zawtórowała Mor, aż wody sadzawki wzburzyły się lekko od drgań powietrza.

Beron uśmiechnął się lekko.

– Tylko troje z nas walczyło w poprzedniej wojnie. – Skinął głową w stronę Rhysa i Heliona, którego twarz pociemniała. – Nie jest łatwo zapomnieć, co Hybernijczycy i lojaliści robili w swoich obozach pojmanym kobietom. Co czekało kobiety fae wysokiego rodu, które walczyły po stronie ludzi lub miały rodziny, które to robiły. – Położył dłoń ciężko na zbyt chudym ramieniu żony. – Jej dwie siostry kupiły jej trochę czasu na ucieczkę, gdy siły Hybernii zaskoczyły je na ich ziemiach. Niestety one nie wyszły już z tego obozu.

Helion przyglądał się uważnie Beronowi, wzrok kipiał mu wyrzutem.

Żona księcia Dworu Jesieni wpatrywała się uparcie w sadzawkę. Z jej twarzy odpłynęła ostatnia kropelka krwi. Przez myśl

przemknęli mi Dagdan i Brannagh... razem z ciałami tamtych ludzi. Co im zrobiono przed śmiercią.

– Ja przyjmę twoich ludzi. – Tarquin skierował te ciche słowa do Tamlina. – Niezależnie od tego, jakie są twoje układy z Hybarnią... twój lud jest niewinny. Na moich ziemiach jest dość miejsca. Jeśli trzeba, przyjmiemy ich wszystkich.

Lekkie skinięcie głową było jedynym wyrazem potwierdzenia i wdzięczności ze strony Tamlina.

– A więc dwory pół roku mają stać się grobowcami i hotelami – rzucił Beron – podczas gdy dwory słoneczne pozostaną nienaruszone na północy?

– Hybarnia skupiła swoje ataki na południu – wtrącił Rhys. – Blisko muru... i krain śmiertelników. – Nesta i ja wymieniliśmy na to spojrzenia. – Po co przedzierać się przez nieprzyjazne północne krainy... przez terytoria fae na kontynencie... skoro można zająć południe i użyć go jako bezpośredniej bazy do podboju ludzkich ziem za morzem?

– Sądzisz, że ludzkie armie ułęką przed Hybarnią?

– Królowe nas sprzedały – wtrąciła Nesta i uniosła głowę, jak na dumną emisariuszkę przystało. – W zamian za dar nieśmiertelności ludzkie królowe wpuszczą armie Hybarnii, by pozbyły się jakichkolwiek sił oporu. Równie dobrze mogłyby od razu oddać im władzę. – Nesta spojrzała na mnie i na Rhysa. – Dokąd udadzą się ludzie na naszej wyspie? Nie możemy ewakuować ich na kontynent, a póki mur wciąż stoi... Zresztą wielu i tak może wybrać ryzyko pozostania niż podejmować wyprawę za mur.

– Los ludzi po drugiej stronie muru nie jest naszym problemem – wciął się Beron. – Zwłaszcza skrawka ziemi bez królowej ani armii.

– Jest moim problemem – odrzekłam, a głos, który wydobył się z mojego gardła nie był głosem Feyry łowczyni ani nawet Feyry Wyzwolicielki, ale Feyry, księżnej Dworu Nocy. – W porównaniu z nami ludzie są praktycznie bezbroni.

– To proszę, marnuj swoich żołnierzy na ich obronę – rzucił Beron. – Nie zamierzam wysyłać swoich sił, żeby broniły ruchomości.

Krew zagotowała mi się w żyłach, wzięłam głęboki oddech, by ją ostudzić, by ostudzić magię buzującą na taką zniewagę. Na nic się to zdało, jeśli tak niemożliwe było zjednoczenie ich wszystkich przeciwko Hybernii...

– Jesteś tchórzem – powiedziałam cicho do księcia Jesieni.

Nawet Rhys zeszywniał.

Jednak Beron odpowiedział tylko:

– To samo można powiedzieć o tobie.

Żołądek mi się ścisnął.

– Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

– Nie przede mną, ale może przed rodziną tej dziewczyny... ale oni też nie żyją, prawda? Zostali zarżnięci i spaleni we własnych łóżkach. Zabawne, że teraz chcesz bronić ludzi, podczas gdy przedtem nie miałaś oporów przed poświęceniem ich, by ocalić samą siebie.

Dłonie zaczęły mi się rozgrzewać, kiedy zawirowały w nich dwa bliźniacze słońca. „Spokojnie – wymruczał Rhys. – To tylko marudny stary dziad”.

Ale ja ledwie byłam w stanie cokolwiek zarejestrować w natłoku zalewających mnie obrazów: zmasakrowane ciało Klary przybite do ściany; spalony dom Beddorów czerniący śnieg jak smugi cienia; uśmiech Attora, kiedy włókł mnie przez kamienne sale pod Górą...

– Jak powiedziała moja pani – wycedził leniwie Rhys – nie musi ci się z niczego tłumaczyć.

Beron odchylił się w krześle.

– W takim razie ja również nie muszę wyjaśniać swoich motywacji.

Rhys uniósł brew.

– Pomijając twoją zapierającą dech w piersi hojność, czy dołączysz do naszej koalicji?

– Jeszcze nie zdecydowałem.

Eris posunął się do rzucenia ojcu spojrzenia graniczącego z wyrzutem. Nie wiem, czy naprawdę poczuł się zniesmaczony, czy też obawiał się, jak ta odmowa może wpłynąć na naszą prywatną małą ugodę.

– Mobilizacja armii trwa – powiedział Kasjan. – Nie możesz sobie pozwolić na siedzenie na tyłku i czekanie. Musisz zacząć zwoływać żołnierzy już teraz.

– Nie przyjmuję rozkazów od bękartów dziwek pomniejszych fae.

Serce waliło mi tak szybko, że słyszałam jego dudnienie w każdym zakątku ciała. Czułam, jak pulsuje w moich ramionach, we wnętrznościach. Ale to było niczym w porównaniu ze wściekłością malującą się na twarzy Kasjana... lub lodowatą furią na twarzach Azriela i Rhysa. Nawet z niesmakiem na obliczu Mor.

– Ten bękart – skwitowała Nesta całkowicie chłodno, choć oczy jej płonęły – może być wszystkim, co stanie pomiędzy siłami Hybernii a twoim ludem.

Nawet nie spojrziała na Kasjana, kiedy to mówiła. Ale on wpatrywał się w nią tak... jakby nigdy wcześniej jej nie widział.

Dyskusja mijала się z celem. Przestało mnie interesować, kim oni są czy kim ja jestem.

– Jeśli nie masz zamiaru pomagać, to zabieraj się stąd – wypaliłam Beronowi.

Siedzący u jego boku Eris miał na tyle rozumu, by wyglądać na autentycznie zaniepokojonego. Jednak Beron wciąż ignorował natarczywe spojrzenie najstarszego syna.

– Czy wiedziałaś, że gdy twój towarzysz wygrzewał łożo Amaranthy – wysyczał do mnie – większość z nas była uwięziona pod tą górą?

Nie raczyłam nawet odpowiedzieć.

– Czy wiedziałaś, że kiedy on wsadzał jej głowę między nogi, większość z nas walczyła, by nasze rodziny nie stały się kolejną rozrywką wieczoru?

Staralam się wyprzeć te obrazy. Szaleńcza furia spowodowana wydarzeniami przeszłości, tym, co musiał robić, by odwracać uwagę Amaranthy... tajemnice, które wciąż przede mną skrywał – czy ze wstydu, czy z niechęci do podzielenia się nimi, nie wiedziałam. Kasjan cały dygotał... starając się zachować spokój. Rhys zaś nie powiedział nic.

– Dość tego, Beronie – mruknął Tarquin.

Tarquin, który sam wątpił w poświęcenie Rhysanda i w jego motywację.

Jednak Beron go zignorował.

– A teraz Rhysand chce zgrywać bohatera. Dziwka Amaranthy chce zostać Niszczycielem Hybernii. Ale jeśli sprawy pójdą źle... – Wykrzywił twarz w zimnym okrutnym uśmiechu. – Czy padnie na kolana przed królem, czy tylko rozłoży...

Przestałam słyszeć słowa. Przestałam słyszeć cokolwiek poza biciem własnego serca i własnym oddechem.

Wystrzelił ze mnie ogień. Szalejący biały płomień, który popędził w kierunku Berona jak lanca.

## Rozdział 46

**B**eron ledwie zdołał na czas podnieść tarczę, by mnie zablokować, ale rozbryzg poparzył ramię Erisa – przez warstwy ubrania – i bladą delikatną rękę jego matki.

Pozostali zerwali się na równie nogi, zaczęli krzyczeć, ale ja nie byłam w stanie myśleć, nie słyszałam nic poza słowami Erisa, widziałam tylko obrazy spod Góry, koszmar, w którym Amarantha prowadziła Rhysa korytarzami, co on musiał przetrwać...

„Feyro”.

Wstałam, nie zważając na nic. Posłałam z sadzawki falę wody, która otoczyła krzesło Berona bańką bez dostępu powietrza. Płomienie biły o nią, zmieniając wodę w parę, ale nie dawałam za wygraną.

Zabiję go. Zabiję i szczęśliwie będziemy mieć z nim spokój.

„Feyro”.

Nie potrafiłam powiedzieć, czy Rhys krzyczał to, czy mruczał wydłuż więzi. Może jedno i drugie.

Płomienie Berona ponownie uderzyły w bańkę na tyle mocno, że zaczęły się pojawiać w niej szczeliny syczącej pary.

Obnażyłam więc zęby i posłałam pięść z białego światła, która przeniknęła przez jego ognistą tarczę... białego światła Dnia. Niszczącego zaklęcia. Niszczącego bariery.

Oczy Berona rozszerzyły się, a jego bariera zaczęła się poddawać. Woda naparła mocniej.

Wtedy poczułam dłonie na swojej twarzy, a przed nią pojawiły się fioletowe oczy, spokojne, ale nalegające.

– Udowodniłaś już wagę swojego zdania, kochanie – powiedział Rhys. – Jeśli go zabijesz, to okropny Eris zajmie jego miejsce.

„W takim razie zabiję ich wszystkich”.

– Jakkolwiek jest to ciekawa propozycja – skomentował śpiewnie Rhys – okropnie skomplikuje bieżące sprawy.

Zaś w moim umyśle szepnął:

„Kocham cię. Słowa tej nienawistnej kanalii nie mają znaczenia. On nie ma żadnych radości w życiu. Nic dobrego. My mamy”.

Z powrotem zaczęłam słyszeć odgłosy otoczenia... ściekającą do sadzawki wodę, trzaskanie płomieni, szybkie oddechy otaczających nas osób, przekleństwa Berona wciąż uwięzionego w zmniejszającej się bańce światła i wody.

„Kocham cię” – powtórzył.

Stłumiłam swoją moc.

Płomienie Berona wybuchły jak rozkwitający kwiat... i nieszkodliwie odbiły się od tarczy, którą Rhys nas otoczył.

Nie, żeby chronić nas przed Beronem, ale przed pozostałymi książętami, którzy stali teraz na swoich miejscach.

– To tak przedostałaś się przez moje bariery – wymruczał Tarquin.

Beron dyszał tak ciężko, jakby miał zacząć za chwilę zionąć ogniem.

Helion potarł brodę, siadając z powrotem.

– Zastanawiałem się, gdzie się podziała... ta okruszyna. Taka maleńka... jakby rybie brakło jednej łuski. Ale mimo to ją czułem, kiedykolwiek coś otarło się o to puste miejsce... – Rzucił Rhysowi krzywy uśmiech. – Nic dziwnego, że zrobiłeś ją księżną.

– Zrobiłem ją księżną – odpowiedział zwięźle Rhys, odejmując dłonie od mojej twarzy, ale nie ruszając się z miejsca – ponieważ ją kocham. Jej moc była ostatnią rzeczą, jaką brałem pod uwagę.

Brakło mi słów, brakło podstawowych uczuć. Helion zwrócił się do Tamlina:

– Wiedziałaś o jej mocach?

Tamlin przyglądał się tylko mnie i Rhysowi. Deklaracja mojego towarzysza wciąż wisiała pomiędzy nami.

– To nie twój interes – odparł burkliwie Helionowi i wszystkim pozostałym Tamlin.

– Ta moc należy do nas, myślę więc, że tak – wysyczał Beron.

Mor obrzuciła go wzrokiem, który przeraziłby wielu mężczyzn.

Żona księcia Dworu Jesieni ścisnęła swoje ramię pokryte żywo czerwonymi plamami odcinającymi się od mlecznobiałej skóry. Na

jej twarzy nie było jednak nawet śladu bólu.

– Przepraszam – odezwałam się do niej, zajmując z powrotem swoje miejsce.

Jej oczy podniosły się ku mnie okrągłe jak spodki.

– Nie odzywaj się do niej, brudna człeczyno.

Rhys przebił się przez tarczę Berona, jego kompletnie bezsilny ogień.

Przebił się przez nie jak rozgrzany nóż przechodzi przez masło i uderzył w ich właściciela z taką siłą, że ten zakołysał się na krześle. Chwilę później samo krzesło rozpadło się w migoczący pył. Księżę zaś rąbnął na tyłek.

Połykający czarny pył płynął na widmowym wietrze, brudząc karmazynowy kaftan Berona i osiadając płatami na jego włosach.

– Nigdy – powiedział Rhys, wsuwając dłonie do kieszeni – nie odzywaj się tak do mojej towarzyszki.

Beron zerwał się na równe nogi, nawet nie otrzepując się z pokrywającego go pyłu, i rzucił do zebranych:

– To koniec tego spotkania. Mam nadzieję, że Hybernia wyróżnie was wszystkich.

Na to wstała ze swojego miejsca Nesta.

– To *nie* koniec tego spotkania.

Nawet Beron zatrzymał się, słysząc ton jej głosu. Eris ocenił odległość pomiędzy swoją siostrą a swoim ojcem.

Stała wyprostowana jak słup stali.

– Jesteście wszystkim – zwróciła się do Berona i pozostałych. – Jesteście wszystkim, co stoi między Hybernią a zagładą tego, co dobre i zacne. – Skierowała teraz swój płomienny i niewzruszony wzrok prosto na Berona. – Walczyłeś przeciwko Hybernii w poprzedniej wojnie. Dlaczego odmawiasz stanięcia do walki teraz?

Księżę Dworu Jesieni nie zaszczycił jej odpowiedzią. Ale też nie wyszedł. Eris dyskretnie polecił braciom usiąść.

Nesta zauważyła ten gest... zawahała się, jakby zdając sobie sprawę z tego, że skupiła na sobie uwagę wszystkich zebranych, że każde jej słowo ma znaczenie.



– Możesz nas nienawidzić. Wszystko mi jedno, czy tak jest. Ale nie jest mi wszystko jedno, jeśli wydajesz niewinne istoty na śmierć. Przynajmniej ich broń. Swojego ludu. Ponieważ Hybernia przykładnie ich ukarze. Nas wszystkich.

– A skąd ty to wiesz? – zadrwił Beron.

– Weszłam do Kotła – odpowiedziała beznamyślnie Nesta. – Pokazał mi swoje serce. Zniszczy mur i wybije wszystkich po obu jego stronach.

Czy była to prawda, czy nie, nie mogłam powiedzieć. Twarz Nesty nie wyrażała absolutnie nic. Nikt również nie śmiał zaprzeczyć jej słowom.

Spojrzała na Kalliasa i Viviane.

– Bardzo mi przykro z powodu tamtych dzieci. Każda strata dziecka jest koszmarem. – Pokręciła głową. – Ale na południe od muru widziałam dzieci... całe rodziny... umierające z głodu. – Wskazała mnie skinieniem głowy. – Gdyby nie moja siostra... Byłabym jedną z nich.

Oczy mnie zapiekły, ale zamrugałam, odpędzając łzy.

– Zbyt długo – ciągnęła Nesta. – Zbyt długo ludzie po drugiej stronie muru cierpieli i umierali, podczas gdy Prythian kwitł. Nie tylko podczas... rządów tej królowej. – Wzdrygnęła się, nie chcąc nawet wymawiać imienia Amaranthy. – Ale na długo przed tym. Jeśli macie o coś walczyć... walczcie teraz o tych, o których zapomnieliście. Choćby ten jeden raz.

Thesan odchrząknął.

– Choć przyznam, że cel jest szlachetny, treść Traktatu nie wymaga od nas, byśmy pomagali naszym ludzkim sąsiadom. Mieliśmy zostawić ich w spokoju. Tak też robimy.

Nesta wciąż stała.

– To wszystko przeszłość. Mnie interesuje rozciągająca się przed nami droga. Mnie interesuje, żeby żadne dziecko: fae czy ludzkie... nie doznało krzywdy. Została wam powierzona piecza nad tymi krainami. – Potoczyła wzrokiem po twarzach zebranych. – Jak możecie nie chcieć o nie walczyć?

Spojrzała na Berona i jego rodzinę. Tylko matka Luciena i sam

Eris zdawali się rozważać jej słowa... Nawet jakby byli pod pewnym wrażeniem tej dziwnej ognistej kobiety stojącej przed nimi.

Nie znajdowałam słów, w które mogłabym ubrać to, co przepełniało moje serce. Kasjan zdawał się czuć to samo.

– Zastanowię się nad tym – powiedział krótko Beron, po czym spojrzał na swoją rodzinę i wszyscy zniknęli.

Eris przeskoczył ostatni, a na jego twarzy widać było wahanie, jakby nie taki obrót wypadków planował. Nie takiego oczekiwał. Ale w końcu i on zniknął. Miejsce, które zajmowali, ziało pustką – poza czarnym połyskującym pyłem.

Nesta usiadła powoli, jej twarz znów stała się kamienną maską... jakby powstrzymywała wszystko, co burzyło się w niej na zniknięcie Berona.

– Czy opanowałaś również lód? – spytał mnie cicho Kallias.

Skinęłam lekko głową.

– Tak, wszystko.

Kallias potarł głowę, a Viviane położyła mu rękę na ramieniu.

– Czy to ma znaczenie, Kal?

– Nie wiem – przyznał.

Tak szybko rozpadła się nasza koalicja. Tak szybko... wszystko przez mój brak samokontroli, mój...

„Jeśli nie to, to wysypałoby się co innego – przekazał mi Rhys ze swojego krzesła, jedną ręką bawiąc się migotliwą tkaniną z tyłu mojej sukni. – Lepiej teraz niż później. Kallias się nie złamie... potrzebuje tylko czasu, żeby wszystko przetrwać”.

Jednak to Tarquin odezwał się pierwszy.

– Uratowałaś nas wszystkich pod Górą. Myślę, że utrata okruszyny mocy nie jest wygórowaną ceną.

– Wygląda na to, że wzięła znacznie więcej – nie zgadzał się Helion. – Jeśli była w stanie niemal utopić Berona pomimo jego barier.

Być może udało mi się ominąć je po prostu dlatego, że zostałam stworzona... poza wszystkim, co takie bariery rozpoznawały.

Moc Heliona, ciepła i jasna, musnęła moją tarczę, przesuwał się w powietrzu między nami. Jakby szukając jakiegoś punktu

zaczepienia. Jakbym była jakimś pasożytem, wysysającym z niego moc. A on chętnie przeciąłby połączenie.

– Co się stało, to się nie odstanie – oznajmił Thesan. – Poza zabiciem jej... – na te słowa moc Rhysa przetoczyła się po pomieszczeniu – ...nie ma nic, co moglibyśmy na to poradzić.

Nie powiem, żeby była to uspokajająca wypowiedź. Słowa pokojowe, ale ton pełen napięcia. Jak gdyby rozważał przywiązanie mnie do jakiegoś ołtarza i rozplatanie, by zobaczyć, gdzie podziela się jego moc... i jak mógłby ją odzyskać. Ale powstrzymywał go Rhys i jego moc.

Wstałam i spojrzałam Thesanowi prosto w oczy. Potem Helionowi, Tarquinowi i Kalliasowi. Zupełnie tak jak Nesta.

– Nie zabrałam waszych mocy. Daliście mi je razem z nowym, nieśmiertelnym życiem. Jestem wdzięczna za oba dary. Ale to, co mam, należy teraz do mnie. I zamierzam używać tego tak, jak uważam za stosowne.

Moi przyjaciele podnieśli się i ustawili za mną, Nesta stanęła po mojej lewej. Rhys podszedł po prawej, jednak nie dotknął mnie. Pozwolił mi samej stanąć przed nimi jako księżna i zmierzyć ich wszystkich wzrokiem.

– Zamierzam użyć tych mocy – powiedziałam cichym, ale mocnym głosem – moich mocy... by rozbić Hybarnię w pył. Będę ich palić, topić i zamrażać. Użyję magii, by leczyć rannych. By przebijać się przez bariery Hybarnijczyków. Już raz to zrobiłam i zrobię to ponownie. Jeśli jednak uważacie, że posiadanie przeze mnie okruchów waszych mocy jest największym problemem, to naprawdę powinniście zastanowić się nad swoimi priorytetami.

Po więzi popłynęła ku mnie iskierka dumy. Księżęta i ich świty milczeli.

To Viviane skinęła głową, po czym wstała, trzymając ją wysoko.

– Będę walczyć u twego boku.

Chwilę później dołączyła do niej Kresejda.

– Ja również.

Obie spojrzały wyczekująco na władców swoich dworów i ich świty.

Tarquin i Kallias podnieśli się.

Potem Helion, posyłając mi i Rhysowi krzywy uśmiezek.

Wreszcie Thesan – Thesan i Tamlin, który przez te kilka minut nawet nie zerknął w moją stronę, nie mówiąc już o poruszeniu czy odezwaniu się. Był to jednak ostatni z moich problemów, póki wszyscy stali.

„Sześciu z siedmiu – zaśmiał się Rhys wzdłuż więzi. – Nieźle, Wyzwolicielko. Całkiem nieźle”.

## Rozdział 47

Nasza koalicja nie zaczęła się dobrze.

Chociaż rozmawialiśmy jeszcze przez dobre dwie godziny... Wciąż się kłóciliśmy. Przy Tamlinie nikt nie chciał otwarcie powiedzieć, jak liczne mieli armie, jak uzbrojone, jakie słabe strony.

Kiedy popołudnie zmieniło się w wieczór, Thesan odsunął swoje krzesło.

– Jeśli ktoś ma chęć zostać na noc i podjąć rozmowy jutro, to zapraszam. Chyba że życzyacie sobie powrócić do własnych domów na wieczór.

„Zostajemy – zarządził Rhysand. – Muszę pomówić z innymi na osobności”.

Okazało się, że inni też pomyśleli podobnie, ponieważ wszyscy zdecydowali się zostać. Nawet Tamlin.

Poprowadzono nas do przygotowanych dla nas apartamentów – kamień słoneczny na ścianach mienił się głębokim złotem w promieniach przedwieczornego słońca.

Tamlin został odprowadzony pierwszy, przez samego Thesana w asyście drżącego służącego. Miał na tyle rozumu, żeby nie atakować Rhysa ani mnie podczas rozmów, choć bardzo ostentacyjnie nas ignorował. Kiedy wychodził – sztywnym krokiem, wyprężony jak struna – również nie odezwał się do nas ani słowem. I bardzo dobrze.

Potem zaprowadzono na spoczynek Tarquina, później Heliona. Wreszcie zostaliśmy tylko my i grupa Kalliasa.

Rhys wstał ze swego miejsca i przeciągnął dłonią po włosach.

– Poszło całkiem dobrze. Wygląda na to, że żadne z nas nie wygrało zakładu, kto pierwszy wywoła bójkę.

Aziel z kamienną twarzą wpatrywał się w posadzkę.

– Przepraszam – jego głos brzmiał beznamiętnie i odlegle.

Od swojego szalonego ataku prawie nie poruszył się ani nie

przemówił. Mor przestała drżeć dopiero dobre pół godziny po całym zajściu.

– Zasłużył sobie na to – wtrąciła Viviane. – Eris to cholerny łajdak.

Kallias obrócił się w stronę swojej towarzyszki, unosząc brwi.

– Co? – Położyła dłoń na piersi. – Taka jest prawda.

– Możliwe, że tak – odparł z chłodnym humorem Kallias. – Pozostaje pytanie, czy Beron stanie po naszej stronie.

– Jeśli wszyscy inni się zjednoczą – odezwała się chrapliwym głosem po raz pierwszy od kilku godzin Mor – Beron do nas dołączy. Jest zbyt cwany, żeby ryzykować wiązanie się z Hybernią i przegraną. Jestem również pewna, że jeśli sprawy pójdą źle, szybko zmieni stronę.

Rhys pokiwał głową i zwrócił się do Kalliasa:

– Ilu masz ludzi?

– Nie wystarczy. Amarantha była bardzo dokładna. – Znów wzdłuż więzi potoczyła się ku mnie fala poczucia winy. – Mamy armię, którą Viv zarządzała i ukryła, ale niewiele więcej. A ty?

Rhys nie zdradzał najmniejszego napięcia, które zaciskało się we mnie, jakby było moim własnym.

– Mamy spore siły. Głównie legiony Ilyrów. I kilka tysięcy Niosących Mrok. Będziemy jednak potrzebowali każdego żołnierza zdolnego nieść broń.

Viviane podeszła do miejsca, w którym wciąż blada siedziała Mor, i położyła jej dłonie na ramionach.

– Zawsze wiedziałam, że pewnego dnia będziemy walczyć u swego boku.

Mor powoli podniosła na nią swe brązowe oczy. Strzeliła jednak wzrokiem w stronę Kalliasa, który bardzo starał się nie wyglądać na zmartwionego. Posłała mu spojrzenie mówiące: „Zajmę się nią” – i uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– To niemal dość, by zrobiło mi się żal Hyberni.

– Niemal. – Viviane uśmiechnęła się szeroko i przewrotnie. – Ale nie go końca.

\*\*\*

Poprowadzono nas do apartamentu z urządzonym z przepychem salonem połączonym z częścią jadalnianą. Wszystko wzniesione z tego samego kamienia słonecznego, udekorowane materiałami o barwach klejnotów, dużymi poduchami porozkładanymi na mięsistych dywanach i otoczone ozdobnymi złotymi klatkami z ptakami różnych gatunków i rozmiarów.

Kiedy szliśmy w stronę domu Thesana, widziałam pawie przechadzające się po ogrodach i dziedzińcach, rozkładające dumnie swoje ogony w cieniu rosnących w donicach drzewek figowych.

– W jaki sposób Thesanowi udało się uniknąć zniszczenia tego miejsca przez Amaranthę? – spytałam Rhysa, kiedy przyglądaliśmy się rozciągającej się daleko w dole krainie.

– To jego prywatna rezydencja – odparł, chowając skrzydła, i opadł na szmaragdowe poduchy w pobliżu kominka. – Najprawdopodobniej ukrył ją podobnie jak ja i Kallias.

Decyzja, która, nie miałam wątpliwości, będzie im ciążyć kamieniem jeszcze przez stulecia.

Spojrzałam na Azriela opierającego się o ścianę przy wysokim oknie. Cienie snuły się wokół niego i nawet ptaki w okolicznych klatkach jakby ucichły.

„Wszystko z nim w porządku?” – wysłałam wzduż więzi.

Rhys nonszalancko założył ręce za głowę, ale jego usta się zacisnęły.

„Zapewne nie, ale jeśli spróbujemy z nim o tym pomówić, najpewniej tylko pogorszymy sprawę”.

Mor leżała rozwalona na poduchach – jednym okiem ostrożnie monitorowała Azriela. Kasjan siedział przy niej, trzymając jej stopy na kolanach. Umieścił się bliżej pieśniarza, dokładnie pomiędzy tą dwójką. Jakby był gotów rzucić się w razie konieczności pomiędzy nich.

„Świetnie sobie dzisiaj poradziłaś – przekazał mi Rhys. – Ze wszystkim”.

„Mimo że wybuchłam?”.

„Dlatego że wybuchłaś”.

Spojrzałam mu w oczy, wyczuwając buzujące za nimi emocje, i jednocześnie usiadłam na miękkim krześle obok jego góry poduch.

„Wiedziałam, że jesteś potężny. Ale nie sądziłam, że masz taką przewagę nad innymi”.

Rhys przymknął oczy i posłał mi półuśmiech.

„Nie sądzę, by nawet Beron wiedział. Podejrzewał – może, ale... Teraz będzie żałował, że nie znalazł sposobu za zabicie mnie, kiedy jeszcze byłem w kołysce”.

Po plecach przebiegł mi dreszcz.

„Wie o tym, że Elaina jest towarzyszką Luciena. Jeśli spróbuje zrobić jeden krok, by ją skrzywdzić czy porwać, zginie”.

„Jeśli spróbuje, sam go zabiję. – Jego gwiaździste oczy rozbłysły na chwilę nieugiętą wolą. – Albo przytrzymam go na tyle długo, byś ty mogła to zrobić. Myślę, że chętnie będę ci się przyglądał”.

„Będę pamiętała, kiedy nadejdą twoje urodziny. – Zabębniłam palcami o gładkie jak szkło polerowane oparcie krzesła. – Czy naprawdę wierzysz Tamlinowi, że działa na rzecz naszej koalicji?”.

„Tak. – Na chwilę zapadła cisza. – Może niesłusznie oceniliśmy go, nawet nie rozważając takiej możliwości. Chyba nawet ja zacząłem go już uważać jedynie za krewkiego brutala”.

Czułam się zmęczona – zmęczona na całym ciele.

„Czy to jednak cokolwiek zmienia?”.

„W pewnym sensie tak. W innym... – Rhys przyjrzał mi się. – Nie. Nie zmienia”.

Mrugnęłam, zauważając, że całkowicie zatraciłam się w naszej więzi, podczas gdy Azriel wciąż stał przy oknie, a Kasjan masował teraz stopy Mor. Nesta poszła prosto do swojego pokoju – i nie wyszła z niego. Zastanawiałam, że może słowa Berona – pomimo tego, co twierdziła – ubodły ją jednak.

Wstałam z krzesła i rozprostowałam fałdy migotliwej sukni.

„Powinnam zobaczyć, co z Nestą. Pomówić z nią”.

Rhys wtulił się głębiej w poduszki i założył ręce za głowę.

„Świetnie się dzisiaj spisała”.

Kiedy przemierzałam pokój, poczułam dumę wraz z tą pochwałą.

Kiedy dotarłam zaledwie do łuku prowadzącego do przedpokoju,



rozległo się pukanie do drzwi wychodzących na zalane słońcem przejście. Zatrzymałam się, a na przejrzystych fałdach mojej sukni zatańczyły w złocistym słońcu błękitne płomyki.

– Nie otwieraj – ostrzegła Mor ze swojego miejsca na kanapie. – Nawet pomimo tarczy nie otwieraj.

Rhys wstał.

– Mądre – powiedział, zmierzając obok mnie w stronę drzwi – ale niekonieczne.

Nacisnął klamkę i na progu ujrzeliśmy Heliona – samego.

Położył dłoń na framudze i uśmiechnął się szeroko.

– Jak przekonaliście Thesana, żeby wam dał pokoje z lepszym widokiem?

– Myślę, że uważa, że moi chłopcy są ładniejsi niż twoi.

– Ja myślę, że to kwestia skrzydeł: taki fetysz.

Rhys roześmiał się i otworzył szerzej drzwi, zapraszając go do środka.

– Tak przy okazji to naprawdę opanowałeś do perfekcji rolę chełpliwego dupka – powiedział do wchodzącego gościa. – Rewelacyjne przedstawienie.

Szata Heliona kołysała się z każdym pełnym gracji krokiem, muskając jego potężne uda. Zobaczył mnie stojącą przy okrągłym stole na środku przedpokoju i skłonił się. Głęboko.

– Chciałbym przeprosić za odgrywanie dupka – odezwał się – starego psa i tak dalej.

I oto proszę – w jego oczach zagościły rozbawienie i radość. Światło, które wywoływał mój własny organizm podczas chwil rozkoszy. Helion zmarszczył brwi i obrócił się ku Rhysowi.

– Zachowywałeś się dzisiaj wyjątkowo sympatycznie. Założyłem się, że Beron nie przeżyje dzisiejszego spotkania. Nie możesz sobie wyobrazić mojego zaskoczenia, kiedy wyszedł o własnych siłach.

– Moja towarzyszka zasugerowała, że pokazanie naszych prawdziwych twarzy może wyjść nam na korzyść.

– Cóż, teraz ja wyglądam na równie paskudnego co Beron. – Mijając mnie, puścił do mnie oko i wszedł do salonu.

Wyszczrzył zęby w stronę Azriela.

– Tak przy okazji: to, jak skopałeś dupę Erisowi, będzie od dziś moją nocną fantazją.

Azriel nawet nie spojrział przez ramię na nowo przybyłego księcia, ale Kasjan prychnął.

– Zastanawiałem się już, kiedy zaczną się umizgi.

Helion rzucił się na kanapę naprzeciw Mor i Kasjana. Gdzieś zostawił jaśniejącą koronę, ale złotego węża na ramieniu pozostawił.

– To już ile? Cztery stulecia? A wy wciąż nie przystaliście na moją propozycję.

Mor przekrzywiła głowę na bok.

– Niestety nie lubię się dzielić – powiedziała.

– Nigdy nie wiesz, póki nie spróbujesz – wymruczał Helion.

Ich troje razem w łóżku... z nim? Musiałam mrugać jak głupek, ponieważ usłyszałam w głowie głos Rhysa:

„Helion lubi zarówno kobiety, jak i mężczyzn. Najlepiej razem, w jednym łóżku. A tę konfigurację próbował osiągnąć przez stulecia”.

Zastanowiłam się. Uroda Heliona i innych...

„dlaczego, u licha, się nie zgodzili?”.

Rhys parsknął śmiechem i cała trójka spojrzała na niego pytająco.

Mój towarzysz tylko podszedł do mnie od tyłu, objął mnie w talii i pocałował w szyję.

„Czy ty chciałabyś, żeby ktoś dołączył do nas w łóżku, droga Feyro?”.

Skóra napięła mi się na kościach na ten ton, tę propozycję.

„Jesteś niemożliwy”.

„Osobiście sędzę, że spodobałoby ci się dwóch mężczyzn wielbiących twoje ciało”.

Palce podwinęły mi się na samą myśl.

Mor odchrząknęła.

– Cokolwiek sobie mówicie w umysłach, albo podzielcie się z innymi, albo idźcie sobie do innego pomieszczenia, żebyśmy nie musieli pławić się tu w waszych zapachach.

Wystawiłam język. Rhys znów się roześmiał, pocałował mnie

jeszcze raz w szyję i odparł:

– Przepraszam za urażenie twoich delikatnych uczuć, kuzynko.

Odepchnęłam się od niego i wyslizgnęłam z objęć, po czym przesunęłam się trochę, dalej od jego dotyku, który sprawiał, że kręciło mi się w głowie tak mocno, że utrudniało mi to wykonanie najprostszych czynności. Po paru krokach usiadłam na krześle obok kanapy Mor i Kasjana.

– Twoje siły są gotowe? – zapytał Heliona ilyryjski generał.

Rozbawienie księcia Dworu Dnia rozwiało się, ustępując twardemu kalkulującemu wyrazowi twarzy.

– Tak. Spotkają się z waszymi w Myrmidonach.

Pasma górskie, które stanowiło granicę między naszymi ziemiami. Wcześniej nie chciał zdradzić tej informacji.

– Dobrze – powiedział Kasjan, masując łuk stopy Mor. – Stamtąd ruszymy na południe.

– Ostatni obóz planujemy gdzie? – chciała wiedzieć Mor, zabierając stopy z kolan Ilyra i zawijając obie nogi pod siebie.

Helion wpatrywał się w jej kształtną nagą łydkę z nieco szklistym wyrazem bursztynowych oczu.

Mor nie ugięła się pod jego płomiennym spojrzeniem. Nagle wydała się jakby bardziej ożywiona – jakby każdy nerw jej ciała się przebudził. Nie śmiałam spojrzeć na Azriela.

Wokół tego pomieszczenia musiało być położonych wiele barier zalepiających najmniejsze szczeliny i dziury, którymi niepowołane oczy i uszy mogłyby starać się zebrać informacje, ponieważ Kasjan powiedział otwarcie:

– Nasze siły spotkają się z ludźmi Thesana, potem razem rozbijemy się obozem na południowo-zachodniej granicy ziem Kalliasa, blisko Dworu Lata.

Helion oderwał wzrok od Mor i zwrócił się do Rhysa:

– Mieliście dzisiaj swoje pięć minut ze ślicznym Tarquinem. Sądzisz, że naprawdę do nas dołączy?

– Jeśli masz na myśli: w łóżku, z pewnością nie – odparł Rhys z kpiącym uśmiechem, ponownie rozwalając się na poduszkach. – Jednak jeśli masz na myśli wojnę... Tak. Wierzę, że naprawdę

zamierza ruszyć do walki. Beron z drugiej strony...

– Hybernia koncentruje swoje siły na południu – podjął Helion – i niezależnie od tego, co twoim zdaniem zamierza zrobić Tamlin, Dwór Wiosny jest w tej chwili w większości okupowany. Beron musi sobie zdawać sprawę, że jego ziemie staną się teatrem wojny, jeśli nie zdecyduje się pójść z nami na południe. Zwłaszcza jeśli dołączy do nas armia Dworu Lata.

Co będzie oznaczało, że najbardziej ucierpią ziemie Dworu Wiosny i krainy ludzi.

– Tylko czy Beron posłucha głosu rozsądku? – zastanawiała się głośno Mor.

Helion postukał palcem w rzeźbioną poręcz kanapy.

– Rozgrywał już podobne gierki podczas poprzedniej wojny. I słono za to zapłacił. Jego lud wciąż pamięta te wybory; ile stracili. Jego własna cholerna żona pamięta.

Helion wielokrotnie podczas spotkania patrzył na panią Dworu Jesieni. Ostrożnie i niedbale zapytałam:

– Co masz na myśli?

Mor potrząsnęła głową; nie z powodu tego, co powiedziałam, ale tego, co się wówczas wydarzyło.

Helion popatrzył na mnie z głębokim namysłem. Trudno mi było wytrzymać niesamowitą intensywność tego spojrzenia. Muskularne ciało było tylko maską – kryjącą w sobie przebiegły umysł. Zastanowiłam się, czy Rhys przejął to od niego.

Helion założył stopę na kolano.

– Pani Dworu Jesieni miała dwie siostry, które... – szukał odpowiedniego słowa – zostały zamordowane. Torturowane, a potem zamordowane, podczas wojny.

Odsunęłam od siebie krzyki Nesty i łkanie Elainy, kiedy wleczono je w stronę Kotła.

Ciotki Luciena. Zginęły, zanim on jeszcze pojawił się na tym świecie. Czy jego matka kiedykolwiek opowiedziała mu tę historię?

– W tym czasie siły Hybernii zalały już nasze ziemie – wyjaśnił mi Rhys.

Szczęka Heliona stężała.

– Pani Dworu Jesieni została wysłana do swoich sióstr, jej młodsze dzieci rozesłane krewnym. Żeby rozproszyć rodzinę. – Przeczesał dłonią swoje jedwabiste włosy. – Hybernia zaatakowała ich posiadłość. Jej siostry kupiły jej czas, by zdołała uciec. Nie dlatego, że była żoną Berona, ale dlatego, że bardzo się kochały. Gorąco. Próbowała zostać, ale przekonały ją, by uciekała. Tak też zrobiła, biegła i biegła, ale bestie Hybernii były szybsze. Silniejsze. Otoczyły ją w wąwozie, osaczając na szczycie skalnego występu. Bestie kłapały już zębami przy jej kostkach.

Przez chwilę milczał.

Zbyt wiele szczegółów. Znał zbyt wiele szczegółów.

– Ty ją ocaliłeś – powiedziałam cicho. – Ty ją znalazłeś, prawda?

Na jego czarnych włosach zdawało się przez chwilę tańczyć światło.

– Tak.

W tym jednym słowie było tyle wagi, tyle gniewu i czegoś jeszcze, że przyjrzałam mu się uważniej.

– Co się stało?

Helion nie odwrócił wzroku.

– Rozerwałem te bestie gołymi rękami.

– Dlaczego? – Po moich plecach przebiegł dreszcz.

Mógł zakończyć to na wiele różnych sposobów. Łatwiejszych. Czystszych.

Przez mój umysł przemknęły zakrwawione dłonie Rhysa, po tym jak rozprawił się z Krukami.

Helion nawet nie drgnął.

– Ona była wciąż taka młoda, chociaż była żoną tego cudownego mężczyzny przez niemal dwie dekady. Wydana za mąż za wcześnie, małżeństwo zaaranżowane, kiedy miała zaledwie dwadzieścia lat.

Opowiadał rwanymi zdaniami. Dwadzieścia – taka młoda. Niemal tak młoda jak Mor, gdy jej rodzina próbowała wydać ją za Erisa.

– Więc? – niebezpieczne, niemal bezczelne pytanie.

Jego oczy rozbłyły niczym bliźniacze słońca.

Jednak to Mor odpowiedziała chłodno:

– Słyszałam pogłoski, Helionie, że przed wyrażeniem zgody na

małżeństwo czekała na kogoś, kogo spotkała przypadkiem poprzedniego roku na balu z okazji równonocy.

Staralam się nie mrugnąć, nie dać w żaden sposób po sobie poznać mojego wzrastającego zainteresowania.

Helion zgasił płomień w swoich oczach i rzucił Mor krzywy uśmiech.

– Ciekawe. Ja słyszałem, że jej rodzina dążyła do skolidacji się z władzą i że nie dała jej wyboru, kiedy sprzedała ją Beronowi.

Sprzedali ją. Nozdrza Mor się rozdeły. Kasjan pogłodził ją po włosach. Azriel nadal nie odwrócił się ze swojego punktu obserwacyjnego przy oknie, ale widziałam, że ciaśniej zwinął skrzydła.

– Szkoda, że to tylko plotki – rzucił Rhys – i nikt nie jest ich w stanie potwierdzić.

Helion tylko bawił się obręczą na swoim muskularnym ramieniu, obracając węza tak, by znajdował się na środku bicepsa. Zmarszczyłam brwi.

– Czy Beron wie, że ocaliłeś jej życie podczas wojny?

Słowem nie wspomniał o tym podczas spotkania.

Helion zaśmiał się ponuro.

– Na Kocioł, nie. – W jego głosie było tyle czarnego humoru, że aż zeszywniałam.

– Byłeś... byłeś z nią po tym, jak ją uratowałeś?

Jego rozbawienie tylko wzrosło, przycisnął palec do ust w żartobliwym ostrzeżeniu.

– Uważaj, księżno, tu nawet ptaki donoszą Thesanowi.

Spojrzałam spod zmarszczonych brwi na ptaki w klatkach otaczających pomieszczenie, wciąż milczące ze względu na cienie Azriela.

„Postawiłem wokół nich tarcze” – uświadomił mnie Rhys.

– Jak długo to trwało? – spytałam.

Ta wycofana kobieta... Nie byłam sobie w stanie tego wyobrazić.

Helion parsknął śmiechem.

– Czy to grzeczne pytanie ze strony księżnej?

Sposób, w jaki mówił, ten uśmiech...

Czekałam, zakładając, że przedłużająca się cisza zachęci go do dalszych zwierzeń.

Wzruszył ramionami.

– Z przerwami... kilka dziesięcioleci. Dopóki Beron się nie dowiedział. Podobno wcześniej była cała uśmiechnięta i jaśniejąca. A kiedy Beron z nią skończył... Widzieliście sami, jaka teraz jest.

– Co on jej zrobił?

– To samo, co robi teraz. – Helion machnął ręką. – Poniza ją, zostawia siniaki tam, gdzie tylko on je zobaczy.

Zacisnęłam zęby.

– Jeśli byłeś jej kochankiem, czemu tego nie powstrzymałeś?

Nie było to właściwe pytanie. Kompletnie niewłaściwe, jeśli sądzić po mrocznej furii na jego twarzy.

– Beron jest księciem, a ona jest jego żoną, matką jego gromadki. Wybrała pozostanie. *Wybrała*. A z powodu zasad i protokołów, *pani*, wiedz, że takie sprawy nie kończą się dobrze dla tych, którzy próbują interweniować.

Nie ugięłam się i nie przeprosiłam.

– Ledwie na nią dzisiaj spojrzaleś.

– Mamy pilniejsze sprawy na głowie.

– Beron nigdy nie próbował ci tego wypominać?

– Żeby publicznie przyznać, że jego *własność* zrobiła z niego rogakza? Toteż kilka stuleci później wciąż kontynuujemy ten taniec.

Jakoś wątpiłam, by pod tym całym łajdackim urokiem i nonszalancją był to dla niego tylko taniec.

Ale jeśli zakończyło się to stulecia temu i nigdy więcej się nie zobaczyli, czy Beron wciąż by ją tak okropnie traktował...

„Na cokolwiek właśnie wpadłaś – odezwał się w moim umyśle Rhys – lepiej przestań wyglądać na tak zszokowaną swoim odkryciem”.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Wy, książęta, naprawdę lubicie melodramaty, prawda?

Uśmiech Heliona nie sięgnął jego oczu. W tej chwili jednak wtrącił się Rhys.

– Czy natrafiłeś może w swoich bibliotekach na jakiegokolwiek

wzmianki o tym, jak można naprawić mur?

Helion zaczął go wypytywać, dlaczego chcemy wiedzieć, co Hybernia robi z Kotłem... a Rhys udzielał mu odpowiedzi lekko i bez zająknięcia.

Kiedy rozmawiali, odezwałam się do Rhysa przez naszą więź:

„Helion jest ojcem Luciena”.

Rhys milczał. Potem...

„O, cholera jasna”.

Jego krańcowe zaskoczenie przemknęło pomiędzy nami jak błyskawica.

Pozwoliłam wzrokowi błądzić po pomieszczeniu, połowicznie tylko zważając na to, co mówił Helion o murze i jak można ewentualnie go naprawić, po czym odważyłam się przyjrzeć jemu samemu przez krótką chwilę.

„Popatrz na niego. Ten sam kształt nosa, ten sam uśmiech. Nawet głos. Skóra Luciena jest ciemniejsza niż jego braci. Złotobrazowa, a nie porcelanowa”.

„To by wyjaśniało, dlaczego jego ojciec – a za nim bracia – tak go nie znoszą. Dlaczego całe życie go dręczyli”.

Serce ścisnęło mi się na samą myśl.

„I dlaczego Eris nie chciał go zabić. Nie jest dla niego zagrożeniem – dla jego sukcesji. – Przełknęłam ślinę. – Helion nie ma pojęcia, prawda?”.

„Na to wygląda”.

Ukochany syn pani Dworu Jesieni – nie tylko ze względu na dobroć Luciena. Ale dlatego, że był tym dzieckiem, o którym marzyła... dzieckiem mężczyzny, którego bez wątpienia kochała.

„Beron musiał dowiedzieć się o ich związku, kiedy zaszła w ciążę z Lucieniem”.

„Raczej podejrzewał, ale nie miał sposobu, by to potwierdzić. Nie jeśli jednocześnie dzieliła z nim łóżko. – Niemal czułam we własnych ustach niesmak Rhysa. – Nie mam wątpiwości, że Beron rozważał zabicie jej za zdradę, nawet potem, kiedy Lucien mógł uchodzić za jego syna – mimo że mógł mieć zaledwie wątpiwości, kto spłodził jego najmłodszego syna”.



Rozwazałam to przez chwilę. Lucien nie jest synem Berona, ale Heliona.

„Jednak włada płomieniami. Zastanawiali się nawet, czy mógłby na niego przejść tytuł Berona”.

„Rodzina jego matki jest silna. Dlatego Beron chciał wziąć żonę z tego rodu. Jego moc może pochodzić od niej”.

„Nigdy niczego nie podejrzewałeś?”.

„Ani przez chwilę. Jestem zdruzgotany, że nawet mi to przez myśl nie przeszło”.

„Co to jednak oznacza?”.

„Nic. W ostatecznym rozrachunku nic. Poza tym, że Lucien może być jedynym dziedzicem Heliona”.

W tym momencie... to naprawdę niewiele zmieniało w kwestii wojny. Zwłaszcza że Lucien był teraz na kontynencie i szukał zaklętej królowej. Ognisty ptak... i pan płomieni. Ciekawe, czy się już odnaleźli.

W przedpokoju szcęknięły otwierane i zamykane drzwi. Zebrałam się w sobie, wiedząc, że zaraz pojawi się Nesta. Helion przerwał swoje rozważania o murze, by uważnie przyjrzeć się mojej siostrze, podobnie jak zrobił to wcześniej.

Czaroniszcz. Tak brzmiał jego tytuł.

Ona zaś przyjrzała się jemu ze zwykłą u siebie dezaprobatą.

Mimo to Helion uklonił jej się podobnie jak mnie, choć jego uśmiech był bardziej zmysłowy, na tyle, że nawet moje serce mocniej zabiło. Nic dziwnego, że pani Dworu Jesieni była wobec niego bezbronna.

– Nie sądzę, byśmy zostali sobie uprzednio odpowiednio przedstawieni – powiedział śpiewnie do Nesty. – Jestem...

– Wszystko mi jedno – przerwała mu moja siostra ruchem nadgarstka, po czym minęła go i podeszła bezpośrednio do mnie.

– Chciałabym zamienić z tobą słowo – powiedziała. – Teraz.

Kasjan przygryzł kostki palców, żeby nie wybuchnąć śmiechem z powodu malujących się na twarzy Heliona szoku i niedowierzania. Zakładałam, że nie codziennie ktokolwiek jakiegokolwiek płci po prostu całkowicie go ignorował. Uśmiechnęłam się do niego na pół

przepraszająco i wyprowadziłam Nestę z pomieszczenia.

– O co chodzi? – spytałam, kiedy weszłyśmy do jej sypialni.

Była urządzona w tonach złoto-różowych z detalami w kolorze kości słoniowej. Bogactwo wykończenia przewyższało wiele luksusowych domów.

– Musimy stąd odejść – rzekła lakonicznie. – Teraz, zaraz.

– Dlaczego? – Wszystkie moje zmysły nagle się wyostrzyły.

– Coś jest nie tak. Czuję, że coś jest nie tak.

Przyglądałam się jej przez chwilę, potem czystemu niebu za wysokimi zdobnymi w firany oknami.

– Rhys i inni by to wyczuli. Najprawdopodobniej odczuwasz niepokój ze względu na całą zgromadzoną tu moc.

– Coś jest *nie tak* – upierała się Nesta.

– Nie mam wątpliwości, że tak czujesz, ale... Jeśli nikt inny niczego nie zauważył...

– Ja nie jestem *taka jak inni*. – Z trudem przełknęła ślinę. – Musimy stąd odejść.

– Ciebie mogę wysłać z powrotem do Velaris, ale my mamy tu sprawy do przedyskutowania...

– Nie chodzi tu o mnie. Ja...

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł z ponurą miną Kasjan. Widok jego skrzydeł i ilyryjskiej zbroi w tym różowym pokoiku zapamiętam na wieczność.

– Co jest nie tak? – spytał bez ogródek.

Przyglądał się Neście cał po calu, jakby poza nimi nikt nie istniał.

– Według niej coś jest nie w porządku. Upiera się, że musimy natychmiast stąd odejść.

Oczekiwałam, że również zbędzie jej obawy, ale on przechylił głowę i dociekał dalej:

– Co dokładnie jest nie w porządku?

Nesta zeszywniała i zacisnęła usta, oceniając jego ton.

– Mam uczucie takiej... grozy. Takie wrażenie... jakbym zapomniała o czymś ważnym, ale nie była w stanie sobie przypomnieć.

Kasjan patrzył na nią jeszcze przez chwilę.

– Powiem Rhysowi.

Tak też zrobił. W kilka chwil Rhys, Kasjan i Azriel zniknęli, pozostawiając Mor i Heliona w niespokojnej ciszy. Czekałam z Nestą. Pięć minut. Dziesięć. Piętnaście.

Pół godziny później wrócili, kręcąc głowami. Nic. Ani w pałacu, ani na otaczających go terenach, ani na niebie ponad nim, ani w ziemi poniżej.

Nic w promieniu wielu mil. Kompletnie nic. Rhys nawet skontaktował się z Amreną i dowiedział się, że w Velaris również wszystko jest w porządku. Elaina na szczęście cała i zdrowa.

Ucieszyłam się, że nikomu nie przyszło do głowy sugerować, że Nesta wymyśliła to sobie. W końcu w jej żyłach krążyła moc nie z tego świata. Albo że może ta groza to wciąż echa tego, co przydarzyło jej się na Hybernii. Jak ataki paniki, z którymi ja się zmagalam i które wciąż czasem dopadały mnie głęboką nocą.

Toteż zostaliśmy. Spożyliśmy posiłek w prywatnej części jadalnej, w towarzystwie Heliona. Nie widzieliśmy Tarquina ani Thesana, a już z pewnością nie Tamlina.

Kallias i Viviane pojawili się w połowie posiłku, więc Mor wywaliła Kasjana z jego krzesła, żeby zrobić miejsce dla przyjaciółki. Rozmawiały i plotkowały – chociaż Mor wciąż zerkąła na Heliona.

A księżę Dworu Dnia zerkał na nią.

Azriel ledwie co się odzywał. Cienie wciąż spływały mu po ramionach. Mor prawie w ogóle nie poświęciła mu uwagi.

Jedliśmy i piliśmy godzinami, dopóki nie zapadła noc. Chociaż między Rhysem a Kalliasem wciąż dawało się wyczuć napięcie, pod koniec posiłku przynajmniej rozmawiali.

Nesta pierwsza wstała od stołu, wciąż poddenerwowana i pełna obaw. Pozostali sprawdzili jeszcze raz okolicę, po czym zatonęliśmy w jedwabiu miękkich jak piórko pościeli.

Zostawiliśmy Mor z Helionem siedzących obok siebie na poduchach. Viviane i Kallias wrócili do swojego apartamentu. Nie miałam pojęcia, dokąd udał się Azriel ani też Kasjan.

Kiedy zaś wyszłam z komnaty łazienkowej urządzonej w odcieniach

kości słoniowej i złota, z korytarza do moich uszu dobiegł mrużący głos Heliona i zmysłowy śmiech Mor, kiedy przechodzili pod naszymi drzwiami, potem zaś drzwi do jej komnaty szczęknęły otwierane i na powrót zamykane...

Rhysand zwinął ciasno skrzydła, obserwując gwiazdy świecące za naszym oknem. Były tu jakby cichsze i mniejsze.

– Dlaczego?

Wiedział, co mam na myśli.

– Mor łatwo przestraszyć. A to, co zrobił dzisiaj Az, przeraziło ją na wskroś.

– Przemoc?

– Przemoc na skutek jego uczuć, ciągłego poczucia winy za to, co wydarzyło się z Erisem. I z czym żadne z nich nie chce się zmierzyć.

– Nie sądzisz, że minęło już wystarczająco wiele czasu? Oraz że zaproszenie do łóżka Heliona jest najgorszym możliwym sposobem radzenia sobie z tym?

Nie miałam wątpliwości, że Helion potrzebuje oderwać myśli od problemów równie mocno jak Mor. Od nieustannego myślenia o ludziach, których kochali – a z którymi nie mogli być.

– Mor i Azriel miewali przez stulecia różnych kochanków – powiedział, lekko poruszając skrzydłami. – Jedyne różnice jest tu w częstotliwości.

– Mówisz, jakby ci to zupełnie nie przeszkadzało.

Zatrzymałam się u stóp wielkiego łoża o barwie kości słoniowej, którego wezgielnie wyrzeźbiono na kształt dwóch zachodzących na siebie lilii wodnych. Rhys obejrzał się na mnie przez ramię.

– To ich życie i ich relacje. Oboje mieli mnóstwo czasu i okazji, żeby wyznać sobie nawzajem uczucia. Jednak tego nie zrobili. Zwłaszcza Mor. Jestem pewien, że ma ku temu osobiste powody. Moje mieszanie się w ich sprawy nie przyniesie nic dobrego.

– Ale... ale on ją kocha. Jak możesz przyglądać się temu beczynnemu?

– On uważa, że jej będzie lepiej bez niego. – Przez jego oczy przemknęło wspomnienie... swojego własnego wyboru pozostania na uboczu. – Uważa, że nie jest jej wart.

– To chyba wrodzona cecha Ilyrów.

Rhys parsknął i wrócił do studiowania gwiazd. Podeszłam i objęłam go w pasie. Rozwarł ramiona, by mnie przygarnąć, kładąc dłoń na moim ramieniu, podczas gdy ja wsparłam głowę o to miękkie miejsce, gdzie bark przechodzi w klatkę piersiową. Krótką chwilę później otoczyło mnie skrzydło, otulając ciepłem.

– Nadejdzie dzień – powiedział – w którym Azriel będzie musiał zdecydować, czy chce walczyć o Mor, czy pozwolić jej odejść. Ale nie stanie się to dlatego, że inny mężczyzna znieważy ją albo zabierze do łóżka.

– A co z Kasjanem? Jest w to wszystko zamotany... i pozwala na trwanie tego nonsensu.

Uśmiechnął się kpiąco.

– Kasjan również będzie musiał dokonać pewnych wyborów. I to, myślę, że już w najbliższej przyszłości.

– Czy on i Nesta...

– Nie wiem. Dopóki więź nie zaskoczy, nie jest łatwo ją wyczuć. – Rhys przełknął ślinę, nadal wpatrzony w gwiazdy. Czekałam więc cierpliwie. – Tamlin wciąż cię kocha, wiesz o tym.

– Wiem.

– To było okropne spotkanie.

– Wszystko tam było okropne – odpowiedziałam.

To, że Beron i Tamlin przywołali Amaranthę i co Rhys musiał wyjawiać...

– Czy z tobą wszystko w porządku? – zapytałam.

Wciąż czułam jego wilgotną dłoń w swojej, kiedy opowiadał, co robiła Amarantha.

Przesunął kciukiem wzdłuż mojego ramienia.

– To nie było... łatwe – wyjawiał. – Myślałem, że zwymiotuję na środku sali zebrania.

Przytuliłam go mocniej.

– Przykro mi, że musiałeś podzielić się tymi rzeczami. Przykro mi... przykro mi, że to wszystko musiało się wydarzyć.

Odetchnęłam głęboko jego zapachem. Jednak daliśmy radę – wszyscy daliśmy radę.

– Wiem też, że pewnie nie ma to wielkiego znaczenia, ale... jestem z ciebie dumna. Że miałaś dość odwagi, by im wszystkim to opowiedzieć.

– Nie mogę powiedzieć, że to nic nie znaczy – powiedziała łagodnie. – Że tak się czujesz wobec mnie, wobec tego, co dziś się wydarzyło. – Pocałował moją skroń, a wzdłuż naszej więzi potoczyła się fala ciepła. – To znaczy... – Jego skrzydło przygarnęło mnie bliżej. – Nie mam słów, by wyrazić, co to dla mnie znaczy.

Jednak dzięki tej miłości, radości i światłu płynącemu po naszej więzi... zrozumiałam.

Spojrzał na mnie w dół.

– A ty... czy z tobą wszystko w porządku?

Wtuliłam głowę w jego pierś.

– Po prostu czuję się... zmęczona. Smutna. Smutna, że to wszystko tak koszmarne wyszło. A mimo to... mimo to wściekła na to wszystko, co przydarzyło się mnie, moim siostrze. Ja... – Wypuściłam powietrze. – Kiedy byłam na Dworze Wiosny... – Przełknęłam z trudem. – Szukałam... ich skrzydeł.

Rhys kompletnie zamarł, wzięłam jego dłoń i mocno ścisnęłam.

– Znalazłaś je? – zapytał tylko.

Jego słowa były ledwie słyszalnym szeptem. Pokręciłam głową, ale zanim jego twarz okryła się żalem, powiedziałam:

– Dowiedziałam się, że je spalił. Już dawno temu.

Rhys przez dłuższą chwilę nie mówił nic, ponownie wpatrując się w gwiazdy.

– Dziękuję ci, że w ogóle o tym pomyślałaś; że zaryzykowałaś szukanie ich.

Jedyne śladu – okropnych pamiątek – po jego matce i siostrze.

– Nie... Cieszę się, że je spalił – przyznał Rhys. – Z radością zabiłbym go za wiele rzeczy, a jednak... – Potarł swoją pierś. – Cieszę się, że dał im przynajmniej ten spokój.

Pokiwałam głową.

– Wiem. – Musnęłam kciukiem wierzch jego dłoni. I może była to kwestia tej surowej, nagiej ciszy, że wyznałam: – Dziwnie się czuję, dzieląc z tobą sypialnię i łożę pod tym samym dachem, pod którym

przebywa on.

– Wyobrażam sobie.

Ponieważ gdzieś w tym pałacu w innym łóżu leżał Tamlin – doskonale zdając sobie sprawę z tego, że ja kładłam się właśnie u boku Rhysanda. Przeszłość – zagmatwana i wroga – wisiała między nami.

– Nie sędzę – wyszeptałam. – Nie sędzę, żebym mogła kochać się tutaj z tobą. Kiedy on jest tak blisko. – Rhys nie odezwał się. – Przepraszam jeśli...

– Nie musisz przeproszać. Nigdy.

Spojrzałam na niego, czując na sobie jego wzrok. Nie zły czy sfrustrowany, ale... smutny. Rozumiejący.

– Chcę jednak dzielić z tobą łóże – szepnęłam. – Potrzebuję, żebyś mnie przytulił.

W jego oczach zatańczyły gwiazdy.

– Zawsze – obiecał, całując moją skroń, a jego skrzydła całkowicie mnie spowiły. – Zawsze.

## Rozdział 48

**H**elion wymknął się z komnaty Mor, zanim się obudziliśmy – choć nie da się ukryć, że słyszałam ich nocą. Byli na tyle głośno, że Rhys postawił wokół naszej sypialni tarczę. Azriel i Kasjan nie wrócili.

Jednak Mor, skubiąc swoje śniadanie, nie sprawiała wrażenia kobiety, która właśnie spędziła noc w ramionach uroczego księcia. Z jej oczu ziała pustka, a złotawa zazwyczaj skóra zdawała się pobrać.

Wreszcie wparadował Kasjan, witając ją wesołym:

– Wyglądasz okropnie. Helion nie dał ci w nocy spać?

Rzuciła w niego łyżką. A potem resztą owsianki.

Kasjan złapał pierwsze, a przed drugim zasłonił się tarczą z syfonu, który rozbłysnął jak rozżarzający się węgielek. Owsianka zsunęła się smętnie na posadzkę.

– Helion chciał, żebyś do nas dołączył – odpowiedziała spokojnie, dolewając sobie herbaty. – Nalegał nawet.

– Może następnym razem – odpowiedział Kasjan, opadając na krzesło obok mnie. – Jak twoja siostra? – spytał.

– W porządku mniej więcej. Wciąż niespokojna.

Nie spytałam, gdzie byli z Azrielem całą noc. Głównie ze względu na Mor, która nie chciała by zapewne usłyszeć odpowiedzi.

Kasjan obsłużył się, nakładając sobie z półmisków owoców i pieczywa, marszcząc brwi na brak mięsa.

– Gotowi na kolejny dzień kłótni i spiskowania?

Mor i ja mruknęłyśmy niechętnie. Wtedy wszedł Rhys z włosami wciąż wilgotnymi po kąpieli i uśmiechnął się szeroko.

– No, to jest właściwe podejście.

Pomimo niezachęcającej perspektywy nadchodzącego dnia uśmiechnęłam się do niego.

Całą noc trzymał mnie w ramionach, wtuloną w jego pierś, a jego skrzydła owijały mnie ciasno. Był to zupełnie inny rodzaj intymności



niż seks – o wiele głębszy. Nasze dusze splotły się ze sobą i tuliły mocno.

Obudziłam się z jego skrzydłem wciąż obejmującym mnie całą. Jego oddech łaskotał mnie w ucho. Kiedy przyglądałam się jego twarzy, aż mi zaparło dech w piersi, a serce ścisnęło mi się niemal do bólu. Dobrze wiedziałam, jak szaleńczo go kocham, ale widząc go wtedy... czułam to każdą komórką ciała; czułam, jakby świadomość ta miała mnie zgnieść, pochłonąć. Następnym razem, kiedy ktoś go znieważy...

Ta myśl wciąż krążyła po mojej głowie, kiedy skończyliśmy jeść, ubraliśmy się i powróciliśmy do komnaty na szczycie pałacowej wieży. Żeby rozpocząć formowanie szkieletu tego sojuszu.

Ponownie założyłam koronę, ale mieniącą się suknię z poprzedniego dnia zmieniałam na migotliwą czerń. Nowa szata uszyta została z jednolitego jedwabiu, na który nałożono drugą, przejrzystą obsydianową warstwę. Jej spódnica była zwiewna, a wąskie rękawy zakończone w zachodzące na dłoń trójkąty, mocowane do zakładanych na środkowe palce pierścieni z onyksami. Jeśli wczoraj byłam upadłą gwiazdą, to dziś tajemniczy krawiec Rhysa uczynił ze mnie królową nocy.

Pozostali również ubrali się odpowiednio.

Wczoraj byliśmy sobą – otwarci, przyjacielscy i ciepli.

Dzisiaj pokazaliśmy innym dworom, co możemy wypuścić na wroga.

Do czego jesteśmy zdolni, jeśli zostaniemy sprowokowani.

Helion powrócił znowu do swojej aroganckiej wyniosłości, rozkładając się na swoim krześle w tej ślicznej komnacie z sadzawką. Rzucił Mor spojrzenie, a usta rozciągnęły mu się w zmysłowym, lekko rozbawionym uśmiechu. Dziś wyglądał równie olśniewająco co wczoraj – w kobaltowych szatach lamowanych złotem, które pięknie kontrastowały z jego lśniącą brązową skórą, i złotych sandałów. Cienie Azriela snujące się wokół jego ramion i stóp kompletnie zignorowały księcia, kiedy przechodził obok niego. Pieśniarz cieni nie okazał też ani krztyny emocji w stosunku do Mor, kiedy mijali się w przedpokoju.

Nie spytała, gdzie był całą noc i rano, a on sam nie zdradził się ani słowem.

Jednak nie wyglądało to, jakby zamierzał ją ignorować. Po prostu usiadł na swoim wczorajszym miejscu i podjął zwyczajną cichą obserwację. Mor rada była pozwolić mu postąpić, jak chce. Rozluźniła ramiona z ulgą, kiedy pojawił się, by zaprowadzić nas na spotkanie – widać przed chwilą sam sprawdził drogę.

Thesan był jedyną osobą, która raczyła nas przywitać, kiedy przeszliśmy pod obrośniętym glicynią łukiem, ale rzuciwszy jedno spojrzenie na nasze stroje i twarze, wyszeptał modlitwę do Kotła. Jego ukochany, ponownie odziany w zbroję kapitana, przyjrzał się nam taksująco, a jego skrzydła nastroszyły się nieco, ale nie wstał ze swego miejsca pomiędzy innymi peregrynami.

Tamlin przybył ostatni, rzucając na nas okiem, kiedy siadał. Nie zaszczyciłam go nawet jednym spojrzeniem.

Helion nie czekał na znak Thesana, by rozpocząć spotkanie. Położył tylko stopę na kolanie i powiedział:

– Przystudiowałem dokładnie rejestry i spisy, które dostarczyłeś, Tamlinie.

– I? – warknął Tamlin.

A dzisiejszy dzień zapowiadał się tak dobrze.

– I – odpowiedział już nie ten sam roześmiany mężczyzna z wczoraj – jeśli uda ci się szybko zebrać swoje siły, macie szansę z Tarquinem utrzymać linię frontu dość długo, by inni mogli przybyć z północy z posiłkami.

– To nie takie proste – wycedził Tamlin przez zęby. – Pozostała mi zaledwie trzecia część pierwotnych sił. – Posłał mi wściekłe spojrzenie. – Po tym jak Feyra zniszczyła ich wiarę we mnie.

Zrobiłam to – w szale, z żądzy zemsty... Nie myślałam o długofalowych skutkach. Nie rozważałam, że może będziemy potrzebować tej armii. Ale...

Nesta z sykiem wypuściła powietrze i nagle wystrzeliła ze swego miejsca. Rzuciłam się ku niej, niemal przewracając się o własną spódnicę, podczas gdy ona zatoczyła się w tył, łapiąc się za serce. Jeszcze jeden krok i wpadłaby do sadzawki, jednak Mor zerwała się

ze swego miejsca i chwyciła ją mocno.

– Co się stało? – zapytała, podtrzymując moją siostrę, której twarz wykrzywiona była w czymś, co wyglądało na... ból. Zagubienie i ból.

Na czoło Nesty wystąpiły krople potu, a jej twarz przybrała trupio blady odcień.

– Coś... – jej słowa przerwał niski jęk.

Opadła bez sił, pozwalając Mor chwycić się mocniej i uważnie przyjrzeć się jej twarzy. Kasjan natychmiast pojawił się obok, kładąc dłoń na jej plecach, szczerząc zęby ostrzegawczo.

– Nesto – zaczął, wyciągając ku niej rękę.

Nesta wzdrygnęła się – po czym okręciła wokół Kasjana i opróżniła zawartość żołądka do sadzawki.

– Trucizna? – spytał Kallias, zagarniając za siebie Viviane.

Ona jednak spokojnie uniknęła jego ramienia. Tamlin nie wstał, tylko z zaciśniętą szczęką obserwował całe zajście.

Helion i Thesan podeszli bliżej, poważni i skupieni. Moc Heliona skrzyła się wokół niego niczym oślepiająco jasne świetliki, które popędziły w stronę mojej siostry i delikatnie na niej osiadły.

Thesan, jaśniejąc złotoróżową poświatą, położył dłoń na ramieniu Nesty. Próbował ją uzdrowić.

– Nic – powiedzieli jednocześnie.

Nesta wsparła głowę o ramię Mor, jej oddech wciąż był rwany.

– Coś jest nie tak – wykrztusiła. – Nie ze mną. Nie ze mną.

Ale z Kotłem.

Rhys prowadził jakiś rodzaj milczącej dyskusji z Azrielem i Kasjanem, ten drugi nawet na chwilę nie spuścił wzroku z mojej siostry. W końcu obaj Ilyrowie skinęli Rhysowi głowami i skierowali się w stronę otworów okiennych – żeby wylecieć na zewnątrz. Nesta zajęczała, jej ciało napięło się, jakby znów miała zwymiotować. Wtedy wszyscy to poczuliśmy.

Drżenie samej ziemi. Przenikające powietrze, kamień i zielen roślin. Jakby jakieś potężne bóstwo przemknęło przez sam ląd.

Wtedy przyszło uderzenie. Rhys rzucił się ku mnie tak szybko, że nie do końca zarejestrowałam, że cała góra się zatrzęsała, że sam

budynek się zachwiał. Uderzyliśmy o kamienie, a na nas posypały się okruchy gruzu. Poczułam, jak szykuje się do przeskoczenia...

Wówczas wszystko ucichło. W dolinie pod nami rozległy się krzyki. Jednak w pałacu zalegała cisza. Wśród nas.

Nesta ponownie zwymiotowała, a Mor pozwoliła jej osunąć się na posadzkę.

Pierwszy odezwał się Helion:

– Co, na demony...

Rhys zwlókł się ze mnie, a jego smagła twarz była ziemiście blada, usta zaś bezkrwiste. Patrzył na południe. Daleko, daleko na południe.

Poczułam, jak wystrzeliwuje z niego moc, pędząc jak strzała poprzez krainę.

Kiedy spojrział na nas z powrotem, jego wzrok od razu spotkał się z moim. Malował się w nich strach – smutek i strach – które sprawiły, że kompletnie zaschło mi w gardle, a krew zamarzła w żyłach.

Rhys z trudem przełknął ślinę. Raz. Drugi. Po czym odezwał się chrapliwym głosem:

– Król Hybernii właśnie użył Kotła, by zaatakować mur.

Rozległy się szepty – kilka osób nerwowo wciągnęło powietrze.

Rhys przełknął po raz trzeci i potwierdził.

– Muru już nie ma. Został zniszczony. – Poczułam się, jakby grunt usuwał mi się spod nóg. – Zarówno w Prythianie, jak i na kontynencie – dodał, jakby chciał przekonać samego siebie. – Spóźniliśmy się. Działaliśmy za wolno. Hybernijczycy właśnie zniszczyli mur.

## Rozdział 49

**P**owiązanie Nesty z Kotłem – zastanawiał się Rhys, kiedy zebraliśmy się wokół stołu jadalnianego w naszym miejskim domu – pozwoliło jej wyczuć, że król Hybernii zbierał swoją moc.

W ten sam sposób, w jaki ja mogłam władać połączeniami z pozostałymi książętami i wyczuwać ich moce, znaleźć Księżę i Kocioł, moc Nesty – jej nieśmiertelność – była ściśle powiązana z koszmarną obecnością Kotła, która przebudzona przepływała również przez nią. Dlatego właśnie na nią polowali. Nie tylko ze względu na potęgę, którą skradła... ale ponieważ Nesta była swoistym systemem wczesnego ostrzegania.

Opuściliśmy Dwór Świtu w kilka minut od tamtego zajścia. Thesan obiecał dostarczyć w ciągu dwóch dni pokaźny transport antidotum na zgubę fae dla armii każdego z książąt, a także oznajmił, że peregryni będą się szykowali pod okiem swojego kapitana – by dołączyć do Ilyrów w powietrzu.

Kallias i Helion przyrzekli, że ich własne lądowe armie wyruszą tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Jedynie Tamlin, którego południowa granica przylegała na całej długości do muru, miał wytłumaczenie – jego armia była w rozsypce. Gdy Tamlin zbierał się już do wyjścia, Helion zaczął go jeszcze.

– Ewakuuj swoich ludzi. Przyprowadź takie siły, jakie zdołasz zebrać.

Cokolwiek zostało po moich działaniach.

Tarquin przytaknął, dodając obietnicę zapewnienia schronienia wszystkim mieszkańcom Dworu Wiosny. Tamlin nie odpowiedział żadnemu z nich. Nie potwierdził również, że przyprowadzi jakiegokolwiek siły, po prostu przeskoczył – znów nie rzucając mi nawet przelotnego spojrzenia. Może to i lepiej, bo nie mogłam się zdecydować, czy zażądać od niego obietnicy pomocy, czy splunąć mu w twarz.

Pożegnania były krótkie. Viviane objęła ciasno Mor, a potem ku mojemu zdziwieniu, także mnie. Kallias tylko uścisnął dłoń Rhysa nerwowym, ostrożnym gestem i zniknął razem ze swoją towarzyszką.

Potem odszedł Helion, puszczając do nas wszystkich oko. Ostatni wyruszył Tarquin z Varianem i Kresejdą. Zdecydowali, że jego flota zostanie bronić w razie potrzeby portów, a reszta żołnierzy pomaszeruje na południe lądem.

Głęboko niebieskie oczy Tarquina zapłonęły ogniem, kiedy zbierał moc, by przeskoczyć wszystkich do domu. Varian zdążył jeszcze powiedzieć – do mnie, do Rhysa:

– Powiedzcie jej, że dziękuję. – Położył dłoń na piersi; srebrno-złoty haft na morskim kaftanie zalśnił w porannym słońcu. – Powiedzcie jej... – Księżę Adriaty pokręcił głową. – Sam jej powiem, kiedy się znów zobaczymy.

Potem zniknęli.

Wyglądało to bardziej na obietnicę, że się zobaczą, niezależnie od wojny.

Gdy żegnaliśmy się z Thesanem i wyrażaliśmy wdzięczność za gościnę, od Berona wciąż nie przyszła żadna wiadomość. Ani słowa sugerującego, że mógł ewentualnie zmienić zdanie. Bądź też, że Eris go przekonał.

Jednak nie to zaprzętało głowę moją i Nesty.

Jeśli padł mur... Spóźniliśmy się. To oznaczało, że się spóźniliśmy. Wszelkie poszukiwania i studiowanie Księgi... Powinnam była upierać się, żeby w chwili, gdy Amrena uznała, że NESTA już jest prawie gotowa, wyruszyć pod mur. Przekonać się, co uda jej się osiągnąć – z zaklęciem z Księgi czy bez niego.

Być może była to moja wina, ponieważ chciałam ją chronić, żeby najpierw mocno stanęła na nogi, ponieważ pozwoliłam jej na ciągłe wycofywanie się. Ale jeśli napierałabym na nią bez ustanku...

Nawet teraz, kiedy siedzieliśmy przy jadalnianym stole w domu w Velaris, nie byłam pewna, czy potencjalne ryzyko kompletnego zniszczenia psychiki mojej siostry było zbyt wysokim kosztem ocalenia wielu istnień, czy nie. Nie wyobrażałam sobie, jak Rhys

i inni mogli podejmować takie decyzje – przez lata. Zwłaszcza podczas rządów Amaranthy.

– Powinniśmy zarządzić ewakuację miesiące temu – powiedziała Nesta znad nietkniętego talerza pieczonego kurczaka z warzywami.

To były pierwsze słowa, jakie wykrztusił ktokolwiek z nas, kiedy apatycznie dziobaliśmy jedzenie.

Elaina wiedziała już – od Amreny. Siedziała teraz przy stole bardziej wyprostowana i z jaśniejszym spojrzeniem niż zazwyczaj. Czy widziała to w swoich podróżach, gdziekolwiek wędrowała swoim wewnętrznym okiem? Czy Kocioł szeptał jej o tym, kiedy nas nie było? Nie miałam serca jej pytać.

Rhys zwrócił się do Nesty:

– Możemy wybrać się do waszej posiadłości dziś wieczór. Ewakuować wszystkich i przynieść ich tutaj.

– Nie zgodzą się.

– W takim razie najprawdopodobniej zginą.

Nesta ułożyła nóż i widelec równo obok talerza.

– Nie możesz przenieść ich gdzieś na południe, daleko stąd?

– Taka liczba ludzi? Bez zapewnienia im bezpiecznego miejsca, co zajęłoby czas, którego nie mamy, nie. – Zastanowił się. – Jeśli udałoby nam się zdobyć statek, mogliby popłynąć...

– Zażądamy, by ich rodziny i przyjaciele do nich dołączyli.

Chwila ciszy. Wtem rozległ się cichy głos Elainy:

– Moglibyśmy przenieść ich do posiadłości Graysena.

Wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni spokojem w jej głosie.

Przełknęła, jej blada szyja poruszyła się.

– Posiadłość jego ojca ma wysokie mury, wzniesione z grubego kamienia. Wewnątrz jest mnóstwo miejsca zarówno dla ludzi, jak i na zapasy. – Wszyscy usilnie staraliśmy się nie patrzeć na pierścień, który wciąż nosiła na palcu. – Jego ojciec planował coś podobnego... od dłuższego czasu. Mają spichlerze, żołnierzy... – Wzięła płytki oddech. – Jak również jesionowe zagajniki ze składami broni wykonanej z tego drewna.

Z gardła Kasjana wydobył się warkot. Pomimo ich mocy, potęgi... Jakkolwiek te drzewa zostały stworzone, coś w nich przebijało

z łatwością mechanizmy obronne fae. Widziałam to na własne oczy – jeden ze strażników Tamlina został zabity jesionową strzałą, która przeszła mu gardło.

– Jeśli fae, którzy ich zaatakują, władają magią – powiedział Kasjan, a Elaine aż odrzuciło na szorstki ton jego głosu – to grube mury nie na wiele się zdadzą.

– Mają tunele do ucieczki – szepnęła. – Może to jednak lepsze niż nic.

Ilyrowie wymienili między sobą spojrzenia. Kasjan odezwał się wreszcie:

– Moglibyśmy postawić strażę...

– Nie – przerwała mu Elaine; jej głos nie brzmiał tak mocno od miesięcy. – Oni... Graysen i jego ojciec...

Szczeka Kasjana zeszywniała.

– W takim razie obłożyć zakłęciami ochronnymi...

– Mają brytany. Hodowane i trenowane specjalnie, by nas was polować. By was wykrywać.

Zapadła krępująca cisza, kiedy moi przyjaciele zastanawiali się, jak właściwie te brytany były trenowane.

– Przecież nie chcesz pozostawić zamku kompletnie niechronionego – próbował tłumaczyć łagodnie Kasjan. – Nawet jeśli mają jesion, to nie wystarczy. Musimy przynajmniej umieścić tam bariery.

Elaine zastanawiała się przez chwilę.

– Mogłabym z nim pomówić.

– Nie – zaprotestowałam.

W tej samej chwili co Nesta.

Jednak Elaine nie dała nam dojść do głosu.

– Jeśli... jeśli wy i... – Rzut oka na Rhysa i pozostałych. – Jeśli pójdziecie ze mną, wasz zapach fae może zmylić psy.

– Ty również jesteś fae – przypomniała jej Nesta.

– Zmień mój wygląd zakłęciami – powiedziała... do Rhysa. – Spraw, żebym wyglądała jak człowiek. Tylko na czas, by przekonać go do otwarcia wrót dla tych, którzy będą szukali u niego schronienia. Być może nawet pozwoli wam umieścić te bariery



wokół posiadłości.

Z naszymi zapachami mającymi zmylić psy...

– To się może bardzo źle skończyć, Elaino.

Musnęła kciukiem swój żelazny pierścionek zaręczynowy z diamentem.

– To już się źle skończyło. Teraz to tylko kwestia podjęcia decyzji, jak poradzimy sobie z konsekwencjami.

– Mądre słowa – rzuciła Mor, uśmiechając się miękko do Elainy, po czym spojrzała na Kasjana. – Musisz ruszyć legiony Ilyrów jeszcze dzisiaj.

Kasjan skinął głową, ale odezwał się do Rhysa:

– Ze względu na to, że mur upadł, musisz dobitnie wyjaśnić Ilyrom kilka spraw. Chciałbym, żebyś udał się ze mną do obozu i wygłosił jedną z tych swoich ładnych mówek, zanim wyruszymy.

Kąciki ust Rhysa drgnęły uśmiechem.

– Możemy wyruszyć wszyscy, a potem ciągnąć dalej, w stronę ludzkich ziem. – Przyjrzał się nam, potem rozejrzał po domu. – Mamy godzinę na przygotowanie się. Spotykamy się z powrotem tutaj, a potem wyruszamy.

Mor i Azriel natychmiast przeskoczyli, Kasjan ruszył w stronę Rhysa, rozpytać go o Dwór Koszmarów i przygotowania ich żołnierzy.

Nesta i ja skierowałyśmy się ku Elainie, zaczynając mówić jednocześnie.

– Czy jesteś tego pewna? – spytałam.

– Ja mogę pójść... pozwól mi z nim pomówić – zaoferowała Nesta.

Elaina wstała z krzesła.

– On cię nie zna – zwróciła się do mnie, po czym rzuciła Neście rozbawione spojrzenie. – A ciebie nie znosi.

Jakaś paskudna część moich myśli zastanawiała się, czy w takim razie nie było lepiej, że ich zaręczyny zostały zerwane. Albo czy Elaina w jakiś sposób nie zasugerowała tej wizyty właśnie wtedy, kiedy Lucien opuścił Prythian, żeby mieć jakąś szansę... Nie pozwoliłam sobie nawet dokończyć tej myśli.

– Chciałabym, żebyś mnie dobrze zrozumiała, Elaino – powiedziałam, spoglądając na miejsce, z którego zniknęli moi przyjaciele – że jeśli to pójdzie źle... jeśli spróbuje skrzywdzić ciebie lub kogokolwiek z nas...

– Wiem. Będziecie bronić swoich.

– Będę bronić *ciebie*.

Jej oczy znów stały się puste i zamglone. Jednak podniosła głowę.

– Tylko nie zabijajcie go, niezależnie od wszystkiego. Proszę.

– Postaramy się...

– Przysięgnij. – Nigdy wcześniej nie słyszałam u niej podobnego tonu. Nigdy.

– Nie mogę ci tego obiecać. – Nie mogłam się ugiąć, nie w tym przypadku. – Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, by tego uniknąć.

Wyglądało na to, że Elaina również zdała sobie z tego sprawę. Spojrzała na swoją prostą niebieską sukienkę.

– Muszę się przebrać.

– Pomogę ci – zaoferowała Nesta, jednak Elaina pokręciła głową.

– Nuala i Cerridwena mi pomogą.

Po tych słowach oddaliła się, jednak jakby bardziej wyprostowana.

Krtań Nesty poruszyła się.

– To nie była twoja wina – szepnęłam – że mur upadł, zanim mogliśmy to powstrzymać.

– Jeśli zostałambyś ćwiczyć... – Wbiła we mnie spojrzenie stalowoszarych oczu.

– To siedziałabyś tutaj, czekając na nasz powrót ze spotkania.

Nesta wygładziła fałdy swojej ciemnej sukienki.

– Co mam teraz zrobić?

Sens życia i działania – zdałam sobie sprawę z tego, że przydzielając jej zadanie naprawienia muru... dałam jej coś, czego nasze ludzkie życia nigdy wcześniej jej nie dały: cel, do którego może dążyć.

– Oczywiście pójdiesz z nami, do posiadłości Graysena, a potem dalej z armią. Jeśli masz połączenie z Kotłem, potrzebujemy, żebyś

była blisko. Potrzebujemy, żebyś mogła nas powiadomić w chwili, w której cokolwiek zacznie się z nim dziać.

Nie była to może misja ratowania świata, ale Nesta i tak pokiwała głową.

W tym momencie Kasjan poklepał Rhysa po ramieniu i podszedł do nas. Zatrzymał się o krok przed nami i zmarszczył brwi.

– Sukienki nie bardzo nadają się do latania, moje panie.

Nesta nie odpowiedziała.

– Dzisiaj nie będzie warczenia i szczekania? – zapytał z uniesionymi brwiami.

Ale Nesta nawet nie podniosła głowy. Jej twarz wciąż była blada i nosiła ślady wyczerpania.

– Nigdy nie założę spodni – odparła.

Przysięgłabym, że przez twarz Kasjana przebiegł wyraz zatroskania. Jednak odpędził go i rzucił kpiąco:

– Bez wątpienia wznieciłabyś zamieszki, gdybyś to zrobiła.

Żadnej reakcji. Czy Kocioł...

Kasjan zastąpił jej drogę, kiedy próbowała go wyminąć. Położył na jej czole opaloną dłoń o stwardniałej skórze. Próbowala ją strącić, ale chwycił ją za nadgarstek, zmuszając do spojrzenia mu w oczy.

– W chwili, w której jeden z tych śmiertelnych dupków będzie próbował coś ci zrobić – szepnął – zabijasz go.

On nie mógł z nami iść – nie, on w tym czasie będzie szykował legiony Ilyrów do wyruszenia w pełnej gotowości bojowej. Jednak Azriel miał do nas dołączyć.

Kasjan wcisnął Neście do ręki jeden ze swoich noży.

– Jesion może cię teraz zabić – powiedział cichym, ale śmiertelnie poważnym głosem, podczas gdy ona wpatrywała się w podane jej ostrze. – Nawet zadrapanie może sprawić, że osłabniesz; na tyle, by wyłączyć cię z walki. Zawsze pamiętaj, gdzie w każdym pomieszczeniu są wyjścia, każde ogrodzenie i dziedziniec, zaznacz je w pamięci, kiedy będziecie wchodzić. Obserwuj również, ilu ludzi cię otacza. Zawsze miej w zasięgu wzroku Rhysa i pozostałych. Nie zapominaj, że jesteś teraz szybsza i silniejsza. Celuj w miejsca

miękkie – dodał, zamykając jej palce na rękojeści noża. – A jeśli ktoś cię spróbuje unieruchomić chwytem...

Moja siostra nie odezwała się ani słowem, kiedy Kasjan pokazywał jej wrażliwe miejsca na ciele mężczyzny. Nie tylko krocze, ale wnętrze stopy, wewnętrzną część uda. Pokazał jej, jak użyć własnego łokcia jak broni. Kiedy skończył, odstąpił krok, a jego piwne oczy przepełniało uczucie, którego nie potrafiłam nazwać.

– Mówiłem ci, żebyś przyszła na trening – powiedział z pewnym siebie uśmiechem i odszedł sprężystym krokiem.

Przyglądałam się siostrze, sztyletowi, znów jej cichej, nieruchomej twarzy.

– Nawet nie zaczynaj – ostrzegła mnie, po czym udała się w stronę schodów.

\*\*\*

Znalazłam Amrenę w jej mieszkaniu przeklinającą Księgę.

– Wyruszamy za godzinę – powiedziałam. – Masz wszystko, czego ci trzeba?

– Tak – odparła.

Podniosła głowę, a jej skośne srebrne oczy przepełniała wściekłość. Nie na mnie, co stwierdziłam ze sporą ulgą. Na fakt, że Hybernijczycy wyprzedzili nas w wyścigu do muru. Wyprzedzili ją.

To jednak nie był mój problem. Nie, kiedy przypominałam sobie na powrót słowa Książąt. Nie, kiedy przed oczami stawał mi Beron opuszczający spotkanie bez obietnicy przysłania jakichkolwiek sił. Nie, kiedy słyszałam Rhysa i Kasjana dyskutujących, jak niewielu żołnierzy posiadaliśmy wszyscy w porównaniu z siłami Hybernii.

Drwiny króla, choć minęło już kilka dni, wciąż odbijały się echem w mojej głowie.

Oczekiwaliśmy, że da z siebie wszystko – *wszystko* – by ich powstrzymać. Powiedział tylko, że pozwoli nam się bronić. A ja znałam mojego towarzysza. Może lepiej niż samą siebie. Wiedziałam, że Rhys poświęci ostatnią kroplę krwi, zniszczy samego siebie, jeśli miałoby nam to dać szansę zwycięstwa. Szansę przeżycia.

Pozostali książęta... Nie mogłam ryzykować liczenia na nich. Helion, choć niezwykle potężny, nie interweniował nawet, by ratować swoją ukochaną. Może Tarquin. Ale inni... Nie wiedziałam. Nie miałam czasu się zastanawiać. I nie zamierzałam. Nie mogłam liczyć na świeżo zawiązany sojusz. Nie zaryzykuję Rhysa.

– Czego chcesz? – warknęła Amrena, kiedy stanęłam przed nią.

– Ta istota pod biblioteką. Wiesz, kim jest?

Amrena zatrzasnęła Księgę.

– Nazywa się Bryaksis.

– Czym właściwie jest?

– Nie chcesz wiedzieć, dziewczyno.

Odsunęłam rękaw mojej czarnej sukni, jej wspaniałość dziwnie kontrastowała z zabałaganionym mieszkaniem.

– Zawarłam z nią układ. – Pokazałam jej tatuaż: obręcz na przedramieniu. – Więc myślę, że jednak chcę.

Amrena wstała, otrzepując szare spodnie.

– Słyszałam o tym. Głupia dziewczyna.

– Nie miałam wyboru. Teraz jesteśmy ze sobą związane.

– I co w związku z tym?

– Chcę zawrzeć z nią kolejny układ. Chciałabym więc, żebyś obejrzała bariery, które ją tam trzymają. I wyjaśniła pewne rzeczy.

Nie starałam się wyglądać na przyjacielską. Ani też zdesperowaną. Ani wdzięczną. Nie próbowałam nawet zetrzeć z twarzy zimnej hardej maski.

– Idziesz ze mną – dodałam nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Natychmiast.

## Rozdział 50

Tym razem nie czekała na nas żadna kapłanka, która poprowadziłaby nas w czarną głębię pod biblioteką. Amrena zaś wyjątkowo milczała.

Osiągnęliśmy wreszcie najniższy poziom, tę nieprzeniknioną ciemność, w której rozbrzmiewał tylko odgłos naszych kroków.

– Chcę z tobą pomówić – powiedziałam w ciemność rozciągającą się poza obrębem światła docierających z wyższych poziomów.

„Mnie nikt nie przyzywa”.

– Ja cię przyzywam. Jestem tu, by zaoferować ci towarzystwo. Jako część naszej umowy.

Cisza.

Potem zaś poczułam to: wijące i owijające się wokół nas, pochłaniające jakiegokolwiek światło.

„Przywiodłaś – co to jest, co ze sobą przywiodłaś?”.

– Kogoś takiego jak ty. Albo kogoś podobnego do tego, kim ty mogłabyś się stać.

„Mówisz zagadkami”.

Chłodna bezcielesna dłoń musnęła mój kark, wysiłkiem woli zmusiłam się, by nie cofnąć się w stronę światła.

– Bryaksis. Masz na imię Bryaksis. Ktoś zamknął cię tutaj dawno, dawno temu. Przyszłam, by zaoferować ci kolejny układ.

Amrena wciąż nie ruszała się i milczała, tak jak jej poleciłam, tylko skinęła głową twierdząco. Była w stanie przeciąć więzy trzymające tu tę istotę – kiedy nadejdzie czas.

– W naszym świecie wybuchła wojna – powiedziałam, starając się utrzymać spokojny ton. – Straszliwa wojna za chwilę rozleje się po całej krainie. Jeśli zdołam cię oswobodzić, czy będziesz walczyć u mego boku? Dla mnie i mojego księcia?

Istota – Bryaksis – nie odpowiedziała.

Stuknęłam Amrenę łokciem.

– W zamian za to oferujemy ci wolność od tego miejsca – powiedziała, a jej głos brzmiał tak samo, jednocześnie młodo i staro, jak tej istoty.

Układ. Prosta potężna magia. Tak wielka, jak wielką można wyciągnąć z księgi zaklęć.

„To jest mój dom”.

Zastanowiłam się.

– A więc czego byś chciała w zamian za twoją pomoc?

Cisza.

„Światło słońca. I księżyc. Gwiazdy”.

Już otworzyłam usta, żeby powiedzieć, że nawet księżna Dworu Nocy nie byłaby raczej w stanie spełnić podobnej obietnicy, ale Amrena nadepnęła mi na stopę i mruknęła.

– Okno. Wysoko w górze.

Nie lustro, jak chciał Rzeźbiący. Ale okno wykute w górze.

Musielibyśmy przekuć się przez ładny kawał skały, ale...

– Czy to wszystko?

Bryaksis wyszeptała do mojego ucha:

„Czy będę mogła polować bez oporu na polu bitwy? Pić ich strach i grozę, *póki nie będę miała dość?*”.

Niemal żal mi się zrobiło Hybernijczyków, gdy odpowiadałam:

– Tak, jednak tylko Hybernijczyków. I tylko do chwili, gdy wojna się zakończy.

W ten czy inny sposób.

Chwila ciszy.

„Co w takim razie miałabym zrobić?”.

Wskazałam na Amrenę.

– Ona ci wszystko wyjaśni. To ona również zdejmie bariery, kiedy będziemy cię potrzebowali.

„W takim razie zaczekam”.

– No to mamy umowę. Ty podporządkujesz się naszym rozkazom podczas tej wojny, będziesz walczyć dla nas, póki nie będziemy cię dłużej potrzebowali, a w zamian... przyniesiemy ci słońce, księżyc i gwiazdy tutaj, do twojego domu.

Kolejny więzień, który pokochał swoją celę. Może Bryaksis

i Rzeźbiący powinni się spotkać. Starożytne bóstwo śmierci i uosobienie koszmarów. W najgłębszych zakamarkach mojego umysłu zaczął się kształtować straszliwy obraz, który kusiłoby, żeby namalować.

Staralam się nie napinać ramion i utrzymać postawę tak swobodną, na jaką potrafiłam się zdobyć, podczas gdy wokół mnie, między mną i Amreną prześlizgiwała się i wiła ciemność, która ostatecznie wyszeptała mi do ucha:

„No to mamy umowę”.

\*\*\*

Dobrze wykorzystałam tę godzinę. Kiedy prawie wszyscy zebraliśmy się w holu domu w Velaris, szykując się do przeskoczenia do obozu Ilyrów, byłam już przebrana w bojową skórnię, która zakrywała mój nowy tatuaż.

Nikt nie próbował dochodzić, gdzie byłam. Tylko Mor rzuciła na mnie okiem i spytała:

– Gdzie jest Amrena?

– Wciąż ślęczy nad Księgą – odpowiedziałam w chwili, w której Rhys przeskoczył do nas.

Nie było to w zasadzie kłamstwo. Amrena naprawdę zostanie tu – aż do chwili, kiedy będzie potrzebna na polu bitwy.

Rhys przechylił głowę.

– Szukając czego? Muru już nie ma.

– Czegokolwiek – powiedziałam. – Innego sposobu na zniwelowanie mocy Kotła niż ten, od którego mózg może mi wypłynąć uszami.

Rhys skrzywił się i chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie dałam mu dojść do słowa.

– Musi być inny sposób. Amrena sądzi, że po prostu *musi*. Nie zaszkośli poszukać. Może oprócz tego znajdzie jeszcze jakieś inne zaklęcia zdolne pomóc w powstrzymaniu króla.

Kiedy zaś tego nie robiła, rozmontowywała skomplikowany system barier więżący Bryaksis pod biblioteką – żeby móc przeciąć ostatnie zaklęcie, kiedy ją wezwę. Dopiero w momencie, w którym



spadnie na nas cała potęga hybrydycznej armii. Jeśli nie byłam w stanie zdobyć dla Rzeźbiącego Uroborosa... Bryaksis była lepsza niż nic.

Sama nie byłam pewna, dlaczego nie wspomniałam o tym pozostałym. W oczach Rhysa dostrzegłam niepokój, z pewnością bił się z myślami, ile kosztowałoby mnie przyjęcie innej strategii wobec Kotła, ale pokiwał tylko głową.

Splotłam swoje palce z jego, a on ścisnął moją dłoń.

Za mną Mor wzięła za ręce Nestę i Kasjana, szykując się do przeskoczenia ich do obozu, podczas gdy wokół Azriela zebrały się cienie, na które stojąca obok niego Elaina patrzyła szeroko rozwartymi oczami.

Jednak wciąż się wahaliśmy – wszyscy. Pozwoliłam sobie po raz ostatni wypalić ten obraz w pamięci: meble, drewno i promienie słońca. Posłuchać odgłosów Velaris, śmiechu dzieci na ulicach i krzyków mew.

W panującej ciszy wiedziałam, że moi przyjaciele robią to samo.

Rhys odchrząknął wreszcie i skinął głową na Mor, która po chwili zniknęła z Nestą i Kasjanem. Wówczas Azriel delikatnie ujął dłoń Elainy, jakby obawiał się, że jego blizny ją zranią.

Gdy zostałam sama z Rhysem, chwilę rozkoszowałam się miękkimi promieniami słońca wlewającymi się przez szybki drzwi frontowych. Odetchnęłam zapachem chleba, który Nuala i Cerridwena piekły z Elainą tego ranka.

– Istota z biblioteki – szepnęłam – ma na imię Bryaksis.

Rhys uniósł brew.

– O?

– Zawarłam z nią kolejny układ. Żeby walczyła po naszej stronie. W jego fioletowych oczach zatańczyły gwiazdy.

– I cóż na to Bryaksis?

– Tylko tyle, że chce okno, żeby móc widzieć słońce i księżyc.

– Wyjaśniłaś jej, że oczekujemy, że będzie wyrzynać naszych wrogów, prawda?

Szturchnęłam go biodrem.

– Biblioteka jest jej domem. Chce tylko pewnych udogodnień.

Na twarzy Rhysa pojawił się krzywy uśmiech.

– Cóż, myślę, że teraz, kiedy będę musiał zmienić wystrój wewnątrz, żeby dorównać przepychowi Thesana, mogę kazać wykuć biedactwu okno.

Dźgnęłam go tym razem łokciem w żebra. Roześmiał się. Wciąż miał na sobie wspaniałe szaty ze spotkania.

– A więc nasza armia zyskała jeszcze jeden atut. Biedny Kasjan nigdy chyba nie dojdzie do siebie, kiedy zobaczy swojego najnowszego rekruta.

– Miejmy nadzieję, że Hybernijczycy również nie.

– A co z Rzeźbiącym?

– Może sobie zgnić tam na dole. Nie mam czasu bawić się w jego gierki. Bryaxis będzie musiała wystarczyć.

Rhys spojrzał na moje ramię, jakby był w stanie dojrzeć ukrytą drugą obręcz wytatuowaną obok pierwszej. Uniósł nasze splecione ręce i ucałował wierzch mojej dłoni.

Ponownie w milczeniu rozejrzeliśmy się wokoło, zapisując w pamięci każdy szczegół domu pogrążonego teraz w zalegającej w nim jak warstwa kurzu ciszy.

– Ciekaw jestem, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczymy – odezwał się Rhys łagodnie.

Wiedziałam, że nie ma na myśli tylko konkretnie domu. Uniosłam się na palce i pocałowałam go w policzek.

– Zobaczymy – obiecałam, kiedy czarny wiatr zagarniał nas, by ponieść już do wojskowego obozu Ilyrów. – Znowu wszystko zobaczymy.

Kiedy ten nocny wiatr przenosił nas ku wojnie, w stronę niewypowiedzianych niebezpieczeństw... modliłam się, żeby dane mi było dotrzymać tej obietnicy.

**Część trzecia**  
**Księżna**

## Rozdział 51

Pomimo pełni lata powietrze w ilyryjskim obozie w górach było wilgotne i rześkie. Kiedy skrzywiłam się po przeskoczeniu na miejsce, Rhys zapewnił mnie, że zdarzały się naprawdę cudowne dni, ale dla żołnierzy chłodniejsza pogoda jest lepsza. Ciepło rozgrzewa temperamenty. Zwłaszcza jeśli jest zbyt gorąco, by móc się porządnie wyspać. Jeśli dołoży się do tego gorące ilyryjskie charaktery... Słowem: bardzo dobrze, że niebo zasnuwane jest chmurami, a w powietrzu unosi się mgła.

Ale nawet pogoda nie była w stanie sprawić, by witająca nas grupka wyglądała przyjaźnie.

Rozpoznałam tylko jednego z czekających na nas odzianych w pełne zbroje Ilyrów, lorda Devlona. Jego twarz wykrzywiona była w nieprzyjemnym grymasie, choć nie tak demonstracyjnym jak miny niektórych z jego ludzi. Podobnie jak Azriel i Kasjan wszyscy mieli ciemne włosy i oczy w barwach od piwnej po ciemny brąz. Podobnie jak u moich przyjaciół ich skóra lśniła odcieniami złotego brązu, tu i ówdzie poznaczona mniejszymi lub większymi białymi bliznami.

Jednak inaczej niż u Kasjana i Azriela ich ręce zdobiły jeden lub dwa syfony. Siedem, jak u tej dwójki, wydawało się w porównaniu z tym niemal ostentacją.

Jednak zebrani mężczyźni patrzyli tylko na Rhysa, jakby dwaj Ilyrowie po jego bokach stanowili jedynie dekorację. Mor i ja pozostałyśmy po obu stronach Nesty, która przebrana w praktyczną ciemnoniebieską sukienkę przyglądała się teraz obozowi, skrzydlatym wojownikom, samemu rozmiarowi armii zebranej wokół nas...

Staraliśmy się, by Elaina pozostała na pół ukryta za naszymi plecami. Biorąc pod uwagę nieciekawy stosunek Ilyrów do kobiet, zasugerowałam, byśmy w trakcie tego spotkania pozostały o krok

w tyle – dosłownie. W legionie było tylko kilka kobiet... Jednak to nie był właściwy czas na roztrząsanie ilyryjskiego równouprawnienia. Może później – jeśli wygramy tę wojnę. Jeśli przeżyjemy.

– A więc to prawda, mur upadł – zaczął mówić Devlon.

– To chwilowy problem – wymruczał Rhys.

Wciąż miał na sobie eleganckie spodnie i kurtkę, które założył na spotkanie książąt. Z jakichś przyczyn zdecydował się zrezygnować z ilyryjskiej skórni. Oraz skrzydeł.

„To dlatego, że oni doskonale wiedzą, że z nimi trenowałem, że jestem jednym z nich – jego słowa zabrzmiały w moim umyśle jak zgrzyt otulonych jedwabiem gwoździ. – Muszą jednak pamiętać, że jestem również ich księciem i nie mam najmniejszego zamiaru popuszczać im smyczy”.

Niewzruszonym, oschłym tonem Rhys rozpoczął wydawanie instrukcji dotyczących rychłego wymarszu na południe. Jego głos był głosem księcia, głosem wojownika, który walczył już na wojnie i nie ma zamiaru przegrać tej. Raz po raz Kasjan dorzucał własne wyjaśnienia.

Azriel... Azriel tylko stał i mierzył wszystkich wzrokiem. Nie chciał wracać do obozu te kilka miesięcy temu. Nie znosił tu być. Nienawidził swego ludu, swego dziedzictwa.

Inni dostojnicy popatrywali na pieśniarza cieni z obawą, wściekłością lub obrzydzeniem. Ten zaś tylko przeszywał ich ponurym spojrzeniem.

Rozmawiali przez pewien czas, dopóki Devlon nie spojrzał nad ramieniem Rhysa i nie dojrzał nas.

Skrzywił się na widok Mor. Zmarszczył brwi, gdy dojrzał mnie, choć starał się to ukryć. I wtedy zobaczył Nestę.

– Co to jest? – spytał.

Nesta tylko przyglądała się mu, jedną ręką przytrzymując na piersi połę swojego szarego płaszcza. Jeden z Ilyrów uczynił znak ochronny przed złem.

– To – odpowiedział Kasjan złowróżbnym szeptem – nie jest twój interes.

– To czarownica.

Już otworzyłam usta, żeby na to odpowiedzieć, kiedy Nesta przemówiła beznamiętnym tonem:

– Owszem.

Rośli zaprawieni w bojach Ilyrowie wzdrygnęli się jak jeden mąż.

– Może nie zawsze widać to po jej zachowaniu – wyjaśnił Kasjan – ale jest fae wysokiego rodu.

– Taka z niej fae wysokiego rodu jak z nas – odparował Devlon.

Zapanowało niezręczne milczenie. Nawet Rhysowi zdawało się brakować słów. Już poprzednio Devlon narzekał, że ja i Amrena jesteśmy „inne”. Jakby posiadał jakiś szósty zmysł do wykrywania podobnych rzeczy.

– Trzymajcie ją z daleka od kobiet i dzieci – wymamrotał Devlon.

Ścisnęłam wolną dłoń Nesty w niemej prośbie, by już nic nie mówiła.

Mor prychnęła, na co Ilyrowie zeszywnieli. Ale ona tylko się przesunęła, a ich oczom ukazała się skrywająca się za nią Elaina. Przypatrująca się z niemym zadziwieniem obozowi. Armii.

Devlon tylko stęknął na jej widok. Elaina, owinięta w swój niebieski płaszcz, spuściła wzrok, nie chcąc patrzeć wprost na tych wysokich, umięśnionych wojowników, na obóz ciągnący się aż po horyzont... Zdawała się różą kwitnącą wśród tego błota. Wypełnionego tętentem galopujących koni.

– Nie obawiaj się ich – powiedziała Nesta, marszcząc brwi.

Jeśli Elaina była w tym obozie kwitnącym kwiatem, to Nesta... ona była świeżo wykutym mieczem gotowym utoczyć krwi.

„Zabierz je do naszego namiotu – mruknął bezgłośnie Rhys. – Devlon gotów strzelić focha, jeśli będzie zmuszony spędzić choć minutę dłużej w towarzystwie Nesty”.

„Wiele bym dała, żeby to zobaczyć”.

„Nie tylko ty”.

Ukryłam uśmiech.

– Chodźmy znaleźć coś ciepłego do picia – rzuciłam do moich sióstr, zachęcając również gestem Mor, by do nas dołączyła.

Skierowałyśmy się do największego namiotu w obozie, nad

którym powiewał czarny proporzec z wyszytą górą i trzema srebrnymi gwiazdami. Krzątający się wokół ognisk Ilyrowie w ciszy odprowadzali nas wzrokiem. Nesta patrzyła im prosto w oczy. Elaina starała się wpatrywać głównie w suchy kamienisty grunt pod nogami.

Wnętrze namiotu było proste, ale drewnianą platformę, na której wznosiła się konstrukcja, pokrywały luksusowe dywany stanowiące dość dobrą izolację od wilgotnej ziemi. Wokół porozstawiano przenośne grzejniki z czarodziejskim światłem, krzesła i kilka szeszlągów, wszystko przykryte grubymi futrami. Połowę dostępnej przestrzeni zajmowało masywne biurko z kilkoma krzesłami.

Zaś w głębi za zasłoną... Założyłam, że czekało nasze łóżko.

Mor opadła na jeden z szeszlągów.

– Witajcie w ilyryjskim obozie wojennym, moje panie. Postarajcie się powstrzymać okrzyki zachwytu.

Nesta skierowała się w stronę założonego mapami biurka.

– Jaka jest właściwie różnica – rzuciła w przestrzeń – między fae a czarownicą?

– Czarownice gromadzą moc wykraczającą ponad ich naturalne możliwości – odparła Mor z nagłą powagą w głosie. – Używają zaklęć i wykorzystują starożytne narzędzia, by okiełznać więcej mocy, niż Kocioł może im dać, i wykorzystują ją potem do swoich celów. Dobrych czy złych.

Elaina w ciszy przyglądała się wnętrzu namiotu. Jej burza złotobrazowych loków kołysała się z każdym ruchem, na jedwabistych pasmach tańczyły odbłaski czarodziejskiego światła. Dziś upięła tylko część włosów tak, by ukryć spiczaste uszy na wypadek, gdyby zaklęcie zawiodło w posiadłości Graysena. Zaklęcie Tamlina nie działało na Nestę, kto wie, jak miałyby się rzecz z odpornością na podobne rzeczy Graysena i jego ojca.

Wreszcie jednak i ona opuściła się na krzesło obok Mor, jej bladoróżowa sukienka – lepszej jakości niż ta, które zwykła nosić – zaszeleściła.

– Czy wielu z tych żołnierzy zginie?

Skrzywiłam się mimo woli, ale to Nesta odpowiedziała:

– Tak.

Niemal słyszałam niedopowiedzianą kontynuację słów Nesty: „Ale twój towarzysz może zginąć prędzej niż oni”.

– Kiedy tylko będziesz gotowa, Elaino – rzekła Mor – rzucę na ciebie zakłęcie maskujące.

– Czy to będzie bolało? – spytała Elaina.

– Nie bolało, kiedy Tamlin modyfikował twoje wspomnienia – skomentowała Nesta, opierając się o biurko.

– Nie. Może trochę... załaskotać. Zachowuj się tak, jakbyś wciąż była człowiekiem – odpowiedziała jej Mor.

– Cały czas się tak zachowuję.

Elaina zaczęła nerwowo splatać i rozplatać smukłe palce.

– Zgadza się – powiedziałam – ale spróbuj zachować swoje wizje... dla siebie. W czasie, kiedy tam będziemy – dodałam szybko.

– Chyba że jest to coś, czego nie możesz...

– Mogę – odparła Elaina, prostując smukłe ramiona. – Tak zrobię.

– Oddychaj głęboko – powiedziała Mor i uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami.

Elaina usłuchała. Ledwie mrugnęłam, a już było po wszystkim. Znikł cały blask nieśmiertelnego zdrowia; rysy twarzy jakby nieco się wyostrzyły. Zniknęły spiczaste uczy i cała gracia. Stłamszona, prostacka – jeśli ktoś tak piękny jak Elaina w ogóle może być opisany jako prostacki. Nawet jej włosy straciły swój piękny połysk, złoto zdawało się miedziane, a brąz – mysi.

Elaina przyglądała się swoim dłoniom, obracając je w tę i z powrotem.

– Nigdy nie zdawałam sobie sprawy z tego... jak zwyczajnie wyglądały.

– Nadal jesteś czarująca – rzekła łagodnie Mor, a Elaina posłała jej półuśmiech.

– Pewnie wojna sprawia, że pragnienie podobnych rzeczy wydaje się drugorzędne.

Mor przez chwilę milczała.

– Być może – odparła wreszcie. – Ale nie powinnaś pozwolić wojnie odebrać ci tego.



\*\*\*

Dłoń Elainy, którą trzymałam, kiedy Rhys przeskakiwał nas do ludzkich krain, była wilgotna z nerwów. Mor zabrała Azriela i Nestę. Choć jej twarz nie zdradzała zdenerwowania, uścisk jej dłoni, kiedy nasze oczy przyzwyczajały się do blasku słońca ludzkiego lata, był równie żelazny co tkwiący na jej palcu pierścień.

W posiadłości, przed którą staliśmy, panował niemiłosierny upał. Jedynym wejściem zdawała się kamienna wieża. Jedynym, jakie potrafiliśmy dojrzeć w tym masywnym, gigantycznym wręcz murze wznoszącym się przed nami tak wysoko, że musiałam dobrze zadzierać głowę, by dojrzeć wystające na górze kolce. Przy grubych żelaznych wrotach strażnicy...

Rhys wsunął dłonie do kieszeni i natychmiast otoczyła nas bariera. Mor i Azriel utrzymywali pozycje obronne po obu stronach naszej grupki.

Przy bramie było dwunastu strażników. Wszyscy uzbrojeni, z twarzami ukrytymi za solidnymi hełmami pomimo upału. Cali odziani w zbroje, aż po okute buty.

Każdy z nas mógłby zakończyć ich żywot w mgnieniu oka. A ten mur, wrota, które go strzegą? Nie sądzę, żeby przetrwały wiele dłużej.

Ale... jeśli udałoby nam się obłożyć je zakłęciami ochronnymi, może obsadzić oddziałem wojowników fae...

Przez otwarte wrota widać było ciągnące się za nimi pola, łąki i pastwiska, zagajniki i jezioro... A dalej... potężną, masywną fortecę wzniesioną z ciemnobrązowego kamienia.

Nesta miała rację. To miejsce przypominało więzienie. Jego panowie byli przygotowani na odparcie każdego ataku, królowie na swoich włościach. Ale było tu sporo miejsca. Mnóstwo miejsca dla ludzi. A przyszła pani tego więzienia... Elaina z głową wzniesioną dumnie, nie bacząc na tuzin strzał wymierzonych w jej smukłe gardło, rozkazała strażnikom:

– Powiedzcie Graysenowi, że jego narzeczona do niego przybyła. Powiedzcie mu... powiedzcie mu, że Elaina Archeron prosi o azyl.

## Rozdział 52

Czekaliśmy na zewnątrz, podczas gdy jeden ze strażników wskoczył na konia i pomknął długą pylistą drogą w stronę fortecy. Kolejny mur opasywał samą budowlę. Naszym nadludzkim wzrokiem mogliśmy dojrzeć, jak *tamte* wrota otwierają się, ukazując kolejne.

– Jak ty go w ogóle poznałaś? – szepnęłam do Elainy, kiedy oczekiwaliśmy w cieniu ogromnych dębów rosnących w pobliżu wrót. – Skoro on siedzi zamknięty tutaj?

Elaina wpatrywała się intensywnie w odległą fortecę.

– Na balu wydanym przez jego ojca.

– Bywałam chyba na weselszych pogrzebach – sarknęła Nesta.

Elaina rzuciła jej niepochlebne spojrzenie.

– Ten dom potrzebuje kobiecej ręki, brak mu jej od lat.

Powstrzymaliśmy się od komentarza, że mało prawdopodobne było, żeby to jej przypadła ta rola. Azriel wcisnął się nieco głębiej w cień drzew za nami, ale Mor i Rhys... mieli oko na wszystko. Zwłaszcza na tych strażników, których strach mogliśmy wyczuć jako słoną woń przypominającą pot, działającą wszystkim na nerwy.

Jednak ci twardo trwali. Z wymierzonymi w nas jesionowymi strzałami.

Minęło ładnych parę minut. Wreszcie nad fortecą pojawiła się żółta flaga.

Zebraliśmy się w sobie. Jeden ze strażników szcęknął do nas:

– Pan wyjdzie z wami pomówić.

\*\*\*

Nie wpuszczono nas do środka. Nie chcieli, żebyśmy zobaczyli, jaką dysponują obroną, jakimi zasobami.

Dopuszcili nas jedynie do wieży strażniczej. Wprowadzono nas do środka i choć staraliśmy się ukryć naszą inność najlepiej, jak potrafiliśmy, upięte na smyczach wewnątrz brytany zaczęły

warczeń. Robiły tyle zamieszania, że strażnicy musieli je wyprowadzić.

Główne pomieszczenie strażnicy było zatechłe i ciasne, a obecność nas wszystkich jeszcze pogłębiała to wrażenie.

Zaproponowałam Elaine miejsce do siedzenia w pobliżu zamkniętego na głucho okna, ale odmówiła. Wolała stać na czele naszej grupy, wpatrując się w zamknięte żelazne wrota.

Wiedziałam, że Rhys przysłuchuje się każdemu słowu, jakie wymieniali między sobą stojący na zewnątrz strażnicy, smużki jego mocy tylko czekały na każdą najlżejszą zmianę w ich zamiarach. Wątpiłam, by kamień i żelazo budynku stanowiły dla nas jakąkolwiek przeszkodę. Na pewno nie dla wszystkich razem, jednak... Pozwolenie im, by zamknęli nas tu oczekujących...

Budziło to we mnie wewnętrzny sprzeciw. Sprawiało, że czułam się podminowana i oblewał mnie zimny pot. Za małe wnętrze, nie dość powietrza...

„Wszystko w porządku – uspokajał mnie Rhys. – To miejsce nie jest w stanie cię zatrzymać”.

Skinęłam głową, choć na głos nie wypowiedziałam ani słowa, starając się przemóc wrażenie, jakoby ściany i sufit napierały na mnie.

Nesta przyglądała mi się uważnie.

– Czasem mam problem z przebywaniem w ciasnych miejscach – przyznałam cicho.

Nesta jeszcze przez chwilę nie spuszczała ze mnie wzroku, po czym odpowiedziała głosem równie cichym, lecz na tyle głośnym, byśmy wszyscy usłyszeli:

– Ja nadal nie mogę się przełamać, by wejść do wanny. Muszę korzystać z cebrzyków.

Nie wiedziałam o tym. Nawet nie przyszło mi do głowy, że kąpiel, zanurzanie się w wodzie...

Wiedziałam, że nie chciałyby, żebym wzięła ją za rękę, powiedziałam więc tylko:

– Kiedy wrócimy, zainstalujemy dla ciebie coś innego.

Przysięgłabym, że w jej oczach zobaczyłam wdzięczność. Może też

powiedziałyby coś innego, ale wtedy usłyszeliśmy zbliżające się konie.

– Dwa tuziny strażników – mruknął do Rhysa Azriel, rzucając okiem na Elainę. – W tym lord Graysen i jego ojciec lord Nolan.

Elaina zdrętwiała jak przerażona łania, kiedy naszych uszu doszły zza drzwi odgłosy kroków. Odszukałam wzrokiem oczy Nesty, czytając w nich zrozumienie, po czym skinęłam głową.

Jedna próba skrzywdzenia Elainy i to, co obiecałam siostrze, straci znaczenie. Pozwolę Neście rozerwać go na strzępy. W samej rzeczy palce naszej najstarszej siostry zwinęły się, jakby naprawdę zakończone były niewidzialnymi szponami.

Wtedy drzwi otworzyły się z hukiem i... Dyszący ciężko młody człowiek zdawał się taki... ludzki. Przystojny, niebieskooki, ale... ludzki. Dobrze zbudowany, czego nie ukrywała lekka zbroja, wysoki. Można by powiedzieć – ideał śmiertelnego księcia, który porwałby piękną dziewicę na konia i odjechał z nią w stronę zachodzącego słońca.

Zupełnie inny od Ilyrów z ich dziką, nieokiełznaną siłą, inny niż Mor czy Amrena z ich wyrachowaną śmiercionośną potęgą. Inny niż ja czy rozrywająca na strzępy Nesta.

Na widok Graysena Elaina wydała z siebie cichy jęk. Kiedy zaś i on ją ujrzał, wciągnął gwałtownie powietrze i zlustrował ją od stóp po głowę. Zrobił chwiejny krok w jej kierunku, ale szeroka, poblizniona dłoń złapała go za zbroję. Mężczyzna, który powstrzymał młodego lorda, wkroczył teraz do ciasnego pomieszczenia. Wysoki, chudy, szarooki, o haczykowatym nosie...

– Co to ma znaczyć?

Wszyscy wpatrywaliśmy się w niego spod zmarszczonych brwi. Elaina cała drżała.

– Panie, lordzie Nolandzie...

Słowa uwięzły jej w gardle, ponownie spojrzała na swojego narzeczonego, który nawet na chwilę nie przestał wpatrywać się w nią szczerymi niebieskimi oczami.

– Mur przestał istnieć – powiedziała Nesta, stając obok Elainy.

Wtedy Graysen na chwilę przeniósł na nią wzrok. Widoczny szok

odmalował się na jego twarzy, kiedy zobaczył jej obecny wygląd: uszy, nieśmiertelne piękno... otaczającą ją niesamowitą moc.

– Jak? – wychrypiał.

– Zostałam porwana – odpowiedziała chłodno Nesta, nie pozwalając, by w jej oczach odbił się choćby cień strachu. – Zostałam uprowadzona przez armię najeżdżającą te ziemie i zmieniona wbrew mojej woli.

– Jak? – powtórzył Nolan.

– Istnieje coś takiego jak Kocioł, rodzaj broni. Oferuje właścicielowi moc czynienia... tego typu rzeczy. Ja byłam próbą, eksperymentem.

W tym miejscu Nesta krótko i zwięźle wyjaśniła sprawy z królowymi, z Hybernią i przyczynę upadku muru. Kiedy skończyła, lord Nolan spytał tylko:

– A kim są twoi towarzysze?

To było ryzyko, wiedzieliśmy o tym. Czy powiedzieć, kim jesteśmy, wiedząc dokładnie, jak oni obawiają się fae, wszystkich bez różnicy, a co dopiero książąt...

Mimo to wystąpiłam naprzód.

– Nazywam się Feyra Archeron. Jestem księżną Dworu Nocy. To jest Rhysand, mój... małżonek. – Uznałam, że słowo „towarzysz” może nie zostać dobrze odebrane przez tych ludzi.

Rhys dołączył do mnie. Część strażników poruszyła się niepewnie, szeptali do siebie w strachu. Niektórzy wzdrygnęli się, kiedy Rhys podniósł rękę... by wskazać za siebie.

– Nasza prawa ręka, Morrigan. I nasz mistrz szpiegów, Azriel.

Trzeba oddać lordowi Nolanowi, że nie pobrał. Graysen już tak, ale nawet on się nie cofnął.

– Elaino – szepnął. – Elaino, czemu jesteś z *nimi*?

– Ponieważ jest naszą siostrą – odpowiedziała Nesta, wciąż zwijając palce zakończone niewidzialnymi szponami. – A podczas tej wojny nie ma dla niej bezpieczniejszego miejsca niż z nami.

– Graysenie – szepnęła Elaina – przybyliśmy, by prosić cię... – Tu rzuciła błagalne spojrzenie na jego ojca. – Was obydwu... byście otworzyli wrota dla wszelkich śmiertelników, którzy tu dotrą. Dla

rodzin. Teraz, kiedy nie ma już muru... My... oni wierzą... Nie ma czasu na ewakuację. Królowe nie wyślą pomocy z kontynentu. Ale tutaj, tu mogliby mieć jakieś szanse.

Żaden z mężczyzn nie odpowiedział, choć Graysen patrzył teraz na pierścień zaręczynowy Elainy. Jego niebieskie oczy przepełnione były bólem.

– Byłbym skłonny ci uwierzyć – odparł cicho – gdybyś nie kłamała z każdym wypowiedzanym słowem.

Elaina zamrugnęła.

– Ja... ja nie, ja...

– Czy sądzisz – przerwał jej lord Nolan, a ja i Nesta przysunęłyśmy się bliżej Elainy, widząc, że i on postąpił krok naprzód – że możecie przybyć do mojego domu i oszukać mnie swoją magią?

– Zupełnie nas nie obchodzi – wtrącił Rhys – w co sobie wierzysz. Przybyliśmy tu tylko prosić o pomoc dla tych, którzy nie są w stanie się sami bronić.

– Co z tego będziecie mieli? Co wy ryzykujecie?

– Macie cały arsenał jesionowych broni – stwierdziłam. – Powiedziałabym, że ryzyko dla nas jest oczywiste.

– Nie zapominaj o swojej siostrze – rzucił Nolan w stronę Elainy. – Nie zapominaj wziąć jej pod uwagę.

– Każda broń może skrzywdzić śmiertelnika – przemówiła bezbarwnym głosem Mor.

– Ale ona nie jest śmiertelna, prawda? – Nolan skrzywił usta w cynicznym uśmiechu. – Nie, wiem z dobrego źródła, że to właśnie Elaina Archeron została pierwsza zmieniona w fae. I teraz ma syna księcia za towarzysza.

– A kto ci coś podobnego powiedział? – spytał Rhys unosząc brew, bez śladu gniewu czy zaskoczenia.

W tej chwili rozległ się odgłos kroków, a nasze dłonie bezwiednie sięgnęły po broń, gdy do strażnicy wkroczył Jurian.

– Ja – powiedział.

## Rozdział 53

Jurian uniósł ręce o dłoniach poznaczonych nowymi zgrubieniami. Nowymi... dla tego odtworzonego ciała, które musiało znów nauczyć się władać bronią.

– Jestem tu sam – uspokajał. – Możecie przestać warczeć.

Elaina zaczęła cała dygotać. Czy to dlatego, że prawda wyszła na jaw, czy z powodu wspomnień zalewających ją i Nestę na widok nowo przybyłego.

– Szanowne panie. – Jurian skinął głową.

– Nie ma tu żadnych szanownych pań – powiedział z paskudnym grymasem Nolan.

– Ojczy – wycedził ostrzegawczo Graysen.

Nolan zignorował syna.

– Tuż po przybyciu Jurian wyjaśnił nam, co się wam przydarzyło... obydwu. Co chciały osiągnąć królowe z kontynentu.

– A cóż takiego? – spytał Rhys z udaną niewinnością.

– Potęgę, młodość. – Jurian wzruszył ramionami. – Takie tam.

– Co ty tutaj robisz? – zapytałam.

Zabić go – powinniśmy go zabić teraz, zanim skrzywdzi nas jeszcze bardziej; zabić go za ten bełt, którym przebił pierś Azriela i za groźby, które zmusiły Miriam i Drakona do zniknięcia i zostawienia nas samych z tą wojną...

– Królowe to węzowe stworzenia. – Jurian wsparł się o krawędź dosuniętego do ściany stołu. – Zasługują na to, by je zamordowano za tę ich zdradę. Kiedy król Hybernii wysłał mnie, bym przekonał je do naszej sprawy, nie musiałem się nawet starać. Tylko jedna była na tyle szlachetna, żeby bawić się w tę grę. Wiedziała, że masz beznadziejne karty w ręku, a jednak starała się rozegrać tę partię najlepiej, jak to możliwe. Ale kiedy pomogła wam, inne się dowiedziały. Oddały ją wtedy attorowi.

Oczy Juriana załśniły, jednak nie szaleństwem, ale zrozumieniem.

A ja odniosłam wrażenie, jakby grunt usuwał mi się spod nóg, kiedy on ciągnął dalej:

– Wskrzesał mnie, sądząc, że przyłączę się do niego. Wierząc, że oszalałem przez te pięćset lat bycia więźniem Amaranthy. Tak więc odrodziłem się i znalazłem pośród moich dawnych wrogów. Tych, którym poprzysiągłem śmierć. Znalazłem się po niewłaściwej stronie muru w chwili, w której ludzkie królestwa stoją na skraju zagłady. – Tu Jurian spojrział na Mor, której usta zaciśnięte były w cienką linię. – Byłaś mi przyjaciółką – powiedział z wyraźnym wysiłkiem. – Walczyliśmy ramię w ramię. W niejednej bitwie. A jednak uwierzyłaś od razu i bez zastrzeżeń... Uwierzyłaś, że pozwoliłem im się *zmienić*.

– Przecież wpadłeś w szal. Wtedy, z Clythią. To było *szaleństwo*. Zniszczyło cię wtedy.

– I wciąż rad jestem, że to zrobiłem – warknął Jurian. – *Cieszyłem się*, mogąc to zrobić, jeśli dałoby nam to przewagę w wojnie i *wszystko jedno* mi było, co to dla mnie oznaczało, czy coś we mnie pękło. Jeśli tylko dzięki temu mogłem poczuć się *wolny*. No i miałem pięćset lat, żeby to przemyśleć. Kiedy byłem więźniem moich wrogów. Pięćset lat, Mor. – Wypowiedział jej imię w sposób, w jaki wymawia je dobry znajomy.

– Całkiem przekonująco odegrałeś łotra, Jurianie – mruknął Rhys. Juriana przeniósł na niego wzrok.

– Powinieneś był spojrzeć. Oczekiwałem, że zajrzysz do mojego umysłu. Czemu tego nie zrobiłeś?

Rhys milczał przez dłuższą chwilę. Wreszcie odparł miękko:

– Ponieważ nie chciałem zobaczyć jej.

Zobaczyć jakichkolwiek śladów Amaranthy.

– Próbujesz nam zasugerować – naciskała Mor – że cały czas robiłeś to, by nam pomóc?

– Gdzie lepiej planować zemstę na wrogu, gdzie lepiej poznać wszelkie jego słabości, jak nie przy samym jego boku?

Milczeliśmy wszyscy. Lord Graysen i jego ojciec obserwowali nas, a w każdym razie ten ostatni obserwował. Graysen i Elaina tylko wpatrywali się w siebie.



– Skąd więc obsesja, by znaleźć Miriam i Drakona? – spytała Mor.  
– Wszyscy tego ode mnie oczekują. Król Hybernii tego ode mnie oczekuje. A jeśli będzie gotów zapłacić moją cenę za znalezienie ich... Drakon ma legion zdolny odwrócić losy bitwy. Dlatego sprzymierzyłem się z nim podczas wojny. Nie wątpię, że wciąż utrzymuje go świetnie wyszkolonego i gotowego do akcji. Na pewno dotarły już do nich słuchy. Zwłaszcza że ich szukam.

Ostrzeżenie. Jedyne sposob, w jaki Jurian mógł ich ostrzec: przedstawiając siebie jako myśliwego.

– Nie chcesz zabić Miriam i Drakona? – zwróciłam się do niego.

Jurian pokręcił głową, a w jego oczach widać było nagą szczerłość.

– Nie – odpowiedział chropawym głosem. – Chcę ich prosić o wybaczenie.

Spojrzałam na Mor. W jej oczach lśniły łzy, które rozpaczliwie próbowała odgonić.

– Miriam i Drakon zniknęli – powiedział Rhys. – Razem z całym swoim ludem.

– To ich znajdź – odparł Jurian i wskazał brodą Azriela. – Poślij pieśniarza cieni, poślij kogokolwiek, komu ufasz, ale *znajdź* ich.

Zapanowała cisza

– Zajrzyj do mojej głowy – rzucił Jurian do Rhysa. – Zajrzyj i przekonaj się sam.

– Dlaczego teraz? – spytał książę Dworu Nocy. – Dlaczego tutaj?

Jurian wytrzymał jego spojrzenie.

– Ponieważ mur upadł i mogę swobodnie się przemieszczać, by ostrzec mieszkających tu ludzi. Ponieważ... – Zrobił długi wydech. – Ponieważ Tamlin po waszym spotkaniu tamtego ranka pognał natychmiast z powrotem do króla Hybernii. Prościutko do ich obozu na Dworze Wiosny, gdzie planują jutrzejszy atak na ziemie Lata.

## Rozdział 54

**J**urian nie był moim wrogiem.

Miałam problem z ogarnięciem tego, mimo że zajrzałam w jego umysł razem z Rhysem. Nie zabawiliśmy długo w jego głowie. Ból, gniew i poczucie winy. Wszystko, co widział i przez co przeszedł... Jednak Jurian mówił prawdę. Otworzył przed nami swój umysł. Wiedział, w którym miejscu chcą zaatakować. Gdzie, kiedy i w jakiej liczbie.

Aziel zniknął, nie rzuciwszy okiem na żadnego z nas – by ostrzec Kasjana i przemieścić legion.

Jurian zwrócił się do Mor.

– Nie zabili szóstej królowej, Vassy. Ona mnie przejrzała od początku, a przynajmniej tak jej się wydawało. Ostrzegła ich, że wskreszenie mnie jest złym znakiem. Że jeśli to zrobią, będzie to oznaczało dla nich kłopoty. By zebrały armię, zanim wszystko osiągnie zbyt wielkie rozmiary. Jednak Vassa była zbyt gwałtowna, zbyt młoda. Nie umiała odpowiednio rozgrywać tej gry. Nie tak jak robiła to ta złota, Demetra. Nie dostrzegła błysku pożądania w ich oczach, kiedy powiedziałem im o mocach Kotła. Nie wiedziała, że od chwili, kiedy zacząłem snuć przed nimi kłamstwa króla Hybernii... stały się jej wrogami. Nie mogły zabić Vassy, następna w kolejce do tronu była na to zbyt uparta. Znalazły więc po drugiej stronie muru prastarego Pana Śmierci, który lubował się w zniewalaniu młodych kobiet. Przeklął ją i wykradł... Reszta świata sądzi, że przez te wszystkie miesiące chorowała.

– Wiemy – powiedziała Mor, jednak żadne z nas nie miało odwagi spojrzeć na Elaine. – Dowiedzieliśmy się o tym.

Pomimo tego, że prawda wyszła już na jaw... nikt mu nie powiedział, że Lucien podążył jej tropem.

Elaina zdawała się jednak mimo wszystko pamiętać. Kto wyruszył na poszukiwanie zaginionej królowej. Zwróciła się do Graysena,

którego twarz przypominała smutną kamienną maskę.

– Nie chciałam cię zwodzić.

– Jakoś ciężko mi w to uwierzyć – odpowiedział za niego ojciec.

Graysen głośno przełknął ślinę.

– Byłabyś w stanie wrócić tutaj... żyć ze mną w tym... kłamstwie?

– Nie. Tak. Ja... sama nie wiem, czego chciałam...

– Do tego teraz łączy cię więź z jakimś... nieśmiertelnym mężczyzną. Synem księcia.

„I najprawdopodobniej dziedzicem innego księcia” – dopowiedziałam w myślach.

– Nazywa się Lucien – powiedziała.

Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek dotąd słyszałam to imię z jej ust.

– Wszystko mi jedno, jak ma na imię. – Po raz pierwszy głos Graysena zabrzmiał ostro. – Jesteś jego *towarzystką*. Czy wiesz chociaż, co to znaczy?

– To nic nie znaczy – upierała się Elaina łamiącym się głosem. – Nie obchodzi, mnie co oni zrobili, lub dlaczego to zrobiło...

– *Należysz do niego.*

– Nie należę do nikogo. Ale moje serce należy do ciebie.

Twarz Graysena stężała.

– Nie chcę go.

Lepiej by zrobił, gdyby ją po prostu uderzył. W jej oczach odmalował się tak głęboki ból... Widząc, jak jej twarz wykrzywia grymas niewyobrażalnego żalu...

...wystąpiłam o krok naprzód, zagarniając ją nieco za siebie.

– Oto, co się teraz stanie – przemówiłam. – Przyjmiecie do siebie wszystkich ludzi, którzy tutaj dotrą. My zaś obłożymy te mury zaklęciami ochronnymi.

– Nie potrzebujemy ich. – Nolan znów wykrzywił się we wstrętnym grymasie.

– Życzysz sobie, żebym ci zademonstrowała, jak bardzo się mylisz? – spytałam. – Czy jednak uwierzysz mi na słowo, że mogłabym zmienić tę ścianę w kupę gruzów jedną myślą? Nie fatygując nawet moich przyjaciół. Przekonasz się, lordzie Nolandzie,

że chcesz naszej pomocy i naszych zakł<sup>ę</sup>ć ochronnych. Wszystko w zamian za przyjęcie do siebie ludzi, którzy potrzebują schronienia.

– Nie życzę sobie tutaj jakichś włóczęgów.

– A wiec tylko bogaci i wybrani mogą przekroczyć mury? – spytał Rhys, unosząc brew. – Jakoś wątpię, by arystokraci mieli ochotę pracować na twoich polach lub oprawiać twoje mięso.

– Mamy do tego wystarczająco wielu pracowników.

Znów się zaczynało. Kolejna walka z małym zaciętrzewionym człowieczkiem o wąziutkich horyzontach...

Nagle Jurian zwrócił się do władyki.

– Walczyłem ramię w ramię z waszym przodkiem i byłoby mu wstyd, że zamykacie się na potrzebujących. Czyniąc to, plujecie na jego grób. Król Hybernii wciąż mi ufa. Jedno słowo, a zapewniam cię, że ich legion złoży ci wizytę.

– Grozisz mi przysłaniem tego samego wroga, przed którym chcesz nas chronić?

Jurian wzruszył ramionami.

– Mogę również przekonać go, że nie ma co się tu fatygować. Król ufa mi bezgranicznie. Wpuścisz tu tych ludzi, a ja zrobię, co w mojej mocy, by jego armie trzymały się od was z daleka.

Rzucił Rhysowi wyzywające spojrzenie.

Byliśmy zbyt zszokowani, by nawet udawać neutralność. Ale wtedy odezwał się Nolan:

– Nie będę ukrywał, że moja armia nie jest duża. Mam oddział żołnierzy. Silny, ale tylko jeden. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą... – Rzucił okiem na Graysena. – Przyjmiemy ich. Każdego, kto zdoła tutaj dotrzeć.

Pomyślałam, że może jednak to temu starszemu łatwiej przemówić do rozsądku. Zwłaszcza po tym, co chwilę później Graysen powiedział do Elainy:

– Zdejmij ten pierścień.

Palce Elainy zacisnęły się mocniej.

– Nie.

Nieprzyjemnie. Zaraz robi się bardzo nieprzyjemnie i to w najgorszy możliwy sposób.

– Zdejmij. Go.

Tym razem Nolan syknął ostrzegawczo na swego syna, lecz Graysen go zignorował. Elaina pozostała jednak niewzruszona.

– *Zdejmij go!* – Wrzask aż poniósł się echem po kamiennych ścianach.

– Dość tego. – Głos Rhysa brzmiał spokojnie i śmiertelnie groźnie.

– Dama zatrzymuje pierścień, jeśli ma na to ochotę. Choć nikomu nie będzie żal, jeśli zechce się z nim rozstać. Kobiety generalnie preferują cenniejsze metale niż żelazo.

Graysen rzucił Rhysandowi nienawistne spojrzenie.

– A więc tak to się zaczyna? Wy, mężczyźni fae będziecie przychodzić po nasze kobiety? Nie macie kogo pieprzyć u siebie?

– Uważaj na słowa, chłopcze – mitygował go ojciec.

Elaina zbladła, słysząc tak grubiańską wypowiedź.

Graysen rzucił jej tylko:

– Nie mam zamiaru się z tobą żenić. Zrywam zaręczyny. Przyjmę tych ludzi, których chcecie nam przysłać, ale ciebie nie. Ciebie nigdy.

Po twarzy Elainy zaczęły płynąć łzy, wypełniając pomieszczenie zapachem soli.

Nesta wystąpiła krok naprzód. Potem kolejny. I jeszcze jeden. Zanim ktokolwiek zdołał się zorientować, znalazła się tuż przed Graysenem.

Zanim ktokolwiek zdołał zareagować, spoliczkowała go tak mocno, że jego głowa aż odskoczyła na bok.

– Nigdy na nią nie zasługiwałeś – warknęła, przerywając panującą wokoło wypełnioną zdumieniem ciszę.

Graysen złapał się za policzek, przeklął i zwinął się wpół. Nesta spojrzała tylko na mnie. Z jej oczu biła wściekłość, żywa i niczym niepowstrzymana. Jednak kiedy zwróciła się do mnie, jej głos był lodowato zimny:

– Rozumiem, że załatwiliśmy już tu wszystko.

Skinęłam bezgłośnie głową, a ona, dumna jak królowa, ujęła Elainę pod ramię i wyprowadziła ze strażnicy.

Mor podążyła za nimi, strzegąc ich tyłów, kiedy wyszły pomiędzy

prawdziwy las broni i warczących brytanów.

Obaj lordowie wyszli bez słowa pożegnania. Tylko Jurian został jeszcze na miejscu.

– Przekaż pieśniarzowi cieni – powiedział – że przepraszam go za ten bełt.

Rhys pokręcił głową.

– Co zatem dalej? Zakładam, że masz szersze plany niż ostrzeżenie ludzi, by się ukryli lub uciekali.

Jurian odepchnął się od stołu.

– W następnym ruchu, Rhysandzie, udam się z powrotem do obozu wojsk Hybernii, gdzie urządzą mi awanturę, że moje poszukiwania Miriam i Drakona zakończyły się fiaskiem. Kolejnym krokiem będzie podjęcie następnej podróży na kontynent, by zasiać kilka ziaren niezgody wśród dworów królowych. Zupełnie niechcący wymyślą mi się pewne istotne szczegóły dotyczące ich planów. Kogo tak naprawdę popierają. Czego tak naprawdę chcą. To powinno zająć je na dłuższy czas. Będą zbyt pochłonięte łagodzeniem wewnętrznych konfliktów na własnych dworach, by w ogóle myśleć o płynięciu tutaj. A wtedy... kto to wie? Może dołączę do was na polu bitwy.

Rhys potarł brwi kciukiem i palcem wskazującym, a kiedy pochylił głowę, pasmo włosów zsunęło mu się na czoło.

– Gdybym nie widział tego w twojej głowie, nie uwierzyłbym w ani jedno twoje słowo.

Jurian tylko piasnął dłonią o framugę.

– Przekaż Kasjanowi, żeby jutro uderzył mocno na lewą flankę. Hybernijczycy planują dać tam nieopierzonych szlachciców, żeby nabrali trochę doświadczenie bojowego... To rozpuszczona i niewyszkolona banda. Przebijcie się tam, a wzbudźcie popłoch w ich szeregach. Tylko uderzcie naprawdę szybko i mocno, żeby nie mieli czasu przegrupować się i nabrać odwagi.

Po tych słowach Jurian uśmiechnął się do mnie ponuro.

– Nigdy nie pogratulowałem ci rozsiekania Dagdana i Brannagh. Świat stał się bez nich lepszy.

– Zrobiłam to dla Dzieci Błogosławionych – odparłam. – Nie dla

chwały.

– Wiem – powiedział, unosząc na chwilę brwi. – Jak myślisz, dlaczego zdecydowałem się ci zaufać?

## Rozdział 55

Za stara jestem na takie niespodzianki – burknęła Mor, kiedy namiot rozstawiony na północnej granicy ziem Dworu Zimy (bo tam ilyryjska armia zdecydowała się rozbić obozowisko na noc) zajęczał pod naporem porywistego górskiego wiatru.

Wszyscy oczekiwali na jutrzejszy atak. Lecieli cały dzień do miejsca odległego na tyle, by dało się ukryć nawet armię tych rozmiarów. Przynajmniej do jutra.

Ostrzeżyliśmy Tarquina, wysłaliśmy też wiadomości do Heliona i Kalliasa, by do nas dołączyli, jeśli uda im się zdążyć na czas. Na godzinę przed świtem legion Ilyrów wzbije się w niebo, by ruszyć na odległe południowe pole bitwy. Mieliśmy nadzieję, że wylądują, zanim wszystko się rozpocznie. Dokładnie wtedy, kiedy Keir i jego dowódcy przeskoczą legion Niosących Mrok z ziem Dworu Nocy.

A wtedy rozpocznie się rzeź. Po obu stronach. Jeśli to, co twierdził Jurian, okaże się prawdą. Kasjan aż się zachłysnął, kiedy powtórzyliśmy mu radę Juriana. Azriel twierdził, że to łagodna wersja jego pierwotnej reakcji.

– Nigdy nie podejrzewałaś, że Jurian mógłby być... dobry? – spytałam Mor, siedząc w nogach zarzuconego skórą szezlonga, który obecnie dzieliłyśmy.

Zapytana upiła łyk wina i oparła się o poduszki zaścielające wygięte wezłowie. Moje siostry były w innym namiocie, nie tak dużym, ale równie luksusowym, otoczonym namiotami Azriela i Kasjana po bokach i namiotem Mor z przodu. Nikt nie byłby w stanie się do nich dostać bez wiedzy moich przyjaciół. Nawet jeśli Mor była obecnie tu ze mną.

– Sama nie wiem – odpowiedziała, okrywając nogi ciężkim wełnianym kocem. – Nigdy nie byłam z nim blisko, tak jak niektórzy inni, ale... walczyliśmy razem. Nie raz ratowaliśmy sobie życie. Chyba założyłam, że Amarantha go złamała.



– Jakaś jego część na pewno – powiedziałam.

Wzdrygnęłam się na samo wspomnienie okropieństw, które widziałam w jego głowie, tej burzy uczuć. Po czym sama również naciągnęłam na siebie koc.

– Wszyscy mamy w sobie coś strzaskanego – rzekła Mor. – Każdy na swój sposób... Okruchy w miejscach, których nikt nie zobaczy.

Już przekrzywiłam głowę i otwierałam usta, chcąc wyciągnąć od niej coś więcej, ale wtedy ona spytała:

– Czy z Elainą wszystko w porządku?

– Nie – odparłam krótko.

Nic nie było w porządku z Elainą. Kiedy tu przeskakiwałyśmy, cicho płakała. Płakała też przez cały czas, kiedy przybywały i rozkładały się obozem kolejne oddziały. Nie zdjęła swojego pierścienia. Leżała tylko na swojej pryczy w namiocie wtulona w koce i futra i wpatrywała się w przestrzeń. Jakiegokolwiek zrobiła dotąd postępy... zostały one zniweczone. Miałam ochotę wrócić tam i pogruchotać jednak Graysenowi wszystkie kości, ale się powstrzymałam. Prawdopodobnie tylko dlatego, że dałoby to Neście mandat moralny, by osobiście się na nim zemścić. A śmierć z rąk Nesty... cóż, zastanawiałam się, czy kiedy skończyłaby z Graysenem, nie należałoby wymyślić nowego słowa na mordowanie.

Tak więc Elaina cicho płakała, a jej płynące niekończącą się strugą łzy zdawały się wypływać z samego środka zranionego serca. Pewien strzęp nadziei dzisiaj znikł. Nadziei, że Graysen nadal będzie ją kochał, nadal będzie chciał ją poślubić, że miłość okaże się silniejsza od więzi godowej. Prysła ostatnia nić, która łączyła ją z ludzkimi ziemiami. Teraz został w nich tylko nasz ojciec – naprawdę ostatni już fragment dawnego życia.

Mor zdawała się wyczytywać wszystko w mojej twarzy, bo odstawiała wino na stolik przy szezlongu i stwierdziła:

– Powinnyśmy iść spać. Sama nie wiem nawet, czemu piję.

– Dziś był... dość niezwykły dzień.

– Znacznie ciężiej jest – powiedziała i jęknęła cicho, wstając i rzucając mi na kolana resztę koca – kiedy wrogowie stają się przyjaciółmi. W drugą stronę zapewne też. Czego nie widziałam? Co

przeoczyłam lub na co nie zwróciłam uwagi? Zawsze wzbudza to we mnie wątpliwości raczej względem siebie niż ich.

– Kolejny urok wojny?

Mor prychnęła, kierując się w stronę wyjścia.

– Nie, życia.

\*\*\*

Tej nocy ledwie byłam w stanie zmrużyć oczy.

Rhys nie przyszedł do namiotu, nawet na chwilę.

Kiedy ciemności nocy zaczęły ustępować bladej szarości świtu, wyślizgnęłam się z namiotu, podążając za nicią więzi godowej, podobnie jak uczyniłam to tamtego dnia, pod Górą.

Stał na szczycie oblodzonego tu i ówdzie skalistego występu i patrzył, jak gwiazdy, jedna po drugiej, nikały nad obozem wciąż spowitym snem.

Bez słowa objęłam go w pasie, a on poruszył skrzydłami tak, by przysunąć mnie bliżej siebie.

– Wielu żołnierzy dzisiaj zginie – powiedział cicho.

– Wiem.

– To nigdy nie staje się łatwiejsze – szepnął.

Mocne rysy jego twarzy były ściągnięte, a oczy lśniły srebrem odbitych w nich gwiazd. Tylko tu, tylko teraz pozwalał sobie na okazanie żalu, bólu i zmartwień. Nigdy w obliczu swoich żołnierzy, nigdy w obliczu wroga.

Westchnął ciężko.

– Jesteś gotowa?

Miałam pozostać na tyłach z Mor, żeby móc wyczuć, jak przebiega bitwa. Zobaczyć, jak się potoczą sprawy. Moje siostry miały pozostać tutaj aż do momentu, kiedy będzie można bezpiecznie przeskoczyć z nimi, po bitwie. Oczywiście jeśli wszystko nie zakończy się katastrofą.

– Nie – przyznałam – ale nie mam innego wyjścia, jak być gotowa.

Rhys pocałował mnie w głowę i dalej wpatrywaliśmy się w milczeniu w gwiazdy.

– Cieszę się – powiedział po chwili, kiedy obóz pod nami zaczynał w przedświcie budzić się ze snu – że mam cię przy swoim boku. Nie wiem, czy kiedykolwiek ci to mówiłem, jak wdzięczny jestem losowi, że stoisz przy moim boku.

Zamrugałam kilkakrotnie, by odgonić napływające mi do oczu łzy, ujęłam jego dłoń i położyłam ją sobie na sercu, pozwalając mu poczuć jego bicie. A potem, kiedy ostatnie gwiazdy niknęły już nad nami, a pod nami armia budziła się do bitwy, pocałowałam go jeszcze jeden ostatni raz.

## Rozdział 56

**J**urian miał rację.

Chociaż zajrzeliśmy do jego umysłu, wciąż mu do końca nie ufaliśmy. Wciąż przebiegało nam przez myśl, czy aby nie dotrzemy na miejsce tylko po to, by przekonać się, że oddziały Hybernii się przegrupowały, albo że zaatakują zupełnie gdzie indziej.

Ale hordy Hybernijczyków znajdowały się dokładnie tam, gdzie według Juriana miały się znajdować.

Kiedy spadły na nich z góry oddziały Ilyrów, gdy właśnie przekraczali granice między ziemiami Wiosny i Lata... w ich szeregach wkradła się panika.

Rhys osłonił nasze siły cieniem – wszystkie. Z wysiłku po jego skroniach spływały stróżki potu. Utrzymywanie takiej liczby ludzi ukrytych przed niepożądanym wzrokiem, słuchem i węchem w czasie wielu mil lotu stanowiło dla niego ogromny wysiłek. Moje skrzydła nie były dość silne, więc Mor przeskakiwała nas w powietrzu tak, byśmy dotrzymywały tempa armii.

Szczerliwie udało nam się dotrzeć w tej samej chwili. Kiedy Rhys zdał osłony, ukazując głodnych rozlewów krwi Ilyrów pikujących z nieba na schludne, równe linie wrogich sił... Kiedy jeszcze ujawnił maszerujący legion Niosących Mrok Keira, spowitych smugami cienia i uzbrojonych w jaśniejącą jak gwiazdy stal... Widząc panikę opanowującą armię Hybernii, trudno było powstrzymać się od uczucia samozadowolenia.

Ale armia ta... rozciągała się długo i szeroko. Miała zmieścić wszystko, co stanie jej na drodze.

– *Tarcze!* – ryknął z pierwszej linii Kasjan.

Jedna po drugiej, czerwone, zielone i niebieskie tarcze rozbłyskały, otaczając Ilyrów i ich broń, zachodząc na siebie jak rybia łuska. Zachodząc na siebie podobnie jak te metalowe osłony, które nieśli w lewych rękach, chroniące ich od ramienia aż po

kostki.

Poniżej oddziały Keira zafalowały, kiedy pojawiały się osłaniające ich cieniste tarcze.

Mor przeskoczyła nas na zadrzewione wzgórze górujące nieco nad polem bitwy. Na podstawie zwiadu Azriela Kasjan uznał, że będzie to najlepsze miejsce do przeprowadzenia ataku. Było tu łagodne trawiaste zbocze dające nam przewagę. Mieliśmy lepszą pozycję; za linią oddziałów Hybernijczyków przepływała wąska płytka rzeczka. Powodzenie w walce, jak powiedział mi tego ranka przy szybkim śniadaniu Kasjan, często polegało nie na przewadze liczebnej, ale na odpowiednim wyborze pola bitwy.

Hybernijscy dowódcy właśnie zaczęli sobie zdawać sprawę z niedogodności swojego położenia.

Wtedy Ilyrowie wylądowali obok żołnierzy Keira. Kasjan, Azriel i Rhys, wszyscy odziani w czarne ilyryjskie zbroje, rozproszyli się w szeregach pierwszej linii, wszyscy odziani dokładnie tak jak pozostali skrzydlaci wojownicy: każdy z tarczą w lewej, a ilyryjskim ostrzem w prawej dłoni, w hełmach i z zapasem sztyletów.

Hełmy były jedynym, co ich wyróżniało. W przeciwieństwie do gładkich kopuł pozostałych żołnierzy Rhys, Azriel, i Kasjan mieli na sobie czarne hełmy, w których osłona twarzy została wykuta i wyginała się w górę na podobieństwo kruczych skrzydeł – ostrych jak brzytwy kruczych skrzydeł wznoszących się po obu stronach hełmu od wysokości ucha... Efekt, musiałam przyznać, był przerażający. Zwłaszcza w zestawieniu z dodatkowymi dwoma mieczami na plecach, rękawicami pokrywającymi każdy cal ich dłoni i syfonami lśniąco-czarnymi na hebanowoczarnych zbrojach Kasjana i Azriela.

Moc Rhysa wiła się i wirowała wokół niego, gotowa uderzyć na prawą flankę, podczas gdy Kasjan kierował się ku lewej. Rhys miał oszczędzać swoją moc na wypadek, gdyby przybył sam król. Albo co gorsza – Kocioł.

Ta armia, choć była ogromna... wyglądało na to, że króla w ogóle tu nie było. Ani Tamlina. Ani Juriana. Tylko złowróźbne szeregi, na tyle liczne, by dokonać poważnych zniszczeń... Łatwo mogliśmy

dojrzeć spustoszenie, jakie już zostawiła za sobą, dymy pożarów znaczące bezchmurne letnie niebo.

Niewiele mówiłyśmy z Mor podczas tych godzin.

Nie bardzo umiałam wydobyć z siebie głos, nie potrafiłam wypowiedzieć jednego zrozumiałego zdania, kiedy tak stałyśmy i patrzyłyśmy. Na całe szczęście, ale też ku naszemu zaskoczeniu, nie było śladu użycia zguby fae. Gotowa byłam dziękować za to Matce.

Chociaż każdy żołnierz w obozie wmieszał antidotum Nuany do swojej porannej kaszy, nie powstrzymałoby to powleczonych zgubą broni od roztrzaskiwania tarcz. Zatrzymałoby tylko samo działanie magii, kiedy już wchodziła w kontakt z ciałem, czy to przez ten cholerny proszek, czy poprzez nadzianie się na broń powleczoną tą substancją. Mieliśmy ogromne szczęście – ogromne, że dziś zguba fae nie została użyta.

Patrzyłam na tę rzeź, na wąską linię frontu... Nie było dla mnie miejsca w pierwszej linii, pomiędzy walczącymi ramię w ramię Ilyrami, ufającymi w swoją potęgę, siłę oręża i towarzyszy broni po bokach. Nawet żołnierze Keira walczyli jak jedno ciało – posłuszni i niezłomni, rażący wrogów cieniem i stalą. Ja byłabym tylko szczeliną w ten jednolitej zbroi – a to, co Kasjan wraz z Ilyrami fundował Hybernijczykom...

Generał uderzył na lewą flankę. Z syfonów tryskała moc, która czasem odbijała się od tarcz, ale czasem trafiała w cel, rozrywając ciała i gruchocząc kości.

A tam, gdzie tarcze Hybernijczyków wytrzymały... Rhys, Azriel i Kasjan posyłali fale magii, które kompletnie je rozbijały. Pozostawiało to przeciwników wrażliwych na działanie syfonów pozostałych żołnierzy – albo zimną ilyryjską stal. A jeśli i to ich nie powaliło.... Keir i jego Niosący Mrok dopełniali dzieła zniszczenia. Precyzyjnie. Beznamiętnie.

Pole zmieniło się w jedną wielką kałużę krwistego błota. Ciała lśniły w porannym słońcu, światło odbijało się od zbroi. Hybernijczycy wpadali w panikę, rozbijając się o niezłomne linie Ilyrów, którzy odpychali ich coraz dalej. To ich złamało. A kiedy rozpadła się lewa flankę, a szlachta uciekła w popłochu... pozostali

żołnierze Hybernii również poddali się panice. Tylko jeden dosiadający konia dowódca nie chciał się łatwo ustąpić pola. Nie obrócił konia i nie zaczął uciekać ku rzece.

Kasjan wybrał go sobie na przeciwnika.

Mor chwyciła mnie za rękę – mocno, aż do bólu – kiedy wystąpił z nieprzeniknionej linii tarcz i mieczy, a żołnierze za nim natychmiast uszczelnili szyk. Błoto i krew opryskały jego ciemny hełm i zbroję. Swoją wysoką tarczę zamienił na okrągłą, którą dotąd niósł przytroczoną na plecach, i wykonaną z tego samego ciemnego metalu.

Wtedy puścił się biegiem.

Przysięgłabym, że nawet Rhys na chwilę zatrzymał się na swoim miejscu, by spojrzeć na Kasjana wycinającego sobie drogę w morzu przeciwników, by dostać się do konnego Hybernijczyka. Ten zaś zorientował się w sytuacji i zaczął szukać lepszej broni.

Kasjan zdawał się urodzony do takich sytuacji – te przestrzenie, chaos, brutalność, ale też chłodna kalkulacja.

Nie przestał posuwać się naprzód, jakby z góry wiedział, gdzie znajduje się każdy wróg. Walczył zarówno z tymi przed, jak i za sobą. Nawet oddychać zdawał się w rytm toczącej się wokół bitwy. Pozwolił tarczy opaść ze swoich syfonów, by móc *poczuć*, uderzenie strzał odbijających się od czarnej osłony. Jeśli uderzał jednego przeciwnika tarczą, to drugą ręką już wymierzał cios mieczem w następnego.

Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego – takich umiejętności i precyzji. Wyglądało to niemal jak taniec.

Musiałam wypowiedzieć te słowa głośno, gdyż Mor odpowiedziała:

– Tym właśnie jest dla niego bitwa. Symfonią.

Nie spuszczała ani na chwilę wzroku ze śmiertelnego tańca Kasjana.

Trzej żołnierze – wystarczająco odważni lub na tyle głupi – próbowali go zaatakować. Ilyr ściał wszystkich czterema płynnymi ruchami.

– Święta Matko – szepnęłam.

To był właśnie wojownik, który mnie szkolił. Dlatego fae drżeli na sam dźwięk jego imienia.

Dlatego właśnie wysoko urodzeni ilyryjscy panowie zazdrościli mu do tego stopnia, że chcieli go zgładzić.

Kasjan parł dalej, nikt nie był w stanie stanąć pomiędzy nim a konnym dowódcą.

Tamten znalazł porzuconą włócznię. Rzucił ją.

Szybko i pewnie. Serce we mnie zamarło, kiedy zakończone grotem drzewce pomknęło prosto w stronę Kasjana.

Ugiął kolana, złożył skrzydła ciasno przy ciele, obrócił tarczę...

I przyjął na nią włócznię. Uderzenie było tak mocne, że przysięgłabym, że mimo odległości usłyszałam huk. Kasjan odciął sterzącą z tarczy drzewce i kontynuował bieg.

W mgnieniu oka przerzucił miecz i tarczę na plecy.

Zapytałabym dlaczego, ale on już podniósł inną porzuconą włócznię.

Rzucił nią, wyginając całe ciało tak, by nadać jej jak największą prędkość i siłę; tak idealnie, że zrozumiałam, że będę musiała to namalować.

Zdawało się, że obie armie na chwilę zamarły.

Nawet z tej odległości widziałam, że włócznia Kasjana sięgnęła celu. Przeszyła na wylot pierś dowódcy, strącając go jednocześnie z konia.

Zanim sięgnął ziemi, Ilyr już przy nim był.

Jego miecz zalśnił w słońcu, kiedy uniósł go, by zadać ostateczny cios, po czym wbił w ciało wroga.

Dobrze wybrał przeciwnika. Po tym pokazie siły Hybernijczycy zaczęli masowo uciekać w popłochu. Po prostu zawracali i wiali w kierunku rzeki.

Ale tam, na drugim brzegu, czekała na nich armia Tarquina, dokładnie tak jak polecił im to Kasjan.

Zostali uwięzieni między Ilyrami i Niosącymi Mrok Keira a dwoma tysiącami żołnierzy Dworu Lata po drugiej stronie wąskiej strugi wody...

Ta rzeź... była jeszcze straszniejsza.



– To koniec – powiedziała do mnie Mor.

Słońce wisiało wysoko na niebie, z każdą minutą wzmagał się upał.

– Nie musisz na to patrzeć – dodała.

Niektórzy z żołnierzy poddawali się, padali na kolana. Ponieważ były to ziemie Tarquina, Rhys pozostawił los więźniów jego decyzji.

Z oddali rozpoznałam księcia Dworu Lata po jego zbroi – bardziej ozdobnej niż pancierz Rhysanda, lecz tak samo strasznej. Zdobily ją rybie płetwy i łuski, a lazurowy płaszcz powiewał za nim nad błotem, kiedy przestępował nad ciałami poległych wrogów, by dotrzeć do tych kilku setek ocalałych.

Tarquin wpatrywał się w miejsce, w którym klęczeli poddający się Hybernijczycy. Nie widziałam wyrazu jego całkowicie skrytej pod hełmem twarzy.

W pobliżu Rhys, Kasjan i Azriel mieli oko na wszystko, rozmawiając z Keirem i ilyryjskimi kapitanami. Wśród poległych dojrzałam niewiele skrzydeł. Los okazał się łaskawy.

W przeciwieństwie do Tarquina, który skinął ręką na swoich żołnierzy.

Niektórzy Hybernijczycy zaczęli błagać o litość, oferując informacje tak głośno, że ich krzyki dochodziły nawet nas tutaj.

Tarquin wskazał kilku z nich, którzy natychmiast zostali odciągnięci na bok. Na przesłuchanie. Bardzo wątpiłam, żeby było przyjemne.

Ale pozostali...

Tarquin wyciągnął ku nim rękę.

Chwilę zajęło mi zrozumienie, dlaczego Hybernijczycy rzucali się na ziemię i szarpali na sobie zbroje, starając się dokądś odpełznąć. Jednak wtedy jeden z nich padł, a na jego twarzy zalśniły promienie słońca. Nawet z dużej odległości dostrzegłam, co się stało – dojrzałam wodę pieniącą się w jego ustach.

W ustach wszystkich wrogich żołnierzy, których Tarquin utopił na suchym lądzie.

\*\*\*

Nie widziałam Rhysa i innych przez wiele godzin – właściwie odkąd wydał rozkazy, by przenieść obóz Ilyrów z pogranicza ziem Dworu Zimy na obrzeża pola bitwy. Toteż przeskakiwałyśmy razem z Mor pomiędzy obozami, kiedy wszyscy się przenosili. Moje siostry zabrałyśmy na końcu, kiedy większość ciał została już spopielona przez Rhysanda. Krew i błoto pozostały, ale obóz był w zbyt dobrej lokalizacji, by ją zmieniać – albo tracić czas na szukanie równie dobrej gdzie indziej.

Elaina zdawała się zobojętnieć na wszystko. Odniosłam wrażenie, że nie zauważyła nawet, kiedy ją przeskoczyłyśmy. Dała się przekazać z moich rąk w ręce Mor, a potem umieścić w rozbitym na nowo namiocie.

Nesta jednak... Zapewniałam ją, że wszystko jest w porządku. Lecz kiedy przeskoczyłyśmy na pole bitwy... Wpatrywała się w tę zakrwawioną błotnistą równinę. Na żołnierzy obu dworów zbierających broń poległych wrogów. Przysłuchiwała się, jak Ilyrowie komentowali między sobą przyciszonymi głosami, jak to Kasjan rzucił włócznią, jak ścinał żołnierzy wroga, jakby ścinał zboże. Jak to walczył jak sam Enalius – najślynniejszy starożytny wojownik i pierwszy z Ilyrów. Odniosłam wrażenie, że minęło nieco czasu, od kiedy po raz ostatni widzieli Kasjana w walce. Pamiętali, że za młodu walczył w wojnie, ale teraz... Spojrzenia, jakie mu posyłali, przypominały mi sposób, w jaki pozostali książęta patrzyli na Rhysa, widząc jego potęgę. Niby taki sam jak oni, ale jednak *inny*.

Nesta patrzyła i słuchała wszystkiego w czasie, kiedy wokół nas wznoszono obóz.

Nie pytała, gdzie się podziały ciała. Kompletnie ignorowała Keira i jego Niosących Mrok, którzy rozbili się tuż obok nas – odzianych w czarne zbroje żołnierzy, którzy wykrzywiali twarze w nieprzyjemnych grymasach na nasz widok i na widok Ilyrów. Nesta upewniła się tylko, że Elaina drzemała w swoim namiocie, i zaproponowała pomoc w cięciu płótna na bandażę.

Właśnie przy tej czynności zastali nas wczesnym wieczorem Rhys i Kasjan, obaj wciąż w zbrojach. Azriel się nie pojawił.

Rhys usiadł ze szczękiem zbroi na powalonym pniu obok mnie i pocałował moją skroń. Czuć go było metalem, krwią i potem.

Szczęknął upuszczany na ziemię u jego stóp hełm. Bez słowa podałam mu dzban wody i już miałam podsunąć mu szklanę, kiedy pociągnął łyk wprost z cynowego naczynia. Kropelki wody rozprysnęły się we wszystkie strony, spływając na metal ciemnej zbroi, a kiedy wreszcie odstawił dzban, zobaczyłam, że wygląda na... W jego oczach widać było znużenie.

Nesta zerwała się na równe nogi, wpatrując się w Kasjana, w trzymany przez niego pod pachą hełm, w domagającą się solidnego czyszczenia broń wciąż wystającą znad ramienia. Jego ciemne włosy zwisały w strąkach pozlepiane potem, twarz była pochłapana błotem, tam gdzie nie ochronił jej hełm.

Przyjrzała się uważnie siedmiu syfonom – ciemnoczerwonym kamieniom. A potem stwierdziła:

– Jesteś ranny.

Rhys nagle jakby się ocknął na te słowa.

Twarz Kasjana była ponura, oczy – szkliste.

– To nic takiego. – W jego głosie słychać było ogromne zmęczenie.

Ale Nesta już sięgała do jego ręki – tej, w której trzymał tarczę. Ilyr jakby zawahał się na chwilę, ale podał jej ją, dotykając znajdującego się na dłoni syfonu. Zbroja cofnęła się na przedramię, ukazując...

– Dobrze wiesz, że nie powinieneś chodzić z ręką w takim stanie – skomentował z dezaprobatą Rhys.

– Byłem zajęty – mruknął Kasjan, nie spuszczając wzroku z Nesty, która przyglądała się właśnie uważnie jego opuchniętemu nadgarstkowi.

Jak ona zauważyła to przez zbroję? Musiała wyczytać to z jego twarzy, z postawy.

Nie sądziłam, że obserwowała Ilyra na tyle uważnie, żeby dostrzec takie szczegóły.

– Do rana będzie w porządku – stwierdził Kasjan, rzucając Rhysowi wyzywające spojrzenie.

Blade palce Nesty bardzo delikatnie badały złotobrazową skórę,

a mimo to Kasjan zasyczał z bólu.

– Jak to wyleczyć? – spytała.

Jej włosy upięte rankiem w wygodny węzeł podczas wielu godzin pracy w gorącym i parnym powietrzu, podczas rozdzielania zapasów, donoszenia potrzebnych produktów uzdrowicielom zaczęły wymykać się ze splotów i kosmykami wić się na skroniach i karku. Policzki pokrywał jej blady rumieniec a przedramiona, gdyż rękawy sukienki podwinęła aż do łokci, zapryskane były błotem.

Kasjan usiadł powoli na pniu, na którym wcześniej siedziała moja siostra, i aż stęknął z wysiłku – jakby nawet tak niewielki ruch go męczył.

– Zazwyczaj pomaga przyłożenie lodu, ale nawet samo usztywnienie opatrunkiem na dość długo, by zwichnięcie się zaleczyło, wystarczy...

Nesta sięgnęła po kosz bandaży, które wcześniej przygotowywała, potem po stojący u jej stóp dzban.

Byłam zbyt zmęczona, by zrobić cokolwiek więcej, niż przyglądać się, jak moja siostra delikatnie obmywa nadgarstek ilyryjskiego generała. Zbyt zmęczona nawet, by zapytać, czy władza magią leczącą. Kasjan z kolei wydawał się zbyt wykończony, by powiedzieć cokolwiek, i tylko pomrukiwał, dając jej znać, czy bandażuje za mocno czy za luźno. Ale cały czas ją obserwował – nawet na chwilę nie spuścił wzroku z jej twarzy, ze zmarszczonych brwi i ust ściągniętych skupieniem.

A kiedy wszystko było już porządnie obandażowane i Nesta zrobiła ruch, jakby chciała się odsunąć, Kasjan pochwycił jej palce zdrową dłonią. Podniosła wzrok, by spojrzeć mu w oczy.

– Dziękuję – wychrypiał.

Nesta nie wyszarpnęła dłoni z jego uścisku.

Nie otworzyła ust, by odpowiedzieć mu ciętą ripostą.

Tylko na niego patrzyła, na jego szerokie ramiona wyglądające na jeszcze potężniejsze w pięknej czarnej zbroi, na masywną kolumnę szyi, na jego skrzydła. Wreszcie na wciąż w nią wpatrzone orzechowe oczy.

Kasjan musnął kciukiem wierzch jej dłoni.

Nesta otworzyła wreszcie usta i już przygotowałam się...

– Jesteś ranny?

Na dźwięk głosu Mor Kasjan cofnął rękę i zwrócił się ku niej z leniwym uśmiechem.

– Nic, nad czym musiałybyś rozpaczać, bez obaw.

Nesta oderwała wzrok od jego twarzy i spojrzała na puste już dłonie z palcami wciąż ułożonymi tak, jak kiedy ujmowała je jego ręka. Ilyr nie spojrzał na Nestę, kiedy wstała, zabierając dzban i wymamrotała coś o przyniesieniu więcej wody z namiotu.

Kasjan i Mor wpadli w swój zwyczajowy tryb droczenia się i dogryzania sobie nawzajem w kwestii tej bitwy i różnych następnych.

Nesta przez dłuższy czas się nie pojawiła.

\*\*\*

Do późnej nocy pomagałyśmy przy rannych. Mor i Nesta pracowały razem ze mną.

Dla nas był to długi dzień, tak, ale dla innych... Oni walczyli długie godziny. Ze sposobu, w jaki Mor zaciskała szczęki, opatrując rannych, zarówno Niosących Mrok, jak i Ilyrów, widziałam, że wszelkie wspominki i opisy minionej bitwy nie wpływały na nią dobrze – nie dlatego, że mówiły o chwale i rzezi, ale głównie dlatego, że jej tam nie było.

Jednak pomiędzy Niosącymi Mrok i Ilyrami... zastanawiało mnie u czyjego boku zdecydowałaś się walczyć Mor. Kim by dowodziła lub komu się podporządkowała. Na pewno nie Keirowi, ale... wciąż o tym rozmyślałam kiedy wreszcie wślizgnęłam się pomiędzy ciepłą pościel na łóżku i wtuliłam się w Rhysa. Ten natychmiast objął mnie w tali ramieniem i przyciągnął bliżej.

– Czuć cię krwią – wymruczał w ciemności.

– Przepraszam – odpowiedziałam.

Umyłam dłonie i przedramiona zanim się położyłam, ale kąpiel... ledwie byłam w stanie dowlec się do namiotu.

Rhys pogładził dłonią moją talię, przesuwając rękę aż po biodro.

– Musisz być wykończona.

– A ty powinieneś już spać – odparowałam, przysuwając się bliżej, by otuliły mnie ciepło i zapach jego ciała.

– Nie mogę – przyznał, muskając ustami moją skroń.

– Dlaczego?

Jego dłoń przesunęła się po moich plecach i instynktownie się wygięłam, kiedy przesunął palcami wzdłuż kręgosłupa.

– Trochę trwa zanim... uspokoję się po bitwie.

Od ustania walk minęło już wiele godzin. Usta Rhysa rozpoczęły wędrówkę od mojej skroni w stronę linii szczęki.

Pomimo przytłaczającego zmęczenia, kiedy tak wodził ustami po moim podbródku, kiedy lekko przygryzł dolną wargę, wiedziałam o co prosi.

Rhys wciągnął gwałtownie powietrze, kiedy to ja zaczęłam wodzić palcami wzdłuż zarysów mięśni na jego brzuchu, czerpiąc przyjemność z miękkości skóry opinającej silne ciało.

Delikatnie jak muśnięcie piórkiem pocałował mnie w usta.

– Jeśli jesteś zbyt zmęczona... – zaczął, chociaż zeszywniał cały, kiedy moja dłoń przesunęła się z podbrzusza niżej.

Odpowiedziałam własnym pocałunkiem. Potem kolejnym. Dopóki jego język nie wślizgnął się do moich ust.

Kiedy wreszcie staliśmy się jednością, było to szybkie i dzikie. Moje paznokcie zostawiały na jego plecach wyraźne ślady, aż wreszcie przeciągnęłam dłońmi po jego skrzydłach, co posłało nas oboje w otchłań rozkoszy.

Przez dłuższą chwilę leżeliśmy nieruchomo, moje nogi wciąż zarzucone na jego ramiona, nasze klatki piersiowe stykające się przy każdym oddechu.

W końcu wyszedł ze mnie i opuścił moje nogi po obu stronach siebie, całując skórę pod każdym kolanem, po czym podniósł się do klęku. Tatuaze na każdym z jego kolan były częściowo ukryte przez zmiętą pościel, a kształt rozciągnięty przez napięcie skóry w tej pozycji.

Powiodłam palcami po szczytach wytatuowanych gór, trzech gwiazdach nad nimi, a on wciąż nie ruszał się spomiędzy moich nóg i tylko mi się przyglądał.

– Myślałem o tobie chyba w każdej chwili, którą spędziłem na tym polu bitwy – powiedział łagodnie. – Dzięki temu łatwiej było mi się skupić, skoncentrować. Mogłem przez to wszystko przejść.

Znów przeciągnęłam palcami po tatuażach na kolanach.

– W takim razie cieszę się... że jakaś część mnie była tam z tobą, podczas bitwy.

Spojrzałam na jego zbroję, wyczyszczoną i powieszoną porządnie na manekinie w pobliżu niewielkiej ubieralni. Jego skrzydlaty hełm lśnił w półmroku niczym mroczna gwiazda.

– Widząc tę dzisiejszą bitwę... To było coś innego niż Adriata. – Rhys tylko przyglądał mi się cierpliwym wzrokiem. – W Adriacie nie... – Nie bardzo potrafiłam dobrać właściwe słowa. – Chaos bitwy w Adriacie był dla mnie w jakiś sposób łatwiejszy. Nie to, że było łatwo, chodzi mi o to...

– Wiem, o co ci chodzi.

Westchnęłam i usiadłam twarzą do niego tak, że stykaliśmy się kolanami.

– To, co próbuję tak niezręcznie wyrazić, to, że ataki takie jak w Adriacie czy w Velaris... jestem w stanie w takich starciach walczyć. Tam są ludzie, których trzeba bronić, i konkretny problem... Mogę, chętnie wręcz biorę udział w takich potyczkach. Ale to, co dzisiaj zobaczyłam, taka wojna... – Przełknęłam ślinę. – Czy będzie ci za mnie bardzo wstyd, jeśli ci powiem, że chyba nie jestem gotowa na taki rodzaj walki?

Jedna linia za drugą w równych szykach, zamachy i pchnięcia, aż wreszcie sama nie wiesz, gdzie jest góra, a gdzie dół; aż błoto i krew zacierają różnice pomiędzy sojusznikiem a wrogiem. Kiedy musisz polegać na żołnierzach stojących obok ciebie równie mocno, jak na własnych umiejętnościach. I ten tłok, hałas i sama skala tej rzezi...

Rhys ujął moją twarz w dłonie i pocałował mnie.

– Nigdy. Nigdy nie mógłbym się ciebie wstydzić. A już na pewno nie z takiego powodu. – Jego twarz wciąż była tak blisko mojej, że nasze oddechy się mieszały. – Dzisiejsza bitwa *była* inna od tych z Adriaty i Velaris. Jeśli mielibyśmy więcej czasu, by zapewnić ci trening w szyku, jestem pewien, że z łatwością poradziłabyś sobie

z walką w oddziale. Oczywiście tylko jeśli byś tego chciała. A póki co, te pierwsze potyczki... Taka jatka nie jest miejscem, w który chciałbym cię widzieć. – Pocałował mnie ponownie. – Jesteśmy parą – wyszeptał prosto w moje usta. – Jeśli kiedyś zechcesz walczyć ramieniem w ramię ze mną, będzie to dla mnie zaszczyt.

Odchyliłam głowę i zmarszczyłam brwi

– Teraz czuję się jak ostatni tchórz.

– Nikt nie mógłby pomyśleć tak o tobie; nie po tym, czego dokonałaś, Feyro. – Tu zawiesił na chwilę głos. – Wojna jest paskudna, brudna i bezwzględna. Żołnierze, którzy walczą, to tylko niewielka jej część. Nie możesz nie doceniać, jak wiele znaczy dla nich sama twoja obecność tutaj; kiedy widzą, że opatrujesz rannych i bierzesz udział we wszystkich tych spotkaniach i naradach.

Zamyśliłam się na chwilę, pozwalając moim dłoniom wędrować po ilyryjskich tatuażach pokrywających jego pierś i ramiona.

I może była to kwestia euforii po uprawianiu miłości, może dzisiejsza bitwa, ale... uwierzyłam mu.

\*\*\*

Armia Tarquina nie mieszała się z naszą jak oddział Keira, raczej woleli obozować obok nas, niż z nami. Azriel prowadził jeden zwiad za drugim, by znaleźć pozostałe oddziały Hybernijczyków, poznać ich następny ruch... Ale bezskutecznie.

Zastanawiałam się czy był z nim Tamlin – czy wypaplał Hybernijczykom wszystko, co było omawiane na spotkaniu w pałacu Thesana. Słabości poszczególnych Dworów. Nie śmiałam nikogo pytać.

Ale znalazłam w sobie dość śmiałości, by zapytać Nestę, czy czuła budzącą się moc Kotła. Na szczęście stwierdziła, że nie czuje nic niezwykłego. Mimo to... wiedziałam, że Rhys pozostaje w stałym kontakcie z Amreną w Velaris – żeby dowiedzieć się, czy poczyniła jakieś postępy z Księgą.

Ale nawet jeśli znalazłaby jakiś inny sposób na powstrzymanie Kotła... Musieliśmy najpierw wiedzieć, gdzie ukrywa się król Hybernii z resztą armii. I nie po to, by móc mu stawić czoła – nie



samodzielnie – lecz abyśmy mogli poprowadzić innych, by załatwili sprawę.

Jednak najpierw musieliśmy dowiedzieć się gdzie oni w ogóle są, gdzie miałabym uwolnić Bryaksis. Nie byłoby dobrze, gdyby Hybernijczycy dowiedzieli się o jej istnieniu i zmienili swoje plany. Nie, tylko wtedy, kiedy staniemy naprzeciw całej armii... Tylko wtedy wypuszczę ją na nich.

Przez pierwsze trzy dni po bitwie armie leczyły rannych i wypoczywały. Czwartego Kasjan zlecił im różne prace fizyczne, żeby zmniejszyć ryzyko margania, które mogłoby się rozwinąć w poważniejsze niepokoje. Jego pierwszym rozkazem było wykopania okopu wokół całego obozu.

Piątego dnia, kiedy okop był w połowie ukończony... na środku naszego namiotu pojawił się ciężko dyszący Azriel.

Oddziałom Hybernii udało się jakimś cudem nas ominąć i maszerowały teraz granicą pomiędzy ziemiami Lata i Jesieni. Prosto w stronę Dworu Zimy. Nie mieliśmy pojęcia, dlaczego. Azriel również nie był w stanie się tego dowiedzieć. Byli obecnie pół dnia lotu od nas. Pieśniarz cieni wysłał już ostrzeżenie do Kalliasa i Viviane.

Rhys, Tarquin i inni debatowali godzinami, rozważając różne możliwości. Jeśli opuścimy nasz posterunek przy granicy, możemy zrobić dokładnie to, czego chciałby król. Ale pozostawienie tej armii w spokoju daje im możliwość dalszego bezkarnego marszu na północ. Nie mogliśmy pozwolić sobie na podzielenie naszych wojsk na pół – każda połowa byłaby zbyt mała liczna.

Wtedy Varian wpadł na pomysł.

Odesłał wszystkich kapitanów i generałów, choć Keir i Devlon nie sprawiali wrażenia zadowolonych, kiedy wychodzili na zewnątrz. Odesłał wszystkich poza swoją siostrą, Tarquinem i moją rodziną.

– Wyruszymy na północ... i *jednocześnie* zostaniemy.

Rhys uniósł brew, a Kasjan zmarszczył czoło.

Varian postukał palcem w mapę rozłożoną na stole, przy którym się zebraliśmy.

– Stwórz iluzję. Dobrą. Tak by każdy, kto znajdzie się w okolicy,

widział, słyszał i czuł obecność armii. Oblóż obóz jakimi tylko uważasz zaklęciami, żeby zapobiec wejściu do niego niepożądanych osób. Niech oczy Hybernijczyków będą przekonane, że zdecydowaliśmy się tu pozostać.

– W tym czasie my pod osłoną zaklęć niewidoczności wyruszymy na północ – mruknął Kasjan, pocierając szczękę. – To się może udać. – Uśmiechnął się szeroko do Variana. – Jeśli kiedykolwiek znudzi ci się słońce, odwiedź nas w Velaris na odrobinę zabawy.

Chociaż Varian zmarszczył brwi, w jego oku pojawił się nagły błysk.

– Byłbyś w stanie stworzyć podobną ułudę? – spytał Rhysa Tarquin.

Ten skinął głową i mrugnął do mnie.

– Z pomocą mojej towarzyszki.

Miałam nadzieję, że byliśmy wystarczająco wypoczęci, gdyż wszyscy na nas liczyli.

\*\*\*

Kiedy pod wieczór skończyliśmy, byłam nieprzytomna ze zmęczenia. Wykonywałam tylko instrukcje Rhysa, tworząc twarze i detale, kształtując je prosto z powietrza i nadając im odpowiednie formy i pozory życia.

Przypominało to... pokrywanie wszystkich obecnych w obozie cienką powłoką, która oddzieli się, kiedy wyruszymy na północ – oddzieli, by stać się samodzielnym bytem, który chodził, mówił i wykonywał wszelkie obozowe czynności. Podczas gdy my, ukryci przez Rhysa przed niepożądanymi oczami, wymaszerujemy, by przeciąć drogę hybernijskiej armii.

Udało się. Kresejda, obeznana z zaklęciami maskującymi, sama pracowała nad oddziałami Dworu Lata. Kiedy kilka godzin później wszystko było gotowe, obie byłyśmy spocone i ciężko dyszałyśmy. Skinęłam jej głową w podziękowaniu, a ona podała mi bukłak z wodą. Nie była wyszkolonym wojownikiem jak jej brat, ale podtrzymywała morale ich armii – żołnierze oczekiwali od niej wskazania kierunku i dodania pewności.

Znów wyruszyliśmy, tym razem w znacznie większej liczbie niż pierwotnie. Żołnierze Dworu Lata i legion Keira nie potrafili latać, ale wtedy Tarquin zdecydował się sięgnąć głęboko do swych rezerw mocy i przeskakiwał ich, dotrzymując nam tempa. Wiedział, że nie zostanie mu ani odrobina magii na samo starcie, ale powiedział nam, że tak czy owak lepiej się czuje, walcząc zimną stalą.

Znaleźliśmy siły Hybernii na północnym skraju ogromnego lasu, który rozciągał się wzdłuż wschodniej granicy ziem Dworu Jesieni.

Azriel, który poleciał na prośbę Kasjana przodem na rekonesans, opisał nam to szczegółowo. Było już późne popołudnie i siły Hybernijczyków powoli szykowały się do rozbicia obozu na noc.

Przewidując podobny rozwój wypadków, Kasjan pozwolił naszej armii odpoczywać cały dzień. Wiedział, że po trudach całodziennego marszu siły wroga będą zmęczone i oziębiałe. Kolejna zasada prowadzenia wojny, jak mi powiedział. Wiedzieć *kiedy* wydać nieprzyjacielowi bitwę, jest równie ważne jak wiedzieć, *gdzie* ją wydać.

Wylądowaliśmy, kiedy ciężkie deszczowe chmury przewalały się już po niebie ze wschodu na zachód, a słońce zachodziło za górującymi nad okolicą platanami i dębami za naszymi plecami. Rhys zdarł osłaniające nas zaklęcia. Chciał, żeby rozeszła się wieść; chciał, żeby oddziały Hybernijczyków dowiedziały się, kogo spotykają na każdym kroku. Kto ich wyrzyna.

Ale oni już wiedzieli.

Znów miałam obserwować wszystko z obozu na szczycie szerokiego wzniesienia łagodnie schodzącego w trawiastą dolinę, w której hybernijska armia postanowiła rozbić się na noc. Elaina skryła się w namiocie, gdy tylko Ilyrowie go dla niej rozbili. Tylko Nesta śmiało podeszła na skraj obozu, by obserwować rozgrywającą się u naszych stóp bitwę. Wkrótce dołączyła do niej Mor, potem ja.

Nesta nawet nie drgnęła na odgłos szczęku broni. Patrzyła tylko w kierunku jednej odzianej na czarno postaci wiodącej żołnierzy do walki. Od czasu do czasu słyhać było krótkie jak szczeknięcia rozkazy: „naprzód” lub „utrzymać flankę”.

Ponieważ do tej bitwy... Hybernijczycy byli przygotowani.

Zmęczenie i pragnienie spoczynku okazały się tylko pozorem...  
takim samym jak nasz.

Żołnierze Keira zaczęli pierwsi oddawać pole. Ich cienie pryskały i rozpływały się. Linia się łamała.

Mor obserwowała to z kamienną twarzą. Nie miałam wątpliwości, że po cichu liczyła, że jej ojciec dołączy do rosnącego stosu ciał. Keir zdołał wreszcie opanować swoich Niosących Mrok, ale dopiero kiedy Kasjan wrzasnął na niego, żeby coś z tym zrobił. Zaś na drugiej flance...

Rhys i Tarquin byli tak wyczerpani magicznie, że walczyli wręcz, ramię w ramię ze swoimi żołnierzami. Jurian ani Tamlin wciąż się nie pojawiali .

Mor przestępowała z nogi na nogę, zerkając na mnie raz po raz. Rozlew krwi, brutalność – przemawiały do jakiejś części jej duszy. To, że musiała tu pozostać ze mną... Wolałaby być gdzie indziej.

Ale takie... takie bieganie za armiami, próby wyprzedzenia ich o krok...

To nie było wyjście. Nie na długo.

Wtedy rozwarły się chmury i pole bitwy zamieniło się w jedną wielką błotnistą jatkę. Syfony rozbłyskiwały, żołnierze ginęli. Hybernijczycy używali na naszych wojskach własnej magii – pojawiły się w końcu strzały zanurzone w zgubie fae, która na szczęście w tym deszczu niedługo pozostawała na grotach. Do tego nie robiła na naszych żołnierzach wrażenia – najmniejszego – dzięki antidotum Nuany krążącym w ich żyłach. Cześć strzał wyłapywali na tarcze, a cześć ścinali mieczami tak, że tylko same groty opadały na ziemię.

Kasjan, Azriel i Rhys wciąż walczyli, wciąż zabijali. Tarquin i Varian też nie oddawali pola – rozciągnęli nieco własne linie, by wspomóc rzędzące szeregi wojowników Keira.

Za późno.

Nawet z tej odległości, przez zasłone deszczu wyraźnie widziałyśmy, jak linie Keira łamią się pod naporem hybernijskiej kawalerii.

– Cholera – szepnęła Mor, chwytając mnie za rękę tak mocno, że

pewnie zostawiła siniaki.

Ciepły letni deszcz nie przestawał padać, nasze ubrania i włosy były już kompletnie przemoczone.

– *Cholera* – powtórzyła.

Niczym woda z pękniętej tamy Hybernijczycy wdarli się pomiędzy wojowników Keira, przecinając ich szeregi na pół. Wrzaski Kasjana słychać było aż tu, na szczycie wzgórza. Wtedy zobaczyłyśmy, jak szybuje, unikając strzał i włóczni. Jego syfony były już tak słabe, że nie dawały prawie żadnej ochrony. Przysięgłabym, że Rhys krzyknął do niego jakiś rozkaz – który ten kompletnie zignorował i wylądował w środku, w samym środku napierających sił wroga, po czym dał z siebie wszystko.

Nesta wciągnęła głęboko powietrze.

Siły Hybernii rozpychały nasze wojska coraz dalej i dalej od siebie. Moc Rhysa uderzyła na flankę, starając się ich trochę odepchnąć. Ale jego moc była prawie wyczerpana, wczorajszy wieczór wiele go kosztował. Smugi cienia powalały dziesiątki, a nie setki.

– Zewrzyjcie ponownie szyki – mamrotała Mor, po czym puściła moją rękę i zaczęła chodzić nerwowo w tę i z powrotem w oblewającym jej twarz deszczu. – Zewrzyjcie ponownie cholerne szyki!

Kasjan próbował. Azriel również rzucił się w wir walki. Cały przypominał teraz cień obramowany niebieską poświatą. Starał się dobrnąć do miejsca, w którym walczył całkowicie otoczony Kasjan.

– Matko najwyższa – szepnęła miękko Nesta.

Jednak w jej głosie nie było podziwu – tylko zgroza.

Podobnie jak w moim, kiedy starałam się zapewnić sama siebie:

– Zdołają to naprawić.

A przynajmniej modliłam się w duchu, by zdołali.

Nawet jeśli udałoby się... te wojska nie były wszystkim, co Hybernia miała na nas przygotowane.

Nie rzucili jeszcze wszystkich swoich sił, a jednak nasze wojska były spychane coraz dalej i dalej.

Błysk czerwieni zajaśniał w środku bitwy jak wybuchający

płomień. Krąg żołnierzy wokół niego padł trupem.

Ale napierało ich na Kasjana coraz więcej. Nawet Azriel nie był w stanie się do niego przebić. Żołądek skręcił mi się z nerwów.

Hybernijczykom udało się w jakiś sposób ukryć gdzieś większość swoich wojsk. Nasi zwiadowcy nie zdołali ich znaleźć. *Azriel* nie zdołał ich znaleźć. Ani Elaina... Powiedziała, że w ogóle nie widziała tej potężnej armii. Ani w snach, ani na jawie.

Niewiele wiedziałam o wojnie, o bitwach. Ale to... to przypominało rozpaczliwe łatanie dziur w tonącej łodzi.

Przemiękliśmy na wskroś w deszczu, Mor dreptała w kółko, przeklinając tę rzeź, a w dole piętrzyły się coraz wyższe stosy ciał, łamały się szyki...

Nagle zrozumiałam, co muszę zrobić, by ich wesprzeć w walce, skoro nie mogę być tam na dole.

Kogo muszę schwytać, by spytać o lokalizację prawdziwej armii Hybernii.

Suriela.

## Rozdział 57

**M**owy nie ma – odparła dobitnie Mor, kiedy odciągnęłam ją na chwilę od Nesty.

Odgłosy toczącej się pod nami walki całkowicie zagłuszały naszą rozmowę.

– *Mowy nie ma* – powtórzyła.

Ruchem głowy wskazałam rozciągającą się pod nami dolinę.

– Idź, dołącz do nich. Oni cię tam potrzebują. Tu tylko marnujesz swój potencjał. – To była prawda. – Kasjan i Az cię potrzebują, by odeprzeć siły nieprzyjaciela.

Syfony Kasjana zaczynały już trzeszczeć.

– Rhys mnie *zabije*, jeśli zostawię cię tu samą.

– Rhys nic takiego nie robi i dobrze o tym wiesz. Obozu pilnują strażnicy, no i ja sama nie jestem tak całkowicie bezbronna, wiesz?

Tak w *zasadzie*, to nie kłamałam, ale... Suriel mógł nie chcieć się pojawić, jeśli byłaby ze mną Mor. A jeśli powiedziałybym jej, dokąd się wybieram... Nie miałam wątpliwości, że *nalegałaby*, żeby iść ze mną.

Nie mogliśmy pozwolić sobie na czekanie, aż Jurian przekaże nam potrzebne informacje. Odpowiedzi na wiele pytań. Musiałam iść – teraz.

– Idź walczyć. Pokaż tym hybrynijskim psom, co potrafisz.

Nesta oderwała na chwilę wzrok od walczących i dodała:

– Pomóż im.

Kasjan właśnie przeprowadzał kolejną szarżę na dowódcę hybrynijskich oddziałów. W nadziei że znów zdoła wywołać panikę w szeregach wroga.

Mor zmarszczyła czoło, uniosła się raz na palcach stóp.

– Tylko... uważaj na siebie. Obie uważajcie.

Posłałam jej cierpkie spojrzenie. Po chwili rzuciła się w stronę namiotu. Po niezbyt długim czasie wyłoniła się z powrotem już

w pełnym rynsztunku, dopinając paski zbroi, zasalutowała mi żartobliwie i przeskoczyła. Prosto na pole bitwy.

Prosto do Azriela – właśnie w chwili, kiedy jeden z wrogich żołnierzy miał zaatakować go od tyłu.

Mor wepchnęła mu swój miecz w gardło, zanim w ogóle zdążył wyprowadzić cios.

Potem zaczęła przedzierać się w stronę Kasjana, w stronę łamiącą się za nim linią, a jej wilgotne złote włosy lśniły niczym promień słońca, odcinając się ostro od brunatnego błota i ciemnej zbroi.

Żołnierze zaczęli wrzeszczeć. Weszli ton wyżej, kiedy niebieskie syfony Azriela rozbłysły, a on sam znalazł się przy jej boku. Razem wyznali sobie drogę w stronę Kasjana – a przynajmniej usiłowali.

Udało im się pokonać może dziesięć stóp, zanim na nowo opadła ich hurma wrogów. Zanim złote włosy Mor nie pokryły się w ścisku ciał błotnistą breją.

Nesta przyłożyła dłoń do swojej nagiej, mokrej od deszczu szyi. Kasjan prowadził właśnie kolejny szturm na hybarnijskiego kapitana – tym razem wyraźnie wolniej niż poprzednio.

Teraz. Musiałam iść teraz – szybko. Zrobiłam krok w tył z naszego punktu obserwacyjnego.

Moja siostra zmrużyła podejrzliwie oczy.

– Wybierasz się gdzieś?

– Niedługo wrócę – odpowiedziałam krótko.

Wolałam nie myśleć o tym, jak niewielu z naszych żołnierzy będzie stało wtedy jeszcze na nogach.

Zanim zdołałam zrobić kilka kroków, Nesta odwróciła się z powrotem w stronę bitwy. Za sprawą ulewnego deszczu jej włosy całkiem przylgnęły do głowy. Powróciła do niewzruszonego obserwowania walczącego poniżej generała.

\*\*\*

Musiałam wytropić suriela.

I chociaż Elaina nie była w stanie dojrzeć sił Hybarnijczyków, musiałam spróbować.

Jej namiot był cichy i pogrążony w półmroku – odgłosy toczącej



się bitwy dobiegały tu jak z wielkiej oddali.

Nie spała; wpatrywała się pustym wzrokiem w płóciennych dach.

– Potrzebuję, byś coś dla mnie znalazła.

Cała ociekając wodą, położyłam jej na kolanach papier. Może nie powiedziałam tego tak delikatnie, jak powinnam, ale przynajmniej na dźwięk mojego głosu usiadła. Zamrugła, widząc przed sobą mapę Prythianu.

– Nazywa się suriel, jeden z wielu noszących to miano. Wygląda tak – powiedziałam, biorąc ją za rękę, by przekazać obraz. Zawahałam się. – Mogę ci go pokazać?

Oczy Elainy zrobiły się szkliste.

– Wyświetlić obraz w twojej głowie – wyjaśniłam – żebyś wiedziała, czego szukać.

– Ale ja nie wiem, jak mam szukać – wymamrotała.

– Możesz spróbować.

Powinnam była nalegać, by Amrena ją też szkoliła. Elaina przyjrzała mi się uważnie, po czym skinęła głową. Nie miała żadnych mentalnych tarcz, żadnych osłon. Nic nie chroniło jej umysłu... Żelazna konstrukcja pokryta kwitnącymi pnączami – a w każdym razie mogącymi zakwitnąć. Wszystkie kwiaty spały zwinięte w pąkach, ukryte w płataninie liści i kolców.

Zrobiłam krok przez nie, wstępując zaledwie do przedsionka jej umysłu i wyświetliłam tam obraz suriela, starając się wlać w niego jak najwięcej poczucia bezpieczeństwa – taka była prawda, choć stwór ten wyglądał dość przerażająco, to nigdy nie zrobił mi krzywdy.

Mimo to Elaina wzdrygnęła się, kiedy opuściłam jej umysł.

– Dlaczego?

– On zna odpowiedzi, których bardzo potrzebuję. Zależy mi na czasie.

W przeciwnym razie, nawet kiedy już znajdziemy główne siły króla Hybernii, nie będziemy mieli dość wojsk, by z nim walczyć.

Elaina spojrzała znów na mapę. Potem na mnie. Po czym zamknęła oczy.

Gałki poruszyły się pod zamkniętymi powiekami, na których

skóra była tak delikatna i blada, że przecinające ją błękitne żyłki sprawiały wrażenie maleńkich strumyków.

– Porusza się – wyszeptała. – On się porusza przez świat jak... jak powiew zachodniego wiatru.

– Dokąd się kieruje?

Wodziła palcem po mapie, ponad ziemiami dworów. Wreszcie dotknęła jednego miejsca.

– Tutaj – szepnęła – Teraz zmierza tu.

Spojrzałam na miejsce, które wskazała i krew odpłynęła mi z twarzy.

Środek.

Suriel kierował się do samego środka odwiecznej puszczy. Tylko odrobinę na południe – może kilka mil od...

Domu Tkaczki z Lasu.

\*\*\*

Dostałam się tam w pięciu skokach. Brakowało mi tchu, prawie wyczerpałam swoją moc. Wczorajszy wysiłek przy tworzeniu iluzji wiele mnie kosztował. Potem płomienie, które przyzwałam, by się osuszyć. Teraz przeskakiwanie z pola bitwy w samo serce odwiecznego lasu niemal zupełnie mnie wykończyło.

Powietrze było tu ciężkie, zupełnie jak poprzednim razem. Powykręcane buki i szare kamienie pokrywał gęsty dywan mchu. Wszędzie panowała niesamowita cisza.

Kiedy nasłuchiwałam, przebiegło mi przez myśl, że może jednak powinnam zabrać ze sobą Mor. Sięgnęłam do resztek pozostałej mi mocy, by go znaleźć.

Mech tłumiał moje kroki. Szłam powoli, rozglądając się, nasłuchując. Jak oddalona stąd, jak mała zdawała się tu ta bitwa na południu.

Przełknięcie śliny odbijało się echem w moich uszach.

W tej puszczy grasowało wiele innych istot, nie tylko Tkaczka... Strzyga, jak ją nazwał Rzeźbiący w Kościach. Jego siostra. Rodzeństwo odrażającego stwora kryjącego się w innej części świata.

Dobyłam mojego ilyryjskiego ostrza, pozwalając stali zadźwięczeć w gęstym powietrzu.

Wtedy usłyszałam ze sobą chropawy, pradawny głos:

– Przybyłaś by mnie zabić, czy ponownie błagać o pomoc, Feyro Archeron?

## Rozdział 58

Odwrociłam się, ale nie schowałam ostrza do pochwy na plecach.

Suriel stał kilka kroków ode mnie, odziany nie w płaszcz, który podarowałam mu kilka miesięcy temu, ale w inny – cięższy i ciemniejszy, nieco już podniszczony i podarty. Jakby sam wiatr, na którego skrzydłach podróżował, rozdarł go niewidzialnymi szponami.

Zaledwie kilka miesięcy minęło od naszego ostatniego spotkania – kiedy powiedział mi, że Rhys jest moim towarzyszem. Ale zdawało się to być wieki temu.

Jego wielkie zęby zaklekotały lekko.

– Trzeci już raz się spotykamy. Trzeci raz odszukałaś mnie. Tym razem wysłałaś mi na spotkanie drżącą łanię. Nie spodziewałem się zobaczyć tych sarnich oczu spoglądających na mnie z krańca świata.

– Przepraszam, jeśli uznałeś to za zbyt wścibstwo – odrzekłam tak spokojnie, jak tylko umiałam – ale przybywam tu z niecierpiącą zwłoki sprawą.

– Chciałabyś wiedzieć, gdzie król Hybernii ukrywa swoje wojska.

– Tak, to i kilka innych rzeczy. Ale zacznijmy od tego.

Na twarzy stwora wykwitł koszmarny uśmiech.

– Nawet ja ich nie widzę.

Żołądek zwinął mi się w ciasny węzeł.

– Jesteś w stanie zobaczyć wszystko, tylko nie to?

Suriel przekrzywił głowę, co przypomniało mi bardzo wyraźnie, że był mimo wszystko drapieżnikiem. A tym razem nie powstrzymywały go żadne wnyki.

– Magia, której używa, by ją ukryć, jest starsza ode mnie.

– Kocioł.

Znów ten upiorny uśmiech

– Tak. Potężna, paskudna rzecz. Ta misa życia i śmierci.

Zadrzał... przysięgłabym, że z rozkoszy.

- Masz już jedną, która umie znaleźć Hybernijczyków.
- Elaina twierdzi, że nie jest w stanie nic zobaczyć, przejrzeć ich magii.
- To niech druga go wyśledzi.
- Nesta. Mam użyć Nesty, by znalazła Kocioł?
- Podobieństwo przyciąga podobieństwo. Król Hybernii nie podróżuje bez Kotła. Tam, gdzie on jest, będzie i armia. Powiedz pięknej złodziejce, by go znalazła.
- Z wrażenia aż dostałam gęziej skórki.
- Jak?
- Suriel znów przekrzywił głowę, jakby nasłuchując.
- Jeśli nie jest wyszkolona, niech kości przemówią za nią.
- Ma wywróżyć... wywróżyć pozycję armii z kości?
- Tak. – Poszarpane szaty stwora załopotwały na niewidzialnym wietrze. – Z kości i kamieni.
- Znów przełknęłam nerwowo ślinę.
- Dlaczego Kocioł nie zareagował, kiedy połączyłam części księgi i wypowiedziałam zaklęcie negujące jego moc?
- Ponieważ nie wytrzymałaś wystarczająco długo.
- Zabijał mnie.
- Sądziłaś, że można okiełznać jego moc bez poniesienia kosztów? Serce zamarło mi w piersi.
- Czy to znaczy, że muszę... muszę umrzeć, by go powstrzymać?
- Taki dramatyzm, ludzkie serce. Ale tak... zasadniczo tak, zaklęcie wyssałoby z ciebie życie.
- Czy jest inny sposób by... inne zaklęcie, którego możemy użyć? By powstrzymać jego moc?
- Nawet jeśli istniałoby, musiałabyś najpierw dostać się wystarczająco blisko Kotła, by go użyć. Król nie popełni dwa razy tego samego błędu.
- Przełknęłam.
- Jeśli udałoby nam się zniwelować moc Kotła... czy to wystarczy, by powstrzymać Hybernię?
- To zależy, jakich pozyskacie sojuszników. Jeśli przeżyją dość długo, by jeszcze walczyć.

– Czy Rzeźbiący w Kościach przechyliłby szalę?

I Bryaksis.

Oczy suriela pozbawione były powiek, ale ich mleczna powierzchnia rozbłysła zaskoczeniem.

– Nie potrafię go zobaczyć... nie jego. On nie jest... nie jest z tej ziemi. Nić jego żywota nie została wpleciona w osnowę tego świata.

– Zacisnął wykrzywione usta. – Tak bardzo pragniesz ocalić Prythian, że gotowa byłabyś go uwolnić?

– Tak.

W chwili, w której będę wiedziała, gdzie znajduje się właściwa armia, wypuszczę na nią Bryaksis. Jednak Rzeźbiący...

– Zażądał... daru. W zamian. Uroborosa.

Suriel wydał z siebie dźwięk, który mógł być zatchnięciem się – z rozkoszy czy ze zgrozy, tego nie wiedziałam.

– Zwierciadło Początków i Kresów.

– Tak, ale... nie mam do niego dostępu.

– Obawiasz się spojrzeć. Zobaczyć, co się w nim kryje.

– Czy ono... doprowadzi mnie do szaleństwa? Złamię mnie?

Nie było łatwo nie wzdrygnąć się na widok jego upiornej twarzy, mlecznych oczu i bezwargich ust, skupionych całkowicie na mnie.

– Tylko ty możesz zdecydować, co cię złamię, Wyzwolicielko. Tylko ty.

Też mi odpowiedź. W zasadzie żadna. Na pewno nie na tyle pewna, by ryzykować dotarcie do zwierciadła. Suriel znów przysłuchiwał się wiatrowi.

– Powiedz srebrnookiej posłańcy, że odpowiedź znajdzie na drugiej i przedostatniej stronie Księgi. Razem kryją klucz.

– Klucz do czego?

Palce suriela zaklekotały o siebie jak odnóża wielkiego stawonoga.

– Odpowiedź na to, jak powstrzymać Hy...

Chwilę mi zajęło zorientowanie się, co się stało. Dojrzenie drewnianego przedmiotu, który przeszył gardło stwora – jesionowej strzały. Zorientowanie się, że to, co opryskało moją twarz, ta ziemista maź znajdująca się teraz w moich ustach, to była jego

czarna krew.

Zorientowanie się, że stukot słyszalny, jeszcze zanim zdołał krzyknąć, to... kolejne strzały.

Suriel zatoczył się i padł na kolana, wydając z ust charczące dźwięki.

Tamtego dnia w lesie obawiał się tu nag. Wiedział, że można go zabić.

Skoczyłam ku niemu, chwytając w lewą dłoń nóż i zamierzając się mieczem.

Uskoczyłam za drzewo, kiedy świsnęła kolejna strzała.

Stwór wrzasnął, kiedy wbiła się w jego ciało. Okoliczne ptaki poderwały się do lotu – zadzwoniło mi w uszach.

Wtedy powietrze wypełnił ciężki, wilgotny oddech, a śpiewny kobiecy głos zaszeptał:

– Czemu to coś rozmawiało z tobą, Feyro, kiedy mnie nie zaszczycił nawet słowem?

Znałam ten głos nabrzmiały śmiechem.

Iantha.

Iantha tu była. A z nią dwóch Hybernijskich żołnierzy.

## Rozdział 59

**Z**e swojego ukrycia zlustrowałam okolicę. Byłam wyczerpana, ale... wciąż mogłam przeskoczyć. Mogłabym przeskoczyć i uciec stąd. Ale te jesionowe strzały, którym przeszli suriela...

Napotkałam jego wzrok, kiedy leżał na ziemi, brocząc obficie na mech. Strzały takie same jak te, którymi trafili Rhysa. Jednak tamte zostały celowo posłane tak, by zniwelować jego moce. Te miały za zadanie po prostu zabić.

Usta ze zbyt wielkimi zębami bezgłośnie wyszeptały jedno słowo: „Uciekaj”.

– Królowi Hybernii całe dni zajęło odkręcenie tego, co mi zrobiłaś – zamruczała Iantha, a jej głos zdawał się zbliżać. – Nadal właściwie nie mogę używać tej dłoni.

Nie odpowiedziałam. Przeskok – powinnam przeskoczyć.

Czarna krew wciąż sączyła się z szyi suriela, grot strzały wystawał ordynarnie z grubej skóry.

Nie byłabym w stanie tego wyleczyć. Nie ze strzałami wciąż tkwiącymi w jego ciele. Nie mogłam nic zrobić, dopóki nie zostaną wyciągnięte.

– Słyszałam od Tamlina, jak schwytałeś tego tu. – Głos Ianthy rozbrzmiewał coraz bliżej. – Więc zrobiłam tak samo. Jednak nie chciał mi powiedzieć *niczego*. No, ale skoro ty kontaktowałam się z nim tyle razy, to szata, którą *ja* mu dałam... – W jej głosie słychać było ten jej kpiący uśmiezek. – Takie proste zakłęcie śledzące, dar od króla. Uaktywniające się tylko w twojej obecności. Na wypadek, gdybyś go kiedykolwiek znowu odnalazła.

„Uciekaj” – suriel ponownie poruszył zwiędłymi ustami, a z każdą chwilą wydobywało się z nich więcej krwi.

Oczy miał przepemnione bólem. Prawdziwym bólem, takim jak u każdej śmiertelnej istoty. Jeśli zaś Iantha zabrałaby go żywego do króla... Suriel wiedział, że istnieje takie prawdopodobieństwo.



Wcześniej błagał o zwrócenie wolności... teraz jednak gotów był zaryzykować, że zostanie uprowadzony. Żebym mogła uciec.

Jego mleczone oczy zwięzły się – z bólem i zrozumieniem. Tak, zdawały się mówić. Idź.

– Król stworzył wokół mojego umysłu tarczę – ciągnęła Iantha – żebyś nie mogła zrobić mi krzywdy, kiedy cię odnajdę.

Wyjrzałam zza drzewa. Stała na brzegu polany, przyglądając się surielowi spod zmarszczonych brwi. Wciąż nosiła takie same jasne szaty z kapturem ozdobionym błękitnym kamieniem. Miała ze sobą tylko dwóch strażników. Nawet teraz, po wszystkim, co się wydarzyło... wciąż mnie nie doceniała.

Schowałam się z powrotem, zanim zdołała mnie dostrzec. Po raz kolejny napotkałam wzrok suriela. Pozwoliłam mu odczytać z niesamowitą jasnością wszystkie emocje, które mnie przepęlniały.

Stwór zaczął kręcić głową, a przynajmniej próbował. Uśmiechnęłam się do niego na pożegnanie. Po czym wystąpiłam na polanę.

– Powinnaś była poderżnąć ci gardło tamtej nocy w namiocie – odezwałam się do kapłanki.

Jeden ze strażników wypuścił we mnie strzałę. Zablockowałam ją ścianą powietrza, która niestety od razu zafalowała. Byłam wykończona – prawie do cna. Nie wytrzymam uderzenia kolejnej jesionowej strzały...

Twarz Ianthy ściągnęła się w grymasie.

– Może jednak zmienisz sposób, w jaki się do mnie zwracasz? Będę z pewnością twoją jedyną nadzieją u króla.

– Cóż, sądzę, że najpierw będziesz musiała mnie złapać – odpowiedziałam chłodno i rzuciłam się do ucieczki.

\*\*\*

Mogłabym przysiąc, że prastary las poruszył się, by mnie przepuścić. Przysięgłabym również, że przeczytał myśli, które wysłałam surielowi i ustępował mi z drogi.

Jednak nie im.

Staralam się wcisnąć resztki sił w nogi, by nie ugięły się pode

mną, kiedy przeskakiwałam kamienie i strumyki, omijałam omszałe głązy.

Mimo to strażnicy Ianthy deptali mi po piętach, a ona sama była tuż za mną, chociaż cała trójka klęła straszliwie na pnie, które wyskakiwały prosto przed nich, i na kamienie usuwające im się spod nóg. Nie musiałam ich odciągać bardzo daleko. Wystarczyło kilka mil. Tylko tyle, żeby dać mu szansę na ucieczkę.

I upewnić się, że *słono zapłaca* za to, co zrobili. Za wszystko.

Otworzyłam zmysły, pozwalając im się prowadzić. Resztę załatwił sam las. Być może ona na mnie czekała. Być może to ona rozkazała puszcy, by rozstępowała się przede mną.

Strażnicy byli coraz bliżej. Moje stopy poruszały się pode mną zwinnie niczym nogi sarny.

Zaczęłam rozpoznawać drzewa, kamienie. O, tam właśnie stałam z Rhysem – tam z nim flirtowałam. Tam wylegiwał się na gałęzi, czekając na mnie.

Powietrze za mną się rozstąpiło – strzała.

Skręciłam w lewo, niemal rozbijając się o drzewo. Strzała chybiła.

Przede mną zamigotała jaśniejsza plama – polana.

Jęknęłam z ulgą na tyle głośno, by na pewno mnie usłyszeli.

Wyskoczyłam z linii drzew, moje kolana aż zatrzeszczały z wysiłku, kiedy wybiłam się wystarczająco mocno, by wylądować na kamieniach wiodących do pokrytej strzechą chatki.

– Pomóż mi – wyszeptałam na tyle teatralnie, by ścigający mnie również usłyszeli.

Drewniane drzwi czekały już półotwarte. Świat zwolnił i z każdym krokiem, każdym uderzeniem serca stawał się wyraźniejszy. Wreszcie wpadłam przez próg.

Prosto do chatki Tkaczki.

## Rozdział 60

Przekraczając próg, złapałam klamkę i zaparłam się ostatnimi resztkami sił, by nie pozwolić drzwiom się zatrzęsnąć, zamykając mnie wewnątrz.

Niewidzialne ręce napierały na nie, ale zacisnęłam zęby i zaparłam się nogą o ścianę, ignorując wbijające się w moje dłonie żelazo.

Pomieszczenie było mroczne

– Złodziejka – zaintonował delikatny głos z ciemności.

– Wiesz o tym – zaśmiała się Iantha z zewnątrz – że będziemy musieli zabić kogokolwiek, kto jest tam w środku razem z tobą. Bardzo samolubnie z twojej strony, Feyro.

Dyszałam ciężko, utrzymując drzwi chatki otwarte, jednak w taki sposób, by nie widać mnie było po drugiej stronie.

– Widziałas się z moim bliźniakiem – zasyczała cicho, z nutą zdziwienia Tkaczka. – Czuję na tobie jego zapach.

Iantha i strażnicy podchodzili do chatki. Coraz bliżej i bliżej.

Wewnątrz pomieszczenia coś się poruszyło. Poczułam, jak wstaje. Zrobiła krok w moją stronę.

– Czym ty jesteś? – zaszepotała.

– Feyro, bywasz czasem taka męcząca – stwierdziła z dezaprobatą Iantha.

Była tuż-tuż. Niemal mogłam dojrzeć jej jasne szaty przez szczelinę między drzwiami i progiem.

– Czy naprawdę sądzisz, że możesz zacząć się tu na nas? Widziałam twoją tarczę. Jesteś wyczerpana. A chyba nie sądzisz, że pomoże ci twoja sztuczka z poświatą.

Suknia Tkaczki szeleściła, gdy zbliżała się do mnie w mroku.

– Kogo przyprowadziłaś, mała wilczyco? Kogo mi przyprowadziłaś?

Iantha i jej dwaj strażnicy przestąpili próg. Jeden krok, potem

kolejny. Prosto przez otwarte drzwi. Nie dojrzeli mnie skrytej w cieniach za nimi.

– Obiad! – krzyknęłam do Tkaczki, zakręcając wokół drzwi, by znaleźć się po ich drugiej stronie.

Wtedy puściłam klamkę.

Kiedy drzwi zatrzaśniwały się z taką siłą, że zatrzęsły całą chatynką, widziałam jeszcze Ianthę posyłającą kulę czarodziejskiego światła, która rozświetliła pomieszczenie.

Dojrzałam upiorną twarz Tkaczki, te usta pełne połamanych zębów, otwierające się z rozkoszą i demonicznym głodem. Bogini śmierci – spragniona esencji życia. A przed nią piękna kapłanka.

Wpadałam właśnie pomiędzy drzewa, kiedy Iantha i strażnicy zaczęli wrzeszczeć.

\*\*\*

Niekończące się wrzaski słyszałam jeszcze przez pół mili. Kiedy jednak dotarłam do miejsca, gdzie padł suriel, ucichły już zupełnie.

Stwór leżał rozciągnięty na ziemi, jego koścista klatka piersiowa unosiła się w rytm nierównych, rwanych i coraz radszych oddechów.

Umierał.

Osunęłam się na kolana tuż obok niego, padając na zakrwawiony mech.

– Pozwól mi sobie pomóc. Mogę cię uleczyć.

Zrobiłabym to tak samo, jak pomogłam Rhysandowi. Usunęłabym strzały i podała mu swoją krew. Sięgnęłam do pierwszej, ale sucha, koścista dłoń schwyciła mnie za nadgarstek.

– Twoja magia... – wychrypiał – jest prawie wyczerpana. Nie... marnuj jej.

– Ale mogę cię uleczyć.

Jego dłoń tylko zacisnęła się mocniej.

– Nie, ja już prawie nie żyję.

– Co... co mogę zrobić? – Moje słowa zabrzmiały słabo i jękliwie.

– Zostań... – szepnął. – Zostań... do końca.

Ujął mnie za rękę.

– Przepraszam.

Tylko tyle byłam w stanie z siebie wydusić. To przeze mnie, to ja go tu zwabiłam.

– Ja wiedziałem – szepnął chrapliwie, wyczuwając kierunek moich myśli. – Zakłęcie śledzące... wiedziałem o nim.

– Więc dlaczego przyszedłeś?

– Byłaś dla mnie życzliwa. Ty... zwalczyłaś swój strach. Byłaś... życzliwa – powtórzył.

Łzy same popłynęły mi z oczu.

– A ty byłeś życzliwy dla mnie – odpowiedziałam, ocierając łzy, które skapywały na jego zakrwawioną poszarpaną szatę.

– Dziękuję, że mi pomogłeś. Kiedy nikt inny nie chciał.

Na bezwargich ustach wykwitł blady uśmiech.

– Feyro Archeron. – Odetchnął z trudem. – Powiedziałem ci: trzymaj się księcia. I tak zrobiłaś.

Ostrzeżenie, które mi dał, kiedy tylko pierwszy raz się spotkaliśmy.

– Ty... miałaś na myśli Rhysa.

Cały ten czas. Cały ten czas...

– Nie odstępuj go na krok... Wyczekuj, aż wszystko zostanie naprawione.

– Tak. Zrobiłam tak... i zostało.

– Nie... jeszcze nie. Nie odstępuj jego boku.

– Dobrze. Zostanę z nim na zawsze.

Pierś uniosła się... po czym opadła.

– Nie znam nawet twojego imienia – wyszeptałam.

Suriel – to był przecież tytuł, nazwa gatunku.

Znów pojawił się ten blady uśmiech.

– Czy to ważne, Wyzwolicielko?

– Tak.

Oczy mu pociemniały, ale nie odpowiedział. Odrzekł tylko:

– Powinnaś teraz iść. Gorsze rzeczy... nadchodzą gorsze rzeczy. Krew... je tu ściąga.

Ścisnęłam jego kościstą dłoń, czując, że sucha jak papier skóra robi się coraz chłodniejsza.

– Mogę jeszcze chwilę zostać.

Zabiłam w życiu wystarczająco wiele zwierząt, żeby wiedzieć, kiedy ciało bliskie jest śmierci. Już niedługo – teraz to kwestia naprawdę kilku oddechów.

– Feyro Archeron – dodał suriel, spoglądając na zielony baldachim liści, przez który tu i ówdzie prześwitywało niebo. – Mam prośbę.

– Oczywiście.

Kolejny chrapliwy wdech.

– Pozostaw ten świat... lepszym miejscem, niż go zastałaś.

Z ostatnim oddechem opuszczającym jego pierś jej ruchy ustały zupełnie. Zrozumiałam, dlaczego suriel przybywał mi pomagać raz za razem. Nie z życzliwości... ale dlatego, że sam marzył o lepszym świecie.

I to serce marzyciela właśnie przestało bić wewnątrz koszmarnej klatki piersiowej. Jego nagła cisza odbiła się echem w moim własnym.

Położyłam głowę na jego piersi, cichej już skorupie ciała i kości, i zapłakałam.

Płakałam i płakałam, aż poczułam silną dłoń na ramieniu.

Nie rozpoznałam zapachu ani dotyku, ale poznałam głos.

– Chodź, Feyro – przemówił do mnie łagodnie Helion. – Tu nie jest bezpiecznie. Chodź.

Podniosłam głowę. Istotnie stał przede mną Helion. Twarz miał ponurą, brązowa skóra nabrała odcienia popiołu.

– Nie mogę go tu tak zostawić – powiedziałam, nie puszczając dłoni stwora.

Wszystko jedno mi było, w jaki sposób Helion mnie znalazł. Czemu mnie znalazł.

Spojrzał na martwą istotę, zaciskając usta.

– Zajmę się tym.

Spali go – potęgą samego słońca.

Pozwoliłam mu podnieść się z ziemi. Pozwoliłam mu wyciągnąć dłoń w stronę ciała...

– Czekaj.

Helion posłuchał.

– Daj mi swój płaszcz. Proszę.

Ściągnął brwi, ale odpiął karmazynową pelerynę przypiętą na ramionach.

Nie zadałam sobie trudu, by mu wyjaśnić, po co to robię. Okryłam ciało suriela bogatą materią. O wiele lepszą niż te szmaty, które dała mu Iantha. Otuliłam nią jego szerokie ramiona, kościste ręce.

– Dziękuję – powiedziałam do suriela po raz ostatni, po czym odsunęłam się o krok.

Płomienie przywołane przez Heliona były oślepiająco białe. Spopielili ciało stwora w mgnieniu oka.

– Chodź – powiedział Helion, wyciągając do mnie rękę. – Wracajmy do obozu.

W jego głosie była łagodność, która łamała mi serce. Ale ujęłam jego dłoń.

Kiedy porywało nas ciepłe światło, przysięgłabym, że prochy zawirowały na widmowym wietrze.

## Rozdział 61

**H**elion przeskoczył ze mną do obozu. Prosto do namiotu Rhysa.

Mój towarzysz był blady. Poplamiony krwią i brudny: na skórze, zbroi i włosach. Otworzyłam usta, by spytać o przebieg bitwy, jak dali radę... sama nie widziałam, o co.

Ale Rhys tylko przyciągnął mnie i przytulił mocno do piersi.

Jego zapach i ciepło, twardość jego ciała... zaczęłam na nowo łkać.

Nie wiedziałam, kto jeszcze był w namiocie. Kto przeżył bitwę.

Wszyscy wyszli, kiedy mój towarzysz tulił mnie do siebie, kołysząc łagodnie, a ja płakałam i płakałam.

\*\*\*

Rhys opowiedział mi o wszystkim dopiero, kiedy moje łyzy całkiem już obeschły. Kiedy zmył czarną krew suriela z mojej twarzy i z moich rąk.

W jednej chwili wypadłam z namiotu, pędząc przez błoto, omijając wyczerpanych żołnierzy. Rhys był o krok za mną, ale nic nie powiedział, kiedy odrzuciłam poły innego namiotu i omiotłam wzrokiem znajdujące się w nim osoby.

Mor i Azriel stali przy pryczy, obserwując każdy ruch siedzącej przy niej uzdrowicielki.

Która wyciągała emanujące poświata dłonie nad Kasjanem.

Zrozumiałam wtedy – tę ciszę, o której kiedyś wspomniał.

Właśnie ona wypełniała obecnie moją głowę, kiedy patrzyłam na jego ubłoconą, ściągniętą bólem – odczuwanym nawet pomimo utraty przytomności – twarz. Kiedy słuchałam jego ciężkiego, wilgotnego oddechu.

Wtedy zobaczyłam straszliwą ranę. Jego ciało rozplątane było zakrzywionym cięciem od podbrzusza aż po mostek. Krew – teraz już tylko się sączyła.



Zachwiałam się, ale Rhys podtrzymał mnie pod łokcie.

Uzdrowicielka nie poświęciła mi nawet chwili uwagi, jej brwi zmarszczone w skupieniu, dłonie wciąż jarzące się białym światłem. Pod nimi – powoli – brzegi rany łączyły się ze sobą.

Jeśli teraz wyglądało to tak koszmarnie...

– Jak? – wychrypiałam.

Dotąd Rhys powiedział mi tylko trzy rzeczy.

Wygraliśmy... ledwo. Tarquin znów podjął decyzję, co zrobić z tymi, którzy przeżyli. Kasjan został poważnie ranny.

– Gdzie ty byłaś? – wycodziła Mor.

Była przemoczona, zakrwawiona i ubłocona. Podobnie jak Azriel. Na szczęście nie widać po nich było poważniejszych obrażeń, poza drobnymi zadraśnięciami.

Pokręciłam głową. Pozwoliłam trzymającemu mnie wciąż Rhysowi wślizgnąć się do mojego umysłu. Pokazałam mu wszystko – wyjaśniłam zajścia z Ianthą, surielem i Tkaczką. Ukazałam to, czego się dowiedziałam. Oczy Rhysa na chwilę zapatrzyły się w nicość i wiedziałam, że zbliża się Amrena z Księgą. Żeby pomóc Neście wyśledzić Kocioł – a przynajmniej spróbować. On mógł wyjaśnić wszystko Mor.

Dowiedział się, że zniknęłam dopiero po bitwie – kiedy zorientował się, że Mor dołączyła do walki. Oraz, że nie ma mnie nigdzie w obozie. Dotarł właśnie do namiotu Elainy, kiedy Helion przesłał mu wiadomość, że mnie znalazł. Nie wiem, jakiego daru użył, że zdołał to zrobić. Dodał też, że zabierze mnie z powrotem. Ogólniki, niewiele szczegółów.

– Czy on... czy on...

Nie potrafiłam dokończyć tego zdania. Słowa uwieźły mi w gardle i sięgnięcie po nie zdawało się tak niemożliwe jak dotknięcie gwiazd.

– Nie – odpowiedziała uzdrowicielka, nie podnosząc na mnie wzroku. – Ale przez kilka dni będzie obolały.

Faktycznie, brzegi rany się zetknęły – teraz zszywała je ze sobą.

Żołądek podszedł mi do gardła na widok żywego mięsa...

– Jak? – zapytałam znowu.

– Nie chciał na nas zaczekać – odparła głucho Mor. – Wciąż napierał, chcąc odtworzyć szyk. Zwarł się z jednym z dowódców. Nie chciał odpuścić. Zanim dotarł do niego Az, już padł.

Twarz Azriela była nieruchoma niczym wykuta w kamieniu, a orzechowe oczy wbite nieodmiennie w zasklepiającą się ranę.

– Gdzie ty *polazłaś*? – spytała znowu Mor.

– Jeśli macie zamiar się kłócić, wyjdźcie na zewnątrz – skarciła nas uzdrowicielka. – Mój pacjent nie potrzebuje takich atrakcji.

Żadna z nas się nie ruszyła.

Rhys przesunął dłonią wzdłuż mojego ramienia.

– Oczywiście jak zawsze masz prawo iść gdziekolwiek chcesz i kiedykolwiek chcesz. Myślę, że Mor chce powiedzieć, żebyś w przyszłości... postarała się zostawić wiadomość.

Słowa Rhysa wypowiedziane zostały lekko, ale w jego oczach odczytać można było panikę. Nie taką jak żadna kontroli furia Tamlina, ale... prawdziwy strach spowodowany tym, że nie miał pojęcia, gdzie jestem, czy nie potrzebuję pomocy. Podobnie jak ja chciałam wiedzieć, gdzie on jest i czy nie trzeba mu pomóc, czy nie zginął, gdy otoczyli nas wrogowie.

– Przepraszam – powiedziałam.

Do niego, do pozostałych. Mor nawet na mnie nie spojrzała.

– Nie masz za co przeproszać – odparł Rhys, ujmując mnie pod brodę. – Zdecydowałaś się wziąć sprawy w swoje ręce i zdobyłaś dla nas niezwykle cenne informacje. Jednak... – Jego kciuk musnął moją kość policzkową. – Mieliśmy szczęście – wyszeptał. – Dzięki temu, że byliśmy o krok przed nimi, udało nam się uniknąć wpadnięcia w ich szpony. Nawet jeśli dzisiaj... nie mieliśmy tyle szczęścia na polu bitwy. Jednak cyniczna część mnie zastanawia się, kiedy to szczęście nas opuści. A wolałbym, żebyśmy nie musieli tak kończyć.

Wszyscy uważali mnie za młodą i głupią.

„Nie – przekazał mi Rhys przez naszą więź. Wtedy zorientowałam się, że moje tarcze są zupełnie opuszczone. – Wierz mi, jeśli wiedziałabyś, jakie akcje odstawiali Kasjan i Mor, wiedziałabyś, dlaczego nie. Po prostu następnym razem zostaw

wiadomość. Albo daj mi znać”.

„Pozwoliłbyś mi iść, jakbym ci powiedziała?”.

„Nie do mnie należy pozwalanie ci na cokolwiek. – Rhys uniósł lekko moją głowę, Mor i Azriel odwrócili wzrok. – Jesteś niezależną osobą i podejmujesz własne, suwerenne decyzje. Jesteśmy towarzyszami – ty należysz do mnie, a ja do ciebie. Nie jest tak, że pozwalamy sobie nawzajem na cokolwiek, gdyż żadne nie kontroluje poczynąń drugiego. Jednak... być może nalegałbym na towarzyszenie ci. Bardziej dla własnego spokoju ducha, żeby mieć pewność, że nic ci nie jest”.

„Byłeś trochę zajęty”.

Przez twarz Rhysa przemknął uśmiech.

„Jeśli nalegałabyś na wycieczkę do Środka, mógłbym zrobić sobie małą przerwę w bitwie”.

Czekałam, aż zacznie robić mi wymówki, że mogłam poczekać z tą całą wyprawą, aż skończą, ale... on tylko przechylił głowę na bok.

– Zastanawiam się, czy Tkaczka ci teraz wybaczyła – powiedział.

Nawet uzdrowicielka zareagowała na to imię – na te słowa. Po plecach przebiegł mi dreszcz.

– Niespecjalnie chcę wiedzieć.

Rhys zaśmiał się gardłowo.

– No to nie będziemy się nigdy dowiadywać.

Jednak cała radość zniknęła, kiedy znów spojrzał na Kasjana. Rana była już zasklepiona.

„Nie jesteś winna śmierci suriela”.

Wypuściłam powietrze, kiedy powieki Kasjana poruszyły się.

„Wiem”.

Dodałam już jego śmierć do długiej listy rzeczy, za które Hybernia mi zapłaci.

Staliśmy w milczeniu dłuższy czas. Nawet nie zapytałam, gdzie jest Nesta. Mor ledwie zauważała moją obecność. Zaś Rhys...

Przysiadł na brzegu pryczy, kiedy tylko Kasjan otworzył oczy i wydał z siebie jęk bólu.

– Tak się to kończy – pouczyła go uzdrowicielka, zbierając swoje przybory – kiedy pchasz się pod czyjś miecz. – Zmarszczyła czoło,

zwracając wzrok na rannego. – Odpoczywaj dziś i jutro. Nie nalegam na trzeci dzień, ale nie pakuj się w najbliższym czasie pod żadne miecze.

Kasjan tylko mrugał, patrząc na nią lekko otumanionym wzrokiem, kiedy ukloniła się Rhysowi i mnie, po czym wyszła.

– Jak paskudnie? – spytał chropawym głosem.

– Jak paskudnie było z tobą – spytał łagodnie Rhys – czy jak paskudnie skopali nam tyłki?

Kasjan ponownie zamrugał. Powoli, jakby wciąż był pod wpływem środka znieczulającego, który mu podano.

– Odpowiedź na drugie pytanie brzmi: daliśmy radę – kontynuował Rhys; Mor i Azriel cofnęli się instynktownie o krok lub dwa, słysząc ostre nuty w głosie mojego towarzysza. – Keir poniósł ciężkie straty, ale... wygraliśmy. Ledwo. Odpowiedź na pierwsze... – Rhys obnażył zęby. – Nigdy więcej nie wykręcaj takiego numeru.

Szklistość oczu Kasjana znikła natychmiast na sam dźwięk rzuconego mu wyzwania. Z wściekłości aż spróbował usiąść. Syknął tylko, rzucając gniewne spojrzenie na żywoczerwoną szramę przecinającą jego tors.

– Wszystkie flaki miałeś na wierzchu, durna pało – warknął Rhys.  
– Az musiał ci je przytrzymywać.

Faktycznie dłonie pieśniarza cieni pokryte były zaschniętą krwią – krwią Kasjana. A jego twarz... zastygła – w gniewie.

– Jestem żołnierzem – odparł beznamiętnie Ilyr. – To część mojej pracy.

– Otrzymałeś rozkaz *czekać* – warknął ponownie Rhys. – Zignorowałeś go.

Spojrzałam na Mor, potem na Azriela – z milczącym pytaniem, czy mamy wyjść, czy jednak zostać. Byli jednak zbyt skupieni na przysłuchiwaniu się wymianie słów pomiędzy Rhysem i Kasjanem, by zwrócić na mnie uwagę.

– Szyk się łamał – odparował Kasjan. – Twój rozkaz był do dupy.

Rhys wsparł dłonie po obu stronach nóg Ilyra i wywarczał mu prosto w twarz:

– Jestem twoim *księciem*. Nie masz prawa ignorować rozkazu

tylko dlatego, że ci się nie podoba.

Kasjan tym razem usiadł, klnąc szpetnie z przeszywającego go bólu.

– Nie wyjeżdżaj mi tu z hierarchią, tylko dlatego, że się wkurzyłeś...

– Ty i ten twój cholerny dramatyzm na polu bitwy omal nie skończyły się twoją *śmiercią*. – Chociaż Rhys kipiał złością, w jego oczach i głosie był ten sam strach. – Nie jestem wkurzony, jestem niemiłosiernie wściekły.

– Więc tobie wolno wściekać się na nasz wybór, by chronić ciebie, ale my nie możemy być wściekli, kiedy ty odstawiasz swoje samopoświęcanie się?

Rhysand tylko na niego patrzył. Kasjan jednak nie spuścił wzroku.

– Mogłeś zginąć – powtórzył chropawym głosem.

– Podobnie jak ty.

Kolejne minuty ciszy, w czasie których gniew obu zelżał.

– Po wydarzeniach na Hybernii... nie jestem w stanie tego znieść – wyznał cicho Rhys.

Znieść jego bólu, znieść bólu któregośkolwiek z nas.

Widząc sposób, w jaki mówił Rhys, w jaki Kasjan pochylił się, chociaż jednocześnie skrzywił się przy tym z bólu, chwytając ramię Rhysa...

...wyszłam z namiotu. Niech mają czas porozmawiać sami. Azriel i Mor podążyli za mną.

Zmrużyłam oczy przed rozmytym blaskiem przedwieczornego światła. Kiedy źrenice przyzwyczyły się do jaśniejszego otoczenia... zobaczyłam Nestę stojącą obok najbliższego namiotu z pustym wiadrem między stopami. Włosy miała wilgotne i pochłapane błotem. Patrzyła z ponurą miną, jak wychodzimy z namiotu...

– Wszystko w porządku. Rana zaleczona, obudził się – powiedziałam szybko.

Ramiona Nesty opadły lekko.

Oszczędziła mi kłopotu szukania jej, by zapytać o postępy w śledzeniu Kotła. Lepiej zrobić to na osobności, najlepiej zanim

pojawi się Amrena.

– Nie miałaś iść napełnić tego wiadra? – rzuciła do niej chłodno Mor.

Nesta zeszywniała i posłała jej ponure spojrzenie, które jednak nie zrobiło na blondynce większego wrażenia.

Po chwili podniosła wiadro i poszła dalej, plaskając stopami w błocie, które pryskało na jej i tak brudne łydki.

Obróciłam się, widząc Azriela zmierzającego do namiotu dowódców, ale twarz Mor... Wściekła. Od twarzy, która się ku mnie zwróciła, biła bezgraniczna wściekłość.

– Nawet nie raczyła nikomu powiedzieć, że opuściłaś obóz.

A, to stąd ten gniew.

– Neście można zarzucić wiele rzeczy, ale nie brak lojalności.

Mor nie uśmiechnęła się na moje słowa.

– Skłamałaś. – Wypowiadając te słowa, wpadła do swojego namiotu.

Po *takim* komentarzu nie bardzo miałam wyjście, jak za nią pójść...

Większość miejsca wewnątrz zajmowało łóżko i niewielkie biurko zavalone bronią i mapami.

– Nie skłamałam. – Skrzywiłam się lekko. – Po prostu... nie powiedziałam ci, co planuję zrobić.

Mor spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Zachęcałaś mnie, żebym cię *zostawiła*, nalegając, że będziesz bezpieczna w *obozie*.

– Przepraszam – odparłam.

– Przepraszasz? Przepraszasz?

Rozrzuciła ramiona, rozpryskując wokół krople błota. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić – jak mam jej spojrzeć w oczy. Widziałam ją wcześniej wściekłą, ale... nigdy na mnie. Nigdy wcześniej nie miałam przyjaciółki, z którą mogłabym się spierać – której zależałoby wystarczająco mocno.

– Wiem, co teraz powiesz – wyrzuciła z siebie. – Wszystkie te wymówki, że nie chciałaś, żebym nalegała na pójście z tobą. Ale nic nie jest w stanie usprawiedliwić tego, że skłamałaś. Jeślibyś

wyjaśniła, pozwoliłabym ci iść. Jeślibyś mi zaufała. A może odwiodłabym cię od tego idiotycznego pomysłu, który mógł skończyć się twoją śmiercią. Oni na ciebie polują. Chcą dorwać cię w swoje ręce, by cię użyć. Skrzywdzić. Zobaczyłaś tylko ułamek tego, co potrafi król. W czym się lubuje. Żeby cię złamać i nagiąć do swojej woli, nie cofnie się przed niczym.

– Potrzebowaliśmy tych informacji.

Nie wiedziałam co mam jej odpowiedzieć innego.

– Oczywiście, że tak. Ale czy wiesz, jak się czułam, kiedy musiałam spojrzeć Rhysowi w oczy i wyznać, że nie mam pojęcia, gdzie jesteś? Kiedy zdałam sobie sprawę z tego, sama przed sobą, że *zniknęłaś*, i najprawdopodobniej wrobiłaś mnie w ułatwienie ci tego? – Potarła ubłoconą twarz, tylko rozsmarowując krwistą maź. – Myślałam, że jesteś mądrzejsza. Za dobra na takie numery.

Jej słowa uderzyły mnie jak rozżarzone żelazo.

– Nie będę tego wysłuchiwać.

Obróciłam się do wyjścia, ale Mor już tam była, chwytając mnie za rękę.

– O tak, wysłuchasz. Rhys może sobie być słodki i wybaczący, ale wciąż musisz odpowiadać przed nami. Jesteś moją księżną. Czy rozumiesz, co to znaczy, kiedy sugerujesz, że nie ufasz nam wystarczająco, by poprosić o pomoc? Że nie wierzysz, że uszanowalibyśmy twoją decyzję, jeśli zdecydowałaś, że wolisz iść sama? Że nas okłamałaś?

– Ty próbujesz wyrzucać mi kłamstwo?

Sama nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Niemal wolałabym móc zabić Ianthę własnymi rękami, żeby tylko pozbyć się tego przepelniającego mnie gniewu.

– Co możesz mi powiedzieć, kiedy sama okłamujesz siebie i nas wszystkich każdego dnia?

Mor zeszywniała, ale nie poluzowała chwytu.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Dlaczego nie zrobiłaś nic w kwestii Azriela, Mor? Dlaczego zaprosiłaś do swego łóżka Heliona? Nie sprawiło ci to przecież żadnej przyjemności. Widziałam, jak wyglądałaś następnego dnia. Zanim

więc zaczniesz oskarżać mnie o kłamstwa, sugeruję, żebyś poważnie zastanowiła się nas *sobą*...

– Wystarczy.

– Doprawdy? Nie podoba ci się, jak ktoś coś tobie wytyka? Krytykuje *twoje* wybory? Wiesz co, mnie też nie.

– Wynoś się.

– Proszę bardzo.

Wyszłam, nie oglądając się za siebie. Zastanawiałam się, czy słyszała, jak mocno waliło mi serce, kiedy przemierzałam błotnisty obóz.

Amrena odnalazła mnie dwadzieścia kroków dalej, trzymając w ramionach zawiniątko.

– Za każdym razem, kiedy zostaję w domu, *ktoś* daje się wypatroszyć.



## Rozdział 62

**N**ie potrafiłam zdobyć się na uśmiech. Ledwie dawałam radę utrzymać prosto głowę.

Amrena spojrzała za mnie, jakby była w stanie prześledzić drogę, którą przyszedłam, wyczuć moją kłótnię z Mor.

– Uważaj – ostrzegła mnie, kiedy ruszyłam obok niej w stronę naszego namiotu – kiedy z nią rozmawiasz. Jest bardzo wiele prawd, z którymi sama Morrigan jeszcze nie miała odwagi się zmierzyć.

Gniew natychmiast ustąpił we mnie miejsca ciężkiemu i zimnemu uczuciu niepokoju.

– Wszyscy od czasu do czasu się spieramy, dziewczyno – rzuciła Amrena. – Obie powinnyście pozwolić sobie ochłonąć. Pomówić jutro.

– Nie ma sprawy.

Amrena spojrzała na mnie uważnie, obracając głowę tak szybko, że aż włosy jej zafalowały, ale wtedy już dotarliśmy do namiotu.

Rhys i Azriel podtrzymywali między sobą Kasjana, po czym delikatnie pomogli mu usiąść na krześle przy zarzuconym papierami biurku. Twarz generała wciąż była szarawa, ale miał już na sobie nową koszulę i był obmyty z krwi. Z postawy Kasjana widać było, że nalegał, by tu być, choć ewidentnie nie powinien. Zaś ze sposobu, w jaki Rhys zmierwił mu włosy, kiedy przechodził na drugą stronę biurka... widać było, że i ta rana została zablizniona.

Rhys uniósł brew, widząc mnie wchodząca do namiotu, wciąż lekko poirytowaną. Potrząsnęłam głową.

„Powiem ci później”.

Poczułam pieszczotliwe dotknięcie szponów na mojej umysłowej barierze – kojący dotyk.

Amrena z hukiem, który zatrzęsł ziemią pod naszymi stopami, położyła Księgę na biurku.

– Druga i przedostatnia strona – powiedziałam, starając się nie

skrzywić, kiedy poczułam moc Księgi wijącą się po namiocie. – Suriel twierdził, że znajdziesz tam to, czego szukasz. Sposób na zniwelowanie mocy Kotła.

Założyłam, że Rhys przekazał Amrenie, co się wydarzyło – jak również, że ktoś wezwał Nestę, ponieważ pojawiła się chwilę później, gwałtownie odrzucając poły namiotu.

– Przyniosłaś je? – spytał Rhys Amrenę, kiedy Nesta cicho podeszła do biurka, wciąż ubłocona.

Zatrzymała się naprzeciw Kasjana, po drugiej stronie stołu. Zlustrowała go wzrokiem wyzutym z wszelkich emocji, jednak jej dłonie... przysięgłabym, że zadrżały lekko, ale szybko zwinęła je w pięści i zwróciła się w stronę Amreny. Kasjan patrzył na nią chwilę dłużej, po czym również zwrócił wzrok na drobną kobietę. Jak długo Nesta stała na tym wzgórzu, przyglądając się bitwie? Czy widziała, jak Kasjan padał?

Amrena sięgnęła do kieszeni swego szaro-srebrnego płaszcza i rzuciła na stół czarny aksamitny woreczek. Gdy uderzył o blat, wewnątrz coś zaklekotało i zagrzechotało.

– Kości i kamienie.

Nesta przekrzywiła głowę na widok woreczka.

„Twoja siostra przyszła natychmiast, kiedy wyjaśniłem jej, czego potrzebujemy – objaśnił mi Rhys. – Myślę, że zobaczenie Kasjana rannego ostudziło w niej na dziś chęć sprzeczenia się z nim”.

Albo skłoniło ją do posprzeczenia się z kimś zupełnie innym.

Nesta podniosła woreczek.

– Dobra, czyli mam je po prostu rozsypać jak jakiś jarmarczny szarlatan i w ten sposób znaleźć Kocioł?

Amrena się zaśmiała.

– No, mniej więcej tak.

Nesta rozwiązała woreczek, zdając się kompletnie nie zauważać błota pod paznokciami, i wysypała zawartość. Trzy kamienie i cztery kostki.

Te drugie były zbrązowiałe ze starości, te pierwsze białe jak księżyc i gładkie jak szkło. Na każdym wyryta była wąska litera. Żadnej nie rozpoznawałam.

– Trzy kamienie dla trzech twarzy Matki – wyjaśniła Amrena, widząc uniesione brwi Nesty. – Cztery kości dla... czegokolwiek, co *szarlatani* sobie wymyślili, a czego nie chciało mi się zapamiętywać.

Nesta prychnęła, a Rhys jej zawtórował.

– Dobra, czyli co? – wypaliła moja siostra. – Mam nimi potrząsnąć w dłoniach i rzucić je, ot tak, na stół? Jak cokolwiek z tego zrozumiemy?

– Znajdziemy sposób – powiedział Kasjan znużonym chropawym głosem. – Zacznij od potrzymania ich w dłoniach i skoncentrowania się na Kotle.

– Nie chodzi tylko o to, żebyś o nim myślała – poprawiła go Amrena. – Musisz włożyć w to cały swój umysł. Znaleźć więź, która cię z nim łączy.

Nawet ja zamarłam na te słowa. Nesta z kośćmi i kamieniami w dłoni nawet nie zrobiła gestu sugerującego, że ma zamiar zamknąć oczy.

– Mam... mam go... dotknąć?

– W żadnym wypadku – przestrzegła Amrena – tylko podejść najbliżej, jak się da. Odnaleźć go, ale niczego z nim nie robić.

Nesta wciąż się nie poruszyła. Ona nawet nie była teraz w stanie korzystać z wanny, jak mi wyznała. Ze względu na wspomnienia, jakie wywołuje...

– Nic ci tu nie grozi – odezwał się do niej Kasjan.

Wciągnął powietrze, jęknął lekko i dźwignął się z krzesła. Azriel wykonał gest, jakby chciał go powstrzymać, ale ten minął go i podszedł do mojej siostry. Kiedy stanął tuż obok, wsparł się ciężko jedną ręką o stół.

– Nic ci tu nie grozi – powtórzył.

Nesta patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, po czym zamknęła oczy. Zmieniłam odrobinę pozycję, by móc lepiej ich widzieć.

Nesta stała przed mapą, ściskając w zamkniętej dłoni kości i kamienie. Kasjan pozostał przy jej boku – drugą rękę trzymał na jej krzyżu.

Zadziwiające było, że pozwoliła mu na taki dotyk – podobnie jak to, że wyciągnęła przed siebie ubłoconą rękę. Ten wyraz skupienia

na jej twarzy.

Jej oczy poruszyły się pod zamkniętymi powiekami, jakby się rozglądała.

– Nic nie widzę.

– Idź dalej – nalegała Amrena. – Znajdź łączącą was więź.

Nesta zeszywniała, ale Kasjan tylko przysunął się bliżej niej i znów się uspokoiła.

Mijały minuty. Na czole mojej siostry drgnął nagle mięsień. Głowa jej się zakołysała. Zaczęła oddychać ciężko przez zaciśnięte zęby, odsłaniając dziąsła.

– Nesto – powiedział cicho Kasjan.

– Cisza – warknęła Amrena.

Z ust Nesty wydobył się cichy okrzyk... okrzyk przerażenia.

– Gdzie on jest, dziewczyno? – nalegała Amrena. – Otwórz dłoń, pokaż nam.

Palce Nesty jednak tylko mocniej się zacisnęły na trzymany w dłoni przedmiotach, aż pobieleły jej kłykcie.

Za głęboko... gdziekolwiek się znalazła, weszła za głęboko...

Rzuciłam się ku niej. Nie fizycznie, ale w swym umyśle.

Jeśli umysłowe wrota Elainy przypominały uśpiony ogród, te Nesty były bramą starożytnej fortecy, nieugiętą, pełną ostrych żelaznych prętów. Takich, na jakie w moim wyobrażeniu nabijano kiedyś ludzi.

Jednak były szeroko otwarte. Zaś wewnątrz...

Ciemność.

Ciemność, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłam, nawet z Rhysandem.

– Nesto.

Zrobiłam krok w głąb jej umysłu. Uderzyła mnie seria obrazów, jeden po drugim. Widziałam rozciągającą się po horyzont armię. Broń, nienawiść, nieprawdopodobną liczbę wojska.

Zobaczyłam króla stojącego nad mapą w namiocie dowódcy, obok niego Juriana i kilku dowódców, a za nimi, w centrum pomieszczenia, znajdował się Kocioł.

Dojrzałam również Nestę. Stała w tym namiocie wpatrując się

w króla, w Kocioł. Zastygła w miejscu w czystym strachu.

– Nesto.

Wyglądało na to, że mnie w ogóle nie słyszy, tylko wciąż na nich patrzy. Wyciągnęłam do niej dłoń.

– Widzę, że go znalazłaś. Widzę... widzę, gdzie on jest.

Wreszcie udało mi się przyciągnąć jej uwagę, choć twarz, jaką ku mnie zwróciła, zdawała się pozbawiona nawet kropli krwi.

– Feyra.

W jej rozszerzonych strachem oczach odmalowało się zaskoczenie.

– Wracajmy – powiedziałam.

Skinęła głową i obróciłyśmy się. Wtedy jednak *to* poczułam – obie poczułyśmy.

Nie króla knującego ze swymi dowódcami. Nie Juriana wciąż odgrywającego swą śmiertelną grę pozorów. Ale sam Kocioł. Jakby jakaś ogromna bestia rozwarła swoje ślepię.

Kocioł zdawał się wiedzieć, że go obserwujemy. *Wyczuwał* nas tam.

Poczułam, jak się poruszył – jakby chciał się rzucić na Nestę. Złapałam ją za rękę i rzuciłyśmy się do ucieczki.

– Otwórz dłoń – nakazałam jej, kiedy pędziłyśmy w stronę żelaznych wrót prowadzących do jej umysłu. – Otwórz ją *natychmiast*.

Ona zaś tylko dyszała ciężko, a za nami potworna obecność wzbierała na sile niczym podnosząca się czarna fala.

– Otwórz ją natychmiast, albo on wedrze się tu. Natychmiast otwórz, Nesto!

Usłyszałam własne słowa, kiedy wystrzeliłam z jej umysłu – usłyszałam je, ponieważ wykrzyczałam je w namiocie.

Wciągając nagle powietrze, Nesta rozcapierzyła palce, rozrzucając kamienie i kości po mapie.

Zachwiała się, ale Kasjan złapał ją w wpół, sycząc z bólu i wysiłku.

– Co, na demony...

– Spójrz – szepnęła Amrena.

Nie było mowy, żeby takie ułożenie kamieni mogło być

przypadkowe – chyba że był to przypadek błogosławiony przez magię.

Kamienie ułożyły się bowiem w idealny okrąg, ciasno otaczając konkretny punkt na mapie.

Obydwie z Nestą pobladłyśmy. Widziałam wielkość tej armii – obie widziałyśmy. Podczas gdy król próbował odciągnąć nas na północ, pozwalając się ścigać i zewrzeć w dwóch bitwach...

W tym czasie skupił lwia cześć swoich wojsk wzdłuż zachodniej granicy z ludzkimi ziemiami.

Nie więcej niż sto mil od posiadłości naszego ojca.

\*\*\*

Rhys wezwał Tarquina i Heliona, by pokazać im, czego się dowiedziałyśmy.

Za mało. Mieliśmy stanowczo zbyt mało żołnierzy. Nawet trzy nasze armie to wciąż było za mało, by móc stawić czoła Hybernijczykom. Pokazałam Rhysandowi, co widziałam, a on przekazał to pozostałym.

– Wkrótce przybędzie Kallias – powiedział Helion, przeciągając dłonią po swoich smolście czarnych włosach.

– Musiałby przyprowadzić ze sobą ze czterdzieści tysięcy żołnierzy – stwierdził z przekąsem Kasjan. – Wątpię, żeby mógł zebrać choć połowę tego.

Rhys wpatrywał się usilnie w rozłożone na mapie kamienie i kości. Czułam, jak wiruje w nim straszliwy gniew; nie tylko na króla Hybernii, ale również na siebie, że nie przewidział, iż ten może umyślnie nas zwodzić. Specjalnie nas tu posłać.

W dwóch bitwach byliśmy górą – jednak w wojnie, górą byli oni.

Wiedzieli, co czeka w Środku.

I zmusili nas, byśmy się tu zebrali – w tym miejscu – żeby móc swoją monstrualną armią zepchnąć nas na północ. Żeby zamaszystym ruchem z południa przepchnąć nas do Środka bądź zmusić, byśmy chcąc uniknąć płataniny drzew i żyjących tu stworów – sami się rozproszyli.

Jeśli zaś zdecydowalibyśmy się wydać im bitwę... Igralibyśmy ze

śmiercią. Nikt z nas nie był na tyle naiwny, by snuć jakiegokolwiek plany wokół Juriana, nawet jeśli naprawdę stał po naszej stronie. Naszą jedyną szansą było wytrzymanie tak długo, jak to możliwe, by dać czas na przybycie jak największej liczbie sojuszników. Kalliasowi. Thesanowi.

Tamlin wybrał już swoją stronę w tej wojnie. A nawet jeśli wybrałby Prythian, miałby problem z okiełznaniem Dworu Wiosny po tym, jak w zasadzie całkowicie zniszczyłam ich wiarę w niego.

Jeśli zaś chodzi o Miriam i Drakona...

„Za mało czasu – powiedział mi Rhys. – Za mało, by ich odnaleźć, a potem przekonać do przyprowadzenia swojej armii. Mogłoby się okazać, że kiedy wrócimy, nasze siły byłyby już zmiecione z powierzchni ziemi”.

Ale zawsze pozostawał Rzeźbiący w Kościach – jeśli zdobyłabym się na odwagę wybrać po jego nagrodę. Nie chciałam o tym wspominać, nie zaproponowałam tego. Przynajmniej dopóki nie będę wiedziała na pewno – kiedy nie będę padać z wyczerpania.

– Prześpijmy się z tym – powiedział Tarquin, wypuszczając powietrze. – Spotkajmy się jutro o świcie. Narady po długim męczącym dniu nikomu niczego dobrego nie przyniosły.

Helion zgodził się z nim i wyszedł. Trudno było mi nie gapić się na niego, nie porównywać jego rysów z Lucieniem. Ich nosy były wręcz identyczne. Jak to możliwe, że nikt nigdy tego nie zauważył?

To jednak było najmniejsze z moich zmartwień. Tarquin zmarszczył czoło, spojrzał ostatni raz na mapę i stwierdził:

– Znajdziemy sposób, by się z nimi zmierzyć.

Rhys kiwnął głową, podczas gdy na ustach Kasjana zagościł krzywy półuśmiech. Na czas rozmowy osunął się z powrotem na krzesło i teraz trzymał w dłoniach kubek jakiegoś leczniczego naparu, który przyniósł mu Azriel.

Tarquin odwrócił się od stołu w chwili, w której poły namiotu rozsunały się, ukazując szerokie ramiona...

Varian. Nawet nie spojrzał na swego księcia, tylko skupił całą uwagę na miejscu, gdzie u szczytu stołu siedziała Amrena. Jakby potrafił wyczuć jej obecność – albo ktoś mu o niej doniósł.

I oczywiście natychmiast przybiegł.

Oczy Amreny uniosły się z znad Księgi, kiedy nowo przybyły wyhamował. Jej czerwone usta wygięły się w kokieteryjnym uśmiešku.

Brązowa skóra Variana wciąż była zbryzgana krwią i błotem, podobnie jak jego srebrzysta zbroja i krótko przycięte białe włosy. Wydawało się, że nie zauważył nikogo, bez reszty skupiony na Amrenie.

Nikt z nas nie odważył się odezwać, kiedy Varian upadł przed jej krzesłem na kolana, ujął jej zszokowaną twarz w swoje dłonie i mocno pocałował.



## Rozdział 63

Żadne z nas nie wytrzymało długo po wieczerzy.

Amrena i Varian nawet do nas nie dołączyli.

Nie, ona tylko oplotła go nogami w pasie, tak przy wszystkich, on zaś wstał, podnosząc ją jednym płynnym ruchem. Nie do końca rozumiałam, w jaki sposób zdołał wynieść ją z namiotu, kiedy cały czas się całowali. Amrena wplotła dłonie w jego włosy i kiedy znikali w głębi obozu, wydawała z siebie odgłosy niepokojąco przypominające mruczenie.

Rhys zaśmiał się basowo, obserwując ich zniknięcie.

– Cóż, myślę, że w taki właśnie sposób Varian zdecydował się dać Amrenie do zrozumienia, że docenia, że wysłała nas do Adriaty.

Tarquin się wzdrygnął.

– Będziemy ciągnąć losy, kto powinien mieć z nimi do czynienia w dni wolne.

Kasjan zaśmiał się chropawo i spojrzał na Nestę, która nadal była strasznie blada i cicha. To, co ona widziała, co ja zobaczyłam w jej umyśle...

Wielkość tej armii...

– Jeść czy do łóżka? – spytał Nestę Kasjan, a ja naprawdę nie potrafiłam powiedzieć, czy ma na myśli konkretne zaproszenie.

Zastanawiałam się, czy mam przypomnieć siostrze, że Ilyr raczej nie był w stanie umożliwiającym cokolwiek.

– Do łóżka – odparła krótko moja siostra i z pewnością w jej omdlewającym ze zmęczenia głosie nie było cienia kokieterii.

Dokończyliśmy z Rhysem posiłek, omawiając cicho to, co widziałyśmy.

Jednak zmęczenie szybko wzięło górę. Ledwie zdołałam skończyć porcję pieczonej baraniny, po czym wpełzłam do łóżka i zasnęłam na wierzchu koca. Rhys obudził mnie tylko po to, by pomóc mi ściągnąć buty i kurtę.

Następnego dnia rano. Zastanowimy się, jak sobie z tym wszystkim poradzić następnego dnia rano. Pomówię z Amreną o tym, jak ostatecznie okiełznać Bryaksis, by wypuścić ją na wrogą armię.

Może było coś jeszcze, czego nie zauważyliśmy. Jakaś dodatkowa możliwość poza zaklęciem unieszkodliwiającym Kocioł.

Moje sny wypełniał ogród o splątanych pnączach, których ciernie chwyciły mnie, kiedy się przez nie przedzierałam.

Śniłam o surielu, który krwawił i się uśmiechał. Śniłam o Tkaczce wgryzającej się we wciąż wrzeszczącą Ianthę. Śniłam o lordzie Graysenie – takim młodym i śmiertelnym – stojącym na skraju obozu i wołającym Elaine. Mówiącym jej, by za nim poszła. By wróciła z nim do domu, że znalazł sposób na odwrócenie tego, co jej zrobiono – na uczynienie jej z powrotem śmiertelną.

Śniłam o Kotle w namiocie króla Hybernii, mrocznym i drzemiącym... budzącym się, kiedy stałyśmy tam z Nestą, niewidzialne i niezauważone.

Ale on nas obserwował. *Poznał* nas.

Czułam, że na mnie patrzy, nawet teraz. W moich snach. Czułam, jak wyciąga ku mnie prastarą czarną mackę...

Obudziłam się nagle.

Nagie ciało Rhysa owinięte było wokół mojego, jego twarz łagodna podczas snu. Leżąc w ciemnościach namiotu, nasłuchiwałam.

Na zewnątrz trzaskały ogniska. Cichy pomruk rozmawiających żołnierzy trzymających wartę. Wiatr grający na płótnach namiotów, łopoczący sztandarami.

Lustrowałam ciemność, wciąż nasłuchując.

Nagle wszystkie włoski stanęły mi dęba.

– Rhys.

Natychmiast się obudził i usiadł prosto.

– Co jest?

– Coś... – Nasłuchiwałam tak intensywnie, że aż uszy mnie bolały.

– Coś tu jest. Coś jest poważnie nie w porządku.

Zerwał się z łóżka, naciągnął spodnie, zapinał sprzączki.

– Śniłam – wyszeptałam – śniłam o Kotle... że nas znów obserwował.

– Cholera – wysyczał.

– Myślę, że otworzyłyśmy wrota – wyszeptałam, wsuwając stopy w buty. – Myślę... myślę...

Nie dokończyłam zdania, gdyż wybiegałam już z namiotu, Rhys tuż za mną. Nesta. Muszę znaleźć Nestę...

Złotobrazowe włosy lśniły w blasku ognia, kiedy ją ujrzałam, wciąż w nocnej koszuli, zmierzającą prędko ku mnie.

– Ty też to usłyszałaś – wydusiła z siebie, dysząc ciężko.

Słyszeć... nie byłam w stanie nic usłyszeć, ale poczułam...

Drobna postać Amreny wypadła z namiotu w czymś, co wyglądało na koszulę Variana. Sięgała jej aż do kolan, a jej właściciel faktycznie wynurzył się po chwili z nagim torsem, podobnie jak Rhys, i z oczami wielkimi jak spodki.

Bose stopy Amreny plamiły błoto i trawa.

– Przybył tu – powiedziała – Jego moc. Czuję, jak wiję się wokoło. *Obserwuje.*

– Kocioł – powiedział Varian, ściągając brwi. – Ale... czy on jest świadomy?

– Zajrzeliśmy za głęboko – stwierdziła Amrena. – Pomijając bitwę, on wie, gdzie jesteśmy, tak samo jak my wiemy, gdzie on jest.

Nesta uniosła rękę.

– Posłuchajcie.

I wtedy to usłyszałam.

To była pieśń i zaproszenie, strumień nut zebranych razem śpiewanych przez głos jednocześnie męski i kobiecy, młody i stary, przerażający i nęcący i...

– Nic nie słyszę – stwierdził Rhys.

– Nie zostałeś stworzony – rzuciła Amrena. – Ale my tak. My trzy...

Kocioł znów rozpoczął swoją syrenią pieśń.

Groza przeniknęła mnie do szpiku kości.

– Czego on chce?

Poczułam, jak się wycofuje – jak wślizguje się z powrotem

w mroki nocy.

Azriel wystąpił z cienia.

– Co to jest? – wysyczał.

Uniosłam zdziwiona brwi.

– Słyszałeś to?

Pokręcił głową.

– Nie... ale cienie, wiatr... Cofały się przed nim.

Kocioł zaśpiewał znowu.

W oddali, jakby się wycofując.

– Myślę, że odchodzi – wyszeptałam.

Kasjan wytoczył się po chwili i chwiejnym krokiem skierował w naszą stronę, przyciskając rękę do piersi. Mor była tuż za nim. Nawet na mnie nie spojrziała, ani ja na nią, kiedy Rhys zrelacjonował jej, gdy staliśmy tak razem w ciemnościach nocy, co zaszło.

Kocioł zaśpiewał ostatnią nutę... po czym wszystko ucichło.

Przytłaczająca obecność... zniknęła.

Amrena westchnęła.

– Król Hybernii wie teraz, gdzie jesteśmy – powiedziała. – Kocioł chciał zapewne przyjrzeć się osobiście. Po tym jak go podrażniłyśmy.

Potarłam twarz.

– Miejmy nadzieję, że więcej już go nie zobaczymy.

Varian przechylił głowę na bok.

– A więc wy trzy... ponieważ zostałyście *stworzone*, możecie go słyszeć. Wyczuć?

– Na to by wyglądało – stwierdziła Amrena, sprawiając wrażenie, jakby miała ochotę pociągnąć go z powrotem do namiotu, by dokończyć to, w połowie czego w środku nocy niewątpliwie wciąż byli.

Wtedy Azriel spytał łagodnie:

– A co z Elainą?

Przeszył mnie zimny dreszcz. Nesta tylko wpatrywała się w niego.

Patrzyła i patrzyła...

Aż nagle zerwała się do biegu.

Jej bose stopy ślizgały się na błocie, ochlapując mnie nim, kiedy obie mknęłyśmy do namiotu naszej siostry.

– Elaina!

Nesta odrzuciła połę przy wejściu. Zatrzymała się tak gwałtownie, że z rozpędu na nią wpadłam. Namiot... namiot był pusty.

Nesta rzuciła się przetrząsać koce, jakby oczekiwała, że Elaina gdzieś się wśród nich kryje.

– *Elaina!*

Obróciłam się, lustrując okoliczne namioty. Jedno spojrzenie na Rhysa wystarczyło, by przekazać mu wszystko. W jego dłoni pojawiło się ilyryjskie ostrze, po czym przeskoczył.

Azriel cicho podszedł do mnie, prosto do namiotu, w którym Nesta podniosła się już z ziemi.

Złożył ciasno skrzydła, żeby precyzyjnie się przez wąskie przejście, ignorując ostrzegawcze warknięcia Nesty, i klęknął przy pryczy. Przesunął poblizną dłoń po skotłowanych kocach.

– Są wciąż ciepłe.

Na zewnątrz Kasjan wydawał warkliwie rozkazy, stawiając cały obóz na nogi.

– Kocioł – wyszeptalam. – Kocioł się wycofywał... odchodził gdzieś...

Nesta już była w ruchu, już biegła w stronę, z której słyszałyśmy głos. Głos wabiący Elaine.

Wiedziałam, jak to zrobić. Śniłam o tym.

Graysen stojący na skraju obozu, obiecujący jej miłość i uzdrowienie.

Dobiegłyśmy do grupy drzew na skraju obozu w tej samej chwili, w której Rhys wyłonił się z mroków nocy z ostrzem schowanym już na plecach. W dłoniach coś trzymał.

Na jego twarzy nie widać było żadnych emocji. Kiedy zorientowałyśmy się, co znalazł na skraju lasu, Nesta wydała z siebie dźwięk, który można by określić jako załkanie. Co Kocioł zostawił w pośpiechu, wycofując się do obozu Hybernijczyków. Albo zostawił specjalnie, by z nas zadrwić.

Niebieski płaszcz Elainy. Wciąż ciepły od jej ciała.

## Rozdział 64

Nesta siedziała w moim namiocie z twarzą ukrytą w dłoniach. Nie ruszała się, milczała. Zwinięta w sobie, żeby się nie rozpaść – tak wyglądała. Tak jak ja się czułam.

Elaina – zabrana do obozu hybernijskiej armii.

Nesta skradła Kotłowi coś ważnego. Więc kiedy odnalazła go dla nas, on dowiedział się, co jest ważnego dla niej.

I postanowił to wykraść.

– Odzyskamy ją – wychrypiał Kasjan z wygiętego końca szezlonga, na którym przycupnął i z którego przypatrywał się jej uważnie.

Rhys, Amrena i Mor udali się na spotkanie z pozostałymi książętami, by poinformować ich o zajściu. Może któryś z nich coś widział, mógł zaoferować dodatkowe informacje.

Nesta opuściła dłonie i uniosła głowę. Oczy miała otoczone czerwonymi obwódkami.

– Nie dacie rady. – Wskazała na leżącą na stole mapę. – Widziałam tę armię, jej wielkość. *Widziałam ją* i nie ma możliwości, żeby *ktokolwiek* z was zdołał się dostać do serca tego miejsca. Nawet ty – dodała, kiedy Kasjan otworzył usta, by coś odpowiedzieć. – *Zwłaszcza że wciąż jesteś ranny.*

Zadrzałam na myśl o tym, co król mógł zrobić Elainie – co być może już jej robił.

Jakby w odpowiedzi na niewypowiedziany dialog z cieni w pobliżu wejścia do namiotu odezwał się Azriel:

– Odzyskam ją.

– Więc zginesz – zimno odparła Nesta.

Azriel tylko wpatrywał się w nią uparcie, a w jego oczach buzował gniew.

– Odzyskam ją.

W ciemnościach nocy miał realne szanse wślizgnąć się

niepostrzeżenie do obozu. Jednak były tam też zaklęcia ochronne, starożytna magia i król władający nią, no i Kocioł...

Przed oczami stanął mi na chwilę zestaw farb, które Elaina kupiła dla mnie z zaoszczędzonych pieniędzy. Czerwony, żółty i niebieski, którymi się delectowałam i których użyłam do ozdobienia komody w naszej chatce. Nie malowałam wtedy od lat, nie ważyłam się wydawać pieniędzy na swoje zachcianki... Ale Elaina to zrobiła. Wstałam i spojrzałam w płonące gniewem oczy Azriela.

– Idę z tobą – powiedziałam.

Azriel tylko skinął głową.

– Nigdy nie dostaniecie się dość głęboko – ostrzegł Kasjan.

– Mam zamiar wejść główną bramą.

Kiedy napotkałam szereg zmarszczonych brwi, zmieniłam się. Nie iluzją, ale autentyczną zmianą wyglądu ciała.

– O, cholera – szepnął Kasjan, kiedy skończyłam.

Nesta wstała.

– Mogą już wiedzieć, że ona nie żyje – powiedziała.

Ponieważ twarz i włosy, które teraz miałam, należały do Ianthy. Niemal wysssało to do cna moją i tak już prawie wyczerpaną magię.

Jeszcze odrobina i mogłabym nie mieć dość sił, by utrzymać na sobie jej rysy. Na szczęście były inne sposoby. Inne drogi. By uzyskać resztę tego, czego potrzebowałam.

– Potrzebuję jeden z twoich syfonów – zwróciłam się do Azriela.

Jego błękit był nieco ciemniejszy, ale nocą... być może nikt nie zauważy różnicy.

Wyciągnął dłoń w której pojawił się okrągły, płaski kamień, po czym rzucił mi go. Był ciepły, kiedy owinęłam wokół niego palce, czułam, że pulsuje w nim moc jak bicie serca jakiejś nieziemskiej istoty. Spojrzałam na Kasjana.

– Gdzie jest kowal?

\*\*\*

Obozowy kowal nie zadawał pytań, kiedy wręczyłam mu srebrne świeczniki z mojego namiotu i syfon Azriela. Kiedy poprosiłam go o wykucie diademu. Natychmiast.

Ludzkiemu kowalowi mogłoby to zająć trochę – nawet całe dni. Ale nie kowalowi fae...

Zanim skończył, Azriel udał się do obozowej kapłanki pożyczyć od niej szaty. Może nie były dokładnie takie same, ale raczej nikt nie będzie się przyglądał, by dokładnie ocenić, w co jest ubrana wysoka kapłanka. Ani nie będzie zadawał niewygodnych pytań.

Właśnie nakładałam diadem na wierzch kaptura, kiedy do namiotu wparował Rhys. Azriel polerował właśnie z namaszczeniem Prawdomówcę, a Kasjan ostrza, które miałam ukryć pod szatą – na ilyryjskiej skórze.

– Wyczuje twoją moc – powiedziałam mu, zanim zdążył otworzyć usta.

– Wiem – wychrypiał Rhys.

Wtedy zrozumiałam – że pozostali książęta nie byli w stanie w niczym pomóc.

Dłonie zaczęły mi się trząść. Wiedziałam, jakie są szanse. Wiedziałam, co mnie tam czeka. Widziałyśmy to z Nestą ledwie kilka godzin temu.

Rhys podszedł do mnie i chwycił mnie za rękę. Spojrzał na mnie, nie na twarz Ianthy, jakby mógł zajrzeć w głąb mojej duszy.

– Wokół obozu są zaklęcia ochronne. Nie możesz po prostu przeskoczyć. Będiesz musiała wejść pieszo. I potem wyjść. Dopiero wtedy będziesz mogła przeskoczyć z powrotem.

Skinęłam głową.

Musnął ustami moją skroń.

– Iantha sprzedała twoje siostry – powiedział, a jego głos nabrał ostrego, twardego brzmienia. – Stanie się zadość sprawiedliwości, jeśli użyjesz jej, by odzyskać Elaine.

Ujął w dłonie moją twarz, przyciągając mój nos do swego.

– Nie daj się zdekoncentrować. Nie bądź tam dłużej, niż to absolutnie konieczne. Jesteś wojowniczką, a wojownicy wiedzą, kiedy warto podjąć walkę, a kiedy nie.

Skinęłam głową. Czułam, jak nasze oddechy się mieszają.

– Odbierz to, co nasze – warknął. – My zaś dopilnujemy, żeby nie uszło im to bezkarnie.



Jego moc wzburzyła się i zawirowała wokół mnie.

– Nie obawiaj się – szepnął. – Nie ulegaj zwątpieniu. Nie uginaj się. Wchodzisz, zabierasz ją i wychodzisz.

Skinęłam ponownie głową, patrząc mu tym razem w oczy.

– Pamiętaj, że jesteś wilkiem. Nikt nie może cię wsadzić do klatki.

Pocałował moją skroń jeszcze raz, a ja poczułam, jak krew we mnie wzbiera żądzą rozlewu krwi.

Zaczęłam przypinać ostrza, które Kasjan ułożył dla mnie w równym rzędku na stole, Rhys pomagał mi z paskami i pętelkami, układając je tak, żeby nie odznaczały się na szacie. Jedyne, którego nie byłam w stanie ukryć, to ilyryjski miecz – nie było żadnej możliwości, żeby jednocześnie pozostał niewidoczny i możliwy do wyciągnięcia bez trudu. Widząc to, Kasjan podał mi w zastępstwie kolejny sztylet.

– Dostarczysz ją, a potem bezpiecznie zabierzesz obie z powrotem, pieśniarzu cieni – zwrócił się do Azriela Rhys, kiedy podeszłam do mistrza szpiegów, starając się przyzwyczać co ciężaru broni i powłóczystości szaty.

– Wszystko jedno, ilu zabijecie, żeby tego dokonać. Oboje macie wrócić.

Azriel skinął głową z powagą.

– Przysięgam, mój książę.

Uroczyste słowa, uroczysty tytuł.

Chwyciłam dłoń Azriela, czując na czole pomimo kaptura ciężar syfonu. Spojrzeliśmy na Rhysa, na Kasjana i Nestę, na Mor – która właśnie wbiegła bez tchu do namiotu.

Jej oczy powędrowały do mnie, potem do pieśniarza cieni. Widziałam odbijające się w nich szok i strach...

Wtedy zniknęliśmy.

Mroczny wiatr Azriela był inny niż ten Rhysa. Chłodniejszy. Ostrzejszy.

Przecinał materię świata jak ostrze, kierując nas w stronę wrogiego obozu.

Wciąż była noc. Do świtu pozostały może ze dwie godziny, kiedy wreszcie wylądowaliśmy w gęstym lesie, na wzgórzu nad skrajem

ogromnego obozu.

Król użył tych samych zaklęć, którymi Rhys oplótł Velaris i nasze fortece. Zaklęć, które ukrywały przed wzrokiem i do tego działały aktywnie na tych, którzy podeszli zbyt blisko.

Dzięki dokładnym instrukcjom Nesty udało nam się wylądować wewnątrz. Przed nami rozciągał się idealny widok na znajdujący się pod nami obóz pełen żołnierzy.

Światła ognisk rozbłyskiwały w ciemnościach nocy niczym niezliczone morze gwiazd. Na łańcuchach szarpały się dzikie bestie, warcząc i próbując zerwać okowy. Obóz rozciągał się długo i szeroko. Przedstawiał prawdziwie przerażający widok, zdający się wysysać całe życie z ziemi.

Azriel zaczął stopniowo wtapiać się w mrok, aż wreszcie można by przysiąc, że pozostałam tylko ja i mój własny cień.

Poprawiłam szaty kapłanki i diadem na mojej głowie, po czym ruszyłam w dół wzgórza.

Prosto do serca hybernijskiej armii.

## Rozdział 65

**P**ierwszy sprawdzian będzie najtrudniejszy – i da mi największą wiedzę.

Przejdźcie obok pilnujących obozu strażników – przekonanie się, czy słyszeli już o śmierci Ianthy. Oraz jaką władzę miała kapłanka w tym obozie.

Staralam się utrzymać na twarzy ten tchnący spokojem wyraz, który zawsze prezentowała światu Iantha, z głową uniesioną dość wysoko, ale bez przesady. Pierścień godowy obróciłam do wewnątrz dłoni a nadgarstki ozdobiłam kilkoma bransoletami, które Azriel również pożyczył od naszej kapłanki. Pozwoliłam im głośno brzęczeć, podobnie jak robiła to Iantha, przypominając do złudzenia kota z dzwoneczkiem na obrócce.

Zwierzątko domowe – prawdopodobnie właśnie tym była dla króla Hybernii.

Nie mogłam dostrzec Azriela, ale czułam jego obecność, jakby syfon imitujący klejnot Ianthy był ogniwem łączącym nas ze sobą. Krył się w każdym skrawku cienia, czasem pozostając z tyłu, czasem nieco wysforowując się do przodu.

Sześciu strażników strzegących wejścia do obozu obserwowało kapłankę z niekłamanym niesmakiem. Uspokoilałam bicie serca, stając się niejako *niq*, prężącą się kokieteryjnie, próżną i drapieżną, świętą i zmysłową.

Nie zatrzymali mnie, kiedy ich mijałam, udając się długą aleją pomiędzy niezliczonymi namiotami. Staralam się nie wyglądać na zmieszaną lub niepewną.

Nie śmiałam pozwolić moim ramionom się przygarbić, nie pozwoliłam sobie na odetchnięcie z ulgą. Nie dopóki byłam na tej szerokiej alei stworzonej przez namioty i kuźnie, ogniska i... i rzeczy, na które nie patrzyłam, nawet nie odwróciłam głowy na dochodzące od nich dźwięki.

To miejsce sprawiało, że Dwór Koszmarów przypominał ludzki salonik, w którym panienki z dobrych domów wyszywały poduszki.

I tu gdzieś pośród tego koszmaru... Elaina. Czy Kociół przedstawił ją już królowi? Czy wciąż znajdowała się gdzieś pomiędzy, w jakimś ciemnym świecie, w którym przebywał artefakt?

Dojrzałam namiot króla, dokładnie taki, jakim zobaczyła go Nesta. Nie wydawał się wówczas tak odległy jak teraz, kiedy wznosił się pośrodku obozu niczym gigantyczna kolczasta bestia. Wejście do niego będzie kolejnym wyzwaniem.

Jeśli uda nam się dotrzeć bez przeszkód. Późna pora działała na naszą korzyść.

Żołnierze, którzy nie spali, zajmowali się czynnościami o różnym stopniu okropności, bądź stali na warcie i marzyli o tym, by móc zająć się czymś innym. Reszta była pogrążona we śnie.

Kiedy tak szłam, podzwaniając biżuterią, w stronę serca obozu, uderzyła mnie zaskakująca myśl, że żołnierze Hybernii również potrzebują snu.

Wcześniej chyba założyłam, że są ponad takie przyziemne sprawy – jak mityczne stwory przepełnione siłą i szalem.

Jednak okazało się, że oni też bywali zmęczeni. Potrzebowali jeść. I spać.

Może nie tak głęboko i nie tak wiele jak ludzie, ale wciąż te dwie godziny do świtu dawały nam pewną przewagę.

Kiedy jednak światło słońca przepędzi cienie... Kiedy nieścistości mojego kostiumu staną się aż nadto wyraźne...

Trudno mi było przyjrzeć się dobrze mijanym namiotom, skupić na dochodzących mnie dźwiękach, a jednocześnie udawać, że jest to wszystko dla mnie całkiem zwyczajne i zupełnie mnie nie interesuje. Nie wiedziałam nawet, czy Iantha *miała* tu swój namiot – czy król dopuszczał ją blisko siebie, kiedy tego chciała.

Wątpiłam w to – wątpiłam, żebym zdołała tak po prostu wejść do jego prywatnego namiotu i znaleźć Elainę, gdziekolwiek ją ukryli.

W pobliżu serca obozu paliło się ogromne ognisko. Zanim dostrzeżliśmy, co się tam działo, naszych uszu doszły odgłosy zabawy.

Wiedziałam już, że większość żołnierzy wcale nie spała.

Byli tutaj.

Świętowali.

Niektórzy tańczyli w jakichś upiornych wygibasach, a ich ciała rzucały wokół zdeformowane cienie. Niektórzy pili z ogromnych beczek piwa, które rozpoznałam od razu – pochodziły z zapasów Tamlina. Niektórzy wili się spleceni, a niektórzy po prostu się przyglądali.

Jednak pomiędzy śmiechem, śpiewem i muzyką, ponad hukiem ognia... usłyszałam krzyk.

Cień chwycił mnie za ramię, przypominając, że nie mogę zerwać się do biegu.

Iantha by nie biegła... nie ruszyłoby jej to.

W ustach mi zaschło, kiedy krzyk rozbrzmiał po raz kolejny.

Nie mogłam tego znieść... pozwolić, by nadal to robili...

Cienista dłoń Azriela chwyciła moją, przysuwając mnie bliżej. Gniew przepelniał jego niewidzialną postać.

Obeszliśmy zabawę leniwym krokiem, aż wreszcie kolejne fakty stały się jasne. Te wrzaski...

To nie była Elaina.

To nie Elaina wisiała na konstrukcji wzniesionej z ociosanych na szybko granitowych głazów.

To jedna z Dzieci Błogosławionych, młoda i smukła...

Żołądek skręcił mi się, grożąc uzewnętrznieniem. Dwoje innych było przykutych obok niej. Ze sposobu, w jaki wisieli, z rodzaju ran na ich nagich ciałach...

Klara. Zrobiono im to samo, co uczyniono Klarze. I podobnie jak ją, pozostawiono ich tam, żeby zgnili; żeby kruki, które pojawią się o świcie, miały ucztę.

Ta jedna wytrzymała dłużej.

Nie mogłam. Nie mogłam... nie mogłam po prostu *zostawić* jej tutaj...

Jednak jeśli ociągałabym się dłużej, dostrzegliby to. Przyciągnęłabym zbyt wiele uwagi...

Czy mogłabym z tym żyć? Kiedyś zabiłam dwie niewinne istoty,

by ocalić Tamlina i jego lud. Jeśli zostawiłabym ja, by ratować swoją siostrę, byłoby to równoznaczne z zabiciem jej...

Obca. Ona była mi *obca*...

– Szukał cię – wycedził twardy męski głos.

Obróciłam się, by dojrzeć Juriana, kluczącego pomiędzy namiotami, dopinającego pas, na którym wisiał jego miecz. Spojrzałam na głaz. I nagle jakby niewidzialna ręka rozmyła dym...

Oto siedział tam król Hybernii. Rozwalony na swoim krześle z głową wspartą na pięści, na twarzy miał wyraz lekkiego znudzenia, kiedy przyglądał się zabawie, torturom i kaźni. Radości tłumy, który co pewien czas zwracał się ku niemu z toastem lub w pokłonie.

Zmusiłam głos do przybrania łagodniejszego tonu, niemal śpiewnego.

– Byłam zajęta moimi siostrami.

Jurian wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę, po czym przeniósł wzrok na znajdujący się na mojej głowie syfon.

Dostrzegłam chwilę, w której zrozumiał, kim jestem. Jego brązowe oczy rozbłyły na ułamek sekundy.

– Gdzie ona jest? – szepnęłam bezgłośnie.

Jurian posłał mi zawiadacki uśmiezek. Nie bezpośrednio mnie, ale każdemu, kto na nas patrzył.

– Miałaś na mnie ochotę przed ładnych parę tygodni – wymruczał. – Zachowuj się odpowiednio.

Gardło mi się ścisnęło. Jednak położyłam dłoń na jego przedramieniu, trzepocząc rzęsami i podeszłam bliżej.

Parsknął rozbawiony.

– Jakoś wątpię, że w ten właśnie sposób zdobyłaś jego serce.

Zmusiłam się, by nie posłać mu gniewnego spojrzenia.

– *Gdzie* ona jest?

– Bezpieczna. Nietknięta.

Zalało mnie uczucie ulgi.

– Jednak nie na długo – dodał Jurian. – Trochę go wyprowadziło z równowagi, kiedy nagle pojawiła się przed Kotłem. Kazał ją pojmać. Po czym przyszedł tu pomyśleć, co by tu jej zrobić. I jak

sprawić, żebyś ty za to zapłaciła.

Przesunęłam dłonią po jego ramieniu, po czym położyłam ją na jego sercu.

– Gdzie. Ona. Jest.

Jurian nachylił się, jakby miał zamiar mnie pocałować, po czym przysunął usta do mojego ucha.

– Czy chociaż miałaś na tyle rozumu, żeby ją zabić, zanim przywdziałaś jej skórę?

Moja dłoń zacisnęła się na jego kurcie.

– Dostała to, na co zasłużyła.

Poczułam, jak Jurian uśmiecha się przy moim uchu.

– Jest w jego namiocie. Skuta stalą i małym zaklęciem z jego ulubionej książeczki.

Cholera. *Cholera*. Może powinnam była zabrać ze sobą Heliona, który jest w stanie złamać niemal każde...

Jurian chwycił mój podbródek pomiędzy kciuk i palec wskazujący.

– Chodź do mojego namiotu, Iantho. Zobaczmy, co jeszcze potrafią te śliczne usteczka.

Wiele mnie kosztowało, żeby się nie cofnąć, ale pozwoliłam Jurianowi położyć sobie dłoń na talii. Ten zaśmiał się krótko.

– Widzę, że masz już swoją własną stal. Niepotrzebna ci moja.

Posłałam mu śliczny promienny uśmiech.

– Co z tą biedą dziewczyną?

Przez jego oczy przemknął mrok.

– Nie ona pierwsza i nie ostatnia.

– Nie mogę jej tak po prostu zostawić – wycedziłam przez zęby.

Jurian poprowadził mnie przez labirynt namiotów, kierując się ku ich wewnętrznemu kręgowi.

– Albo twoja siostra, albo ona. Nie dasz rady uratować ich obu.

– Dostarcz ją do mnie, a dam radę.

– Powiedz – mruknął – że chciałabyś pomodlić się przed Kotłem, zanim udamy się na spoczynek.

Mrugnęłam, zdając sobie sprawę z tego, że przed tym ogromnym namiotem w kolorze kości znajdowali się strażnicy.

Splotłam przed sobą dłonie i powiedziałam głośno do Juriana:

– Zanim udamy się na spoczynek, pragnęłabym pomodlić się przed wielkim Kotłem. By podziękować za dzisiejsze zwycięstwo.

Jurian spojrział na mnie spode łba – spojrzenie mężczyzny, któremu każe się czekać.

– Tylko się pośpiesz – rzucił, po czym skinął głową na strażników stojących po obu stronach wejścia.

Uchwyciłam spojrzenie, jakie im rzucił, jak mężczyzna mężczyźnie. Nawet nie próbowali ukryć lubieżnych uśmiechów, kiedy ich mijałam.

A ponieważ miałam być *Ianthą*... posłałam im zmysłowy uśmiech, lustrując od stóp do głów jak potencjalne obiekty zainteresowania, inne od tych, jakie mamy w Prythianie.

Uśmiech, jaki posłał mi w odpowiedzi stojący po prawej, powiedział mi, że już jest mój.

„Później – zmusiłam moje oczy do przekazania wiadomości. – Kiedy skończę z człowiekiem”.

Wchodząc do namiotu, widziałam jeszcze, jak poprawia sobie pas.

Ponuro... zimno. Jak niebo w przedświcie, takie właśnie wrażenie robił ten namiot.

Żadnych trzaskających ogniem piecyków, żadnego czarodziejskiego światła. Zaś w samym środku ogromnego wnętrza... ciemność, wprost pochłaniająca światło. Kocioł.

Całe przedramiona pokryły mi się gęsią skórką.

Jurian szepnął mi do ucha:

– Masz pięć minut, żeby ją wydostać. Zabierz ją na zachodni skraj. Są tam nadrzeczne klify. Tam się spotkamy.

Zamrugałam zdziwiona.

Jurian wyszczerzył zęby w uśmiechu, który w mrocznym wnętrzu błysnął bielą.

– Jeśli usłyszysz wrzaski, nie panikuj.

Jego sposób na odwrócenie uwagi. Uśmiechnął się krzywo w ciemność.

– Mam nadzieję, że zdołasz odholować troje, pieśniarzu cieni.

Aziel nie potwierdził, że cokolwiek usłyszał.



Jurian przyglądał mi się przez chwilę.

– Zachowaj jeden sztylet na własne serce. Jeśli wezmą cię żywcem, król... – Pokręcił głową. – Nie daj im się złapać żywa.

Po czym wyszedł.

Chwilę później z głębokich cieni w rogu namiotu wystąpił Azriel. Wskazał głową zasłone w głębi pomieszczenia. Zaintonowałam jedną z modlitw, wdzięczną pieśń, którą wielokrotnie słyszałam u Ianthy jeszcze na Dworze Wiosny.

Rzuciliśmy się po dywanach w głąb pomieszczenia, wymijając porozstawiane meble. Wciąż śpiewałam modlitwy Ianthy.

Azriel odsunął zasłonę...

Elaina była w nocnej koszuli. Zakneblowana, z rękami skrepowanymi lśniąco fioletowo stalą. Jej oczy rozszerzyły się, kiedy nas zobaczyła – Azriela i *mnie*...

Zmieniłam twarz z powrotem na moją własną i uniosłam palec do ust, podczas gdy Azriel przykleknął przy niej. Wciąż śpiewałam kolejne już części litanii, prosząc Kocioł, by uczynił me łono płodnym i temu podobne...

Azriel delikatnie zdjął dziewczynie knebel.

– Nic ci nie jest?

Elaina pokręciła głową, wpatrując się w niego intensywnie, jakby wciąż nie dowierzała, że tu jest.

– Przyszedeś po mnie.

Pieśniarz cieni tylko przekrzywił głowę.

– Pośpiesz się – szepnęłam, po czym zaintonowałam kolejny wers.

Mieliśmy tak naprawdę czas tylko do końca modlitwy.

Syfony Azriela rozbłysły, poczułam, jak po czubku głowy rozchodzi mi się ciepło.

Ich magia kompletnie nie zadziałała w kontakcie z tymi więzami. Absolutnie nic.

Do końca litanii zostało zaledwie kilka wersów.

Miała skrepowane nadgarstki i kostki. Nie było mowy, żeby dała radę z nimi biec.

Wyciągnęłam ku niej dłoń, starając się odnaleźć strzępy mocy Heliona, żeby złamać zaklęcie, jakim król obłożył te łańcuchy.

Jednak moja moc była praktycznie wyczerpana, zostały jej okruchy...

– Nie mamy czasu – ponaglił cicho Azriel. – Idzie tu.

Wtedy zaczęły się krzyki i wrzaski. Azriel podniósł Elaine, zarzucając sobie jej wciąż związane ręce na szyję.

– Trzymaj się mocno – nakazał – i bądź bezwzględnie cicho.

Szczekanie i ujadanie rozdarło noc. Zdjęłam szatę i schowałam syfon Azriela, po czym wyciągnęłam dwa noże.

– Tyłem?

Skinął głową.

– Szykuj się do biegu.

Serce mi waliło. Elaine spojrzała na nas, ale nie zadrżała, nie wzdrygnęła się.

– Biegnij i nie zatrzymuj się – rzucił Azriel. – Kierujemy się ku zachodniemu skrajowi, ku nadrzecznym klifom.

– Jeśli Juriana z dziewczyną tam nie będzie...

– Wtedy ty przeskoczysz. A ja po nią wrócę.

Wypuściłam powietrze, starając się uspokoić.

Szczekanie stawało się coraz głośniejsze – zbliżało się.

– Teraz – syknął Azriel i rzuciliśmy się do ucieczki.

Jego syfony rozbłysły i płótno namiotu rozpląnęło się w nicość. Wypadliśmy przez powstałą dziurę, zanim strażnicy zdolali cokolwiek zauważyć.

Nie patrzyli nawet na nas, tylko przyglądali się dziurze.

Azriel okrył nas niewidzialnością – spowił cieniami.

Pędziliśmy pomiędzy namiotami, nasze stopy śmigały po trawie i piachu.

– Pośpiesz się – szepnął. – Cienie nie wytrzymają długo.

Rzeczywiście za nami... na wschodzie niebo zaczynało jaśnieć świtem.

Noc rozdarło przenikliwe wycie. Wiedziałam już, że zorientowali się, co zrobiliśmy. Że byliśmy tutaj. I choć nie potrafili nas dostrzec... brytany króla mogły nas wywęszyć.

– Szybciej – warknął Azriel.

Ziemia pod nami zadrżała. Nie śmiałam się obrócić, by spojrzeć

wstecz.

Zbliżaliśmy się do stojaków z bronią. Schowałam noże, by uwolnić ręce, i kiedy przebiegaliśmy tuż obok, złapałam łuk i kołczan strzał. Jesionowych strzał.

Drzewce zaklekotały lekko, kiedy przerzuciłam sobie kołczan przez ramię. Jedną nałożyłam na cięciwę.

Azriel nagle ostro skręcił w prawo za jeden z namiotów.

Mając właściwy kąt... obróciłam się i wypuściłam strzałę.

Najbliższy brytan – to nie był brytan, zdałam sobie sprawę, kiedy strzała szybowiała już w stronę głowy zwierza.

Był to chyba jakiś kuzyn nagi – ogromne łuskowate bydlę pędzące na czterech łapach, wydające straszliwy warkot z gadziego pyska najeżonego zębami ostrymi jak sztylety...

Strzała przeszła na wylot przez gardło.

Stwór padł w chwili, kiedy skręcaliśmy za namiotem, wciąż pędząc ile sił ku zachodowi.

Nałożyłam na cięciwę kolejną strzałę.

Jeszcze trzy. Ścigały nas jeszcze trzy bestie, zbliżając się z każdym skokiem potężnych pazurzastych łap...

Czułam, jak nas doganiają – a wraz z nimi hybernijscy dowódcy, polegający na węchu stworów, gdyż wciąż nie byli w stanie nas dostrzec. Kolejna strzała dała im pojęcie, jak daleko jesteśmy. A w chwili, kiedy bestie nas dogonią... pojawią się dowódcy. Zabiją nas, lub zaciągną z powrotem.

Kolejne rzędy namiotów budziły się, słysząc zamieszanie w centrum obozu.

Powietrze zafalowało, kiedy poleciał w nas grad jesionowych strzał. Wypuścili ich całą chmurę na oślep, licząc, że w coś trafią...

Niebieskawa tarcza Azriela zatrzęsała się od uderzenia, ale wytrzymała. Niestety otaczające nas cienie zadrżały i zbladły.

Bestie były coraz bliżej. Dwie z nich odbiły w bok, żeby nas zająć z boku, odciąć nam drogę.

Klif majaczył tuż-tuż, za samym skrajem obozowiska. Bardzo, bardzo wysokie urwisko górujące nad rwącą rzeką.

A na samym jego brzegu, otulona w ciemny płaszcz...

Stała tamta dziewczyna.

Jurian zostawił ją nam tutaj. Gdzie był on sam...? Nie było po nim nawet śladu.

Wtedy tuż za nami, wypełniając powietrze magią, jak to zwykł robić... przemówił król.

– Jacy nieustraszeni złodzieje – wycedził, a jego słowa zdawały się dobiegać zewsząd i znikąd. – Jak by tu was ukarać?

Nie miałam najmniejszej wątpliwości, że działanie zaklęcia kończyło się tuż za brzegiem urwiska.

Potwierdziły to wściekle warkoty brytanów, które czuły, że zwierzyzna lada moment wymknie im się z łap. Jeśli tylko udałoby nam się skoczyć wystarczająco daleko, żeby wyjść poza ich zasięg.

– Zabierz ją stąd, Azrielu – wydyszałam ciężko. – Ja zabiorę dziewczynę.

– Ale mamy wszyscy...

– To rozkaz.

Przed nami roztaczał się fragment pustej ścieżki prowadzącej do klifu i do znajdującej się za nim wolności...

– Musisz...

Moje słowa przerwał ból. Przeszywający ból, który wybuchł w ramieniu. Jesionowa strzała...

Nogi się pode mną ugięły, trysnęła krew i poczułam, jak uderzam w kamienisty grunt, aż kości zajęczały. Azriel przeklął, ale walka z Elainą w ramionach...

Bestie dobiegły do nas w jedną chwilę.

Pomimo niesamowitego bólu w ramieniu w jedną z nich wypuściłam strzałę. Padła, odsłaniając widok za sobą.

Pomiędzy rzędami namiotów, nieśpiesznie, pewien naszego pojmania, szedł król Hybernii, a w ręce trzymał łuk. Ten sam łuk, z którego posłał strzałę w moje ramię.

– Torturowanie cię byłoby takie nudne – wycedził, a jego głos wciąż brzmiał majestatycznie. – W każdym razie tradycyjnymi metodami. – Stawiał kroki nieśpiesznie, miarowo. – Jakże Rhysand będzie szalał. Jaki ogarnie go paniczny strach. Jego towarzyszka w końcu postanowiła się ze mną spotkać.

Zanim zdołałam ponaglić Azriela, pozostałe dwa brytany nas dopadły.

Jeden skoczył ku mnie. Uniosłam łuk, by powstrzymać mocarne szczęki.

Stwór przegryzł go wpół i odrzucił drewno na bok. Złapałam za nóż w tej samej chwili, w której skoczył drugi z nich...

Ogłuszył mnie potężny ryk. W uszach mi dzwoniło. Przygniatający mnie stwór został ze mnie zrzucony nagłym szarpnięciem.

Znałam ten ryk, znałam...

Płowozłota bestia o zakręconych rogach wpadła pomiędzy brytany.

– Tamlin – wyrwało mi się gardła.

Jego zielone oczy zwężyły się, jakby mówiąc: „Uciekaj”.

To było to coś, co biegło tuż obok nas. Starając się nas odnaleźć.

Rwał i szarpał, a brytany skupiły teraz na nim całą uwagę. Król zatrzymał się, a na jego twarzy odmalowało się osłupienie.

Natychmiast. Musiałam ruszać w tej chwili...

Zebrałam się z ziemi, wyrywając z krótkim krzykiem strzałę. W okamgnieniu Azriel dopadł do mnie, choć minęły nie więcej jak dwa uderzenia serca...

Ilyr chwycił mnie za kołnierz i pajęczyna błękitnego światła oplotła moje ramię. Zatamuje krew do czasu, kiedy uzdrowiciel...

– Musisz polecieć – wydyszał.

W naszą stronę sadyło kolejnych sześć brytanów. Tamlin wciąż walczył. Widać było, że wygrywa – zdobywa przewagę.

– Musimy wzbić się w powietrze – rzucił Azriel, spoglądając jednym okiem na króla, który podjął właśnie na nowo swój powolny pochód. – Dasz radę?

Dziewczyna wciąż stała w tym samym miejscu na skraju klifu. Patrzyła na nas szeroko rozwartymi oczami, szarpane wiatrem czarne włosy chłostały jej twarz.

Nigdy wcześniej nie startowałam z rozbiegu. Ledwie byłam w stanie utrzymać się w powietrzu.

Nawet jeśli Azriel złapałby dziewczynę wolną ręką...

Nawet wolałam nie myśleć o innych możliwościach. *Musiałam* wzbić się w powietrze.

Tylko na dość długo, by poszybować z urwiska i wydostać się poza zasięg zaklęć. Potem mogłabym przeskoczyć.

Tamlin zaskomlał, ewidentnie z bólu, po czym wydał z siebie kolejny ogłuszający ryk. Dopadła go reszta brytanów. Nie poddał się jednak, nie cofnął ani o krok, utrzymał pozycję.

Przyzwałam skrzydła. Ich ciężar i napięcie, jakie powodowały w plecach... Nawet dzięki syfonowemu opatrunkowi ból rozrywał moje zmysły.

Dyszałam przez zaciśnięte zęby, kiedy Azriel rzucił się naprzód, zaczynając machać skrzydłami. Na skalnym występie nie było dość miejsca, byśmy mogli wystartować obok siebie. Pożarłam wzrokiem szczegóły jego startu, sposób, w jaki uderzał skrzydłami, zmiany kąta ułożenia ciała.

– Złap się go! – krzyknęła do ludzkiej dziewczyny Elaina, kiedy Azriel zapikował ku niej.

Dziewczyna patrzyła na nich wielkimi z przerażenia oczami. Wyglądała jak łania, która za chwilę ma zostać pożarta przez wilka.

Nie wyciągnęła ramion, kiedy się zbliżali.

– Jeśli chcesz żyć, zrób to, natychmiast! – krzyknęła do niej jeszcze raz moja siostra.

Dziewczyna odrzuciła płaszcz i otworzyła szeroko ramiona.

Jej czarne włosy powiewały za Azrielem, wplątując się w jego skrzydła, kiedy porwał ją w przestworza. Biegnąc, zobaczyłam jeszcze, jak blade dłonie Elainy wystrzeliwiają, łapią dziewczynę za szyję i trzymają najmocniej, jak tylko mogą.

W samą porę.

Jeden z brytanów wyrwał się Tamlinowi i rzucił ku nam potężnym susem. Starłam się uchylić, jednocześnie szykując się na impet uderzenia.

Jednak nie celował we mnie. Zrobił dwa susy po kamiennym występie i znów skoczył...

Ryk Azriela odbił się echem od skał, kiedy brytan wpadł na niego, przeciągając potężnymi pazurami wzdłuż jego kręgosłupa, po

skrzydłach...

Dziewczyna wrzasnęła, ale Elaina tylko zmieniła pozycję. Kiedy Azriel walczył, by utrzymać się w powietrzu i nie wypuścić ich z rąk, moja siostra posłała w pysk bestii potężnego kopniaka. Prosto w oko. Potem następnego i następnego.

Stwór zawył, kiedy Elaina wbiła mu ubłoconą bosą stopę prosto w pysk.

Ewidentnie trafiła w czuły punkt, gdyż zwierz zaskomlał boleśnie, rozluźnił szpony i runął w dół urwiska.

Tak szybko. Wszystko działo się tak szybko. I ta krew – krew tryskająca z jego pleców, z jego skrzydeł...

Jednak Azriel zdołał utrzymać się w powietrzu. Rany pokryło błękitne światło. Tamując krew, stabilizując skrzydła. Biegłam wciąż w stronę klifu, kiedy skręcił, ukazując pobielającą z bólu twarz, wciąż mocno trzymając obie kobiety.

Patrzył jednak na to, co biegło za moimi plecami. Przyśpieszyłam. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam w oczach Azriela przerażenie – kiedy patrzył, jak staram się wystartować.

Zamachałam skrzydłami, prąd wznoszący na chwilę poderwał moje nogi w powietrze, ale szybko opadły z powrotem na skałę. Potknęłam się, ale wciąż biegłam, wciąż machałam skrzydłami, ignorując rwący ból w plecach...

Kolejny brytan wyrwał się Tamlinowi. Sadził ciężko wąską skalną ścieżką, a jego pazury wbijały się w kamieniste podłoże. Przysięgłabym, że za sobą słyszę śmiech króla.

– Szybciej! – ryknął Azriel.

Z każdym uderzeniem skrzydeł więcej krwi wydostawało się przez rozdartą membranę.

– W górę!

Skała aż trzęsła się od potężnych susów goniącego mnie brytana.

Przede mną zamajaczył kraniec występu. Za nim czekało mnie tylko spadanie. Wiedziałam również, że zwierz skoczy za mną. Królowi zależało na pojmaniu mnie za wszelką cenę, nawet jeśli moje ciało rozbiłoby się o dno rzeki daleko, daleko pod nami. Z tej wysokości rozbiłabym się niczym jajko zrzucone z wieży.

A on zatrzymałby, cokolwiek by pozostało, podobnie jak zatrzymał resztki Juriana, żywe i świadome.

– Utrzymuj je wysoko!

Rozciągnęłam skrzydła tak mocno, jak tylko zdołałam. Od krawędzi występu dzieliło mnie teraz może trzydzieści kroków.

– Nogi do góry!

Dwadzieścia kroków. Słońce przebiło się na wschodnim nieboskłonie, oblewając zakrwawiona zbroję Azriela złotem.

Król wystrzelił jedną strzałę, potem drugą. Jedną we mnie, drugą wycelowaną w odsłonięte plecy Elainy. Azriel odrzucił je obie niebieskawą tarczą. Nie spojrzałam nawet, żeby przekonać się, czy objęła również Tamlina.

Dziesięć kroków. Uderzyłam skrzydłami, naprężając protestujące mięśnie; krew zaczęła przesączać się nawet przez syfonowy opatrunek. Uderzyłam nimi, posyłając pod siebie podmuch wiatru wznoszący mnie do góry, napełniający elastyczną membranę, choć kości i ścięgna napięły się do granic.

Moje stopy uniosły się z ziemi. Potem znów opadły. Uderzyłam kolejny raz skrzydłami, machając nimi jak opętana. Brytan już prawie mnie doganiał.

Pięć kroków. Wiedziałam – wiedziałam, że ta siła, która zmusiła mnie do nauki latania, wiedziała... W jakiś sposób musiała wiedzieć. Że nadejdzie ta chwila. Wszystko to – wszystko to dla tej jednej chwili.

Kiedy do krawędzi występu zostało nie więcej niż trzy kroki... Ciepły wiatr, niosący ze sobą zapach bzów i świeżej trawy, wystrzelił spode mnie. Wiatr – wiosny. Unosił mnie, wypełniał moje skrzydła.

Moje stopy wzniosły się w górę. Coraz wyżej i wyżej.

Brytan skoczył za mną.

– *Unik!*

Rzuciłam się w bok, skrzydła zarzuciły mnie szeroko. Wstający świt i niebo zachwiały się i zawirowały, zanim nie udało mi się na powrót ustabilizować lotu.

Spojrzałam za siebie, widząc jak nago-brytan kłapie paszczą



w miejscu, gdzie przed chwila były moje stopy. A potem spada w dół i w dół ku płynącej poniżej w wąwozie rzece.

Król znów wystrzelił, grot strzały jarzył się tym razem fioletowym blaskiem. Tarcza Azriela wytrzymała – ledwie. Jakąkolwiek magią król oplótł tę strzałę, Azriel aż stęknął z bólu.

Jednak zdołał wychrypieć:

– Leć.

Natychmiast skrzyłem z powrotem w stronę, w którą miałam lecieć, drżąc z wysiłku, by utrzymać ciało wyprostowane. Azriel zawrócił; dziewczyna jęknęła ze strachu, kiedy stracił kilka stóp wysokości, choć później wyrównał lot i szybował obok mnie.

Król wyrzucił z siebie jakiś rozkaz i z obozu poleciała w naszą stronę prawdziwa chmara strzał.

Tarcza Azriela zatrzęsała się, ale wytrzymała. Machałam skrzydłami, robiąc wszystko, by nie wrzeszczeć.

Przycisnęłam dłoń do swojej rany w chwili, kiedy poczułam napierającą na mnie barierę ochronną. Napierającą, jakby chciała mnie zatrzymać, zatrzymać Azriela uparcie bijącego skrzydłami pomimo krwi ponownie tryskającej z poszarpanych pleców.

Wypuściłam snop białego światła Heliona. Parzącego, palącego, topiącego.

W barierze pojawiła się dziura. Ledwie taka, by się przez nią przecisnąć.

Nie wahaliśmy się ani chwili, przelecieliśmy przez nią. Spojrzałam w tył. Tylko raz.

Tamlin wciąż otoczony był przez brytany. Krwawił i dyszał ciężko, wciąż w postaci bestii.

Król był może trzydzieści stóp dalej, wściekły – absolutnie kipiący białą furią na widok ziejącej w jego barierze dziury.

Tamlin wykorzystał jego dekoncentrację najlepiej, jak umiał.

Nie spojrzał nawet na nas i rzucił się ku krawędzi klifu. Skoczył daleko – jak najdalej od brzegu. Dalej niż jakkolwiek bestia czy fae mieliby prawo skoczyć. Ten sam wiatr, który pomógł mi wystartować, teraz podtrzymywał jego, kierując go w stronę dziury, przez którą wylecieliśmy my.

Kiedy tylko dotarł do niej, natychmiast przeskoczył, nie rzuciwszy mi nawet jednego spojrzenia. Chwyciłam dłoń Azriela i również zniknęliśmy.

\*\*\*

Moc Azriela wyczerpała się na obrzeżach naszego obozu.

Dziewczyna, pomimo poparzeń i pręg znaczących jej mlecznobiałą skórę, mogła sama iść.

Szare światło poranka rozświetlało powoli świat, kiedy wlekliśmy się w stronę obozu, Azriel wciąż z Elainą w ramionach. Całą drogę znaczył krwią – choć były to ledwie strużki, a nie strumienie, które powinny płynąć z takich ran. Tamował je opatrunek, który do nich przycisnął. Potrzebował pomocy uzdrowiciela – i to natychmiast.

Oboje potrzebowaliśmy. Przyciskałam dłoń do rany na ramieniu, żeby zminimalizować krwawienie. Dziewczyna zaoferowała mi nawet skrawki swojego poszarpanego odzienia, by je przewiązać.

Nie miałam siły, żeby tłumaczyć jej, że jestem fae, a to były jesionowe strzały. Potrzebowałam uzdrowiciela, zanim rana zaczęła się zablizniać, zamykając jakiś drzazgi wewnątrz. Zapytałam ją tylko o imię.

„Briar” – odpowiedziała głosem zachrypniętym od krzyku. Na imię miała Briar.

Zdawało jej się nie przeszkadzać, że błoto ciamkało pod jej stopami i pokrywało jej łydki. Przyglądała się tylko namiotom i żołnierzom, którzy z nich wychodzili. Jeden z nich zobaczył Azriela i krzyknął, by zawezwano uzdrowiciela do namiotu mistrza szpiegów.

Rhys przeskoczył tuż przed nas, zanim minęliśmy pierwszą linię namiotów. Jego wzrok natychmiast powędrował do skrzydeł Azriela, potem do rany na moim ramieniu i poblądłej twarzy. Następnie spojrzał na Elainę, wreszcie na dziewczynę.

– Nie mogłam jej zostawić – powiedziałam, z zaskoczeniem orientując się, że mój głos brzmi ochryple.

Rozległ się tupot stóp i zza namiotu wypadła Nesta, ślizgając się, kiedy próbowała wyhamować w błocie.

Załkała krótko na widok Elainy, wciąż trzymanej przez Azriela. Nigdy nie słyszałam u niej takiego dźwięku. Ani razu.

„Nic jej nie jest” – powiedziałam do niej w komnacie w jej umyśle. Bo słowa... Nie byłam w stanie sformułować żadnych słów.

Nesta znów zerwała się do biegu. Sięgnęłam w stronę Rhysanda, którego twarz była ściągnięta, kiedy się ku nam zbliżał...

Ale Nesta była szybsza.

Stłumiłam okrzyk bólu, kiedy jej ramiona owinęły się wokół mojej szyi i przytuliła mnie tak mocno, że aż zaparło mi dech w piersi.

Jej ciałem wstrząsało łkanie, kiedy powtarzała wciąż i wciąż:

– Dziękuję.

Rhys rzucił się do Azriela, wziął od niego Elaine i delikatnie postawił na ziemi.

– Potrzebujemy Heliona, żeby zdjął z niej te łańcuchy – wychrypiał Azriel, chwiejąc się na nogach.

Elaina zdawała się ich nie zauważać, kiedy uniosła się na czubki palców i pocałowała Azriela w policzek, po czym podeszła do mnie i Nesty, która oderwała się na tyle, żeby spojrzeć w jej czystą twarz i jasne oczy.

– Musimy cię zabrać do Thesana – zwrócił się do Azriela Rhys. – I to zaraz.

Zanim zdołałam się odwrócić, Elaina zarzuciła mi ramiona na szyję. Nie pamiętam, kiedy zaczęłam płakać, w czasie gdy te szczupłe ramiona trzymały mnie w żelaznym uścisku.

Nie przypominam sobie uzdrowiciela, który mnie opatrywał, ani kiedy Rhys mnie wykąpał. Opowiadania mu o tym, co wydarzyło się z Jurianem i Tamlinem. Nie pamiętam Nesty pilnującej Elainy jak oka w głowie, kiedy Helion przyszedł, żeby zdjąć z niej więzy, klnąc na robotę króla, choć musiał przyznać, że była pierwszorzędnej jakości.

Ale pamiętam, jak leżałam na niedźwiedziej skórze, kiedy już było po wszystkim. Pamiętam, jak Elaina ułożyła się obok mnie i wtuliła się we mnie swoim drobnym ciałem – ostrożnie, by nie urazić obandażowanego ramienia. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak strasznie mi było zimno, dopóki nie zaczęło się we mnie wlewać

ciepło jej ciała.

Chwilę później po mojej lewej stronie pojawiło się drugie ciepłe ciało. Poczułam zapach Nesty: ogień, stal i nieugiętą wolę.

Jak przez mgłę usłyszałam, jak Rhys wyprasza wszystkich z namiotu – żeby poszli z nim zobaczyć, co z Azrielem przebywającym obecnie pod opieką Thesana.

Nie wiem, jak długo leżałyśmy we trzy, zupełnie jak kiedyś, kiedy dzieliłyśmy rzeźbione łoże w rozpadającej się chatce. Tylko wtedy – wtedy kopałyśmy i kręciłyśmy się, walcząc ze sobą o jak najlepsze miejsce, o odrobinę przestrzeni.

Jednak tego ranka, kiedy słońce wschodziło nad światem, tuliłyśmy się mocno do siebie. I nie chciałyśmy się wypuścić z objęć.

## Rozdział 66

**D**o południa dotarła armia Kalliasa.

Odgłosy nadciągającego wojska wybudziły mnie ze snu, w który zapadłyśmy, wciąż leżąc na ziemi na niedźwiedziej skórze. Hałas oraz natrętna myśl, która nie chciała dać mi spokoju.

Tamlin.

Jego działania na pewno zatuszują zdradę Juriana. Nie miałam teraz wątpliwości, że kiedy po tamtej naradzie Tamlin wrócił do obozu Hybernijczyków, nie zrobił tego, by nas zdradzić – ale by szpiegować.

Chociaż po wczorajszej nocy... wątpliwe było, żeby udało mu się ponownie wkraść w łaski króla. Nie kiedy sam król był świadkiem całego zajścia.

Nie bardzo wiedziałam, co o tym myśleć.

O tym, że mnie uratował – chociaż sam się przez to zdemaskował. Dokąd się udał, kiedy przeskoczył? Nie słyszałam nic o zbierających się siłach Dworu Wiosny.

No i ten wiatr, który posłał... Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby używał podobnej mocy.

Faktycznie filozofia Nephelle. Słabością, która zmieniła się w siłę, nie były moje skrzydła, moja umiejętność latania – tylko Tamlin. Jeśliby się nie włączył... wolałam nawet o tym nie myśleć.

Elaina i Nesta wciąż spały na rozciągniętej skórze, kiedy wyplątałam się ostrożnie spomiędzy nich. Obmyłam twarz w miedzianej miednicy stojącej nieopodal łóżka. Rzut oka w lustro potwierdził, że miewałam lepsze dni. Tygodnie. Miesiące.

Odsunęłam kołnierz koszuli i obejrzałam krytycznym okiem obandażowane ramię. Poruszyłam nim, krzywiąc się – ale i obserwując z zaskoczeniem, jak szybko się goiło. Jednak moje plecy...

Przeszywały je fale bólu. Podbrzusze również. Mięśnie, które

napięłam do granic możliwości, starając się wzbić w powietrze. Zmarszczyłam czoło, patrząc w lustro; splotłam włosy w warkocz i wciągnęłam skórzaną kurtę, posykując przy każdym ruchu ramienia. Jeszcze dzień, dwa i ból będzie minimalny; dość mały, bym mogła sięgnąć po miecz. Może.

Modliłam się, żeby Azriel był w lepszej formie. Jeśli zajmował się nim sam Thesan, to kto wie. Może szczęście nam dopisze.

Nie miałam pojęcia, jak Azrielowi udało się utrzymać w powietrzu – utrzymać w ogóle przytomność w takiej sytuacji. Wolałam nie myśleć o tym, jak, gdzie i dlaczego nauczył się znosić podobny ból.

Cicho poprosiłam najbliższą matkę obozową, by przygotowała posiłki dla moich sióstr. Elaina musiała umierać z głodu, a wątpiłam też, by Nesta cokolwiek jadła podczas tych godzin, kiedy nas nie było.

Skrzydłata niewiasta spytała tylko, czy *ja* czegokolwiek potrzebuję, a kiedy odpowiedziałam, że niczego, cmoknęła z niesmakiem i stwierdziła, że musi dopilnować, bym i ja coś zjadła.

Nie miałam odwagi zapytać przekornie, czy Amrenę też dokarmia jej ulubionymi kąskami. Choć z pewnością będzie tego potrzebowała – po jej... wczorajszych rozrywkach z Varianem. Chyba że on...

Wolałam o tym nie myśleć, kierując się do jej namiotu. Znaleźliśmy armię Hybernii. A widząc ją wczorajszej nocy... Byłam gotowa zaoferować Amrenie każdą pomoc, jakiej by zażądała, aby tylko udało jej się rozszyfrować zaklęcie, które wskazał suriel. Aby udało się powstrzymać Kocioł. A kiedy już wybierzemy miejsce ostatecznej bitwy – wtedy i tylko wtedy wypuszczę na Hybernijczyków Bryaksis.

Dotarłam już prawie do jej namiotu, uśmiechając się smutno w odpowiedzi na skinienia głowy ilyryjskich wojowników, kiedy zauważyłam zamieszanie w pobliżu skraju obozu.

Jeszcze kilka kroków i znalazłam się na tej niepisanej granicy trawy i błota – pomiędzy naszymi siłami, a obozem Dworu Zimy, teraz już całkiem rozbitym i prezentującym się niemal w pełnej krasie.

Dowódcy Kalliasa wciąż przeskakiwali: to z zapasami, to

z samymi oddziałami, składającymi się w większości z fae o włosach śnieżnobiałych lub kruczoczarnych, a skórze w odcieniach od mlecznobiałego po głęboki brąz. Pomniejsi fae... Księżę Dworu Zimy przywiódł ze sobą więcej pomniejszych fae niż którekolwiek z nas, wyłączając oczywiście Ilyrów. Trudno mi było nie przyglądać im się ciekawie, kiedy stałam na skraju ich obozu.

Obok mnie przechodziły długonogie istoty, wyglądające jak żywe okruchy lodu, wysokie na tyle, by bez problemu zatykać kobaltowo-srebrne sztandary na szczytach namiotów. Wozy ciągnięte były przez renifery o szerokich kopytach i potężne białe niedźwiedzie w ozdobnych zbrojach. Niektóre z nich, mijając mnie, zdawały się tak świadome otoczenia, że nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że umieją mówić. Pomiedzy nimi biegały lisy polarne niosące coś, co wyglądało na wiadomości przyczepione do haftowanych kubraczków.

Nasi ilyryjscy wojownicy byli brutalni i przyziemni – nosili niewiele ozdób poza epoletami. Armia Kalliasa – lub może należy raczej powiedzieć, armia, którą Viviane utrzymała w całości podczas rządów Amaranthy – była złożonym, pięknym, idealnie współgrającym ze sobą organizmem. Karna, ale jednocześnie żywiłowa. Każdy miał tu swoje miejsce i każdy zdawał się wykonywać swoje zadania chętnie, z dumą i najlepiej, jak potrafi.

Dojrzałam Mor przechadzającą się z panią Dworu Zimy i inną olśniewająco piękną dziewczyną, która wyglądała na jej bliźniaczkę lub siostrę. Viviane promieniała, Mor zdawała się być nieco przygaszona, zaś kiedy się obróciły...

Moje brwi uniosły się bezwiednie. Ludzka dziewczyna – Briar – była z nimi. Szła pod rękę z Viviane, twarz wciąż miała posiniaczoną, ale... nieśmiało uśmiechała się do dam z Dworu Zimy.

Viviane odciągnęła gdzieś Briar, wciąż wesoło pogadując, ale Mor i chyba-siostra Viviane ociągały się nieco dłużej. Mor powiedziała coś do nieznamym, na co tamta uśmiechnęła się nieśmiało.

Był to bardzo powściągliwy uśmiech i szybko zniknął. Zwłaszcza kiedy jeden z żołnierzy fae wysokiego rodu, przechodząc obok nich, uśmiechnął się szeroko i rzucił jakiś żartobliwy komentarz, po czym

poszedł dalej. Mor przyglądała się uważnie twarzy dziewczyny – ale szybko odwróciła głowę, kiedy tamta spojrzała na nią, po czym poklepała Mor po ramieniu i pośpieszyła za swoją chyba-siostrą i Briar.

Gdy Mor obróciła się w moją stronę, przypomniałam sobie naszą kłótnię. Przypomniałam sobie słowa, których nie powinnam pewnie mówić, oraz te, które nie zostały wypowiedziane. Ta jednak odrzuciła włosy na ramiona i podeszła prosto do mnie.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, uprzedziłam ją:

– Przekazałaś im Briar?

Ruszyliśmy powoli w kierunku naszego obozu.

– Az opisał stan, w jakim ją znaleźliście. Stwierdziłam, że przebywanie wśród żądnych walki Ilyrów nie pomoże jej odzyskać równowagi.

– Za to armia Dworu Zimy będzie o wiele lepsza?

– Mają puchate zwierzęta.

Prychnęłam i pokręciłam głową. Te potężne białe niedźwiedzie były faktycznie puchate – pomijając kły i pazury.

Mor rzuciła mi kose spojrzenie.

– Uratowanie Briar było bardzo odważne z twojej strony.

– Każdy by tak zrobił.

– Nie – odparła, poprawiając obcisłą ilyryjską kurtę. – Nie jestem pewna... Nie jestem pewna, czy nawet ja próbowałabym ją wydostać. Czy uznałabym to za warte ryzyka. Zbyt wiele podobnych moich decyzji skończyło się źle, więc...

Pokręciła głową.

Przełknęłam nerwowo.

– Jak Azriel?

– Żyje. Z plecami wszystko w porządku. Niestety Thesan nie leczył zbyt wielu ilyryjskich skrzydeł, więc goją się... powoli. Ewidentnie różnią się od skrzydeł peregrynów. Rhys posłał po Madję, uzdrowicielkę z Velaris. Będzie tu dziś popołudniu, najdalej jutro rano, by się nim zająć.

– Czy... czy będzie mógł znowu latać?

– Biorąc pod uwagę, że skrzydła Kasjana były w znacznie gorszym



stanie, powiedziałabym, że tak. Ale raczej, przynajmniej na razie, nie podczas bitwy.

Żołądek mi się ścisnął.

– Nie będzie zadowolony.

– Nikt z nas nie jest.

Nieobecność Azriela na polu bitwy...

Mor zdawała się wiedzieć, o czym pomyślałam, bo dodała:

– Lepsze to, niż gdyby miał zginąć. – Przeczesła dłonią złote włosy. – Z łatwością coś mogło wczoraj... pójść nie tak. A kiedy zobaczyłam, jak oboje znikacie... Przez głowę przebiegła mi straszliwa myśl, że mogę już was więcej nie zobaczyć. Żeby móc wszystko naprawić.

– Powiedziałam rzeczy, których tak naprawdę nie chciałam...

– Obie takie rzeczy powiedziałyśmy.

Poprowadziła mnie do linii drzew pomiędzy oboma obozami i choćby tylko po tym... poznałam, że chce mi powiedzieć coś przeznaczonego wyłącznie dla moich uszu. Coś, co było warte odłożenia na chwilę spotkania z Amreną.

Oparła się plecami o potężny dąb i zaczęła stukać stopą o ziemię.

– Żadnych więcej kłamstw między nami.

– Tak – odpowiedziałam, a poczucie winy gryzło mnie od środka.

– Przepraszam, że cię zwiodłam. Wiem, że... popełniłam błąd. I przepraszam.

Mor potarła twarz.

– Miałaś jednak rację, jeśli chodzi o mnie. Ty... – Ręka jej drżała, kiedy ją opuszczała. Przygryzła wargę i przełknęła. Gdy odszukała wzrokiem moje spojrzenie, zobaczyłam w jej oczach strach i rozpacz. Głos jej się łamał, kiedy powiedziała: – Nie kocham Azriela.

Nie śmiałam się poruszyć, chłonąc każde jej słowo.

– Nie, to nie do końca tak. Ja... ja go kocham. Jak rodzinę. Czasem zastanawiam się, czy mogłoby być między nami coś więcej... ale... Nie kocham go. Nie w taki sposób, jak on... mnie.

Ostatnie słowa były już wypowiedziane drżącym szeptem.

– Czy kiedykolwiek go kochałaś? W ten sposób?

– Nie. – Mor owinęła się ramionami. – Nie, nigdy... Widzisz...

Jeszcze nie widziałam, żeby brakło jej słów, ale tak to właśnie wyglądało. Zamknęła oczy i wbiła palce w skórę.

– Nie *mogę* pokochać go w ten sposób.

– Dlaczego?

– Ponieważ wolę kobiety.

Przez moment kompletnie mnie zatkało.

– Ale... sypiałaś z mężczyznami. Spałaś z Helionem...

I wyglądała koszmarnie następnego dnia. Skonana i absolutnie nieusatysfakcjonowana. Nie tylko ze względu na Azriela, ale... ponieważ to nie było to, czego pragnęła.

– Potrafię czerpać przyjemność zarówno od kobiet, jak i mężczyzn. – Jej ręce drżały tak, że zacisnęła je jeszcze mocniej. – Ale odkąd byłam małą dziewczynką, wiedziałam, że wolę kobiety. Że... są dla mnie bardziej atrakcyjne. Że lepiej je rozumiem, jestem w stanie nawiązać z nimi głęboką duchową więź. Ale w Wykutym Mieście... Jedyne, co ich interesuje, to zapewnienie ciągłości rodów, tworzenie sojuszy poprzez małżeństwa. Ktoś taki jak ja... Jeśli miałabym poślubić kogoś, kogo wybrałoby moje serce, nie byłoby z tego potomstwa. Ród mojego ojca *wygasłby* razem ze mną. Wiedziałam... wiedziałam, że nie mogę im powiedzieć. Nigdy. Ludzie tacy jak ja... byli przez nich pogardzani. Uważani za samolubnych, gdyż nie mogli przedłużyć rodu. Więc nigdy nikomu nie powiedziałam. Ale wtedy... wtedy ojciec zaręczył mnie z Erisem i... to nie myśl o byciu *jego* żoną mnie przerażała. Nie, wiedziałam, że potrafię poradzić sobie z jego brutalnością, okrucieństwem i chłodem. Byłam... jestem silniejsza od niego. To... to myśl o byciu klaczą rozplodową, o poświęceniu tej części siebie...

Kiedy dostrzegłam, że usta jej zadrżały, sięgnęłam po jej dłoń zaciśniętą na nadgarstku drugiej. Uścisnęłam ją lekko i wtedy łzy popłynęły po jej policzkach.

– Przespałam się z Kasjanem, ponieważ wiedziałam, że dla niego również niewiele to znaczyło. Ponieważ wiedziałam, że da mi to szansę na wolność. Jeśli powiedziałabym rodzicom, że wolę kobiety... Poznałaś mojego ojca. Obaj z Beronem przykuliby mnie do łóżka dla Erisa. Dosłownie. Ale zbrukana... W tym była moja

szansa na wolność. Widziałam też, jak Azriel na mnie patrzy... wiedziałam, co czuje. Jeśli bym go wybrała... – Potrząsnęła głową. – To nie byłoby w porządku wobec niego. Więc przespałam się z Kasjanem i Azriel pomyślał, że uznałam go za nieodpowiedniego, a potem wszystko potoczyło się samo i... – Zacisnęła palce na moich. – Kiedy Azriel znalazł mnie z tym gwoździem wbitym w brzuch... próbowałam mu to wyjaśnić. Ale on wtedy zaczął mówić o tym, co do mnie czuje i spanikowałam i... i żeby przestał, żeby powstrzymać go od powiedzenia, że mnie kocha, po prostu odwróciłam się i odeszłam i... i później nie miałam odwagi spojrzeć mu w oczy i wszystkiego wyjaśnić. Azowi, wszystkim. – Wzięła drżący oddech. – Sypiałam z mężczyznami po części dlatego, że mi to sprawiało przyjemność, ale też... żeby nikt zbyt mocno mi się nie przyglądał.

– Rhys nie dbałby o to. Myślę, że wszyscy w Velaris.

Skinęła głową.

– Velaris jest... przystanią dla ludzi takich jak ja. U Rity... właścicielka jest taka jak ja. I wiele z nas tam uczęszcza... Jakoś nikt nie wpadł na ten trop.

Nic dziwnego, że praktycznie mieszkała w tym przybytku.

– Jednak gdzieś głęboko w środku... – Mor otarła łzy drugą ręką. – Odrzucenie przez rodzinę nie miało dla mnie większego znaczenia. Kiedy nazywali mnie dziwką i śmieciem. Kiedy mnie skrzywdzili. Ponieważ te rzeczy... one nie były częścią mnie. Nie były prawdziwe, nie były istotne... Nie mogły mnie złamać, ponieważ... ponieważ nigdy nie dotknęły mojego wewnętrznego ja. Nigdy nie odgadli. A jednak ukrywałam to... ukrywałam to, ponieważ... – Przechyliła głowę i spojrzała w niebo. – Ponieważ żyję w wiecznym strachu, że moja rodzina się dowie. I mnie zhańbi, zniszczy tę jedną rzecz, która jest naprawdę moja. Tę jedną część mnie. Nie mogę im pozwolić... Nie pozwolę im zniszczyć tego. Czy nawet podjąć próby zniszczenia. Więc rzadko... Podczas wojny dopiero zdecydowałam się na swoją pierwszą... kochankę.

Przez chwilę milczała, próbując mruganiem powiek odegnąć łzy.

– To były Nephelle i jej kochanka... Teraz, myślę, że już żona...

To one sprawiły, że odważyłam się spróbować. Tak bardzo im zazdrościłam. Nie im osobiście, ale... tego, co było między nimi. Tej otwartości. Żyły w pałacu, pomiędzy ludźmi, którzy nic sobie z tego nie robili. Była wojna, podróżowano po całym świecie... Przez długie miesiące nie widziałam nikogo z rodziny. Tymczasowo byłam bezpieczna. I jedna z ludzkich królowych... – Przyjaciele, których z taką pasją wspominała, których znała tak dobrze. – Miała na imię Andromacha. I była... taka piękna. I łagodna. I kochałam ją... tak bardzo.

Człowiek. Andromacha była śmiertelną kobietą. Oczy mnie zapiekły.

– Ale była człowiekiem. Do tego królową, która musiała zadbać o kontynuację królewskiego rodu, zwłaszcza w tamtych niespokojnych czasach. Więc odeszłam... po ostatniej bitwie wróciłam do domu. A kiedy zdałam sobie sprawę z tego, jak wielki popełniłam błąd, że nic dla mnie nie znaczyło, że mamy dla siebie może jeszcze tylko sześćdziesiąt lat... Tego dnia powstał mur. – Z gardła Mor wyrwało się krótkie łkanie. – Nie mogłam... Nie wolno mi było, ani też nie miałam możliwości go przekroczyć. Próbowałam. Przez trzy lata próbowałam wciąż i wciąż. A kiedy wreszcie udało mi się znaleźć dziurę, by go pokonać... wyszła za mąż. Za mężczyznę. Urodziła córeczkę... a drugie dziecko było w drodze. Nie weszłam nawet do zamku. Nie próbowałam się z nią zobaczyć. Po prostu odwróciłam się i wróciłam do domu.

– Przykro mi – szepnęłam łamiącym się głosem.

– Urodziła pięcioro dzieci. I zmarła jako stara kobieta, bezpiecznie, we własnym łóżku. Zobaczyłam ponownie jej duszę... w tej złotej królowej. Jej potomkini.

Mor zamknęła oczy i odetchnęła głęboko drżącymi ustami.

– Przez pewien czas opłakiwałam ją. Zarówno wtedy, gdy żyła, jak i wtedy, gdy zmarła. Przez kilka dziesięcioleci nie miałam nikogo... żadnej płci. Ale wtedy... pewnego dnia obudziłam się i wiedziałam, że chcę... nie wiedziałam tylko, czego chcę. Czegoś, co byłoby jej przeciwieństwem. Znajdowałam... kobiety i mężczyzn. Przez te wszystkie stulecia niewiele miałam kobiet, i zawsze

w tajemnicy... Myślę, że to je męczyło, dlatego zawsze to one kończyły znajomość. Ja nigdy nie mogłam... mówić o tym otwarciu. Nikt nie mógł mnie z nimi zobaczyć. Jeśli zaś chodzi o mężczyzn... nigdy nie było to głębokie. Nigdy nie było żadnej więzi. Nawet jeśli od czasu do czasu miałam ochotę na... no wiesz. – Zaśmiała się krótko, a ja jej zawtórowałam. – Ale one wszystkie to nie było to samo co z Andromachą. Nie czułam tego samego... tu – szepnęła, kładąc sobie rękę na sercu. – A kochankowie... stali się sposobem, by powstrzymać Azriela od zastanawiania się dlaczego. Dlaczego go nie zauważam. Dlaczego nie zrobię tego kroku. Znasz go. Wiesz, jaki jest wspaniały. Jaki wyjątkowy. Ale jeśli bym się z nim przespała, nawet tylko raz, żeby *spróbować*, żeby się upewnić... Obawiam się, że po całym tym czasie on by wziął to za kulminację. Za szczęśliwe zakończenie. I... obawiam się, że mogłoby go to złamać, jeśli później wyznałabym mu... że nie jestem pewna, czy umiałabym oddać mu całe serce. A kocham go dość mocno, żeby pragnąć, by znalazł kogoś, kto będzie w stanie prawdziwie go pokochać. Tak jak na to zasługuje. Kocham też siebie... kocham siebie wystarczająco, by nie chcieć się z nikim wiązać, póki również nie spotkam tej właściwej osoby. – Wzruszyła ramionami. – Jeśli kiedykolwiek zdobędę się na odwagę, by wyjawić swój sekret światu. Moim darem jest prawda... a jednak całe życie przeżyłam w kłamstwie.

– Powiesz im, kiedy będziesz gotowa. – Ścisnęłam ponownie jej dłoń. – A do tego czasu... twój sekret jest bezpieczny. Nie powiem nikomu. Nawet Rhysowi.

– Dziękuję – szepnęła.

Pokręciłam głową.

– Nie, to ja dziękuję, że mi powiedziałaś. To dla mnie zaszczyt.

– Chciałam ci powiedzieć, kiedy przeskakiwaliście z Azrielem do obozu Hybernijczyków. I myśl, że mogę nie mieć już możliwości... – Zacisnęła palce wokół moich. – Obiecałam Matce, że jeśli wrócicie bezpiecznie, powiem ci.

– Wygląda na to, że przyjęła ofertę – powiedziałam i uśmiechnęłam się do niej.

Mor otarła twarz i posłała mi szeroki uśmiech, jednak szybko

spoważniała.

– Musisz uważać, że jestem okropna, zwodząc tak Azriela... i Kasjana.

Zamyśliłam się.

– Nie, nie uważam tak.

Tak wiele rzeczy – tak wiele rzeczy teraz nabrało sensu. To, że Mor odwracała głowę, widząc płomień w oczach Azriela. Że unikała romantycznej bliskości, ale jednocześnie broniła go zawsze, gdy jego dobro, fizyczne czy emocjonalne, było zagrożone. Azriel ją kochał, co do tego nie było wątpliwości. Ale Mor... byłam strasznie ślepa, nie widząc tego. Nie zdając sobie sprawy, że musiał istnieć naprawdę dobry powód, żeby przez pięćset lat Mor nie przyjął tego, co Azriel tak otwarcie oferował.

– Sądysz, że Azriel się domyśla? – zapytałam.

Mor cofnęła rękę i zaczęła przechadzać się w tę i z powrotem.

– Możliwe. Nie wiem. Jest zbyt dobrym obserwatorem, żeby nie zauważyć, ale... Myślę, że czuje się zbity z tropu za każdym razem, kiedy zabieram do siebie mężczyznę.

– A sprawa z Helionem... Dlaczego?

– Potrzebował oderwania się od własnych problemów, a ja... – Westchnęła. – Za każdym razem, kiedy Azriel próbuje okazać mi swoje uczucia, jak to zrobił wtedy przy Erisie... To głupie, wiem. To *głupie* i okrutne, co robię, ale... przespałam się z Helionem, żeby przypomnieć Azrielowi... Bogowie, nawet nie mogę tego powiedzieć, wtedy brzmi to jeszcze gorzej.

– Żeby przypomnieć mu, że nie jesteś zainteresowana.

– Powinnam mu powiedzieć. *Muszę* mu powiedzieć. Matko najwyższa, po wczorajszej nocy naprawdę powinnam. Ale... – Przerzuciła burzę złotych loków przez ramię. – To już trwa tak długo. Przeraża mnie myśl o stanięciu z nim twarzą w twarz, by powiedzieć mu, że pięćset lat pragnął czegoś, co nie jest możliwe. Potencjalne konsekwencje... Podoba mi się taki stan rzeczy, jaki jest teraz. Nawet jeśli nie mogę... nie mogę być naprawdę sobą... tak jak jest, jest dość dobrze.

– Nie sądzę, byś powinna poprzestać na *dość dobrze* –

powiedziałam cicho. – Ale rozumiem. A kiedy... kiedy zdecydujesz, że jesteś gotowa, czy będzie to za pięć, czy za sto lat... Będę cię wspierać.

Mor znów zamrugła, by odegnać łzy. Odwróciłam się w stronę obozu, a na moich ustach wykwił delikatny uśmiech.

– Co? – spytała, stając obok mnie.

– Tak sobie tylko myślałam – odparłam, czując, jak uśmiech rośnie – że kiedy już będziesz gotowa... Myślę, że przyjemnie będzie zabawić się w swatkę dla ciebie.

Uśmiech, który posłała mi w odpowiedzi Mor, był jaśniejszy niż cały Dwór Dnia.

\*\*\*

Amrena zaszyła się w namiocie i nie chciała nikogo wpuścić. Ani mnie, ani Variana, ani Rhysanda.

Naprawdę próbowałam. Aż syknęłam, próbując się przebić przez jej barierę, ale nawet moc Heliona mi nie pomogła. Nieważne czy żądałam, przekonywałam, czy prosiłam – nie odpowiadała. To, co suriel powiedział o Księdze... ewidentnie było dla niej o wiele istotniejsze, niż to, z czym ja przysłam – czyli wybranie się ze mną po Bryaksis. Prawdopodobnie dałabym radę sama, zwłaszcza że zdjęła już uprzednio bariery ochronne wokół niej, ale obecność Amreny byłaby stanowczo pożądana. W każdym razie z mojego punktu widzenia.

Być może było to tchórzostwem z mojej strony, ale samodzielne stanięcie twarzą w twarz z tą istotą, spętanie jej w jakiejś nieco bardziej materialnej formie i wreszcie przyzwanie, by zniszczyła armię Hybernii... Amrena poradziłaby sobie lepiej – w każdym razie z rozmową i wydawaniem poleceń.

Ponieważ jednak nie zamierzałam wykrzykiwać na temat moich planów na środku obozu... rzuciłam tylko głośno przekleństwo pod adresem Amreny i wróciłam wściekła do swojego namiotu.

Tylko po to, by dowiedzieć się, że moje plany znów zostały wywrócone do góry nogami. Ponieważ nawet jeśli zaprowadziłabym Bryaksis do hybernijskiej armii... Tej armii już tam nie było.

Wokół ogromnego stołu zebrali się książęta i dowódcy. Skrzyżowałam ramiona. Helion przesunął niepokojąco dużą liczbę figurek w poprzek dolnej połowy mapy Prythianu.

– Moi zwiadowcy twierdzą, że Hybernijczycy ruszają dziś popołudniu.

Azriel siedzący na stołku ze skrzydłami wciąż solidnie obandażowanymi, a twarzą poszarzałą z upływu krwi, skinął głową.

– Moi szpiedzy mówią to samo.

Jego głos wciąż brzmiał chropawo od krzyku.

Gorejące bursztynowe oczy Heliona zwężyły się.

– Zmienił jednak kierunek. Planował przesunąć tę armię na północ, by przepchnąć nas ku środkowi. Teraz maszeruje na wschód.

Rhys oparł dłonie o stół, studiując mapę, a jego jedwabiste włosy opadły mu przed twarzą.

– Więc teraz kieruje się równo w poprzek wyspy. Dokąd? Wygodniej by mu było opłynąć ją. Bo wątpię, by zmienił zdanie co do wydania nam bitwy. Nawet jeśli wydało się, że Tamlin jest jednak jego wrogiem.

Wszyscy przyjęli tę informację z cichym zaskoczeniem, choć część odetchnęła z ulgą. Nie udało nam się jednak dowiedzieć, czy Tamlin zamierzał wesprzeć nas ze swoimi niewielkimi siłami. Nie mieliśmy też żadnych wieści od Berona.

Tarquin zmarszczył czoło.

– Strata Tamlina nie będzie go kosztowała wiele oddziałów, ale siły Hybernii mogą iść na spotkanie innego sojusznika na wschodnim wybrzeżu. By połączyć się z wojskami ludzkich królowych z kontynentu.

Azriel pokręcił głową i skrzywił się, kiedy mięśnie jego grzbietu zaprotestowały.

– Odesłał królowe z powrotem na kontynent, do domów. I tam mają pozostać, nawet nie zgromadziły armii. Nie będzie korzystał z tego wsparcia do chwili, kiedy sam nie przybędzie na kontynent.

Kiedy skończy z nami. A jeśli jutro zawiedziemy... czy na kontynencie znajdzie się ktokolwiek, kto przeciwstawiłby się Hybernijczykom? Zwłaszcza kiedy królowe przyrzekły mu swoje



wojska...

– Być może znów próbuje wywieść nas w pole – zastanowił się głośno Kallias, marszcząc brwi.

Stojąca obok niego Viviane również przyglądała się mapie.

– To nie w jego stylu – oświadczyła Mor. – On nie postępuje według utartych schematów. Wie, że znamy już jego sztuczkę z próbą rozciągnięcia naszych sił. Teraz spróbuje czegoś innego.

Gdy to mówiła, Keir, który przybył z dwoma kapitanami Niosących Mrok, przyglądał jej się uważnie. Już oczekiwałam paskudnego uśmiešku, ale on tylko powrócił do studiowania mapy. Te spotkania były jedynymi momentami, kiedy Mor zauważała w ogóle udział swojego ojca w wojnie – a nawet w tych chwilach ledwie co na niego patrzyła.

Było to jednak lepsze niż otwarta wrogość, choć nie miałam wątpliwości, że Mor miała na tyle rozumu, by nie wchodzić z Keirem w otwarty konflikt, kiedy wciąż potrzebowaliśmy jego Niosących Mrok. Zwłaszcza w sytuacji, gdy jego oddział poniósł tak dotkliwe straty w drugiej bitwie. Keir nie dał po sobie poznać, czy był o to wściekły – ani żaden z jego żołnierzy, którzy zresztą nie rozmawiali z nikim spoza swoich oddziałów, chyba że było to absolutnie konieczne. W zasadzie milczenie było lepszym wyjściem. A instynkt samozachowawczy Keira bez wątpienia podpowiadał mu, by trzymać na tych spotkaniach język za zębami i akceptować wszystkie otrzymane rozkazy.

– Król stara się opóźnić konfrontację – mruknął Helion. – Dlaczego?

Rzuciłam okiem na Nestę siedzącą z Elainą przy jednym z piecyków na czarodziejskie światło.

– Wciąż nie ma brakującej części. Brak mu całości mocy Kotła.

Rhys przechylił głowę, przyjrzał się mapie, potem moim siostrom.

– Kasjanie. – Wskazał wielką rzekę przecinającą ziemie Dworu Wiosny. – Jeśli mielibyśmy wyruszyć na południe z naszej obecnej pozycji, skierować się prosto w stronę ludzkich ziem... zdecydowałbyś się ją forsować, czy pójść wystarczająco daleko na zachód, by ją ominąć?

Kasjan uniósł brew. Nie widać już po nim było wczorajszej bladości i bólu. Dobrze i to.

Po przeciwnej stronie stołu lord Devlon wyglądał, jakby za wszelką cenę chciał wyrazić swoją opinię w temacie. W przeciwieństwie do Keira dowódca Ilyrów nie starał się nawet ukrywać swojego niesmaku. Zwłaszcza w kwestii rozkazów Kasjana.

Jednak zanim zdążył wtrącić swoje trzy grosze, Kasjan odpowiedział:

– Forsowanie rzeki w tym miejscu byłoby czasochłonne i niebezpieczne. Rzeka jest za szeroka. Nawet biorąc pod uwagę możliwość przeskakiwania, trzeba by skonstruować tratwy albo mosty. Z armią tych rozmiarów... Musielibyśmy pójść na zachód i dopiero potem skręcić na południe...

Kiedy tylko przebrzmiały jego własne słowa, Kasjan pobladał. Spojrzałam na miejsce, w którym znajdowała się maszerująca na wschód armia Hybernii, na południe od wielkiej rzeki. Z naszej obecnej pozycji...

– Chce byśmy się zmęczyli ciągłym przeskakiwaniem naszych oddziałów. – Helion podchwycił myśl Kasjana. – Staczaniem ciągłych potyczek. Żebyśmy, kiedy przyjdzie co do czego, nie mieli siły na przeskoczenie tej rzeki. Żebyśmy musieli pójść pieszo. Obracć dłuższą drogę, żeby uniknąć jej przekraczania.

Tarquin zaklął.

– Żeby mógł spokojnie poprowadzić swoje wojska na południe, mając pewność, że mamy do niego kilka dni opóźnienia. I dzięki temu bez kłopotu wkroczyć na ziemie ludzi.

– Mógłby to zrobić od razu – zaprzeczył mu Kallias, a moje kolana zaczęły dygotać. – Dlaczego więc teraz?

Na to pytanie odpowiedziała Nesta ze swojego miejsca przy piecyku po drugiej stronie namiotu.

– Ponieważ go znieważyliście. Ja... i moje siostry.

Wszystkie oczy skierowały się na nas.

Elaina chwyciła się dłonią za szyję.

– Zamierza wkroczyć na ziemie ludzi... – wyszeptała. – Wybić ich. Żeby nam zrobić na złość?

– Zabiłam jego kapłankę – mruknęłam. – Ty zabrałaś część jego Kota – zwróciłam się do Nesty. – A ty... – Spojrzałam na Elaine. – Odbicie ciebie było ostateczną zniewagą.

– Tylko szalenie doprowadziłby do walki armię tych rozmiarów, by zemścić się na trzech kobietach – zauważył z powątpiewaniem Kallias.

Helion prychnął.

– Zapominasz, że niektórzy z nas walczyli w wojnie. Najlepiej wiemy, jak potrafi być niezrównoważony. Coś takiego byłoby stanowczo w jego stylu.

Odszukałam wzrokiem oczy Rhysa.

„Co teraz zrobimy?”.

Rhys musnął kciukiem wierzch mojej dłoni.

– Wie, że się pojawimy.

– Powiedziałbym, że robi dość odważne założenie, oceniając, jak bardzo zależy nam na ludziach – stwierdził Helion.

Keir wyglądał, jakby chciał się z nim zgodzić, ale mądrze wybrał milczenie.

Rhys wzruszył ramionami.

– Widział, jak ważne było dla nas bezpieczeństwo Elainy, a to dowodzi pozycji, jaką cieszą się w naszych siłach siostry Archeron. Myśli, że przekonają nas, byśmy powlekli się tam, na bitwę z najprawdopodobniej niewieloma atutami po naszej stronie, a wtedy łatwo nas zgniecie.

– To co zamierzamy zrobić? – zapytał Tarquin, pochmurniejąc.

– Oczywiście stawimy się – odpowiedział Rhys, podnosząc głowę i prostując się na pełną wysokość. – Będzie nas za mało, będziemy wyczerpani i nie skończy się to dobrze. Ale to nie ma nic wspólnego z moją towarzyszką ani jej siostrami. Muru już nie ma. To zupełnie nowy świat i to od nas zależy, jak zakończymy stary i rozpoczniemy ten. Musimy zdecydować, czy pozwolimy wyróżnić bezbronnych. Czy takimi osobami jesteśmy. Nie poszczególne dwory, ale my jako *społeczność*, my: fae. Czy pozostawimy ludzi samych sobie?

– W takim razie zginiemy wszyscy razem – skwitował Helion.

– Niech i tak będzie – powiedział Kasjan, zerkając na Nestę. –

Jeśli mam oddać życie za tych, którzy potrzebują tego najbardziej, nie będę uważał go za zmarnowane.

Po raz pierwszy lord Devlon pokiwał głową z aprobatą. Zastanowiło mnie, czy Kasjan to zauważył – czy go to obeszło. Z jego twarzy nie dało się niczego odczytać, całą uwagę skupiał obecnie na mojej siostrze.

– Ja również – rzekł Tarquin.

Kallias spojrział na Viviane, która posłała mu smutny uśmiech. Widać w nim było żal – za zmarnowanym czasem. Jednak Kallias stwierdził:

– Jeśli chcemy zminimalizować rozlew krwi, musimy wyruszyć do jutra.

– Szybciej – rzucił Helion, uśmiechając się olśniewająco. – W kilka godzin. – Skinął głową na Rhysa. – Zdajesz sobie sprawę, że ludzie zostaną wybici, zanim zdołamy tam dotrzeć.

– Nie, jeśli będziemy działać szybko – powiedziałam.

Poruszyłam ramieniem, wciąż czułam w nim sztywność, ale goiło się szybko.

Wszyscy unieśli brwi.

– Przeskoczmy dzisiaj – ciągnęłam. – Ci z nas, którzy mogą. Do ludzkich domów, miast. Do świtu przeskoczmy z powrotem tyłu z nich, ilu tylko zdołamy.

– A gdzie ich umieścimy? – spytał Helion.

– W Velaris.

– Za daleko – mruknął Rhys, przyglądając się mapie. – Na to całe przeskakiwanie.

Tarquin postukał palcem w mapę – w swoje ziemie.

– W takim razie zabierzmy ich do Adriaty. Mogę wysłać z powrotem Kresejdę, żeby nad wszystkim czuwała.

– Do walki z Hybernią potrzebujemy wszystkich możliwych sił – zauważył ostrożnie Kallias. – Marnowanie ich na przeskakiwanie ludzi...

– To nie jest marnowanie – zaprzeczyłam. – Jedno życie może zmienić świat. Gdzie byście byli wszyscy, gdyby ktoś uznał uratowanie mojego życia za stratę czasu? – Wskazałam Rhysa. –

Jeśli *on* uznałby ratowanie mojego życia pod Górą za stratę czasu? Nawet jeśli to tylko dwadzieścia rodzin, albo dziesięć... Oni nie są stratą czasu. Nie dla mnie, i nie dla was.

Viviane posłała swojemu towarzyszowi ostre, karcące spojrzenie, a Kallias miał na tyle zdrowego rozsądku, by wymamrotać przeprosiny.

Wtedy zza naszych pleców odezwała się, wkraczając do namiotu, Amrena:

– Mam nadzieję, że wszyscy zdecydowali się na wydanie Hybernijczykom bitwy?

Rhys uniósł brew.

– Owszem. Czemu?

Amrena położyła Księżę na stole z głuchym hukiem.

– Ponieważ będziemy potrzebowali jej do odwrócenia uwagi. – Uśmiechnęła się do mnie ponuro. – Trzeba nam się dostać do Kotła, dziewczyno. *Wszystkim*.

Wiedziałam, że nie ma na myśli książąt.

Ale raczej nas cztery – które zostałyśmy stworzone. Mnie, siebie... i moje siostry.

– Znalazłaś sposób, by go powstrzymać? – spytał Tarquin.

Amrena pokiwała szybko głową.

– Więcej. Znalazłam sposób na powstrzymanie jego całej armii.

## Rozdział 67

**M**usimy dostać się do Kotła – dotknąć go. Razem.

Samą mnie niemal zabił. Ale jeśli podzieli się to na nas wszystkie, które zostałyśmy stworzone... Dałybyśmy radę wytrzymać jego śmiertelnością moc.

Jeśli udałooby się nam podporządkować go naszej woli, za jednym zamachem mogłybyśmy powstrzymać króla i jego armię. I zetrzeć ich z powierzchni ziemi.

Amrena znalazła zaklęcie, które może tego dokonać. Dokładnie tam, gdzie powiedział suriel, zaszyfrowane w Księdze. Zamiast unieszkodliwić moc Kotła... możemy unieszkodliwić osobę kontrolującą go. I całe jego wojsko.

Ale najpierw musimy dostać się do artefaktu. Jeśli wykorzystamy starcie dwóch wrogich armii...

Możemy wkroczyć, kiedy bitwa osiągnie apogeum. Kiedy król będzie miał inne rzeczy na głowie. Chyba że zamierzał aktywnie używać Kotła podczas bitwy. To było niewykluczone.

Nie miałyśmy szans po raz kolejny dostać się niepostrzeżenie do wrogiego obozu – nie po wykradnięciu Elainy. Nie miałyśmy innego wyjścia, jak zaczekać i wejść w zastawioną na nas pułapkę. Zaczekać, aż znajdziemy się w niekorzystnym położeniu na polu bitwy, które wybrał i na które przybędziemy wyczerpani walkami, które musieliśmy stoczyć przed męczącym marszem na południe. Zmęczeni przeskakiwaniem ludzkich rodzin z jego drogi.

To właśnie zrobiliśmy. Tej nocy każde z nas, które tylko mogło przeskakiwać...

Ja wybrałam się z Rhysandem do mojej dawnej wioski.

Poszłam do domów, którym jeszcze jako śmiertelniczka zostawiłam złoto.

Najpierw mnie nie rozpoznali.

Potem zrozumieli, kim jestem.

Rhys łagodnie wpływał na ich umysły, uspokajając ich, kiedy ja wyjaśniałam. Co mi się przytrafiło, co nadchodziło. Co musieliśmy zrobić.

Nie mieli czasu, by spakować więcej niż kilka najpotrzebniejszych rzeczy. Wszyscy drżeli, kiedy zabieraliśmy ich poprzez świat do ciepłych bujnych lasów pod Adriatą, gdzie czekała już Kresejda z jedzeniem i małą armią służących gotowych do pomocy i organizowania wszystkiego.

Druga rodzina nam nie uwierzyła. Myśleli, że to jakaś magiczna sztuczka. Rhys próbował dotknąć ich umysłów, ale panika trzymała je w zbyt kurczowym uścisku, ich nienawiść była zbyt głęboka.

Chcieli zostać.

Rhys nie dał im wtedy wyboru. Przeskoczył całą nieprzystającą wrzeszczącą rodzinę. Kiedy zostawialiśmy ich wśród rosnącej grupy ludzi, nadal wrzeszczeli. Nasi towarzysze przeskakiwali nowych i nowych, których Kresejda spisywała i uspokajała.

W ten sposób szliśmy dalej. Dom za domem. Rodzina po rodzinie. Każdego, kto mógłby znaleźć się na drodze Hybernijczyków.

I tak przez całą noc. Wszyscy książęta z naszej armii, wszyscy dowódcy lub szlachetnie urodzeni obdarzeni zdolnością do przeskakiwania i dostatecznie silni, by to zrobić.

Aż wreszcie dyszeliśmy już ciężko. Aż wreszcie w bujnym letnim lesie zebrała się skulona razem grupa ludzi rozmiaru małego miasta. Aż wreszcie nawet siła Rhysa omal nie zawiodła i ledwie dał radę przeskoczyć nas do namiotu.

Zasnął, jeszcze zanim jego głowa dotknęła poduszki, niedbale rozrzucając na łożku skrzydła.

Za duży wysiłek. Za wiele polegania na swojej mocy.

Przyglądałam mu się śpiącemu, licząc jego oddechy.

Wiedzieliśmy – wszyscy. Wiedzieliśmy, że nie stchórzymy przed bitwą.

Może zainspiruje to innych do walki, ale... wiedzieliśmy. Mój towarzysz, moja rodzina... oni będą walczyć, by swoim poświęceniem kupić nam czas, byśmy z Amreną i moimi siostrami spróbowały powstrzymać Kocioł. Część może zginie, zanim tam

dotrzemy.

Ale byli na to gotowi. Jeśli ktoś się bał, nie dawał tego po sobie poznać.

Odsunęłam włosy ze spoconego czoła Rhysa.

Wiedziałam, że da z siebie wszystko, jeszcze zanim o to poprosimy. Że będzie próbował.

To było jego integralną częścią, jak kończyły: potrzeba chronienia i poświęcania się. A jednak nie pozwoliłabym mu na to – jeśli nie spróbowałabym wcześniej sama.

Amrena nie wspominała w naszych wcześniejszych rozmowach Bryaksis. Jakby o niej zapomniała. Ale jutro czekała nas bitwa. A ta istota mogła kupić moim przyjaciółom, mogła kupić Rhysowi więcej czasu, podczas gdy my szukałybyśmy Kotła... Jeśli mogłabym dać im choć cień szansy na przeżycie... to Rzeźbiący w Kościach również mógł.

Nie obchodził mnie koszt, nie obchodziło mnie ryzyko. Nie myślałam o tym, gdy patrzyłam na mojego uśpionego towarzysza, na którego twarzy malowało się wycieńczenie.

On już dość poświęcił. Nawet jeśli to by mnie złamało, doprowadziło do szaleństwa, rozdarło na pół... Amrena tak naprawdę potrzebowała jutro z Kotłem tylko mojej obecności, mojego ciała. Wszystko inne... jeśli to miała być cena, która miałam zapłacić: poświęcić siebie, żeby dać im szansę przeżycia... Chętnie ją zapłacę. Stawię temu czoła.

Zebrałam więc resztki swojej mocy i przeskoczyłam – na północ.

Na Dwór Koszmarów.

Tam, wewnątrz góry wiły się kręte schody. Prowadziły w jedno miejsce: do komnaty tuż pod szczytem. Tego się dowiedziałam, szukając informacji. Stałam u ich stóp, patrząc w nieprzeniknioną ciemność, a oddech wydobywający się z moich ust zamieniał się w obłoczkę pary.

Tysiąc schodów. Tyle właśnie dzieliło mnie od Uroborosa. Zwierciadła Początków i Kresów.

„Tylko ty możesz zdecydować, co cię złamie, Wyzwolicielko. Tylko ty”.



Utworzyłam nad głową kulkę czarodziejskiego światła  
i rozpoczęłam wspinaczkę.

## Rozdział 68

**N**ie spodziewałam się śniegu.

Ani światła księżyca.

Komnata musiała leżeć pod pałacem z kamienia księżycowego – kanały wykute w surowej skale wychodziły na zewnątrz, wpuszczając do środka śnieg i księżycową poświatę.

Zęby zaszczękały mi z zimna, przez szczeliny wiatr wył tak, jakby na zewnątrz szalała wataha wilków.

Śnieg lśnił na podłodze i ścianach, z każdym powiewem wiatru owiewał mi buty. Wpadające do środka księżycowe światło było na tyle jasne, że odesłałam moją kulę światła. Całe pomieszczenie skąpane było w srebrze i bladym błękitcie.

Tam właśnie, pod przeciwległą ścianą komnaty, w brązowym pokrowcu oblepionym śniegiem...

Uroboros.

Był to masywny okrągły dysk – wysokości mniej więcej mojego wzrostu. Wyższy. Metalowa rama wyrzeźbiona została w kształt ogromnego węża pożerającego własny ogon, utrzymującego taflę w swoich splotach.

Kresy i początki.

Przez szerokość komnaty, przy hulającym śniegu... nie byłam w stanie nic dojrzeć. Tego, co skrywał.

Zmusiłam się do zrobienia kroku naprzód. Potem kolejnego.

Samo zwierciadło zdawało się być czarne jak noc – ale jednocześnie absolutnie przejrzyste.

Widziałam siebie podchodzącą bliżej. Widziałam swoją rękę uniesioną, by chronić twarz przed wiatrem i śniegiem; ściągnięte zmęczeniem rysy swojej twarzy.

Zatrzymałam się trzy stopy od niego. Nie odważyłam się go dotknąć.

Odbijało tylko mnie.

Nic więcej.

Obejrzałam je dokładnie szukając *czegokolwiek*, co można by pchnąć lub dotknąć magią. Ale była tam tylko głowa węża pożerająca ogon, z paszczą szeroko otwartą, na której kłach lśniły igielki mrozu.

Zadrżałam z zimna, potarłam ramiona. Moje odbicie zrobiło to samo.

– Halo? – szepnęłam.

Żadnego odzewu.

Dłonie piekły mnie z zimna.

Z bliska powierzchnia zwierciadła przypominała szare spokojne morze. Niewzruszone. Uśpione.

Nagle dojrzałam w jego górnym rogu... ruch.

Nie, nie w samej tafli.

Za mną.

Nie byłam tu sama.

Po ośnieżonej ścianie pełzła w dół bestia cała złożona ze szponów, łusek, futra i ostrych zębisk. Kierowała się w moją stronę.

Staralam się oddychać spokojnie. Nie pozwolić by – cokolwiek to było – poczuło w moim zapachu nutę strachu. Może to jakiś strażnik tego miejsca, jakiś stwór, który wpełzł tu szczeliną...

Jego ogromne łapy poruszały się po posadzce niemal bezszelestnie, futro mieniło się złotem i czernią. Stanowczo nie była to istota stworzona do polowania w tych górach. Na pewno nie z tym grzebieniem ciemnych łusek wzdłuż grzbietu. I ogromnymi lśniącoymi oczami...

Nie miałam czasu pomyśleć o tych szaroniebieskich oczach, gdyż bestia skoczyła na mnie.

Obróciłam się, chwytając w skostniałą dłoń ilyryjski sztylet, opadając nisko i celując – prosto w serce bestii.

Jednak nie poczułam żadnego uderzenia. Tylko śnieg, zimno i wiatr.

Przede mną nie było niczego. Tak samo za mną.

W śniegu nie było też śladów łap.

Obróciłam się do lustra.

Tam gdzie jeszcze przed chwilą stało... siedziała bestia, zamiatając leniwie śnieg łuskowanym ogonem.

Patrzyła na mnie.

Nie... Nie patrzyła.

Spozierała na mnie z powrotem. Na moje odbicie.

Tego, co czaiło się pod moją skórą.

Sztylet z brzękiem upadł na ośnieżoną skałę. Ja zaś spojrzałam w zwierciadło.

\*\*\*

Kiedy weszłam do celi Rzeźbiącego w Kościach, on siedział pod ścianą.

– Tym razem bez obstawy?

Wpatrywałam się w niego w milczeniu. Ten chłopiec – mój syn.

Po raz pierwszy Rzeźbiący zdawał się być bardzo nieruchomy i cichy.

– Przyniosłaś je – wyszeptał.

Spojrzełam w kącie celi. Uroboros pojawił się znikąd, wciąż jeszcze pokryty śniegiem i lodem. Mój, by go przyzywać gdziekolwiek i kiedykolwiek chciałam.

– Jak?

Słowa wciąż brzmiały obco i dziwnie.

To ciało, do którego powróciłam również... było dziwne.

Język niemal stanął mi kołkiem w ustach, kiedy odparłam:

– Spojrzałam w nie.

– Co zobaczyłaś?

Rzeźbiący zerwał się na równe nogi. Wsiąkłam nieco bardziej w swoje ciało, tylko na tyle, by móc się lekko uśmiechnąć.

– To nie twoje sprawa.

Ponieważ zwierciadło... pokazało mi. Tyle rzeczy.

Nie miałam pojęcia, ile czasu minęło. Czas... wewnątrz zwierciadła biegł inaczej.

Jednak nawet kilka godzin mogło okazać się okresem zbyt długim...

Wskazałam drzwi.

– Masz swoje lustro. Teraz dotrzyмай swojej części umowy. Czekam na ciebie bitwa.

Rzeźbiący w Kościach powiódł wzrokiem między mną a lustrem. I uśmiechnął się.

– Z przyjemnością.

Sposób, w jaki to powiedział...

Byłam nieprzytomna ze zmęczenia. Moja dusza wciąż nowa i drżąca, ale mimo to spytałam:

– Co masz na myśli?

Rzeźbiący tylko rozprostował swe odzienie.

– Mnie to zasadniczo nie jest potrzebne. – Wskazał lustro. – Ale tobie było.

Zamrugłam powoli.

– Chciałem się przekonać, czy jesteś warta mojej pomocy – ciągnął. – To rzadkość, by ktoś stanął twarzą w twarz z tym, kim naprawdę jest, i nie uciekł. Nie został przez to złamany. To właśnie pokazuje Uroboros wszystkim, którzy w niego spojrzą: każdy paskudny, obrzydliwy szczegół. Niektórzy spoglądają w nie i nie zdają sobie sprawy z tego, że koszmar, który widzą to *oni sami*. Nawet jeśli doprowadzi on ich do szaleństwa. Niektórzy podchodzą pewni i załamują się, nie mogąc patrzeć na małe żalosne stworzenie, które widzą. Ale ty... Tak, wyjątkowa rzadkość. Nie zaryzykowałbym wyjścia, gdyby było inaczej.

Wściekłość – oślepiająca wściekłość zaczęła wypełnić wszystkie dziury pozostawione przez to, co zobaczyłam w lustrze.

– Chciałeś się przekonać, czy jestem *warta*?

Czy niewinni ludzie byli warci, by im pomóc.

Skinienie głowy.

– Owszem. I jesteś. A teraz ci pomogę.

Przez moment rozważałam zatrzaśnięcie mu drzwi celi przed nosem. Ale tylko odpowiedziałam cicho:

– Dobrze. – Podeszłam do niego i ujęłam go bez lęku za zimną dłoń. – Zaczynamy.

## Rozdział 69

Wstał świt, pierwsze promienie ślizgały się po równinach ziem śmiertelników i snujących się po ziemi mgłach.

Hybernijczycy zrównali z ziemią wszystko od Dworu Wiosny aż niemal po samo morze.

W tym moją dawną wioskę.

Przechodząc tamtędy, widzieliśmy, że nie pozostało nic oprócz zwęglonych dymiących zgliszcz i osmalonych ruin.

Posiadłość mojego ojca... Została jedna trzecia domu, reszta legła w gruzach. Okna potrzaskane, ściany popękane do fundamentów.

Ogród Elainy zupełnie zniszczony, przypominający teraz błotnistą kałużę. Z dumnego dębu na skraju posiadłości – w którego cieniu Nesta lubiła stać, gdy przyglądała się naszym ziemiom – został spalony kikut.

To był atak wymierzony w nas. Wiedziałam to. Wszyscy wiedzieliśmy. Król rozkazał wybić wszystkie zwierzęta. Psy i konie zabrałam nocą – razem ze służbą i ich rodzinami. Ale całe bogactwo, wszystkie rzeczy osobiste. Zrabowane lub zniszczone.

Fakt, że Hybernijczycy nie zostali tu wystarczająco długo, by dokończyć dzieła zniszczenia, sugerował, wedle słów Kasjana, że nie chcieli, byśmy za bardzo ich dogonili. Chciał zapewnić sobie przewagę – wybierając odpowiednie pole bitwy. Nie mieliśmy wątpliwości, że znalezienie opustoszałych wiosek na swojej drodze wzbudziło u króla gniew. Jednak zostało sporo miast i osad, do których, śpiesząc się, nie zdążyliśmy dotrzeć na czas.

Cała operacja było łatwiejsza w teorii niż w praktyce. Z armią tak dużą jak nasza, złożoną z tak różnie wyszkolonych żołnierzy, z tak wieloma dowódcami wydającymi rozkazy.

Ilyrowie byli drażliwi – w kółko szarpali przysłowiową smycz, nawet trzymani żelazną ręką lorda Devlona. Denerwowało ich, że musimy czekać na resztę, że nie możemy po prostu polecieć naprzód

i przechwycić siły Hybernii, powstrzymać je, zanim zdążą wybrać pole bitwy.

Widziałam, jak Kasjan ściał się z dwoma różnymi kapitanami w ciągu trzech godzin; widziałam, jak przydzielił burczących żołnierzy do ciągnięcia wozów i wózków z zapasami, nadwerężając ich autorytet, który zdobyli, walcząc w pierwszej linii. Kiedy jednak inni zobaczyli, że Kasjan nie rzuca słów na wiatr... protesty ucichły.

Keir i jego Niosący Mrok również go obserwowali – mieli jednak na tyle rozumu, żeby zachować niepochlebne komentarze dla siebie i nie okazywać niezadowolenia, że muszą maszerować całe mile, od czego ich ciemne zbroje pokrywały się coraz grubszą warstwą brudu.

Podczas krótkiego południowego postoju na wielkiej polanie wdrapałyśmy się z Nestą na jeden z krytych wozów z zapasami, by przebrać się w nasze ilyryjskie skórznie. Kiedy wyszłyśmy, NESTA nawet przypasała do boku nóż, na który Kasjan nalegał, choć przyznał, że ponieważ była niewprawiona, miała równe szanse na zrobienie krzywdy sobie, co wrogowi.

Elaina... Tylko spojrzała na nas stojących wśród kołyszących się traw obok wozu, w stroju podkreślającym nogi i inne kobiece walory, i spłonęła karminowym rumieńcem. Wtedy wkroczyła Viviane, proponując jej strój Dworu Zimy, który był mniej odważny. Składał się, owszem, ze skórzanych spodni, ale z nałożoną na nie długą do pól uda niebieską tuniką ozdobioną przy kołnierzu białym futrem.

W tej temperaturze musiało być im nieznośnie gorąco, ale Elaina była na tyle wdzięczna, że nie narzekała, kiedy ponownie zeszłyśmy z wozu do czekających na nas towarzyszy. Odmówiła jednak przypięcia noża, który podał jej Kasjan.

Na sam jego widok zrobiła się śmiertelnie blada.

Azriel, wciąż kulejąc, odepchnął lekko Kasjana i zaoferował jej alternatywę.

– To jest Prawdomówca – powiedział do niej miękko. – Nie będę go dzisiaj używał, więc chciałbym, żebyś ty go wzięła.

Jego skrzydła się zagoiły – choć przecinały je teraz długie wąskie blizny. Wciąż jednak nie był dość silny. Madja przestrzegła go dziś

przed lataniem.

Kłótnia z Rhysem dzisiejszego ranka była krótka i zaciekła. Azriel przekonywał, że może latać – walczyć razem z legionem jak zwykle. Rhys się nie zgodził. Kasjan się nie zgodził. Azriel zagroził, że ukryje się w cieniach, aby i tak wziąć udział w walce. Rhys odparł mu wtedy, żeby tylko spróbował, a przykuje go łańcuchem do drzewa.

A Azriel... Dopiero kiedy Mor weszła do namiotu i błagała go – błagała ze łzami w oczach – skapitulował. Zgodził się być tylko oczami i uszami, niczym więcej.

Stał teraz na środku polany w swojej ilyryjskiej zbroi, ze lśniącoymi wszystkimi siedmioma syfonami...

Oczy Elainy rozszerzyły się na widok broni o obsydianowej rękojeści w jego poblżnionej dłoni. Na widok run na pochwie.

– Nigdy mnie nie zawiódł – powiedział pieśniarz cieni; mroczne ostrze zdawało się wręcz pochłaniać południowe słońce. – Niektórzy mówią, że jego magia zawsze znajdzie prawdę. – Łagodnie ujął dłoń Elainy i włożył w nią rękojeść legendarnej broni. – Będzie ci dobrze służył.

– Ja... ja nie wiem, jak go używać.

– Zrobię wszystko, żebyś nie musiała – powiedziałam.

Trawa zachręściła pod moimi butami, gdy podeszłam bliżej.

Elaina ważyła chwilę moje słowa... po czym zacisnęła palce na rękojeści sztyletu...

Kasjan gapił się na Azriela, a ja się zastanawiałam, jak często pożyczał on komukolwiek swoją broń...

„Nigdy – odpowiedział mi Rhys stojący oparty o bok wozu i dopinający własną broń. – Nigdy nie widziałem, żeby Azriel pozwolił komukolwiek dotknąć tego noża”.

Elaina spojrzała na Azriela, ich oczy się spotkały, jego dłoń wciąż spoczywała na rękojeści broni.

Zobaczyłam oczami duszy obraz: czarująca łania, otoczona bujną wiosną. Stojąca przed Aniołem Śmierci, wokół którego wiły się cienie i koszmary. Światło i ciemność, a miejsce pomiędzy ich ciałami mieszanką obu. Jedyńm pomostem między nimi... ten nóż.

„Namaluj to, kiedy wrócimy do domu”.



„Wścibski”.

Zerknęłam przez ramię na Rhysa, który właśnie dołączył do naszego kółka na polanie. Jego twarz była jeszcze bardziej ponura niż zazwyczaj, wokół ust odznaczały się bruzdy wskazujące na zmęczenie. Wtedy zrozumiałam... że nie będzie nam dane spędzić ostatniej nocy razem. Ostatnia noc – *to była ostatnia noc*, poświęciliśmy ją na przeskakowanie...

„Nie myśl tak. Nie możesz iść do bitwy, myśląc, że już nie wrócisz”. Jego spojrzenie było ostre, nieugięte.

Oddech uwiązał mi w płucach. „To ostatni raz, kiedy zebraliśmy się tu wszyscy – rozmawiając”.

Ponieważ rozpoczynaliśmy właśnie ostatni odcinek marszu... Zabierze nas on prosto na pole bitwy.

Rhys uniósł brew. „Miałabyś w takim razie ochotę schować się w tym wozie na kilka minut? Trochę tam ciasno, pomiędzy wszystkimi zapasami, ale damy radę”.

Ten żart był wymierzony w równej mierze na rozweselenie mnie – co i jego. Wzięłam go za rękę, widząc, że wszyscy rozmawiają przyciszonymi głosami. Mor podeszła w pełnej ciemnej zbroi. Amrena... Amrena, również miała na sobie ilyryjską skórznę. Tak małą, że musiała chyba zostać zrobiona dla dziecka.

„Została, ale nie mów jej tego”.

Moje usta rozciągnęły się na chwilę w słabym uśmiechu. Rhys patrzył na nas wszystkich, zebranych spontanicznie na zalanej słońcem polanie. Nasza rodzina – nasz dwór. Dwór Snów.

Wszyscy ucichli.

Rhys patrzył każdemu w oczy, nawet moim siostram, jego dłoń wciąż muskała moją.

– Chcecie mowę inspirującą czy nudną? – spytał.

– Chcemy prawdziwą – odparła Amrena.

Rhys wyprostował ramiona i złożył elegancko skrzydła na plecach.

– Wierzę, że wszystko ma swoją przyczynę. Czy decyduje o tym Matka, czy Kocioł, czy jakaś inna tkanina losu, nie wiem. Wszystko mi jedno. Ale jestem temu wdzięczny, czymkolwiek jest. Wdzięczny

za to, że przyniosło do mojego życia was. Gdyby nie wy... Być może stałbym się obrzydliwym dupkiem; jak ten, z kim dziś się zmierzmy. Jeśli nie spotkałbym młodego Ilyra szkolącego się na wojownika – zwrócił się do Kasjana – nie znałbym prawdziwego wymiaru siły, odporności, honoru i lojalności.

Oczy Generała zalśniły. Rhys zwrócił się do Azriela:

– Jeśli nie poznałbym pieśniarza cieni, nie wiedziałbym, że rodziną są ci, których wybierzesz, a nie ci, wśród których się urodzisz. Nie wiedziałbym, co to znaczy prawdziwa nadzieja; nawet wtedy, kiedy świat spycha cię z rozpacz.

Aziel skinął z wdzięcznością głową. Mor płakała już, kiedy Rhys zwrócił się ku niej.

– Jeśli nie poznałbym mojej kuzynki, nigdy nie nauczyłbym się, że można znaleźć światło nawet w najciemniejszych czeluściach. Że dobro może kwitnąć nawet wśród okrucieństwa.

Otarła łzy i pokiwała głową. Czekałam, czy Amrena odpowie coś ciętego. Ale ona tylko czekała. Rhys skinął jej głową.

– Jeśli nie poznałbym maleńkiego potwora, który kolekcjonuje klejnoty bardziej zawzięcie niż ognisty smok... – Wszyscy się roześmialiśmy, a Rhys uśmiechnął się łagodnie. – Moja własna moc dawno temu by mnie zniszczyła.

Rhys ścisnął moją dłoń, gdy wreszcie przeniósł spojrzenie na mnie.

– Jeśli zaś nie poznałbym mojej towarzyszki... – Słowa zawiodły go, a jego oczy zalśniły srebrem.

Przekazał mi przez więź: „Czekałbym kolejne pięćset, tysiąc lat na ciebie. A jeśli to koniec czasu, jaki dany jest nam razem... warto było”.

Otarł łzy płynące po mojej twarzy.

– Wierzę, że wszystko się wydarzyło dokładnie tak, jak musiało... żebym mógł cię odnaleźć. – Scałował jedną z kolejnych łez.

Potem zwrócił się do moich sióstr.

– Nie znaliśmy się zbyt długo. Jednak wierzę, że pojawiłyście się tu w naszej rodzinie z konkretnego powodu. Może dziś właśnie przekonamy się, z jakiego.

Potoczył po wszystkich wzrokiem. Wyciągnął rękę do Kasjana. Ten ujął ją i wyciągnął drugą do Mor. Potem ona do Azriela. Azriel do Amreny. Amrena do Nesty. Nesta do Elainy. I wreszcie Elaina do mnie. Wszyscy byliśmy połączeni, związani ze sobą.

– Pójdziemy w bój – powiedział Rhys – i przyjmujemy śmierć, jeśli przyjdzie, by zawlec nas na tamten świat. Będziemy walczyć o życie, o przeżycie, o naszą przyszłość. Jeśli jednak Matka, Kocioł, czy tkanina losu zdecydowali, że nie wyjdziemy z tej bitwy żywi... – Uniósł głowę. – Było wielkim zaszczytem i radością mojego życia znać was wszystkich. Móc nazywać was rodziną. I jestem wdzięczny, bardziej niż umiem to wyrazić, że mogłem spędzić ten czas z wami.

– My też jesteśmy wdzięczni, Rhysandzie – powiedziała cicho Amrena. – Bardziej, niż ci się wydaje.

Rhys posłał jej nikły uśmiech, podczas gdy inni zamruczeli potwierdzająco. Ponownie ścisnął moją dłoń i rzekł:

– W takim razie chodźmy sprawić, żeby król Hybernii *nie był* szczególnie wdzięczny losowi za to, że nas poznał.

\*\*\*

Poczułam zapach morza na długo przed tym, jak dotarliśmy na pole bitwy. Król dobrze wybrał.

Rozległa trawiasta równina ciągnąca się aż do brzegu. Swoją armię ulokował milę w głąb lądu.

Ciemna żywa masa ciągnąca się aż po wschodni horyzont. Za nimi majaczyły wzgórza – na których również rozmieścił część wojsk. Nawet sama równina zdawała się lekko wznosić ku wschodowi.

Zatrzymałam się dłużej przy boku Rhysanda na szczycie szerokiego pagórka, z którego dobrze widać było równinę. Moje siostry, Azriel i Amrena stali tuż za nami. W odległej pierwszej linii Helion w swej wspaniałej złotej zbroi i powiewającym czerwonym płaszczu wydał rozkaz zatrzymania się. Wojsko usłuchało, żołnierze rozstawili się na przydzielonych pozycjach.

Jednak siły, z którymi mieliśmy się zmierzyć... oni czekali. Dobrze ustawieni. Tak wielu. Nie musiałam liczyć, by wiedzieć, że było ich

wielu więcej niż nas.

Kasjan wylądował z kamienną twarzą, wszystkie jego syfony lśniły, kiedy w kilku krokach przemierzał trawiasty pagórek.

– Dupek wykorzystał całą przewagę terenu, jak tylko mógł. Jeśli chcemy ich rozbić, musimy ich pogonić na te wzgórza. Co bez wątpienia jest właśnie na to obliczone.

W oddali nago-brytany zaczęły warczeć i wyć. Wygłodniałe.

– Jak sądzisz – rzucił Rhys – ile mamy czasu?

Kasjan zacisnął szczękę, zerkając na moje siostry. Nesta patrzyła na niego z uwagą; Elaina z twarzą pobieleła z grozy przyglądała się armii z naszego niewielkiego wzniesienia.

– Mamy pięciu książąt, a on jest tylko jeden. Wszyscy dacie radę chronić nas przez pewien czas. Ale takie wykorzystanie waszych mocy może nie leżeć wcale w naszym interesie. On również ma tarcze; no i Kocioł. Jak dotąd bardzo uważał, by nie pokazać nam, na co go naprawdę stać.

– Na pewno używa zaklęć – powiedziałam, przypominając sobie, że to on wyszkolił Amaranthę.

– Upewnij się, że Helion będzie cały czas w gotowości – podpowiedział Azriel, kuśtykając w stronę Rhysa. – I Thesan.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – zwrócił się do Kasjana książę.

Ten zaś zmierzył wzrokiem niekończące się szeregi Hybernijczyków, potem nasze własne.

– Załóżmy, że sprawy nie potoczą się po naszej myśli, tarcze nie wytrzymają, rozproszą nas, a on użyje Kotła... Kilka godzin.

Zamknęłam oczy. Przez ten czas będę musiała przebrnąć jakoś przez leżące przed nami pole bitwy, znaleźć miejsce przetrzymywania Kotła i powstrzymać go.

– Moje cienie już go szukają – zwrócił się do mnie Azriel, wyczytując wszystko z mojej twarzy, kiedy znów otworzyłam oczy.

Zacisnął zęby. Miał go szukać sam. Rozłożył skrzydła i złożył je ponownie, jakby je sprawdzał.

– Jednak bariery ochronne są silne, bez wątpienia wzmocnione przez króla po tym, jak wdarłaś się do jego obozu. Być może

będziecie musiały udać się tam pieszo. Zaczekać, aż bitwa rozgorzeje na dobre.

Kasjan opuścił głowę i zwrócił się do Amreny.

– Będiesz wiedziała kiedy.

Ta tylko krótko skinęła głową i skrzyżowała ramiona. Zastanawiałam się, czy pożegnała się z Varianem.

Kasjan położył Rhysowi rękę na ramieniu.

– Na twój rozkaz poderwę Ilyrów w powietrze. Potem nacieramy na twój znak.

Rhys pokiwał głową w roztargnieniu, wciąż skupiony na przytłaczającej nas liczebnie wrogiej armii.

Kasjan zrobił krok w tył, ale spojrzał jeszcze na Nestę. Jej twarz była jak wykuta z granitu. Otworzył usta, ale po chwili jakby jednak zdecydował się nic nie mówić. Moja siostra również zachowała milczenie, kiedy Kasjan potężnym uderzeniem skrzydeł wystrzelił w niebo. Ale śledziła jego lot aż do chwili, kiedy był ledwie widocznym ciemnym punkcikiem.

– Mogę walczyć pieszo – zwrócił się Azriel do Rhysa.

– Nie – odparł księżę tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Azriel miał minę, jakby chciał jeszcze dyskutować, ale Amrena pokręciła ostrzegawczo głową, więc się wycofał. Wokół jego dłoni wirowały cienie.

W ciszy patrzyliśmy, jak nasza armia ustawia się w zwartych szeregach. Przyglądaliśmy się, jak Ilyrowie wzbijają się w niebo na jakąś cichą komendę przekazaną Kasjanowi przez Rhysa, formując lustrzane szeregi na niebie. Syfony lśniły barwami, tarcze na miejscu – zarówno metalowe, jak i magiczne. Sama ziemia zdawała się trząść z każdym krokiem zbliżającym naszych żołnierzy do umownej linii granicznej.

„Jeśli król namierzył moją moc, wyczuje mnie skradającego się przez pole bitwy” – odezwał się Rhys w mojej głowie.

Wiedziałam, co sugeruje.

„Jesteś potrzebny tutaj. Jeśli oboje znikniemy, domyśli się”.

Chwila ciszy.

„Boisz się?”.

„A ty?”.

Jego fioletowe oczy napotkały moje. Tak niewiele gwiazd w nich lśniło.

– Tak – szepnął.

„Nie o siebie. O ciebie, o was wszystkich”.

Tarquin wydał rozkaz i nasza zjednoczona armia zatrzymała się jak jakaś ogromna bestia, która na chwilę przystanęła. Lato, Zima, Dzień, Świt i Noc – oddziały każdego dworu wyraźnie odróżniające się barwami i uzbrojeniem. Pomniejsi fae, walczący razem z tymi wysokiego rodu, nieziemscy i śmiercionośni. W górze legion peregrynów Thesana zajął pozycję obok Ilyrów. Ich złote zbroje lśniły, kontrastując z naszymi jednolicie czarnymi.

Ani śladu Berona czy Erisa – ani słowa o tym, czy Dwór Jesieni zamierzał przyjść nam w sukurs. Albo Tamlin.

Jednak hybernijska armia ani drgnęła. Równie dobrze mogliby być posągami. Wiedziałam, że ten bezruch jest obliczony na wyprowadzenie nas z równowagi.

– Najpierw magia – objaśniła Amrena Neście. – Obie strony będą próbowały zniszczyć tarcze chroniące wrogie wojska.

Jakby na potwierdzenie jej słów, to właśnie się stało. Moja magia skrzyła się w odpowiedzi na magię książąt używających swoich mocy – wszystkich oprócz Rhysanda.

On zachowywał swoją moc na czas, kiedy tarcze padną. Nie miałam wątpliwości, że król Hybernii po drugiej stronie równiny robił dokładnie to samo.

Tarcze po obu stronach zachwiały się. Część żołnierzy padła. Niewielu, ale jednak. Magia przeciw magii. Ziemia drżała, trawa między wojskami zwiędła i zmieniła się w popiół.

– Zapomniałam już, jak nudna jest ta część – mruknęła Amrena.

Rhys spojrział na nią spode łba. Jednak jakby przeczuwając, że wkrótce ktoś będzie górą, podszedł do skraju pagórka. Zada przeciwnikowi potężny niszczycielski cios w chwili, w której tarcze padną. Prawdziwą falę niszczycielskiej naznaczonej nocą mocy. Zacisnął pięści.

Po mojej lewej syfony Azriela lśniły – szykował się do uwolnienia

niszczycielskiego uderzenia, by wspomóc Rhysanda. Być może nie był w stanie walczyć, ale będzie korzystał ze swoich mocy stąd.

Podeszłam do boku Rhysa. Przed nami obie tarcze już się chwiały.  
– Nigdy nie dałam ci prezentu godowego – powiedziałam.

Rhys przyglądał się uważnie magicznym zmaganiom. Jego moc mruzczała pod nami, wzbierając z cienistego serca świata.

Wkrótce. Jeszcze kilka chwil. Serce mi waliło, pot oblewał mi czoło – nie tylko z powodu upału kładącego się ciężko na równinie.

– Myślałam o tym i myślałam – kontynuowałam – co by ci tu dać.

Powoli, bardzo powoli, Rhys skierował swoje oczy ku moim. Ziała w nich jedynie otchłań mocy – tłumiąca blask gwiazd.

Uśmiechnęłam się, nurzając się w tej potędze, i wysłałam mu obraz.

Linii mojego kręgosłupa, teraz ozdobionej od góry do dołu czterema fazami księżyca. I małą gwiazdą w samym środku.

– Choć przyznam, że ten dar jest raczej dla nas *obojga*.

Tarcze Hybernijczyków padły z trzaskiem. Moja magia wyskoczyła ze mnie, przedzierając się przez świat. Rozwiewając iluzję, która była tam przez wiele godzin.

Przed naszą pierwszą linią... Pojawiła się, wijąc się i wirując, chmura ciemności.

– Matko najwyższa – wyszeptał Azriel.

Właśnie w chwili, kiedy tuż obok wirującego smoliście czarnego dymu pojawiła się męska postać.

Obie armie zdały się zamrzeć w zdziwieniu.

– Odebrałaś Uroborosa – wyszeptał Rhys.

Ponieważ przed armią Hybernii stał Rzeźbiący w Kościach – i żywe gniazdo ciemności, jakim była Bryaksis, dotąd związana i wczoraj w nocy uwolniona przeze mnie w ciele fae. Oboje zobowiązani prostą umową, wytatuowaną teraz na moich plecach.

– Owszem.

Omiótł mnie wzrokiem od stóp do głowy. Wiatr szarpał jego niebieskoczarne włosy.

– Co zobaczyłaś? – spytał łagodnie.

W szeregach Hybernii zapanowało poruszenie. Widać było, że

próbują ocenić, kto przed nimi stoi. Rzeźbiący przyjął postać Ilyra w kwiecie wieku. Bryaksis wciąż jednak kryła się wewnątrz ciemności wirując w niej, w żywej tkaninie, której miała zamiar użyć do ukazania koszmarów swoich ofiar.

– Siebie – odparłam wreszcie. – Zobaczyłam siebie.

To była jedyna może rzecz, której nigdy mu nie pokażę. Nikomu. Jak kryłam się w szale i łkałam. Jak wymiotowałam, krzyczałam i drapałam paznokciami lustro. Waliłam w nie pięściami. A potem zwinęłam się w kulkę, dygocąc z powodu wszystkich okrutnych, samolubnych rzeczy, która zobaczyłam w tym potworze – we mnie. Jednak wciąż patrzyłam. Nie odwróciłam wzroku.

A kiedy spazmy ustały, przyjrzałam się uważnie. Wszystkim tym obrzydliwym rzeczom. Dumie, hipokryzji i wstydowni. Szalowi, tchórzostwu i bólowi.

Wtedy zaczęłam widzieć inne rzeczy. Ważniejsze rzeczy – dużo ważniejsze.

– I to, co zobaczyłam – powiedziałam do niego cicho, kiedy Rzeźbiący uniósł rękę. – Myślę... myślę, że to pokochałam. Wybaczycie mi... sobie. Wszystko.

W tej właśnie chwili wiedziałam – zrozumiałam, co miał na myśli suriel. Tylko ja mogę pozwolić złu siebie złamać. Tylko ja mogłam to pokonać, przyjąć to. Kiedy sobie to uświadomiłam... Uroboros poddał się mojej woli.

Rhys uniósł brew, chociaż jego twarz wyrażała zachwyt.

– Pokochałaś to wszystko? Dobre i złe?

Uśmiechnęłam się lekko.

– Zwłaszcza to złe.

Dwie postacie zdawały się nabierać powietrza, przez co chmura ciemności jakby się skurczyła. Gotowały się do ataku. Pochyliłam głowę ku memu towarzyszowi.

– Za długą i szczęśliwą więź godową, Rhys.

– Wygląda na to, że mnie ubiegłaś.

– W czym?

Rhys mrugnął do mnie i wskazał w stronę Bryaksis i Rzeźbiącego. Obok nich pojawiła się kolejna postać.



Rzeźbiący aż zrobił krok w tył. I zrozumiałam – po smukłej kobiecej figurze, ciemnych wijących się włosach i na powrót pięknej twarzy... Wiedziałam, kto to był.

Strzyga – Tkaczka.

Na jej ciemnych włosach... lśnił błękitny klejnot.

Klejnot *Ianthy*. Krwawy łup. Tkaczka uśmiechnęła się do swojego bliźniaka, po czym ukłoniła mu się z pełną kpiny przesadą. Następnie zwróciła się ku wrogim wojskom. Rzeźbiący przestał się cofać i przez długą chwilę wpatrywał się w siostrę, po czym również zwrócił się ku wrogiej armii.

– Nie tylko ty potrafisz zawierać umowy, wiesz? – powiedział przeciągle z zawadiackim uśmiechem Rhys.

Tkaczka. Rhys przekonał Tkaczkę, by do nas dołączyła...

– Jak?

Przechylił głowę, ukazując niewielki wijący się tatuaż za uchem.

– Wysłałem Heliona, by z nią pomówił w moim imieniu. To dlatego był w Środku tamtego dnia, kiedy cię znalazł. By zaoferować złamanie zaklęcia więżącego ją... w zamian za jej pomoc dzisiaj.

Zamrugłam, patrząc na mojego towarzysza. Po czym uśmiechnęłam się szeroko, dziko.

– Król Hybernii nie ma pojęcia, jakie piekło za chwilę rozpęta się dla jego oddziałów, prawda?

– Za spotkania rodzinne – powiedział tylko.

Właśnie w chwili, kiedy Tkaczka, Rzeźbiący i Bryaksis rzucili się na wojska Hybernii.

## Rozdział 70

**N**aprawdę to zrobiłaś – szepnęła Amrena, kiedy trzy nieśmiertelne byty rzuciły się na Hybernijczyków i rozpoczęła się rzeź.

Ciała padały przed nimi; pozostawały, gdziekolwiek przeszli. Niektóre – tylko skorupy odziane w zbroje. Wyssane przez Rzeźbiącego i Strzygę. Niektórzy uciekali, po spojrzeniu w Bryaxis – ujrzaniu swych najgłębszych lęków.

Rhys wciąż uśmiechał się do mnie, wyciągając rękę ku wojskom Hybernii, które starały się opanować narastający zamęt.

Wskazał coś palcami.

Nagle wytrysnęła z nich smoliście czarna moc.

Część wrogiej armii po prostu...

Omgliła się.

Tam gdzie wcześniej stały szeregi wojska, pozostała czerwona mgła i odłamki metalu.

Rhys dyszał ciężko, a w oczach miał dzikość. To było dobrze wymierzone uderzenie.

Rozłupało amię na pół.

Aziel wypuścił drugą falę – niebieskie światło uderzyło w nowo odsłoniętą flankę. Rozpierając wojska jeszcze dalej.

Ilyrowie ruszyli. To był sygnał Rhysa.

Pikowali z nieba – właśnie w chwili, kiedy z szeregów Hybernijczyków wysunął się legion pełen istot takich jak attor. Ukrytych pomiędzy żołnierzami.

Syfony załśniły, wznosząc tarcze – a Ilyrowie z niezwykłą precyzją wypuścili strzały. Jednak legion attorów był przygotowany. Odpowiedzieli własnym gradem strzał... Jesionowych, ale z grotami ze zguby fae. Chociaż w żyłach naszych wojowników krążyło antidotum Nuany, nie wpływało na ich magię – i nie chroniło przed samym kamieniem. Strzały ze zgubą łatwo z łatwością przebijały syfonowe tarcze. Król najwyraźniej

dopracował – ulepszył – swój arsenał.

Niektórzy Ilyrowie spadli, ale cześć zorientowała się w zagrożeniu i użyła metalowych tarcz, zdejmując je szybko z pleców.

Na ziemi żołnierze Tarquina, Heliona i Kalliasa rozpoczęli szturm. Król Hybernii wypuścił brytany – i inne bestie.

Kiedy obie strony się zwały... Rhys posłał kolejne uderzenie, wsparte przez falę Tarquina. Dzieląc i zbijając oddziały wroga w nierówne grupki.

A pomiędzy tym wszystkim Bryaksis... Wszystko, co byłam w stanie dojrzeć, to smuga wciąż zmieniających się szponów i kłów, skrzydeł i mięśni, przemieszczających się i wirujących wewnątrz ciemnej chmury, która niszczyła i rozgniatała wszystko na swojej drodze. Gdziekolwiek uderzyła we wrogi oddział, bryzgała krew. Niektórzy zdawali się umierać zwyczajnie z panicznego strachu.

Rzeźbiący walczył obok tej przeraźliwej istoty. Nie używał innej broni oprócz trzymanego w dłoni bułata w kolorze kości słoniowej – dosłownie kościanego. Wykonywał nim zamachy, jakby kosił zboże.

Żołnierze padali przed nim jak muchy – mimo że niektórych ostrze ledwie zahaczyło. Nawet ciało fae, które Rzeźbiący przybrał, nie było w stanie go powstrzymać – stłumić jego śmiertelnej mocy.

Hybernijczycy rzucali się do ucieczki przed nim. I przed Tkaczką. Gdyż po drugiej stronie Rzeźbiącego, zostawiając za sobą puste skorupy... przebijała się przez szeregi wojska Strzyga w wirze czarnych włosów i białych kończyn.

Nasi żołnierze na szczęście niespecjalnie się wzdrygali, rzucając się na oddziały wroga. Wysłałam przez łączącą nas więź ostry rozkaz do Bryaksis i Rzeźbiącego, przypominający im, że nasze wojska nie są do zabawy. Tylko Hybernijczycy i ich sojusznicy.

Oboje buntowali się, próbując zerwać się z tej swoistej umysłowej smyczy.

Zebrałam wszystkie dostępne mi strzępy nocy i gwiazdowego światła i warknięciem zmusiłam ich, by *usłuchali*.

Przysięgłabym, że odpowiedzieli niesamowitym, jakby nie z tego świata, burknięciem.

Jednak usłuchali. Nie zwrócili się przeciwko naszym oddziałom, kiedy wreszcie zwały się z Hybernijczykami.

Dźwięk ścierających się armii... To było nie do opisania. Elaina skrzywiła się i zakryła uszy.

Moi przyjaciele tam byli. Mor walczyła razem z Viviane, mając – jak obiecała – oko na Kalliasa, podczas gdy ten zasypywał wrogów ostrymi jak brzytwy odłamkami lodu. Kasjan... nie byłam go nawet w stanie dojrzeć za rozbłyskami syfonów w pobliżu pierwszej linii, jarzących się karmazynowo pomiędzy zajadłymi cieniami Niosących Mrok Keira, którzy wykorzystywali je do zyskania przewagi, oślepiali przeciwników nagłą ciemnością... a potem ponownie ich oślepiali, rozwiewając ją momentalnie i wystawiając wrogów na palące promienie słońca. Wtedy czekali na nich z obnażonymi ostrzami.

– Zaczyna się jatka – stwierdziła Amrena, chociaż nasze szeregi, a zwłaszcza Ilyrowie i peregryni Thesana, trzymali szyk.

– Jeszcze nie – powiedział Rhys. – Spora część wojsk przeciwnika w ogóle jeszcze nie wzięła udziału w starciu. Musimy mieć pewność, że uwaga króla jest skierowana gdzie indziej.

Kiedy Rhys pojawi się na polu bitwy.

Poczułam nieprzyjemny ucisk w brzuchu. Hybernijaska armia ruszyła, prąc naprzód. Tkaczka, Rzeźbiący i Bryaksis wrzynali się głęboko w szeregi wroga, ale ten zaraz zamykał nowymi siłami każdą lukę. Helion krzyczał na pierwsze linie, by trzymały szyk. Po obu stronach szybowały strzały. Te zanurzone w zgubie fae zbyt często uderzały skutecznie. Znowu i znowu. Jakby król osobiście zaklął je, by trafiały w cel.

– Będzie po wszystkim, zanim zdążymy zejść z tego pagórka – denerwowała się Amrena.

– Jeszcze nie teraz – warknął na nią Rhys.

Nagle zabrzmiał dźwięk rogu – na północy.

Obie armie przerwały na chwilę walkę, by spojrzeć.

Rhys szepnął do mnie:

– Teraz. Musicie iść *teraz*.

Ponieważ armia, która pojawiła się na horyzoncie...

Trzy armie. Jedna pod ciemnopomarańczowymi sztandarami Berona.

Druga niosąca zielone barwy Dworu Wiosny.

A trzecia... pod przywództwem śmiertelnika w żelaznej zbroi. Nad nią powiewały kobaltowe sztandary ze sprężonym do ataku borsukiem. Herb Graysena.

Ze szczeliny w materii świata na szczycie naszego pagórka pojawił się Eris, odziany w srebrną zbroję z czerwoną peleryną na ramionach. Rhys warknął ostrzegawczo, zbyt zanurzony w swą moc, by przejmować się kontrolowaniem swojego temperamentu.

Eris położył tylko dłoń na rękojeści swojego miecza i powiedział:

– Pomyśleliśmy, że możecie potrzebować pomocy.

Niewielka armia Tamlina, i wojska Berona, i oddziały Graysena... Szarżowały właśnie, przeskakiwały i pędziły prosto na szeregi Hybernijczyków. A ludzką armią dowodził...

Jurian.

Ale Beron. *Beron* przybył.

Eris zauważył nasze zdziwienie i pośpieszył z wyjaśnieniami.

– Tamlin go zmusił. Wywłókł mojego ojca za fraki. – Na jego ustach pojawił się półuśmiech. – Wspaniały widok.

Przybyli... Tamlin zdołał zebrać armię, którą z taką radością zniszczyłam...

– Tamlin czeka na rozkazy – powiedział Eris. – Tak samo Jurian.

– A co z twoim ojcem? – zapytał niskim i chrapliwym głosem Rhys.

– Zajmujemy się pewnym problemem – odparł Eris i wskazał armię swojego ojca.

Byli tam jego bracia, zbliżający się do pierwszej linii, przeskakujący nagle pomiędzy wrogów. Prosto poprzez pierwsze szeregi i do wozów rozstawionych pomiędzy wojskami.

Wozów pełnych zguby fae, jak sobie zdałam sprawę, kiedy zaczęły wybuchać niebieskim płomieniem, po czym zmieniały się w popiół bez śladu dymu. Jego bracia przeskakiwali po kolei do każdego składu, każdego zapasu. Ich drogę znaczyły buchające płomienie.

Metodycznie niszczyli zapasy śmiercionośnej zguby. Spopielone na dobre. Zupełnie jakby ktoś – Jurian lub Tamlin – poinformowali ich ze szczegółami, gdzie je znajdują.

Rhys mrugnął, tylko w ten sposób okazując zdziwienie. Spojrzał na mnie, potem na Amrenę i skinął głową.

„Idźcie. Teraz”.

Póki uwaga króla skupiona jest na zbliżającej się armii – póki próbuje oszacować ryzyko, opanować chaos spowodowany przez precyzyjnie wymierzone ataki synów Berona. Póki próbuje zrozumieć, co, na demony, robi tam Jurian i jak wiele jego słabości zdołał odkryć i postanowił wykorzystać.

Amrena popchnęła moje siostry naprzód, chociaż Elaina załkała, widząc herb Graysena.

– Teraz. Szybko i cicho jak cienie.

Kierowałyśmy się tam – w środek tego wszystkiego. Bryaxis i Rzeźbiący wciąż wyrzynali wszystkich w pień na swoich poletkach za liniami wroga. A Tkaczka... Gdzie była Tkaczka?

Dostrzegłam ją. Powoli brnęła przed siebie, pozostawiając za sobą wąski pas zniszczenia. Zgodnie z tym, co polecił jej przed chwilą Rhys.

– Tamtędy – powiedziałam, wpatrując się w upiorną przecinkę Strzygi.

Elaina drżała na całym ciele, wciąż oglądając się na ludzką armię i walczącego w niej narzeczonego. Nesta popatrywała ku przelatującym nad nami zwartym szykom legionów Ilyrów.

– Rozumiem, że mamy iść po ścieżce trupów – mruknęła do mnie Amrena. – Skąd Tkaczka wie, gdzie znajduje się Kocioł?

Rhys zdawał się słuchać nas, mimo że już się odwróciłyśmy. Jego dłoń musnęła moją w niemym pożegnaniu.

– Ponieważ wygląda na to – odparłam – że ma wyjątkowo dobry węch.

Amrena prychnęła i zajęłyśmy miejsca po obu stronach moich sióstr. Zastona niewidzialności powinna pozwolić nam bezpiecznie przemknąć na południowy skraj pola bitwy, podczas gry Azriel monitorował sytuację poprzez swoje cienie. Kiedy jednak

znajdziemy się za liniami wroga...

Obejrzałam się przez ramię, kiedy dochodziłyśmy do skraju pagórka. Tylko raz. Spojrzałam na Rhysa, który rozmawiał z Azrielem i Erisem, wyjaśniając plan, który miał zostać przekazany Tamlinowi, Beronowi i Jurianowi. Bracia Erisa dotarli z powrotem za własne linie – wojska Hybernii poznaczone były teraz płomieniami. Nie było to dość, by ich powstrzymać, ale... oznaczało przynajmniej koniec kłopotów ze zgubą fae. Na razie.

Rhys skupił się na mnie i nawet pomimo szalejącej wokół nas bitwy, wciąż nowych okropieństw, przez chwilę między kolejnymi uderzeniami serca na całej równinie byliśmy tylko my dwoje.

Opuściłam mentalne bariery, by móc z nim rozmawiać. Tylko jeszcze jedno pożegnanie, jeszcze jedno...

Nesta wciągnęła gwałtownie powietrze. Zachwiała się i pociągnęła ze sobą na ziemię próbującą ją wesprzeć Amrenę.

Rhys znalazł się natychmiast przy nas, zanim jeszcze zrozumiałam, co się stało. Kocioł.

Król Hybernii zaczął używać Kotła.

Amrena wydobyła się spod Nesty, odwracając się ku polu bitwy.

– *Tarcze...*

Eris natychmiast przeskoczył do siebie – bez wątpienia, by ostrzec ojca.

Nesta uniosła się na łokciach. Usta miała blade, włosy wysunęły jej się z warkocza. Zwymiotowała na trawę.

Magia Rhysa wystrzeliła z niego, okalając całą naszą armię, jego oddech stał się ciężki i chrapliwy...

Dłonie Nesty zacisnęły się na kępkach trawy, kiedy lustrowała horyzont.

Jakby potrafiła zobaczyć, gdzie dokładnie znajduje się Kocioł; teraz, kiedy jego moc miała zaraz zostać uwolniona.

Magia Rhysa płynęła z niego i płynęła, szykując się na uderzenie. Syfony Azriela rozbłysły, jego oddech stał się równie ciężki, jak mojego towarzysza, ale nad Rhysandem pojawiła się kobaltowa tarcza.

Wtedy Nesta zaczęła krzyczeć. Nie z bólu, powtarzała wciąż

i wciąż to samo imię.

– *Kasjan!*

Amrena sięgnęła do niej, ale Nesta ponownie ryknęła:

– *Kasjan!*

Po czym zerwała się na nogi, jakby za chwilę miała sama wystrzelić w niebo.

Jej ciałem szarpnął dreszcz i upadła z powrotem, wymiotując.

Z szeregów Ilyrów wystrzeliła ku nam postać, uderzając ciężko skrzydłami. Czerwone syfony jarzyły się jasnym światłem...

Nesta zajęczała, skręcając się na ziemi, która zdawała się aż drżeć w odpowiedzi.

Nie... nie w odpowiedzi. Z grozy spowodowanej tym, co wystrzeliło z szeregów hybrydycznej armii.

Zrozumiałam teraz, dlaczego król zajął pozycję na tych wzgórzach. Nie, żeby nas zmusić do walki pod górę, ale jako idealne miejsce na ustawienie Kotła.

Ponieważ ze skalistych wzniesień ku naszym siłom wystrzeliła fala trupio bladego światła. Prosto w walczące na niebie legiony. Attorzy nagle zapikowali w dół, pozostawiając skrzydlatych wojowników kompletnie odsłoniętych.

Kasjan był już w połowie drogi do nas, kiedy moc Kotła dotarła do ilyryjskich oddziałów.

Zobaczyłam, jak krzyczy – ale nic nie słyszałam. Cóż to musiała być za potęga...

Rozdarła tarczę Azriela. Potem Rhysanda. Wszystkie syfonowe tarcze.

Cisza ogłuszyła mnie, a widok na zawsze wypalił mi się w oczach.

Tam, gdzie przed chwilą znajdował się tysiąc żołnierzy...

Tylko popiół opadał deszczem na nasze piesze wojska.

Nesta wiedziała. Spojrzała na mnie z wypisaną na twarzy grozą i nieprawdopodobnym bólem, po czym zaczęła szukać na niebie Kasjana, który unosił się w miejscu, jakby rozdarty pomiędzy śpieszeniem ku nam, a powrotem między rzędzące szeregi Ilyrów i peregrynów. Ona wiedziała, w które miejsce uderzy fala.

Kasjan był w samym środku.



Albo byłby, gdyby go nie odwołała.

Rhys patrzył na nią, jakby również wiedział. Jakby nie mógł się zdecydować, czy zrugać ją za poczucie winy, które niewątpliwie wywołała to w Kasjanie, czy podziękować jej za ocalenie jego życia.

Ciało Nesty znów zeszywniało, z jej gardła wydobył się niski przeciągły jęk.

Poczułam, jak Rhys wysyła swoją moc – nieme ostrzeżenie.

Książęta podnieśli tarcze, wspierając jeden drugiego.

Jednak Kocioł nie uderzył drugi raz w to samo miejsce. Król Hybernii zaś gotów był spopielić część własnej armii, jeśli oznaczało to osłabienie naszej.

Kasjan pędził teraz ku nam, ku Neście wciąż rozciągniętej na ziemi, kiedy trupie światło Kotła zostało ponownie uwolnione.

Prosto w szeregi Hybernijczyków. Tam, gdzie Rzeźbiący radośnie rozrywał wrogów na strzępy, wysysając z nich życie zamachami i podmuchami śmiercionośnego wiatru.

Nieludzki kobiecy wrzask rozdarł powietrze z głębi hybernijskich zastępów. Okrzyk siostry, ostrzegawczy – ale i bólu. Właśnie w chwili, kiedy światło sięgnęło niego.

Ale Rzeźbiący... Przysięgłabym, że spojrzał na mnie dokładnie w momencie, gdy moc uderzała w niego. Przysięgłabym, że się uśmiechnął – i nie był to wcale paskudny uśmiech.

A potem – zniknął.

Kocioł zmiotł go z powierzchni ziemi bez najmniejszego wysiłku.

## Rozdział 71

Ledwie byłam w stanie myśleć, widząc potworną moc Kotła. Widząc pustą zniszczoną równinę, gdzie przed chwilą był Rzeźbiący. Po plecach przebiegł mi dreszcz, jakby usuwając znajdujący się tam tatuaż.

A potem cisza – cisza w tej części mojego umysłu, gdzie znajdowały się dwie mentalne smycze, które rozplynęły się w ciemności, nie pozostawiając za sobą nic.

Przez myśl mi przeszło, kto wyrzeźbi jego śmierć w Więzieniu.

Czy może wyrzeźbił już ją sam, na ścianie swojej celi. Może chciał wiedzieć, czy jestem tego warta, nie żeby ze mnie drwić, ale ponieważ chciał, by jego koniec... chciał, by jego koniec wart był wyrzeźbienia.

Spoglądając na wciąż opadające prochy Ilyrów... zastanawiałam się, czy Rzeźbiący dostał się tam. Tam, gdzie tak bardzo chciał się wybrać.

Posłałam za niego krótką modlitwę – za wszystkich żołnierzy, którzy tam byli, a teraz pozostał po nich tylko rozwiewany wiatrem popiół... Posłałam modlitwę, żeby odnaleźli wszystko, co mieli nadzieję odnaleźć.

To jednak właśnie Ilyrowie wyciągnęli mnie z ciszy wciąż brzmiącej w moich uszach. Chociaż nasze oddziały zaczęły panikować, zobaczywszy moc Kotła, pozostali Ilyrowie uformowali szyki na nowo i zaszarżowali naprzód, całkowicie już wymieszani z peregrynami Thesana.

Co do ludzkiej armii Juriana, złożonej z żołnierzy Graysena i innych... Trzeba im oddać, że nie poddali się. Nie złamali szyków, nawet kiedy ginęli jeden po drugim.

Jeśli Kocioł zadałby jeszcze jeden śmiertelny cios...

Kiedy Kasjan wylądował tak ciężko, że aż ziemia zadrżała, Nesta leżała z głową wspartą o trawę. Sięgnął ku niej, dysząc ciężko.

– Co jest, co się...

– Znów ucichł – wyszeptała Nesta, pozwalając patrzącemu na nią z uwagą Ilyrowi podnieść się do pozycji siedzącej.

Jego twarz była maską wściekłości i rozżalenia. Czy on wiedział? Że Nesta krzyczała do niego, wiedząc, że przyjdzie... Że zrobiła to, by go ocalić?

– Wracaj do oddziału – rozkazał krótko Rhys. – Żołnierze cię potrzebują.

Kasjan obnażył zęby

– Co możemy, na demony, zrobić przeciwko temu czemuś?

– Lecę tam – powiedział Azriel.

– Nie – warknął Rhys.

Ale Azriel już rozwijał skrzydła. Promienie słońca lśniły jaskrawo na świeżych bliznach.

– Przykuj mnie do drzewa, Rhys – powiedział Azriel cicho. – No dalej. – Zaczął dopinać sprzączki swoich pasów z bronią. – Wyrwę je z ziemi i poniosę ze sobą na cholernych plecach.

Rhys tylko patrzył na niego – na jego skrzydła. Potem na zdziesiątkowane ilyryjskie szeregi.

Jeśli mieliśmy jakiegokolwiek szanse zwycięstwa...

Nesta nie była w stanie nigdzie iść. Ledwie dawała radę siedzieć. A Elaina... Amrena trzymała ją, kiedy ta wymiotowała na trawę. Nie z powodu Kotła. Z czystego przerażenia.

Jeśli jednak nie powstrzymamy Kotła, zanim napełni się, by uderzyć ponownie... Jeszcze kilka takich fal i nasza armia przestanie istnieć... Napotkałam wzrokiem oczy Amreny. „Czy możliwe jest dokonanie tego – *tylko ze mną?*”.

Zmrużyła oczy. „Może”. Chwila przerwy. „Może. Nie było powiedziane, ile musi być osób. Ty i ja razem... to może wystarczyć”.

Podniosłam się na nogi. Pole bitwy z tej perspektywy wyglądało znacznie gorzej.

Helion, Tarquin i Kallias usiłowali utrzymać nasze szyki. Jurian, Tamlin i Beron wciąż walczyli na północnej flance, podczas gdy Ilyrowie i peregryni na powrót starli się z latającym legionem.

Niosący Mrok Keira przypominali teraz pośród tego chaosu zaledwie smużki dymu, jednak...

Jednak to nie wystarczyło. Sama liczebność hybernijskiej armii... Zaczynali nas spychać w tył.

Zaczynali zdobywać przewagę.

Nawet jeśli zdołam z Amreną przebrnąć przez ogromne pole bitwy... Co nam pozostanie?

*Kto pozostanie przy życiu?*

Wtedy zagrał kolejny róg.

Wiedziałam, że nie należy do żadnego z naszych sojuszników.

Podobnie jak wiedziałam, że król Hyberni nie wybrał tego miejsca na bitwę ze względu na przewagi terenowe... ale polityczne.

Ponieważ z zachodu, płynąc ku nam od strony Hyberni...

Pojawiła się armada.

Tak wiele okrętów. Wszystkie pełne żołnierzy.

Uchwyciłam spojrzenia, które wymienili między sobą Kasjan, Azriel i Rhys na widok zbliżającej się masy okrętów. Za naszymi plecami.

Nie kolejna armia. *Reszta* hybernijskiej armii.

Byliśmy uwięzieni między nimi.

Amrena zaklęła.

– Chyba musimy się wycofać, Rhysandzie. Zanim zdążą wylądować.

Nie mieliśmy szans w walce z obiema armiami. Nie dawaliśmy rady nawet z jedną.

Rhys zwrócił się ku mnie.

„Jeśli zdołasz dostać się na drugą stronę pola bitwy na czas, wtedy to zrób. Spróbuj zatrzymać tę armię. Króla. Jednak jeśli nie dasz rady, jeśli wszystko weźmie w łeb... Kiedy nikogo z nas już nie będzie...”.

„Nie – błagałam go. – Nie mów tak”.

„Chcę, żebyś uciekła. Nie obchodzi mnie, za jaką cenę. Uciekaj. Odejdź daleko i żyj, by któregoś dnia móc znów walczyć. Nie oglądaj się za siebie”.

Zaczęłam kręcić przecząco głową.

„Powiedziałaś, żadnych pożegnań”.

– Azrielu – odezwał się cicho i chrapliwie Rhys. – Poprowadzisz pozostałych Ilyrów na północną flankę.

Poczucie winy – kiedy wydawał ten rozkaz, z oczu mojego towarzysza biło poczucie winy. Wiedząc, że pieśniarz cieni nie jest w pełni zdrowy...

Azriel nie dał Rhysowi czasu na zmianę zdania. Nie pożegnawszy się z którymkolwiek z nas, wystrzelił w powietrze na swych wciąż gojących się skrzydłach, które poniosły go ku dezorganizowanej północnej flance.

Armada podpłynęła bliżej. Hybernijczycy, czując że nadciągające posiłki już wkrótce wylądują, zaatakowali z nowym entuzjazmem. Mocno. Na tyle mocno, że siły Ilyrów zachwiały się. Azriel był już coraz bliżej, smużki z jego syfonów ciągnęły się za nim w locie.

Rhys spoglądał za nim chwilę z tańczącą grdyką.

– Kasjanie – odezwał się w końcu. – Weźmiesz południową flankę.

Tylko tyle. Ostatnie chwile... ostatni raz, kiedy miałam ich widzieć.

Nie ucieknę. Nawet jeśli wszystko pójdzie jak najgorzej, zrobię wszystko, żeby było warto, nawet jeśli będzie mnie to kosztowało życie, zmiotę tę armię i jej króla z powierzchni ziemi. Jednak teraz...

Armada Hybernii żeglowała prosto w kierunku odległej plaży. Jeśli nie pójdę teraz, będę musiała później się przez nich przebić. Tkaczka już zwalniała na wschodniej flance, jej śmiertelny taniec hamowany przez zbyt wielu wrogów. Bryaxis wciąż rozrywała szeregi na strzepy, pozostawiając za sobą pas zniszczenia. Ale to było za mało. Wszystkie nasze plany... To wciąż było za mało.

Kasjan zwrócił się do Rhysa, do mnie, do Nesty:

– Zobaczymy się po tamtej stronie.

Wiedziałałam, że nie ma na myśli pola bitwy.

Jego skrzydła poruszyły się, gotowe unieść go w powietrze.

Wtem powietrze rozdarło granie kolejnego rogu.

Dziesiątek rogów brzmiących w idealnej potężnej harmonii.

Rhys zamarł.

Stał w całkowitym bezruchu, słuchając dochodzącego z oddali dudnienia. Ze wschodu – od morza.

Odwrócił ku mnie głowę, złapał mnie wpół i wystrzelił ze mną w niebo. Chwilę później znalazł się przy nas Kasjan z Nestą w ramionach – jakby zażądała, by pozwolił jej spojrzeć.

A tam... od wschodniego horyzontu żeglowały...

Nie wiedziałam, na co patrzeć.

Na skrzydlatych żołnierzy – całych tysięcy – lecących prosto ku nam wysoko ponad powierzchnią wody czy na armadę okrętów kołyszących się pod nimi na falach. Liczniejszych niż w hybrydycznej armadzie. O wiele, wiele liczniejszych.

Od chwili, kiedy dojrzałam białe pierzaste skrzydła lecących legionów, wiedziałam, kto właśnie przybywał.

Serafini.

Legion Drakona.

Zaś te okręty pod nimi... Tyle różnych jednostek. Tysiące okrętów z różnych, jak się zdawało, krain. Lud Miriam. Jednak pozostałe statki...

Spomiedzy chmur, wystrzelił ku nam ciemnowłosy serafin o smagłej skórze. Zdławiony śmiech Rhysa wypowiedział mi, kim był. Kto teraz bił w miejscu skrzydłami, uśmiechając się do nas szeroko.

– Powinieneś być poprosić o pomoc, wiesz – wycedził ironicznie... Drakon. – A nie pozwolić, by wiadomości doszły do nas z trzeciej ręki. Wygląda na to, że przybyliśmy w samą porę.

Szukaliśmy was i nikogo nie znaleźliśmy – odparł Rhys, a w jego oczach pojawiły się łzy. – Trudno w takiej sytuacji prosić kogoś o pomoc.

Drakon prychnął.

– Tak, zorientowaliśmy się. Miriam na to wpadła. Dlaczego wciąż nikt od was się z nami nie skontaktował. – Jego białe skrzydła były w słońcu niemal oślepiająco jasne. – Trzy wieki temu mieliśmy drobne kłopoty wzdłuż naszych granic, więc umieściliśmy iluzję, by osłonić wyspę. Związaną z... no wiesz. Tak, by ktokolwiek, kto dotrze do wybrzeży, zobaczył tylko ruiny i był gotów zawrócić. –

Mrugnął do Rhysa. – Pomysł Miriam, zainspirowany twoim miastem. – Skrzywił się nieco. – Wygląda na to, że zadziałał *aż za dobrze*, ukrywając nas zarówno przed wrogami, jak i przed przyjaciółmi.

– Chcesz mi powiedzieć – zapytał cicho Rhys – że byliście na Kretei cały ten czas?

Drakon się skrzywił.

– Tak. Dopóki... nie usłyszeliśmy o Hybernii. O tym, że Miriam... znów jest poszukiwana.

Przez Juriana. Twarz księcia ściągnęła się gniewem, ale spojrzał bystro na mnie, potem na Nestę i Kasjana.

– To jak? Pomóc wam, czy tak będziemy sobie machać skrzydłami i konwersować?

Rhys przechylił głowę na bok.

– W dowolnie dogodnej dla ciebie chwili, książę. – Rzucił okiem na armadę kierującą się obecnie prosto ku okrętom Hybernii. – Twoi przyjaciele?

Drakon uśmiechnął się półgębkiem.

– Raczej twoi, powiedziałbym. – Serce mi zamarło. – Jest tam część łodzi Miriam, ale większość przybyła tu dla ciebie.

– Co? – wyrwało się Neście, niezupełnie jako pytanie.

Drakon wskazał na statki.

– Spotkaliśmy się z nimi w cieśninie i zdecydowaliśmy połączyć siły. Dlatego nieco się spóźniliśmy. Jednak pomogliśmy im przyśpieszyć.

Faktycznie, wiatr nadymał teraz żagle, popychając okręty szybciej i szybciej w stronę sił Hybernii.

Drakon potarł szczękę.

– Nie jestem w stanie nawet powtórzyć zawilej historii, którą mi opowiedzieli, ale wiecie ich królowa o imieniu Vassa. – Na te jego słowa łzy spłynęły mi po policzkach. – Którą podobno odnalazł...

– Lucien – szepnęłam.

– Kto? – Drakon ściągnął brwi. – Aaa, facet z okiem. Nie. Dołączył do nich później. Powiedział, dokąd mają się kierować, W zasadzie, że muszą ruszyć *od razu*. Strasznie natarczywi, ci prythiańscy

mężczyźni. Tyle dobrego, że już byliśmy w drodze, by zobaczyć, czy nie potrzebujecie pomocy.

– Kto odnalazł Vasse? – spytała Nesta tym samym głuchym tonem.

Jakby już skądś wiedziała.

Statki ludzi były coraz bliżej. Tak ich wiele – tak wiele niosących całą paletę różnorodnych flag, które byłam w stanie dostrzec tylko dzięki swemu nadnaturalnemu wzrokowi.

– Mówi o sobie Książę Kupców. Podobno miesiące temu odkrył, że ludzkie królowe zdradziły, i od tego czasu zbierał ludzką armię, by stawić czoła Hybernijczykom. Udało mu się odnaleźć Królową Vasse i razem zebrali tę armię. – Drakon wzruszył ramionami. – Twierdzi, że ma trzy córki, które srogo zawodził przez lata. Ale tym razem ich nie zawiedzie. – Okręty na czele ludzkiej armady były już wyraźnie widoczne, wraz ze złotymi nazwami na burtach. – Nazwał swoje trzy okręty flagowe ich imionami – dodał z uśmiechem.

Tam w dole na samym przedzie... Zobaczyłam nazwy statków.

„Feyra”.

„Elaina”.

I wiodącą szarżę na flotę Hybernii, niewzruszenie, bez grama lęku prującą fale...

„Nesta”.

Z moim ojcem... naszym ojcem na mostku.



## Rozdział 72

**W**iatr rozwiewał lzy toczące się po twarzy Nesty na widok okrętów naszego ojca.

Na widok okrętu, na którym zdecydował się popłynąć do bitwy, dla córki, która nienawidziła go za to, że nie walczył dla nas, która nienawidziła go za śmierć naszej matki, za lata biedy i rozpacz, za lata stracone.

– Rozumiem, że się znacie? – spytał sucho Drakon.

Nasz ojciec – który wiele miesięcy temu przepadł bez wieści.

Wyjechał, jak twierdziły moje siostry, by wziąć udział w spotkaniu dotyczącym zagrożenia zza muru. Czy na tym spotkaniu wyszło na jaw, że zostaliśmy zdradzeni przez własnych ludzi? Więc wyruszył w sekrecie – nie chcąc ryzykować przekazywania wiadomości, które mogłyby wpaść w niepowołane ręce – by znaleźć pomoc?

Dla nas. Dla mnie i moich sióstr.

Rhys zwrócił się do Drakona:

– Poznaj Nestę. I moją towarzyszkę Feyrę.

Żadna z nas nie patrzyła na księcia, tylko na flotę naszego ojca, na statki nazwane na naszą cześć.

– A jeśli już mowa o Vassie – dodał Rhys – czy jej klątwa została przełamana?

Ludzka armada i flota Hybernii zbliżały się do siebie i wiedziałam, że starcie będzie krwawe. Widziałam, jak wznoszą się magiczne tarcze Hybernijczyków. Widziałam, jak serafini wznoszą własne.

– Sam popatrz – odparł Drakon.

Zamrugałam, widząc, co wystrzeliło spomiędzy ludzkich łodzi. Co szybowało nad wodą szybko jak spadająca gwiazda. Prosto w hybernijską flotę. Czerwień, złoto i biel – jaskrawe niczym roztopiony metal.

Przysięgłabym, że dowódcy hybernijskich okrętów wpadli

w panikę, kiedy zobaczyli, co wyrwało się spomiędzy ludzkich okrętów i pędziło ku nim.

Kiedy rozwinęło skrzydła, posyłając odblaski ku falom, zorientowałam się, co – *kto* – leciał w stronę wrogiej floty. Ognisty ptak. Płonący jak rozżarzone do białości serce pieca.

Vassa – zaginiona królowa.

\*\*\*

Rhys szałowywał łzy płynące po mojej twarzy, kiedy patrzyłam, jak ognisty ptak wpada pomiędzy okręty Hybernijczyków. Jak podpala ich kadłuby.

Nasz ojciec i reszta armady rozciągnęli się szeroką ławą. By zająć się pozostałymi.

Rhys zwrócił się do Drakona.

– Sprowadź swój legion na ląd.

Mieliśmy szansę – maleńką szansę na zwycięstwo. Lub przynajmniej powstrzymanie jatki.

Oczy Drakona zeszkliły się: najpewniej przekazywał rozkazy komuś daleko stąd. Zastanawiałam się, czy Nephelle i jej żona są w tym legionie – czy ostatni raz miały okazję dobyć mieczy podczas tej bitwy na dnie morza dawno, dawno temu.

Rhys również chyba myślał o przeszłości. Ponieważ mruknął do Drakona ponad rozpętującą się przed nami bitwą morską:

– Jurian tu jest.

Swoboda zawiackiego księcia zniknęła natychmiast. Zimna furia zamroziła jego rysy w straszliwą maskę, a jego brązowe oczy stały się niemal czarne.

– Walczy dla nas – dodał mój towarzysz.

Drakon nie wyglądał na przekonanego, ale skinął głową. Wskazał ruchem głowy Kasjana.

– Zakładam, że to ty jesteś Kasjan.

Generał pochylił głowę. Widziałam cienie pod jego oczami – po stracie tylu żołnierzy.

– Mój legion jest do twojej dyspozycji – oznajmił księżę serafinów.

– Kieruj nim według swego uznania.

Kasjan spojrział na nasze ledwie trzymające się siły na północnej flance, które Azriel starał się doprowadzić do ładu, i przekazał Drakonowi kilka zwięzłych rozkazów. Drakon zamachał swoimi olśniewająco białymi skrzydłami odcinającymi się ostrym kontrastem od złotobrazowej skóry i zwrócił się do Rhysa:

– Miriam jest na ciebie wściekła, tak przy okazji. Trzysta pięćdziesiąt jeden lat i ani razu nas nie odwiedziłeś. Jeśli przeżyjemy, oczekujemy pokajania się.

Rhys roześmiał się chrapliwie.

– Powiedz tej wiedźmie, że to działa w obie strony.

Drakon uśmiechnął się szeroko, uderzył potężnie skrzydłami i po chwili już go nie było.

Rhys i Kasjan spoglądali za nim, potem przenieśli wzrok na splecione w krwawej bitwie armady. Nasz ojciec tam był – nasz ojciec, którego nigdy w całym jego życiu nie widziałam dzierżącego broń...

Ognisty ptak wciąż szalał wśród nieprzyjacielskich jednostek niczym ognista burza. Dosłownie. Płonąca, ognista burza, która uderzała w okręty, posyłając przerażone załogi na dno morza.

– Teraz – powiedziałam do Rhysa. – Musimy iść z Amreną *teraz*. *Zaraz*.

Chaos osiągnął swe apogeum. Dookoła szalały zacięte walki... Mogłyśmy dać radę. Może król będzie wystarczająco zajęty?

Rhys zaczął pikować ze mną z powrotem w to samo miejsce, z którego wystartowaliśmy, gdzie czekały Amrena i Elaina.

– Czekaj – rzuciła Nesta.

Rhys posłuchał.

Nesta patrzyła na armady, w stronę walczącego tam naszego ojca.

– Użyjcie mnie. Jako przynęty.

Zamrugalam, a w tej samej chwili Kasjan powiedział:

– Nie.

Nesta zignorowała go.

– Król pewnie czeka przy samym Kotle. Nawet jeśli się tam dostaniecie, będziecie musiały zmierzyć się z nim. Odciągnijmy go gdzieś dalej. Odciągnijmy go bardzo daleko. Do mnie.

– Jak? – spytał cicho Rhys.

– To działa w obie strony – zamruczała Nesta, jakby słowa mojego towarzysza zrodziły w jej głowie nowy pomysł. – On nie wie, jak wiele wzięłam. Jeśli... jeśli uda mi się przekonać go, że zamierzam użyć tej mocy... Przybędzie tu natychmiast. Nawet jeśli tylko po to, by mnie zabić.

– I *zabije* cię – warknął Kasjan.

Jej dłoń zacisnęła się na rękę generała.

– I tu... tu właśnie wkraczasz ty.

By jej strzec. By ją chronić. Zastawić na króla pułapkę.

– Nie – upierał się Rhys.

Nesta prychnęła.

– Nie jesteś moim księciem. Mogę robić, co uważam. A ponieważ wyczuje, jeśli będziesz tu ze mną... Też musisz być gdzieś daleko stąd.

Rhys zwrócił się do Kasjana.

– Nie mogę ci pozwolić poświęcić w ten sposób życia.

Gotowa byłam się z nim zgodzić.

Kasjan zlustrował zdziętkowane ilyryjskie szeregi, teraz znów zwarte i silne, gdy dowodził nimi Azriel.

– Az daje sobie radę.

– Powiedziałem *nie!* – wybuchnął Rhys.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, by używał takiego tonu w stosunku do Kasjana, do któregokolwiek z przyjaciół

Ilyr spokojnie zmierzył go wzrokiem.

– Mamy szansę tylko, jeśli odwrócimy jego uwagę. Odciągniemy go od Kotła. – Zacisnęła rękę na ciele Nesty. – Ty już dałeś z siebie wszystko, Rhys. Przeszedłeś już dla nas przez mękę, przechodziłeś przez pięćdziesiąt lat.

Nigdy wcześniej o tym nie wspominał – nie wprost.

– Myślisz, że nie wiem, co się działo? Wiem, Rhys. Wszyscy wiemy. I wiemy też, że zrobiłeś to, by nas ocalić, by nas oszczędzić.

– Pokręcił głową; słońce odbiło się od jego ciemnego skrzydlatego hełmu. – Pozwól nam spłacić ten dług.

– Nie macie żadnego długu do spłacenia. – Głos Rhysa się łamał.

Serce mi się krajało, kiedy go słyszałam.

Głos Kasjana również lekko zadrgał, gdy mówił dalej:

– Nigdy nie miałem szansy odpłacić twojej matce... za jej dobroć. Pozwól mi zrobić to w ten sposób. Pozwól mi dać wam trochę czasu.

– Nie mogę.

Nie wiem, czy w całej historii Ilyrów odbyła się wcześniej podobna rozmowa.

– Możesz – naciskał łagodnie Kasjan. – Możesz, Rhys. – Posłał mu leniwy uśmiech. – Podziel się tylko później odrobiną chwały.

– Kasjanie...

Jednak ten pytał już Nestę:

– Masz wszystko, czego potrzebujesz?

Nesta skinęła głową.

– Amrena pokazała mi wystarczająco dużo, bym wiedziała, co mam zrobić, żeby wezwać do siebie tę moc.

Jeśli teraz zdołamy z Amreną przejąć kontrolę nad Kotłem, to ta zasłona dymna, którą planują...

Nesta spojrzała na Elaineę – naszą siostrę wpatrującą się w krwawą rzeź przed nami. Potem na mnie.

– Powiedz ojcu... dziękuję – rzekła cicho.

Objęła Kasjana ciasno ramionami, jej szaroniebieskie oczy zalśniły i po chwili ich obojga już nie było.

Rhys musiał się powstrzymać od polecenia za nimi, gdy tak szybowali ku kępie drzew za polem bitwy.

– Może przeżyć – powiedziałam miękko.

– Nie – zaprzeczył Rhys, zlatując ze mną w dół do Amreny i Elaine. – Nie przeżyje.

Poprosiłam Rhysa, by zabrał Elaineę do najdalszego zakątka naszego obozu. A kiedy wrócił, tylko wycisnął na mych ustach mocny pocałunek i wystrzelił w niebo, kierując się w sam środek bitwy – gdzie toczyła się najzacieklejsza walka.

Ledwie byłam w stanie patrzeć – spojrzeć, gdzie wylądował.

– Okryj nas niewidzialnością i biegnij ile sił – powiedziała Amrena, kiedy zostałyśmy same. – Nie zatrzymuj się, nie próbuj zabijać. Zostawisz ślady.

Skinęłam głową i sprawdziłam broń. Nad nami przelecieli serafinowie; ich skrzydła lśniły jasno jak słońce na śniegu. Nałożyłam na nas zaklęcie, okrywające nas i tłumiące wydawane przez nas dźwięki.

– Szybko – powtórzyła Amrena, a jej srebrne oczy pociemniały niczym burzowe chmury. – Nie oglądaj się za siebie.

Tak też zrobiłam.

## Rozdział 73

**K**ocioł stał na skalistym wzniesieniu.

Tkaczka dobrze wykonała swoją robotę. Punkty strażnicze zmieniły się w mokre, czerwone kupy kości i mięsa. I wiedziałam, że kiedy ją znów zobaczę... będzie jeszcze bardziej olśniewająco piękna.

Moc Amreny wezbrała, przebijając kolejne bariery na naszej drodze, dopóki nie znalazłyśmy się bezpośrednio za Strzygą. Jakichkolwiek zaklęć użył król... Amrena była na nie przygotowana. Była ich *głodna*. Niszczyła je z dzikim uśmiechem.

Jednak szare wzgórze wciąż roilo się od hybernijskich dowódców gotowych rzucić swoich żołnierzy do walki. Czekaając, aż na polu walki zostaną tylko prawdziwi wojownicy. Słyszałam, jak syczą między sobą, z kim osobiście chcieliby walczyć.

Najczęściej padały imiona Heliona i Tarquina.

Ale wymieniali też Tamlina. Bo był dwulicowym kłamcą. I Juriana. Rozprawiali o tym, jak chcieliby zadać im ból.

Varian. Azriel. Kasjan. Kallias i Viviane. Mor. Wymieniali imiona moich przyjaciół, jakby mówili o koniach na wyścigu. Kto wytrzyma dość długo, by móc się z nimi zmierzyć. Kto będzie miał okazję zawlec śliczną towarzyszkę księcia Dworu Zimy tutaj, na to wzgórze. Kto złamie wreszcie Morrigan. Kto zabierze do domu trofeum w postaci ilyryjskich skrzydeł. Krew mi się gotowała, kości trzeszczały. Miałam nadzieję, że Bryaxis ich wszystkich pochłonie – i że wcześniej posikają się ze strachu.

Odważyłam się rzucić szybkie spojrzenie za plecy.

Mor i Viviane nieprędko wrócą do obozu. Odpierały całą grupę żołnierzy Hybernii, wspomagane przez tę białowłosą dziewczynę, którą widziałam w obozie Dworu Zimy, i oddział potężnych białych niedźwiedzi, które rozrywały żołnierzy na strzępy machnięciami ogromnych łap.

Amrena syknęła ostrzegawczo, więc szybko odwróciłam się, by spojrzeć na ciche zbocze szarego wzgórza. Ani śladu Strzygi, jakby się tu zatrzymała, u podnóża pagórka, na którym znajdował się Kocioł. Czułam już jego straszliwą obecność – przyciąganie.

Wspięliśmy się z Amreną powoli. Nasłuchując po każdym kroku.

Za nami szalała bitwa. Na niebie, na ziemi i na morzu.

Wątpiłam, żeby... nawet z pomocą Drakona i ludzkiej armii...  
Raczej nie szło nam najlepiej.

Moje dłonie wczepiły się w szarą skałę wzgórza, ciało naprężyło się, kiedy się podciągałam, podczas gdy Amrena wspięła się bez trudu. Miałam nadzieję, że Nesta wkrótce wywabi króla, bo inaczej staniemy z nim twarzą w twarz.

Moją uwagę przykuł ruch u stóp wzgórza.

Znieruchomiałam niczym sama śmierć.

Stała tam piękna ciemnowłosa kobieta. Patrzyła na nas, mrużąc oczy i wężąc.

Na jej czerwonych ustach wykwitł uśmiech – na jej *zakrwawionych* ustach. Uśmiechnęła się do nas. Ukazując spływające krwią zęby.

Strzyga. Tkaczka czekała na nas. Ukryła się. Aż do naszego przybycia.

Przesunęła śnieżnobiałą dłonią po tatuażu w kształcie półksiężyca na przedramieniu. Znak umowy z Rhysem. Przypomnienie – i ostrzeżenie.

Żeby iść. Żeby się pośpieszyć.

Zwróciła się w stronę kamienistej ścieżki na wpół widocznej z naszej lewej strony. Spoczywający na jej głowie klejnot Ianthy poplamiony był teraz krwią. Podeszła do stojących tam strażników, którzy starali się zejść z klifu, by jej uniknąć. Niektórzy po prostu skoczyli. Strzyga uśmiechnęła się – strasznym, okropnym uśmiechem – i rzuciła się na nich.

Zasłona dymna.

Amrena aż się wzdrygnęła, ale szybko wróciliśmy do czekającego nas zadania. Strażnicy zajęci byli rzezią dokonywaną przez Tkaczkę, biegnąc ze swoich dotychczasowych pozycji, by stawić jej czoła.

Szybciej – nie miałyśmy wiele czasu. Czułam już wzbierającą moc



Kotła...

Nie. Nie Kotła.

Ta moc... dochodziła zza naszych pleców.

Nesta.

– Zuch dziewczyna – mruknęła pod nosem Amrena.

Dosłownie chwilę później chwyciła mnie za kołnierz i popchnęła prosto na kamienie, zmuszając do uniku.

Dokładnie w chwili, kiedy wąską ścieżką przeszła para butów. Znałam ich odgłos. Słyszałam go w najgorszych koszmarach.

Król Hybernii przeszedł tuż obok nas. Skoncentrowany na Strzydze, na odległym pomruku mocy Nesty.

Tkaczka przerwała na chwilę, by spojrzeć, kto nadchodzi. Uśmiechnęła się, a z jej podbródka ściekała krew.

– Ależ jesteś piękna – wymruczał uwodzicielskim głosem. – Jaka potężna, o przedwieczna.

Odrzuciła ciemne włosy przez szczupłe ramię.

– Możesz mi się pokłonić, królu. Jak to dawniej bywało.

Król Hybernii podszedł do niej śmiało. Uśmiechnął się prosto w jej cudowną twarz.

Ujął ją w swoje szerokie dłonie i szybkim ruchem skrzył jej kark.

Być może nie zabiłoby jej to. Tkaczka była w końcu boginią śmierci – samo jej istnienie było zanegowaniem naszego. Być może więc nie zabiłoby jej skrzylenie karku. Ale król rzucił jej ciało dwóm nago-brytanom warczącym u podnóża wzgórza.

Te zaś bez wahania rzuciły się rwać ciało Tkaczki swoimi zębiskami.

Nawet Amrena wydała z siebie odgłos zniesmaczenia.

Król ruszył dalej na północ. Prosto w stronę Nesty.

Ta moc – jej moc – znów wezbrała. Przyzywając go, tak jak Kocioł na szczycie wzgórza przyzywał mnie.

Spojrzał w stronę morza – na trwającą tam bitwę. Przysięgłabym, że uśmiechnął się, gdy przeskakiwał.

– Teraz – szepnęła Amrena

Nie mogłam się ruszyć. Kasjan i Nesta... Nawet Rhys sądził, że nie było szans na przeżycie.

– Przynajmniej spraw, żeby to miało sens – warknęła Amrena, a w jej oczach widać było prawdziwą rozpacz.

Wiedziała, co się zaraz stanie. Jaka była cena kupionego nam czasu.

Przełknęłam własną rozpacz, własne przerażenie i ruszyłam pod górę – w stronę skał.

Tam, gdzie stał Kocioł. Niestrzeżony. Czekający na nas.

W drobnych dłoniach Amreny pojawiła się Księga. Kocioł był niemal tak wysoki jak ona. Złowróżbna otchłań nienawiści i potęgi.

Mogłam to powstrzymać. Właśnie teraz. Powstrzymać tę armię – i króla, zanim zabije Nestę i Kasjana. Amrena otworzyła Księgę. Spojrzała na mnie wyczekująco.

– Połóż dłoń na Kotle – powiedziała cicho.

Uśluchałam.

Nieprzebrana moc Kotła uderzyła we mnie falą, która groziła zmyciem mnie prosto w jądro niekończącego się sztormu.

Ledwie byłam w stanie utrzymać się jedną nogą w naszym świecie, ledwie pamiętałam, jak się nazywam. Schwyciłam się kurczowo tego, co zobaczyłam w Uroborosie – każdego odbicia i wspomnienia, jakie pamiętałam i posiadałam: tych dobrych, tych złych i tych neutralnych. Kim byłam, kim byłam, kim byłam...

Amrena przyglądała mi się przez dłuższą chwilę. Nie czytała z Księgi. Nie włożyła mi jej w rękę. Zatrzasnęła złote stronicę i odrzuciła za siebie jednym kopnięciem.

Amrena skłamała. Nie miała wcale zamiaru pokonać króla ani jego armii dzięki Kotle i Księdze.

Jakąkolwiek zastawiła pułapkę... wpadłam prosto w nią.

## Rozdział 74

Trzymałam się kurczowo tego, kim jestem, w obliczu czarnych szczęk Kotła. Trzymałam się wszystkim, co miałam.

Amrena powiedziała tylko:

– Przepraszam, że cię okłamałam.

Nie mogłam cofnąć dłoni. Nie byłam w stanie oderwać palców. Czułam, jak jestem powoli, metodycznie rozrywana na strzępy.

Rzucałam swoją magią rozpaczliwie na boki, szukając jakiegokolwiek punktu zaczepienia w tym świecie, by nie pozwolić się pochłonąć tej odwiecznej okropnej rzeczy, która próbowała wciągnąć mnie do wewnątrz siebie.

Ogień, woda i światło; wiatr, lód i noc. Wszystko wezbrało. I wszystko zawiodło.

Jakaś lina pękała i poczułam, jak mój umysł zsuwa się coraz bliżej czekającej czeluści Kotła.

Czułam, jak mnie *dotyka*.

I nagle w połowie już mnie nie było.

W połowie wciąż tam stałam w milczeniu obok Kotła z dłonią przyklejoną do czarnej krawędzi.

W połowie byłam... gdzie indziej.

Leciałam przez świat. Poszukując. Kocioł szukał teraz tej mocy, która pojawiła się tak blisko. A teraz go drażniła.

Nesty.

Kocioł szukał jej, szukał jej podobnie jak król.

Przeleciał nad polem bitwy jak owad nad powierzchnią stawu.

Przegrywaliśmy. Było bardzo źle. Serafini i Ilyrowie pokrwawieni i strąceni z nieba. Azriel zmuszony do walki na ziemi: jego skrzydła wlekły się teraz za nim po krwawym błocie, kiedy walczył przeciwko niekończącej się nawale mieczy. Szyki naszych pieszych żołnierzy pękły w kilku miejscach. Keir wyrzucający z siebie smugi cienia i wrzeszczący na Niosących Mrok, by wracali na pozycje.

Zobaczyłam Rhysanda. W samym środku łamiących się szeregów. Zakrwawionego, ale walczącego pięknie.

Zobaczyłam, jak ocenia pole bitwy – i przemienia się.

Najpierw pojawiły się szpony. Zastąpiły paznokcie u dłoni i stóp. Potem ciemne łuski, lub może pióra – nie mogłam się im bliżej przyjrzeć – pokryły jego nogi, ręce i tułów. Całe ciało skurczyło się, kości i mięśnie zaczęły rosnać i się przekształcać.

Postać bestii, którą Rhys ukrywał. Nigdy nie lubił jej wypuszczać.

Chyba że nie było innego wyjścia.

Zanim Kocioł całkowicie mnie porwał, zobaczyłam, co się dzieje z jego twarzą.

Była czymś wprost z najgorszego koszmaru. Nie należała ani do człowieka, ani do fae. Twarz stwora, który żyje w najgłębszych czeluściach i wyłazi jedynie nocą, by polować i żerować. Ta twarz... To była jedna z masek, które zdobiły ściany Dworu Koszmarów. Które wyrzeźbione były na tronie. Tronie, który reprezentował nie tylko jego moc... ale również to, co czało się wewnątrz niego.

A jeszcze skrzydła...

Żołnierze Hybernii zaczęli uciekać.

Helion widząc, co się dzieje, również zaczął biec – ale w stronę Rhysa.

Również się przemieniając.

Jeśli Rhys był latającym horrorem wyrzeźbionym z cienia i zimnej księżycowej poświaty, Helion był jego dziennym odpowiednikiem.

Złote pióra i straszliwe szpony, pierzaste skrzydła...

Razem, mój towarzysz i księżę Dworu Dnia, rzucili się na Hybernijczyków.

Aż nagle się zatrzymali. Spomiędzy szeregów wrogiej armii wyszedł ku nim niski drobny mężczyzna – z pewnością jeden z dowódców. Rhys ryknął tak głośno, że aż ziemia zadrżała. Ale to Helion, jaśniejąc białym światłem, z pazurami zagłębiającymi się z błoto, wystąpił, by zmierzyć się z przeciwnikiem.

Ten nie miał nawet ze sobą broni. Tylko bogate szare szaty i lekko rozbawiony wyraz twarzy. Wokół niego wirowało ametystowe światło. Helion warknął na Rhysa... rozkaz.

A mój towarzysz skinął głową, rozchlapując zwisające mu z pyska krwawe ochłapy, po czym z powrotem rzucił się do walki.

Pozostawiając Hybernijczyka i Heliona Czaroniszcza stojących twarzą w twarz.

Zakłęcie przeciw zakłęciu.

Żołnierze po obu stronach pierzchali.

Wtedy jednak, właśnie kiedy Helion wystrzelił w dowódcę snop białego światła, Kocioł porwał mnie dalej, gdyż na tym polu bitwy nie znalazł swojego celu.

„*Chodź* – wabiła moc Nesty. – *Chodź*”.

Kocioł odnalazł jej zapach i rzucił się naprzód.

Przybyliśmy jeszcze przed królem.

Kocioł zdawał się zatrzymać nagle na polanie. Wyglądało to, jakby zwijał się i szykował, jak wąż gotujący się do ataku.

Nesta i Kasjan stali z obnażonymi mieczami, oczy Nesty jaśniały niesamowitym wewnętrznym ogniem.

– Szykuj się – szepnęła. – Nadchodzi.

Ta moc, którą powstrzymywała...

Mogłaby zabić króla Hybernii.

Kasjan miał tylko odwrócić jego uwagę – kiedy ona będzie wymierzać cios.

Czas zdawał się zwalniać i zakrzywiać. Ciemna moc króla kierowała się ku nam. Ku tej polanie, na której niewidzialna i niesłyszalna, istniałam jako strzęp duszy niesionej ciemnym wichrem.

Król Hybernii przeskoczył tuż przed nich.

Moc Nesty wezbrała – po czym zniknęła.

Kasjan się nie poruszył. Nie śmiał.

Ponieważ król Hybernii trzymał przed sobą naszego ojca – z mieczem na jego gardle.

\*\*\*

To dlatego spoglądał w stronę morza. Wiedział, że Nesta zabiłaby go w chwili, w której by się pojawił, a to był jedyne sposób, by ją powstrzymać...

Ludzka tarcza. Osoba, w przypadku której Nesta zastanowi się dwa razy, zanim pozwoli jej zginać.

Nasz ojciec był cały zakrwawiony i szczuplejszy, niż kiedy widziałam go ostatni raz.

– Nesto – szepnął, widząc uszy i grację fae; moc gorejącą w jej oczach.

Król się uśmiechnął.

– Cóż za kochający ojciec. Przywiódł całą *armię*, by ocalić swoje córeczki.

Nesta milczała. Kasjan rozglądał się po polanie, lustrował dokładnie każde miejsce, szukając jakichkolwiek sposobów na uzyskanie przewagi.

„Ocal go – błagałam Kocioł o ojca. – Pomóż mu”.

Kocioł jednak nie odpowiedział. Nie miał głosu ani świadomości poza jakąś pierwotną żądzą odebrania tego, co zostało mu ujęte.

Król Hybernii przechylił głowę, by spojrzeć na brodate i opalone oblicze naszego ojca.

– Tak wiele rzeczy się zmieniło od czasu, kiedy ostatnio byłeś w domu. Trzy córki, teraz fae. Jedna z nich *całkiem* dobrze wyszła za mąż.

Mój ojciec patrzył jednak tylko na moją siostrę, kompletnie ignorując stojącego za nim potwora.

– Kochałem cię – odezwał się do niej – od pierwszej chwili, kiedy trzymałem cię w ramionach. I naprawdę... Przepraszam, Nesto... moja Nesto. Tak bardzo cię przepraszam za to wszystko.

– Proszę – zwróciła się do króla gardłowym i chrapliwym głosem Nesta. – Proszę.

– Co dasz mi w zamian, Nesto Archeron?

Nesta wciąż wpatrywała się w ojca, który kręcił głową. Dłoń Kasjana poruszyła się, unosząc miecz, żeby mieć jak najlepszy ką uderzenia.

– Czy oddasz mi to, co zabrałaś?

– Tak.

– Nawet jeśli będę musiał to z ciebie wydrzeć?

– Ani mi się waź kłaść swoje brudne łapska na mojej córce –

warknął nasz ojciec.

Usłyszałam chrupnięcie, zanim się zorientowałam, co się dzieje.

Zanim zobaczyłam przekrzywioną głowę ojca. Światło gasnące w jego oczach.

Nesta nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Nie zareagowała w żaden sposób, gdy król Hybernii skreślił naszemu ojcu kark.

Zaczęłam krzyczeć. Krzyczeć i wrywać się z objęć Kotła. Błagać go, by to zatrzymał – by przywrócił mu życie, by to zakończył...

Nesta spojrzała na ciało ojca leżące na leśnym poszyciu.

I tak, jak przewidział król... jej moc zgasła.

Jednak nie Kasjana.

Oślepiająco czerwone strzały wystrzeliły w stronę króla, wokół Nesty pojawiła się tarcza, a Ilyr rzucił się naprzód.

Kasjan walczył z królem, który się śmiał, jakby bawił go ten mały sparing... A ja wpatrywałam się w leżącego na ziemi ojca. W jego otwarte niewidzące oczy.

Miecze i magia ścierały się ze sobą. Kasjan odepchnął króla od ciała naszego ojca. Nie na długo. Tylko na tyle – by dać Neście czas na ucieczkę.

Dać mi czas, żebym zdążyła zrobić, co do mnie należało, by moja rodzina mogła dalej żyć. Niestety Kocioł wciąż trzymał mnie w żelaznym uścisku.

Nawet kiedy próbowałam wrócić na to wzgórze, na którym Amrena mnie zdradziła, używając mnie do własnych celów...

Nesta klękła przy ciele ojca z twarzą pozbawioną wyrazu. Spojrzała w jego wciąż otwarte oczy.

Delikatnie je zamknęła. Jej ręce pewne jak skała.

Kasjan zepchnął króla głębiej w las. Słyszał tylko jego krzyki.

Nesta pochyliła się, by ucałować splamioną krwią skroń ojca.

A kiedy podniosła głowę...

Kocioł zatrzęsł się i zbulgotał.

Ponieważ w oczach Nesty, na powierzchni jej skóry... lśniła czysta moc.

Spojrzała w stronę króla i Kasjana. Właśnie w chwili, gdy dobiegł

nas krótki okrzyk bólu Ilyra.

Moc wokół niej wzburzyła się. Nesta podniosła się z ziemi.

Kasjan krzyknął. Spojrzałam w jego stronę, odrywając spojrzenie od ojca.

Leżał na ziemi nie dalej niż dwadzieścia stóp ode mnie. Jego skrzydła były złamane u nasady. Sączyła się z nich krew. Z uda wystawała kość. Syfony były ciemne. Puste. Niemal wyczerpał je, jeszcze zanim to przybył. Był wykończony.

Jednak przybył – dla niej. Dla nas.

Dyszał ciężko, z jego nosa również ciekła krew. Ramiona załamały się pod nim, kiedy starał się dźwignąć.

Król stał nad nim, wyciągając rękę.

Kasjan zawył z bólu, a jego ciało wygięło się w łuk. Gdzieś w środku chrupnęła kość.

– Przestań.

Król spojrzał za siebie na zbliżającą się Nestę. Kasjan bezgłośnie wyszeptał do niej, by uciekała, a z jego ust na mech pociekła strużka krwi.

Nesta spojrzała na jego potrzaskane ciało, dojrzała ból w oczach i przechyliła głowę.

Ruchem, który na pewno nie był ludzki. Ani fae.

Czysto zwierzęcy.

Czysto drapieżczy.

A kiedy podniosła oczy z powrotem na króla...

– Zamierzam cię zabić – powiedziała cicho.

– Doprawdy? – spytał król, unosząc brew. – Ponieważ ja jestem w stanie wyobrazić sobie *znacznie* ciekawsze rzeczy do zrobienia z tobą.

Tylko nie to. Nie mogłam znów na to patrzeć. Stojąc beczynnie z boku, kiedy moi bliscy cierpieli.

Kocień podpełzł bliżej razem z Nestą jak ogar przy jej nodze.

Palce mojej siostry zwinęły się w pięści.

Król prychnął i opuścił nogę na znajdujące się bliżej niego skrzydło Kasjana. Chrupnęła kość. Zaś jego wrzask...

Znów zaszamotałam się w objęciach Kotła. Szarpałam się



i starałam wydrzeć.

Nesta wybuchła.

Cała ta moc, wszystko naraz...

Król przeskoczył, by umknąć jej z drogi.

Jej moc spopieliała stojące za nim drzewa. Potoczyła się po polu bitwy szerokim łukiem i wylądowała wśród szeregów Hybernijczyków. Setki zginęły, zanim zdążyli się zorientować, co się stało.

Król pojawił się może trzydzieści stóp od niej i roześmiał się na widok płonących za nim zgliszczy.

– Wspaniale – powiedział. – Ledwie co wyszkolona, popędliwa, ale wspaniała.

Palce Nesty znów zacisnęły się, jakby na nowo zbierała moc.

Jednak to jedno uderzenie ją wyczerpało. Jej oczy na powrót były szaroniebieskie.

– Uciekaj – zdołał wyszeptać Kasjan. – *Uciekaj.*

– To mi brzmi znajomo – dywagował król. – To ten, czy ten drugi bękart pełzył w twoją stronę tamtego dnia?

Kasjan faktycznie pełzył w tej chwili w stronę Nesty z pogruchotanym skrzydłem i złamaną nogą, zostawiając na trawie i korzeniach krwawy ślad.

Nesta podbiegła do niego i przyklękła.

Nie by go pocieszyć.

Ale by podnieść ilyryjski miecz.

Kasjan chciał ją powstrzymać, kiedy wstawiała. Kiedy unosiła miecz przed królem Hybernii.

Nie odezwała się. Trwała tak bez ruchu.

Król zaśmiał się i uniósł własny miecz.

– No to zobaczymy, czego nauczyli cię Ilyrowie.

Znalazł się przy niej prędzej, niż zdążyła wznieść wyżej miecz.

Nesta odskoczyła, parując jego ostrze własnym, jej oczy były szeroko otwarte. Król znów zrobił wypad, a Nesta ponownie uniknęła i wycofała się pomiędzy drzewa.

Odciągając go dalej – dalej od Kasjana.

Udało jej się wywabić go jeszcze kilka kroków, zanim król się

znudził.

W dwóch ruchach rozbroił ją. Kolejnym uderzył ją w twarz tak mocno, że padła na ziemię.

Kasjan krzyknął jej imię, próbując znów do niej podpełznąć.

Król schował miecz, stając nad nią, kiedy podnosiła się z ziemi.

– No i? Co jeszcze możesz pokazać?

Nesta obróciła się i wyciągnęła rękę.

Biała paląca magia wystrzeliła z jej dłoni, prosto w jego pierś.

Taki był plan. By podszedł bliżej. By opuścił gardę.

Jej moc odrzuciła go daleko. Lecąc, łamał z impetem drzewa po drodze. Jedno po drugim; jedno po drugim.

Wyglądało na to, że Kocioł się uspokoił. Wszystko, co pozostało... zużyte. Wszystko, co pozostało z jej mocy.

Nesta zerwała się na nogi i chwiejnie ruszyła w stronę polany. Z jej ust – tam, gdzie uderzył ją król – ciekła krew. Padła na kolana obok Kasjana.

– Wstawaj – załkała, ciągnąc go za ramię. – *Wstawaj.*

Spróbował, ale nie dał rady.

– Jesteś za ciężki. – Wciąż próbowała go podnieść, chociaż jej palce ślizgały się na czarnej zakrwawionej zbroi. – Nie mogę... on nadchodzi...

– Uciekaj – jęknął Kasjan.

Jej moc przestała gnać króla na drugi kraniec lasu. Zmierzał teraz ku nim, otrzepując się z drzazg i liści – nie śpiesząc się. Wiedział, że moja siostra nigdzie nie pójdzie. Rozsmakowywał się w nadchodzącej rzezi.

Nesta zacisnęła zęby, starając się po raz kolejny podnieść Kasjana. Z jego ust wydobył się zduszony okrzyk bólu.

– Uciekaj – warknął do niej ponownie.

– Nie mogę – wyszeptała. – *Nie mogę.*

Te same słowa, które usłyszał od Rhysa.

Kasjan stęknął z bólu, ale podniósł okrwawione dłonie – by objąć jej twarz.

– Nie żałuję w swoim życiu niczego oprócz tego. – Jego głos drżał przy każdym słowie. – Że nie mieliśmy czasu. Że nie miałem więcej

czasu z *tobą*, Nesto.

Nie powstrzymała go, kiedy nachylił się i pocałował ją – delikatnie. Na tyle, na ile był w stanie.

Ocierając łzę, która potoczyła się po jej policzku, Kasjan powiedział łagodnie:

– Odnajdę cię znowu w następnym świecie... w następnym życiu. I wtedy będziemy mieli ten czas. Obiecuję.

Król Hybernii wkroczył na polanę, z jego palców unosiła się ciemna moc.

Nawet Kocioł zdawał się nasłuchiwać w zdumieniu – zdumieniu albo powodowany jakimś... *uczuciem*, kiedy Nesta spojrzała na króla, w którego dłoniach wiła się śmierć, a potem na Kasjana.

Po czym przykryła Ilyra własnym ciałem.

Ten zmarł – po czym objął ją w pól.

Razem. Odejdą razem.

„Zawrę z tobą umowę – powiedziałam do Kotła. – Dam ci moją duszę. Ale ocal ich”.

– Romantyczne – powiedział król. – Ale niezbyt praktyczne.

Nesta nie ruszyła się z miejsca, wciąż osłaniając ciało Kasjana.

Król uniósł rękę, a magia wirowała w jego dłoni niczym mroczna galaktyka.

Wiedziała, że oboje zginą w chwili, kiedy ta moc ich dosięgnie.

„Wszystko – błagałam Kocioł. – Zrobię wszystko...”.

Ręka króla zaczęła opadać.

Potem zmarła. A on sam zaczął się dusić.

Przez chwilę myślałam, że Kocioł wysłuchał moich próśb.

Kiedy jednak gardło króla przebiło czarne ostrze, rozchlapując krew, zrozumiałam, że usłyszał je ktoś inny.

Elaina wysunęła się z cienia króla i wbiła Prawdomówcę aż po rękę w jego kark, po czym warknęła mu do ucha:

– Ani się waż tknąć mojej siostry.

## Rozdział 75

**K**ocioł aż mruczał w obecności Elainy, kiedy król Hyberrnii padł na kolana, drąc palcami wystający z jego gardła nóż. Elaina cofnęła się o krok.

Dławiąc się i plując krwią, król wpatrywał się rozszerzonymi oczami w Nestę. Ta zerwała się na równe nogi.

Nie podbiegła jednak do Elainy, ale do króla.

Chwyła obsydianową rękojeść Prawdomówcy.

I powoli, jakby lubując się każdą odrobiną wysiłku, jaki ją to kosztowało... zaczęła obracać ostrze. Nie okręcać wokół własnej osi, lecz wokół szyi.

Elaina podbiegła do Kasjana. Wojownik dyszał ciężko – uśmiechał się ponuro i dyszał ciężko, obserwując Nestę obracającą i obracającą ostrze w szyi króla. Przecinając ciało, kości i ścięgna.

Spojrzała w dół na wroga, zanim wykonała ostateczny ruch – jego dłonie wciąż usiłowały chwycić ostrze.

W oczach Nesty... to było to samo spojrzenie, ten sam błysk, co tamtego dnia na Hyberrnii. Kiedy wyciągnęła w jego stronę palec, obiecując śmierć. Uśmiechnęła się pod nosem – jakby sama sobie przypomniwała tamtą chwilę.

Potem pchnęła ostrze, jak robotnik poruszający uchwyt ogromnego kamienia młyńskiego.

Oczy króla rozwarły się szerzej – po czym głowa stoczyła się z jego ramion.

– Nesto – jęknął Kasjan, wyciągając ku niej rękę.

Krew króla trysnęła na jej skórnię, na twarz.

Nesta jednak zdawała się tym nic a nic nie przejmować. Pochyliła się, chwyciła odciętą głowę króla i uniosła ją. Podniosła do góry i spojrzała prosto w martwe oczy i otwarte usta.

Nie uśmiechała się. Wciąż tylko patrzyła.

Dzika. Nieugięta. Brutalna.

– Nesto – szepnęła Elaina.

Nesta zamrugła, jakby dopiero zdając sobie sprawę z tego, czyją głowę trzyma.

Co zrobiły razem z Elainą.

Głowa króla wypadła z jej zakrwawionych rąk.

Kocioł również wydawał się rozumieć znaczenie tego, co się właśnie wydarzyło, kiedy głowa toczyła się po mchu. Że Elaina... broniła tej złodziejki. Elaina, której podarował taką moc, którą uważał za tak cudowną, że chciał jej coś dać.... Nie skrzywdziłby Elainy, nawet próbując odzyskać to, co zostało mu zrabowane.

Wycofał się w chwili, kiedy wzrok Elainy padł na ciało naszego ojca leżące na polanie nieopodal.

W chwili, kiedy z jej ust wyrwał się krzyk.

„Nie”.

Rzuciłam się ku nim, ale Kocioł był zbyt szybki. Zbyt silny. Porwał mnie z powrotem, z powrotem – poprzez pole bitwy.

Nikt zdawał się nie wiedzieć, że król nie żyje. A nasze armie...

Rhys i pozostali książęta całkowicie poddali się swoim wewnętrznym bestiom; gdzie się obrócili, padały szeregi żołnierzy – rozrywanych i patroszonych lub przecinanych na pół. Helion zaś...

Książę Dworu Dnia był zakrwawiony, jego złote futro było nadpalone i porwane, ale wciąż walczył z hybериjskim dowódcą. Ten zaś zdawał się nietknięty. Jego twarz niewzruszona. Jakby wiedział – że może dziś pokonać Heliona Czaroniszcza.

Przelecieliśmy z powrotem ponad polem. Do Bryaksis – wciąż walczącej. Utrzymującej pole dla ludzi Graysena. Czarnej chmury, która wycinała im drogę, osłaniała ich. Bryaksis – strach w czystej postaci strzegący śmiertelników.

Minęliśmy Drakona i ciemnowłosą kobietę o skórze koloru miodu. Oboje wymieniali ciosy z...

Jurianem. Oni walczyli z Jurianem. Drakon miał starożytny rachunek do wyrównania, podobnie jak i Miriam.

Przemknęliśmy obok nich tak szybko, że nie słyszałam ich głosów. Czy Jurian naprawdę z nimi walczył, czy tylko odpierał ciosy, próbując wszystko wyjaśnić.

Mor dołączyła do nich, zakrwawiona i kulejąca, i zaczęła na nich krzyczeć – że to najmniejszy z naszych problemów.

Ponieważ nasze armie...

Hybernijczycy uzyskali przytłaczającą przewagę. Bez króla, bez Kotła, wciąż byli górą. Pasja, jaką wzbudził w nich król, ich głębokie przekonanie, że zostali niesprawiedliwie potraktowani i zapomniani... Wciąż walczyli. Nic nie było w stanie ich zadowolić poza całkowitym odebraniem tego, do czego wierzyli, że mają prawo – na co w swym przekonaniu *zasługiwali*.

Było ich zbyt wielu. Tak wielu. A my byliśmy już wyczerpani.

Kocioł rzucił się w tył, wycofując ku sobie.

Usłyszałam ryk bólu – ryk, który rozpoznałam nawet mimo zmienionego potwornego kształtu.

Rhys. *Rhys*...

Tracił siły, potrzebował pomocy...

Kocioł wessał się z powrotem w samego siebie i znów stałam na szczycie tej skały.

Znów wpatrywałam się w Amrenę, która uderzała mnie po twarzy, wykrzykując moje imię.

– Głupia dziewczko – warknęła. – Walcz z tym!

Rhys był ranny. Rhys był przytłoczony siłami wroga...

Wskoczyłam z powrotem do swojego ciała. Moja dłoń wciąż spoczywała na Kotle. Żywa więź. Ale teraz Kocioł był spokojny... Mrugnęłam... *Mogłam mrugnąć*.

Amrena wypuściła powietrze.

– Co na demony...

– Król nie żyje – powiedziałam zimnym i obcym głosem. – A ty będziesz następna.

Zabiłabym ją za to, za zdradzenie nas z jakiegokolwiek powodu...

– Wiem – powiedziała cicho. – A tym mi w tym pomożesz.

O mało nie puściłam Kotła, słysząc jej słowa, ale pokręciła głową.

– Nie zrywaj go... kontaktu. Potrzebuję cię jako... łączniczki.

– Nie rozumiem.

– Suriel... przekazał ci wiadomość. Dla mnie. Tylko dla mnie.

Zmarszczyłam brwi.

– Odpowiedź w Księdze nie była zaklęciem kontrolującym. Tu skłamałam – ciągnęła Amrena. – To było... zaklęcie uwalniające z więzów. Dla mnie.

– Co?

Amrena spojrzała na pobojuwisko. Zewsząd dobiegały wrzaski konających.

– Myślałam, że będę potrzebowała twoich sióstr, żeby pomogły ci kontrolować Kocioł, ale po tym, jak zmierzyłaś się z Uroborosem... Wiedziałam, że dasz radę sama. Tylko ty. I tylko ja. Ponieważ kiedy uwolnisz mnie dzięki mocy Kotła, w mojej prawdziwej postaci... Zmiotę z powierzchni ziemi tę armię. Do ostatniego żołnierza.

– Amreno...

Zza naszych pleców dobiegł błagalny męski głos:

– *Nie rób tego.*

Na kamienistej ścieżce pojawił się, łapiąc z trudem powietrze, zbрызgany krwią Varian.

Amrena uśmiechnęła się krzywo.

– Jak ogar idący po tropie – powiedziała.

– Nie rób tego – powtórzył tylko.

– Uwolnij mnie – nakazała mi Amrena, ignorując go. – Pozwól mi to zakończyć.

Zaczęłam kręcić głową.

– Ty... ciebie już *nie będzie*. Sama powiedziałaś, że nie będziesz nas pamiętać, nie będziesz już sobą, kiedy zostaniesz uwolniona.

Amrena uśmiechnęła się lekko – do mnie, do Variana.

– Przyglądałam się im przez całe eony. Ludzie... w moim świecie również byli ludzie. Patrzyłam, jak kochali i nienawidzili. Jak toczyli bezsensowne wojny i znajdowali cenny pokój. Patrzyłam, jak budują swoje życia, budują *światy*. Mnie... Mnie nigdy tego nie było wolno. Nie po to zostałam stworzona, nie takie dostałam rozkazy. Więc się przyglądałam. Tego dnia, kiedy tu przybyłam. To była pierwsza samolubna rzecz, jaką zrobiłam. Przez długi, bardzo długi czas sądziłam, że była to kara za sprzeniewierzenie się woli mojego ojca, za to, że *pragnęłam*. Myślałam, że ten świat był jakimś miejscem karni, w którym zostałam zamknięta za karę.

Przełknęła ślinę.

– Jednak sądzę... zastanawiam się, czy może mój ojciec wiedział. Czy widział, jak obserwowałam ludzi: jak kochają i nienawidzą, jak budują... I otworzył tę szczelinę między światami nie za karę... ale jako dar. – Oczy jej zalśniły. – Ponieważ to był dar. Ten czas... z tobą. Z wami wszystkimi. To był dar.

– Amreno – prosił Varian, padając na kolana. – *Błagam cię...*

– Powiedz księciu – powiedziała cicho – żeby zostawiał dla mnie kielich.

Nie sądziłam, bym mogła znieść choć jedną więcej kroplę goryczy. Chwyciłam mocniej brzeg Kotła i odparłam ze ściśniętym gardłem.

– Powiem.

Amrena spoglądała na Variana z sardonicznym uśmiechem.

– Im przyglądałam się najbardziej: ludziom, którzy kochali. Nigdy tego nie rozumiałam: *jak* to się działo. *Dlaczego* to się działo. – Przerwała, zatrzymując się o krok od Kotła. – Sądzę jednak, że nauczyłam się tego z tobą. Może to również był ostatni dar.

Twarz Variana wykrzywił grymas rozpacz. Jednak nie próbował już jej powstrzymać.

Obróciła się do mnie. I przemówiła w mojej głowie – zakłęcie, które muszę pomyśleć, poczuć i *wykonać*. Skinęłam głową.

– Kiedy już będę uwolniona – powiedziała do nas – nie uciekajcie. To tylko zwróci na was moją uwagę.

Wyciągnęła pewnie rękę ku mojej.

– Cieszę się, że się poznałyśmy, Feyro.

Uśmiechnęłam się, skłaniając głowę.

– Ja również Amreno. Ja również.

Amrena chwyciła mój nadgarstek. I rzuciła się w odmęty Kotła.

\*\*\*

Walczyłam. Walczyłam z każdym oddechem, by przebrnąć przez to zakłęcie, z ręką do połowy zanurzoną w Kotle, kiedy Amrena zniknęła pod ciemną wodą, która go wypełniała. Wypowiedziałam słowa na głos, starałam się je powtórzyć sercem, krwią i kośćmi. Wykrzyzczyć je.



Jej dłoń puściła moją i rozplynęła niczym mgła w porannym słońcu.

Zakłęcie dobiegło końca, wyrwało się ze mnie, aż odskoczyłam, tracąc chwyt na Kotle. Varian złapał mnie, zanim upadłam, i trzymał mocno. Oboje patrzyliśmy w ciemną masę wewnątrz, w nieruchomą powierzchnię.

– Czy ona... – wyszeptał.

Coś zaczęło się dziać daleko, daleko pod nami. Jakby doleciała do samego jądra ziemi.

Pozwoliłam Varianowi odciągnąć się kilka kroków, kiedy ziemia wstrząsnął dreszcz kierujący się w naszą stronę, w stronę Kotła.

Ledwie mieliśmy dość czasu, by rzucić się za najbliższą skałę, kiedy dotarł do powierzchni.

Kocioł pękł na trzy części, rozkładając się jak płatki kwiatu – i pojawiła się ona.

Wybuchła ze swej śmiertelnej powłoki, oślepiając nas światłem. Światłem i ogniem.

Ryczała – triumfalnie, wściekle i boleśnie.

I przysięgłabym, że widziałam wielkie płonące skrzydła – każde pióro jak rozżarzony węgiel – rozkładające się szeroko. Przysięgłabym, że korona gorejącego światła unosiła się tuż nad jej płomienistymi włosami.

Zatrzymała się. Istota, która tkwiła wewnątrz Amreny, zatrzymała się.

Spojrzała na nas – na pole bitwy i całą naszą rodzinę, na naszych przyjaciół wciąż na nim walczących.

Jakby chciała powiedzieć: „Pamiętam was”.

Chwilę później już jej nie było.

Rozwinęła skrzydła, płomień i światło falowały, by ją objąć. Płonący olbrzym rzucił się w dół na żołnierzy Hybernii.

Zaczął pierzchać.

Amrena goniła za nimi niczym młot, uderzając ogniem i siarką.

Gdziekolwiek przeleciała, spopieliała wszystkich, spijając ich śmierć. Niektórzy umierali od samego szeptu jej przejścia.

Słyszałam ryczącego Rhysa – i dźwięk ten brzmiał tak samo jak

jej. Triumfalnie, wściekle i boleśnie. I ostrzegawczo. Ostrzeżenie, by od niej nie uciekać.

Sukcesywnie, oddział po oddziale, niszczyła niezliczone szeregi hybrydycznej armii. Ścierała ślad po jej istnieniu, po zagrożeniu, jakie stanowiła. Po cierpieniu, jakie spowodowała.

Roztrzaskała hybrydycznego dowódcę, który szykował się do zadania Helionowi śmiertelnego ciosu. Roztrzaskała go, jakby był ze szkła. Gdzie się pojawiała, zostawiała za sobą popioły.

Ale jej moc – malała. Gasła węgielek po węgielku.

Wtedy Amrena skierowała się ku morzu, gdzie floty jej ojca i Vassy walczyły burta w burtę z ludem Miriam. Całe łodzie pełne Hybrydycznych nieruchomiały i cichły, kiedy obok nich przelatowała.

Jakby wysysała z nich całe życie. Nawet kiedy jej własne się wypalało.

Gdy dotarła wreszcie do ostatniej łodzi – ostatniej jednostki wroga – była już zaledwie płomykiem na wietrze.

A kiedy i pokład tego statku ucichł...

Pozostało tylko światło. Jasne, czyste światło tańczące na falach.

## Rozdział 76

Łzy toczyły się po zakrwawionej twarzy Variana, kiedy patrzyliśmy na to miejsce na morzu, w którym zniknęła Amrena.

Wszędzie wokół nasi żołnierze zaczęli wznosić radosne okrzyki zwycięstwa – radości.

Na skale... panowała całkowita cisza.

Spojrzałam w końcu na rozłupany na troje Kocioł.

Może to ja to spowodowałam. Uwalniając ją, w jakiś sposób go rozbiłam. A może to Amrena, gdy wyzwała swą moc... może to było za wiele dla Kotła.

– Powinniśmy iść – powiedziałam Varianowi. – Pozostali będą nas szukać.

Musiałam wrócić do ojca. Musiałam go pochować. Pomóc Kasjanowi.

Musiałam się przekonać, kto był pośród zabitych, a kto pozostał przy życiu.

Pusta – byłam taka zmęczona i pusta.

Zdołałam wstać. Zrobić krok, zanim to poczułam.

To... coś w Kotle. Albo raczej jego brak.

To była pustka i pełnia, brak i obecność. I to wszystko... wyciekało do świata.

Odważyłam się zrobić krok w jego stronę. To, co zobaczyłam wśród pozostałości Kotła...

To była pustka. Ale jednocześnie *niepustka* – wzbieranie.

To nie należało do tego świata. Nie należało do żadnego.

Czyjeś dłonie znalazły się na mojej twarzy, obróciły mnie, dotykały mnie.

– Nic ci nie jest? Czy...

Twarz Rhysa była pokiereszowana – pokrwawiona. Jego dłonie wciąż zakończone szponami, kły wydłużone. Ledwie co zrzucił postać bestii.

– Ty... ty ją uwolniłaś...

Głos mu drżał. Cały dygotał. Nie wiedziałam, jak jest w stanie w ogóle ustać na nogach.

Nie wiedziałam, od czego zacząć. Jak wyjaśnić.

Wpuściłam go do swego umysłu; jego obecność była łagodna – równie wyczerpana jak ja. Pozwoliłam mu zobaczyć mojego ojca. Nestę i Kasjana. Króla. I Amrenę.

Wszystko.

W tym to coś za nami. Tę dziurę.

Rhys objął mnie ramionami – tylko na chwilę.

– Mamy problem – mruknął Varian, wskazując za nas.

Podążyliśmy spojrzeniami za jego palcem. Do miejsca, gdzie w skorupach Kotła powstała szczelina między światami... I rosła.

Kotła nie można było zniszczyć, przestrzegano nas przed tym. Ponieważ cały nasz świat był z nim związany.

Jeśli Kocioł zostałby zniweczony... Ten sam los spotkałby wszystkich nas.

– Co ja zrobiłam – szepnęłam.

Ocaliłam naszych przyjaciół... tylko po to, by nas wszystkich przywieść do zguby.

Stworzeni. Stworzeni i zniszczeni.

Ja go rozbiłam. Ja mogę złożyć go na nowo w całość.

Podbiegłam do Księgi, zaczęłam wertować karty.

Jednak w złocie wyryte były symbole, które tylko jedna osoba umiała odczytać, a jej już z nami nie było. Wrzuciłam ten przeklęty tom do pustki wewnątrz Kotła.

Zniknęła i nie pojawiła się więcej.

– Tak też można spróbować – skomentował Rhys.

Obróciłam się na tę próbę żartu, ale jego twarz była surowa. Ponura.

– Nie wiem, co robić – wyszeptałam.

Rhys przyjrzał się uważnie szczątkom Kotła.

– Amrena powiedziała, że jesteś łączniczką.

Pokiwałam głową.

– A więc stań się nią ponownie.

– Co?

Spojrzał na mnie, jakbym to ja postradała zmysły, i dodał:

– Odtwórz Kocioł. Wykuj go na nowo.

– Niby *jaką* mocą?

– Moją.

– Ty... jesteś wyczerpany Rhys. Ja również. Wszyscy jesteśmy.

– Spróbuj, zrób mi tę przyjemność.

Zamrugalam. Czająca się na skraju świadomości panika zelżała nieco. Tak... tak, z nim, moim towarzyszem...

Pomyślałam o zaklęciu, które pokazała mi Amrena. Jeśli zmieniałabym jeden drobny szczegół... Istniało ryzyko. Ale mogło się udać.

– Lepsze to niż nic – powiedziałam, wypuszczając ciężko powietrze.

– No, tak trzymaj.

W jego oczach tańczyły iskierki humoru.

Całe mile wokół nas usłane były ciałami zabitych. Zaczynały dobiegać nas jęki rannych i krzyki rozpacz, ale... Powstrzymaliśmy Hybernijczyków. Powstrzymaliśmy króla.

Może z tym... też nam się powiedzie.

Sięgnęłam do niego – dłonią i umysłem.

Wokół jego umysłu wciąż tkwiły tarcze – solidne ściany wzniesione podczas bitwy. Musnęłam jedną z nich, ale się nie poruszyła. Rhys uśmiechnął się i mnie pocałował.

– Przypomnij mi, żeby nigdy nie nadepnąć Neście na odcisk.

To, że w ogóle był w stanie *żartować* – nie, to był sposób na przetrwanie. Dla nas obojga. Ponieważ alternatywa dla śmiechu... Rozpacz na twarzy Variana wpatrującego się w nas w milczeniu, to była alternatywa. A z tym czymś przed nami, ostatecznym zadaniem do wykonania...

Więc zdobyłam się na śmiech.

I wciąż się uśmiechałam, choć nieco niepewnie, gdy położyłam dłoń na potrzaskanych skorupach Kotła.

\*\*\*

To była otchłań. Bez powietrza. Żadne życie nie mogło tu istnieć. Żadne światło.

To było... to, co istniało na początku. Zanim wszystko z niego wybuchło.

Nie przynależało tu. Może kiedyś, kiedy ziemia zestarzeje się i umrze, kiedy gwiazdy również zgasną... może wtedy powrócimy do tego miejsca.

Ale nie dziś. Nie teraz.

To była jednocześnie forma i nicość.

A za mną... Moc Rhysa była pomostem. Niekończąca się błyskawica wydobywała się ze mnie w stronę tego... miejsca. By je kształtować wedle mojej woli.

Stworzone i zniszczone.

Gdzieś z odległego miejsca w mojej jaźni przywołałam fresk, który widziałam na Dworze Wiosny. Zamknięty w zakurzonej nieużywanej bibliotece. Opowiadał historię Prythianu.

Opowiadał historię Kotła. *Tego* Kotła.

A kiedy był trzymany przez kobiece ręce... Płynęło z niego wszelkie życie.

Wyciągnęłam swoje, czując kłębiącą się we mnie moc Rhysa.

Zjednoczeni. Złączeni w jedno. Pytanie i odpowiedź.

Nie obawiałam się. Nie kiedy on był przy mnie.

Złożyłam dłonie, jakby potrzaskane skorupy Kotła mogły się w nich zmieścić. Cały wszechświat w moich dłoniach.

Zaczęłam powtarzać to ostatnie zaklęcie, które Amrena dla nas znalazła. Mówić, myśleć i czuć je. Słowo, oddech i krew.

Moc Rhysa płynęła przeze mnie i ze mnie wypływała. Pojawił się Kocioł.

W miejscach, gdzie pęknięcia się naprawiały, tańczyło światło. Tam... tam muszę kuć. Łączyć. Spajać.

Położyłam dłonie na bokach naczynia. Surowa bezlitosna moc popłynęła przeze mnie falami.

Pochyliłam się ku niemu, nie obawiając się tej mocy, mężczyzny, który mnie trzymał.

Płynęła i płynęła niczym przełamująca tamy noc.

Pęknięcia zasyczały i rozmyły się.  
Pustka zaczęła wpełzać z powrotem do środka.  
Więcej. Potrzebowaliśmy więcej.  
Dał mi to. Rhys oddał mi wszystko.  
Ja byłam niosącą, naczyniem, łączniczką.  
„Kocham cię” – wyszeptał w moim umyśle.  
Ja tylko oparłam się o niego mocniej, delektując się jego ciepłem,  
nawet w tym *niemiejscu*.  
Moc wstrząsnęła nim. Owinęła się wokół Kotła. Po raz kolejny  
powtarzałam zaklęcie, raz za razem.  
Pierwsza szczelina się zasklepiła.  
Potem druga.  
Poczułam, jak drży za mną, usłyszałam jego chrapliwy oddech.  
Chciałam się odwrócić...  
„Kocham cię” – powtórzył.  
Trzecia i ostatnia szczelina zaczęła się zasklepiać.  
Jego moc już się wyczerpywała. Ale nie przestawała wypływać.  
Dorzuciłam do niej swoją, iskry i śnieg, światło i wodę. Razem  
rzuciliśmy wszystko, co mieliśmy. Aż do ostatniej kropelki.  
Póki Kocioł nie był na powrót cały. Póki ta rzecz, którą zawierał  
w sobie... nie znalazła się w nim. Zamknięta.  
Póki z powrotem nie poczułam promieni słonecznych  
ogrzewających moją twarz. Póki nie zobaczyłam stojącego przede  
mną Kotła – pod moją dłonią.  
Zsunęłam palce z jego lodowatego rantu. Spojrzałam w czarne  
odmęty.  
Żadnych rys. Cały.  
Wypuściłam z trudem powietrze. Udał nam się. Udało...  
Obróciłam się.  
Chwilę mi zajęło, zanim pojęłam. Co zobaczyłam.  
Rhys leżał rozciągnięty na kamienistym gruncie, skrzydła miał  
rozrzucone za sobą.  
Wyglądał, jakby spał.  
Ale kiedy nabrałam powietrza...  
Nie było go tam.

Tego czegoś, co wznosiło się i opadało z każdym oddechem. Do wtóru każdego uderzenia serca.

Więź godowa.

Zniknęła.

Ponieważ jego pierś... nie poruszała się.

Rhys był martwy.



## Rozdział 77

**W** głowie miałam tylko ciszę. Tylko ciszę. Zaczęłam krzyczeć.

Krzyczałam, krzyczałam i krzyczałam.

Pustka w mojej piersi, w mojej *duszy*, wywołana brakiem tej więzi, tego *życia*...

Szarpałam go, wykrzykiwałam jego imię i potrzasałam nim, póki moje ciało nie przestało być moim ciałem, a stało się *czymś*, w czym byłam ja i *brak* jego. Nie mogłam przestać krzyczeć i krzyczeć.

Dołączyła do nas Mor. Potem Azriel, chwiejący się na nogach, podtrzymujący Kasjana – równie zakrwawionego, stojącego tylko dzięki niebieskim syfonowym opatrunkom na całym ciele. Na ciałach ich obu.

Coś mówili, ale jedyne, co słyszałam to to ostatnie: „Kocham cię”, które nie było wyznaniem, ale pożegnaniem.

On wiedział. *Wiedział*, że nic mu już nie zostało i ukończenie zaklęcia zabierze mu wszystko. Że będzie go *kosztowało* wszystko. Utrzymywał tarcze, żebym nie zobaczyła, ponieważ nie zgodziłabym się, wolałabym raczej, by świat się skończył, niż żeby to zrobił... ta *pustka*, gdzie wcześniej był, gdzie my byliśmy...

Ktoś próbował odciągnąć mnie od niego, ale wydałam z siebie dźwięk, który mógł być warknięciem lub kolejnym krzykiem, i ten ktoś dał mi spokój.

Nie mogłam tak żyć, nie mogłam tego wytrzymać, nie mogłam oddychać...

Tam były dłonie – nieznane dłonie zaciśnięte na jego gardle. Dotykały go...

Rzuciłam się ku nim, ale ktoś mnie powstrzymał.

– On sprawdza, czy coś da się zrobić – powiedziała chropawym głosem Mor.

On... Thesan. Księżę Dworu Świtu. Pan uzdrawiania. Rzuciłam się ponownie, by błagać, prosić...

Ale on tylko pokręcił głową. Spojrzał na Mor. Na wszystkich wokół.

Tarquin tam był. Helion. Dyszący ciężko i poturbowany.

– On – wychrypiał Helion, po czym potrząsnął głową. – Oczywiście, że tak – powiedział bardziej do siebie, niż kogokolwiek innego.

– Proszę – powiedziałam, nie wiedząc do końca, do kogo się zwracam.

Palce ześlizgnęły mi się po zbroi Rhysa, próbowałam dotrzeć do znajdującego się pod nią serca.

Kocioł... może Kocioł...

Nie znałam jednak tych zaklęć. Jak włożyć go do środka tak, by na pewno wyszedł z niego z powrotem...

Wokół moich dłoni pojawiły się inne. Były zakrwawione, ale łagodne. Staralam się wyciągnąć ręce, ale te dłonie trzymały mnie mocno, kiedy ich właściciel – Tarquin – przyklęknął przy mnie.

– Przykro mi – powiedział.

Te dwa słowa mnie rozbiły. Rozbiły w sposób, w jaki nie wiedziałam, że mogę jeszcze zostać rozbita, odzierając ze wszystkich nadziei i szans.

„Trzymaj się księcia... – ostatnie ostrzeżenie suriela. – Nie odstępuj go na krok! Wyczekuj, aż wszystko zostanie naprawione”.

Kłamstwo. Okłamał mnie, tak jak skłamał Rhys.

„Nie odstępuj go na krok”.

Nie odstępuj.

I tam... poszarpane skrawki więzi godowej. Unoszące się w pustce wewnątrz mnie. Uchwyciłam się ich... szarpałam za nie, jakby oczekując, że odpowie.

„Nie odstępuj. Nie odstępuj, nie odstępuj, nie odstępuj”.

Przywarłam do tych skrawków i pozostałości, drapiąc pustkę, która czaiła się za nimi.

„Nie odstępuj”.

Spojrzałam w górę na Tarquina, wykrzywając wargi, odsłaniając zęby. Spojrzałam na Heliona. Thesana. Potem Berona i Kalliasa, łkającą u jego boku Viviane. I warknęłam:

– Przyzwijcie go z powrotem.

Nierozumiejące twarze.

Wrzasnęłam na nich:

– *Przyzwijcie go z powrotem!*

Nic.

– Zrobiliście to dla mnie – powiedziałam, oddychając z trudem. – Teraz zróbcie to dla niego!

– Ty byłaś człowiekiem – odparł łagodnie Helion. – To nie to samo...

– Wszystko mi jedno. Zróbcie to.

Kiedy żaden się nie poruszył, wezwałam resztki swojej mocy, szykując się do wdarcia do ich umysłów i zmuszenia do tego, nie dbając o prawa i zasady, które bym w ten sposób złamała. Byłoby mi wszystko jedno, jeśli tylko...

Tarquin podszedł bliżej. Powoli wyciągnął rękę w moją stronę.

– Za to, co poświęcił – powiedział cicho. – Dziś i przez długie lata wcześniej.

W jego dłoni pojawiło się ziarno światła... Znów zaczęłam płakać. Patrzyłam, jak to ziarenko upada na obnażone gardło Rhysa i znika pod skórą, odbijając się jednokrotnym echem.

Wystąpił Helion. W jego dłoni błysnęło kolejne ziarenko światła, po czym zatopiło się w skórę Rhysa.

Podszedł Kallias. I Thesan.

Aż pozostał tylko Beron.

Mor wyciągnęła miecz i przystawiła mu do gardła. Wzdrygnął się, nie zauważywszy nawet, kiedy się poruszyła.

– Zabicie jednego więcej nie robi mi dzisiaj różnicy – oznajmiła.

Beron zgromił ją spojrzeniem, ale odtrącił klingę na bok i podszedł. Niemal rzucił swoje ziarenko światła w Rhysa. Ale mnie też było wszystko jedno.

Nie znałam zaklęcia, mocy, z której ono pochodziło. Ale byłam księżną Dworu Nocy.

Wyciągnęłam swoją dłoń. Zmusiłam do pojawienia się tę iskierkę życia. Nic się nie stało.

Wzięłam głęboki oddech, przypominając sobie, jak wyglądało.

– Jak mam to zrobić? – warknęłam do nikogo konkretnego.

Thesan odkaslnął i wystąpił naprzód. Opowiadał o jądrze mocy i tak dalej, i tak dalej i choć było mi to obojętne, słuchałam, aż wreszcie...

Tam. Małe jak ziarnko słonecznika, ale pojawiło się w mojej dłoni. Odrobina mnie – mojego życia.

Położyłam je delikatnie na okrwawionej szyi Rhysa.

W chwili, w której się pojawiło, zrozumiałam, czego brakuje.

Tamlin stał obok, przyzwany przez śmierć jednego z pozostałych książąt lub może przez jednego z obecnych. Cały był pokryty błotem i krwią, jego nowy pas z nożami był prawie pusty.

Przyglądał się leżącemu przede mną martwemu ciału Rhysa. Przyglądał się nam wszystkim – wciąż z wyciągniętymi dłońmi.

W jego twarzy nie było dobroci. Nie było miłosierdzia.

– Proszę – tylko tyle potrafiłam powiedzieć.

Wtedy Tamlin przeniósł wzrok między mną a moim towarzyszem. Wyraz jego twarzy pozostał niewzruszony.

– *Proszę – łkałam.* – Dam ci... dam ci *wszystko...*

Coś mignęło w jego oczach na te słowa. Ale nie dobroć. To nie było uczucie.

Położyłam głowę na piersi Rhysa, nasłuchując przez zbroję najmniejszego odgłosu bicia serca.

– Wszystko – wyszeptałam. – Cokolwiek.

Obok mnie rozległy się kroki i przygotowałam się na kolejną parę rąk, która będzie starała się mnie odciągnąć, więc mocniej chwyciłam się palcami.

Ten ktoś zatrzymał się za mną i stał na tyle długo, że się obejrzałam.

Nade mną stał Tamlin. Wpatrywał się we mnie. W jego zielonych oczach wirowało jakieś uczucie, którego nie potrafiłam nazwać.

– Bądź szczęśliwa, Feyro – powiedział cicho.

I upuścił na Rhysanda ostatnie ziarenko światła.

\*\*\*

Nie widziałam tego, kiedy to ja byłam ozywiana.

Więc tylko trzymałam go mocno. Jego ciało, strzępy więzi.

„Zostań – błagałam. – Zostań”.

Pod moimi zamkniętymi powiekami zalśniło światło.

„Zostań”.

Wtedy w tej ciszy... Zaczęłam mu opowiadać.

O pierwszej nocy, kiedy go zobaczyłam. Kiedy usłyszałam ten głos przyzywający mnie na wzgórze. Kiedy nie mogłam się oprzeć temu wezwaniu, a teraz... zastanawiałam się, czy może słyszałam go wołającego mnie podczas Calanmai. Czy to może jego głos zaprowadził mnie tam tamtej nocy.

Opowiedziałam mu, jak się w nim zakochałam – każde spojrzenie i wymieniona wiadomość, każdy śmiech, który ze mnie wydobył. Opowiedziałam mu o wszystkim, co zrobiliśmy, i ile to dla mnie znaczyło; i ile jeszcze chciałam zrobić. O całym *życiu* wciąż przed nami.

A w zamian... usłyszałam uderzenie.

Otworzyłam oczy. Kolejne uderzenie.

A potem jego pierś uniosła się, podnosząc moją przyłożoną do jego zbroi głowę.

Nie mogłam się ruszyć, nie mogłam oddychać...

Dłoń musnęła moje plecy.

– Jeśli wszyscy tu jesteśmy – stęknął Rhys. – To znaczy, że sprawy poszły albo wyjątkowo dobrze, albo wyjątkowo źle.

Kasjan zdławił chrapliwy śmiech.

Nie mogłam podnieść głowy, nie mogłam zrobić nic poza chłonięciem każdego uderzenia serca i oddechu; pomruku głosu Rhysa, kiedy wychrypiał:

– Ucieszy was wieść... Że moja moc pozostała niezmienną. Niczego nikomu nie ukradłem.

– Nie ma co, umiesz zadbać o efektowne wejście – rzucił przeciągle Helion. – Czy też może powinienem był powiedzieć: wyjście?

– Jesteś okropny – naskoczyła na niego Viviane. – To nie było w najmniejszym stopniu zabawne...

Nie słyszałam, co jeszcze mówili. Rhys usiadł, podnosząc mnie

z siebie. Odgarnął włosy, które przylgnęły do moich mokrych policzków.

– Nie odstępuj go na krok – zamruczał.

Nie wierzyłam w to – póki nie spojrzałam w jego twarz. W te gwiaździste oczy.

Bałam się myśleć, że to jest coś więcej niż tylko złudzenie...

– To nie złudzenie – powiedział, całując moją skroń. – I... jest jeszcze jedna niespodzianka.

Wskazał dłonią Kocioł.

– Czy ktoś mógłby wyłowić naszą drogą Amrenę, zanim się przeziębii?

Varian obrócił się ku nam. Mor już pędziła w stronę Kotła, a jej okrzyk, gdy do niego sięgnęła...

– Jak? – szepnęłam.

Azriel i Varian natychmiast się tam znaleźli, pomagając Mor wyciągnąć z ciemnej wody przemoczoną postać.

Jej pierś unosiła się i opadała, rysy wciąż były te same, ale...

– Była tam – powiedział Rhys. – Kiedy Kocioł się zasklepił. Szła... tam gdzie i my odchodzimy.

Amrena wypluła wodę i zwymiotowała na kamienisty grunt. Mor starała się jej pomóc, uderzając ją w plecy.

– Wyciągnąłem więc do niej dłoń – kontynuował cicho Rhys – żeby zobaczyć, czy może chciałaby ze mną wrócić.

Kiedy Amrena otworzyła oczy, kiedy Varian wydał z siebie zdławiony okrzyk radości i ulgi...

Wiedziałam – czego się wyrzekła, by powrócić. Fae wysokiego rodu – i tylko tyle.

Jej srebrne oczy były jednolite. Nieruchome. Nie wirowały w nich dym ani płonąca mgła.

Normalne życie. Ani śladu jej wcześniejszych mocy.

A kiedy Amrena uśmiechnęła się do mnie... Przez myśl mi przeszło, czy to nie był ostatni dar dla niej.

Czy to wszystko... czy to wszystko nie było darem.

## Rozdział 78

Pomiędzy zaścielającymi pole bitwy ciałami zabitych i rannych znajdowało się jedno ciało, które chciałam pochować.

Tylko Nesta, Elaina i ja wróciłyśmy na polanę, kiedy Azriel zapewnił nas, że jest bezpiecznie i bitwa naprawdę dobiegła końca.

Z wielkimi oporami spuściłam Rhysa z oka, by mógł się rozpatrzeć wśród naszych rozproszonych armii, zorientować w liczbie zabitych i rannych i spróbować przywrócić naszym wojskom choćby pozory porządku.

Niemal zaczęłam go błagać, by z nami poszedł. Tylko po to, bym nie musiała wypuszczać jego dłoni, której nie przestałam ścisnąć od chwili, kiedy na nowo usłyszałam to piękne mocne bicie serca w jego ciele.

Ale to zadanie, to pożegnanie... W głębi duszy wiedziałam, że należało tylko do mnie i moich sióstr.

Wypuściłam więc dłoń Rhysa, całując go jeszcze raz i drugi, i zostawiając w obozie, by mógł pomóc Mor zawlec ledwie trzymającego się na nogach Kasjana do najbliższego uzdrowiciela.

Nesta przyglądała im się, gdy odnalazłam ją i Elainę na linii drzew okalających obóz. Czy w jakiś sposób uleczyła go trochę w tych chwilach po odcięciu głowy króla? Czy była to kwestia nieśmiertelnej krwi Kasjana i polowych opatrunków Azriela, które już zdołały zaleczyć jego rany na tyle, by mógł stać, nawet pomimo złamanej nogi i strzaskanego skrzydła. Nie spytałam siostry, a ona sama również nic nie powiedziała. Odebrała tylko ze wciąż zakrwawionych dłoni Elainy wiadro wody i ruszyła między drzewa. Poszłam za nimi.

Ciało króla wciąż leżało na polanie. Kruki już zaczęły na nim ucztować.

Nesta splunęła na niego, po czym podeszłyśmy do ojca. Kruki ledwo zdołały umknąć.

Krzyki i jęki rannych dobiegały nas z oddali – jakby z innego świata niż ta słoneczna polanka. Krew była wciąż jeszcze świeża na trawie i mchu. Odepchnęłam od siebie jej żelazisty zapach – krew Kasjana, króla, Nesty.

Tylko nasz ojciec nie krwawił na te mchy. Nie zdążył. Drobnym błogosławieństwem, za które dziękowałam Matce, było, że kruki nie zdążyły się jeszcze za niego zabrać.

Elaina w milczeniu obmyła jego twarz. Uczesała włosy i brodę. Wygładziła ubranie.

Znalazła też kwiaty – gdzieś, jakoś. Położyła ja na jego głowie i piersi.

Patrzyłyśmy w milczeniu.

– Kocham cię – szepnęła łamiącym się głosem Elaina.

Nesta milczała z nieodgadnionym wyrazem twarzy. W jej oczach było tyle cieni. Nie powiedziałam jej, co widziałam – pozwoliłam im powiedzieć mi to, co chciały.

– Czy powinniśmy... zmówić modlitwę? – zapytała szeptem Elaina.

Przypomniałam sobie, że w ludzkim świecie nie było takiego zwyczaju. Moje siostry nie znały modlitw, które mogłyby mu ofiarować. Ale w Prythianie...

– Niech Matka ukoi cię w swoich objęciach – wyszeptałam, powtarzając słowa, których nie słyszałam od tamtego dnia pod Górą. – Oby dane ci było przekroczyć wrota i odetchnąć nieśmiertelną krainą mlekiem i miodem płynącą.

Na czubkach moich palców zatańczyły płomienie. To wszystko, na co mogłam się teraz zdobyć. Wszystko, co we mnie zostało.

– Nie lękaj się zła, nie odczuwaj bólu. – Usta mi zadrżały. kiedy szeptałam dalej. – Odejdź w pokoju ku wieczności.

Po bladych policzkach Elainy płynęły łzy, kiedy poprawiała zsuwający się z piersi ojca kwiatek o delikatnych białych płatkach, po czym odsunęła się i skinęła głową.

Twarz Nesty nie zmieniła wyrazu, kiedy posłałam ten płomień, by spalił ciało naszego ojca.

Po kilka chwilach było już tylko popiołem na wietrze.



Wpatrywałyśmy się w osmaloną ziemię przez dłuższy czas. Słońce nad nami zdążyło już zmienić pozycję.

Na trawie za nami rozległy się kroki.

Nesta obróciła się gwałtownie, ale...

Lucien. To był Lucien.

Lucien, sponiewierany i zakrwawiony, dyszący ciężko. Jakby biegł od brzegu morza.

Gdy jego spojrzenie padło na Elainę, jakby zeszło z niego powietrze. Ona z kolei tylko owinęła się ciaśniej ramionami i pozostała przy moim boku.

– Jesteś cała? – spytał, podchodząc do nas.

Wtedy zobaczył krew na dłoniach Elainy.

Zatrzymał się, kiedy dojrzał króla Hybernii z odcięta głową po drugiej stronie polany. Nesta wciąż była pokryta jego krwią od stóp do głów.

– Jestem cała – odpowiedziała cicho Elaina, po czym, widząc jego porwane i pokrwawione ubranie, pokrytą zaschniętymi wnętrznościami i krwią klingę miecza, spytała: – A ty...

– Cóż, do końca życia nie chcę walczyć w żadnej bitwie, ale.. tak, jestem w jednym kawałku.

Na ustach Elainy wykwitł blady uśmiech. Lucien dojrzał wypaloną trawę za nami.

– Słyszałem... co się stało. Przykro mi z powodu tej straty. Waszej straty.

Podeszłam do niego i zarzuciłam mu ramiona na szyję, nawet jeśli nie byłam tą, którą chciałby przytulić.

– Dziękuję... że przybyłeś. Mam na myśli wtedy, podczas bitwy.

– Mam ci do opowiedzenia niezłą historię – odparł, ściskając mnie mocno. – Nie zdziw się, jeśli Vassa zdybie cię, kiedy tylko zrobi porządek ze swoją flotą. No i kiedy słońce zajdzie.

– Czy ona naprawdę...

– Owszem, ale z twojego ojca był niezły negocjator... – Lucien posłał smutny uśmiech ku wypalonemu w trawie miejscu. – Zdołał dobić targu ze *strażnikiem* Vassy, by mogła tu przybyć. Tymczasowo, ale... lepsze to niż nic... królowa nocą, ognisty ptak za dnia. –

Wypuścił powietrze z płuc. – Paskudna klątwa.

– Królowe ludzi wciąż gdzieś tam są – powiedziałam.

Może powinnam na nie zapolować.

– Nie na długo. Jeśli Vassa będzie miała w tej materii coś do powiedzenia.

– Brzmisz jak jej wyznawca.

Lucien zarumienił się, rzucając okiem na Elainę.

– Ma paskudny temperament i jeszcze paskudniejsze słownictwo.

– Spojrzał na mnie z ukosa. – Dogadacie się bez trudu.

Dałam mu sójkę pod żebro.

Jednak Lucien znów patrzył na wypalony w trawie ślad i jego pochłapana krwią twarz spoważniała.

– Był dobrym człowiekiem – powiedział. – Bardzo was wszystkie kochał.

Pokiwałam głową, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Nawet myślenie przychodziło mi z trudem. Nesta nawet nie mrugnęła na potwierdzenie, że cokolwiek usłyszała. Elaina tylko ciaśniej owinęła się ramionami, roniąc jeszcze kilka łez.

Oszczędziłam Lucienowi zastanawiania się, czy powinien jej dotknąć. Wzięłam go pod ramię i zaczęłam iść z powrotem, pozostawiając moim siostrom decyzję, czy za nami podążyć, czy nie... jeśli chciałyby zostać na chwilę same przy wypalonej trawie.

Elaina ruszyła za nami.

Nesta została.

Młodsza z moich sióstr zrównała się ze mną, popatrując na Luciena. Zauważył jej spojrzenia.

– Słyszałem, że zadałaś ostateczny cios – powiedział.

Elaina wbiła wzrok w drzewa przed nami.

– Nesta to zrobiła. Ja tylko go dźgnęłam.

Lucien nie bardzo wiedział, jak odpowiedzieć, więc go wyręczyłam:

– Dokąd teraz? Wracasz z Vassą?

Zastanawiałam się, czy słyszał o roli, jaką odegrał Tamlin – o pomocy, jakiej nam udzielił. Wyraz twarzy mojego przyjaciela zdradzał, że tak. Ktoś, może mój towarzysz, mu o tym powiedział.

Lucien wzruszył ramionami.

– Najpierw... zostanę tutaj. Pomóc. Potem... – Kolejny rzut oka na Elaine. – Kto wie?

Szturchnęłam siostrę, która zamrugła w niezrozumieniu, po czym wyrzuciła z siebie:

– Mógłbyś przybyć do Velaris.

Lucien widział mój ruch, ale mimo to odparł z wdzięcznością:

– Będę zaszczycony.

W drodze powrotnej do obozu opowiedział nam o swojej wyprawie – jak szukał Vassy i znalazł ją w towarzystwie mojego ojca, maszerujących z armią na zachód. Jak po drodze spotkali Miriam i Drakona, którzy sami śpieszyli nam z pomocą.

Wciąż jeszcze przetrawiałam jego słowa, kiedy wślizgnęłam się do namiotu, by wreszcie zdjąć z siebie swoją skórnię. Zostawiłam Elaine i Luciena, by znaleźli miejsce, w którym mogliby się obmyć. I porozmawiać – może.

Kiedy jednak odsunęłam poły namiotu, powitały mnie dźwięki – ktoś rozmawiał. Kilka głosów, z czego jeden należący do mego towarzysza.

Wchodząc do środka, wiedziałam, że nieprędko będę mogła się przebrać.

Rzeczywiście – na krześle przed piecykiem siedział książę Drakon; Rhys – wciąż pokryty krwią – leżał rozciągnięty na poduszkach naprzeciw niego. Zaś obok mego towarzysza siedziała piękna kobieta o ciemnych lokach opadających bujnymi falami na plecy. I uśmiechała się do mnie.

Miriam.

## Rozdział 79

Uśmiechnięta twarz Miriam zdawała się należeć bardziej do człowieka niż fae wysokiego rodu. Ale przecież ona – jak sobie przypomniałam, kiedy oboje z Drakonem wstali, żeby mnie przywitać – była tylko w połowie fae. Miała lekko spiczaste uszy, ale... było w niej coś ludzkiego. Może w szerokim uśmiechu, który rozświetlił jej brązowe oczy.

Od razu ją polubiłam. Jej własna skórznia – inna niż ilyryjskie, ale również zaprojektowana dla latającego ludu i pozwalająca zachować ciepło w przestworzach – była także pochlapana błotem. Złotobrązową skórę szyi i dłoni pokrywały krople krwi, ale zdawała się tego nie zauważać. Lub nie przywiązywała do tego znaczenia. Wyciągnęła ku mnie rękę.

– Księżno – powiedziała.

Akcent miała podobny do Drakona: melodyjny, śpiewny.

Ujęłam jej dłonie, które były zadziwiająco suche i ciepłe, i zdołałam wydusić:

– Tyle o was słyszałam... Dziękuję, że przybyliście. – Rzuciłam okiem na Rhysa wciąż rozciągniętego na poduszkach, przyglądającego nam się z uniesionymi brwiami. – Jak na kogoś, kto niedawno był martwy – dodałam oschle – zdajesz się być wyjątkowo odprężony.

Rhys uśmiechnął się pod nosem.

– Cieszę się, że wróciłaś do w swojej zwyczajnej, wyśmienitej formy, droga Feyro.

Drakon prychnął i ujął moje dłonie, ściskając je równie mocno co przed chwilą jego towarzysza.

– Czego on nie chce ci powiedzieć, moja pani, to że jest tak cholernie stary, że po prostu *nie może* się teraz podnieść.

Obróciłam się na pięcie w stronę Rhysa:

– Czy ty...

– Wszystko w porządku. – Rhys zbył moją troskę machnięciem ręki, chociaż cicho przy tym stęknął. – Może przynajmniej teraz zrozumiesz, dlaczego nie chciało mi się odwiedzać tej dwójki przez cały ten czas. Są dla mnie bardzo okrutni.

Miriam roześmiała się, opadając z powrotem na poduszki.

– Twój towarzysz opowiadał nam właśnie waszą historię, ponieważ rozumiem, że naszą już słyszałaś.

Owszem, ale mimo to kiedy książe Drakon z gracją powrócił na swoje krzesło, zsunęłam się na stojące obok i przyjrzałam przybyłej parze... Chciałam znać całą historię. Kiedyś – nie jutro ani pojutrze, ale... pewnego dnia, chciałabym usłyszeć ich opowieść w całości. Ale na razie...

– Widziałam... was dwoje. Walczyliście z Jurianem.

Drakon natychmiast zeszywniał, zaś w oczach Miriam pojawiło się zdruzgotanie, kiedy zapytałam:

– Czy on... Czy go zabiliście?

– Nie – odparł zwięźle Drakon.

– Mor – wtrąciła Miriam, marszcząc czoło – pojawiła się i przekonała nas, by nie... wyrównywać rachunków.

Zrobiliby to więc. Z wyrazu twarzy Drakona łatwo było wywnioskować, że nie był przekonany do obecnego rozwiązania. Zaś bolesny wyraz oczu Miriam wskazywał, że podczas tej walki doszło do czegoś więcej, niż dają po sobie znać. Mimo to zapytałam:

– Gdzie on teraz jest?

Drakon wzruszył ramionami.

– Po tym, jak go nie zabiliśmy... nie mam pojęcia, dokąd odpełzł.

Rhys uśmiechnął się półgębkiem.

– Jest z ludźmi lorda Graysena – wyjaśnił. – Pomaga doglądać rannych.

Miriam spytała ostrożnie:

– Czy ty... przyjaźnisz się z Jurianem?

– Nie – odparłam. – W każdym razie... nie sędzę. Jednak... wszystkie słowa, które od niego usłyszałam, były prawdziwe. I pomógł mi. Bardzo.

Żadne z nich nawet nie skinęło głową. Wymienili tylko przeciągłe

spojrzenia, porozumiewając się bez słów.

– Wydawało mi się – odezwał się Rhys – że widziałem podczas bitwy Nephelle. Jest szansa, żeby się przywitała, czy teraz jest już zbyt ważna, żeby zawracać sobie mną głowę?

Rozbawienie – w jego oczach zatańczyły piękne iskierki rozbawienia.

Wyprostowałam się z uśmiechem.

– Jest tutaj?

Drakon uniósł ciemną brew.

– Znasz Nephelle?

– Znam ją z opowieści – odparłam, rzucając okiem w stronę wejścia do namiotu, jakby właśnie miała się w nim pojawić. – To... długa historia.

– Mamy czas jej wysłuchać – powiedziała Miriam, po czym dodała: – No... przynajmniej trochę czasu.

Ponieważ było naprawdę wiele, wiele rzeczy wymagających omówienia i roztrząśnienia. W tym...

Pokręciłam głową.

– Później – odpowiedziałam Miriam i jej towarzyszowi.

Oni byli naocznym dowodem na to, że świat mógł istnieć bez Traktatu.

– Jest coś... – Bezgłośnie przekazałam swoje myśli Rhysowi przez naszą więź, zyskując aprobujące skiniecie głowy. – Czy wasza wyspa nadal jest tajemnicą?

Miriam i Drakon wymienili pełne skruchy spojrzenia.

– Przepraszamy za to – odparła Miriam. – Wygląda na to, że nasze zaklęcia ochronne zadziałały za dobrze, skoro odpędzały również posłańców mających dobre zamiary. – Pokręciła głową, aż jej śliczne loki zafalowały. – Przybylibyśmy wcześniej... wyruszyliśmy, gdy tylko zdaliśmy sobie sprawę, w jakich opałach jesteście.

– Nie – powiedziałam, kręcąc głową, szukając odpowiednich słów.

– Nie... nie winię was. Matko najwyższa, jesteście waszymi dłużnikami... – Wypuściłam ciężko powietrze. – Tak wiele wam zawdzięczamy... – Drakon i Miriam zaprotestowali, ale ja ciągnęłam

dalej: – Chcę powiedzieć... Czy jeśli byłby przedmiot o straszliwej mocy, który koniecznie musi pozostać ukryty... Czy Kretea byłaby dobrym miejscem, by go ukryć?

Znów porozumieli się bez słów, tylko spojrzeniem.

– Tak – odpowiedział Drakon.

– Chodzi ci o Kocioł – wyszeptała Miriam.

Pokiwałam głową. Został zawleczony do naszego obozu i obecnie strzegli go ci Ilyrowie, którzy wciąż byli w stanie utrzymać się na nogach. Żaden z książąt o niego nie pytał – na razie. Ale już widziałam tę awanturę, która by wybuchła. Mogłoby nawet dojść do kolejnej wojny, tym razem o to, kto ma zatrzymać Kocioł.

– On musi zniknąć – powiedziałam cicho. – Na zawsze. Zanim ktoś sobie przypomni, że można po niego sięgnąć.

Drakon i Miriam rozważali sprawę, przebiegała między nimi jakaś niewypowiedziana rozmowa, być może przez ich własną więź godową.

– Kiedy wypłyniemy – odezwał się wreszcie Drakon – jeden z naszych statków może być nieco cięższy.

Uśmiechnęłam się

– Dziękuję.

– Kiedy właściwie planujecie wypłynąć? – spytał Rhys, unosząc brew.

– Już chcesz się nas pozbyć? – odpowiedział z półuśmiechem Drakon.

– Za kilka dni – odparła zwięźle Miriam. – Kiedy tylko ranni będą mogli podróżować.

– To dobrze – powiedziałam.

Wszyscy spojrzeli na mnie. Przełknęłam nerwowo ślinę.

– To znaczy... Nie chodzi mi o to, że cieszę się, że odpływacie... – W oczach Miriam zatańczyło rozbawienie i sama się uśmiechnęłam.

– Chcę, żebyście tu byli. Ponieważ chciałabym zwołać spotkanie.

\*\*\*

Następnego dnia... Nie miałam pojęcia, w jaki sposób to poszło tak szybko. Dopiero co wyjaśniłam, co chciałam osiągnąć, co *musieliśmy*

zrobić, a już... Rhys i Drakon wszystko zorganizowali.

Nie mieliśmy dobrego miejsca na takie spotkanie – nie kiedy w obozach panował taki rozgardiasz. Ale było pewne miejsce – kilka mil stąd.

Kiedy więc słońce zaczęło zachodzić, na wpół zrujnowana rezydencja mojej rodziny wypełniła się książętami dworów i innymi możnymi, generałami i dowódcami, ludźmi i fae... Wciąż brak mi było słów, by to wyrazić. Co czułam, gdy wszyscy zebraliśmy się w ogromnym salonie, jedynym zdatnym do użytku pomieszczeniu w posiadłości....

Noc przespałam głęboko i spokojnie, z Rhysem tuż obok mnie na łóżku. Nie wypuściłam go z objęć całą noc, póki świt nie zaczął wsączać się do naszego namiotu. A wtedy... obóz był zbyt pełen krwi, rannych i zabitych. Do tego mieliśmy do zorganizowania to spotkanie pomiędzy różnymi armiami, obozami, ludźmi.

Zajęło nam to cały dzień, ale w końcu znalazłam się w zniszczonym hallu, z Rhysem i pozostałymi obok mnie. Za nami na marmurowej posadzce leżał rozbity kandelabr.

Pierwsi przybyli władcy dworów. Najpierw Beron.

Beron, który nawet nie spojrzał na swojego „syna, który nie był jego synem”. Stojący po mojej drugiej stronie Lucien również udawał, że nie widzi Berona. Ani Erisa, który szedł krok za ojcem.

Następca tronu Dworu Jesieni był posiniaczony i pokiereszowany tak bardzo, że tuż po bitwie musiało to wyglądać naprawdę źle. Wzdłuż policzka i szyi miał paskudną szramę – ledwie zaleczoną. Mor wydała z siebie pomruk satysfakcji – albo może odgłos rozczarowania, że rana nie okazała się śmiertelna.

Eris szedł dalej, jakby nas nie słyszał, ale przynajmniej nie wykrzywił twarzy w szyderym uśmiechu. Zamiast tego – tylko skinął Rhysowi głową.

To była cicha obietnica: wkrótce. Wkrótce być może Eris sięgnie po to, czego pragnął – i upomni się u nas o swój dług.

Nie odpowiedzieliśmy mu skinieniem. Żadne z nas.

Zwłaszcza nie Lucien, który uparcie ignorował swojego najstarszego brata.



Ale kiedy Eris nas mijał... przysięgłabym, że przez jego twarz przebiegło coś jakby smutek – żal, kiedy zerknął na Luciena.

Chwilę później próg przekroczył Tamlin.

Miał obandażowane szyję i rękę. Przybył na to spotkanie, podobnie jak na poprzednie, sam.

Zastanawiałam się, czy wie, że nasz zniszczony dom został zakupiony za pieniądze, które dał memu ojcu. Z łaskawości, jaką ich otoczył.

Ale Tamlin nawet na mnie nie spojrzał.

Wpatrywał się w osobę po mojej lewej. W Luciena.

Lucien wystąpił krok, z głową uniesioną wysoko; jego mechaniczne oko zaterkotało. Moje siostry były już w salonie, gotowe do wskazywania gościom przygotowanych dla nich miejsc. Rozsadzenie wszystkich zaplanowałyśmy bardzo pieczołowicie.

Tamlin zatrzymał się kilka kroków dalej. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Wreszcie Lucien wydusił z siebie:

– Tamlinie...

Ale uwagę księcia Dworu Wiosny całkowicie pochłaniał strój Luciena. Ilyryjska skórzna.

Równie dobrze mógłby nosić czerń Dworu Nocy.

Ledwie powstrzymałam się z wyjaśnieniami, że Lucien nie miał ze sobą żadnych ubrań i nie był to znak jego lojalności...

Tamlin tylko pokręcił głową i minął nas, z głęboką niechęcią buzującą w jego zielonych oczach. Nie powiedział ani słowa.

Spojrzałam na Luciena w samą porę, by dojrzeć, jak przez jego zdrowe oko przemknęły rozpacz i poczucie winy. Rhys opowiedział Lucienowi o sekretnej pomocy Tamlina. O tym, jak właściwie przywłókł tu Berona. Jak ocalił mnie w obozie. Jednak Lucien pozostał przy naszym boku, podczas gdy Tamlin znalazł swoje miejsce w salonie po naszej prawej. Swemu przyjacielowi nie poświęcił nawet jednego spojrzenia.

Lucien nie był na tyle nierozsądny, by prosić o przebaczenie.

Ta rozmowa, ta rozprawa... na nią będzie czas innym razem. Innego dnia, może tygodnia lub miesiąca.

Straciłam rachubę, kto po kim przychodził. Drakon i Miriam,

razem z grupką swoich poddanych. W tym...

Wpatrywałam się w ciemnowłosą kobietę, która weszła po prawej stronie Miriam. Jej skrzydła były znacznie mniejsze niż u innych serafinów.

Spojrzałam w kierunku Azriela stojącego po drugiej stronie Rhysa, wciąż z grubymi bandażami pokrywającymi ciało i skrzydłami w łupkach – wykończonego po wczorajszej bitwie. Pieśniarz cieni pokiwał twierdząco głową. Nephelle.

Uśmiechnęłam się do legendarnej wojowniczej uczoney, kiedy ta nas mijiała. Spostrzegła mój wzrok i odwzajemniła go szerokim uśmiechem.

Wkroczyli Kallias z Viviane oraz kobietą, która faktycznie okazała się jej siostrą. Potem Tarquin i Varian. Thesan i jego poturbowany kapitan peregrynów – z ręką mocno przybandażowaną do ciała.

Ostatnim z książąt dworów, który przybył na spotkanie, był Helion. Nie odważyłam się spojrzeć przez zniszczony otwór drzwiowy ku miejscu, w którym stał teraz Lucien, w salonie przy boku Elainy, która wraz z Nestą zajęła miejsce nieopodal nienaruszonych okien.

Beron rozsądnie trzymał się z daleka – Eris zaś tylko zerkał raz po raz. By mieć na wszystko oko.

Helion szedł, kulejąc, w otoczeniu kilku generałów i dowódców. Zdobył się na ponury uśmiech.

– Lepiej cieszymy się tym, póki czas – powiedział do mnie i Rhysa.  
– Wątpię, czy wychodząc stąd, będziemy równie jednomyślni.

– Dzięki za słowa otuchy – odpowiedziałam ze ściśniętym gardłem, a Helion zaśmiał się i wszedł do salonu.

Coraz więcej przybyłych wypełniało salę. Słysząc było nerwowe rozmowy, od czasu do czasu wybuchy śmiechu lub powitania. Rhys polecił wreszcie naszej rodzinie udać się do środka – podczas gdy nasza dwójka czekała.

Czekaliśmy i czekaliśmy, długi czas.

Pomyślałam, że im przecież dotarcie tutaj zajmie dłużej. Ponieważ nie mogli przeskakiwać ani przemieszczać się szybko przez świat.

Miałam już obrócić się i iść do salonu, by zacząć bez nich, kiedy

dwie męskie postacie zamajaczyły w ciemnym korytarzu.

Jurian. I Graysen.

A za nimi... niewielka grupa innych ludzi.

Przełknęłam z trudem. Teraz zaczynała się trudniejsza część.

Graysen sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę zawrócić. Przez jego policzek przebiegało świeże rozcięcie, marszczące się, kiedy spoglądał na nas ponuro. Lecz Jurian popchnął go naprzód. On sam miał potężnie podbite lewe oko. Zastanawiałam się, czy Miriam, czy Drakon go tak urządzili. Stawiałam na pierwsze z nich.

Graysen tylko krótko skinął głową. Jurian rzucił mi uśmiezek.

– Umieściłam was po przeciwnej stronie sali – powiedziałam.

Zarówno od Miriam i Drakona... jak i od Elainy.

Żaden z nich nie odpowiedział, tylko dumni i wyprostowani wmaszerowali do pomieszczenia pełnego fae.

Rhys pocałował mnie w policzek i wszedł za nimi. Co pozostawiało...

Tak jak obiecał Lucien, kiedy ziemię spowiły ciemności, odnalazła mnie Vassa.

Przybyła jako ostatnia – ostatni uczestnik spotkania. Wpadła przez próg, pewna siebie, ale z trudem łapiąca oddech i zatrzymała się o krok ode mnie.

Jej rozpuszczone włosy były złocistorude, zaś ciemne brwi i rzęsy stanowiły oprawę dla najwspanialszych niebieskich oczu, jakie kiedykolwiek widziałam. Była piękna. Jej piegowata złotobrazowa skóra aż jaśniała. Miała może o kilka lat więcej ode mnie, ale... roztaczała wokół siebie aurę młodości. Ten źrebięcy urok. Żywiołowy i nieokiełznany, pomimo ciężającej na niej klątwy.

Vassa odezwała się, lekko sepleniąc:

– Czy ty jesteś Feyra Wyzwolicielka?

– Tak, to ja – odpowiedziałam.

Poczułam, że Rhys z rozbawieniem przysłuchuje się nam z sali, gdzie towarzystwo zaczynało się właśnie uciszać. W oczekiwaniu na mnie.

Pełne usta Vassy ściągnęły się.

– Przykro mi... ze względu na twoją stratę. Był wspaniałym

człowiekiem.

Nesta wychodząca właśnie z sali zatrzymała się, słysząc te słowa. Zlustrowała Vassę od stóp do głowy.

Vassa zrobiła to samo.

– Ty jesteś Nesta – powiedziała królowa, a ja zaczęłam się zastanawiać, jak opisał ją nasz ojciec, skoro Vassa z taką łatwością ją rozpoznała. – Przykro mi również ze względu na twoją stratę.

Nesta tylko spoglądała na nią z chłodną obojętnością.

– Słyszałam, że zabiłaś króla Hybernii.

Przyglądała się Neście spod zmarszczonych ciemnych brwi, jakby pod niebieską suknią, którą miała na sobie, szukała oznak wojowniczkki.

W końcu, kiedy moja siostra nie odpowiedziała, Vassa wzruszyła ramionami i zwróciła się do mnie.

– Był dla mnie lepszym ojcem, niż mój własny. Wiele mu zawdzięczam i będę czcić jego pamięć do końca moich dni.

Nesta spoglądała na królową wzrokiem, od którego mogłaby zwiędnąć trawa za strzaskanymi wrotami.

– Czy możesz złamać ciężącą na mnie klątwę, Feyro Archeron?

– Czy to dlatego zgodziłaś się przybyć tak prędko?

– Częściowo. – Posłała mi niepewny uśmiech. – Lucien sugerował, że masz pewne dary, podobnie jak inni władcy dworów.

Jak jego ojciec – jego prawdziwy ojciec. Helion.

Kontynuowała, zanim zdołałam cokolwiek wtrącić.

– Nie mam zbyt wiele czasu, zanim będę zmuszona powrócić do jeziora. Do niego.

Do pana śmierci, który trzymał ja na uwięzi.

– Kim on jest?

Vassa tylko pokręciła głową i machnęła ręką, ale oczy jej pociemniały.

– Czy możesz złamać moją klątwę? – powtórzyła.

– Ja... Nie wiem, jak łamać tego typu zaklęcia – przyznałam.

Przez twarz przebiegł jej wyraz rozczarowania.

– Ale... możemy spróbować.

Rozważyła moje słowa.

– Ze względu na wciąż zdrowiejących żołnierzy, nie będę mogła wyruszyć przez jakiś czas. Mam nadzieję, że pozwoli mi to znaleźć jakąś... lukę, jak to powiedział Lucien, by zostać nieco dłużej. – Ponownie pokręciła głową. – Pomówimy o tym później – dodała po chwili. – O tym i o zagrożeniu, jakie stanowią pozostałe królowe.

Serce zamarło mi na chwilę w piersi.

Przez twarz Vassy przemknął okrutny uśmiech.

– Będą próbowały temu zapobiec – wyjaśniła. – Jakimkolwiek rozmowom pokojowym. Król Hybernii odesłał je przed bitwą z powrotem na kontynent, ale nie wątpię, że były na tyle cwane, by mu to zasugerować. Nie miały ochoty tracić tu żołnierzy.

– Ale nie będą miały takich oporów gdzie indziej? – wtrąciła Nesta.

Vassa odrzuciła gładką zasłonę włosów na plecy.

– Zobaczymy. A ty pomyślisz o sposobie, by mi pomóc.

Zaczekałam, aż wejdzie do salonu, po czym uniosłam brwi w reakcji na to polecenie. Albo nie wiedziała, albo nie dbała o to, że ja również... że ja również jestem królową.

– Powodzenia z tym indywiduum. – Nesta posłała mi krzywy uśmieшек.

Zmarszczyłam ponuro brwi, odsuwając od siebie już kiełkujące we mnie zmartwienie.

– A gdzie ty idziesz? Spotkanie właśnie się zaczyna.

– Czemu miałabym tam być?

– Jesteś honorowym gościem. Zabiłaś króla.

Przez jej twarz przemknął cień.

– No i co z tego?

Zamrugalam.

– Jesteś również naszą wysłanniczką. Powinnaś być na tym spotkaniu.

Nesta rzuciła okiem w stronę schodów i spostrzegłam wtedy przedmiot, który ścisnęła w dłoni. Małą drewnianą figurkę. Nie mogłam dojrzeć, co to było za zwierzę, ale rozpoznałam drewno. Rozpoznałam robotę.

To była jedna z małych figurek wykonanych przez naszego ojca

przez te wszystkie lata, on... on w zasadzie niewiele robił. Rzuciłam okiem na twarz siostry, zanim zdołała to zauważyć.

– Sądzisz, że się powiedzie... to spotkanie?

Z taką liczbą fae w pomieszczeniu za nami nie odważyłam się powiedzieć niczego poza prawdą.

– Nie wiem. Ale gotowa jestem spróbować. – Podałam jej dłoń. – Chciałabym, żebyś tam była. Ze mną.

Nesta przyjrzała się mojej wyciągniętej ręce. Przez chwilę myślałam, że ją odrzuci.

Ale ostatecznie wsunęła swoją dłoń do mojej i razem weszliśmy do pomieszczenia wypełnionego ludźmi i fae. Obie części tego świata. *Wszystkie* części tego świata.

Fae wysokiego rodu ze wszystkich dworów. Miriam z Drakonem i ich ludem. Ludzie z wielu krain.

Wszyscy przyglądali się, jak wchodziłam z Nestą, jak podchodziłyśmy do miejsca, gdzie, zwróceniu ku zebranemu tłumowi, czekali na mnie Rhys i pozostali. Staralam się nie krzywić, widząc potrzaskane meble, które zostały porządnie przejrane w poszukiwaniu zdatnych do siedzenia. Na pozdierane tapety i porwane firany. Ale to i tak było lepsze niż nic.

W zasadzie to samo można było powiedzieć o naszym świecie.

Zapadła cisza. Rhys popchnął mnie lekko, muskając dłonią moje plecy, żebym wyszła o krok przed niego. Uniosłam głowę i zlustrowałam pomieszczenie. I uśmiechnęłam się do nich wszystkich zebranych tutaj: ludzi i fae.

Przemówiłam głosem czystym i pewnym:

– Nazywam się Feyra Archeron. Kiedyś byłam człowiekiem – teraz jestem fae. Oba światy nazywam swoim domem. Chciałabym dziś omówić nowe postanowienia Traktatu.

## Rozdział 80

Świat podzielony nie może prosperować.

To pierwsze spotkanie trwało godzinami. Wielu z nas było podenerwowanych ze zmęczenia, ale... powstały nici porozumienia. Wymieniano historie. Opowieści z obu stron muru.

Opowiedziałam im moją. Całą.

Opowiedziałam ją obcym, którzy mnie nie znali, opowiedziałam przyjacielom i Tamlinowi, który siedział pod przeciwległą ścianą z zaciętą miną. Mówiłam o latach ubóstwa, próbach, które przeszłam pod Górą, miłości, którą znalazłam i odrzuciłam, wreszcie miłości, która mnie uzdrowiła i ocaliła. Głos nie zadrżał mi ani razu. Nie załamał się. Niemal wszystko, co zobaczyłam w Uroborosie – im też pozwoliłam zobaczyć. Opowiedziałam im.

Kiedy zaś skończyłam, wystąpili Miriam i Drakon i opowiedzieli swoją historię.

Kolejne ziarnko dowodzące, że ludzie i fae nie tylko mogą pracować razem, żyć obok siebie, ale też stać się dla siebie czymś znacznie więcej. Słuchałam każdego słowa – nie próbowałam nawet ocierać płynących raz za razem łez. Ścisnęłam tylko dłoń Rhysa i nie chciałam wypuścić.

Było jeszcze kilka innych opowieści. Niektóre zupełnie inne od naszych. Związki, które nie skończyły się dobrze. Popełnione zbrodnie. Rany, których czas nie zaleczy.

Ale był to początek.

Wciąż jeszcze pozostawało przed nami wiele pracy przy budowaniu wzajemnego zaufania, ale kwestia wzniesienia nowego muru...

Pozostawało sprawą otwartą, czy zdołamy osiągnąć w tej sprawie porozumienie. Wielu z nas było przeciwnych. Wielu ludzi, z oczywistych przyczyn, pozostało podejrzliwych. Wciąż jeszcze należało się liczyć z innymi krainami fae – tymi, które uznały

propozycję króla Hybernii za atrakcyjną. Kuszącą.

Władcy Dworów Prythianu najbardziej kłócili się o możliwość wzniesienia nowego muru. I z każdym kolejnym słowem, dokładnie tak jak to przewidział Helion, tymczasowy sojusz kruszył się i pękał. Linie podziałów zarysowywały się na nowo. Ale przynajmniej wszyscy zostali do końca – do wczesnych godzin porannych, kiedy wreszcie zdecydowano, że resztę przedyskutujemy innego dnia. W innym miejscu.

Potrzeba było czasu. Czasu na leczenie ran i budowanie zaufania.

Pomyślałam wtedy, że droga, która otwierała się przed nami, droga do prawdziwego pokoju będzie być może najtrudniejsza i najdłuższa ze wszystkich.

Zebrani wychodzili, przeskakiwali, odlatywali lub odchodzili w ciemność, na powrót zbijając się w swoje grupki, dwory i oddziały. Spoglądałam na nich przez otwarte wrota posiadłości, póki nie stali się tylko cieniami mającymi wśród nocy.

Widziałam uprzednio Elaineę wyglądającą przez okno – odprowadzającą wzrokiem Graysena, który odjeżdżał ze swoimi ludźmi, nie zaszczyciwszy jej nawet jednym spojrzeniem. Trzymał się każdego słowa, które wypowiedział tamtego dnia w strażnicy. Czy zauważył, że Elainea wciąż nosiła pierścień i wpatrywała się w niego, kiedy odjeżdżał w noc... nie wiem. Niech Lucien się tym zajmie – póki co.

Westchnęłam, wspierając głowę o spękaną kamienną framugę. Wielkie drewniane wrota zostały kompletnie zniszczone, tylko drzazgi walały się po marmurowej posadzce za moimi plecami.

Rozpoznałam jego zapach, jeszcze zanim usłyszałam jego pewne kroki.

– Gdzie się teraz wybierasz? – spytałam, nie patrząc nawet za siebie, kiedy Jurian zatrzymał się za mną i zapatrzył w ciemność.

Miriam i Drakon zwinęli się szybko, musieli się zająć rannymi – i przetransportować Kocioł na jeden ze swoich statków, zanim którykolwiek z książąt zacznie się zastanawiać, gdzie on może być.

Jurian oparł się o drugą część futryny.

– Królowa Vassa zaproponowała mi miejsce na swym dworze.



Faktycznie Vassa została po spotkaniu, rozmawiając żywo z Lucieniem. Przypuszczałam, że chciała wykorzystać każdą minutę, jaka jej pozostała, zanim wraz ze świtem zmieni się z powrotem w ognistego ptaka. Ku memu zaskoczeniu Lucien śmiał się i był cały rozluźniony, gdy z przechyloną głową słuchał słów królowej.

– Zamierzasz skorzystać z tej propozycji?

Twarz Juriana była poważna – zmęczona.

– Jaki dwór może mieć obłożoną klątwą królowa? Jest uwiązana do tego pana śmierci i prędzej czy później będzie musiała wrócić do jego jeziora na kontynencie. – Pokręcił głową. – Szkoda, że król został tak spektakularnie zdekapitowany przez twoją siostrę. Pewien jestem, że zdołałbym dowiedzieć się od niego, jak złamać tę jej klątwę.

– Wielka szkoda w rzeczy samej – mruknęłam.

Jurian parsknął w rozbawieniu.

– Myślisz, że mamy szansę? – spytałam, wskazując ludzkie postacie wciąż udające się do swoich obozów. – Na pokój między nami wszystkimi?

Przez dłuższą chwilę Jurian milczał.

– Tak – odparł wreszcie cichym głosem. – Myślę, że tak.

Nie wiem dlaczego, ale dodało mi to otuchy.

\*\*\*

Kilka dni później, kiedy nasz obóz został już zwinięty, wciąż myślałam nad słowami Juriana. Pożegnaliśmy się i złożyliśmy sobie obietnice – niektóre bardziej, niektóre mniej szczerze – że się wkrótce zobaczymy.

Potem wreszcie wróciłam z dworem i rodziną do Velaris.

Promienie słońca wciąż wpadały przez okna miejskiego domu. Zapach cytrusów i świeżego pieczywa wciąż wypełniał wszystkie pomieszczenia.

A w oddali... na ulicach wciąż było słyhać dziecięcy śmiech.

Dom. Dom się nie zmienił – dom był nienaruszony.

Ścisnęłam dłoń Rhysa wyjątkowo mocno. Sądziłam, że coś powie, ale on tylko ścisnął moją w odpowiedzi.

Chociaż wszyscy już się wykąpaliliśmy, to kiedy tak staliśmy razem, wciąż czuliśmy na sobie ten brud. Jakbyśmy jednak nie zmyli z siebie całej krwi.

Zrozumiałam wtedy, że choć dom faktycznie się nie zmienił, to... może my tak.

– Pewno teraz będę musiała jeść prawdziwe jedzenie – wymamrotała Amrena.

– Co za wiekopomne poświęcenie – zadrwił z niej Kasjan.

Pokazała mu wulgarny gest, ale na widok jego wciąż obandażowanych skrzydeł zmrużyła oczy. Jej oczy – zwyczajne srebrne oczy – patrzyły teraz na Nestę, która trzymała się poręczy, jakby chciała się udać do swojego pokoju.

Moja siostra przez ostatnie dni powiedziała ledwie dwa słowa i prawie nic nie jadła. Nie odwiedziła Kasjana, kiedy dochodził do siebie po odniesionych ranach. Wciąż nie chciała rozmawiać o tym, co się wydarzyło.

– Zaskoczyło mnie – zwróciła się do niej Amrena – że nie wzięłaś sobie głowy króla jako trofeum, żeby ją kazać wypchać i powiesić na ścianie.

Nesta spiorunowała ją wzrokiem. Mor cmoknęła z niesmakiem.

– Niektórzy uznaliby ten żart za w wyjątkowo złym guście, Amreno – powiedziała kuzynka Rhysa.

– Ocaliłam wasze tyłki, mam prawo robić, co mi się podoba.

Z tymi słowy Amrena wymaszerowała z domu na ulice miasta.

– Ta nowa Amrena jest chyba jeszcze bardziej gderliwa niż dawna – zauważyła Elaina.

Wybuchnęłam śmiechem. Pozostali mi zawtórowali, nawet sama Elaina uśmiechnęła się szeroko.

Wszyscy poza Nestą, która wpatrywała się w przestrzeń.

Kiedy Kocioł pękł... nie wiem, czy nie pękła też w niej ta moc. Czy nie została zerwana jej więź. Czy też ona wciąż gdzieś tam w niej istniała.

– Chodźcie – powiedziała Mor, zarzucając rękę na ramiona Azriela i ostrożnie obejmując Kasjana, po czym zagarnęła ich w stronę salonu. – Musimy się napić.

– Otwieramy te lepsze butelki – zawołał Kasjan, do Rhysa przez ramię, wciąż kulejąc na ledwie zaleczoną nogę.

Mój towarzysz udał służalczy ukłon.

– Zachowajcie przynajmniej trochę dla mnie.

Rhys zerknął na moje siostry, po czym puścił do mnie oko. Cienie bitwy wciąż się snuły w jego spojrzeniu, ale to mrugnięcie... Nadal ogarniał mnie strach, że nie było prawdziwe. Że to wszystko była jakąś maligną wewnątrz Kotła.

„To jest prawdziwe – wymruczał w mojej głowie. – Mogę udowodnić ci to później. Mogę ci to udowadniać całymi godzinami”.

Prychnęłam i przyglądałam się, jak rzuca w przestrzeń wymówkę o konieczności poszukania jedzenia i znika w głębi korytarza.

Kiedy zostałam w holu sama z siostrami – wciąż lekko uśmiechniętą Elainą i niezmiennie zachowującą kamienną twarz Nestą – wzięłam głęboki wdech.

Lucien pozostał na miejscu bitwy, by pomóc przy rannych ludziach wciąż potrzebujących magicznego leczenia, ale obiecał, że pojawi się tu, kiedy tylko skończy. Zaś Tamlin...

Nie rozmawiałam z nim. Ledwie na mnie spojrzał od tej chwili, gdy powiedział, bym była szczęśliwa, i zwrócił mi mojego towarzysza. Opuścił spotkanie, zanim zdołałam mu cokolwiek odpowiedzieć.

Dałam więc Lucienowi wiadomość do niego – na wypadek, gdyby go spotkał. Wiedziałam, że tak się stanie – wiedziałam to na pewno. Lucien powiedział, że przed przybyciem tutaj musi odwiedzić pewne miejsce. Doskonale wiedziałam, jakie miejsce ma na myśli.

Moja wiadomość do Tamlina była krótka. Zawierała wszystko, co chciałam powiedzieć.

*Dziękuję.*

*Mam nadzieję, że Ty również znajdziesz szczęście.*

I naprawdę tak myślałam. Nie tylko z powodu tego, co zrobił dla Rhysa, ale... Nawet w przypadku istot nieśmiertelnych w życiu nie było *dość czasu*, by marnować go na nienawiść. Na odczuwanie jej

i przesyłanie dalej w świat.

Więc życzyłam mu dobrze – szczerze. I miałam nadzieję, że pewnego dnia... Że pewnego dnia może stawi czoła tym podstępny lękom, temu niszczycielskiemu szałowi, który w nim gnił.

– No to – zwróciłam się do sióstr – co dalej?

Nesta tylko odwróciła się i poszła na górę, pokonując schody powolnymi, sztywnymi krokami. Kiedy tylko dotarła do swojej sypialni, zdecydowanym ruchem zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Jeśli chodzi o tatę – szepnęła Elaina – nie sądzę, by Nesta...

– Wiem – odparłam również przyciszonym głosem. – Myślę, że musi sobie wszystko poukładać... a dużo tego jest.

Za dużo.

Elaina zwróciła się twarzą do mnie.

– Pomożemy jej?

Bawiłam się koniuszkiem warkocza.

– Tak... ale nie dziś. Ani nie jutro – Wypuściłam ciężko powietrze.  
– Kiedy... kiedy będzie gotowa.

Kiedy również *my* będziemy gotowe.

Elaina pokiwała głową, uśmiechając się do mnie, a w jej oczach zalśniła nieśmiała radość – i *życie*. Obietnica przyszłości – jaśniejącej i słodkiej.

Zaprowadziłam ją do pokoju dziennego, gdzie Kasjan siedział z butelkami bursztynowego alkoholu w obu rękach, Azriel pocierał już skronie, a Mor właśnie brała kryształowe szklanki z półki.

– Co dalej? – zastanowiła się Elaina, podejmując wreszcie pytanie, które zadałam chwilę temu w korytarzu.

Jej uwaga przeniosła się na wychodzące na ruchliwą ulicę okna. Jej uśmiech rozkwitł – był teraz na tyle promienny, że rozświetlił nawet snujące się po pokoju cienie Azriela.

– Chciałabym założyć ogród – powiedziała. – Po tym wszystkim... Myślę, że świat potrzebuje więcej ogrodów.

Gardło miałam zbyt suche, by móc od razu odpowiedzieć, więc tylko pocałowałam policzek siostry i wychrypiałam:

– Tak... sądzę, że potrzebuje.

## Rozdział 81

### Rhysand

Nawet z kuchni słyszałem ich wszystkich. Chlupotanie czegoś, co zapewne było najstarszą butelką alkoholu, jaką posiadałem. Potem brzękanie o siebie równie starych kryształowych szklanic.

Potem śmiech. Głęboki pomruk – to Azriel. Śmiał się z czegoś, co powiedziała Mor, co ją również sprowokowało do śmiechu. Jej był rechotliwy i wesoły.

Potem kolejny śmiech – srebrzysty i radosny. Piękniejszy niż jakakolwiek muzyka grana w niezliczonych teatrach i salach koncertowych Velaris.

Stałem przy kuchennym oknie. Ogród był w pełnym letnim rozkwicie. Nie patrzyłem na kwiaty, które w ostatnich tygodniach pielęgnowała Elaina Archeron. Po prostu wyglądałem – i służyłem tego pięknego śmiechu. Śmiechu mojej towarzyszk.

Potarłem dłonią pierś na jego brzmienie – na pobrzmiwającą w nim radość.

Ich rozmowa popłynęła dalej, wpadając na stare tory, a jednak... Tak mało brakowało. Tak niewiele zabrakło, byśmy tego już nie zobaczyli. Tego miejsca. Siebie nawzajem. I wiedziałem, że ten śmiech... był po części również dlatego. Na przekór i z wdzięczności.

– Przyjdiesz się napić, czy będziesz tak stać i się gapić cały dzień na kwiatki? – dobiegł mnie poprzez melodię dźwięków głos Kasjana.

Obróciłem się i zobaczyłem jego i Azriela w wejściu do kuchni. Obaj mieli w dłoniach szklanki. W poblížnionej dłoni pieśniarza cieni tkwiła jeszcze jedna, która popłynęła w moją stronę na niebieskawej mgiele.

Chwyciłem ją w dłoń i ścisnąłem chłodny kryształ.

– Podkradanie się do swojego księcia nie jest najlepszym pomysłem – powiedziałem.

Upiłem spory łyk. Płyn palił w gardło i rozgrzewał żołądek.

– Dobrze, żebyś na starość utrzymywał formę – odpalił Kasjan i popił ze swojej szklanki.

Oparł się o framugę.

– Czemu się tu chowasz?

Azriel spojrzał na niego karcąco, ale ja prychnąłem i upiłem kolejny łyk.

– Naprawdę otworzyłeś te lepsze butelki.

Czekali. Ale wtedy rozbrzmiał ponownie śmiech Feyry, potem Elainy i Mor. A kiedy przeniosłem wzrok na twarze moich braci, dojrzałem na nich zrozumienie.

– To się dzieje naprawdę – powiedział cichym głosem Azriel.

Żaden się nie roześmiał ani nie skomentował pieczenia w moich oczach. Pociągnąłem kolejny łyk, by zmyć uczucie ściskania w gardle i podszedłem do nich.

– Nie powtarzajmy tego przez kolejne pięćset lat – rzuciłem lekko chropawym głosem, stukając się z nimi szklanką.

Azriel uśmiechnął się, a Kasjan uniósł brew.

– A co będziemy robili przez ten czas? – zapytał mój generał.

Poza próbami wynegocjowania pokoju, poza radzeniem sobie z tymi królowymi, które na pewno będą jeszcze sprawiać kłopoty, poza leczeniem naszego popękanego świata...

Mor zawołała nas, żądając, żebyśmy przynieśli jedzenie. Dużo dobrego jedzenia, dodała. I dodatkowy zapas chleba.

Uśmiechnąłem się. Szerzej, kiedy ponownie usłyszałem śmiech Feyry – kiedy *poczułem* go przez naszą więź godową, skrzący się jaśniej przez całe Święto Spadających Gwiazd.

– Przez ten czas – zacząłem, kładąc moim braciom ręce na ramionach i prowadząc ich z powrotem do salonu.

Spojrzałem przed siebie w stronę, skąd dobiegał ten śmiech, skąd biło to światło – gdzie widniała ta wizja przyszłości, którą pokazała mi Feyra. Piękniejsza niż cokolwiek, czego mógłbym sobie życzyć – czego kiedykolwiek sobie życzyłem podczas tych długich samotnych nocy, kiedy tylko gwiazdy dotrzymywały mi towarzystwa. Marzenie wciąż nieziszczone – ale nie nierealne.

– Przez ten czas cieszymy się każdym uderzeniem serca.

## Rozdział 82

### Feyra

Rhysand był na dachu. Nad nim wisały nisko gwiazdy, a kamień pod moimi stopami wciąż był nagrany słońcem dnia.

Siedział na jednym z małych żelaznych krzesłek, bez światła, bez żadnej butelki alkoholu – tylko on, gwiazdy i miasto.

Wsunęłam się na jego kolana, a on objął mnie ramionami.

Długo siedzieliśmy w ciszy. Od czasu bitwy ledwie co mieliśmy chwilę dla siebie i zazwyczaj byliśmy zbyt zmęczeni na cokolwiek poza snem. Ale dziś... Przesunął dłoń po moim udzie, obnażonym w miejscu, w którym nocna koszula podsunęła mi się do góry.

Kiedy mi się przyjrzał, wyglądał przez chwilę na zaskoczonego, po czym stłumił śmiech, przyciskając usta do mojego ramienia.

– Powinienem być wiedzieć.

– Panie w sklepie podarowały mi to jako podziękowanie za uratowanie ich przed Hybernią. Może powinnam robić to częściej, jeśli mam w zamian dostawać darmową bieliznę.

Miałam na sobie bowiem parę czerwonych koronkowych majteczek – na nich zaś dopasowaną czerwoną koszulkę nocną, która była tak skandalicznie przejrzysta, że dokładnie było widać, co jest pod spodem.

– Nikt ci nie powiedział? Jesteś obrzydliwie bogata.

– Tylko dlatego że mam pieniądze, nie znaczy, że muszę je wydawać.

Ścisnął moje kolano.

– Bardzo dobrze. Potrzebujemy kogoś z głową do pieniędzy. Ja rozrzucam złoto na prawo i lewo; a wszystko przez nasz Dwór Snów, który paskudnie wykorzystuje moją hojność.

Śmiech zadudnił mi głęboko w gardle. Oparłam głowę o jego ramię.



– Czy Amrena nadal jest twoją prawą ręką?

– Naszą prawą ręką.

– Semantyka.

Rhys wodził po mojej skórze kolistymi ruchami, wzdłuż kolana i niższej części uda.

– Jeśli tylko chce, ta posada wciąż należy do niej.

– Pomimo tego że nie ma już swoich mocy?

– Jest teraz fae wysokiego rodu. Jestem pewien, że odkryje w sobie jakiś ukryty talent, którym będzie mogła nas terroryzować.

Znow się roześmiałam, ciesząc się uczuciem jego dłoni na mojej skórze, ciepłem jego ciała obok mojego.

– Słyszałem cię – powiedział cicho. – Kiedy mnie... nie było.

Stężałam ze strachu, który przez kilka ostatnich nocy zrywał mnie ze snu; strachu, którego, obawiałam się, prędko się nie pozbędę.

– Te minuty... – odparłam, kiedy zaczął uspokajająco wodzić ręką po moim udzie. – Rhys... Nigdy już nie chcę się tak czuć.

– Teraz wiesz, jak ja czułem się wtedy pod Górą.

Przekreśliłam głowę, by spojrzeć na niego.

– *Nigdy* więcej mi nie kłam. Nie w takiej sprawie.

– Ale w innych mogę?

Uszczypnęłam go w ramię, na tyle mocno, że się roześmiał i odtrącił moją dłoń.

– Nie mogłem pozwolić, żeby cała zasługa za ocalenie nas przypadła wam, *paniom*. Musiałem ocalić trochę chwały dla rodu męskiego, żebyśmy po kres czasu nie byli zamięczani waszymi przechwałkami.

Tym razem klepnęłam go w ramię.

Ale on objął mnie w talii i przyciągnął do siebie, wdychając mój zapach.

– Słyszałem cię nawet w śmierci. To właśnie skłoniło mnie, bym się obejrzał. Sprawilo, że zostałem... nieco dłużej.

Przed udaniem się do tego miejsca, które kiedyś próbowałam opisać Rzeźbiącemu.

– Kiedy nadejdzie czas, by się tam udać – powiedziałam cicho – pójdziemy razem.

– Umowa stoi – odparł i pocałował mnie delikatnie.

– Żebyś wiedział – wymruczałam w jego usta.

Skóra na moim lewym ramieniu załaskotała. Przepłynęło po niej muśnięcie ciepła.

Spojrzałam i znalazłam na nim kolejny tatuaż – bliźniaczo podobny do tego, który kiedyś je zdobił, z wyjątkiem miejsca, gdzie znajdowała się czarna opaska umowy z Bryaksis. Przekształcił go tak, by zawijasy i arabeski współgrały z nią i tworzyły razem harmonijną całość.

– Tęskniłem do tego starego – powiedział niewinnie.

Na jego lewej ręce widniał taki sam wzór. Nie sięgał palców, jak mój, ale ciągnął się od nadgarstka po łokieć.

– Papuga – powiedziałam oschle. – Na mnie wygląda lepiej.

– Hmm – powiódł dłonią wzdłuż mojego kręgosłupa, po czym puknął lekko dwa punkty na nim. – Słodka Bryaksis zniknęła. Wiesz, co to oznacza?

– Że będę musiała wybrać się, by ją upolować i zamknąć z powrotem w bibliotece?

– Och, to z pewnością.

Zmieniłam pozycję na jego kolanach i owinęłam ramiona wokół jego szyi.

– A wybierzesz się ze mną? Na tę przygodę... i na wszystkie pozostałe?

Rhys pochylił się i pocałował mnie.

– Zawsze.

Gwiazdy zdawały się rozpalać jaśniej w odpowiedzi, przybliżyć się do nas, by lepiej widzieć. Jego skrzydła zaszeleściły, kiedy przesunął nas na krzesło i pogłębił pocałunek aż do utraty tchu.

A potem poczułam, że lecę.

Rhys zebrał mnie w ramionach i wystrzelił w rozgwieżdżone niebo. Pod nami, niczym jego odbicie, migotało miasto.

Z nadrzecznych kawiarni dobiegała muzyka. Ludzie śmiali się, przechadzając ramię w ramię po mostach spinających brzegi Sidry. Pośród połyskującej połaci tu i ówdzie można było dojrzeć ciemniejsze miejsca – kupy gruzu, zniszczone budynki – ale nawet

niektóre z nich rozświetlone były latarenkami. Świeczkami. W cudowny sposób pokonującymi mrok.

Będziemy potrzebowali tego więcej w najbliższej przyszłości – podczas długiej drogi, która rozciągała się przed nami. Drogi do nowego świata. Który będzie lepszym miejscem niż ten, który zastałam.

Ale na razie... w tej chwili, z miastem pod nami, światem wokół zdającym się chłonać z trudem wywalczony pokój... Ja również go chłonełam. Z każdym uderzeniem serca. Każdy dźwięk, zapach i obraz zapadał mi w pamięć. Tak ich wiele, że ich namalowanie zajęłoby całe życie – kilka żyć.

Rhys wyrównał lot i posłał do moich myśli obraz. Wyszczерzyłam zęby w szerokim uśmiechu i przyzwałam własne skrzydła.

Puścił mnie i wysunęłam się zwinnie z jego ramion, radując się ciepłym wiatrem pieszczącym moją skórę, wdychając głęboko przesycone solą i zapachem cytrusów powietrze. Uderzyłam kilka razy skrzydłami, by złapać rytm. Ale już po chwili utrzymywałam się w powietrzu, pewnie.

A potem leciałam. Szybowałam.

Rhys zrównał się ze mną i kiedy ponownie się do mnie uśmiechnął; kiedy płynęliśmy w nadmorskiej bryzie, pośród gwiazd i światła; kiedy pokazywał mi wszystkie cuda Velaris: Tęczę połyskującą pod nami niczym żywa rzeka kolorów... Kiedy otarł się swoim skrzydłem o moje – tylko dlatego, że mógł; dlatego, że miał ochotę i mieliśmy nieskończoną liczbę nocy, by to robić, by zobaczyć wszystko razem...

Dar.

Wszystko to było darem.

## Podziękowania

**N**awet po napisaniu dziewięciu książek wyrażenie mojej niepomiernej wdzięczności ludziom wypełniającym moje życie – zarówno osobiste, jak i zawodowe – którzy samą swoją obecnością rozświetlają mój świat, nie przychodzi łatwiej.

Joshowi: Każda chwila spędzona z Tobą jest darem. Dawno temu, kiedy spojrzałam w gwiazdy i wypowiedziałam życzenie, prosiłam o kogoś takiego jak Ty w moim życiu. Naprawdę wierzę, że gwiazdy wysłuchały mojej prośby, ponieważ możliwość dzielenia tej szalonej przygody z Tobą jest spełnionym marzeniem. Kocham Cię bardziej, niż słowa są w stanie wyrazić.

Annie: Dziękuję za wszystkie uściski, pyskowanie i nieustanne domaganie się kolejnych smakołyków, dzięki czemu jestem zawsze w gotowości. Kocham Cię na zawsze i do końca świata, mój mały szczeniaczku (i niezależnie od tego, co wszyscy mówią, przysięgam, że *zdołasz* to przeczytać).

Mojej agentce Tamarze, która pracuje tak niestrudzenie i jest najbardziej zawziętą twardzielką, jaką znam: nic z tego nie byłoby możliwe bez Ciebie i nigdy nie przestanę być Ci za to wdzięczna. Dziękuję za wszystko.

Cat Onder: Praca z Tobą była dla mnie niesamowitym przywilejem i wielką radością. Jestem Ci wdzięczna za bycie tak kreatywną, troskliwą i wnikliwą redaktorką. A także za wszystkie lata naszej przyjaźni.

Genialnej ekipie Bloomsbury z całego świata: Cindy Loh, Cristinie Gilbert, Kathleen Farrar, Nigelowi Newtonowi, Rebecce McNally, Sonii Palmisano, Emmie Hopkin, Ianowi Lambowi, Emmie Bradshaw, Lizzy Mason, Courtney Griffin, Ericie Barmash, Emily Ritter, Grace Whooley, Eshani Agrawal, Emily Klopfer, Alice Grigg, Elise Burns, Jenny Collins, Beth Eller, Kerry Johnson, Kelly de Groot, Ashley Poston, Lucy Mackay-Sim, Hali Baumstein, Melissie

Kavonic, Dianie Aronson, Lindzie Minton, Christinie Ma, Donnie Mark, Johnowi Candellowi, Nicholasowi Churchowi i całemu zespołowi zajmującemu się prawami za granicą – dziękuję za Waszą ciężką pracę, dzięki której te książki zostały wydane, a także za bycie najlepszym światowym zespołem wydawniczym *wszech czasów*. Jonowi Cassirowi i zespołowi CAA: dziękuję Wam za promowanie mnie i moich książek.

Cassie Homer, nadzwyczajnej asystentce: dziękuję za całą Twoją pomoc i nieopisanie przyjemną współpracę!

Moim rodzicom: dziękuję za bajki i podania ludowe, za przygody na całym świecie i za weekendowe poranki z rogalami i wędzonym łososiem z Murray's. Lindzie i Dennisowi: wychowaliście naprawdę wspaniałego syna i będę Wam za to wdzięczna do końca swoich dni. Mojej rodzinie: Jestem taka szczęśliwa, że mam Was wszystkich w swoim życiu.

Roshani Chokshi, Lynette Noni i Jennifer Armentrout: dziękuję, że jesteście tak jasnym światłem w moim życiu i takimi wspaniałymi przyjaciółkami – i za wszystkie nieocenione uwagi do tej książki. Renée Ahdieh, Steph Brown i Alice Fanchiang: Uwielbiam Was.

Ogromne podziękowania dla Sashy Alsberg, Vilmy Gonzalez, Alexy Santiago, Rachel Domingo, Jessiki Reigle, Kelly Grabowski, Jennifer Kelly, Laury Ashforth i Diyany Wan za bycie nadzwyczaj niesamowitymi i kochanymi ludźmi. Cudownej Caitie Flum: *bardzo* Ci dziękuję za poświęcenie czasu na przeczytanie tej książki i przekazanie mi tak cennych opinii. Louise Ang: dziękuję, dziękuję, dziękuję za Twoją niezwykłą dobroć, zaraźliwą radość i zdumiewającą hojność.

Charlie Bowater, która jest nie tylko genialną artystką, ale też wspaniałym człowiekiem: dziękuję Ci za obrazy, które mnie poruszyły i zainspirowały, a także za całą Twoją ciężką i fantastyczną pracę nad kolorowanką. Praca z tobą jest zaszczytem.

I wreszcie *Wam*, drodzy czytelnicy: dziękuję Wam z głębi serca za towarzyszenie mnie i Feyrze w tej podróży. Wasze wzruszające listy i niesamowite rysunki, Wasza cudowna muzyka i sprytne *cosplaye*... Wszystko to znaczy dla mnie więcej, niż jestem w stanie wyrazić. To

prawdziwe błogosławieństwo mieć Was za czytelników. Nie mogę się doczekać, by podzielić się z Wami kolejną częścią tego świata w następnej książce!

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska  
Przekład: Jakub Radzimiński  
Redakcja: Magdalena Adamska  
Korekta: Anna Jagiełło, Julia Topolska, Julia Michalska, Maria Żbikowska

Projekt okładki: John Candell and Katie Everson  
Ilustracje wykorzystane na okładce: Figure illustration © 2017 by Adrian Dadich  
Background illustration © 2017 by Mick Wiggins  
Mapa: © Kelly de Groot 2017

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-4952-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**